# Opowiadania z Dzikiego Zachodu

Iskry, 1974
Wybór: Krzysztof Zarzecki

Tom W. Blackburn, **Do Sacramento!** (*Sacramento Run*), przełożyła Aldona Szpakowska
Prentiss Combs, **Prawo bata** (*Law of the Lash*), przełożyła Irena Doleżal-Nowicka
Max Evans, **Most Wielkiego Shada** (*Big Shad's Bridge*), przełożyła Emilia Niemirska
Cliff Farrell, **Szybki refleks** (*Fiddle-Footed*), przełożyła Krystyna Jurasz-Dąmbska
Williams Forrest, **Próba tortur** (*Test by Torture*), przełożyła Aldona Szpakowska
Kenneth Fowler, **Spokojny John** (*Peaceful John*), przełożyła Aldona Szpakowska
Bill Gulick, **Małżeństwo Księżycowego Wiatru** (*The Marriage of Moon Wind*), przełożył Wacław Niepokólczycki
Bill Gulick, **Gdy powiało wolnością** (*Where the Wind Blows Free*), przełożyła Krystyna Jurasz-Dąmbska
Norman S. Hall, **Decyzja nad Rio Blanco** (*Decision at Rio Blanco*), przełożyła Anna Przedpełska-Trzeciakowska
Bret Harte, **Wdowa z Doliny Santa Ana** (*A Widow of the Santa Ana Valley*), przełożyła Emilia Niemirska
Ernest Haycox, **Szlak śmierci** (*Dead-Man Trail*), przełożył Wacław Niepokólczycki
Will Henry, **Najwyższy Indianin w Toltepec** (*The Tallest Indian in Toltepec*), przełożyła Irena Doleżal-Nowicka
William Heuman, **Barki na północ** (*Keelboats North*), przełożyła Irena Doleżal-Nowicka
Ray Hogan, **Miejsce dla Danny'ego Thorpe** (*A Place for Danny Thorpe*), przełożyła Anna Przedpełska-Trzeciakowska
Mackinlay Kantor, **Król Olbrzym** (*King Giant*), przełożył Wacław Niepokólczycki
Morgan Lewis, **Nieopatrzna decyzja** (*The Hasty Hanging*), przełożyła Emilia Niemirska
Lewis B. Patten, **Prom Dobbsa** (*Dobbs Ferry*), przełożyła Emilia Niemirska
Eugene Manlove Rhodes, **Naiwne serce** (*The Fool's Heart*), przełożyła Emilia Niemirska
Conrad Richter, **Dym nad prerią** (*Smoke over the Prairie*), przełożył Wacław Niepokólczycki
Stewart Edward White, **Złoto dla gościa** (*Guest's Gold*), przełożyła Krystyna Jurasz-Dąmbska

**Tom W. Blackburn**

## Do Sacramento!
(Sacramento Run)

Fil Crail trwał w euforii, płynącej z trunku i obojętności, którą ćwiczył w sobie od tak dawna, że stała się właściwie drugą jego naturą. Nie zagłuszyła ona wprawdzie nigdy niezadowolenia z siebie, rwącego jak wrzód, no ale nie było dotąd na świecie człowieka w pełni szczęśliwego, a drobne przykrości nie mają znaczenia. Spij, jedz i pij, a o resztę niech się troszczy Joe. A czemu by nie? Joe wszystko załatwi. Zawsze załatwiał i zawsze załatwi. Tutaj, w Kalifornii, tak samo jak przedtem w Nowym Jorku. Zawsze będzie tak samo. Joe Crail jest energią, mózgiem, szefem. Jego brat właśnie ma wyruszyć w drogę statkiem, i to tylko dlatego, że Joe przyrzekł to Staremu przed jego śmiercią.

Fil miał wyruszyć tego wieczoru. Siedział na pluszowej poduszce kanapki w salonie statku rzecznego „Złote Miasto", należącego do Towarzystwa Żeglugowego Crailów, ale nigdzie nie płynął. Niespokojne wody zatoki San Francisco kołysały statkiem, który nie ruszał w drogę. Za kolorowymi szybami salonu znajdował się hangar przystani, w której statek był przycumowany, a dalej pięło się na piaszczyste wzgórze hałaśliwe miasto, którego odgłosy o tej porze brzmiały jak ochrypły szept.

Na środku salonu, przy stole, w przyćmionym od dymu papierosów świetle mosiężnej, lśniącej lampy wiszącej u sufitu, grano w karty. Grano w napięciu, i to już od wielu godzin. Wszyscy byli przejęci — ale nie brat Fila Craila. Joe nie wiedział, co znaczy być przejętym. A skądże? Nie miał zasad, a sztuką, którą posiadł w najwyższym stopniu, był hazard — we wszystkim.

Dziewczyna siedząca na kanapce obok Fila poruszyła się. Doleciał go zapach jej wody kolońskiej, świeży, odurzający jak zapach wiatru w zatoce, kiedy zmieszany z zapachami ładunku umieszczonego na pokładzie dziobowym wedrze się do sterówki statku kierującego się ku Sacramento w słoneczny poranek.

Podniecający zapach. Fil z wysiłkiem uświadomił sobie, że to dziewczyna brata.

— Jak długo może to jeszcze potrwać? — zapytała spokojnie.

Przypatrywał się przez chwilę grze pod chybotliwą lampą. Joe, chłodny i trzeźwy, grał, jak na początku, z nieustępliwą zaborczością, którą przejawiał zawsze, gdy mu na czymś zależało. Żetony przed nim spiętrzyły się w wysoki, starannie formowany stosik. Steve Roarke i Amos Dann, również właściciele statku i zawzięci rywale Towarzystwa Żeglugowego Crailów, siedzieli w milczeniu, jak skamieniali. Fil spostrzegł, choć bez specjalnego zainteresowania, że są zrozpaczeni. Mogło mu to dać satysfakcję, ale jej nie odczuł.

— Godzinę — odpowiedział dziewczynie. — Może dwie. Rozkręcili się.

— Jestem zmęczona — rzekła. — Odprowadzisz mnie do domu?

Fil spojrzał na nią i uśmiechnął się. Rzucił znów wzrokiem na Joego, całkiem pochłoniętego grą. Przyszło mu do głowy, że go nienawidzi, i począł rozgryzać tę myśl. Jej smak powiedział mu, że zawsze nienawidził swego brata. Ojciec umierając pozostawił trochę pieniędzy im obu. Joe nigdy nie zapytał brata, co chciałby z nimi zrobić. Postawił mu flachę, zabrał pieniądze i zawarł kontrakt na budowę „Złotego Miasta" w stoczni East River. Pieniędzy było za mało i Joe wiedział o tym. Kiedy w dniu wodowania zjawili się wierzyciele z wekslami i wysłali na pokład ludzi szeryfa, Joe im również postawił flachę. Zawsze umiał mówić przekonywająco i teraz udało mu się ich skłonić, żeby pozwolili na wodowanie. Kotły były pod parą, żeby mogli szybko popłynąć do basenu wyposażeniowego stoczni. Nie mówił nic o skrzyniach zapasów pod pokładem ani o ukrywającej się załodze kadrowej. Nie mówił nic o tym bratu. Kiedy statek znalazł się na wodzie, Joe skręcił na prąd i skierował go na pełne morze. Ludzi szeryfa wsadził do łódki, kiedy byli na płytkiej wodzie, i powiedział, by płynęli do brzegu lub do diabła, bo jemu to wszystko jedno. Poprowadził „Złote Miasto" wzdłuż wybrzeży Jersey ku Ameryce Południowej, przylądkowi Horn i Kalifornii.

Dziewięć tysięcy mil na pełnym morzu, zabieranie ładunku i pasażerów po drodze do kopalń Sacramento — to była najradośniejsza nowina w skołatanym świecie. W każdym porcie tłoczyli się ludzie, szaleńczo pragnąc dostać się na pokład. A płynąc przez te dziewięć tysięcy mil Fil nie musiał robić nic, tylko podziwiał odwagę i przebiegłość brata, oraz pokaźne nagromadzenie bogactw, jakie przywieźli do Złotych Wrót. A po przyjeździe również nie miał nic do roboty, mógł tylko patrzeć, jak Joe nie przerywając swego galopu przez życie rzuca się z całą zaciętością i brawurą w wir zażartej walki, toczącej się w wyścigu do Sacramento, i nie dba wcale, czy tego właśnie pragnie jego brat.

A więc była to dziewczyna Joego i chciała wracać do domu. Miał ochotę ją odprowadzić, ale nie był głupcem. Wstał z kanapki i tylko trochę zataczając się podszedł do stołu pod lampą. Właśnie Amos Dann rozdawał karty, a Joe odpoczywał czekając. Podniósł głowę i lekko zniecierpliwiony zmarszczył brwi.

— Ona chce już wracać — rzekł Fil.

— Kto? — spytał Joe. — Marianna?

To jej imię, przypomniał sobie Fil. Skinął głową.

— Odprowadź ją — polecił mu Joe biorąc karty. — Ona ci powie dokąd.

A więc Joe nie ma nic przeciwko temu i on nie ma nic przeciwko temu. Ostrożnie wrócił na miejsce.

— Joe się zgadza — oznajmił dziewczynie.

Wzięła swój szal i spojrzała na niego.

— Czy jest coś, o co nie musisz go pytać? — rzekła.

Głos miała niski, ochrypły. Fil niezręcznie pochwycił szal i pomógł jej zarzucić go na ramiona. Jego spojrzenie ześliznęło się po białej granicy dekoltu, darząc jej miękkie, skryte w cieniu ciało pieszczotą, której nie mogła odczuć. Ujął ją pod ramię.

Statek leżał za nimi ciemny, tylko w salonie paliło się światło. Toczyła się walka o opłaty. Ceny za przejazd z San Francisco do Sacramento obniżono do dziesięciu centów od pasażera. Eksploatacja statku rzecznego przy takiej rywalizacji nie dawała zysków, a że Joe Crail nie robił nic bez zysku, „Złote Miasto" stało w przystani. Gra w karty to był sposób Joego na to, aby ruch na rzece znów dawał dochody. Główni rywale zostali zapędzeni do gry w karty, której stawką był handel na rzece i ich statki. Jutro Joe wynajmie załogę. Jutro roześle gońców do hoteli, barów i tanich domów noclegowych, wszędzie tam, gdzie ludzie czekają na to, by się dostać w górę rzeki, i przybędą tu tłumnie, przepychając się przez grupy robotników portowych. Ale dzisiaj pochłania go hazard, więc statek i doki są ciemne.

Przy końcu mola Fil gwizdnął na przejeżdżającą dorożkę. Pomógł wsiąść dziewczynie i sam wskoczył na nią. Kiedy już się ulokowali, zaczerpnął tchu, co zaniepokoiło dziewczynę. Obróciła głowę i pochyliła się ku niemu pytająco. Ma na imię Marianna i jest dziewczyną Joego, przypomniał sobie Fil. Szal zsunął jej się z ramion. Naciągnęła go z powrotem i powiedziała spokojnie:

— Myślałam, że jesteś tchórzem.

— Jestem — odrzekł Fil.

— Nie oszukujesz w kartach. Odprowadzasz do domu dziewczynę, kiedy jest zmęczona.

Szlachetność postępowania. Fil uśmiechnął się krzywo. Nie leżało to w charakterze żadnego z Crailów. W przeciwnym razie oddaliby ten statek ludziom szeryfa w nowojorskim porcie. Zagrałby wówczas z Joem w otwarte karty. I nie dalej jak wczoraj powiedziałby mu, że na towarzystwie żeglugowym ciążą pewne zobowiązania wobec tych, których przewozi, i że bywają lepsze sposoby pokonywania przeciwników niż oszukiwanie w kartach. „Złote Miasto" płynęłoby do Sacramento dzisiejszej nocy, a nie stało w porcie…

Znacznie później w nocy Fil znalazł się z powrotem na molo. Wysiadł ostrożnie z dorożki, zapłacił i z wielkim wysiłkiem starał się zachowywać równowagę schodząc trapem „Złotego Miasta". Widział światło wciąż palące się w salonie statku i chciał przeprowadzić z bratem rozmowę. Wydawało mu się absolutnie jasne, że przyczyną nieporozumień między nimi było przede wszystkim to, że nie próbował nigdy pomówić z Joem. A teraz jest o czym mówić. Przede wszystkim ta dziewczyna, Marianna. A potem cała reszta. Wyciągną wszystko, jeśli zajdzie potrzeba. Wezmą się nawet za bary, ale wyjaśnią sytuację. On także chce kierować Towarzystwem Żeglugowym Crailów. A Joe musi się z tym pogodzić, nawet jeśli mu się to nie spodoba.

Duży, wystawny salon przesycony był kwaskowym zapachem zastarzałego dymu papierosowego i woni nikłego płomyka lampy wiszącej. Fila ścisnęło w dołku i pomyślał, że powinien był tu przyjść z jaśniejszą głową, ale właśnie teraz była odpowiednia chwila, póki miał żywo w

pamięci dziewczynę. Nie kłamał jej mówiąc, że jest tchórzem. Zwłaszcza gdy chodziło o Joego. Może jutro nie będzie tak zdecydowany.

W salonie nie było nikogo prócz Joego, który spał, złożywszy głowę na sukiennym nakryciu stołu, na rozrzuconych kartach, żetonach i zaśmieconych popielniczkach. Fil zamknął drzwi i podszedł do stołu. Panowała taka cisza, że słyszał, jak fale biją w kadłub statku. Żałował, że Joe śpi. On nie lubi, żeby go budzić, więc jeszcze trudniej przyjdzie go nakłonić do słuchania, ale musi go obudzić. Fil delikatnie trącił śpiącego w ramię.

W pierwszej chwili wydało mu się, że Joe drgnął. Potem zrozumiał, że on się nie rusza, że się zsuwa. Ciało Joego ześliznęło się z krzesła i runęło bezwładnie na dywan. Wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma Fil dostrzegł, że brat jego nie ma twarzy, że pada na ciemną plamę na dywanie. Fil złapał się za oparcie krzesła i przewiesił przez nie, zdecydowany umrzeć tak szybko, jak musiał umrzeć Joe. Zrobiło mu się niedobrze. Kiedy się wyprostował, spostrzegł ciężki rewolwer koło nogi stołu. Podniósł go. Poczuł zapach spalonego prochu. Domyślił się, że musiano strzelić do Joego z bardzo bliska.

Nie było nikogo na statku. Nie było nikogo na ciemnym nabrzeżu. Światło paliło się w budce strażnika na drugim molo. Fil szedł tam zataczając się, przed budką znowu zatrzymał się i zwymiotował. Ze zwichrzonymi włosami, ledwo łapiąc oddech i trzymając przez zapomnienie ciężki rewolwer w ręku, wpadł na sennego strażnika.

— Mój brat! — wydarło mu się z gardła. — Mój brat… zamordowali go!

Reszta nocy była dla Fila Craila kalejdoskopem nierealnych wrażeń. Popychano go, znieważano fizycznie, nie słuchano, nie rozumiano. W pewnej chwili, gdy w otoczeniu policji przechodził koło lustra, doznał wstrząsu ujrzawszy własne odbicie. Nazywali go mordercą i wyglądał na mordercę. Szaleniec ze zmierzwionymi włosami, w pomiętym ubraniu, śmierdzący skwaśniałą whisky i wykrzykujący coś bez związku! Przed świtem pozostawili go samego i zasnął, zwaliwszy się na pryczę w swej celi, jak gdyby zagasł w nim płomień życia.

W jakiś czas po śniadaniu na korytarzu przed celą pojawili się kapitanowie Amos Dann i Steve Roarke. Byli uczesani i ogoleni. Mieli na sobie porządne, świeżo odprasowane garnitury. Wyglądali jak ogólnie szanowani biznesmeni. Nikt nie zwracał uwagi na siateczkę czerwonych żyłek w ich oczach ani nerwowe drgnienia przy nagłym hałasie. Ludzie rzeki byli pijusami, lecz od San Francisco aż do kopalni złota wiedzieli wszyscy, że nawet największy pijus spośród nich przeprowadzi statek przez najciaśniejsze przejścia mając w sobie tyle wódki, że każdy szczur lądowy zwaliłby się już dawno z nóg.

Kapitan Dann i kapitan Roarke rzucili mu zimne spojrzenia przez kraty i pokiwali głowami z pełnym godności ubolewaniem.

— Młody Crail, no tak — wyrzekł smutnym głosem Amos Dann.

— Prawie tak spity jak wczorajszej nocy. Kapitan Roarke i ja daliśmy się Joemu Crailowi na rzece we znaki, to prawda. Ale jak to się mówi, po

skończonej wachcie byliśmy przyjaciele, dobrzy przyjaciele, rozumiecie. Tak było wczorajszej nocy. Koleżeńska gra. Ograliśmy Joego. Wcześnie przerwał grę, bo widział, że się zapędził. Ale nie chował urazy. Joe już taki był. Braciszek gdzieś wtedy odszedł z jakąś panią. Miał zaraz wrócić. Widać bardziej wziął te straty do serca niż Joe.

Kapitan Dann potępiająco pokręcił głową. Steve Roarke wykrzywił swą czerwoną, posiniaczoną i podobną do chimery twarz w grymasie odrazy.

— To Kain, na Boga! — zawołał.

Fil w otępieniu słuchał, jak rozmawiali obojętnie w tym źle oświetlonym korytarzu. Słyszał nawet to, czego nie mówili. Wypłatali ostatecznie dobrego figla Joemu Crailowi. Chciał skwitować rywalizację z nimi biegłością w grze w karty. Przelicytowali go. Zakończyli rywalizację z nim za pomocą broni, a na dodatek wrobili w to jego brata. Zlikwidowali w ten sposób Towarzystwo Żeglugowe Crailów; „Złote Miasto" przejmą nowi właściciele. Wojna o ceny skończyła się i prędzej w piekle będzie mroźna zima, niż kto popłynie za dziesięć centów do kopalni złota.

Fil słuchał, ale bez żadnej wewnętrznej reakcji. Dann i Roarke odeszli, rozprawiając o tym, ile złego wyrządza trunek ludziom słabym, którzy nie umieją nad sobą zapanować. Po chwili Fil usłyszał jakieś inne kroki na korytarzu i dobiegł go głos zbliżającego się mężczyzny:

— Przykro mi, że przyprowadzam panią tutaj, panno Pope, ale ponieważ była pani wczoraj w jego towarzystwie...

Kobieta, która zatrzymała się przed celą Fila, miała gęstą woalkę na twarzy, lecz mimo to poznał ją od razu. Wstał wyczekujący, z nadzieją w sercu.

— Tak — powiedziała Marianna spoza woalki. — To Fil Crail.

— On był z panią od opuszczenia przez was oboje „Złotego Miasta" prawie do momentu wykrycia morderstwa?

— Wyszedł ode mnie koło drugiej.

— Czy wrócił na statek i zamordował swego brata, panno Pope?

— Nie wiem.

— Ale czy, zdaniem pani, to możliwe?

— Tak, to możliwe.

— Dziękuję, panno Pope. Jeżeli skieruje się pani tędy...

Stukot obcasów Marianny coraz bardziej się oddalał, aż powróciła cisza. Fil znowu usiadł na swojej pryczy. Przez chwilę odczuwał pustkę. Kompletną pustkę. Potem zjawiła się odpowiedź. Początkowo była niejasna i słaba. Był to gniew, który narastał stopniowo i nieustannie, jak ciśnienie w bulierze z zamkniętym bezpiecznikiem. Rósł wciąż, wstrząsając nim gwałtownie, aż stał się czymś najpotężniejszym, czego Fil doznał w życiu. A wtedy wybuchnął.

Cały budynek rozbrzmiał jego wściekłością. Inni więźniowie skowyczeli, protestując przeciw temu wrzaskowi, ale uciszyła ich gryząca gorycz jego krzyku. Wiedział, że tak wyją szaleńcy, ale to tkwiło w nim i musiało znaleźć ujście. Po chwili uświadomił sobie jakoś dziwnie obojętnie, że Joe Crail nie był jedynym człowiekiem na pokładzie „Złotego Miasta" odznaczającym się wrodzonym bogactwem inwektyw i zdumiewającą zdolnością wyrażania uczucia gniewu; jaka cechuje ludzi rzeki. W jego

własnych uszach jego własny głos brzmiał jak głos kogoś obcego, bo w jego wściekłości była wielkość i majestat. Pomyślał, że policja San Francisco zamknęła człowieka, który może stać się bardzo niebezpieczny w owym nieubłaganym gniewie i głębokim poczuciu krzywdy. Wybuch wkrótce sam się wyczerpał i Fil opadł bez sił na pryczę. Na tle kraty drzwi celi pojawił się smukły mężczyzna z głową lwa, łagodną twarzą i bystrymi, badawczymi oczyma.

— Wyrzuciłeś już wszystko z siebie? — zapytał.

Fil spostrzegł, że przybysz trzyma teczkę pod pachą. Jeszcze jeden urzędnik, pomyślał, i zmęczony skinął głową, niejako broniąc się przed nim.

— W porządku! — odparł tamten i zaczął walić w kratę. Korytarzem nadbiegł strażnik.

— Proszę mnie wpuścić do celi pana Craila — Rozkazał człowiek z teczką.

Strażnik zawahał się.

— Nie wiem, panie Levy. To morderca.

— To obywatel, któremu przysługują pełne prawa.

— To pana klient?

— Od teraz.

Strażnik niechętnie przekręcił, klucz w zamku i otworzył drzwi. Człowiek z teczką wszedł do środka. Drzwi celi zamknęły się za nim z hukiem i strażnik się oddalił. Człowiek z teczką usiadł na krawędzi pryczy Fila.

— Saul Levy — przedstawił się żywo. — Człowiek zbierający pokłosie rynsztoków tego pięknego miasta i, mówiąc z całą skromnością, najlepszy adwokat, jakiego można dostać za pieniądze w Kalifornii. Pan ma trochę pieniędzy, panie Crail.

Fil skinął machinalnie głową.

— Tak myślę. Powinno być kilka setek w sejfie na pokładzie „Złotego Miasta”.

— Pan wie, jak się sejf otwiera?

Fil znowu skinął głową. Saul Levy oparł się wygodnie o kamienną ścianę.

— Z pewnym zainteresowaniem wysłuchałem pańskiego apelu do szerokiej publiczności, który pan przed chwilą zakończył. Był natchniony, choć nie całkiem zrozumiały. Ale możemy zrobić coś lepszego, panie Crail. I musimy to zrobić, bo inaczej powieszą pana bardzo wysoko.

Fil spojrzał na adwokata spode łba.

— No tak — rzekł. — To ogólne przekonanie. Amos Dann i Steve Roarke dobrze to obmyślili.

— Niewątpliwie, ale trudno tego dowieść — przytaknął Levy. — W normalnych warunkach nie uważałbym, żeby pan czy pana sprawa warte były zachodu. Ale tak się składa, że jestem człowiekiem sentymentalnym, głęboko przywiązanym do tego nierozumnego miasta. Myślę, że te dwie wasze pary, pan ze swoim bratem i Roarke z Dannem, warte są siebie nawzajem. Chciałby pan wiedzieć, dlaczego tak myślę?

— Nie — odparł Fil. — Niech pan wyjdzie. Po prostu niech pan wyjdzie.

— Cierpliwości, Crail. To nie będzie kosztowało ekstra. Transport jest krwiobiegiem handlu, a handel jest pokarmem dla społeczeństwa. Tu oto płynie rzeka, która jest do użytku publicznego, i leżą zgłodniałe dwa nowe miasta, które tylko nieprzerwany ruch na tej rzece może połączyć dla ich wspólnego dobra. Wy, Towarzystwo Żeglugowe Crailów, i Amos Dann ze Stevem Roarkem zechcieliście uczynić wody tej rzeki polem waszej prywatnej walki, nie licząc się z ludźmi zależnymi od waszych statków, którzy chcieliby przenieść się ze swym dobytkiem w poszukiwaniu lepszego losu. Zapewniam pana, że to cięższa zbrodnia niż zamordowanie kogoś, kto na to stokrotnie zasłużył.

— Pan sądzi, że zabiłem mego brata?

— Nie, absolutnie nie. Taki idealny zbieg okoliczności się nie zdarza. To za bardzo jak na zamówienie, żeby właśnie tej nocy, kiedy wasi szlachetni rywale wygrali od pańskiego brata prawa do „Złotego Miasta”… bo pan wie, że oni twierdzą, że te prawa wygrali… to za bardzo jak na, zamówienie, żeby właśnie tej nocy pan wpadł w szał i zabił igo, aby nie mógł zarzucić im kłamstwa. Ale na nieszczęście dla tej drogi do Sacramento nie mogliście wszyscy zginąć w jednej utarczce. Ponieważ pan wyszedł cało, muszę, choć niechętnie, spełnić mój obowiązek i ocalić pana przed szubienicą. Trzeba coś zrobić z Dannem i Roarkem, pan rozumie.

— Rozumiem — ponuro stwierdził Fil Crail.

Saul Levy uśmiechnął się promiennie.

— Pan wspomniał, że orientuje się, jak otworzyć sejf na pańskim statku?

Trochę przed drugą po południu dwóch strażników zatrzymało się przed celą Craila z szorstkim poleceniem, aby umył twarz i włożył kurtkę. Poprowadzili go korytarzem, przez przepierzenie z kraty i małe boczne drzwi do sali sądowej. Przewodniczący sądu był pulchny, elegancki i żwawy. Rzucał spojrzenia na Amosa Danna i Steve’a Roarke, którzy siedzieli przy stole adwokackim przed krzesłem sędziego, pełni poczucia własnej ważności. Saula Levy'ego nie było.

Woźny sądowy zastukał przywołując zebranych do porządku i szybko przebrnął przez formułkę, zapowiadającą otwarcie posiedzenia. Nim skończył, urzędnik sądowy zaczął mówić szybko, chrapliwie:

— To posiedzenie sądowe zostało zwołane na wniosek powodów, aby wydać orzeczenie dotyczące Towarzystwa Żeglugowego Crailów, Fila Craila i spadkobierców zmarłego Joego Craila, wykluczające sprzedaż, dzierżawę, używanie i wszelkie inne czynności wymagające dysponowania prawami lub dochodami należnymi „Złotemu Miastu”, parowcowi znajdującemu się obecnie na wodach należących do tego miasta. Orzeczenie to ma zapewnić powodom czas na przygotowanie procesu sądowego o objęcie w posiadanie wyżej wymienionego statku na podstawie prawnego przekazania dokonanego w stosunku do nich przez wyżej wymienionego nieżyjącego Józefa Craila.

Urzędnik zdjął okulary w metalowych ramkach i postukał nimi W krzesło sędziowskie przed sobą.

— Sąd jest dostatecznie zaznajomiony z dowodami procesowymi przeciw Filowi Crailowi, aby zauważyć, że powyższe przekazanie zostało dokonane na podstawie zakładu w hazardowej grze, jaka rozegrała się między nieżyjącym Joem Crailem a obecnymi tu powodami. Obowiązkiem sądu jest przypomnienie powodom — i wszystkim obecnym — że izolacja Kalifornii i nowość sądownictwa na tym obszarze nie zawiesza działania praw obowiązujących gdzie indziej w Stanach Zjednoczonych. Sąd nie uznaje ważności długu karcianego. Wniosek oddalony.

Urzędnik oparł się w krześle, włożył okulary i spojrzał przez nie na Amosa Danna i Steve'a Roarke. Ten ostatni rzucił przekleństwo, które Fil usłyszał całkiem wyraźnie. Urzędnik natomiast dołożył starań, aby go nie usłyszeć. Obaj kapitanowie podnieśli się i pospiesznie opuścili salę sądową wyprowadzając swego adwokata. Ich nerwowe zachowanie zdradzało gniew. Jeden ze strażników stojących koło Fila dotknął jego ramienia.

— To wszystko. Wracaj do paki.

Fil szedł potulnie, walcząc z niedowierzaniem. Orzeczenie, które przed chwilą usłyszał, daleko odbiegało od ogólnego pojęcia prawa w San Francisco. Wiedziano w całym mieście, że prawo wspiera się na złocie, płynącym z kopalni złota w Sacramento, i że nie istnieje nic, czego by za złoto nie zdołano osiągnąć w obrębie Złotych Wrót. Z pewnością Amos Dann i Steve Roarke próbowali kupić w tej sali sądowej wyrok po swej myśli, ale im się to nie powiodło. Podejrzewał, że Saul Levy, choć nie był obecny na sali, może mieć z tym coś wspólnego.

Fil żywił ciepłe uczucie względem pulchnego urzędnika sądowego, który osłonił go dostojeństwem swego urzędu i trzymał się tego, co uznał za sprawiedliwe, nieczuły na groźby i obietnice łapówki, zawarte wyraźnie we wszystkich krokach prawnych, podejmowanych przez ludzi pokroju Danna i Roarke'a.

To ciepłe uczucie przetrwało w nim całe popołudnie. W porze kolacji wózek z posiłkiem minął drzwi jego celi. Fil walił w drzwi na znak protestu, ale nie zwracano na niego uwagi. W chwilę później główny dozorca nadszedł korytarzem pobrzękując kluczami, przekręcił klucz w zamku jego drzwi i otworzył je szeroko. Fil niepewnie włożył swą opiętą kurtę i wyszedł na korytarz. Czekał tam na niego Saul Levy. Rzucił mu jakąś paczkę i wskazał na zacienioną niszę.

— Przyniosłem panu ubranie ze „Złotego Miasta” — powiedział i zachichotał widząc zdumienie Fila. — O tempora, o mores! Miasto nad Złotymi Wrotami, gdzie nawet adwokaci są magikami! Jest pan wolny, panie Crail, i ja funduję obiad.

Jedli obiad w „Empire”, lokalu tylko dla członków klubu, dla przedstawicieli wolnych zawodów miasta. Mówiono, że jest tam najlepszy kucharz w całym San Francisco. Podczas obiadu Saul Levy dyskutował filozoficznie o odpowiedzialności zawodowej, o zaletach pewnych lokalnych win, zaczynających wchodzić w modę, i o historycznym znaczeniu odkryć Jamesa Marshalla w młynówce Sutter Sacramento przed

czterema laty. Dopóki nie doszli do koniaku i cygar, ignorował bezładne pytania Fila.

— Myślę, że sędzia Grace rzeczywiście złożył dzisiejszego popołudnia klasyczny dowód, że kieruje się pobudkami czysto prawnymi wydając orzeczenie w sprawie Steve'a Roarke i kapitana Danna — rzekł w końcu.

Fil wyczuł w tych słowach ironię i czekał w napięciu.

— To było o drugiej — ciągnął prawnik. — O czwartej zacny sędzia i ja byliśmy w barze „Pałac". Wychylając kielichy na cześć pewnej ślepej bogini i jej niezmiennej Wagi. O szóstej rozpatrywał oskarżenie o morderstwo skierowane przeciwko panu, gruntownie zdyskwalifikował samego siebie twierdząc; że osobiście jest przekonany o pańskiej niewinności, i stworzył brzydki precedens na przyszłość w San Francisco, stwierdzając, że dowody są niewystarczające na to, by pana dłużej trzymać. Sądzę, że towarzyszyły temu mocne ostrzeżenia skierowane do pewnych niewymienionych z nazwiska elementów z wybrzeża, aby nie ponawiały prób zastraszenia i przekupstwa, w każdym razie tak mi mówiono. Więc jesteś wolnym człowiekiem, mój przyjacielu, chyba że następny sąd przysięgłych uzna za stosowne skazać pana, a to w mniejszym lub większym stopniu zależeć będzie od tego, co pan będzie robił do czasu, kiedy zbierze się następny sąd.

Levy wziął do ręki czysty widelec i zaczął kreślić jego ciężką rączką cyfry na obrusie przed sobą. Fil odkrył, że sztućce w „Empire", mimo pięknego wyglądu, nie są ze srebra. Lśniący metal pozostawiał na obrusie smugę nieszlachetnego metalu podobną do kreski zrobionej ołówkiem.

— Ale mój brat został zamordowany — rzekł.

Adwokat znów uśmiechnął się do niego kwaśno, niewesoło.

— W każdym razie pan nie będzie za to wisiał. W sejfie na „Złotym Mieście" było siedemset dwadzieścia dolarów — powiedział Kreśląc tę liczbę na obrusie. — Wydałem dwadzieścia siedem dolarów na picie z sędzią Grace w barze „Pałac". Mam wrażenie, że upuściłem tam trzysta dolarów, i obawiam się, że on je podniósł. A myślą, że moje usługi warte są nie mniej niż usługi naszego sędziego. To czyni sześćset dwadzieścia siedem dolarów. Reszta dla pana, Crail, dziewięćdziesiąt trzy dolary.

Levy położył kopertę na stole koło Fila. Ten spojrzał na nią, ale jej nie dotknął.

— Nie zajdę z tym daleko — rzekł.

Levy wzruszył ramionami.

— Przynajmniej do Monterrey. Może do Los Angeles, jeśli pan złapie statek. Trzeba być rozsądnym, Crail. Powstrzymaliśmy ich dzisiaj, ale oni zdobędą pański statek, prędzej czy później. O to im chodzi. Tak jak pański brat, chcą opanować szlak do Sacramento. A jak dotąd najłatwiejszym sposobem jest uderzenie w pana.

Była to zdrowa, rozumna rada. Może nie dla człowieka takiego jak Joe. Ale Joe nie żył. Fil wiedział, co powinien robić, ale potrząsnął głową.

— Chcę by znowu „Złote Miasto" ruszyło na rzekę, panie Levy — oświadczył spokojnie. — Ktoś musi zapłacić za śmierć Joego Craila.

Saul Levy smutnie pokręcił głową. Położył na stole widelec i skrzyżował ręce na skreślonych na obrusie cyfrach.

— Sentymenty — powiedział. — Chce pan, aby pański statek kursował znów na drodze do Sacramento. Zamierza pan wynająć załogę i robotników portowych i gońców. Zamierza pan ogłaszać się w gazetach. Zamierza pan stawiać opór dwóm pozbawionym zasad wilkom morskim - i to wszystko mając całego kapitału dziewięćdziesiąt trzy dolary — stuknął palcem w kopertę leżącą u łokcia Fila.

Umilkł, chcąc by jego sarkazm i pogarda dotarły do Fila. Joe nieraz postępował podobnie, szyderczy i bezwzględny w swej wyższości. Ale ten Saul Levy to nie Joe Crail. Nie przypomina go pod żadnym względem. Fil poczuł znów w piersiach zarzewie tej pasji, która go ogarnęła w celi, gdy dziewczyna Joego odeszła, udając że ona także wierzy w słuszność oskarżenia. Pochylił się gniewnie naprzód, ale Saúl Levy podniósł rękę upominającym gestem.

— Dobrze, dobrze — powiedział. — Ten pański wybuch w więzieniu zrobił na mnie wrażenie. Ale to wystarczy. Jak panu powiedziałem, nie miało to wiele sensu, tylko że przynajmniej była w tym siła. A siła to coś, co dziś przemawia najgłośniej w Kalifornii. Grzmoty, błyskawice, stal, miecz! Są między nami skromni ludzie, ale jeszcze nie nadszedł czas na pióro i zasady… — Przerwał i prawie bezgłośnie zachichotał. — Ja nie umiem tak wpadać w furię, Crail. Nie umiem robić takiego hałasu. Uciekam zarówno od hałasu, jak gwałtowności. Ale mam ważki powód, by poprzeć pana sprawę, jakkolwiek marne są perspektywy. Niech pan otworzy tę kopertę.

Fil rozłamał pieczęć. Machinalnie przetasował palcami paczkę banknotów. Około trzech tysięcy, ocenił.

— Dwa tysiące sto — wyjaśnił Saul Levy. — Wszystko, co mam przy sobie. Nawet wysoko ceniony adwokat nie zarabia wiele w tym mieście. Ale to powinno mi dać około pięciu procent wartości Towarzystwa Żeglugowego Crailów. To za mało. Wiem. Jest jednak pewna kobieta, tam na tej górze, która odziedziczyła kilka stateczków i pokaźną ilość gotówki. Czasem do kobiety przemawia siła.

— Gdzie mam jej szukać? — spytał Fil.

— Hotel „Palmetto” na ulicy R. — odparł prawnik. — Nazywa się Marianna Pope.

„Kabestan” była to pełna dymu i przeciągów budowla z desek i listew, ustawiona na palowaniu nad mielizną, do której docierał przypływ za embarcadero. W barze „Kabestan” podawano whisky z beczek skradzionych przez marynarzy z ładunków przypływających statków. Dlatego też sprzedawano tu najtańszą whisky w zatoce i często najlepszą. Była to znana powszechnie główna kwatera marynarzy poszukujących miejsca na statku lub łatwego sposobu wzbogacenia się. Kiedy Fil Crail przepchał się przez chwiejny wąski pomost i wszedł do środka, pełno tam było mężczyzn w wełnianych ubraniach, których silny zapach przesycał pomieszczenie. Fil znalazł miejsce przy barze i zamówił whisky, a kiedy ją przed nim postawiono, rozmyślnie walnął butelką w krawędź kontuaru. Brzęk rozbijanego szkła, ostry zapach mocnego alkoholu i gryząca powódź

płynąca po kontuarze uciszyła wszystkich. Stojący koło Fila mężczyzna obrócił się ku niemu gwałtownie.

— Próbujesz? — warknął wyzywająco. — Szukasz zwady?

Fil upuścił szyjkę butelki na ladę i potrząsnął głową.

— Nie z tobą, przyjacielu! — rzekł z pogardą. — Gdyby tak było, leżałbyś na podłodze. Szukam pary najtwardszych pięści w San Francisco.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Spojrzenia ich spoczęły na Filu. Twarde, taksujące, rozbawione spojrzenia. Joe ważył o dwadzieścia funtów więcej od niego, a twarz miał obrzękłą od wódki. A potem większość zebranych zwróciła się ku mężczyźnie stojącemu przy barze. Musiał pochodzić ze Skandynawii. Chyba był Finem. Niespecjalnie duży, ale twardy jak stal. Kwadratowa prostacka twarz o przyjemnym wyrazie. Oczy rozstawione szeroko, spokojne, choć pełne zuchwałych błysków. Widać było, że to marynarz, ale gdy nieśpiesznie zbliżał, się do baru, nie kołysał się na szeroko rozstawionych nogach, jak marynarze na pokładzie morskich statków. Miał zręczne ruchy i zrównoważoną postawę ciała. Stanął przed Filem i zmierzył go rzeczowym spojrzeniem.

— Jestem Knud Helstrom — powiedział, jak gdyby to tłumaczyło wiele. Fil odwzajemnił mu się spojrzeniem pełnym spokoju, którego nie czuł.

— Sprawne masz ręce, co? — rzekł. — Zobaczymy, czy dość sprawne…

Fil zrzucił marynarkę i zawinął mankiety koszuli. W barze zapanowała atmosfera napięcia, zaciekawienia i oczekiwania. Fil zdawał sobie z tego sprawę i wiedział w co się wplątuje, ale również przeżył dziwne oczekiwanie. Puls bił mu szybko i mięśnie miał napięte jak postronki. Krew w nim kipiała. Dotychczas sądził, że tego rodzaju wzruszenia już w dzieciństwie zdławił w nim Joe. Ojciec i Joe. Byli to ludzie z żelaza. No cóż, teraz on potrzebuje mężczyzny z żelaza i jeden tylko jest sposób, by wypróbować wartość drugiego człowieka.

Helstrom zbliżył się niespiesznie i Fil zwrócił się ku niemu. Zdążył przypomnieć sobie tylko jedno, coś co ojciec powiedział jemu i Joemu, kiedy pierwszy raz wzięli się za łby: uderz pierwszy i nie przestawaj atakować. Podniósł gwałtownie jedno kolano - ale zbyt wysoko. Trafiło Fina w brzuch. Helstrom stęknął i stanął przez chwilę na palcach. Kiedy się chwiał, Fil się zamachnął. W tym porywczym ruchu wyzwolił z siebie całą gorycz i tłumiony gniew. Niezręczne na pozór uderzenie wylądowało z dużą siłą na szczęce przeciwnika, aż zachwiał się gwałtownie do tyłu, potknął i runął na ziemię. Na wpół siedząc potrząsnął głową, jak gdyby w zdziwieniu, i nagle zerwał się na nogi.

Pokój eksplodował przed Filem. Kontuar uderzył go w plecy. Jakaś ręka złapała za kołnierz jego koszuli. Pod dłońmi i kolanami czuł podłogę. Dźwignął się. Widział Helstroma przez wiszącą mgłę i znowu się zamachnął. Czuł, że cios był mocny. Znów pokój wybuchnął, znowu podłoga. Nogi pracują dobrze, dźwigają go. Zamierzył się, nie trafił, odciągnięto go w krąg patrzących, ktoś go chwycił za ramię.

— Daj spokój! — syknął jakiś głos. — Chcesz, żeby cię zabił?

Wyrwał się, skoczył do przodu, próbując znów podnieść na wpół bezwładne kolano; otrzymał w zamian dobrze wymierzony cios, który go rzucił na podłogę aż pod bar. Podłoga wirowała mu przed oczyma jak

pokład statku w czasie sztormu. Jakoś zdołał wstać, runął na Helstroma, przewrócił go i upadł na niego. Wyrżnął na oślep pięścią w twarz. Chwycił garść kędzierzawych włosów i próbował wlec go za głowę po podłodze. Wcisnął łokieć pod ciężko wznoszące się i opadające żebra i chciał znowu uderzyć kolanem, gdy turlali się po zakurzonych deskach podłogi. Ale to trwało zaledwie kilka sekund, Helstrom wyrwał rękę i gdy Fil próbował się uwolnić i podnieść, grzmotnął go potężnie pod samo ucho.

Siła woli opuściła Fila. Rozdygotane muskuły nie chciały go słuchać. Leżał z jednym policzkiem przyciśniętym do podłogi. Mężczyźni chwycili go i postawili na nogi opierając o kontuar. Ściany przestały wirować. Orientował się, że Helstrom stoi przed nim, choć widział tylko jakąś zamazaną sylwetkę. Starał się wyprostować.

— Sprawne masz ręce — wyjąkał. — Teraz pokaż swoje papiery. Wciśnięto mu w dłoń jakiś dokument, ale nie mógł nic przeczytać.

— Kapitan parowców i żaglowców.

— Wystarczy — rzeki Fil. — Angażuję pana, kapitanie.

— Pan jest bratem Joego Craila, prawda? — spytał Helstrom. — Znaczy, że „Złote Miasto".

— Wymień pan swą cenę i dostaniesz, jeżeli zapracujesz — rzekł Fil. — „Złote Miasto" stoi przy nabrzeżu. Niech pan wprowadzi na pokład załogę, kapitanie. Niech pan podnosi parę. Wyruszamy do Sacramento.

— Przeciw Amosowi Dannowi i Wielkiemu Redowi Roarke?

— Przeciw wszystkim na rzece, jeśli będzie trzeba.

Odzyskując zdolność widzenia, Fil spostrzegł, że Helstrom patrzy na niego ze zdziwieniem.

— Sam nie wiem, panie Crail — rzekł. — Nigdy przedtem nie musiałem walczyć z właścicielem statku, żeby zdobyć koję.

— Przed nami walka — odpowiedział Fil. — Chciałem, żeby pan wiedział, jaka.

— Nie ma nic milszego dla wodniaka, jak wiadomo. Myślę, że nie sprawimy im zawodu. Pan weźmie ładunek do Sacramento, a ja będę się starał doprowadzić tam statek.

Chłopak hotelowy, którego Crail posłał do „Palmetto" do Marianny Pope, powrócił z wiadomością, że Marianna go oczekuje. Sztywno wspinał się po schodach, zastanawiając się, jak zareaguje na widok jego posiniaczonej twarzy. Odbił ją, jak w tańcu. Dziewczyna chętna, ale bez nerwu do walki. Joe zaniedbał ją dla kart tej nocy, kiedy go zabito. Więc poprosiła Fila, żeby ją odprowadził do domu. Następnego rana, kiedy uświadomiła sobie, że otarła się o morderstwo, zlękła się. To nie ma znaczenia. Nawet najgorszy z Crailów jest dla niej za dobry.

Zastukał i Marianna otworzyła drzwi. Zmierzyła go zimnym, badawczym spojrzeniem, pochyliła się ku jego napuchniętej twarzy.

— Widzę, że cię puścili. Czy nie umiesz nic robić bez gwałtu?

— W Kalifornii? A kto to potrafi? Czy nadal uważasz, że zabiłem mego brata?

— Mnie nie zdoła przekupić adwokat bez zasad, Filipie. Nie dam się zastraszyć. A owej nocy widziałam, jak bardzo go nienawidzisz. Odprowadziłeś mnie do domu, ponieważ po męsku sądząc - uznałeś, że jestem dziewczyną Joego. Nie rozumiem. Ktoś zabił Joego Craila.

— Amos Dann i Red Steeve Roarke.

— Nie. Oni już dostali to, czego chcieli, prawdopodobnie zanim wyszliśmy. Kiedy dowiedziałeś się, że straciłeś statek, ciebie ogarnął gniew, a nie ludzi, którzy go wygrali. Zastanów się, nie przyszedłeś tutaj, żeby cię sądzono.

— Nie. Przyszedłem tu dlatego, że byłem zmuszony. Chcę mieć prawny tytuł do trzech małych stateczków, które odziedziczyłaś, i pożyczkę na Towarzystwo Żeglugowe Crailów.

— Nic więcej?

— Nie — skłamał. — Chcę oczyścić szlak do Sacramento i doprowadzić do szubienicy morderców mego brata. Bardzo potrzebuję pomocy.

Marianna Pope wstała i zbliżyła się do drzwi.

— Nie uzyskasz jej ode mnie. Dziś po południu oddałam statki mego ojca w dzierżawę kapitanowi Roarke i przyrzekłam mu pożyczkę, kiedy on i kapitan Dann namówią cię na sprzedaż „Złotego Miasta". Nie podobały mi się nigdy metody Joego Craila, Filipie. Jeszcze mniej podobają mi się twoje.

— W porządku — powiedział spokojnie Fil. — Następnym razem nie będę prosił o to, czego chcę. Sam sobie wezmę!

— Spróbuj — powiedziała Marianna i otworzyła drzwi.

— Dobranoc.

Z dwu bliźniaczych kominów „Złotego Miasta" buchał dym. W przystani był ruch, z kilku platform zdejmowano ładunek, ludzie ruszali się żywo. Fil spostrzegł, że kilku z nich ma przy sobie nowiutkie orzechowe drzewca oskardów. Nad kapitanatem portu wisiała flaga, zapowiadając, że po południu odpływa statek do Sacramento. Na ulicy przy kapitanacie zbierali się patrzący spode łba mężczyźni. Niektórzy mieli na sobie ślady pobicia. Gdy Fil wyskoczył z dorożki, kilku z nich gniewnie ruszyło ku niemu. Ale gromadka mężczyzn znajdujących się na molo przysunęła się ze swymi oskardami i napastujący wycofali się. Kapitan Helstrom podszedł i powitał właściciela statku.

— Co się dzieje? — spytał Fil.

— Załoga Roarke'a — wyjaśnił Helstrom. — Zjawili się tutaj, kiedy kilku kupców, wysianych przeze mnie do miasta, zdobywało pasażerów i ładunek. — Fin wskazał na oskard leżący na molo. — Słuszną rzeczą jest się trochę zabezpieczyć. Uspokoiło to najemników Steve'a. Jacyś ludzie na pokładzie chcą się z panem widzieć. Paru przysłał Saul Levy. Reszta to moi przyjaciele.

Helstrom prowadził Fila po pokładzie. Grupa ludzi zebranych w salonie stanowiła dziwną mieszaninę strojnych w sukno i bobrowe czapki bogatych obywateli San Francisco i robotników rzecznych w ubraniach z grubej, sfilcowanej wełny. Niektórzy mieli miny niepewne i widać było, że czują się

nieswojo. Nie było wśród nich nikogo, kto chciałby zabrać głos, zagaił więc Knud Helstrom.

— Sprawa tak się przedstawia, panie Crail — zaczął — każdy z tu obecnych reprezentuje statek albo jakieś udziały gdzieś na zatoce czy rzece. Wojna o cenę przewozu, jaką pański brat toczył z Amosem Dannem i Steevem, doprowadziła każdego z nich do bankructwa. Łączy ich jeszcze jedno. Żaden z nich nie chce, żeby Wielki Red i Amos Dann rządzili na szlaku do Sacramento. Mają przecie prawo do życia.

— Czy będą o nie walczyć?

— Przyszli tutaj — rzekł Helstrom.

— Ale najpierw chcą mówić o wysokości opłat — domyślił się Fil.

— Chyba słusznie — zgodził się Helstrom.

— W porządku. Dziesięć dolarów od głowy, godziwa cena przejazdu do Sacramento i sześć dolarów za tonę ładunku?

Wśród ogólnej cicho wyrażonej zgody jeden mężczyzna pokręcił przecząco głową.

— Pracujemy razem, możemy dostać dwakroć tyle, Crail — powiedział. — Ruch ogromny i wodą najlepsza droga do kopalń.

Inni czekali z nadzieją. Fil obrócił się i spojrzał na mówiącego.

— Jak się pan nazywa?

— Ben Stewart. Z „Chippewy".

— Niech pan idzie do Roarkego lub Danna razem ze swoim statkiem — rzekł Fil. — My bierzemy to, co się należy, ale nie więcej. Dobra obsługa za uczciwą zapłatę. Będziemy współzawodniczyć, jeśli oni tego chcą, ale nie będziemy podcinać gałęzi, na której siedzimy. To nie tylko uczciwość w interesach, to zdrowy rozsądek. Mam dosyć wrogów na rzece. A chciałbym mieć kilku przyjaciół — kilka tysięcy.

— Zostaję z panem, Crail — rzekł szybko Ben Stewart. — Mnie także chodziło tylko o uczciwy zarobek. Musimy trzymać się razem. Samemu człowiek nie ma szans. Pan wie o tym. W każdym razie nie wtedy, gdy w grę wchodzą Wielki Red i Amos Dann.

— Nie — rzucił krótko Fil. — Chciałeś pan podnieść stawki teraz i zechcesz je podnieść znowu, jeżeli utrzymamy się na rzece i sytuacja stanie się dla nas łatwiejsza. Nie zgadzamy się, trzeba to rozstrzygnąć teraz. To samo odnosi się do wszystkich.

— Joe Crail na pewno by tak nie załatwiał sprawy.

— Mój brat nie żyje.

— W każdym razie on był prawdziwym marynarzem! — zawołał właściciel „Chippewy".

Rozejrzał się dokoła dając znak innym, by podjęli wyzwanie. Dwaj inni właściciele statków przysunęli się do niego i we trzech opuścili salon. Fil zaprosił pozostałych, aby usiedli przy wielkim stole pod lampą. Knud Helstrom stanął za Filem i pochylił się nad nim szepcząc mu do ucha:

— Bałem się, że więcej stracimy. Nie nalegaj na nich zbytnio, Fil. To porządni faceci, a są w trudnej sytuacji. Ale oni znają marynarzy. Znają Danna i Wielkiego Reda i myślą, że znają ciebie. Dopóki żył Joe Crail, jego brat nie bardzo się liczył. Musisz ich przekonać, że jest inaczej. Nie czekaj na okazję, by móc zarobić więcej niż teraz.

Fil uznał mądrość słów Fina i skinął głową. Położył na stole notatnik i ołówek. Nic nie mówił o Filu Crailu. Wiedział, że to się na nic nie zda. Mówił o rzece, o kopalniach w Sacramento, o samym Sacramento i o San Francisco. Powiedział, że szlak do Sacramento jest w obecnej chwili chyba najważniejszą drogą wodną na świecie i potencjalnie najbardziej zyskowną. Tereny nad górnym biegiem rzek wpadających do zatoki San Francisco to coś więcej niż tylko kopalnie. Świetnie rozwijające się farmy kapitana Suttera w New Helvetia są zapowiedzią tego, co będzie, kiedy wygaśnie gorączka złota. Drzewo budulcowe, bydło, nowe miasta nad brzegami rzek. Ale to wszystko jest uzależnione od pewnego i taniego transportu rzecznego. Monopol i pirackie stawki przewozowe mogą zniszczyć to wszystko, nim się na dobre rozwinie. Jedynym środkiem obronnym jest założenie stowarzyszenia spółdzielczego, które byłoby na tyle silne, że mogłoby usunąć każdego przedsiębiorcę nie szanującego tych zasad.

Słuchali, zgadzając się z nim w ogólnych zarysach, ale każdy z nich zdawał sobie sprawę z tego, że musi ponieść ryzyko, a żaden nie chciał angażować się w otwartą walkę z potężną organizacją, kontrolowaną przez Amosa Danna i Reda Steve'a Roarke. W końcu, za radą Knuda Helstroma, Fil zrozumiał, że może zaproponować najwyżej próbną umowę, sam ponosząc na początek największe ryzyko, a zarazem dając dowód, że można pokonać Roarkego i jego wspólnika i wprowadzić w życie jego własne plany dla dobra wszystkich.

Posłano do miasta po Saula Levy. Adwokat spisał ugodę, tak jak mu podyktowali. Jeżeli należące do Towarzystwa Żeglugowego Crailów „Złote Miasto” odbędzie pomyślnie zaplanowany obecnie rejs w górę rzeki, wbrew przeszkodom, z ładunkiem i ilością pasażerów przynoszącą wystarczający dochód, utworzą spółdzielnię Kalifornijskie Stowarzyszenie Żeglugowe, dzieląc akcje stosownie do wartości ich statków i ilości pieniędzy, jaką każdy włoży. Opłaty nie będą obniżane ani podwyższane. Sprawy dotyczące reklamy, rozkładów jazdy, procedury postępowania roz-strzygane będą z myślą o dobru ogółu. Ruch na rzece odbywać się będzie regularnie i sprawnie.

Wraz z Filem podpis złożyło siedmiu innych właścicieli. Osiem statków współpracować miało zgodnie - po pierwszym rejsie „Złotego Miasta”. Znużony długimi rokowaniami, Fil czuł, że niewiele osiągnął. Levy, który pozostał na statku, wydawał się zadowolony.

— Dlaczego nie miałbym być zadowolony? — rzekł. — Wszyscy mamy swoje słabostki, a musisz przecież przyznać, Fil, że trzeba być bystrym człowiekiem, żeby umieć dostrzec siłę i szlachetność charakteru w strzępach człowieka, oskarżonego o morderstwo. Wydaje mi się, że zasłużę w pełni na fortunę, którą zdobędziesz dla mnie w zamian za mój drobny wkład w Towarzystwo Żeglugowe Crailów. Oczywiście nie zysk jest moim motywem, ale chęć służenia dobrym ludziom naszej krzepkiej i młodej rzeczypospolitej rzecznej. Coś w tym rodzaju, nieprawdaż? Ale najzwyklejszy rozsądek zmusza mnie do przypomnienia ci, że statki rzeczne mają cienkie poszycie. Toną łatwo. A do Sacramento jest wodą sto dwadzieścia pięć mil.

— Płyń zatem z nami — zaproponował złośliwie Fil. — Strzeż swego wkładu.

Saul pokazał zęby w uśmiechu i potrząsnął głową.

— Nie mogę, bez względu na moje osobiste chęci. Czeka mnie wielka przyszłość i ciąży na mnie wielka odpowiedzialność wobec mieszkańców tego pięknego kraju. Nie mogę ryzykować tym, co nie należy do mnie. Ale zapalę w porcie świeczkę w twojej intencji.

— Oczywiście — rzekł bez humoru Fil — ja się też boję.

Levy zatrzymał się u drzwi salonu.

— Wygrałeś pierwszą rundę, jeśli to jest pociecha — oświadczył poważnie. — Dałeś przeciwnikowi cios w bardzo czułe miejsce, werbując Knuda Helstroma, a Steeve Roarke był pierwszy, który to ocenił. Ale pamiętajcie, na rzece nie broni was żadne prawo i gdy odbijecie od molo, nie będę już mógł nic więcej dla was zrobić. W drodze do Sacramento i z powrotem zdani będziecie wraz z załogą na własne siły.

Fil skinął głową i Saul zszedł z trapu. Fil zauważył, że kiedy adwokat znalazł się na molo i czekał na dorożkę, nikt ze stojących po drugiej stronie ulicy ludzi Roarkego nie uczynił żadnego wrogiego gestu w jego stronę. Fil uznał ten fakt za miarę szacunku, jaki Levy zdobył już w mieście. Uderzyło go coś jeszcze. Cierpkość i ironia Saula kryły coś znacznie głębszego. Ten człowiek bardzo był przywiązany do miasta, które nazywał wieżą Babel chciwości i oportunizmu. On rzeczywiście nie inwestował swych pieniędzy dla zysku. Jego motyw był szlachetniejszej natury. Ale Filowi Crailowi wystarczały jego własne pobudki.

Koło godziny trzeciej wachtowy doniósł, że odwołano ludzi Steeve'a Roarke, stojących po drugiej stronie ulicy naprzeciw mola, do którego przycumowane było „Złote Miasto”, a tym samym znikło zagrożenie, jakie stanowili oni dla robotników portowych, dokonujących załadunku pod ochroną straży zbrojnej wystawionej przez kapitana Helstroma. Zaczęli się wtedy pojawiać pasażerowie zwerbowani przez gońców w mieście, chcący dopłynąć do Sacramento, ale niepewni, czy opłacona przez nich podróż okaże się bezpieczna. Kilku z nich życzyło sobie zamienić słowo z panem Crailem lub jego kapitanem, ale Fil unikał ich i pilnował, aby Helstrom postępował tak samo.

Kapitana zaniepokoiło wycofanie się awanturników Roarke'a z nabrzeża. Ale Fil nie przejmował się ani tym, ani wątpliwościami pasażerów.

— Tutaj jesteśmy zabezpieczeni przed Roarkem i Dannem — zapewnił Fina. — Nie zaryzykują otwarcie wrogiego posunięcia na oczach całego miasta. Zaczekaj, aż znajdziemy się na rzece.

W pół godziny później doniesiono, że wielka „Aurora” Amosa Danna wpłynęła na rzekę koło Przylądka Huntera. Jej syrena zawyła pogardliwie i statek zwrócił swój tępy, rozszerzający się ku górze dziób w kierunku cieśniny Carquinez. Wzdłuż relingu stało mnóstwo mężczyzn, ale łatwo było odgadnąć, że nie ma wśród nich ani jednego pasażera płacącego za przejazd. Za „Aurorą” niemal w wojskowym szyku podążały dwa zwinne

płaskodenne stateczki Marianny Pope. Przez lornetkę widać było wyraźnie białe „P” na ich kominach. Oddzielona mulistą płyzizną od miejsca postoju „Złotego Miasta” stała pod parą rozłożysta „Strzała”, a tuż obok, również czekając na odbicie „Złotego Miasta” - trzeci stateczek Marianny Pope. Plany strategiczne były jasne. Dann znajduje się przed nim na rzece: Roarke popłynie z tyłu. Sacramento było niebezpieczną drogą wodną nawet w najlepszych warunkach, a kiedy pięć statków trzymać będzie w kleszczach „Złote Miasto”, wszystko zdarzyć się może i zapewne zdarzy. Dłonie Fila zwilgotniały, otarł je o uda. Crailowie, mówił sobie, są już od dwóch pokoleń ludźmi wiosła i steru. Ale on nie zasłużył na to dziedzictwo i przez chwilę pragnął, aby obok niego znalazł się Joe albo ojciec. Jednakże żaden zegar nie idzie wstecz, więc nadchodziła pora zapowiedzianego rozpoczęcia rejsu.

Robotnicy portowi stali przy pachołkach gotowi do rzucenia cum, kiedy Fil zobaczył Marianną Pope. Ubrana była w elegancki płaszcz, kapelusz z woalką, grube rękawiczki, jak gdyby sama miała płynąć. Przepychała się przez tłum stojący koło kapitanatu portu. Towarzyszył jej Red Steve Roarke. Spostrzegł ich Knud Helstrom i splunął.

— Bon voyage — powiedział.

— Zobaczymy — odrzekł Fil. — Gdy wrócę na pokład, natychmiast rzucić cumę i podnieść trap. — Zszedł na pokład i wielkimi krokami pomaszerował wzdłuż trapu. Roarke spostrzegł go, trącił łokciem dziewczynę i uśmiechnął się miło do zbliżającego się Fila.

— Bystry człowiek zawsze się orientuje, kiedy nadchodzi jego ostatnia szansa — rzekł. — A pan jest bystry. Dał pan tego dowód. Ale teraz pora być rozsądnym. Wygraliśmy pański statek mm o tym wie, ale obaj z Amosem chcemy przede wszystkim uniknąć zwad. Gotowi jesteśmy zgodzić się na przyzwoitą zapłatę za tytuł własności.

— Jeśli będę mówił z którymś z was, to w Sacramento, i o waszych statkach, nie o moim. Ja chciałem się rozmówić z panną Pope.

— Nie będzie już dalszych propozycji — powiedziała dziewczyna. — To ja nalegałam na pana Roarke, żeby tę propozycję uczynił. Czy nie posunąłeś się za daleko? A może zamierzasz wyprzeć z rzeki wszystkich innych?

— Przyjdź, zobacz — zaprosił ją Fil.

— Płynę z kapitanem Roarkiem na „Strzale”. Dzisiaj są na rzece trzy moje statki i zamierzam sama pilnować własnych interesów.

— Ja również, ale moje interesy nie kończą się na statkach. Płyniesz ze mną! — Chwycił ją za ramię.

W oczach Marianny Pope zabłysło zdumienie i uraza. Roarke rzucił się naprzód. Fil zamachnął się i uderzył go w twarz. Wielki Red grzmotnął o ścianę kapitanatu portu i odskoczył gwałtownie, wydobywając spod poły krótkiej marynarki wiszący u pasa pistolet. Nadbiegło dwóch strażników Knuda Helstroma, zbrojnych w orzechowe drzewca oskardów, i jeden z nich celnym zamachem wytrącił broń z ręki Roarke'a. Popchnęli go znów na ścianę i przytrzymali.

Fil posłał im uśmiech dziękczynny, zakręcił Marianną, dźwignął ją w górę i wszedł po trapie na statek nie zważając na jej wściekle szamotanie

się i protesty. Może jacyś świadkowie tej sceny próbowaliby interweniować, ale gdy tylko jego ciężar uniósł drugi koniec trapu do góry, liny opadły, koła „Złotego Miasta” zaczęły się obracać i między burtą statku a przystanią rozwarła się ziejąca przepaść wody. Gdzieś w dole śpiewał mechanik, przesuwając w górę i dół dźwignie zaworów, aż do chwili gdy ociężały wahacz maszyny zaczął poruszać się z właściwą szybkością w górę... w dół.

Fil, napotkawszy przerażone, wrogie spojrzenia pasażerów na głównym pokładzie, poprowadził ku drabince Mariannę i idąc tuż za nią zmusił ją do wejścia na górę. Otworzył drzwi i pchnął ją do środka.

— Kabina oficerska. Należy do ciebie. Dla gościa najlepsza. Miej oczy otwarte i nie wchodź nikomu w drogę.

Wspiął się do sterówki. Helstrom stał ze zmarszczonym czołem przy relingu mostka.

— Dość bezceremonialnie sobie poczynasz, Fil — oświadczył. — Mężczyzn w Kalifornii traktuje się szorstko, ale kobiety zazwyczaj lepiej, lepiej niż niektóre z nich zasługują. Ona może nam sprawić masę kłopotów.

— A myślisz, że już nie sprawiła? — warknął Fil. — Wciąż uważa, że zabiłem mego brata. Gdyby na drodze stąd do Sacramento zdarzyło się coś, co by świadczyło na moją korzyść, nie uwierzyłaby, nawet gdyby przeczytała o tym w Biblii. Potrzebna mi jest, żebym się mógł naprawdę oczyścić z zarzutu zabójstwa Joego, i chcę, żeby tu była i na własne oczy zobaczyła, do czego są zdolni Roarke i Amos Dann, gdy gra idzie o dużą stawkę.

— Czy niczego, więcej od niej nie chcesz? — Helstrom trącił go lekko w bok.

Fil z ponurą miną wzruszył ramionami.

— Kto wie? Może Roarke ma rację. Może nie dopłynę do Sacramento. Ale przynajmniej będę miał w drodze dobre towarzystwo.

Helstrom wyrozumiale pokręcił głową.

— Jeśli chcesz pić whisky z piołunem, mnie to nie szkodzi. Dzieli nas trzydzieści mil od Benicii i dalsze czterdzieści pięć od Collinsville. Dotrzemy wtedy do bagien i obszaru delty. Tam właśnie czekać nas będzie Dann, a Wielki Red spróbuje zaskoczyć nas od tyłu. Sądząc po pogodzie, wpadniemy tam w gęstą mgłę i szanse staną się jeszcze bardziej nierówne. Jeśli masz jakieś sprawy do załatwienia w kabinie oficerskiej, załatw je, zanim osiągniemy Collinsville. Bo potem twoje miejsce będzie w sterówce.

W zatoce San Pablo wpadli w zapowiedzianą przez Helstroma mgłę. Gdy „Złote Miasto” obróciło się ku Cieśninie Carquinez, nieoczekiwanie zderzyło się z tą miękką jak poduszka ścianą. Crail, przyzwyczajony do zimnej, suchej mgły wybrzeży Atlantyku, zaskoczony był tą wilgotną barierą zdawałoby się nie do przebycia. Ale Helstrom nie okazywał zaniepokojenia. Swój ciężki zegarek położył na półce za sterem. Od czasu do czasu rzucał nań okiem i zdawało się, że wsłuchuje się w zmęczony

rytm wolno pracującej maszyny, niekiedy porównując go wzrokiem z wahaczem poruszającym się spokojnie za kabiną sternika. Kiedy zauważył niepokój Craila, chrząknął.

— Tutaj starczy miejsca na całą flotyllę. W Cieśninie Carquinez będzie gorzej. A w delcie na nas wszystkich wystąpią siódme poty. Zobaczysz. — W chwilę później dodał: — Wpływa w cieśninę. A w każdym razie powinien. Słuchaj...

Pociągnął za sznur od syreny. Po niewidzialnej wodzie poniósł się gwizd - wyzwanie rzucone przez „Złote Miasto". Po dłuższej chwili powrócił stłumionym echem. Helstrom przełożył koło sterowe o dwie szprychy.

— Odrobinę za daleko od brzegu. Ale teraz akurat na kanale.

— Tak sądzisz? — mruknął Fil.

— Wiem. Słyszałeś echo. Stary statek jest na mieliźnie przy południowym brzegu cieśniny. Echo odbiło się. Wróciło, a więc jesteśmy już w Carquinez. Zabrało to trochę czasu, a więc jesteśmy trochę za daleko. Dlatego przełożyliśmy ster i będziemy się trzymać kursu, dopóki nie zauważymy zamglonych świateł nad Benicia, a wtedy zrobimy trzy halsy według zegarka i kompasu za pierwszymi wyspami delty omijając Collinsville. A to znaczy, że mamy mało czasu. Załatwiasz jakąś sprawę z pasażerką w kabinie?

— Nie próbowałem. Nie steruję tak dobrze jak ty we mgle.

— To trudniejsza sztuka.

Helstrom ponownie pociągnął za sznur od syreny. Fil udał się na pokład śródokręcia i szybko zszedł po trapie do kabiny oficerskiej. Drzwi były wciąż zamknięte i nie próbował ich otwierać. Na głównym pokładzie ujrzał grupę pasażerów i przeczuwając jakieś kłopoty zszedł do nich. Natychmiast jakiś postawny, dobrze ubrany i pewien siebie mężczyzna odłączył się od pozostałych i zbliżył ku niemu.

— Pan jest właścicielem? — rzucił. — Pan Crail?

Fil skinął głową.

— Zastanawiamy się nad tą wyprawą — ciągnął mężczyzna. — W ostatnich tygodniach wahania w opłatach i rozkładach jazdy niemal zupełnie uniemożliwiały podróże rzeką. Mamy do załatwienia interesy w Sacramento, więc jesteśmy wdzięczni panu za to, że znajdujemy się na jego pokładzie, ale kilku z nas zdumiał fakt, że tyle statków wyruszyło z San Francisco dzisiaj po południu niemal o tej samej porze. W tej mgle taki ruch może być niebezpieczny.

— Jest niebezpieczny — rzekł Fil.

— Tak. Wobec tego część z moich towarzyszy podróży chce wysiąść w Benicii, panie Crail.

— Pan do nich należy?

— Prawdę mówiąc, nie jestem zdecydowany. Ale ja naprawdę powinienem jechać do Sacramento.

— Proszę przysłać tych, co chcą wysiąść, na rozmowę ze mną.

Wspiął się do sterówki, aby powiedzieć kilka słów Knudowi Helstromowi. Kapitan zmienił znów kurs, przekładając koło sterownicze jeszcze o parę szprych. Fil powrócił na pokład główny. Grupa niezadowolonych zebrała się u stóp trapu. Rej wodził wojowniczy

mężczyzna o czerwonej twarzy, w kurcie marynarskiej. Wskazał palcem na Fila.

— Mówią, że zabiłeś własnego brata, żeby zdobyć ten statek, Crail — zawołał. — I że próbujesz sił z kapitanem Dannem i Wielkim Redem Roarke. Co więcej, widzieliśmy, jak zaciągnąłeś na pokład kobietę, która nie chciała mieć z tobą nic wspólnego. Nie podoba nam się to i nie podoba nam się ta mgła. Zapłaciliśmy za przejazd, ale nie chcemy finansować żadnych prywatnych rozgrywek. Wysadź nas na brzeg w Benicii, bo jak nie, to pożałujesz tego.

Pozostali poparli go niepewnie. Brakło im jego agresywności. Fil zrozumiał. Człowiek jego rywali dostał się na pokład, aby mącić. Panika może powstać nawet z błahego powodu, a jego pasażerów czeka zapewne niejedno gorzkie przeżycie, nim dopłyną do celu. Ale znajdzie się lekarstwo. Spojrzał ku sterówce; Knud Helstrom wysadził głowę przez okno.

— Cztery stopy na lewej burcie — zawołał.

Fil uśmiechnął się i spojrzał na człowieka w marynarskiej kurtce.

— Nie zatrzymujemy się przed Sacramento, proszę pana. Ale skoro pan chce wysiąść, z przyjemnością spełnimy pańskie życzenie...

Ujął go za kołnierz marynarki, szarpnął nim mocno, zakręcił. Tamten zamachnął się na niego. Fil złapał go za rękę i wykręcił mu ją na plecy, jednocześnie chwytając go' za pasek z tyłu. Helstrom zasygnalizował do mechanika, aby na chwilę zatrzymał maszynę. Mężczyzna, którego trzymał Fil, krzyczał ze strachu, ale Fil wyrzucił go za burtę. Człowiek chlupnął w wodę w pobliżu znieruchomiałego koła i zniknął. Po chwili znów się ukazał. Stał na mulistym dnie po ramiona w wodzie i pluł. Fil obrócił się do grupki pozostałych.

— Kto następny?... — zapraszał.

Cofnęli się szybko. Fil zabiegł drogę postawnemu mężczyźnie, który pierwszy z nim rozmawiał.

— Zdecydował się pan już?

Zagadnięty uśmiechnął się.

— Myślę, że pan dopłynie do Sacramento zgodnie z planem.

Fil zadarł głowę ku sterówce.

— Całą naprzód, kapitanie! — krzyknął.

Zadźwięczał dzwonek. Z wentylatora maszynowni nadpłynął

przyśpiew mechanika, który pilnował, by ociężały wahacz maszyny zaczął poruszać się z właściwą szybkością w górę... w dół...

Postawny mężczyzna, który nadal stał przy Filu, dotknął jego ramienia. Patrzył przed siebie, wzdłuż mocnej sylwetki „Złotego Miasta", w nieznane, kryjące się za mgłą.

— Pięknie! — westchnął. — Nie ma nic bardziej romantycznego niż podróż rzeką. Szkoda, że słowo „szybkość" znalazło się w naszym słowniku. Ono położy kres podróżom rzecznym, jak również wielu innym pięknym rzeczom.

— Wkrótce będziemy na miejscu — rzekł Fil.

Postawny mężczyzna zdawał się ubawiony jego pewnością siebie.

— Tak, wkrótce, oczywiście. Chciałbym, żeby pan zobaczył się ze mną w San Francisco, kiedy pan będzie miał czas. Kilku z nas prowadzi pertraktacje z niejakim Judahem, który chce budować kolej na Wschód. Pan ma doświadczenie i rozmach w sprawach transportu. Może pana to zainteresuje.

Przerwał mu głos Knuda Helstroma wołającego z pomostu nawigacyjnego:

— Chodź tutaj, Fil!

— Niech pan idzie — rzekł postawny mężczyzna. — Nim ktokolwiek z nas cośkolwiek tu wybuduje, musimy uwolnić się od oportunistów takich, jak Roarke i kapitan Dann. Mam trochę wpływu na pańskich pasażerów. Postaram się ich uspokoić.

Fil zaczął się wspinać po trapie, ale na chwilę przystanął:

— Kim pan jest?

Postawny mężczyzna uśmiechnął się.

— Właściciel sklepu, któremu się trochę poszczęściło w kopalniach. Nazywam się Stanford. Leland Stanford.

Ze sterówki nie było widać dziobu statku. Kominy ginęły we mgle. Kapitan Helstrom siedział skulony nad kołem sterowym, a przez znajdujące się przed nim otwarte okno wpadał powiew ad rzeki.

— Widziałem odblask światła za rufą — oznajmił spokojnie. — Myślę, że Roarke nadpływa ze „Strzałą" od strony prawej burty, mając z prawej strony stateczek „San Joaquin". Wiatr niesie od przodu dym. „Aurora" Dana i dwa małe stateczki tej dziewczyny czekają tam na nas. Jedno z najwęższych miejsc na kanale, doskonałe do zablokowania. Przypuszczam, że któryś z nich spróbuje wpakować nas na skałę podwodną albo zepchnie wodą odrzuconą przez dziób statku na burtę naszego statku. A wtedy jedno z kół straci rozpęd i zwrócimy się bokiem do nurtu, dając innemu statkowi okazję do uderzenia nas w burtę, gdy będziemy bezradni. Uznają to oczywiście za naszą winę, bo zatarasujemy wąski kanał w takiej mgle.

Fil przysunął się do koła sterowego i ujął w dłoń jego środkową szprychę.

— Zajmij się załogą — rozkazał. — Mój statek, Knudzie, moja odpowiedzialność.

Helstrom zrozumiał, że nie ma się co sprzeczać, i wycofał się.

— Będę sterować tobą z pokładu. Niech statek daje sygnały syreną, abym mógł słyszeć echo. Zakręty rzeki odbijają echo. Rzeka jest na ogół szeroka, ale nie zapominaj, że właśnie tutaj nie mamy wiele miejsca.

Fil skinął głową. Helstrom wyszedł ze sterówki i znikł. Fil uruchomił syrenę i zdawało mu się, że usłyszał szybko echo przed sobą. Helstrom przez jakiś czas prowadził statek na zmniejszonej szybkości, ale teraz już nie było czasu na ostrożność. Fil dał gwizdkiem znak mechanikowi, aby podniósł parę w kotłach.

Jakiś człowiek na pokładzie - zapewne stojąc bliżej widział lepiej - pierwszy ostrzegł. W chwilę później Fil zobaczył przeszkodę: nie

oświetlony stateczek Marianny Pope, jeden z tych, które towarzyszyły „Aurorze”.

Plan stał się jasny natychmiast: chodziło o odebranie napędu prawemu kołu łopatkowemu „Złotego Miasta”. Fil trzymał się swego kursu jeszcze przez chwilę, a potem wykonał zwrot ku drugiemu statkowi, licząc na swoją zwiększoną szybkość. Zajechał przed rufę mniejszego statku, właśnie gdy wykręcał się, aby obryzgać go wodą spod łopatek swego koła. Wytrysk wody spod wielkiego koła „Złotego Miasta” zakołysał gwałtownie stateczkiem. Zewnętrzna osłona koła uchwyciła jego stewę rufową i ciągnęła do tyłu wzdłuż „Złotego Miasta”. Na stateczku podniósł się krzyk i Fil spojrzał za rufę.

Statek huśtał się wyraźnie porwany w wir wody za „Złotym Miastem". Jego koła pracowały nierówno w nurcie obracając bezradnym statkiem na przekór sterowi. W momencie, gdy leżał niemal całkowicie w poprzek kanału, przysłoniła go mgła. W chwilę później rozległ się ochrypły gwizd, niemal natychmiast potem dał się słyszeć przeraźliwy huk zderzenia. Ręce Fila znieruchomiały na kole sterowym. Z pewnością stateczek został ugodzony dziobem jednego ze statków płynących za nim. Sądząc po głuchym odgłosie zderzenia musiała to być „Strzała” Reda Roarke. Tak więc pierwszą stratę w tej grze poniosła Marianna Pope, a „Złote Miasto” miało już za sobą pierwsze starcie.

To zderzenie, którego zdenerwowani pasażerowie „Złotego Miasta” nie mogli widzieć, wywołało wśród nich panikę. Fil słyszał, jak Stanford spokojnym głosem zapewniał, że nic im nie grozi. Fil znowu dał sygnał syreną i usłyszał echo podobne do poprzedniego, teraz trochę na lewo od dziobu. „Aurora" i Amos Dann, pomyślał i skierował się do źródła echa, zdając sobie sprawę, że wciąż zwiększa szybkość. Jeżeli Steve Roarke miał nadzieję nadpłynąć wolniejszą „Strzałą” po zderzeniu, musiałby zamknąć i unieruchomić zawór bezpieczeństwa. A szybkie starcie z „Aurorą” i towarzyszącym jej stateczkiem Marianny Pope odpowiadało Filowi bardziej niż ostrożne podchodzenie.

Drzwi sterówki rozwarły się szeroko i wbiegła Marianna. Jej twarz była biała i pełna napięcia. Chwyciła Fila za rękę spoczywającą na kole, ale strząsnął jej dłoń, gdyż przed nimi zaczęły się zarysowywać kontury „Aurory”. Jej groźna sylwetka blokowała kanał. Marianna również ją dostrzegła i ponownie chwyciła go za ramię.

— Co chcesz zrobić?

— Dowieźć pasażerów do Sacramento.

— To statek kapitana Danna! — protestowała. — Nie możesz go rozbić.

— Nie gwarantuję, że mi się uda — zgodził się Fil. — Ale przynajmniej mogę spróbować.

— Nie pora na wendettę, osobiste zatargi, zemstę! — krzyczała Marianna. — Pomyśl o swoich pasażerach, o frachcie i dostawach, tak bardzo potrzebnych w obozach w górze rzeki.

— Myślę o nich — odrzekł posępnie Fil.

— Ryzykujesz życie wszystkich ludzi na statku!

— Zapominasz, że jestem człowiekiem, który zabił brata, aby się dorwać do tego statku!

„Złote Miasto” posuwało się teraz szybko, zrównując się z rufą „Aurory”. Fil energicznie kręcił kołem, kierując dziób na ten statek. Siła zderzenia odrzuciła Mariannę Pope ku przednim oknom sterówki. Ktoś strzelił z „Aurory”. Okno, na tle którego przed chwilą zarysowała się postać dziewczyny, rozprysło się w kawałki. Koło sterowe zaczęło stawiać opór dłoniom Fila, gdy „Złote Miasto” parło na rufę drugiego statku, trochę z boku, w pobliżu steru. Stanął na niższej szprysze koła sterowego, aby zwiększyć nacisk i krzyknął do Marianny Pope:

— Zejdź na dół!

Druga kula z pistoletu wybiła jeszcze więcej szkła, ale Marianna nie zwracała uwagi na jego słowa. Fil chwycił ją za ramię jedną ręką i mocno szarpnął, rzucając na podłogę przy przedniej grodzi. Skuliła się tam, wściekła i pełna buntu, ale nie próbowała się podnosić. „Aurora” obracała się szybciej, gdyż zwiększał się napór „Złotego Miasta” kierujący jej rufę ku grząskiemu brzegowi. Knud Helstrom wbiegł szybko po trapie.

— Stop! — krzyknął w podnieceniu. — Zatrzymaj statek, Crail! Wprost przed nami skała podwodna!

Zaczął schodzić i natychmiast znów się zjawił.

— Statek Roarke'a niedaleko! Musi mieć zamknięty zawór bezpieczeństwa, tak szybko prowadzi statek! Gdy nas złapie, da nam taką nauczkę, jak my Dannowi!

Fil przytaknął.

— Uważaj, aby nie próbowali wedrzeć się na statek! I opróżnij pokład z pasażerów! Znajdź Stanforda. On ci pomoże...

Nagłe uderzenie odrzuciło go od koła sterowego. Helstrom z przerażeniem w oczach skoczył naprzód. Fil rzucił się ku swobodnie kręcącemu się kołu. Po chwili udało mu się je zatrzymać, zaczął je obracać jedną ręką. Helstrom także chwycił za szprychy.

— Pasażerowie! Do licha, idziesz wreszcie, człowieku!? — warknął na niego Fil.

Helstrom zawahał się, stał przez chwilę niezdecydowany, obrócił się i zszedł po trapie. Marianna Pope próbowała się podnieść, ale z „Aurory” znowu strzelano i Fil spojrzeniem nakazał jej leżeć. Obawiał się; że gwałtowne oswobodzenie koła sterowego obluzuje system dźwigni i dziób „Złotego Miasta” prześliźnie się naprzód po burcie „Aurory”. Walczył z kołem przekładając szprychę po szprysze, a gdy wielka mahoniowa obręcz przesuwała się z wolna przed jego oczyma, spostrzegł, że brakuje segmentu długości dwóch stóp i paru zakończeń szprych, a wyrwa uczyniona przez kulę psuje symetrię koła. W ustach miał smak krwi. Splunął.

Marianna Pope dźwignęła się na kolana przed frontową grodzią. Rozwiane włosy okalały biały owal twarzy nad bladym trójkątem dekoltu swetra.

— Twoja twarz… — wyszeptała.

W tym momencie „Złote Miasto” przebiegł wstrząs. „Aurora" wpadła dziobem na podwodną przeszkodę. Statek zachybotał lekko, a potem przechylił się gwałtownie z cichym, ale przerażającym trzaskiem rozbijanych na miazgę desek dna.

Twarz Fila zastygła w maskę bólu. Jedno ramię tak mu zesztywniało, że nie mógł nim poruszać. Miał niejasne przeświadczenie, że mgła rzednie. Strzelanina z „Aurory” ustała. Sylwetki mężczyzn stojących przy relingu pojaśniały - ściągnęli kurtki ukazując koszule. Jeden po drugim rzucali się do wody. Nie zamknięte drzwi od sterówki poruszały się z wolna, wpuszczając snop światła na pokład. Obok sterówki pojawiła się jakaś barczysta postać. Fil pomyślał, że to Amos Dann. Mężczyzna ów wołał coś bezskutecznie do ludzi na pokładzie, po czym zniknął.

„Złote Miasto" wciąż pchało „Aurorę” i deski dna wciąż się odłupywały. Fil sięgnął odrętwiałą ręką do dzwonka do maszynowni; zdał sobie sprawę, że jeśli nie zwolni, wpakuje swój własny statek na tę samą skałę. Dzwonek rozbrzmiał gwałtownie na dole, wielkie koła przestały się obracać, nurt Sacramento uniósł „Złote Miasto”, którego dziób oddalił się od „Aurory”. Wydawać się mogło, że ginący statek szuka u swego brata ratunku. „Aurora” pochyliła się jeszcze bardziej, a potem wyprostowała, mając pokład pod wodą. Fil wiedział, że Helstrom, jego pasażerowie i załoga, jak również pasażerowie i załoga stateczku Marianny Pope znajdującego się obecnie daleko od „Złotego Miasta”, wyciągają z rzeki ludzi z „Aurory”. Zobaczył ponownie barczystą postać w sterówce. „Aurora” zatrzęsła się, a potem nastąpił wybuch. Rozerwał się pokład, którego kawałki wraz ze sterówką wyleciały w powietrze, po czym spadły, rykoszetując, na wodę. Sam kadłub statku zniknął w wirze wodnym, kłęby pary z pękniętych kotłów wiły się nad topielą. Fil sądził, ze na pokładzie statku w chwili jego zatonięcia nie było nikogo, ale Amos Dann stał wtedy przy sterze. Wodniacy czczą dziwne bóstwa i rzeczywiście wydawało się, że działa tu jakaś przewrotna sprawiedliwość. W ten właśnie sposób zginąłby Joe Crail, gdyby mógł wybierać.

Helstrom ukazał się znów na szczycie trapu.

— „Strzała” na nas idzie!

Crail machinalnie obrócił się i spojrzał za siebie. Widoczność była teraz lepsza. „Strzała” rysowała się wyraźnie, a za nią statek Marianny Pope, który pozostał w tyle nie biorąc udziału w akcji, podobnie jak drugi jej statek, który w górze rzeki walczył z prądem. Obaj kapitanowie usiłowali, choć późno, bronić jednak interesów właścicielki. „Strzała” natomiast płynęła ostro; zamierzała uderzyć w jakieś miejsce na rufie „Złotego Miasta”, zapewniając sobie takie zwycięstwo, jakie Crail odniósł nad „Aurorą”. Płomienie strzelały pionowo z okapów znajdujących się na szczycie jej kominów. Iskry sypały się na pokłady, a piana wypływała spod osłon kół. Fil szarpnął znów za dzwonek do maszynowni. Ogromne łopatki kół wodnych „Złotego Miasta” zaczęły się obracać w przeciwnym kierunku. Crail pilnował steru, rzucając jednocześnie baczne spojrzenia za siebie. Odległość między „Strzałą” i „Złotym Miastem” zmniejszała się gwałtownie. „Strzała” szukała najwidoczniej takiego miejsca uderzenia, aby zniszczyć ster statku przeciwnika. W ostatnim momencie Fil stanął na obręczy koła sterowego, chcąc uchylić rufę, lecz stopa ześliznęła mu się ze szprych. Rzeka i ster były silniejsze od niego; koło nie chciało się

przesunąć. Helstrom był gdzieś na pokładzie na dole. Fil słyszał ryk kapitana, ostrzegającego na nowo załogę, że może nastąpić abordaż.

Niespodziewanie koło steru zaczęło się obracać wbrew przeszkodom. Fil uniósł głowę. Po przeciwnej stronie koła znajdowała się Marianna Pope i nachylona pchała w górę szprychy, gdy on ze swej strony naciskał je w dół. „Złote Miasto" poddało się. Rufa zakołysała się ociężale. „Strzała" uderzyła w jej zaokrągloną część gwałtownie, odrzucając dziewczynę od koła. Skoczyła z powrotem, uczepiła się steru. Dziób „Strzały" przywarł na chwilę do rufy „Złotego Miasta", a potem zaczął się ślizgać złowieszczo ku przodowi po górnych pasach poszycia statku. Rufa „Złotego Miasta" obracała się coraz szybciej, nabierając prędkości w miarę jak prąd działał na wykręcający się dziób, i stewa przednia statku Roarke'a ślizgała się nieubłaganie naprzód, zagrażając osłonie koła łopatkowego na prawej burcie.

Nagle stewa przednia „Strzały" natknęła się na jakąś przeszkodę i zatrzymała się. „Złote Miasto" w dalszym ciągu obracało się na dziobie atakującego ją statku, który znalazł się do niego pod kątem prostym, utknął w poprzek prądu jak pływająca bariera, a nadpływające wody napierały na sterczące przeciw prądowi poszycie burt statku. Zmagając się z tym ogromnym ciężarem „Strzała" stała w miejscu mimo szaleńczych obrotów koła łopatkowego. Pośród trzeszczenia obracających się z wysiłkiem kół dał się wyraźnie słyszeć głos Reda Steve'a Roarke:

— Próbuje walić w nas taranem, tak jak w „Aurorę"! Widzicie to wszyscy! Dolejcie paliwa!

Z kominów statku wyżej strzeliły płomienie. Iskra, porwana gwałtownym podmuchem, przedarła się przez zabezpieczenia i padła na luźną belę cum za sterówką. Marynarze rzucili się ku trapowi z kubłami przeciwpożarowymi na linach. Roarke ich powstrzymał.

— Zostawcie to i palcie pod kotłami!

„Strzała" dygotała z wysiłku, a ogień za sterówką rozszerzał się coraz bardziej. Zajęły się deski wysuszone na wiór gorącym słońcem. Płomień pełzł ku tylnej ścianie sterówki i grubemu oszalowaniu głównego wiązania kadłuba. Roarke trzymał dziób swego statku naprzeciw „Złotego Miasta" i wołał, żeby puszczono więcej pary. Koła „Strzały" wykonały parę obrotów. Statek z wolna przezwyciężał prąd i zaczął znów popychać „Złote Miasto", unieruchomione przy jego dziobie, ku podwodnym skałom, o które rozbiła się „Aurora".

Walka „Strzały" budziła grozę i podziw. Kominy statku prychały ogniem, a czerwony blask na śródokręciu rozświetlał kłębiącą się mgłę. W końcu oba statki spowiła jaskrawa poświata żaru. Płomienie strzelały w górę i lizały grube naoliwione oszalowania głównego wiązania kadłuba do szczytu, gdzie były zamocowane stalowe sztagi, biegnące do dziobu i rufy dla wzmocnienia kadłuba. Roarke nie dawał swemu statkowi wytchnienia spychając nieustępliwie bezradne „Złote Miasto" ku podwodnym rafom, czekającym pod mroczną, milczącą tonią.

Helstrom wdrapał się po trapie do sterówki. Sięgnął po koło sterowe, lecz Fil machnął ku niemu ręką, by odszedł.

— Jeszcze pięćdziesiąt jardów, a znajdziemy się na skałach! — ostrzegł kapitan. — Zawróć, spróbuj nadać ruch wahadłowy i wyśliźnij się. W najgorszym razie stracimy koło sterowe.

— Nie! — zawołał Fil. — Zakończymy rejs pod parą albo pójdziemy na dno.

Helstrom chciał coś jeszcze mówić, ale Marianna Pope, z przerażeniem wpatrująca się w płonący statek, obróciła się nagle.

— Fil! — krzyknęła. — Patrz!

Ludzie ze „Strzały” skakali do rzeki. W pobliżu płonącego statku, tuż za wirem wodnym wytworzonym przez jego pracujące wolno koła, załoga stateczku Marianny Pope wyławiała z wody pierwszych marynarzy. Duża ich grupa zbiegała z zejściówki i skakała przez poręcz nadburcia. Helstrom krzyknął:

— I palacze także. Na statku nastąpi wybuch.

Fil skinął głową.

— Albo puści główne wiązanie kadłuba statku. Maszt tego wiązania przepala się i sztagi tracą wsparcie, statek załamie się pod własnym ciężarem...

Rzucił spojrzenie w górę rzeki, próbując ocenić, jak szeroki jest pas bezpiecznej jeszcze wody. Można się było tego tylko domyślać. Oddał ster kapitanowi.

— Utrzymaj statek, jak długo zdołasz — rzekł. — Chcę, aby Roarke...

Marianna Pope odwróciła się od płonącego statku dotykającego dziobem ich nadburcia i chwyciła go z rozpaczą za ramię.

— Nie, Fil, nie.

Wyrwał jej się i wybiegł. Zeskakując z ostatniego stopnia trapu zobaczył Lelanda Stanforda, który zagradzał wyjście z salonu. Spoza niego wyglądały czerwone jak ogień twarze pasażerów. Stanford zawołał głośno, ale Fil chwycił się poręczy nadburcia, w miejscu gdzie przytykał dziób „Strzały” i przeskoczył na drugi statek.

Na pokładzie był straszliwy upał i ani śladu załogi. Pióropusz ognia wykwitał na całej długości masztu głównego wiązania kadłuba i kładł się na dachu sterówki, ale Roarke trwał nieugięcie przy kole sterowym, w zaciętym postanowieniu, że zniszczy bezbronnego wroga, pchając go dziobem swego statku. Fil zaczął się piąć ku płomieniom. Pełgały dokoła niego, osmaliły mu flanelową koszulę. Dym gryzł w oczy i drapał w gardle. Gdy Fil znalazł się na szczycie trapu, podmuch płomienia wionął ku niemu. Musiał poczekać, aż zmieni on kierunek, nim skoczył przez otwarte drzwi do sterówki. Wyczerpany do ostatka Roarke raczej go wyczuł, niż usłyszał przez ryk ognia. Wielki Red zaciskał dłonie na szprychach, ale spojrzeniem wyraził wszystko, całą prawdę. Niech to wszyscy diabli! Wyzwanie. Jeden Crail nie żyje, za chwilę i drugi umrze. Amos Dann zginął, ale droga do Sacramento jest do wygrania, a jeżeli trzeba poświęcić jeszcze jeden statek, to trzeba, do diabła! Fil przejrzał jego plany. Ten człowiek zabił jego brata albo stał koło Amosa Danna, gdy tamten go zabijał dla wspólnego zysku. A w dodatku, gdyby nie Saul Levy, Fil Crail wisiałby przez nich jako morderca. Roarke zaplanował tę zasadzkę na rzece i będzie patrzył, jak jego własny statek płonie, byle tylko zniszczyć rywala.

Rzeka tych ludzi kształtowała, a on sam był jednym z nich. Chciał właśnie gry w otwarte karty, chciał dowieść, że jest taki, jakim uczynili go ojciec i Joe, że on także umie załatwiać porachunki, zawładnąć rzeką, gdy przyjdzie kolej na niego. Muszą teraz, patrząc sobie wprost w oczy, wyrazić sobie uznanie, nim staną do otwartej walki. Należy im się ta chwila wzajemnego uznania, nim zbliżą się do siebie w śmiertelnej walce.

Ale Wielki Red przywarł do koła sterowego i mściwy tygrys w Filu Crailu usłyszał, jak Fil Crail odezwał się tonem perswazji i nalegania:

— Straciłeś głowę i tracisz statek, Steve. Daj spokój, razem do czegoś dojdziemy...

Dłuższa chwila minęła, nim Roarke pojął te słowa. Z twarzy jego ustąpił wyraz wyzwania i tylko zaprzeczył ruchem głowy, zwracając się z uporem ku dziobowi swego statku, przygważdżającemu bezradne „Złote Miasto". Czas jakiś stał nieruchomo. Potem rzucił jedno szorstkie słowo, które wyrażało wszystko, co miał do powiedzenia, i przesunął koło z ogromną szybkością. Dziobnica „Strzały" uwolniona z dokładnie wyliczonego nacisku, jaki wywierał na nią Roarke, ześliznęła się ku rufie „Złotego Miasta", o kilka cali wyminęła ster i statki rozdzielił coraz to rozszerzający się pas wody.

Roarke odsunął się od steru. W tym samym momencie statek zadrżał. Ciężki maszt głównego wiązania kadłuba wygiął się i przewrócił, na pokład spadł wielki słup ognia, a stalowe sztagi nie mając oparcia runęły na dół, przyciągane ciężarem dziobnicy i rufy, gdy „Strzała", utraciwszy oparcie w maszcie na śródokręciu, pękła na pół. Pomost nawigacyjny przechylił się zrzucając Fila na pokład, a Roarke przywarł do koła sterowego, aby nie upaść. Pomost, nachylony pod zawrotnym kątem, zdawał się uspokajać i zatrzymywać. Ale pokład pod stopami Fila chylił się i pękał, a płonące deski spadły na samo dno rozlatującego się statku. Pomost nachylił się jeszcze bardziej i runął w otwierającą się czeluść. Fil szukał gwałtownie oparcia dla nóg, uchwytu dla rąk, aż bezradnie osunął się w dół. Spadając poczuł wstrząs wybuchu - moment gorąca nie do wytrzymania, a potem przejmujące zimno wody.

Wynurzył się na powierzchnię, płynąc instynktownie i czując na sobie deszcz spadających odłamków. Posłyszał, jakby z daleka, głos Knuda Helstroma:

— Taka eksplozja nie zabije marynarza, z całą pewnością rzeka go nie zabije, panno Pope...

Otworzył oczy i ujrzał nad sobą delikatną szyję, a za nią Helstroma - i to wszystko na tle ozdobnej ściany głównego salonu „Złotego Miasta".

Tak więc pan Stanford nie musiał już uspokajać pasażerów. Ci, którym potrzebny był dowód, że Kalifornijska Żegluga Śródlądowa może się narodzić z czegoś, co zapoczątkowali Joe Crail i Steve Roarke z Amosem Dannem, nie mogą już w to wątpić. Saul Levy wzbogaci się, a na szlaku do Sacramento znajdzie się Crail. A to pochwaliliby i Joe, i ojciec.

Helstrom pochylił się nad Marianną Pope z praktyczną radą:

— Czułby się lepiej, gdyby mógł oddychać. Niech go pani nie ściska tak mocno.

—- Do licha, kapitanie! — rzekł Fil ze zrozumiałą irytacją. — Troszcz się o statek, a troskę o mnie pozostaw mnie samemu.

Helstrom wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Tak jest — powiedział od drzwi. — Następny postój w Sacramento.

Marianna Pope poczekała, aż drzwi zamknęły się za uśmiechniętym Finem.

— A jutro San Francisco rzekła, ściśle według rozkładu — zgodził się Fil.

— A potem odwieziesz mnie do domu dorożką?

— Damy nie chodzą na piechotę.

— Zaproszę cię do siebie.

— Oczekiwałem tego.

— Ale z tobą będą kłopoty, nie zechcesz wyjść.

— To prawda. Nie zechcę.

— Nie będę wiedziała, co robić.

— To się zastanów — rzekł Fil. I pocałował ją.

Tłumaczenie: Aldona Szpakowska

**Prentiss Combs**

## Prawo bata
(Law of the Lash)

Padraic Conmaire był człowiekiem, który lubił wędrować. A jeśli taki człowiek raz obierze jakąś drogę, to iść nią musi aż do końca. Błotnista czy sucha, skalista czy gładka, równa czy stroma - nie może z niej zawrócić. Mógł zmienić imię, ubranie, wynieść się z miejscowości, gdzie mieszkał, ale zawsze coś gnało go przed siebie - czy to szedł bitym traktem, czy wąską ścieżką.

Padraic Conmaire był Irlandczykiem i pochodził z Ballyshannon. Szczupły blondyn o złocistych włosach i zielonych oczach koloru morza, miał miłe usposobienie, wywodził się z królewskiego rodu, a jego gładką twarz zdobił mocny garb nosa, wąskiego i wrażliwego, jakim mógłby się chlubić jakiś prorok. Układał pieśni, a wszystkie one opiewały jasną i złotą Deirdre, kochaną, i kochającą, nazwaną tak na cześć pewnej księżniczki żyjącej w dawnych czasach. Była ona ozdobą Ballyshannon i całym światem Padraica Conmaire, i magnesem, który go zawsze przyciągał, gdziekolwiek by się znalazł, i królową, dla której stale szukał królestwa.

Ale naówczas Irlandia przeżywała szare, smutne dni ciężkich czasów i wielu ludzi było zgnębionych, załamanych, a on sam patrzył jak jego dzieci przymierają głodem, jak żona podaje pustą pierś niemowlęciu o bladej twarzyczce. Wszyscy w Eire płakali i wreszcie w całym kraju nie było miejsca, gdzie nie lałyby się łzy.

I dlatego Padraic któregoś dnia zaczął szeptać piękną opowieść do ślicznego uszka Deirdre:

— Muszę wyjechać do Ameryki. Za trzy miesiące nie nadążysz zgarniać swymi małymi rączkami złota, jakie ci przyślę.

A nie minie rok, jak hrabia Padraic Conmaire w eleganckim cylindrze i wytwornym ubraniu jechać będzie przez swoje pola na pełnej krwi rumaku, a obok niego piękna żona Deirdre, strojna nie tylko w klejnoty i aksamitną suknię, ale i płaszcz jego miłości.

Była to cudowna wizja, Deirdre uwierzyła w nią, a co gorsza uwierzył w nią również Padraic. Niestety Ameryka nie była taka, jak głosiły legendy. Tutaj był kopniak, a tam przekleństwo i każdy traktował z góry Irlandczyka. Padraic Conmaire był jednym z wielu, którzy opuścili smutny kraj ojczysty. Słabsi emigranci zostali w miastach. A dumni i odważni poszli na zachód, żeby kłaść lśniące szlaki kolejowe przez góry i równiny. Trudna to była i ciężka praca za niewielkie wynagrodzenie, ale trzeba było jakoś zacząć. Wielu zachorowało na żółtą febrę, wielu zmarło, ale na ich miejsce zawsze przychodzili nowi.

Jednak Padraic był dumnym człowiekiem. Czyż człowiek dumny może napisać swojej królowej, że złoto nie leży na ulicach? Czy może się przyznać, że upłynie rok, zanim odłoży parę centów? Nie, nie może. Może tylko zachować tę okrutną prawdę dla siebie i dalej harować.

Zwykle w dniu wypłaty na najbliższej stacji odbywało się wściekłe pijaństwo, ale Padraic najwyżej tylko zwilżył gardło, nic więcej. Był tam jednak pochodzący ze Sligo w Irlandii wielki, zwalisty chłop, o byczym karku i potężnych ramionach. Któregoś dnia wlepił świńskie oczki w Padraica i obrzucił go stekiem wyzwisk.

— Ja mam z tobą na pieńku i nie myśl, że pozwolę ci uciec.

Padraic roześmiał się dobrodusznie. To był piękny dzień, w kieszeni brzęczały mu pieniądze dla Deirdre.

— Ach ty zabijako! Takiś mocny tylko w pysku — roześmiał się. — Kiedy ty się możesz ledwie pozbierać, twoje ofiary spokojnie sobie siedzą w domu i opijają zwycięstwo nad tobą.

— Zaraz się przekonamy — powiedział człowiek ze Sligo zdejmując koszulę.

— Dobrze, zaraz się przekonamy — odparł rezolutnie Padraic i również zdjął koszulę. Ukazały się mocne węzły jego muskułów grające pod złocistą, opaloną skórą.

Człowiek ze Sligo był silny i szybki, i Padraic kilka razy został powalony na murawę. Ale za każdym razem zrywał się szybko, zwinnie, z uśmiechem i znowu stawał do walki.

Wreszcie zadał przeciwnikowi straszny cios i aż zamknął oczy widząc, jak ten uderza głową o szyny.

I tak pieniądze Deirdre musiały iść na zapłacenie rachunków szpitalnych człowieka ze Sligo, odesłanego do miasta. A za niewielką sumę, jaka mu została, Padraic upił się do nieprzytomności.

Tuż przed następną kwadrą i wypłatą przyjechał pociąg z robotnikami. Ostatni wysiadł z niego Michael Noolan z Ballyshannon. Był to człowiek chudy jak szczapa, smutny i zawsze skwaszony, mówiący gorzkie słowa. Z głęboko osadzonych oczu źle mu patrzyło.

— Michael Noolan — zawołał Padraic swym dźwięcznym głosem — przywiozłeś mi jakieś wiadomości?

— Tak, Conmaire, mam dla ciebie wiadomości — powiedział cicho z oczami wbitymi w Padraica.

A kiedy Padraic podszedł do niego, oczy Noolana napełniły się łzami i wydał z siebie głos wysoki, przenikliwy, jak krzyk płaczek czuwających przy zmarłych, i wyrzekł tylko jedno słowo, a tym słowem rzucił przekleństwo na Padraica Conmaire tak, jakby był starym czarownikiem.

— Deirdre! — padło słowo, jakże pełne ukrytego znaczenia.

— Na miłość boską, nie żyje? — krzyknął Padraic.

— Zabita — powiedział Michael Noolan bezbarwnie, z roztargnieniem rzucając przekleństwo. I nigdy dotąd Padraic nie przypuszczał nawet, że mały Michael Noolan kochał złocistą Deirdre. Z tego, co opowiedział,

wynikało, że Michael tulił ją, kiedy umierała, i że to była chwila jego gorzkiego triumfu.

— Kto? — spytał Padraic czując, jak narasta w nim gniew.

— Trzech było morderców: pierwszy smutek, głód był drugi, a ostatnim był dumny Padraic Conmaire. Nie przysłał nigdy ani pensa, nie napisał ani słowa ten dumny Paddy.

Twarz Padraica skamieniała. Widząc to Michael schylił się z kwaśnym uśmieszkiem i splunął na ziemię. Długo czekał na ten dzień. Padraic odwrócił się bez słowa i zaczął iść przed siebie. Doszedł do końca szyn i podkładów, potem skręcił w swoją drogę bez kresu i ruszył w nicość równiny. O zmierzchu był małą poruszającą się plamką na obrzeżu płonącego widnokręgu. W noc wkroczył tym samym równym krokiem. O zachodzie słońca następnego dnia upadł szarpiąc pazurami ziemię, a spuchnięty język rozsadzał mu usta.

Aż nagle poczuł słodycz wody w ustach i czyjąś łagodną rękę pod głową i usłyszał głos mruczący coś cicho w nieznanym języku. Gdy otworzył oczy, ujrzał twarz o dużych czarnych smutnych oczach i wielką szramę rozcinającą zniekształcony nos. Nieznajomy był ciemny jak Cygan. Za nim półkolem stało z dziesięciu jeźdźców ubranych malowniczo w wielkie kapelusze, błyszczących od srebrnych ozdób. Na ich czele stał człowiek dosiadający wielkiego czarnego ogiera, a na człowieku tym znamię mocy, siły i zła było tak mocno wyryte, jakby je kto wypalił gorącym żelazem. Padraic poczuł drżenie i zrozumiał, że ten człowiek będzie miał jakiś wpływ na jego życie, że o tym człowieku mówi wiele ludzi, ale nikt nie mówi o nim dobrego słowa. Był to olbrzym o długich nogach, które mu zwisały z konia. W jego ciemnych oczach tańczyły złe ogniki. Twarz miał szeroką, pooraną głębokimi dziobami po ospie. Parsknął, kiedy z góry uśmiechnął się do Padraica, jak gdyby z trudem panował nad swą utajoną siłą, niby nerwowy koń, który gryzie wędzidło.

— Wstań i idź, gringo — powiedział ostro obcym akcentem.

Padraic powoli potrząsnął głową.

— Nie chcesz, to cię zmuszę.

Jego bat był piękny, ciemny i lśniący, w groźnych zwojach leżał na łęku oryginalnego siodła olbrzyma. Uniósł rzemień i najpierw strzelił z niego, a potem cofnął nieco konia, kierując nim za pomocą dotknięcia kolan, i nagle bat stał się żywą istotą w jego ręku tworząc wielkie S w powietrzu. Rzemień liznął najpierw kostkę lewej nogi Padraica, potem prawej. Olbrzym roześmiał się ukazując długie, żółte zęby. Padraic, dumny Padraic, posłuchał bata i zrobił sześć, może osiem kroków, nim upadł.

Następne uderzenie bata spadło jak młot na jego twarz, trafiając w łuk nosa i miażdżąc jego grzbiet. Padraic runął jak podcięte drzewo.

Ocknął się czując, że policzkiem ociera się o zad koński. Leżał twarzą w dół, na koniu, który się poruszał. Łagodna ręka dotknęła jego pleców i ten sam co przedtem głos zagadał do niego. Chwilami otaczało go światło dzienne, chwilami ciemność. Czasem ktoś wlewał mu siłą wodę do ust, a on bełkotał coś bez związku i płakał w gorączce.

Obudził się w małej izdebce, na zewnątrz panowała brzęcząca cisza. Koło jego łóżka stał gliniany dzban z wodą, którą wypił chciwie. Potem znowu zasnął, a kiedy się obudził, poczuł przemożny głód zwiastujący powrót do zdrowia.

Wtedy wyszedł niepewnie na długi chłodny korytarz i dojrzał stamtąd prostokąt zieleni, gdzie szemrała fontanna i gdzie szumiały chłodne drzewa, usłyszał też melodyjny głos dzwonu.

Nagle za jego plecami rozległ się niski, łagodny głos, odwrócił się więc i zobaczył księdza.

— Witaj, Łazarzu — powiedział ksiądz po angielsku. — A więc powstałeś z grobu.

Był to wysoki, mocno zbudowany człowiek Z dużym opiętym sutanną brzuchem; oczy błyszczały mu dobrocią, a rozwichrzona strzecha białych włosów sterczała na wszystkie strony.

— No jak tam, dobrze jest żyć, co? — spytał ksiądz z uśmiechem.

Padraic głęboko wciągnął powietrze i przekonał się, że dobrze jest żyć.

— Gdzie jestem i kto mnie tu przywiózł? — spytał.

— Jesteś, synu, w Misji Świętego Gabriela. Mały Eusebio sprawił ten cud.

— To pewno ten ciemny mały człowiek z dużą blizną.

— Tak. Ta blizna to sprawka El Satiro. Niektórzy nazywają go El Fuete. I słusznie go tak nazywają. Z tym swoim batem to szatan wcielony, okrutnik wobec kobiet. Eusebio ryzykował życiem przywożąc cię tutaj. El Satiro zostawił cię, skazując na śmierć.

— Czyż nie ma tu żadnego prawa? — spytał Padraic.

— Tutaj, przyjacielu, jest Meksyk, rządzi El Satiro i jego prawo. — Ksiądz spojrzał na Padraica swymi dobrymi oczami i zadał nagle pytanie i — Czy jesteś ścigany?

Padraic powoli potrząsnął głową.

— Czyż człowiek sam siebie może doścignąć? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

A ksiądz odparł na to dziwne pytanie ze smutkiem, jak gdyby domyślał się jego treści:

— Chodź za mną, synu, i niech zmarli grzebią swych zmarłych.

I tak Padraic Conmaire zaczął w misji nowe życie. Siły wracały mu szybko, ale nos jego pozostał zniekształcony, a oczy, dawniej tak roześmiane i błyszczące, stały się zamyślone. Były teraz bez wieku, obojętne. Nie złożył żadnych obietnic, żadnych przysiąg, ale dawny ogień zgasł w nim. Walka z człowiekiem ze Sligo zabiła Deirdre tak, jak gdyby uderzył ją nożem. Głęboko w serce zapadło mu przekonanie, że nigdy więcej nie wolno mu w gniewie uderzyć człowieka.

Miesiące mijały szybko na pracy i śnie, mówił niewiele. Jeśli do wioski przyjeżdżał El Satiro, żeby się wieczorem napić wina, Padraic opuszczał swój podobny do celi pokoik i spędzał noc na równinie pod gwiazdami. Nigdy z nikim nie będzie walczył. Razem z nim uciekał drżący ze strachu mały Eusebio, który kiedyś miał w swych rękach życie Padraica. Leżąc tak, wpatrzony w gwiazdy, Padraic uświadomił sobie, że nawet nie podziękował Eusebio.

Zycie w misji toczyło się spokojnym rytmem. Meksykanie i Indianie mieli tu lekką pracę i spali długo w popołudniowym upale, a wieczorami grali na gitarach podsycając dogasające węgle ognisk i śpiewając. Ksiądz był człowiekiem wyrozumiałym. Często kładł rękę na ramieniu Padraica. Pomału dowiedział się całej historii, a że był cierpliwy, zaczął potajemnie, przebiegle dążyć do tego, by Padraic stał się znowu człowiekiem wedle swoich możliwości.

— Łazarzu — powiedział na przykład, nazywając go imieniem, jakim obdarzyła go wioska. — Proszę cię, wyświadcz mi pewną przysługę. Tuż za zakrętem rzeki jest kawałek ziemi. Teraz to nędzny ugór. Ale może byście tak z Eusebio zbudowali tam niewielki dom i przygotowali ziemię pod uprawę kukurydzy i fasoli?

Padraic spojrzał na niego martwo i skinął głową.

— Jak ojciec sobie życzy, mnie tam wszystko jedno.

Przygotowanie ziemi, sianie, cud pęcznienia i kiełkowania nowych roślinek napełnia serce człowieka, który sam przy tym dojrzewa, głęboką radością, i wiele może uleczyć. Istnieje w człowieku silna potrzeba włączenia się w ten wielki cykl.

Również budowa domu rozgrzewa serce. Zwłaszcza budowa domu z cegieł suszonych na słońcu, uszczelnianych słomą. Każdą cegłę kształtuje ludzka ręka. Padraic sam robił cegły, formował je, uklepywał i suszył na słońcu. Układał warstwy, jedną na drugiej, a kiedy ściana rosła, coś rosło w nim również. Kiedy dom został ukończony, wraz z Eusebio zrobili sobie meble z wikliny i niewyprawionej skóry. W łagodnie zapadającym zmierzchu siadywali razem ćmiąc papierosy i obserwując powolny rytm życia toczącego się wokoło — mruganie ogni, zabawę dzieci, miarowe ruchy kobiet przygotowujących wieczorne tortille. Było to jak balsam dla Padraica.

Wieczorami odwiedzał ich ksiądz, żeby wypalić fajkę i porozmawiać powoli o drobnych, nieważnych sprawach.

Zdarzało się, że przechodziły tamtędy dziewczęta. Często matki same je wysyłały. Mimo okaleczonej twarzy Łazarz był przystojny i umiał pracować. Na żadną nawet nie spojrzał.

Lecz któregoś dnia przyszła dziewczyna jak marzenie. Szła z dzbanem wody na głowie, a jej bose nogi stawiały drobne, płynne kroki, tak charakterystyczne dla kobiet noszących ciężary na głowie, wyprostowana była jak saguaio, z jędrną piersią i spokojną uroczą twarzą niby zorza poranna.

Ksiądz westchnął głośno.

— Ai, Dios — powiedział cicho. — Jakże ciężko jest nieraz być człowiekiem wybranym przez Boga. To biedna sierota, przeganiana z domu do domu, bita i pogardzana. Nikt z wyjątkiem mnie nie dba o nią. Kiedy El Satiro był tu ostatnio, wpadła mu w oko i następnym razem z pewnością zabierze ją ze sobą. Pobawi się nią kilka dni i rzuci jak śmieć któremuś ze swych dzikusów. A ja na to nic nie mogę poradzić. —

Potrząsnął głową i znowu głęboko westchnął. Padraic poruszył niespokojnie głową. Coś mu drgnęło w głębi serca.

Następnego wieczoru dziewczyna znowu przeszła i znowu, a ksiądz głęboko wzdychając potrząsał głową i użalał się nad nią, nad jej samotnością.

Padraic podniósł głowę wysoko, popatrzył na uroczą postać i spytał cicho:

— Jak ma na imię?

— Maria de la Luz. Maria Świetlista odparł szybko ksiądz. — Niech matka jej będzie błogosławiona za to, że dała jej takie imię, gdyż żadne inne nie pasowałoby do niej. Ona jest słońcem swego dnia. I pomyśleć, że może się znaleźć w pazurach tej bestii. — Znowu westchnął przeciągle i rzucił ukradkowe spojrzenie na Padraica. — Gdyby jakiś mężczyzna ożenił się z nią, można by się zająć całą sprawą. Z pewnością nawet El Satiro czułby respekt dla więzów ślubnych. Ach biedna, biedna dziewczyna. — Nagle schwycił Padraica za ramię. — Zrób chrześcijańską przysługę, okaż miłosierdzie. Weź ją do swego domu. Niech ślub będzie fikcyjny, jeśli chcesz. Ale pomóż mi uratować ją przed nim.

Ale Padraic zadrżał.

— Ojcze — powiedział ochryple — ze mnie przecież jest zaledwie połowa człowieka.

— Daj spokój, chodzi tylko o chrześcijańskie miłosierdzie.

I Padraic, nie rozumiejąc swych dziwnych tęsknot, zgodził się. Był to ślub bez uczty weselnej. Kiedy wyszli z kościoła i mieli udać się do małego domu Padraica, Maria de la Luz została w tyle, jak to przystoi kobietom.

Lecz Padraic zatrzymał się, wziął ją delikatnie za ramię i skłonił, by szła obok niego. Uśmiech jej był nieśmiały, łagodny, świadczący jednak o głębokiej radości.

I tak Padraic Conmaire nie cofnął się przed nieoczekiwanym zakrętem swej drogi. Wziął Marię de la Luz do nowo zbudowanego domu. Ona zyskała mężczyznę, który miał jej bronić, a Padraic łagodną kobietę, która mu gotowała posiłki. Ale były jeszcze różne inne rzeczy, które dla niej robił albo które jej zawdzięczał, i stało się tak, że przestał cały dzień wyłącznie myśleć tylko o sobie i swoim smutku.

Któregoś wieczoru przyszedł do ich domu ksiądz i odkrył coś, co sprawiło, że uśmiechnął się nieznacznie, ze wzruszeniem. Ujrzał bowiem w tym domu radość i harmonię, a nie przypuszczał, że tak szybko to nastąpi. Upewnił się co do tego wtedy, gdy zobaczył, jak Padraic ukradkiem pogładził lśniącą głowę Marii. Oto dom, w którym panuje miłość. Gdzieś, w miękkiej ciemności nocy, odnaleźli siebie. Dwoje biedaków odnalazło cudowny dar miłości. Z obojga promieniował spokojny blask, na który ksiądz patrzył z zachwytem. Tworzyli jedno, a mimo to ksiądz nie czuł się intruzem.

Padraic nie złożył żadnych obietnic ani wielkich przysiąg, ale jego nienawiść do przemocy utkała mocną sieć, a jego uczucia były jak przysięgi.

Jakiś Indianin zakradł się na jego pole i zabrał mu zboże, a Padraic nie powiedział mu ani słowa. Leniwy Emeterio puścił samopas swoje krowy, które stratowały winorośl i fasolę, lecz Padraic też nic mu nie powiedział. Antonio pożyczył kiedyś konia, co potem weszło mu w zwyczaj: zabierał go z corralu i nadużywał tak jakby należał do niego, a Padraic spuszczał tylko oczy i milczał. W łagodnych oczach Marii de la Luz zaczął się pojawiać jakiś cień.

Któregoś wieczoru do wioski przybył El Satiro, pijany i wściekły. Pochwycił na plaża małego Eusebio i gonił go z jednego rogu w drugi, a biedaczysko uciekał z płaczem, zaś El Satiro ryczał ze śmiechu wyrywając mu za każdym uderzeniem bata kawałki ciała.

Padraic i Maria de la Luz stali w cieniu.

— Twój przyjaciel potrzebuje pomocy — powiedziała cicho.

Padraic zaczął drżeć, odwrócił się zakrywając dłonią oczy.

Nagle El Satiro dostrzegł ich, przesadził na swym ogierze niski mur i zatrzymał się szydząc:

— Chodź bliżej, gringo. Czy nabrałeś już odwagi? Dlaczego nie siedzisz w mysiej dziurze? — Roześmiał się głośno jak szaleniec i trzasnął z bata. — Uciekaj, gringo, znajdź sobie mysią dziurę! Uciekaj!

Padraic stał skamieniały, z twarzą ukrytą w dłoniach, nie chroniąc się przed rzemieniem. Na oczach Marii de la Luz jej mąż został upokorzony wobec całej wioski.

— Był to mały prezent ślubny od El Satiro — roześmiał się bezczelnie napastnik zwijając bat. — A jak ciebie zechcę, moja gołąbeczko, to cię sobie wezmę — powiedział do Marii de la Luz, ukazując czerwony koniuszek języka. — A tobie, zwanemu Łazarzem, dam inne imię. — Splunął na spuszczoną głowę Padraica. — Twoje nowe imię będzie Gringo Mysz.

I choć cała wioska wiedziała, że bandyta był szaleńcem i okrutnikiem, to jednak przyjaciel jest przyjacielem, a duma...

— Lepiej byłoby umrzeć — powiedział ktoś odważnie, bo łatwo się takie rzeczy mówi. Ale od tego wieczoru przestali nazywać Padraica serdecznym imieniem Łazarza, tego, co wstał z martwych. Niektórzy odwracali się i spluwali, kiedy koło nich przechodził. Mali chłopcy, tak zawsze skorzy do okrucieństwa, przebiegali koło niego, strzelając z wyimaginowanych batów, a co śmielsi wykrzykiwali imię, którym go obdarzył El Satiro.

I tak zaciszny domek Padraica stał mu się trumną. Mały Eusebio przyszedł do niego, pomny dawnych więzów, ale Maria de la Luz uciekła przed nim, nie chcąc słuchać błagań Eusebio, by wybaczyła mężowi tchórzostwo, gdyż wstyd za niego sprawił, że serce jej stało się jak kamień. Kiedy udawała się na rynek, szła szybko, ze spuszczoną głową. Jeszcze tak niedawno życie uśmiechało się do niej, teraz czuła kamień w piersiach, w ustach zaś smak popiołu.

Dnie mijały, a oni byli smutni. Padraic trzymał się domu, pracował w polu, a czasem spoglądał w niebo i drżał. Oczy mu się zapadły, a od nosa do ust utworzyły się głębokie bruzdy.

Był to czas oczekiwania. I pewnego dnia oczekiwanie to się skończyło. El Satiro na wielkim, spienionym czarnym ogierze przeskoczył mur misji, ściągnął konia z taką wściekłością, że zwierzę aż stanęło dęba, i zawołał do księdza:

— Ole! Mężczyzno w spódnicy! — ryczał. — Upiecz tłuste cielę i przynieś wina! Będziesz miał wesele! El Satiro bierze sobie żonę!

Pobladły ksiądz spojrzał na niego.

— Kogo?

— Małą gołąbeczkę Gringo Myszy — roześmiał się.

— Ona jest zaślubiona — odparł ksiądz uśmiechając się blado.

— Będzie wdową w przeciągu godziny — obiecał El Satiro uderzając się po kolbie pistoletu.

Ksiądz wysłał czym prędzej małego chłopca do domu nad rzeką, żeby powtórzył Padraicowi słowa El Satiro. Kiedy przybył zdyszany na miejsce, ci dwoje spojrzeli na siebie przeciągle.

— Mam więc iść, mężu? — spytała Maria de la Luz z największym spokojem.

Padraic pochylił głowę, spojrzał w ziemię, a potem wokoło, na to wszystko, co było treścią ich spokojnego życia.

— Pójdziemy z nim porozmawiać — powiedział wreszcie.

Maria de la Luz, ze spuszczoną głową, poszła się pakować.

— Co robisz, moja najmilsza?

— Zabieram z tego domu rzeczy, z którymi tu przyszłam.

— Przecież ci powiedziałem, że z nim porozmawiam.

— Jeśli tylko to zamierzasz zrobić, to te rzeczy będą mi potrzebne.

I Padraic znowu pochylił swoją piękną głowę i wyszli razem z domu idąc wzdłuż zagonów swojej uprawnej ziemi, gdzie razem pracowali, a potem do misji, aż wreszcie znaleźli się na plaża przed El Satiro.

Zobaczył ich od razu, roześmiał się i oblizał wargi czerwonym językiem, a potem strzelił z bata, tak że owinął się on wokół wąskiej kibici Marii de la Luz. Oniemiałą przyciągnął rzemieniem do swojej nogi. Spojrzał na nią czarnymi szalonymi oczami i znowu oblizał wargi, wreszcie powiedział ze śmiechem:

— Przyda ci się prawdziwy mężczyzna na trochę, co?

Rozluźniła opasujący ją rzemień i obróciła się, by dumnie spojrzeć na Padraica Conmaire, któremu zadała tylko jedno pytanie:

— Mężu, czy mam ci przynieść twojego syna, jak się urodzi?

Padraic usłyszał jej słowa. Uśmiech, jakim ją obdarzył, był niezwykle łagodny. Uniósł bladą twarz i odpowiedział cicho, mówiąc jakby do siebie:

— Nigdzie nie pójdziesz, najmilsza. Bo gdybyś odeszła, ja bym nie żył. A cóż znaczą uczucia i lęk dla umarłego?

Głęboko odetchnął i spojrzał uważnie na wielkiego, ciemnego mężczyznę na rosłym koniu. W oczach zabłysnął mu ten sam ognik co w oczach El Satiro. Słaby uśmiech rozjaśnił jego twarz ze złamanym nosem.

— Długoś czekał na śmierć. Teraz utoczymy sobie krwi! My, dwaj mordercy. Złamałem swoje przyrzeczenie, strach mnie opuścił, a ty jesteś martwym człowiekiem. — Glos jego brzmiał śpiewnie.

Szaleniec na ogierze trzasnął z bata widząc przed sobą odmienionego Padraica i powiedział:

— Ty morderca? Ty jesteś mysz. Dałem ci nowe imię. Zbiję cię, że mnie popamiętasz.

Padraic skinął głową, ciągle uśmiechnięty. Zbliżył się do konia.

— Ach, ty trupie. Może mnie i zbijesz, ale ty będziesz leżeć martwy na ziemi, z moimi rękami zesztywniałymi na gardle.

Głęboko w jego sercu śpiewała radość człowieka wyzwolonego, który przezwyciężył dawną chorobę, a i w jego uszach narastał dźwięk ostrzonej stali. Przejęty tym potężnym dźwiękiem, aż zadrżał, a El Satiro widząc to znowu się odezwał:

— Nie drżyj! Najpierw będzie małe bicie.

Rzemień trzasnął obcinając kawałek ucha Padraicowi, który dotknął małżowiny i ze zdumieniem zobaczył krew. Wewnętrzny glos przeszedł w krzyk wściekłości, a kiedy bat świsnął po raz drugi, Padraic błyskawicznie schwycił rzemień żelazną dłonią, jak gdyby łapał muchę. Nagły skręt ciała i jeździec został wyrwany z siodła.

El Satiro spadając sięgnął do pasa, lecz nagle jakaś drobna postać oderwała się od tłumu gapiów i mały Eusebio, z pokancerowaną twarzą, rozjaśnioną teraz uśmiechem, wybrawszy starannie miejsce kopnął bandytę w napięstek i wytrącił mu pistolet z ręki. Podniósł broń, dysząc ciężko przysiadł na ziemi u stóp tłumu i mierząc w świtę El Satiro niepostrzeżenie palcami wolnej ręki dotknął blizn na nosie.

Tak więc stanęli twarzą w twarz. Dwaj mężczyźni oszaleli z wściekłości. Irlandczyk opanowany odwiecznym szałem, dającym mu siłę dziesięciu szalonych. „Krwi” - wołał odwieczny głos i Padraic ruszył naprzód z twarzą skamieniałą w strasznym uśmiechu, żeby uciszyć ten śpiew. Jego ciemny wróg, wściekły od nie zaspokojonej żądzy krwi, nigdy nie pobity, chciał złamać, uciszyć dziki krzyk swej własnej krwi.

Zwarli się ostro i olbrzym poczuł silny chwyt. Gdy tak stali mocując się, czarny roześmiał się cicho, gdyż czując siłę przeciwnika, wiedział, że ta walka sprawi mu dużą przyjemność.

Kiedy kroczyli powoli wokoło, aż grały im mięśnie ud, a lędźwie napięte były od wysiłku, Padraic uśmiechał się zimno, zaś twarz jego była lodowata i głos metaliczny. Mówił cicho, jak gdyby głęboko w gardle miał ukrytą trąbkę z brązu. Mówił słowa, jakie mężczyźni mówią wrogom, których chcą zabić; w ręku swym miał życie ciemnego mężczyzny i wiedział o tym ze straszliwą pewnością.

Kilku widzów jęknęło obserwując walkę, kilku krzyknęło ochryple, bowiem i w nich budził się ten zwierzęcy zew, a kilku odwróciło głowy.

Wrogowie walczyli wściekle - kopiąc, uderzając kolanami, butami, gryząc i zadając ciosy. Ziemię zrosiła krew, a kiedy osłabli od walki, walczyli na kolanach; a kiedy nie mogli utrzymać się na kolanach, zlani potem i krwią zwarli się na czworakach jak dwa warczące psy z obnażonymi zębami, z oczami pełnymi łez.

Wreszcie czarny olbrzym poczuł, że powoli narasta w nim strach. Zaczął pojmować, że choćby nie wiadomo co robił, jego przeciwnik się nie podda, i przypomniał sobie słowa Padraica, jak to zaciśnie na jego szyi

palce i jak on umrze w tym uścisku. Nagle zrozumiał w panice, że gdyby nawet wydarł pazurami serce z piersi Padraica i trzymał je pulsujące w dłoni, Padraic wcale by o tym nie wiedział, tylko nadal zadawał i parował ciosy.

Padraic schwycił wielkie ramię El Satiro w okrutny chwyt, aż od wysiłku wygięły mu się plecy. A kiedy ramię olbrzyma trzasnęło głośno wśród napiętej ciszy wstrzymanych oddechów, bandyta krzyknął i potoczył się uwolniony od przeciwnika. Ale Padraic natychmiast podpełzł do niego, z palcami zgiętymi w stalowe szpony, i rozżarzone do białości oczy utkwił w jego pulsującym, nabrzmiałym gardle. I wszyscy wiedzieli, że teraz go zadusi. Ale któż by znalazł dość odwagi, żeby go powstrzymać albo zabronić mu tego?

Dopadł wroga, oczy El Satiro, który już miał głośno krzyknąć z przerażenia, były szeroko otwarte, kiedy Padraic uniósł swe zakrwawione ręce i zatrzymał ten ledwie poczęty krzyk. Gdy jednak zanurzył dłonie w gardle bandyty, Maria de la Luz wybiegła z tłumu i padła na kolana tuż przy nim. Przycisnęła usta do jego ucha i coś zaczęła mu szeptać, przekładać, kruchą dłonią szarpiąc go za rękę.

— Chodź ze mną, serce mego serca i miłości mej miłości i nie zabijaj tego łotra. Na moją miłość błagam cię, nie rób tego. Jego śmierć na zawsze nas rozdzieli, a ja pragnę urodzić ci syna, by nas łączył.

Kamienna twarz Padraica złagodniała, zaczął ciężko, urywanie oddychać i nie rozluźniając straszliwego chwytu odwrócił się, by na nią spojrzeć. Maria de la Luz popatrzyła mu prosto w twarz, a w spojrzeniu jej promieniała cała miłość i łagodność. Kiedy oczy El Satiro zaczęły wychodzić z orbit i jego twarz stała się czarna, Padraic Conmaire zrozumiał intencje żony mimo ogromu własnego szaleństwa i rozluźnił chwyt.

Potem wstał, wyprostował się i spojrzał wokoło na świat, który stał się dla niego nowy, ale zaraz upadł ze straszliwego zmęczenia, a ona wzięła jego głowę w ramiona, okaleczoną przytuliła do piersi i zaczęła coś mu szeptem mówić. I trwała tak, a na jej obliczu malowało się całe cierpienie tej straszliwej walki, która się odbyła i którą ona wygrała. Na twarzy Padraica również zapanował spokój.

Pięknie było na nich patrzeć. Dla Padraica Conmaire to był koniec drogi; przestał raz na zawsze szukać i gnać przed siebie, odnalazł bowiem swoje królestwo.

Tłumaczenie Irena Doleżal-Nowicka

**Max Evans**

## Most Wielkiego Shada
(Big Shad's Bridge)

### 1

— Tam, na prawo od tej zielonej doliny, jest przeprawa Romo — Les Martin objął Doreen jedną ręką, drugą zatoczył łuk od pokrytych lasami gór, widniejących w oddali za roztaczającą się przed nimi pustynią po czarną krechę gardzieli Rio Grandę. — Jak się tam dostaniemy, najgorsze będzie za nami. Przeprawimy się i pójdziemy prościutko wzdłuż rzeki do samego Meksyku.

Patrzyła chwilę, potem podniosła trójkątną twarzyczkę z ciemnymi skośnymi oczami.

— Jesteś pewny, całkiem pewny, Les? Tyle ludzi o tym marzyło i nie udało im się.

— Zrozum, kochanie, mówię ci, że wszystko jest przygotowane. Pracowałem nad tym ponad rok, przewidziałem nawet, że coś może nie klapować. Jesteś moją maskotką, łapką królika — mocno ją do siebie przytulił. — Jeszcze tylko cztery dni, maleńka. Za cztery dni wrócę tu ze złotem. I wtedy zacznie się dla nas nowe życie. Nie będziesz już miała do czynienia z pijanymi górnikami i kowbojami — w jego przenikliwych oczach malowało się zdecydowanie.

— Proszę, Les, nie mów już o tym.

— Przepraszam, kochanie, chciałbym tylko tak bardzo, żeby teraz wszystko było dobrze, dla ciebie i dla mnie — patrzył na nią tkliwie, wydawała mu się taka malutka i krucha jak koliberek. Służyła przedtem w hotelu jako pokojówka i sprzątaczka, ale miał do niej zaufanie. Była teraz jego kobietą. Mężczyźnie nie można wierzyć, że wytrzyma cztery dni pełnego udręki wyczekiwania, a jeśli mu zaufasz, to możesz się spodziewać, że strzeli ci za takie utrapienie w plecy. Co innego zakochana kobieta! Możesz jej wierzyć, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto jej tę miłość wyperswaduje. Tak to sobie Les wyobrażał. Ej, Doreen będzie czekała, gotowa w razie potrzeby oddać życie za ich ucieczkę. W to Les wierzył.

Uścisnął ją na pożegnanie, raz jeszcze popatrzył na chatę, żeby się upewnić, iż będzie tu bezpieczna, po czym dosiadł szarego wałacha, trzy inne konie poprowadził luzem i odjechał nie odwracając się już, by spojrzeć na jej drobną postać.

### 2

Nad mostem swym czuwał człowiek wielkiej potęgi, o niezłomnej decyzji, człowiek umiejący rzucać wyzwanie losowi. To był jego most z tytułu prawa własności, z racji polotu myśli, dlatego, że był człowiekiem zuchwałym, kipiącym energią. Nie było to przedsięwzięcie łatwe, z pewnością nie! Rio jest zdradliwą, podstępną rzeką w każdej porze roku, a w początkowym okresie powstawania mostu pokazała cały swój niecny charakter.

Gdy Wielki Shad rozpoczął budowę wczesnym latem, wody rzeki wciąż jeszcze spływały niepohamowanym nurtem z ośnieżonych szczytów Kolorado i z północnego Nowego Meksyku. Miejscowi ludzie odmówili przeprawienia się wpław przez mulistą wzburzoną wodę z ciężkimi linami, a bez lin budowa nie mogła ruszyć z miejsca - ni ustawić kamiennych filarów, ni ułożyć desek! Oczywiście, mógł był poczekać, aż wody opadną, ale Wielki Shad nie należał do ludzi cierpliwych.

„Banda tchórzy — powiedział. — Dobra jest, sam to zrobię. Kiedy was najmowałem, chwaliliście się, że pływacie jak pstrągi, a teraz boicie się wody niczym farmerzy z pustynnych obszarów".

Obwiązał się sznurem i skoczył do rzeki. Raz, drugi, trzeci woda wciągała go w głąb. Na brzegu stali jego robotnicy, jego rewolwerowcy, znalazła się nawet jedna z dziewcząt z jego tancbudy. Wszyscy przyglądali się, bladzi i drżący, lecz nikt nawet się nie ruszył, by pomóc. Shad wypłynął walcząc potężnymi ramionami z rwącym prądem, bo to, o co walczył, znaczyło dla niego więcej niż życie. Most miał mu zapewnić całkowitą kontrolę nad ruchem do Taos i z powrotem. Przeprawa Romo, gdzie most miał stanąć, była jedynym miejscem, umożliwiającym dostęp do wąwozu, gdyż na przestrzeni dwudziestu mil w dół i w górę rzeki rozsiadły się po obu brzegach urwiste skały.

Shad był już właścicielem stołów gry we wszystkich barach w Taos, gdzie sprzedawał własną whisky, pędzoną we własnej destylarni. Do niego należały również dziewczęta z nocnych lokali, bo albo musiały pracować dla niego, albo wynosić się dalej w dół rzeki.

Długą drogę musiał przebyć, zanim się tego dorobił: począwszy od poganiacza bydła w Teksasie, gdy jako młody chłopak, sierota, przemierzał równinę, to rozmytą, deszczami, to spaloną żarem, aż do Dodge City i dalej; począwszy od popychla w kopalni do pomywacza w cudzej knajpie, gdzie wycierał z podłogi skutki ludzkich hulanek. Lecz wiele się nauczył i teraz długie palce Wielkiego Shada dotykały kart i kości do gry z czułością kochanka.

Owego pamiętnego dnia płynął przez tę rzekę śmierci i życia, o której przebycie pokusiło się wielu tylko po to, by posłużyć za żer rybom. Bo daje ona życie tym, którzy czują respekt przed jej wodami tworzącymi na przestrzeni dwóch tysięcy dwustu mil kręte meandry, pomaga pstrokatej fasoli i kukurydzy piąć się ku słońcu, poi jelenia i niedźwiedzia, kojota i borsuka i daje jeszcze wiele innego dobra.

Lecz teraz, u szczytu życiowego powodzenia Wielkiego Shada, gdy osiągnął bogactwo i potęgę, wsysała go, miotała jego ogromnym ciałem, wciągała w wir, okręcała sznurem, który miał ją zwyciężyć.

Walczył, dławiąc się i dusząc, oślepiony mulistą wodą, miotał się, obracał, skręcał i tak cal po calu przybliżał się do drugiego brzegu.

Dotarł. Wdrapał się na brzeg, przewracał się na zboczu, znów się zrywał; obrócił się wreszcie w stronę tych, którzy śledzili tę walkę, podniósł sznur wysoko nad głowę potrząsając nim triumfująco jak zwycięski gladiator. Włożył w budowę mostu całą swą duszę i most rósł, rozpiął się nad wodą i mógł teraz każdy przejść nad przepastną głębiną uśmiechając się do zielonej toni.

— Będzie gotów jutro? — Shad zwrócił się do małego człowieczka stojącego obok.

— Si, señor Shad, mañana, z pewnością — Fidel nie wiadomo czemu położył przy tych słowach rękę na rewolwerze zwisającym mu na biodrze.

— To dobrze, bardzo dobrze. Za dzień, dwa, zaczną pędzić owce. To będzie próba. Zatrzymamy pierwszych, a reszta już pójdzie w ich ślady jak zwierzęta, które pasą.

— Zatrzymają się, señor Shad, może pan być spokojny.

Tuż obok mostu ukończono właśnie budowę hotelu. Już wkrótce będzie miał w kieszeni całą okolicę. Wielki Shad dowiedział się, że niebawem przeprowadzona zostanie boczna linia kolejowa do Servietty z postojem kilka mil za rzeką. Łączyłaby ona Santa Fe z Denver. To będzie stacja postojowa jego dyliżansów, skąd pasażerowie podwożeni będą do jego mostu, za którego przekroczenie będą musieli płacić myto, tak jak hodowcy owiec. Potem przenocują w jego nowym hotelu. Następnego dnia dyliżans Wielkiego Shada zawiezie ich do Taos, gdzie zatrzymają się w jego hotelu, będą pili jego whisky, kupowali jego żywność i przegrywali pieniądze przy jego stołach gry.

A hodowcy owiec! Ułatwi im drogę do pastwisk zimowych w dolinie Taos za opłatą zaledwie dwudziestu pięciu centów od sztuki. Opłata za bydło, konie i ludzi wyniesie równo po dolarze.

Przerzucił dwururkę do drugiej ręki i powiedział:

— No to jutro, Fidel, zaczynamy interes, dobra?

— Si, mañana.

## 3

Orlando Espinoza stał w cieniu swego konia i przyglądał się psom zganiającym owce. Rozproszone przed nim stado posuwało się krok w krok za czarną kozą z dzwonkiem na szyi, a grzbiety owiec, rozkołysane w jednostajnym ruchu, przypominały morze wełny. W oddali, pomocnik jego, Ramon Gallegos, jadąc konno, to naprzód to z powrotem, zganiał zwierzęta oddalające się od stada. Myślał przy tym zapewne o swych siedmiorgu dzieciakach, stanowiących dla niego drugą połowę świata.

Obaj uzbrojeni byli w strzelby, a pomagało im pięć psów. Musiało ich być aż tyle, gdyż wokół czatowały wiecznie zgłodniałe kojoty, a owce były

tłuste owego łaskawego lata, kiedy obfitość deszczów napełniła każdą szczelinę pustynnych obszarów wodą. Szef będzie z nich zadowolony.

Owce przeprawiono przez Rio Grande na pastwiska letnie wczesną wiosną, kiedy woda była niska, a topniejące śniegi nie zdążyły jeszcze spienić rzeki. Teraz, pod koniec lata, wracali również przy niskim stanie wód, tak że owcom nie groziło niebezpieczeństwo.

Jutro po południu dotrą do przeprawy Romo, odpoczną jeden dzień, pozwolą owcom paść się na soczystej trawie, tam gdzie potok Hondo wlewa swe wody do rzeki. A potem dalej, do nawadnianych pastwisk doliny Taos. Tutaj stado przezimuje. Oczywiście, i tam będzie niewąska harówka, ale przedtem dostaną wypłatę, dziesięć dni spędzą w mieście, gdzie Orlando zaspokoi wreszcie pragnienie i tęsknotę za świeżą papryką i mięsem. Zarobek całego lata strwoni tam, użyje za wszystkie czasy, odbije sobie nie kończący się czas milczenia na bezludziu.

Zapadała noc. Światło gasło powoli, jakby walcząc o jeszcze jedną chwilkę istnienia, zanim ulegnie pomroce. W krzewach bylicy i szałwii nawoływały się kojoty, wyjąc i węsząc. Owce nastawiły uszu, lecz i psy nasłuchiwały ze zjeżoną sierścią, cicho warcząc, w każdej chwili gotowe stoczyć najdzikszy bój za swych panów.

Purpura nieba, przechodząca w tony żółtoczerwone, nie oddziaływała bezpośrednio na Orlanda i Ramona. Odczuwali piękno nie patrząc na nie, czuli otaczającą ich ciszę nie uświadamiając sobie tego. To byli prości, oddani ludzie. Poza owcami niewiele co znali. Całe życie spędzili na pilnowaniu mienia innych. Praktykowali u swych ojców, ledwie odrośli od ziemi i, gdyby nie jechali konno, nawet jednej mili nie uszliby na małych nóżkach bez odpoczynku. Tylko łagodna ręka mogła ukształtować z tych wrażliwych serc i umysłów to, czym się stały i czym już na zawsze pozostaną.

Wędrówka z owcami była niekiedy rozpaczliwym biegiem do przeprawy i jej życiodajnej wody. W okresach suszy bowiem, pod której działaniem pękała ziemia i skóra na ludzkich twarzach. rozpadliny z wodą odległe były od siebie o dwa, trzy dni drogi. Bieg do przeprawy stawał się wtedy kwestią życia i śmierci. Ileż pomysłowości i sprytu trzeba było, żeby zmusić stado do szybkiego tempa, by przetrwało tę wędrówkę.

Orlando zawsze umiał sobie poradzić. Tylko raz stracił w marszu trzydzieści sześć owiec. Opłakiwał je przez trzy lata, chociaż szef chwalił go, mówiąc, iż inne stada dotarły do przeprawy Romo uszczuplone o jedną trzecią. To jednak nie stanowiło dla Orlanda pociechy i starał się pracować jeszcze lepiej. Hodowcy liczyli się z tym, że straty spowodowane przez dzikie zwierzęta, posuchę i choroby muszą wynieść co roku dziesięć procent. Orlando postanowił zmniejszyć to do pięciu procent i, z wyjątkiem owego piekielnego lata, dotrzymał danej sobie obietnicy.

Zapadła krótka noc. Psy niewiele co spały, gdyż kojoty nie opuszczały stada, węsząc pod brudnym runem soczyste mięso. Ani jedna owca nie padła jednak ofiarą i Orlando mógł następnego ranka popędzić je ku rzece ze świadomością, iż dobrze służył swemu panu i odda mu całe stado zdrowych zwierząt, zdolnych przetrwać zimę i dać życie następnej wiosny wielu jagniętom. Słowem: w światku Orlanda wszystko szło dobrze.

## 4

Les wspinał się coraz wyżej, jadąc przez góry w kierunku miasta G. Prowadząc trzy konie luzem nie mógł posuwać się szybko naprzód. Długo je wybierał - wszystkie ciemnoszare. Po dwudziestu miesiącach pracy jako poganiacz bydła znał się na koniach, wiedział, jakie będą mu potrzebne: wytrwałe, zlewające się maścią z cieniami gór i niewidoczne nocą. Dwa pozostawił na łące koło chaty Doreen, niedaleko źródełka. Wszystkie były w dobrym stanie, ujeżdżone i od miesięcy zaprawiane do trudów.

Doreen była mu przy koniach ogromną pomocą i to ona właśnie nadała jego planom wielkiego skoku ważniejsze racje niż po prostu zdobycie pieniędzy.

Niedawno obrabował dworzec kolejowy na południu. Pierwsza wyprawa po zwolnieniu z więzienia. Sprawnie się uwinął. Rabunek pieniędzy na wypłatę w Hillsboro był jednym wielkim błędem. Miał złego konia, toteż wkrótce nakrył go szeryf Fred Gorman ze swym zbrojnym oddziałem. Gorman, wilk w ludzkiej skórze, urodzony łowca, ściganie ludzi miał we krwi. Zorganizował grupę na dobrze wytrenowanych koniach, miał ludzi na każde zawołanie. Dopadli Lesa, gdy wyczerpała mu się amunicja przy ostrzeliwaniu się na zbyt dużą odległość.

Co tu gadać, tym razem sprytniej się urządzi niż w Hillsboro. Teraz, kiedy Gorman znajduje się w mieście G, by trzymać tam rękę na pulsie w okresie prosperity, Les liczył nawet, że będzie mógł się na nim zemścić. Rozkoszował się tą myślą. Potem przypomniał sobie długie noce spędzone z Doreen w chacie łowcy wilków, dni wspólnej pracy, planowania wielkiego skoku, który na zawsze wyzwoli ich z poniżającej nędzy i dotychczasowego życia.

Doreen nie wierzyła mu, gdy mówił jej to owego wieczoru w nędznym hoteliku w Santa Fe.

— Wyciągnę cię stąd, dziewczyno. Będziesz tylko moją kobietą.

Cynicznie się roześmiała.

— Każdy pijany kowboj, co spędził ze mną noc, gadał to samo. Wszyscy jesteście jednacy.

Gdy Doreen miała siedem lat, została sama z matką. Ojciec, pijak, porzucił je, matka zarabiała na utrzymanie praniem bielizny w baraku na peryferiach El Paso. Piętnastoletnią Doreen wynajęła na sprzątaczkę w hotelu w mieście. Nie trwało długo, bo już w drugim dniu pracy któryś z szulerów pokazał jej, jak uzupełniać pobory służącej. Stosowała jego nauki przez osiem lat, dopóki Les nie wskazał jej lepszej drogi.

Nie było łatwo dojść z Doreen do ładu. Przysięgła, że ucieknie, gdy tylko Les się odwróci.

— Może, może dziewucho, ale jutro wyjeżdżamy — roześmiał się.

Następnego rana, kiedy goście odsypiali poprzednią noc, podjechał pod hotel, prowadząc jednego konia luzem, wszedł do Doreen, zakneblował jej usta, związał i wyniósł. Wsadził ją na konia, nogi przywiązał do strzemion,

a strzemiona związał pod końskim brzuchem. Siedziała teraz tak pewnie jak zawodowy ujeżdżacz dzikich koni.

Knebel wyjął, gdy znajdowali się już jakieś siedem mil za miastem, natychmiast zaczęła kląć, wyzywała go od głupców, przysięgała, że każe go aresztować za bezprawne uprowadzenie. Les tylko się śmiał i ją całował.

— Nie ma takiego prawa w Nowym Meksyku przeciwko mężczyźnie, co zdobywa sobie kobietę. A po prawdzie, to mógłbym jeszcze dostać nagrodę od miasta Santa Fe.

Wszystkie ich nieporozumienia zakończyły się w kilka dni później w samotnej chacie nad doliną Taos. Doreen uwierzyła mu i od tej chwili była mu całkiem oddana.

— A możesz uciekać — żartował z niej — zgubisz się w górach, to po pierwsze. A jak nawet znajdziesz drogę z powrotem, to dokąd pójdziesz? Wiesz, że ta stara wiedźma już cię nie weźmie do pracy, kiedy zostawiłaś ją bez żadnej pomocy.

— Ach ty ścierwo, ty parszywy szczurze, zabiję cię — złapała ostry nóż i rzuciła się na niego, lecz uskoczył i podstawił jej nogę. Potknęła się i wbiła nóż w ścianę tak głęboko, że nie mogła go wyciągnąć. Les chwycił ją za ręce i przyciągnął do siebie.

— Powinienem rozbić ci tę piękną małą główkę, ale mam lepszy pomysł — usiadł na pryczy, położył ją sobie na kolanach i walił w takt wrzasków, które po trochu przechodziły w zdławione łkanie.

Les nigdy nie mówił, że ją kocha. Było mu z nią dobrze i zwierzał jej się ze wszystkich planów. Przyznał nawet, że potrzebna mu jest jej pomoc.

Pewnego ranka, gdy wrócił po obrządzeniu koni w korralu, zastał ją przy szorowaniu podłogi. Wieczorem próbowała ugotować obiad, nie miała jednak pojęcia, jak zabrać się do pasków suszonej dziczyzny i do suszu owocowego. Les musiał jej pomóc.

Rozpoczynał pracą o wschodzie słońca, lecz robota wolno posuwała sią naprzód. Siodłał już drugiego konia dla siebie, kiedy spostrzegł zbliżającą sią do korralu Doreen.

— Osiodłaj i dla mnie — powiedziała po prostu — uporamy się z tym dwa razy prędzej.

Teraz wszystko poszło gładko. Konie nabierały coraz większej sprawności, wkrótce będą gotowe do drogi. Któregoś dnia doszli do wniosku, że mała przejażdżka do pierwszego źródełka poza terenem ich obozowiska dobrze koniom zrobi.

Była jesień. W rezerwacie panowała cisza, tylko lekki wiatr poruszał wierzchołkami złocistych drzew. Zsiedli z koni i poprowadzili je do zdroju. Les spętał je, a Doreen wyjęła z przytroczonej do siodła torby kilka pasków suszonego mięsa i suszone owoce. Usiedli na trawie, Doreen położyła jedzenie na swej rozpostartej spódnicy. Les przyglądał się jej ruchom pełnym wdzięku. Nagle oblała się ciemnym rumieńcem pod jego spojrzeniem. Chwilę siedziała bez ruchu, po czym zgarnęła jedzenie ze spódnicy z powrotem do worka.

— Coś ty, po co to robisz? — zapytał Les.

Nie odpowiedziała, wolno do niego podeszła i uklękła u jego boku. Objęła go za szyję, zdjęła mu kapelusz, zaczęła go delikatnie całować.

Niewiele mieli czasu przed odjazdem Lesa, lecz był to dla nich piękny okres. Doreen radowało wszystko, co mogła dla niego zrobić. Prała, utrzymywała chatę w nieskazitelnej czystości i nie ustawała w zachęcaniu go do wprowadzenia w czyn powziętych planów.

Les zatrzymał się przy źródle, zdjął z siodła jeden z powrozów i przywiązał pierwszego konia do pniaka. Starannie odmierzył długość, tak by szpak akurat dosięgał wody. Wokół kryształowego górskiego zdroju bujnie rosła soczysta, miękka trawa.

Szybko odjechał i w innym ustronnym miejscu przywiązał drugiego konia, znów dokładnie odmierzając odległość od wody. Już na długo przedtem wyrąbał wszystkie drzewa i krzewy nad źródłem, pozostawiając tylko jeden kikut. Aby zapobiec owijaniu się linki wokół pala, zabezpieczył ją tuż przy pniu łańcuchem, upewniając się w ten sposób, że sznur nie stanie się krótszy i koń będzie miał swobodny dostęp do wodopoju. Wszystko starannie opracował, każdy szczegół był przemyślany.

Zmęczony, pełen nerwowego napięcia, lecz radośnie podniecony, ruszył do ostatniego źródła, położonego powyżej miasta G. Zapadała noc, robiło się zimno. Otaczał go las osikowy, co wskazywało, że znajdował się na wysokości ośmiu do dziesięciu tysięcy stóp.

Zatrzymał się, przywiązał konia, zjadł trochę suszonego mięsa i moreli, by nabrać sił do dalszej drogi. Chwilę się przespał na derce, lecz wkrótce obudziło go przejmujące zimno. Leżał drżąc, patrzył w niebo przeświecające między grubymi drzewami i myślał o Doreen, o jej coraz większej serdeczności. Brakowało mu jej tej nocy. Lecz cóż to miało za znaczenie! Suma przeznaczona na wypłaty w mieście G była ogromna, teraz, kiedy kopalnie złota pracowały pełną parą, u szczytu koniunktury. Będą mieli dosyć by osiąść na jakimś malutkim, ślicznym ranchu w Meksyku.

Znał pewne miasto, około trzystu mil od granicy, znał jego mieszkańców i wiedział, że pieniądze te uczynią tam z niego króla, a z Doreen królową. Wiedział również, że wielu przed nim śniło ten piękny sen, krwawo przerwany kulą przedstawiciela prawa. Tamci jednak nie opracowali planu działania tak dokładnie jak on.

Paliła go żądza okrycia Gormana hańbą w jego własnym legowisku, zrabowania wypłaty, tak istotnej dla dobrobytu miasta, ośmieszenia szeryfa, być może do tego stopnia, że zostanie wyrzucony z urzędu, ba, nawet przepędzony z gminy. Wiele o tym myślał w swej małej, zaszczurzonej celi za wysokimi murami więzienia stanowego. Paliły go te myśli żywym ogniem. Gorman był wrogiem Lesa. Teraz Les weźmie na nim odwet. Zabić Gormana to nie dosyć.

Rozpierała go duma, czuł ogarniającą go falę ciepła. Słyszał pasące się zwierzęta. Niełatwo im przyjdzie dogonić trzy wypoczęte konie, chociaż obładowany będzie solidnie: złoto i zapas amunicji do strzelby i rewolweru, lecz przede wszystkim do strzelby. Miał już doświadczenie, że krótka broń nie na wiele się zda przy strzelaniu w górach na dużą odległość. Ten błąd kosztował go trzy lata katorgi więziennej. Już go nie

popełni. Przygotował Gormanowi kilka nielichych niespodzianek, zanim odbędzie się następna sesja sądu.

Świtało, gwiazdy na niebie pomału gasły w poświacie zbliżającego się dnia. Rozpalił małe ognisko, nadział paski mięsa na patyk i przygrzał je nad płomieniem. Zjadł, ile tylko mógł, napił się wody ze źródła. Wiedział, że musi mu to wystarczyć do wieczora.

Sprawdził amunicję w torbach przy siodle, jeszcze raz przejrzał broń, osiodłał i dosiadł konia.

Droga do miasta prowadziła teraz w dół. Znał tu każdy żleb, każdą ścieżynkę na całym obszarze przed osadą górniczą. Jeździł tędy tyle razy, że trafiłby na ślepo.

Wkrótce po wschodzie słońca przywiązał konia na małym cyplu nad miasteczkiem. Widział górników idących w kierunku czarnej bramy tunelu, schodzących w dół do długich śluz, do których przymocowane były koryta do przemywania piasku. Żwir i woda przelewały się przez rowkowane deski, na których zatrzymywały się drobniutkie bryłki złota.

Z przyjemnością patrzył na dym buchający z kominów. Widok ten znów mu przypomniał chatkę trapera i Doreen. Wiedział, gdzie mieszkał Gorman z żoną i czworgiem dzieci. Pewnie już wstali, jedzą śniadanie.

Po chwili ujrzał dzieciaki bawiące się za domem, potem ukazał się na progu Gorman. Ucałował żonę, skręcił w główną ulicę i poszedł do kancelarii więzienia. Les widział, a raczej wyczuwał stale wypatrujące czegoś spojrzenie Gormana - jego czarnych oczu, dla których odległość nie stanowiła przeszkody, oczu, które stale węszyły. A jednak był spokojny.

Potem otworzono okiennice biura wypłat. Po obu stronach drzwi usadowili się dwaj strażnicy. Po chwili jeden wstał i wszedł do środka. Każdy ruch znany był Lesowi, widział to tyle razy ostatnio.

Na drodze z południa ukazał się furgon, ciągnąc za sobą chmurę kurzu, goniącą za nim niczym zgłodniały pies za królikiem. Furgon poprzedzało konno dwóch uzbrojonych strażników, dwóch jechało z tyłu. To było złoto, na pewno, i tej nocy miasto G będzie miało widowisko bójki z rozszalałym tłumem górników. Górnictwo to ciężka robota, wypruwająca bebechy, wyciskająca z człowieka ostatnią kroplę potu, skręcająca kręgosłup, toteż ludzie żądają wypłaty na czas, co do minuty. Gorman otrzyma tej nocy swoją wypłatę. Les prawie głośno się roześmiał na myśl o tym. Niecierpliwił się teraz. Oddech miał przyspieszony, serce waliło w piersi jak młot.

Czekać, czekać, pomału, jeszcze czekać. Już niedługo. Latami dławiona żądza miała wybuchnąć płomieniem czynu. Lecz czas jakby się cofał, jakby nic nigdy nie miało się stać. Les zgrzytał zębami, zaciskał spotniałą dłoń na strzelbie. Miał ochotę krzyczeć i przeklinać, tak by usłyszano go w osadzie.

Furgon wreszcie odjechał, a wraz z nim strażnicy. Les ruszył w dół żlebem, od jednej kępy krzaków do drugiej, zatoczył koło, podjechał do biura wypłat od tyłu. Wydawało mu się, że miliony oczu skierowane są na niego, wbijają mu się w mózg, stał przed nimi jak gdyby obnażony, czuł jak rozpalone kule szarpią mu serce i płuca. Ale nic się nie wydarzyło.

Przywiązał konia i nagle ogarnął go spokój. Szybkim krokiem obszedł biuro dokoła. Szczęście mu sprzyjało. Strażnik postawił jedną nogę na krześle, strzelbę trzymał w zgięciu ramienia. Sięgał do kieszeni po tytoń, kiedy Les trzasnął go lufą rewolweru w podstawę czaszki. Strażnik zwalił się na ziemię, strzelba wysunęła mu się z ręki. Les przykucnął.

Z pomieszczenia wyskoczył drugi strażnik. Ledwie zdążył nogę postawić na ulicy, kiedy kula trafiła go między oczy, przekoziołkował i rozciągnął się w kurzu ulicznym.

Les, wciąż skulony, posuwając się prawie na kolanach, wszedł do budynku. Płatnik niezdarnie sięgnął do szuflady po rewolwer, lecz zanim go podniósł, Les przestrzelił mu ramię. Facet upadł na otwarte drzwi kasy.

Na Boga, pomyślał Les, nie może być lepiej! Nie będzie musiał zabierać go ze sobą jako zakładnika.

Wyrwał zza pasa dwa worki, wsypał do nich zawartość obu skrzynek, szybko związał worki. Skrzynie wrzucił do kasy i zatrzasną! drzwiczki. Już od drzwi krzyknął do rannego płatnika:

— Powiedz Gormanowi, żeby popłynął do piekła w szafliku do płukania złota. Tego mu życzy Les Martin!

Podbiegł do konia, przerzucił worki ze złotem przez siodło, wskoczył i odjechał w kierunku gór. Słyszał za sobą bieganinę, krzyki, wściekłe bicie dzwonu. Koło uszu gwizdnęło mu parę kul. Nie oglądał się, galopował prosto w góry. Gdy dotarł do swej kryjówki, na chwilę się odwrócił. Zobaczył ich, dzwon zaalarmował ludzi, tak jak w Hillsboro. Widział jeźdźców, konie, szczupłą postać Gormana na jego ulubionym kasztanku.

Les przejechał przez otwartą polanę, by widzieli, że kieruje się na południe, lecz zaledwie znalazł się w gąszczu leśnym, skręcił na zachód.

Przeanalizował swoje możliwości, były dobre, niewątpliwie. Solidnie ich wyprzedził, znał okolice lepiej niż ktokolwiek inny.

Konia miał mocnego, najwyższej klasy. Jedyne, co przemawiało przeciwko niemu, to ciężar złota i dodatkowej amunicji. Les nie bał się tego jednak, na razie wszystko szło dobrze. Oglądał się od czasu do czasu i widział, że odległość między nim a oddziałem ani się zwiększa, ani zmniejsza. Wytrwale szli jego śladem. Zauważył, że szyję konia zalewa pot, z szarej zrobiła się prawie czarna, słyszał, jak gra mu śledziona; z pyska przy każdym oddechu spływała piana, klatka piersiowa rozszerzała się przy każdym uderzeniu ostróg. Nagle na ułamek sekundy nogi konia się ugięły. Człowiek, który spędził całe życie w siodle, wyczuwa te rzeczy.

Koń wyraźnie słabł. Zbliżali się już do skały, za którą pasł się drugi, wypoczęty, kiedy potknął się i prawie upadł. Les wściekle ściągnął cugle. Zwierzę dzielnie walczyło, by utrzymać się na nogach, lecz kulało.

Na próżno Les kłuł je ostrogami, mięśnie barkowe były zerwane. Gdyby koń miał zranioną nogę, mógłby pokonać tę niewielką odległość, ale z uszkodzonym barkiem nic nie można było zrobić.

Dziko klnąc, Les zerwał popręg, złapał worki ze złotem i broń, potykając się poszedł w kierunku skały, odsłaniając się przed ścigającymi. Z doliny doszły go krzyki, huk wystrzału. Byli jednak jeszcze za daleko.

Rozpaczliwie wspinał się w górę. Złoto wydawało mu się teraz o wiele cięższe, niż wtedy gdy wybiegał z biura wypłat. Upadł, zerwał się, znów

upadł. Usłyszał, jak kula karabinowa rąbnęła o ziemię, zdołał jednak dotrzeć do błogosławionych skał i nie zastanawiając się skierował broń w dolinę. Konny oddział szybko się przybliżał. Les postrzelił gniadosza pod jednym jeźdźcem, szukał oczami kasztanka Gormana, dostrzegł go między drzewami, dał ognia. Nie wiedział, czy udało mu się trafić Gormana.

Z doliny odpowiedziano strzelaniną. Byli blisko. Okruch skalny zranił Lesa w lewą brew. Starł krew z oka, szybko przeszedł na drugą stronę występu skalnego i trafił następnego konia. Załadował broń, strzelał metodycznie w dziesięciostopowych odstępach, gdyż mniej więcej taka odległość musiała dzielić, według jego obliczeń, jednego jeźdźca od drugiego.

Szybko załadował strzelbę, rzucił złoto i skoczył z siodłem do drugiego konia. Zwierzę, wyczuwając jego strach i podniecenie, skakało dokoła nie dając zapiąć popręgu. Les kopnął je w brzuch, wrzasnął dziko, koń zatrzymał się drżąc na całym ciele.

Les popędził z powrotem do skały, dojrzał ruch w kierunku północnym. Strzelił na oślep, odpowiedział mu wrzask bólu. Trafił! Załadowanie złota i przytroczenie worków trwało zaledwie kilka sekund. Spiął konia ostrogami i pognał znów na zachód. Kule padały dokoła niego, usłyszał krzyk Gormana:

— Nie spieszcie się, nie spuszczajcie go z oka, złapcie go, chłopcy!

Les wjechał w kępę drzew osikowych i wrzasnął podobnie jak trafiony przez niego człowiek.

— Mamy go, chłopcy! — ryczał Gorman — trafiliśmy go, dalej!

Les ostro zawrócił konia na północ, przedzierał się przez największy gąszcz zarośli dębowych, by choć na moment ukryć ślady. Udało się! Jeszcze przez chwilę słyszał kotłowaninę, lecz pomału wszystko ucichło.

Zawrócił na zachód, zjechał ze stoku wzgórza do miejsca, gdzie zostawił pasącego się konia. W przewidywaniach swych brał pod uwagę najróżniejsze przeciwności i przeszkody, ani przez chwilę jednak nie pomyślał, że może mu okuleć koń. W tej chwili szanse jego wydawały się nieco lepsze, lecz i Gormanowi, jak dotąd, szczęście sprzyjało. To nic! Nie szczęściem wygra się ten wyścig, tylko starannym planowaniem i sprytem.

Jechał szybko, lecz z większą ostrożnością, wypatrując ukrytych głazów, by koń znów mu nie okulał. Pogoni już nie słyszał. Nie obejrzał się, póki nie zaczął siodłać następnego konia. Byli niedaleko, wspinali się na szczyt wzgórza, wolniej, jakby zgubili ślad.

Wykołował ich, to pewne! Zajeżdżą konie na śmierć. Pozostali czterej będą wkrótce do cna wyczerpani, a ze zwierząt pozostanie niewiele więcej niż trochę okaleczonej koniny. Sięgnął ręką i pomacał złoto, solidne i prawdziwe jak ziemia, która je wydała.

Gdy zapadła noc, ruszył dalej przez głuchą puszczę. Myślał o Doreen.

## 5

Wielki Shad wrócił do Taos w przeddzień zakończenia budowy mostu. Noc spędził na kontrolowaniu swych stołów gry, a od godziny ósmej do

północy sam spełniał rolę krupiera przy ruletce w hotelu Fernandez. Ruletka dawała większe zyski, gdy on osobiście prowadził grę. Na wynik zawsze znajdą się sposoby, których nie zdradził nawet swemu pomocnikowi.

W Taos Shad uchodził za coś w rodzaju bohatera, miejscowi ludzie czuli bowiem respekt przed pieniędzmi i przed potęgą polityki. Wielki Shad miał pieniądze i był polityczną potęgą. Pieniądze zawdzięczał własnemu sprytowi, swej oszukańczej ruletce i taniej whisky z przemytu. A pieniądze skutecznie chronią polityków. Wielkiemu Shadowi uchodziły płazem sprawki, za które pomniejsze płotki wieszano. Zawsze tak się dzieje na świecie, a tutaj był świat Wielkiego Shada, który zamierzał potęgę swą ustokrotnić przy pomocy mostu.

Jako młody chłopak Shad wiedział, co to głód. Wiecznie uciekał przed pustą sakiewką i pustym brzuchem. Jego matkę i ojca zabili Komancze na głuchej fermie we wschodnim Teksasie. Miał wtedy dwanaście lat. Zrobił trumny i pochował ich. Przez pewien czas gołymi rękami wydzierał ziemi jej płody, by się wyżywić, potem wynajął się do pracy za utrzymanie i wiązkę siana. A później awansował na pomywacza w knajpie. Płaca była cokolwiek większa. Dążył do tego, by uciec tak daleko, żeby móc wznieść mur ze złota i srebra, którego nic nie byłoby w stanie obalić.

Dziś miał nastąpić jego wielki dzień, dzień koronacji króla. Wyspał się jak należy, jego ulubiona pokojówka podała mu śniadanie do łóżka. Przeciągnął się, ogolił i wykąpał. Włożył nowe ubranie, wyszczotkował swe ręcznie robione buty, zawiązał chustę na szyi. Znał swoją rolę i chciał odpowiednio wystąpić.

Ze świtą trzech rewolwerowców jechał konno krętymi uliczkami miasteczka. Wałęsających się i siedzących w kucki pod ścianami Indian i Meksykanów pozdrawiał skinieniem ręki, to znów z lekka dotykając czubkami palców kapelusza. Mógł sobie pozwolić na takie okazywanie im względów, boć teraz wszyscy będą mu płacili w ten czy inny sposób. Świat należał do niego tego ranka. Potężnymi płucami wciągał czyste górskie powietrze, a serce biło mu radośnie na myśl o solidnym nowym moście na Rio Grande… moście Wielkiego Shada.

## 6

Była godzina dziesiąta rano. Blade jesienne słońce dopiero zaczęło ogrzewać wyziębioną przez noc ziemię. Listki osiki błyszczały - jak złoto w torbie Lesa Martina. Popuścił cugli i wolno jechał wśród drzew do kryjówki Doreen. Zsiadł z konia, podszedł do niej. Rzuciła mu się w ramiona.

— Jesteś! Zdrów i cały! Udało ci się, och Les, udało ci się!

Po raz pierwszy w życiu zobaczył u niej łzy szczęścia spływające z czarnych skośnych oczu.

Rozejrzał się. Konie były gotowe do drogi. Swego puścił wolno, ale szkoda mu było rozstać się z nim.

— Jest jeszcze w dobrym stanie — powiedział — zabierzemy go ze sobą.

Już było za późno. Koń poczuł, że jest wolny, pomknął w las i zniknął w gąszczu.

— Przez całą noc nie pozwoliłam im się paść, a o wschodzie słońca napoiłam je, tak jak kazałeś. Są w doskonałym stanie — pochwaliła się dumnie Doreen.

— Jedziemy, kochanie — Les uśmiechnął się i dotknął worków ze złotem, by zwrócić na nie jej uwagę.

Doreen pobiegła do chaty i chwilę stała bez ruchu. Wszystko było czyste, wyszorowane, błyszczące jak złoto. Garnki starannie odstawiła na swoje miejsce w rozklekotanej szafie. Pragnęła pozostawić chatę w nieskazitelnym porządku dla przyszłych, nie znanych mieszkańców. Jej ognisko domowe! Jej i Lesa — jedyne, jakie kiedykolwiek miała, jedyne, jakie kiedykolwiek stworzyła dla mężczyzny. Usłyszała wołanie Lesa, musiała już iść. Delikatnie zamknęła drzwi i podeszła do konia.

Zjechali na podgórze, gdzie między kępami bylicy z rzadka rosły cedry i sosny. Doreen obróciła się, by raz jeszcze spojrzeć na chatę, lecz już ją zasłoniły drzewa. Wyjechali na pustynię, kierując się do wąwozu i do przeprawy Romo. Nie wiedzieli, że nad rzeką rozpina się solidny, nowiusieńki most.

Z drugiej strony głębokiej rozpadliny sunęli Orlando i Ramon, pięć psów i ponad tysiąc owiec. Posuwali się wolno w kierunku mostu, jak chłodna lawa pod ich nogami, która niegdyś tutaj spływała.

Dnia tego nie tylko oni byli w ruchu na tym samotnym obszarze. Trzy mile na południe od stada Orlanda dwa kojoty na zmianę polowały na królika. Gdy jeden gonił, drugi odpoczywał. Stopniowo królik podpędzany był w stronę odpoczywającego kojota, który przejmował gonitwę. Kojoty nie spieszyły się, wiedziały, ze królik jest ich.

Ziemia i niebo pełne są jednak niespodzianek. Zgłodniały jastrząb, zataczając koła w powietrzu, przyglądał się widowisku. Nagle spadł na ziemię, zakrzywionym dziobem rąbnął w czaszkę królika, który wywinął kozła. Jastrząb odskoczył o jakieś dwadzieścia stóp, przyhamował z szeroko rozpostartymi skrzydłami, zawrócił, runął na ogłuszone zwierzę, schwycił je w ostre szpony i uniósł w powietrze. Ogłupiałe kojoty mogły tylko patrzeć, jak lup, którego były tak pewne, unosi się sto, sto pięćdziesiąt stóp nad ziemią i na zawsze znika im z oczu.

W tym momencie Wielki Shad zjawił się u mostu. Daleko, w lasach, jechał Gorman. Choć pościg był beznadziejny, Gorman nie rezygnował. Gdy konie ustały, wolno skierował się na południe do letniego wypasu krów i siłą zabrał trzy dobre, wypoczęte konie pasterzy. Na nic nie zdały się protesty przeciwko pozostawieniu ich z czterema zajeżdżonymi końmi i jednym kulawym człowiekiem. Gorman nie miał czasu do stracenia. Zagroził im po prostu strzelbą, rozbroił kowbojów i odjechał na ich koniach.

Co prawda pozostał daleko w tyle i zgubił trop, lecz starał się rozumować jak Les. Jedyną możliwością była przeprawa Romo, dopiero po drugiej stronie wąwozu Les poczuje się bezpieczny. Otóż nie! Gorman nigdy nie pozwoli, by Les czuł się bezpieczny. Nie zaniecha pościgu, póki będzie mógł rekwirować konie i znajdzie choćby najmniejszy ślad zbiega.

# 7

Tak, tego dnia wszystko było w ruchu.

Owce schodziły krętą ścieżką do rzeki. Gdy ostatnia opuściła skalne obrzeża lawy, Orlando i Ramon ujrzeli most. Jakby diabli otwarli wrota piekieł i wypuścili wszystkich grzeszników! Pasterze zatrzymali konie i wytrzeszczyli oczy.

— I Mamacita! Co to jest? — zapytał Ramon.

— To jest most.

— Most?

— Jeżeli nie zwariowałem, to to jest most.

— No to chyba oba żeśmy zwariowali, bo ja też widzę to coś, co wygląda jak most — Ramon nie mógł przyjść do siebie. — To cudownie. Teraz łatwo się przeprawimy.

— No tak, ale skąd się wziął? — wydziwiał Orlando. — Czy może święci pańscy nam go objawili? Czy to prawdziwy most?

Most był jak najbardziej prawdziwy. To się okazało, kiedy beczące owce lękliwie stłoczyły się na nim idąc za czarną kozą. Płoszyły się, omal nie wypadły za barierę. Długo trwało, zanim ludziom i psom udało się wreszcie przepędzić przodownice przez dwie trzecie długości mostu. Tutaj się zatrzymały pchając się jedna na drugą, stłoczone cofały się przed pięcioma mężczyznami, którzy z bronią w ręku tarasowali przejście.

Orlando wolno przejechał przez gromadę owiec. Koń z trudnością przedzierał się poprzez otaczające go ze wszystkich stron masy zwierząt.

— Como estáis, amigos? — powitał uzbrojoną grupę. — Dlaczego zatrzymujecie moje owce?

— Nie przejmuj się, za chwilę będziesz mógł ruszyć dalej — odpowiedział Wielki Shad.

— To dobrze, dziękuję señor. Kto zbudował ten most?

— Ja zbudowałem.

— Znam pana. Pan jest Wielki Shad z Taos.

— Tak jest, amigo, i to jest mój most.

— To ładnie, że pan go zbudował.

— Cieszę się, że tak uważasz. Widzisz, amigo, całe lato trwało i kosztowało kupę forsy, żeby go zbudować. Muszę to teraz w jakiś sposób spłacić. To jest taki most, gdzie trzeba płacić myto.

— Myto!…

— Jak chcecie przejechać, musicie zapłacić. No, ale nie żądam za dużo, tylko dwadzieścia pięć centów od owcy i po dolarze za każdego z was i każdego konia.

— Dwadzieścia pięć… — Orlanda zatkało. Nie umiał sobie takiej sumy po prostu wyobrazić.

— Nie mam żadnych pieniędzy, señor — nagle wyprostował się w siodle. — To nie są moje owce, señor. One należą do Demetrio Martineza, mojego pana.

— To prawda — odparł Wielki Shad. — Te owce warte są około ośmiu dolarów za sztukę.

Na twarzy Orlanda wystąpiły krople potu, przebiegł go zimny dreszcz. Gdyby musieli teraz zawrócić, droga wzdłuż wąwozu do następnej przeprawy zabrałaby im trzy, może cztery dni i następne trzy dni z powrotem do Taos. Cały tydzień! Owce schudną, osłabną. Opóźniłby zaplanowany termin dostarczenia stada szefowi. Stracone będą długie miesiące lata. Nie mógł ustąpić Shadowi. Musi przeprowadzić owce. To jest jego obowiązek.

Nagle za plecami zagradzających drogę ludzi ukazała się dwójka konnych - mężczyzna i kobieta. Orlando zaniemówił ze zdumienia. Czyżby Shadowi potrzebna była aż taka pomoc!

Les ściągnął cugle. Nie wierzył własnym oczom. Mój Boże, most! Nie był tutaj od roku, a wtedy nie widział śladu czegoś podobnego. W mgnieniu oka się zdecydował. On i Doreen przejadą przez most. Muszą! Zbyt długą i zbyt ciężką stoczyli walkę. Za rzeką jest wolność. Pozbędą się nie tylko Gormana i ścigającego ich prawa, lecz nędzy i ciężkiej służby u obcych. A tu nagle wyrasta przed nimi most pełen owiec zagradzających drogę, dwóch pasterzy i pięciu zbrojnych ludzi.

Les wiedział, że gdzieś za nim podąża Gorman. Jeśli pójdą wzdłuż rzeki do następnej przeprawy, Gorman może ich dogonić. Na zaludnionym wschodnim brzegu mógł dostać konie. Lecz jeśli przeprawią się tutaj, teraz, szanse Gormana na złapanie ich znacznie się zmniejszą. W niezmierzonych obszarach na zachód od Rio prawdopodobnie zgubią ich ślad. A w nie zamieszkanej głuszy nie znajdą świeżych koni.

Les chciał coś powiedzieć, lecz uprzedził go Orlando.

— Z drogi! — wrzasnął nagle. — Szef czeka w Taos na owce. Jutro. Szef dobry człowiek. To jego owce, chce je mieć.

Huk wystrzału rozniósł się echem nad rzeką. Fidel celował dobrze, przeszył serce Orlanda. Jeszcze spadając z konia pasterz próbował wznieść strzelbę.

Sekundę później Fidel przechylił się do tyłu i stoczył do rzeki. Przez chwilę bił rękami, starając się utrzymać na powierzchni, aż znikł w odmętach. Ramon znów pociągnął za spust i drugi zbir, na lewo od Wielkiego Shada, zachwiał się patrząc na Lesa szeroko rozwartymi oczami. Ale nic już nie widział.

Wielki Shad zmierzył ze swej dwururki. Koń przysiadł na zadzie, zwalił się na Ramona, który jeszcze próbował wznieść strzelbę do strzału. Shad zagrał drugą lufą i Ramon, ojciec siedmiorga dzieci, pozostał nieruchomy pod wierzgającym w ostatnich drgawkach koniem.

Teraz Les nie miał już wątpliwości. Wielki Shad nie da mu przejechać. Zauważy złoto. Miał na takie rzeczy dobre oko. Kochał złoto jeszcze bardziej niż Les. Toteż nie zastanawiając się długo Les zmierzył się do strzału i dał ognia. Trafił w kręgosłup. Wielki Shad ciężko zwalił się z konia między kłębiące się wokół niego z głośnym beczeniem owce. Z ust jego dobywał się niezrozumiały bełkot, gdy tak leżał ze złamanym kręgosłupem, sparaliżowany na swoim moście.

Następnego brodatego zbira Les rąbnął w nos. Trysnęła krew, bandyta runął na drgające ciało Wielkiego Shada. Lecz Les nie zdążył już wprowadzić następnego naboju do lufy. Ostatni ze stojących na moście

ludzi wpakował mu pocisk czterdziestki piątki w gardło. Les zwalił się do tyłu.

Z dzikim krzykiem Doreen zacięła konia, pognała na bandytę. Siłą rozpędu zepchnęła go z mostu do rzeki. Udało mu się uczepić filaru i wytrzymywać napór wody, lecz miał złamane żebro, opadał z sił. Doreen zeskoczyła z konia, chwyciła olbrzymi kamień, jak szalona rzuciła się mostem, przepychając się przez stado owiec, czepiając się ich grzbietów, padała, znów się zrywała, wreszcie stanęła nad nim i gdy wlepił w nią przerażone oczy, uniosła ręce i upuściła głaz wprost na jego twarz. Chrupnęły miażdżone kości, człowiek osunął się do rzeki.

Owce becząc cisnęły się wokół okrwawionych postaci, wciąż idąc krok w krok za czarną kozą. Doreen uciekła przed nimi, przycisnęła się do bariery, a całe to kłębowisko przeszło po ciele Wielkiego Shada. Dał się słyszeć krzyk, a potem nic, gdy tysiącgłowe mrowie wdeptywało mu w mózg ostatni sen o potędze, a ciało stratowane, zmasakrowane leżało na jego moście.

Doreen długo siedziała wpatrując się w bladą twarz Lesa. Nie płakała. Potem powiedziała cicho:

— Jedyny, jaki był. Jedyny, jakiego kiedykolwiek miałam.

Wstała, złapała konia. Zabrała złoto, przytroczyła je do swego siodła i pojechała w kierunku Taos.

Jakąś godziną przed zachodem słońca dojrzała zbliżających się w jej kierunku przez pustynię jeźdźców. Konie mieli wyraźnie zmęczone, lecz Doreen nie próbowała uciekać.

Był to Gorman.

Zaświtała jej myśl, że nic o niej nie wiedzą. Na moście nie było już nikogo, kto mógłby im powiedzieć. Była wolna, a jeżeli zachowa ostrożność, złoto pozostanie jej własnością. Nareszcie zdobędzie wolność, której tak pragnęła. Zjechała za kępę cedrów i poprzez gałęzie obserwowała Gormana i jego ludzi. Skierowali się ku rzece.

Pomacała worek, poczuła pod ręką twardość. Myśl jej znów zwróciła się ku Lesowi. Jego już nie było. Tysiąckrotna ilość złota nie okupiłaby jej Lesa. Był darem danym jej przez los.

Drobniutka w bezmiarze pustyni, Doreen jechała w kierunku Taos, a gdy słońce ukryło się za wąwozem, sylwetka jej rozpłynęła się na horyzoncie.

Rozproszone stado pasło się na zielonym brzegu Hondo. Psy próbowały go pilnować, lecz bez swoich panów nie wiedziały, co robić. Owce rozbiegały się coraz bardziej, zagubione, drepczące bez celu w kółko. Za dzień, za dwa przybędą pojedynczo, jedna po drugiej, do Taos, szukając nowego pana.

Tłumaczenie Emilia Niemirska

**Cliff Farrell**

## Szybki refleks
(Fiddle-Footed)

Eb Irons zobaczył ich wóz zaraz jak tylko wynurzyli się zza pagórka, daleko na prerii, i widok ten zaniepokoił go trochę. Pod płóciennym daszkiem na froncie wozu migało chyba coś jakby czepek i spódnica, a to oznaczało, że planują osiedlenie.

Pomyślał sobie, że w okolicy coraz więcej ludzi bierze się do uprawy roli. Tak, tak - jacy ci Komancze byli, to byli, ale chociaż trochę miało się z nich pożytku: budzili taki strach, że się ludziska nie pchali tam, gdzie ich nie proszono.

A teraz to już trzeci wóz w tym miesiącu. Duży, kryty płótnem napiętym na obręczach, zaprzężony w parę wołów dobrych do pługa, z dwoma mlecznymi krowami uwiązanymi z tyłu. Psiak jakiś plątał się w pobliżu wozu, a koła skrzypiały nie do wytrzymania.

Przybysz oznajmił z dobrodusznym uśmiechem, że nazywa się Lute Rasmussen. Pochodzą z Missouri, z okręgu Pike, i cały czas jadą tak wojskowym traktem od Austin. Już sześć tygodni są w drodze i…

— Pięć tygodni i pięć dni będzie za parę godzin — poprawiła kobieta dominująca nad nim z kozła.

— Tak, Mamo, pięć tygodni i pięć dni — zgodził się Lute; wyraźnie było widać, że nie zwykł oponować. — Zgrabną wyrychtowałeś sobie chałupkę, młodzieńcze.

— Ja bym ją postawiła trochę bliżej, tam, na zboczu pagórka — wtrąciła Mama — i frontem ku zachodowi, żeby był przewiew.

Eb poszedł po comber jeleni dla podróżnych. Mama powąchała mięso i uznała je za dobre; wisiało dostatecznie długo.

— Zaraz ustrzelą wam jeszcze ze dwa indyki — obiecał Eb. — Słyszałem kilka tam w zagajniku o parę minut stąd. Jedziecie nad Nueces, co?

Lute przytaknął.

— Mówili ludzie, że tam nad rzeką można wybrać sobie dobrą ziemię orną. — Z przyzwyczajenia, ilekroć mówił, zwracał łagodne, bladoniebieskie oczy ku żonie, czekając potwierdzenia.

— Wasza niewiasta wyjechała gdzieś? — Mama zagadnęła Eba.

— Nie mam niewiasty.

Jeżeli w tonie młodego mężczyzny zabrzmiała nutka zadowolenia z siebie, to było ono trochę uzasadnione. Eb dobrze pamiętał tę ciemnowłosą dziewczynę z Arkansas, która sobie na niego ostrzyła zęby jednej zimy w Kerrville. A tamta piwnooka w osiedlu nad Pedernales - już-już byłaby go złapała. Ale Eb miał szybki refleks. Za każdym razem zdążył prysnąć na czas, zanim sprawa przybrała zbyt poważny obrót.

Mama podniosła na czoło okulary w drucianej oprawce. Miała stanowczą dolną szczękę, to Eb zauważył od razu.

— Kawaler? — spytała.

— Tak, kawaler — potwierdził. Nie zdziwił go zbytnio ten wyraźny błysk bojowy, jakim rozjarzyły się jej oczy. Wyczuł w niej żyłkę łowiecką. Wszystkie one takie, czy mają siedemnaście lat, czy dziewięćdziesiąt. Na każdą to jedno słowo działa jak ostroga, każda uważa, że trzeba coś na to zaradzić.

Mrugnął tymczasem na Lute'a i poprowadził go za swoją chatę. Wyniósł ze środka kamionkowy dzban i róg.

— Mów, ile — powiedział przechylając wielki dzban, aż zaczęło w nim bulgotać. — Przywiozłem to z Kerrville przed miesiącem. Pędzona w Arkansas.

Lute nic nie mówił, póki róg nie napełnił się po brzegi. Potem obejrzał się przezornie i szybko wychylił go do dna. Obmacawszy kieszenie kamizelki wynalazł w jednej coś, z czego odłamał kawałek i podał Ebowi.

— Kora sassafrasu. Lepiej pożuj trochę, młodzieńcze. Mama wyniucha gorzałę na dwie mile, i to pod wiatr.

Obaj żuli pracowicie.

— A więc jesteś kawaler? — powtórzył w zamyśleniu Lute. Czyżby prócz podziwu i zazdrości była w jego tonie także nutka proroczej przestrogi? Takie Eb odniósł wrażenie.

— O tak, oczywiście — potwierdził stanowczo.

— Miałem niewiele ponad dwudziestkę, kiedy Mama mnie poślubiła — oznajmił Lute. — A teraz, w styczniu, skończę czterdzieści trzy.

— Mnie już blisko do dwudziestu czterech — powiedział gospodarz i znowu zadowolenie wyraźnie zabrzmiało w jego głosie.

— Lute! — głos Mamy niósł się daleko.

Eb ledwie zdążył wepchnąć dzban za drzwi i narzucić na wierzch wilczą skórę, gdy już się pojawiła. Była to rosła niewiasta, składająca się z samych okrągłości. Okrążywszy męża, stanęła od nawietrznej i pociągnęła nosem. Potem rzuciła na Eba takie spojrzenie, że, pomyślał sobie, długo będzie je pamiętał.

— Najwyższy czas rozbijać obóz — oznajmiła mężowi.

— Za wcześnie, Mamo — próbował protestować Lute. — Ledwie minęło południe. Do zachodu słońca jeszcze ze sześć mil ujedziemy.

— Mówię, że tu się osiedlimy. Lepszej ziemi i nad Nueces nie znajdziesz.

Pod Ebem ugięły się nogi. Czekał, by Lute zaprotestował, przecież winien mu jakiś rewanż za tę gorzałkę z Arkansas.

Lute zresztą próbował postąpić lojalnie.

— Bezpieczniej nam będzie nad Nueces — zaczął, ale wyraźnie czuł, że szkoda każdego słowa. — Tam jest więcej osadników, to i mniejsze niebezpieczeństwo ze strony Indian.

— Indianie! — parsknęła pogardliwie Mama. — Przecież mówili w Kerrville, że Straż Obywatelska przegoniła ich na dobre. Tak im zeszłej jesieni sadła za skórę zalała, że nieprędko zapomną.

Eb uznał, iż warto sią wtrącić.

— To nie dowód, że nie wrócą. Z Komanczami nigdy nic nie wiadomo. A tutaj daleko do jakiejkolwiek pomocy. Najbliższa osada to Kerrville, sześćdziesiąt mil jak obszył.

— Przecież sam tu mieszkasz, młodzieńcze... I włosy na głowie wciąż jeszcze masz?

— Ja jestem mężczyzną — odpalił, jakby to załatwiało sprawę. — Zawsze dam sobie radę.

— Bzdura! — przerwała Mama. — Kawaler! Taki kawał chłopa! W skórzanej kurcie chodzi, włosy ma długie, grzywa istna. Sam już prawie na Indianina wyglądasz. A ta twoja chałupa to chlew zupełny. Widać, że brak tu kobiety, co by to wszystko do porządku doprowadziła.

Ale uparta, pomyślał Eb.

— Tam dalej, nad rzeką, ziemia jest lepsza — przekonywał z powagą. — Gruba warstwa próchnicy. A mało zarośnięta. Nie będzie dużo karczowania.

— Jak daleko stąd? — spytała bez zainteresowania.

— Pięć mil, może sześć.

Po prawdzie to mil było dziesięć do dwunastu. Ale Eb czuł, że w tym wypadku ma prawo trochę minąć się z prawdą. Nawet ta odległość nie będzie wystarczająco duża. Zwierzyny szybko zabraknie, i to na dużym obszarze. I ktoś taki jak Mama potrafi wystraszyć nawet sumy.

— Ale tu mi się lepiej podoba — powiedziała i Eb zrozumiał, że dyskusja skończona.

Lute oczu nie śmiał podnieś na swojego towarzysza, kiedy razem wracali w stronę wozu.

Nagle Eb stanął jak wryty: zobaczył, co stoi koło wozu. Znowu, jak postrzelony jeleń, poczuł, że trzeba brać nogi za pas. Dopiero teraz zaczął rozumieć tę ostrzegawczo-proroczą nutkę w głosie Lute'a, tak tajemniczą przed paroma minutami.

Dziewczyna miała jakieś osiemnaście, dziewiętnaście lat i kretonową wzorzystą sukienkę. Musiał patrzyć na nią z góry, bo była niewysoka. Gęste falujące włosy i wesołe piwne oczy. Zadarty nosek, a na nim piegi. Miała nawet na sobie wysokie buciki zapięte na rząd guziczków, co dowodziło, że przedtem umyślnie nie pokazywała się, bo chciała zrobić dobre wrażenie przystroiwszy się odpowiednio. Także typowe dla wszystkich.

— Osiedlamy się tutaj, Josie Belle — mówiła Mama. — A to jest pan…

— Irons — powiedział Eb z rezerwą. — Eb Irons.

Spojrzał tylko na Lute'a z wyrzutem, a ten przyjął to jako zasłużone potępienie.

Josie Belle dygnęła. Poklepała psa myśliwskiego, obejrzała dokładnie Eba, obejrzała dokładnie jego chatę - okiem wyraźnie taksującym - ocenił Eb.

— Milo będzie mieć sąsiada — szepnęła.

A co gorsze, wcale nie była brzydka. Te ładne zawsze są najgorsze. Takie pewne siebie. Przekonane, że każdy musi zaraz wpaść jak śliwka.

— Eb zje z nami kolację, tylko ją zrobimy.

— Pomyślałem sobie — spróbował wtrącić — że pójdę zapolować na te indyczki, co to je słyszałem tam dalej, bardziej na zachód.

Ale sam widział, że nie postawi na swoim. Zwyczajna uczynność nakazywała pomóc przybyszom w wyładowywaniu rzeczy i rozbijaniu obozu. A ponieważ wóz mieli tak napchany, że aż płótno wybrzuszało się miejscami, było co nosić. Pomyślał, że do wieczora będzie zajęty.

Dobrze przypuszczał; musiał zrezygnować z polowania.

Mama wybrała miejsce na obóz - nad strumieniem, o pół mili na południe. Eb chmurnie stwierdził, że jego chata będzie stamtąd widoczna, a więc w zasięgu jej ręki.

Josie Belle zdjęła odświętne trzewiki, zmieniła kolorową sukienkę na zwykłą samodziałową; krzątała się boso.

Mama zostawiła jej całe gotowanie, oznajmiwszy przy okazji Ebowi, że nikt w ich okolicy lepiej nie umie gotować od Josie Belle. Z tego, co mówiła Mama, wynikało jasno, że Lute musiał kłonicą przepędzać spod domu zalotników w każdą księżycową noc.

Dziewczyna sama niewiele mówiła. Może nawet i popatrzyła na Eba, lecz on o tym nie wiedział, bo pilnował się bardzo, żeby na nią nie zwracać najmniejszej uwagi.

Ale gotowała dobrze. W tym względzie Mama nie przesadziła. Eb nawet przyznał jej to głośno po spożyciu wieczerzy przygotowanej przez Josie Belle, żeby pokazać, że jest człowiekiem sprawiedliwym.

— To podgardle — oznajmił skłaniając głową w kierunku Josie Belle — było więcej niż dobre. Słowo daję. A sos także.

— Poczekaj no, aż będzie mogła naprawdę pokazać, co umie — zapowiadała Mama.

Mimo wszystko jednak Eb wierzył, że da sobie radę. Na gotowanie go nie złapią. Miał w tych sprawach duże doświadczenie. Ta czarnulka z Arkansas także znała się na kuchni. Jej kukurydziana kasza, kto wie, czy nie była nawet bardziej sypka niż ta dzisiejsza Josie Belle, a jak już czepiać się szczegółów, to może trochę lepiej umiała podlewać tłuszczem pieczeń z dziczyzny. I tamta piwnooka nad Pedernales też gotowała dobrze, a przecież ani jednej, ani drugiej nie udało się go złapać - choć mało brakowało - zwłaszcza nad Pedernales.

Lute zdołał szepnąć mu jeszcze przy pożegnaniu:

— Radzę ci, Eb, schowaj ten dzban gdzieś poza domem, Mama jest zaprzysięgłym wrogiem alkoholu.

Na to młodzieniec odparł, że przecież wolnoć Tomku w swoim domku. Będzie trzymał swój dzbanek, gdzie mu się tylko spodoba.

— Ja ostrzegałem — powtórzył tamten ponuro.

Księżyc stał już wysoko. Przed położeniem się spać Eb osiodłał jeszcze konia i ruszył wzdłuż urwistych brzegów strumienia, aż do gęsto rosnących śliw. Indyków było sporo wśród pekanowych zarośli nad strumieniem, a potem z gąszczu wikliny wypłoszył rozespaną łanię.

Przekonawszy się w ten sposób, że żadnych nie proszonych nocnych gości nie ma w pobliżu, zawrócił do siebie. Po niedawnych deszczach wszystkie charcos, zagłębienia na prerii stanowiące naturalne zbiorniki wody, były pełne. Kiedy księżyc był w pełni, a charcos pełne wody,

zdarzało się, że Komancze ryzykowali wypady w prerię. Co prawda od ubiegłej jesieni nie słyszał, by kto widział Indian na południe od San Saba, od kiedy Straż Obywatelska dała im nauczkę nad Pipecreek. Eb brał też udział w tej potyczce i gdzieś nawet w domu poniewierał mu się łuk z drzewa pomarańczowego i parę kamiennych fajek jako pamiątki tamtego dnia.

*

Dobrze przed świtem Eb wyruszył na polowanie. Miał ze sobą swoją dwururkę - górna lufa na kule, a dolna na śrut. Ładowana od przodu, była zdaniem Eba o wiele lepsza i pod względem celności, i wyważenia od wszystkich nowych odtylcówek, których próbował.

Minął już na swoim gniadym grzbiet pagórka, zanim nad obozowiskiem Rasmussenów pojawiła się pierwsza smuga dymu. Wspomniał wprawdzie wczoraj, że ma zamiar nazajutrz zaorać pólko pod kukurydzę, ale po namyśle doszedł do wniosku, że lepiej będzie, gdy od razu pokaże swoją niezależność.

Świat jest pełen pól kukurydzy, a większość obsiali ludzie, którzy na pewno woleli wtedy robić coś zupełnie innego. Powiedzmy - polować na antylopy albo łowić ryby.

Taki Lute Rasmussen chociażby. Nie raz i nie dwa spędzi ranek na oraniu i sadzeniu, choć marzyć będzie o tym, by mieć strzelbę w garści i szeroką prerię przed sobą. Już kobiety potrafią człowieka tak przerobić, żeby tylko myślał o swych obowiązkach żywiciela. Ale jeżeli idzie o Eba - to na kukurydzę przyjdzie czas kiedy indziej.

Około dziesiątej położył w biegu antylopę takim strzałem w szyję, jak rzadko. W południe trafił jeszcze w sam łeb piękną indyczkę, którą wypatrzył w łaciatym cieniu wśród pekanowych drzew. Wcale nieźle, jak na takie zwodnicze oświetlenie, więc odmierzył krokami odległość: sto dwadzieścia. No, powiedział do siebie, w tych warunkach to lepiej niż dobrze.

Gdy późnym popołudniem podjeżdżał truchtem do domu, gniademu prawie grzbietu nie było widać spod ćwiartek antylopy i ptasich ogonów.

Zanim jeszcze zbliżył się na odległość strzału, już wiedział, że coś jest nie w porządku z jego chatą. Zsiadł z konia, stanął w progu i patrzał. Drewniana podłoga wymieciona i wyszorowana, jeszcze wilgotna, wyraźnie pachniała szarym mydłem. Stół i ławki tkwiły w samym środku w wojskowym porządku. W kominie nie uświadczyłbyś ani odrobiny popiołu, a garnki aż oślepiały blaskiem. Ktoś je tu zdrowo wypucował piaskiem i tłuszczem. Za to jego zapasowa odzież i narzędzia w większości gdzieś znikły.

Pojawił się Lute Rasmussen i razem już oglądali szkody. Lute orał od samego rana, bo chciał jak najprędzej zasiać, żeby nadgonić stracony czas.

— Znalazły i dzbanek — westchnął Lute. — Mama roztrzaskała go na kamieniu. A ostrzegałem! Tu masz świeży chrupiący chleb. Mama ci go

przysyła. I żebym nie zapomniał powiedzieć, że to Josie Belle własnoręcznie go upiekła.

Potem Eb z niepokojem zaczął szukać po swojej chałupie. Ostatecznie dość dużo rzeczy udało mu się odnaleźć, choć niektóre były głęboko schowane. Ale i tak brakowało różności.

Jednakże następnego dnia po południu, kiedy powrócił znad potoku z nałapanymi sumami, wszystkie brakujące rzeczy leżały na stole. Skarpety i lniane koszule były porządnie pocerowane i wyprane tak, że zostały z nich prawie strzępy. Uszyta przez Kiowów bluza myśliwska, na której specjalnie mu zależało, stwardniała jak deska i skurczyła się do wielkości dziecinnego ubranka. Nawet kobieta z Missouri, pomyślał Eb, powinna wiedzieć, że miękka skórzana bluza nie znosi szarego mydła i gorącej wody.

Stojąc na progu widział Josie Belle krzątającą się koło ognia. Jak to się zwija! Jak furkocze spódniczką! Śpiewała coś o kochanku, który umiera z imieniem ukochanej na ustach. Nawet niezły głos, musiał to przyznać. Tylko jej zachowanie, ta niemożliwa pewność siebie!

Z każdą chwilą czuł, że trzeba brać nogi za pas. Ale miał też w sobie dość uporu i ten upór, a nie kłopoty związane z wyszukiwaniem coraz to nowych pastwisk, go wstrzymywały. Chodziło mu o zasadę. Pokaże, obiecywał sobie, pokaże nawet takiej ślicznotce jak Josie Belle, że nie da się złapać.

Bądź co bądź zwierzyny jest jeszcze dość. Może sobie pozwolić na pozostanie tutaj, póki jest na co polować. Wtedy będzie zupełnie uzasadnione, że stąd wyruszy.

Więc został. Pomagał tymczasem Rasmussenowi ścinać dęby i wznosić ściany domu.

Dach pokryli darniną i postawili jeszcze zgrabną dobudówkę na kuchnię, też pokrywając ją strzechą z ostrej niedźwiedziej trawy. Oczy Josie Belle były ładniejsze niż zazwyczaj tego dnia, kiedy pomagała przy wiązaniu strzechy nad kuchnią. A ta jej furkocząca spódniczka aż przyciągała wzrok.

Wiedział, że zachowuje się jak ćma krążąca wokół płomienia świecy, ale cóż, lubił ryzyko. Przypominało mu to trochę tropienie Komanczów - gra, w której także można było wygrać lub przegrać, i to dużo. Przegrywał, kto zrobił fałszywy krok albo dał się wciągnąć w zasadzkę.

Widział wyraźnie, jak bardzo prowokuje Mamę Rasmussenową. Po prostu była przekonana, że o wiele wcześniej uda jej się nałożyć mu chomąto. Ta jego przedłużająca się niezależność była dla niej nie tylko obrazą, ale i wyzwaniem.

Jako głównodowodzący Mama nie hołdowała zasadzie jednego kierunku natarcia. Jej system przypominał strategię generała Hooda, pod którego komendą walczył Eb w niedawno minionej wojnie. Atak frontalny, a potem bocznej z flanki.

Zasadnicze manewry Mamy zmierzały do pozostawienia Josie Belle samej z Ebem. Ale on był na to za sprytny. Zawsze udawało mu się wymknąć.

Miesiąc trwało, aż pokryli dom Rasmussena dachem. Eb ponadto znajdował jeszcze czas, by polując zapełniać im spiżarnię. Zdołał nawet zasiać własną kukurydzę, a na dodatek drugie takie samo pólko fasoli, kiedy raz naszła go ochota dłubania w ziemi. Coraz częściej stwierdzał, że jednak nie doceniał talentów kulinarnych Josie Belle. Bo też jej kasza kukurydziana była taka, że w życiu równie dobrej nie jadł, a i dziczyznę piekła wspaniale. To nie ulegało wątpliwości…

Kiedy zdał sobie sprawę, jak często o tym myśli - uświadomił sobie też, że czas mu ruszać w drogę. Już trochę za bardzo zbliżył się do płomienia świecy. Tej nocy zapakował swój wojskowy tornister. Postanowił, że wyruszy przed świtem.

Ale za długo zwlekał. Mama okazała się szybsza: właśnie zwijał derkę, kiedy wóz Rasmussenów zaturkotał przed jego chatą. Byli to Lute i Mama.

— Jedziemy do Kerrville po zakupy. Daj no spis, co ci przywieźć, to postaramy się załatwić. Miej tutaj oko na wszystko, Josie Belle zostaje, żeby zająć się dojeniem.

Patrzył, jak ich wóz mija grzbiet pagórka, a potem niknie daleko na prerii. Nie będzie ich cztery, pięć dni co najmniej. Najprawdopodobniej z tydzień.

Kopnął tornister w drugi koniec izby. Nie mógł teraz ot, tak sobie zabrać się i pojechać, zostawiając dziewczynę samą. Cóż, byłaby tu właściwie bezpieczna. Ale znowu nadeszła pełnia i charcos, znowu były pełne wody, bo lato obfitowało w deszcze.

Wprawdzie wszystko przemawiało za tym, że Komancze nabrali rozumu i nie posuną się poza San Saba, o ile w ogóle wyruszyli. W tym roku ani razu nie dali o sobie znać. A jednak… i Eb znowu kopnął swój biedny tornister.

Doszedł wreszcie do wniosku, że jakoś da sobie radę, tylko musi wszystko przewidzieć. Najważniejsze, to, żeby zrozumiała, gdzie jest jej miejsce. Wyciągnął wędkę i haczyki i ruszył nad strumień. Josie Belle widocznie widziała, jak szedł, bo ledwie zdążył się usadowić tam, gdzie najlepiej brały sumy, pojawiła się też ze swoją wędką.

— Wie dwójkę powinniśmy szybko nałapać dosyć na śniadanie, co, Eb? Alę ten twój haczyk jest za duży.

— Wydaje mi się dobry — zaczął.

— Lepiej ci będzie łowić na mały. Masz tu, wzięłam zapasowy. Zarzuć wędkę.

Tak samo było następnego dnia. Dogoniła go, kiedy już był pewien, że spokojnie zapoluje na indyki. Nigdy dotąd, powiedziała mu, nie udało jej się trafić indyka.

Namęczył się setnie ustawiając ją w dobrej pozycji do strzału i pożyczył jej swoją dwururkę. Spudłowała haniebnie i w dodatku wymawiała mu, że to jego wina, bo kazał jej strzelać, kiedy ona jeszcze nie wycelowała.

Te ładne, rozmyślał Eb, nigdy nie popełniają żadnego błędu. Już, już miał jej powiedzieć o tej skórzanej bluzie i szarym mydle. Ale się powstrzymał.

Za to liczył dni. Tornister miał w pogotowiu, zapakowany, i często chyłkiem wdrapywał się na grzbiet pagórka, w nadziei, że stamtąd zobaczy nadjeżdżający wóz jej rodziców. Postanowił bowiem prysnąć od razu, jak tylko zobaczy z daleka, że wracają. Kiedy zajadą do domu — jego już nie będzie.

Nadszedł szósty dzień; w południe Josie Belle ugotowała mu królewski obiad. Było duszone mięso z pyzami, wspaniały placek z grubą warstwą śliwek. A sos przypominał niebiański nektar.

Było jeszcze wczesne popołudnie i Eb najchętniej by się zdrzemnął, ale zapędziła go do zagajnika zrywać śliwki na przetwory zimowe.

Sama zrywała je tak właśnie, jak robiła wszystko: dokładnie a energicznie; tylko furkotała spódniczką. Dwa razy szybciej niż on zwijała się między drzewem z wielką balią, którą napełniali, więc nic dziwnego, że naburmuszony próbował się wymigiwać od roboty.

Nagle rozgarniając gałęzie podbiegła do niego poruszona.

— Jacyś goście, Eb. — Widać było, jak cieszy ją każda odmiana na tym odludziu. — Widziałam dwóch jeźdźców.

Eb ożył. Że też nie zabrał ze sobą dwururki, pomyślał od razu. Miał wprawdzie pistolet, ale tu, wśród drzew, nie na wiele by mu się przydał.

— Gdzie?

— Zobaczyłam ich, jak się ukazali zza szczytu pagórka. Dwaj. Jeden wiózł na ramieniu coś takiego jak pokrywa od kotła, ale może mi się wydawało. Tylko mignęli mi, nie widziałam dokładnie.

Eb chwycił balię za ucho.

— Dosyć mamy tych śliwek. Wracajmy już lepiej do domu.

Dopiero kiedy jął torować drogę wśród gęstwiny, zamiast iść przez otwartą przestrzeń, nasunęło jej się podejrzenie. Usłyszał, jak wstrzymała nagle oddech. Potem przybliżyła się tak, że deptała mu prawie po piętach, ale dla pewności jeszcze chwyciła go za koszulę, jak dziecko, co boi się zgubić.

Pochyleni posuwali się naprzód, aż dotarli do brzegu zagajnika. Tu Eb przystanął, żeby się rozejrzeć. Stąd aż do jego domu rozciągało się pole — trzysta metrów uprawnego gruntu - a kukurydza na nim nie miała nawet stopy wysokości.

Gniady pasł się na łące tuż za domem, więc Eb zdecydował się spróbować. Tu, wśród drzew, nie mieli wielkich szans, dom jednak stanowił lepszą osłonę.

Zacisnął palce na ramieniu dziewczyny i ruszyli biegiem przez pole. Miał nogi o tyle dłuższe, że chwilami podrywał ją w biegu i prawie nie dotykała stopami ziemi.

Patrzył na konia i miał nadzieję, że zdołają jakoś dobiec. Ale wtem koń zaczął strzyc uszami i szarpnął się ostro, by spojrzeć na coś w tyle, za biegnącymi. Eb nie tracił czasu na oglądanie się. Szarpnął tylko dziewczynę tak, by biegła przed nim; osłaniał ją własnym ciałem.

Mieli nie więcej jak sześć metrów do domu, kiedy posłyszał syk strzały i zaraz zobaczył, jak drga, wbita we framugę drzwi. Po niej kula gwizdnęła im koło uszu.

Mieli zaledwie dwa susy do drzwi, gdy coś grzmotnęło go w plecy, rzuciło na kolana; potrącił Josie Belle i rozciągnęli się jak dłudzy.

Poderwała się na nogi. Zobaczył, że wpatruje się w niego ogromnymi oczami, blada jak papier. Próbował podnieść się, wsparty na kolanach i dłoniach, ale na próżno - ogarnął go zupełny bezwład, świat kręcił się w kółko, całkiem jakby Eb miał dobrze w czubie. Czuł, że musi mocno trzymać się ziemi, żeby nie polecieć, żeby zostać w miejscu.

Josie Belle chwyciwszy Eba pod pachy pociągnęła go ku domowi z zadziwiającą siłą.

Razem wtoczyli się przez próg do środka. Wyczołgała się spod niego, a on zdążył jeszcze dostrzec Komanczów, nim zatrzasnęła i zaryglowała drzwi. Było ich z pół tuzina, nadjeżdżali konno przez pole. Niektórzy mieli w rękach tarcze z bawolej skóry. To były te jej pokrywy od kotłów.

Rozjaśniło mu się trochę przed oczami. Poczołgał się do ściany, na której była dubeltówka, wsparta na jelenich rogach. Próbował stanąć, by jej dosięgnąć, ale wysiłek był zbyt duży.

Josie Belle ujęła strzelbę. Patrzył, jak wysuwa ją przez okno od frontu, celuje i strzela.

Usłyszał gwizd kuli cichnący w oddali i zrozumiał, że strzeliła za wysoko.

Ale usłyszał także oddalający się tętent nie podkutych kopyt.

Komancze wycofali się, aby w zagajniku nad strumieniem naradzić pi nad planem napadu. Napadanie na domy w środku dnia nie należało do indiańskich obyczajów. Większe szanse powodzenia będą mieli w ciemności.

Dźwignęła Eba na łóżko i zwilżyła mu twarz.

— Nabij strzelbę — polecił słabym głosem, bo nie pomyślała o tym wcale.

Podczas gdy była zajęta, obmacywał swoją ranę. Strzała przebiła mu ramię, ostrze sterczało z przodu.

Spojrzał na Josie Belle.

— Szarpnij ją mocno i ułam.

— Ależ, Eb!

— Rób, jak ci mówię, dziewczyno — powtórzył i mocno uchwycił za brzeg łóżka.

Jakoś się jej to w końcu udało, choć o mało przy tej robocie nie zemdlała.

Za to Eb rzeczywiście stracił przytomność. Kiedy przyszedł do siebie, czuł się słaby, jak nowo narodzony kociak. Z trudem uniósł głowę i spostrzegł, że Josie Belle obandażowała go czymś, a co gorsza, że leży rozebrany, bez spodni i koszuli, otulony tylko starannie.

Od razu znalazł wzrokiem brakujące części odzieży. Josie Belle miała je na sobie, choć mogła się w nich utopić, a nogawki i rękawy były mocno podwinięte.

Z dubeltówką w ręce podeszła do drzwi, odryglowała je i przez chwilę stała tam śmiało, po czym Wycelowała i wypaliła w kierunku zagajnika.

Skoczyła w bok i szybko zamknęła drzwi. W odpowiedzi zabrzmiał wystrzał. Długą chwilę trwało, aż Eb przestał pluć i kaszleć, bo od

uderzenia kuli posypało się na leżącego mnóstwo mchu, którym poupychane były szpary w ścianach.

Ona tymczasem wyjaśniła przynajmniej, co to wszystko ma znaczyć.

— Pomyślałam sobie, niech lepiej im się wydaje, że jesteś dalej zdolny do walki — powiedziała. — Dobrze się zastanowią, wiedząc że z mężczyzną mają do czynienia. Dlatego wzięłam twoje rzeczy, Eb, i pokazałam im się w drzwiach.

Musiał przyznać, że strategicznie to było niegłupie.

Potem znowu wszystko zmętniało. Widział, jak Josie Belle podsypuje prochu do górnej lufy, ubija przybitką i wkłada kulę. Potem naładowała dolną lufę szczodrze prochem i śrutem.

Podniosła dubeltówkę, jakby wypróbowywała jej ciężar. A potem przysiągłby, że widział, jak znowu podsypuje prochu do dolnej lufy, przybija i jeszcze dodaje śrutu. Uznał jednak, że to jemu tak się w oczach dwoi.

Ale po chwili zobaczył, że dziewczyna znowu pakuje coś do dolnej lufy. Wydawało mu się, że poznaje dwucalowy kawałek odłamanego sworznia, który poniewierał się od dawna po kątach.

— Za dużo tam pchasz — zdołał wyszeptać.

Ale Josie Belle podniosła w górę broń, by sprawdzić, ile waży, i robiła wrażenie zadowolonej.

— Chyba będę musiała dobrze się przyłożyć, jak będę chciała strzelić.

Niczego kobiecie nie wytłumaczysz — westchnął w duszy Eb. — A zwłaszcza takiej ładnej. Każda jest zawsze przekonana, że wie lepiej.

Stopniowo, w miarę jak popołudnie mijało, a promienie zachodzącego słońca coraz bardziej ukośnie padały przez okno, poczuł się troszkę lepiej. Ale leżał dalej, by nie tracić sił. Przypuszczał, że Indianie - jeżeli zechcą spróbować, zaatakują, kiedy już będzie ciemno, a jeszcze nie wzejdzie księżyc.

Mrok już gęstniał, gdy zdołał usiąść na łóżku.

— Teraz proszę o spodnie — powiedział stanowczo.

Josie Belle chciała odmówić, ale spojrzał na nią tak, że posłusznie znikła w kącie, podczas gdy on odwrócił głowę. Po chwili, już w swojej sukience, podała mu jego rzeczy.

Udało mu się jakoś naciągnąć spodnie. Cała izba zawirowała mu przed oczami w momencie, kiedy stanął, ale po chwili wszystko się uspokoiło.

Odebrał dziewczynie dubeltówkę.

— Ty strzelaj z pistoletu — polecił, a potem przypomniało mu się coś jeszcze: — Licz strzały. Kiedy strzelisz cztery razy, zostaw ostatnią kulę. Nie wiadomo, może się przydać.

— Rozumiem, Eb, nie dam się wziąć żywcem.

Z trudem przełknął ślinę. Dotarł jakoś do okna i zaparł się tak, żeby nie upaść, choćby go trafili.

Resztki światła dziennego szarzały jeszcze nad pagórkiem, ale w zagajniku nad strumieniem było czarno i cicho - za cicho.

Josie Belle szeptem wypowiedziała ufne przypuszczenie, że może Komancze się wynieśli. Eb milczał. Wiedział, że nie. Ani jednego świerszcza nie było słychać.

Kiedy już zupełnie się ściemniło, wszystko nad strumieniem stało się czarną otchłanią. Wtedy ich usłyszał - leciutki szmer wśród kukurydzy.

— Uważaj — szepnął do dziewczyny. — Tam są.

Nadbiegali cicho. Nie krzyczeli, słychać było tylko równy, miękki tupot mokasynów, gdy chcieli przez zaskoczenie sforsować drzwi.

Eb oparł dubeltówkę o parapet okna i czekał, aż na tle rozgwieżdżonego nieba zobaczył na muszce dwóch, blisko, niemal na długość ramienia. Maczuga wojenna załomotała o drzwi i w tymże momencie Eb nacisnął spust lufy dolnej, śrutowej.

Rozległ się ogłuszający łoskot, jakby trzęsienie ziemi, buchnęła smuga ognia. Teraz już posypała się ze ścian reszta mchu.

Siła podmuchu zwaliła Eba na ziemię, runął na plecy pośrodku izby i chwilę trwało, aż sobie przypomniał, że przecież ostrzegał Josie Belle, by nie ładowała za dużo.

Jeden z Indian, postrzelony śmiertelnie, charczał ciężko i urywanie tuż pod drzwiami, a w kukurydzy słychać było oddalający się tupot.

— Uciekają! — wykrzyknęła Josie Belle. — Trafiłeś paru!

Eb nacierpiał się już dość jak na jeden dzień, ale jakoś jeszcze dowlókł się do okna. Po drodze, gdy się czołgał, namacał ręką swoją dubeltówkę. Poczuł się tak, jakby stracił przyjaciela: broń nie nadawała się do użycia, pół lufy rozerwało zupełnie.

— Za dużo napakowałaś. A ten sworzeń załatwił sprawę. Mówiłem ci przecież.

— Mówiłeś mi, Eb — potwierdziła. — No i zniszczyłeś swoją dubeltówkę.

— Ja zniszczyłem, ja! — syknął zjadliwie.

Przed drzwiami leżało dwóch wojowników w barwach wojennych. Ten, którego przedtem słyszeli, już nie żył.

Księżyc pojawił się na niebie, oświetlił gęstwinę nad strumieniem. Po pewnym czasie ożywiły się tam świerszcze i żaby zaczęły swe rechoty.

— Widzi mi się, że dali za wygraną.

— To ten przerażający huk zrobił swoje. — Zdawał sobie z tego sprawę, ale wiedział też, że taktycznym błędem byłoby przyznać zasługę Josie Belle.

— Jak tylko zaświta, zaprzęgniemy gniadego do wózka i w drogę do Kerrville, żeby ostrzec twoich rodziców. — A potem dodał, jakby mu to dopiero przyszło do głowy: — Może lepiej przy okazji pobierzmy się, Josie. Mógłby kto opacznie zrozumieć to, żeśmy tu byli sami.

— Och, Eb!

Skoczyła go pocałować. Potem on ją całował długo. Wcale nie było mu śpieszno wypuścić ją z objęć.

— Może złapiemy jeszcze w Kerrville wędrownego kaznodzieję, jak dopisze nam szczęście. Miał tam być w zeszłą niedzielę, ale może coś go zatrzymało.

— Złapiemy go, nie ma strachu — oświadczyła Josie Belle bez cienia wątpliwości. — Mama powiedziała, że zatrzyma go parę dni, póki nie przyjedziemy. Wiedziała, że będzie nam potrzebny.

Eb zastanowił się. Nikt by z nimi nie wygrał - pomyślał sobie. Wszystko było z góry zaplanowane, od a do zet, a Komancze tylko im trochę pomogli.

Ale pozostała mu jeszcze rozwalona dubeltówka. Musi mieć ją zawsze pod ręką, jako namacalny dowód.

Czy nie mówił, że za dużo ładuje do lufy? Wtedy udowodni przynajmniej, że więcej wie i umie. I jeszcze ta skurczona i stwardniała kurtka myśliwska. Schowa ją dobrze i pewnego dnia, kiedy Josie Belle zacznie się zbytnio mądrzyć - wyciągnie ją na światło dzienne. Tak, mężczyzna musi trzymać babę w ryzach.

Tłumaczenie Krystyna Jurasz-Dąmbska

**Williams Forrest**

## Próba tortur
(Test by Torture)

Zza wzgórz, leżących u stóp łańcucha Sierra Madre w Starym Meksyku wyjechał na mroczną, szarą wyżynę amerykański traper, jeden z tych twardych, samotnych mieszkańców gór. Było lato tysiąc osiemset trzydziestego ósmego roku. Wygodnie rozparty w siodle jechał stępa na gniadoszu, a dwa juczne konie, prowadzone za tręzle, sennie kiwały łbami. Jego schludnie ogolona twarz zdradzała starość. Mrużył jasnoniebieskie oczy. Wydawał się człowiekiem w siodle urodzonym i nie znać na nim było zmęczenia długotrwałym upałem. Niedbałym ruchem skierował konia ku lepiance, zrobionej z gliny na plecionce z gałęzi.

Meksykański pasterz owiec, czyli owczarz, i jego pomocnik, chłopak indiański, siedzieli skuleni przed lepianką, przygotowując wieczorny posiłek. Rozproszone na równinie stado owiec, liczące według oceny przybysza ponad dwa tysiące sztuk, pasło się pod strażą czujnych psów.

Owczarz zerwał się na równe nogi, kiedy nadjechał obcy. Wisząca u wejścia do chatki skóra była odsunięta i zaczepiona o hak, a wewnątrz znajdowało się jagniątko, które baraszkowało ze szczenięciem. Jagniątko wyskoczyło z chaty i pobiegło ku stadu, a za nim popędziło szczenię, uczące się już swego zawodu. Meksykanin spojrzał wielkimi ciemnymi oczyma spod swego sombrero. Jego twarz miała łagodny, zatroskany wyraz, charakterystyczny dla pasterzy owiec, a milczenie, skrytość i ubóstwo wyryły na niej swe piętno. Mały Apacz stał wyprostowany i przejęty. Spod kapelusza spływały jego bujne, czarne włosy. Miał krótkie nogi i szeroką klatkę piersiową, jak ludzie z jego plemienia. Wydawał się silny, ale jakoś dziwnie zastraszony.

— Dzień dobry, señor — pozdrowił po hiszpańsku przybysza pasterz.

Nie odpowiedziawszy na to powitanie obcy zsiadł z konia, rozsiodłał go, zdjął juki z dwóch pozostałych, natarł ich spocone od upału i uprzęży grzbiety, spętał im nogi i puścił na trawę.

— Chłopcze — zwrócił się do Apacza. — Napój moje konie. — Powiedział to w jego języku.

Chłopak pobiegł po wodę i wiadro. Przybysz siadł ze skrzyżowanymi nogami o kilka stóp od ognia.

Owczarz spojrzał na niego i rzekł:

— Będzie to dla mnie zaszczyt, señor, jeżeli zjesz ze mną wieczerzę.

Tamten zaśmiał się z cichą. Kiedy tu siedzi, wszystko czego zechce, jest jego, i ofiarowywanie mu czegokolwiek to tylko czcza formalność.

Kiedy jadł, mały Apacz spoglądał na niego w zdumieniu. Ten człowiek zdawał się być Apaczem. Nie jadł, lecz pożerał. Meksykanin stał obok niego z miną wylękłego sługi. Ten wielki człowiek jadł, jakby miało mu

zbraknąć jedzenia, choćby misę jego stanowiła równina objęta tymi górami. W sposobie jedzenia było coś dzikiego, co budziło strach.

Podano mu tortillas, kozie mleko, baraninę z papryką. Jadł i odbijało mu się. Tłuszcz ściekał mu z brody. Kiedy wreszcie skończył, rozsmarował tłuszcz po twarzy i wtarł go, łagodząc podrażnienie napiętej, wysuszonej od słońca skóry. Następnie zażądał rozrywki. Głos miał tak potężny, że Meksykanin cofnął się jak odepchnięty podmuchem. Zdawało mu się że popękały mu bębenki w uszach. Kręcił odmownie głową, aż chwiały się szerokie skrzydła sombrero. Przybysz go zbyt onieśmielał, aby mógł go zabawiać. Tamten ryknął,

— Bierz swoją vihuelę! Czy nie wiesz, że jestem twoim gościem!

— Si, si — uspokajał go Meksykanin.

Drobnymi kroczkami pobiegł do lepianki. Powrócił z ogromną vihuelą, bo jak wiedział traper, miewali je na ogół pasterze. Nadchodziła noc. Owce wydawały cichy dźwięk, jak gdyby idąc skubały własne runo. Nagły podmuch nadleciał od gór, tchnienie rozpalonych skał. Meksykanin zaczął grać cicho melodie pasterskie, pieśni stróżów owiec, którzy przebywają na wysokich i niskich halach.

Obcy płakał. Nie wstydził się łkań, wyrywających mu się z piersi. Chłopiec spoglądał na niego z niedowierzaniem. Apacz nie może, nie powinien płakać. A jednak ten człowiek nie płakał jak kobieta. Było coś wielkiego, coś przerażającego w tej jego niepohamowanej swobodzie płaczu. Chłopiec w zdumieniu patrzył na niego i rozmyślał. Noc otuliła swym płaszczem świat. Pieśni ucichły.

Rankiem przybysz z gór zapytał:

— Jak się nazywasz, chłopcze?

— Wołają na mnie Tuzimo.

Obcy przebiegł oczyma po stadzie. Były to owce nierasowe, chude, potulne a wytrwałe.

— Jesteś niewolnikiem, Tuzimo.

Usta chłopca zacisnęły się w twardą linię. W przeciwnym razie nie byłoby tutaj żadnego Apacza.

— Od jak dawna jesteś w niewoli, Tuzimo?

— Ja tego nie wiem, señor.

— Spróbuj sobie przypomnieć — nalegał.

Chłopiec spojrzał na góry ciemnymi, bystrymi oczyma,

— Jestem tutaj czwarty raz.

Traper z gór skinął głową.

— I przez cały czas twej niewoli pracujesz przy owcach?

— Si.

— Jesteś więc w niewoli od czterech lat. Czwarty raz przyszedłeś na letnie pastwisko.

— Si.

Traper powiedział cicho:

— Jesteś wolny. Zabiorę cię ze sobą. Apacz musi być wolny.

Tuzimo nie okazał wdzięczności, ale szybko podszedł do trapera, który podsunął mu strzemię, i chłopiec siadł za nim na konia. Wzburzony pasterz nadbiegł tak szybko, aż mu sombrero spadło na ziemię. Słowa

protestu tłoczyły mu się na grube wargi. Traper z gór zaśmiał się wprost w jego uniesioną twarz.

— Apacz musi być wolny! — zawołał. — Sam Bóg tak zrządził! Tchnął to w nich! Waagh! — wrzasnął nagle, na sposób ludzi gór, lubujących się w tym dzikim okrzyku, przezwisku niedźwiedzia. A potem zaszczekał jak kujot. Przerażone owce zakotłowały się i ruszyły naprzód, przełamując kształt, w jaki ujął stado nakaz pasterza i napędzanie psów. Owczarz podniósł oczy ku ogromnemu mężczyźnie, a potem przez ramię rzucił wzrokiem na swoje zwierzęta. Poderwał się z cichym nawoływaniem i ponownie uformował je w szyk ułatwiający mu kontrolę stada.

W parę godzin później konie podniosły łby, zarżały cicho, radośnie. Droga prowadziła w dół zbocza. Po chwili Tuzimo także poczuł wodę. Traper z gór przystanął przy źródle koło mrowiska i zaśmiał się chrypliwie. Doprowadził konie do wody, ale pilnował, żeby nie piły za dużo. Kiedy zaspokoiły pragnienie, napił się sam, a potem skinieniem kazał pić chłopcu.

Traper drapał się i klął, i to były jego pierwsze słowa tego popołudnia. Rozbił obóz, potem zdjął ubranie i położył się na mrowisku. Polecił chłopakowi rozebrać się i odrzucić ubranie. Następnie przyprowadził go do mrowiska.

— Kładź się na mrowisku, Tuzimo — rozkazał.

Tuzimo nie pytając o nic zrobił, co mu kazano. Traper z gór wepchnął mu do uszu kawałki materiału.

— Zatkaj nos — powiedział — oddychaj przez usta.

Tuzimo zrobił, co mu kazano, i z własnej już woli zamknął oczy, zaciskając jak najmocniej powieki. Męczarnie rozpoczęły się od razu, powolne, wyrafinowane. Zmuszał się, aby leżeć spokojnie, czerpiąc siły z dawnych wspomnień. Przed oczyma stanął mu obraz młodzieńca ze spokojem w twarzy. Czy to był jego starszy brat? Musiano mu odciąć nogę. Kiedy ją odcinano, rozprawiał o dobrych łowach, a twarz miał spokojną.

Traper z gór stał nad chłopakiem.

— Mrówki zjedzą wszystkie wszy — powiedział. — W tej chwili zjadają masy wszy z twoich włosów.

Tuzimo nie śmiał zadać pytania. Kiedy ów wielki mężczyzna pozwoli mu wstać? Pamięć nauk plemienia była w nim tak silna, jakby wpajano mu je bez przerwy. Ani jedna łza nie spłynęła z jego oczu, ani jeden jęk nie wydarł się z ust. Pamiętał, jak to było, kiedy płakał, nim został schwytany przez Meksykanów i oddany w niewolę panu, który posiadał tak wiele owiec.

Pamiętał smak zwierzęcej skóry, która zdławiła jego krzyki i w którą wsiąkły jego łzy. Nauczył się hamować płacz. Lepiej go hamować, niż zostać uduszonym. Nauczył się, że synowi Apaczów, który nie potrafi być dzielny, grozi śmierć w zwojach skóry.

— Wstań, Tuzimo.

Podniósł się, ale nie skamlał ani nie miotał się. Czuł w sobie setki igieł. Jego ciało krzyczało bez słów. Jeżeli zobaczy teraz człowieka leżącego na

mrowisku, będzie mógł rozkoszować się jego cierpieniem. Oczyma wyobraźni widział wielu Meksykanów, rozkrzyżowanych na mrowisku.

— Zbliż się, Tuzimo.

Traper z gór natarł go whisky. Igły w ciele chłopca rozżarzyły się do czerwoności. W ustach miał smak krwi, gdyż przygryzł język, pragnący wydać krzyk. Wstrętny język, chciał go poniżyć i pohańbić.

— Patrz, Tuzimo, co dla ciebie zrobiłem.

Kiedy tak stał rozkoszując się swym męstwem i przemijaniem bólu, rozpływającego się w uczuciu błogości, traper majstrował coś nożem z pasa skóry. I oto Tuzimo miał przepaskę umocowaną z tyłu na rzemieniu, który obejmował jego kibić i dał się wiązać. Przeciągnął długi pas skóry między nogami, przewlókł go przez pętlę rzemienną poniżej pępka.

Wieczorem jedli suszone na słońcu mięso, placki i pili kawę. Ciemność zasnuwająca pobliskie skały mroczniała coraz bardziej. Góry gdzieś znikły. Gałęzie mesquitów paliły się słabym płomieniem. Traper z gór rzucił chłopakowi koc.

Już na kilka godzin przed wieczornym biwakiem następnego dnia Tuzimo zorientował się, że mężczyzna tropi czyjeś ślady. Odczytywał wszystkie znaki, jakie zwierzęta czy ludzie zostawili na swoim szlaku, znaki czasami tak nikłe, że tylko najmądrzejsi je dostrzegają. Z pewnością tym razem tropił ludzi; inaczej nie byłby tak przejęty.

Wieczorem nie rozpalili ogniska. Ale Tuzimo nie zadawał żadnych pytań, ani nie usłyszał żadnych wyjaśnień. Jedli suszoną wołowinę, którą popili paru łykami wody. Położyli się spać. Traper z gór spał czujnie, nasłuchując we śnie, a chłopiec również nasłuchiwał, sam nie wiedząc czego. Wiatr zamarł. Od kamieni bił zapach stęchlizny. Ziemia poczerniała, w krzakach nie poruszyła się ani jedna gałązka.

Co dostrzegł traper z gór? Dlaczego się niepokoi? - myślał Tuzimo, żałując, że sam nie może odczytać wieści, jakie ziemia przekazuje staremu. Tuzimo pragnął stać się wielkim Apaczem, a umiejętność odczytywania tropów stanowiła ważny tego warunek. Oczywiście, wchodziło w rachubę o wiele więcej, przede wszystkim znajomość przyszłości - wiedza o tym, co ma nastąpić. Apacze wysoko cenili widzenia - sądzili, że pewni ludzie je miewają. W istocie miewało je niewielu. Widzeniom łatwo dawano wiarę. Wszyscy pragnęli wierzyć w ich prawdziwość. Uprzytomniwszy sobie nauki Apaczów Tuzimo pojął słuszność takiego pragnienia. Świat jest pełen magii - każdy nomada wie o tym, kto żyje na pustkowiu, w górach, dziki i wolny, mając nad głową gwiazdy. A czyż to nie magia sprawiła, że traper z gór, człowiek obcy, przyszedł i oswobodził jego, Tuzima, z niewoli? Nie można temu zaprzeczyć. Tuzimo leżąc na ziemi, owinięty w koc, potakiwał samemu sobie. Na pewno Wielki Duch chciał mu dopomóc.

Tak rozmyślał i czuł się szczęśliwy. Po czterech latach nastąpiło pomyślne i ważne wydarzenie. Na koniec w tym bezruchu nocy ogarnęło go takie uczucie, jakby gdzieś daleko odpływał. Zanim powieki jego na dobre zamknęły się przed otaczającą go ciemnością, przyszło mu na myśl, że może traper z gór dostrzegł ślady Apaczów, którzy tędy przeszli. To byłoby cudowne! Jego plemię gdzieś w pobliżu! Jacyż inni ludzie mogliby

przechodzić tędy i wzbudzić w jego Wybawcy tyle czujności, że nie odważył się rozpalić wieczornego ogniska?

Uchwyciwszy się tej myśli Tuzimo zasnął z pogodą w sercu i bez lęku, bo przecież i on także był Apaczem. Należał do Apaczów Kujota, plemienia, które wierzyło, że kujot jest stworzeniem zwiastującym dobre, przyjemne wieści. Już zasypiając uprzytomnił sobie niewyraźnie, jak przez mgłę, że traper z gór zaszczekał jak kujot - a czyż nie był to znak szczególny i ważny? Uczynił to uprowadzając go z niewoli. Tak, rzeczywiście, to był znak.

Chłopiec we śnie znalazł w pobliżu kujota. Słyszał jego sapanie. Patrzył w jego błyszczące ślepia i przyszło na niego widzenie.

Jego plemię szło za kujotem i on był między nimi. Jego ludzie byli wygłodniali i potykali się idąc. Tylko on jeden był silny. Biegł obok kujota i upominał go łagodnie, by czekał na Apaczów, bo oni nie mogą iść tak szybko. Kujot go posłuchał, a wtedy Apacze wydali pomruk uznania i podziwu. Przez całą ciemną noc szli za Tuzimem i kujotem. Oczy zwierzęcia były jedynym światłem w ciemnościach. Świeciły jak ognie.

O brzasku schodzili ze wzgórza i kujot zaczął biec. Tuzimo nie wołał na niego, żeby zwolnił, bo to nie było potrzebne. Kujot pędził stado owiec w stronę wzgórza. Tuzimo mu podziękował. Kujot chwycił owcę i zaczął ją pożerać. Krzycząc z radości Apacze wyciągnęli noże i rzucili się na owce. Ucztowali długo. Nikt nie wiedział, ile dni. Wkrótce nie było już owiec na równinie. Krew wsiąkła w ziemię. Apacze mieli uśmiechy na twarzach. Powiedzieli, że Tuzimo ich prowadził i Tuzimo zostanie ich wodzem. Tam, gdzie zabito owce, wyrosła bujna trawa i trysnął strumień. Ogromne białe i czarne konie przyszły się paść w to miejsce. Złapano je. A potem przyszli tu Meksykanie, których miano zabić, i ich kobiety i dzieci, które miano wziąć w niewolę. Apacze wiedzieli, że nastąpią jeszcze inne najazdy i że poprowadzi ich Tuzimo, który zawsze wie, dokąd iść. Widzenia, jakie będzie miał, uczynią ich plemię potężnym i bogatym i żaden z Apaczów nie umrze.

Rano Tuzimo oświadczył pewnym głosem:

— Miałem widzenie. W tym widzeniu byłem z moimi ludźmi.

— W twoim widzeniu była prawda — odrzekł traper z gór. — Wkrótce będziesz ze swoimi ludźmi.

— Zaprowadzi mnie pan do nich?

— Masz przed sobą grań górską. Przejdziesz na drugą stronę i pójdziesz na zachód. A jeszcze lepiej gdybyś biegł, bo im prędzej będziesz szedł, tym prędzej znajdziesz się wśród swoich.

Tuzimo spoglądał długo na trapera z gór, a wielki człowiek patrząc na jego ciemną skórę, mocny zarys brody, splątane kruczoczarne włosy, szeroką klatkę piersiową i krótkie, sprężyste uda widział w nim Apacza, tak jak spojrzenie chłopca, badawcze, bez cienia wdzięczności czy przyjaźni, ale z odrobiną zabobonnego podziwu — uznał za spojrzenie Apacza.

Wreszcie chłopiec odezwał się, nie mogąc zdusić w sobie tego pytania.

— Nie wiem, dlaczego pan mi pomógł.

Zapytany zdumiał się. Apacz by tak po prostu nie zapytał. Przyjrzał się uważnie chłopcu. Poczuł zakłopotanie.

— Bóg uważa, że mężczyźni ani dzieci nie mogą być niewolnikami. Wiesz, kto to Bóg?

Tuzimo uroczyście skinął głową:

— Chodziłem do szkółki misyjnej.

Traper z gór uśmiechnął się.

— Dobrze. To dobrze. Jest takie chrześcijańskie słowo: „współczucie". To znaczy, żeby być dobrym i łagodnym, ale odważnym. Jak przystało mężczyźnie.

Tuzimo zesztywniał. On pogardzał łagodnym Bogiem chrześcijan.

— Nie tylko Meksykanie mają niewolników. My też ich mamy.

Tuzimo nie wiedział, co myśleć. Nie patrzył na swego dobroczyńcę.

— Idź — rozkazał traper z gór.

Chłopiec wspiął się na grań, obrócił, pomachał ręką. Wielki człowiek odpowiedział mu machaniem. Tuzimo pobiegł na zachód i zniknął za granią gór. Stary człowiek zabrał się żywo do pracy. Musi zatrzeć za sobą ślady jak najlepiej.

Wkrótce wyruszył w drogę. Nie żałował, że tak ryzykancko uwolnił Apacza z niewoli, a potem skierował go do jego plemienia, które znajdować się musiało o niewiele godzin drogi od grzbietu gór. Szaleńczą odwagę miał we krwi. Upajała go bardziej niż whisky. Była znamieniem wolnego człowieka, który musi ryzykować własną wolność, aby czuć jej smak. Jednakże szedł pośpiesznie. Niegdyś, dawno temu, ufał Apaczom, ale teraz było to niemożliwe, bo i Apacze nie mogli już wierzyć ludziom jego rasy. Zbyt wielu „przyjaciół" stało się ich mordercami. Apacze nienawidzili tych, co ich okradali z ziemi lub wolności, i mścili się z takim okrucieństwem, że nałożono wysoką cenę na ich głowy.

Tak wysoką — sto dolarów za skalp mężczyzny, pięćdziesiąt za kobiety, dwadzieścia pięć za dziecko - że wielu z tych, którzy mienili się ich przyjaciółmi, dało się zwieść chciwości. Widział sprawiedliwość w tym, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Więc spieszył się. Nie liczył na to, że Tuzimo się za nim wstawi, ani też nie splamiłby swego honoru prośbą o tajemnicę. To były czasy, kiedy Apacz zabiłby nawet swą mleczną matkę, gdyby nie należała do jego plemienia.

Tuzimo biegł zwinnie, na przygiętych nogach, niemal skulony, ale swe mocne, szczupłe plecy trzymał prosto. Ponieważ był bardzo młody, nie pozbawiły go energii lata spędzone na wędrówkach z owcami po mglistych, ponurych, jednostajnych pastwiskach suchych okolic. Miał radość w sercu i czuł, że prowadzi go duch większy niż on sam.

Był już od jakiegoś czasu pod czyjąś obserwacją, choć o tym nie wiedział. Posuwał się kanionem, kiedy zza skały wyskoczył wojownik i zaszedł mu drogę. Tuzimo nie cofnął się ze zdziwienia ani lęku i wojownik wyraził okrzykiem swe uznanie. Poprowadził chłopca na północ, idąc zachodnim brzegiem kanionu. Wkrótce Tuzimo znalazł się w obozie swego

plemienia. Byli już uprzedzeni o jego przybyciu. Przed tepee, przyglądając się w milczeniu nadchodzącemu, zebrały się zaciekawione kobiety i dzieci.

Chłopiec zwolnił kroku, a wtedy dostrzegł stojącego wprost przed sobą wysokiego, wyniosłego mężczyznę o długim, cienkim jak brzytwa nosie i z czerwoną szmatą na głowie. Kiedy Tuzimo się przybliżył, otoczyli go mężczyźni i poczuł się, dziwnie zagubiony w ostrym, niemal zapomnianym już zapachu ludzi swego plemienia.

Następne pół godziny pozostało mu na zawsze w pamięci. Niełatwo mu szło z początku. Kiedy nie udawało mu się płynnie wytłumaczyć, skąd i dlaczego przybywa, popychano go i szturchano. Próbował opowiedzieć swoją historię w języku Apaczów i nie potrafił. Wódz przemówił do niego po hiszpańsku i chłopiec odniósł wrażenie, że spogląda na niego przychylnie. Miał na nogach sięgające niemal kolan i wywinięte u góry mokasyny, a stał na szeroko rozstawionych nogach. Brudna biała bluza i brudna opaska biodrowa dopełniały jego stroju. Obok niego stał niski człowiek o tępej; twarzy, w wysokim kapeluszu na głowie. Był to szaman, czyli kapłan plemienia.

Tuzimo opowiedział o traperze z gór, a potem dodał, że miał widzenie, w którym prowadził swój lud do miejsca, gdzie znajdowało się dużo jedzenia. Nikt się z niego nie śmiał. Zgłodniali ludzie tłoczyli się dokoła.

Mężczyźni poklepywali go po głowie, kiedy o tym mówił. Pytali, czy tam, gdzie ich poprowadzi, będą konie. I chociaż owczarz, od którego uciekł, nie miał konia, Tuzimo odrzekł, że będą. Bo były w jego widzeniu. Pytali, ilu napotkają ludzi. Powiedział, że kilku, nie jednego człowieka, że niektórzy będą starzy, inni młodzi. Powiedział, że owiec będzie tyle, że zajmą całe pastwisko. Powiedział, że będą kobiety i dzieci.

Kiwali głowami i rozmyślali nad tym. Wiedział, że są głodni i że pragną wojny. Płonął wewnętrznym podnieceniem, ale starał się tego nie okazać.

Prawie bezwiednie stwierdził:

— Myślę, że stało się to możliwe dzięki białemu człowiekowi.

Ale oni zaczęli pomrukiwać z niezadowolenia, a niski mężczyzna w wysokim kapeluszu odrzekł:

— To wróg, białe oko, i musimy go zabić. On może sprowadzić tu wojsko, które nas pozabija.

Tuzimo potrząsnął głową.

— On tego nie zrobi.

Niski człowiek zawołał:

— Białe oko, może zrobić wszystko. — Z powagą przemawiał do chłopca, jak do dorosłego. Bo tak należało. Zdarzało się nieraz, że ktoś młody miewał widzenia, które były rzeczą świętą, a ludzie tego typu co Apacze w takim stopniu ufali opatrzności, że nie mogli nie doceniać takich darów.

— Białe oko ma rozdwojony język — wyjaśnił. — Przyszliśmy z Nowego Meksyku. Nasi biali meksykańscy przyjaciele zaprosili nas na ucztę. Jedliśmy i było nam bardzo dobrze. A potem zaprowadzili nas na dziedziniec i powiedzieli, żebyśmy wybrali sobie, co chcemy z ich pięknych rzeczy. A kiedy podchodziliśmy do miejsca, gdzie leżały te piękne rzeczy, wystrzelili do nas z armaty. I padaliśmy martwi - mężowie, kobiety, dzieci.

W armacie były różne rzeczy. Wszelkiego rodzaju szmelc i żelastwo. Kiedy to wybuchło - umieraliśmy. I pozostaliśmy głodni, spragnieni zemsty. Bo czyż nie wszyscy są przeciw Apaczom?

A potem niski mężczyzna rzekł:

— Pójdziemy za Tuzimo. Pójdziemy także za białym okiem i znajdziemy na równinie owce.

Wysoki wódz odezwał się.

— Czekajcie. Tuzimo przemówi. To jego widzenie.

Tuzimo chciał zaprotestować przeciw temu, co mówił szaman, ale coś w nim zdławiło ten protest i nic nie powiedział. Okaże się prawdziwym Apaczem, jeżeli po tych czterech latach spędzonych u Meksykanów zdoła słuchać krzyków torturowanego trapera z gór i nie powiedzieć nic. Okaże się dobrym znawcą ludzi, jeżeli jego dzielny traper nie będzie krzyczał. Wiedział, że jego współplemieńcy uważają torturę za rzecz dobrą, gdyż dowodzi ona słabości wrogów i pokazuje, jak wielkie może być męstwo człowieka. Nie ma nic wspanialszego niż torturować słabych i czuć dla nich pogardę, albo torturować mocnych i pragnąć być tak mężnym jak oni.

— Idziemy — rozkazał wódz.

W gromadzie było trzydziestu wojowników i dwakroć tyle kobiet i dzieci. Dziesięciu wojowników pozostało z kobietami i dziećmi, a spotkanie wyznaczono w miejscu położonym na północ od gór, gdzie można było zapędzić na pastwiska wielkie stado owiec. Reszta wojowników z Tuzimem skierowała się tam, gdzie chłopiec spędził drugą noc z traperem.

Widniały tam popioły porannego ogniska i wojownicy wypatrywali śladów trapera z gór, żeby poznać, w jakim kierunku się udał. Niski Indianin przewodził tropicielom. Reszta szła za nimi.

Tuzimo był dobrej myśli. Oto prowadzi zbrojnych i dzielnych wojowników na bitwę, by zdobyć jedzenie. Z pewnością jego wizja nie okaże się fałszywa, nie zostanie tego wszystkiego pozbawiony, nie Otoczy go pogardą. Logika mówiła mu, że znajdą owczarza i jego stado, i nic ponadto, ale cóż znaczy logika wobec widzenia.

Szli wytrwale przez dwie noce i dwa dni i u schyłku drugiego dnia dotarli do lepianki. Indianie rozproszyli się w poszukiwaniu śladów. A potem ruszyli za stadem. Dogonili je już w mroku i ujrzeli płonące ognisko. Dostrzegli przy nim postacie kilku mężczyzn. Posłyszeli rżenie konia. Tuzimo czuł się szczęśliwy. Pozwolono mu czekać u boku wodza, aż przeminą święte godziny ciemności. Nie wolno wtedy zaczynać walki, ponieważ godziny te należą do ukochanych zmarłych. Kiedy wstało słońce, skoczył naprzód ze swymi współplemieńcami i pomagał im chwytać owczarza i jego towarzyszy.

Rozpoznał tych ludzi: był wśród nich vaquero, jeździec pilnujący jego owczarza, i kilku innych, był jeszcze jeden owczarz pracujący u tego samego pana, był nadzorca strzegący pastwiska i jego trzej zbrojni strażnicy. W wozie znajdowało się dwoje małych dzieci nadzorcy i stara kobieta, która się nimi opiekowała, żona nadzorcy i ich najstarsza trzynastoletnia córka. Niewątpliwie jechał on do hacjendy swego pana i zabrał ze sobą rodzinę, bo jak przypomniał sobie Tuzimo, czynił tak już dwukrotnie za jego pamięci.

Pochwycono ich wszystkich bez strzału, chociaż jednego ze strażników zasztyletowano i leżał teraz na ziemi umierający. Cała broń znalazła się w rękach Apaczów, a także cztery konie, dwa woły, trzy osły i dwa stada owiec liczące w sumie około czterech tysięcy sztuk. Związanych jeńców rzucono na ziemię, a Apacze poczęli obżerać się baraniną.

Późnym popołudniem przybył ze swymi ludźmi niski Apacz, prowadząc na rzemieniu za szyję trapera. Niski Apacz jechał na jego gniadoszu. Trapera wraz z owczarzem, odartych z ubrania, związano, a tuż przy nich rozniecono ogniska. Resztę pozostałych przy życiu mężczyzn przywiązano do kół wozów, głowami na dół i pod ich głowami rozpalono ogniska. Wkrótce będą z nich drzeć pasy, a oni, szalejąc z bólu, będą krzyczeć i miotać głowami wprost w płomienie.

— Czekajcie! — zawołał traper z gór. — Tuzimo, zbliż się!

Zdziwiony chłopiec stanął nad nim. Z pogardą, w zawstydzeniu, czekał na błaganie o litość czy okazanie przyjaźni.

Wówczas traper z gór zapytał:

— Czy wierzysz w Boga?

— On nie jest moim Bogiem.

— A czy wierzysz w to? — zapytał traper i szarpnął się w więzach, nachylił ku ogniowi, aż zatliły mu się włosy. Bez gniewu, nie okazując bólu, tak właśnie jak nakazuje tradycja Apaczów, trzymał głową jak mógł najbliżej płomienia.

Powiedział:

— Tuzimo, nie dla siebie to robią. Dla tamtych. Waagh! — krzyknął i usiłował pokryć ból uśmiechem. — To przeze mnie oni cierpią. Tuzimo, jeżeli będą dzielny, czy ich wyzwolisz, jak ja wyzwoliłem ciebie? Waagh! — krzyknął i zaśmiał się w straszliwych męczarniach. — Waagh, czy masz w sobie dość ducha, dziecko, by to zrobić?

Tuzimo patrzał, jak palą się długie włosy trapera. Widział jego oczy, spokojne i nieustraszone. Poczuł na sobie jego spojrzenie.

I zapłonęła w nim dziwna sympatia do tego człowieka. Nagle wróg stał mu się bliski jak współplemieniec - wszak trapera nazywano jego wrogiem! - i kopnął ognisko spod jego głowy.

— Co robisz! — krzyknął niski Apacz. — Przestań! — i próbował przesunąć ognisko z powrotem. Tuzimo począł się z nim szamotać.

Nadbiegł Somber, wysoki wódz.

— Tuzimo! Tuzimo!

Chłopiec stanął na baczność.

— Mówi — rozkazał wódz.

— Mam przyjaciela — rzekł gorąco Tuzimo. — Białe oko. Myślę, że wszystko obróci się dla nas na złe, jeżeli on zginie. Będę walczył o niego — zakończył ostro.

Wódź długo patrzył na chłopca. Potem popatrzył na owce i inne dobra, konie, wóz, które zyskali dzięki niemu, a były to wspaniałe rzeczy, więc należało szanować Tuzimo. W końcu skinął głową i rzekł:

— Słyszeliśmy przedtem od ciebie słowa prawdy, nie powiemy, że to, co mówisz teraz, jest nieprawdą. Uwolnić jeńców.

Noc. Odszedł traper i Meksykanie. Indianie przy ognisku jedli baraninę. Tuzimo leżał na ziemi, mając nad głową gwiazdy, na wpół uśpiony, na wpół przytomny.

Hi-yah, pomyślał, i ogarnęło go uczucie szczęścia, nieskończonego i tajemniczego jak rozpostarte nad nim niebo. Uwolnił wrogów od tortur, a jednak czuł swoją moc. Oto ja, Tuzimo, pomyślał, okazałem współczucie, lecz odważnie, jak przystało mężczyźnie. I wiedział, że zawsze tak będzie.

Tłumaczenie Aldona Szpakowska

**Kenneth Fowler**

## Spokojny John
(Peaceful John)

John Remsberg ściągnął lejce deresza i zatrzymał kocz przed zachwaszczonym progiem domu na ranczo. Był to zniszczony przez wiatr i niepogodę niski budynek z wysuszonej na słońcu cegły, który panował nad okolicą stojąc na krawędzi zbocza, z oknem zwróconym ku kawowego koloru rzeczułce. Jej zakręty widoczne były na pół mili, a potem ginęły za szańcem topoli.

Remsberg, zgarbiony na siedzeniu kocza, przez długą chwilę nie poruszał się i badawczym spojrzeniem obrzucał najdzikszy, najrozleglejszy i najbardziej opuszczony szmat ziemi; jaki zdarzyło mu się widzieć. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się falujące wzgórza, skaliste i piaszczyste, porośnięte kolczastą roślinnością. Nad nimi niebo, kopuła błękitu bez jednej plamki, wsparta na odległych szczytach. Był piękny, wrześniowy dzień i powietrze migotało w słońcu.

Remsberg z rozkoszą wciągał w płuca czyste powietrze. Widok, jaki roztaczał się z tego miejsca, które obecnie było jego podwórkiem, uprzytamniał mu własną małość i potęgę. Małość, w porównaniu z tym bezmiarem. Potęgę, ponieważ w jakiś dziwny sposób dawał mu poczucie wolności i mocy. Ta ziemia - dziewicza i rozległa - tchnęła wielkość w myśli człowiecze.

Prawa stopa Johna Remsberga zwisała nad krawędzią kocza. Huśtał nią leniwie, ciesząc się ciepłem słońca, które poprzez przetartą bawełnianą koszulę przenikało do jego potężnych, muskularnych ramion. Miał na sobie samodziałowe bryczesy, a kapelusz armii Północy, odarty z charakterystycznych oznak i zsunięty zawadiacko na tył jego dużej głowy, ukazywał zwichrzone włosy koloru słomy. Jego oczy, o barwie spłowiałych roboczych kombinezonów z niebieskiej bawełny, badały horyzont skupionym, zamyślonym spojrzeniem.

Ja, uroczyście i w zadumie, potakiwał głową samemu sobie. Taka ziemia budzi w człowieku gorączkę. Wżera się w jego krew i kości, podobnie jak uczucie do tej jednej, jedynej kobiety.

I nagle zastanowił się. Czy to ta ziemia roznieca w nim ów szczególny niepokój, czy może wciąż żywe wspomnienie dziewczyny, którą spotkał tego ranka robiąc zakupy w składzie Ellswortha?

Nie wolno mu o niej myśleć! To arystokratka. Słyszał o Ellsworthach, jednym z najstarszych tutejszych rodów. Ich dom, na skraju miasta, należał do największych w okolicy, zaś Abby Ellsworth otrzymała wychowanie damy. W dobrze prosperującym przedsiębiorstwie swego ojca pracowała niewątpliwie tylko od czasu do czasu, po prostu żeby mieć coś

do roboty. A kim jest on? Jest tu od dziesięciu lat, przyjechał do Nowego Jorku statkiem do przewożenia bydła.

Możesz marzyć, Johnie Remsberg. Ale nie bądź głupcem.

A jednak jest w niej coś… ma taki sposób bycia, otwarty i szczery, niemal zuchwały, a przecież nie obraźliwy.

Zwróciła się do niego od razu po nazwisku, jak gdyby wszystko o nim wiedziała, a kiedy okazał zdziwienie, jej łagodne, dymno-szare oczy rozbłysły.

— Tu jest plotkarskie centrum miasta, panie Remsberg — oznajmiła z uśmiechem. — To pana nazywają Spokojnym Johnem, prawda? I pan przejął ziemię po starym Auguście Remsbergu?

Brzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie, więc tylko skinął głową. Miał wrażenie, że widzi ją rzeczywiście po raz pierwszy - tę smukłą, pełną życia, ubraną w ciemnozieloną wełnianą suknię dziewczynę, która swe czarne, lśniące jak lód włosy upięła na karku we wdzięczny kok.

— Dlaczego nazywają pana Spokojnym Johnem, panie Remsberg?

Spojrzał na nią badawczo.

— Czy to przezwisko jest śmieszne?

— Tak i nie. Wydaje mi się, że w stosunku do pana jest

I całkiem otwarcie zmierzyła wzrokiem jego krzepką postać. Przypominała mu nieznośnego szczeniaka, który naprzykrza się chcąc zwrócić na siebie uwagę. Powiedział:

— Na Północy nie ma w tym nic śmiesznego, jak ktoś nie nosi broni — zamyślił się. — A tutaj uważa się to za żart, co?

— Rzadko się to zdarza. Czasy są niespokojne. Większość mężczyzn na ranczach nosi broń ze względu na bezpieczeństwo.

Wyciągnął przed nią swe potężne pięści.

— To jest moja broń. Biłem się za Północ. Widziałem dosyć broni. Teraz wszyscy jesteśmy znów sąsiadami.

— Nawet sąsiedzi się kłócą, panie Remsberg. A tutaj łatwiej uniknąć nieprzyjemności mając broń.

— Pilnuję własnych spraw. Nie miewam z nikim zwad. — Z tymi słowy wręczył jej kawałek papieru, na którym widniał szczegółowy spis potrzebnych mu towarów.

Widocznie spostrzegła przezornie zaznaczone na liście ceny poszczególnych towarów, które kładła na ladę, bo gdy wypełniła zamówienie, jej propozycja kredytu brzmiała aż nazbyt naturalnie.

— Pański wuj miał u nas stałe konto — rzekła. — Zapłaci nam pan, kiedy pan będzie mógł.

Rumieniec zabarwił jego policzki, gdy kładł przed nią monety wydobyte ze zniszczonej sakiewki.

— Stać mnie na to, by płacić za moje zakupy.

— Wie pan, co podejrzewam, panie Remsberg? Podejrzewam pana o niemądrą dumę! Widzę już tylko parę monet w sakiewce.

Szorstkość wypowiedzi dziewczyny wstrząsnęła nim. Podniósł na nią wzrok i zdziwił się, że jego zmieszanie szybko minęło. Jej słowa były bezceremonialne, ale i bez żądła. Jej sposób patrzenia prosto w oczy nie wypływał z zuchwalstwa, ale z prostej ludzkiej ciekawości, było w nim

jakieś ciepło. A potem spojrzał na jej dłonie z palcami stworzonymi po to, by trzymać kieliszek wina lub z wdziękiem dotykać klawiszy fortepianu. Dłonie damy.

Bez widocznego wysiłku uniósł ciężki jutowy worek z zakupami i przerzucił go przez ramię. Potem wziął sakiewkę.

— Ta sakiewka nie pozostanie pusta — stwierdził sztywno.

— Oczywiście, że nie! Zrobiłby pan dobrze starając się o niecechowane cielęta. Słyszałam, że w ten sposób powstawały piękne stada.

Ciepło i ożywienie jej głosu wywołały w nim natychmiast uczucie wstydu.

— Tak — odpowiedział — chciałbym dochować się pięknego stada.

Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę, wyrażając jakieś niezręczne pytania.

— Musi pan nas odwiedzić będąc w mieście.

— Te zapasy starczą mi na długo.

— Nie musi pan cały czas tkwić w kieracie. — Uśmiechnęła się. — Chyba że chce pan zostać pustelnikiem.

Teraz, siedząc bokiem na wypchanej słomą poduszce jednokonki i patrząc na zniszczone zabudowania, John Remsberg starał się wyrzucić ją ze swych myśli. Ma już żywność. Teraz musi wziąć się do roboty. Należy przetrzebić las, zreperować szopy, a gdzieś dalej musi zbudować zagrodę dla niecechowanych cieląt, które ma nadzieję złapać i ocechować. Nie może sobie pozwolić, żeby mieć myśl zajętą czym innym, jeżeli chce wykonać pracę, która tu na niego czeka.

Nosiła ochronne zarękawki z papieru na koronkowych mankietach swej bluzki, żeby ich nie pobrudzić, a taka wydawała się mała, stojąc obok niego, że mógłby ją objąć w pasie jedną ręką.

Bydło. Najpierw musi być bydło. W latach wojny nadzwyczajnie się rozmnożyło, a teraz każdy, kto pierwszy pójdzie i złapie sztukę bydła na lasso, ma prawo uważać ją za swoją własność.

Ach, te jej delikatne ręce. Żony ranczerów, które widział w mieście, oczekujące mężów w koczach czy brykach, nie miały takich rąk.

Ja. Bydło najpierw. Na północy, w ośrodkach takich jak Abilene, Ellsworth, Dodge City czekają już na nie kupcy, zaś przez równiny ku północy pędzą z tupotem kopyt, wśród kurzawy, wielkie stada - szansa dla tego, kto będzie pierwszy.

Ręce żon ranczerów są czerwone i brzydkie - spracowane ręce. Ale czy praca to wszystko, czego mężczyzna chce od swej kobiety?

Wpatrzony w krwiste, brunatne wzgórza, mrużąc oczy przed rudawym blaskiem słońca, John Remsberg śnił swój sen. Powoli w zamyśleniu potrząsał głową. Nie, nie wolno mu zbaczać z wytkniętej drogi.

Poza tym dostał się w mieście na języki, a żadna kobieta nie zechce za męża człowieka, który nie uznaje kodeksu tego kraju - kresowego prawa strzelby - budząc przez to pogardę i szyderstwo.

Przeklęty awanturnik jankeski! Nie wytrwa tu sześciu miesięcy. A te wszystkie dwuznaczne szepty i ironiczne spojrzenia, które go witają, kiedykolwiek pojawi się w mieście…

Spokojny John!

Przerwał nagle tę introspekcję. Dwaj jeźdźcy zbliżyli się do podwórza rancza i dając wytchnąć spienionym koniom zatrzymali się siedząc w siodłach. Prowadzili rozmowę rzucając na niego spojrzenia. Potem nagle skręcili na podwórze, zsiedli z koni i uwiązali je przy koczu.

Jeden z przybyszów był barczysty i miał ciężkie, obwisłe policzki i zimne oczy, które spoczęły badawczo na Remsbergu. Jego towarzysz był mały, niemal karzeł. Trzymał w ustach niedopałek papierosa z papieru pakowego i mrużył bursztynowe oczy przed wijącym się dymkiem.

Wyższy mężczyzna wysunął się zza kocza.

— Jestem Dan Shiffley — oświadczył i wyciągnął rękę. Remsberg, nieco zdziwiony, uścisnął ją.

Shiffley wskazał ruchem głowy za siebie.

— Mój wspólnik, Maxie Fass.

Głowa Fassa leciutko drgnęła.

— Miło mi poznać sąsiadów — rzekł Remsberg.

Shiffley mruknął:

— Słyszałem w mieście, że pan przejmuje tę ziemię. Strata czasu, sianie na tych chwastach.

— Doprawdy? — powiedział łagodnie Remsberg, ale Shiffley nie zwrócił na to uwagi.

— Przyszliśmy zaproponować panu pracę — powiedział — za każde cielę czy krowę ocechowane moim znakiem płacimy pięćdziesiąt centów. Przy pewnej wprawie zrobi pan bez trudu sześć na dzień.

— Trzy dolary dziennie — rzekł Fass. — Dobry zarobek dla początkującego.

Usta Remsberga wygięły się w ironicznym uśmiechu.

— A może będę łapał bydło dla siebie, co?

Shiffley spojrzał na Fassa.

— Nie mówiłem ci, Maxie? — wzrok jego padł na worek towarów wsparty o tył siedzenia kocza. — Widzisz, już wszystko przygotowane dla bydła. Za dumny, żeby się nająć i szybko zarobić pieniądze.

Remsberg poczerwieniał.

— Tego nie powiedziałem. Ja…

— Ale my się nie gniewamy, prawda Maxie? — przerwał mu Shiffley. — Pomóżmy Spokojnemu Johnowi z tym workiem.

Remsberg nie dość szybko wyskoczył z kocza. Shiffley był już z tyłu i szarpał za wyładowany towarami jutowy worek. Gdy Remsberg rzucił się, żeby go pochwycić, worek się rozchylił i zawartość wypadła na ziemię.

— Psiakrew! — Shiffley wydawał się zdziwiony, gdy jego ciężki but następował na torbę z cukrem rozdzierając ją. Remsberg usiłował go odpędzić.

— Zostawcie to! Sam się tym zajmę! — Remsberg przykucnął sięgając po rozsypane prowianty, a Shiffley wyprostował się niespodzianie i niby od niechcenia kopnął go w prawą skroń.

Remsberg padł ogłuszony. Gdy po chwili próbował się dźwignąć, ujrzał wysoko nad sobą postać Fassa. Pistolet w jego ręku zatoczył lśniący łuk nad wstającym. Remsberg jęknął i runął bezwładnie na pusty jutowy worek. Pociemniało mu w oczach.

Abby Ellsworth wkładała właśnie kapelusik i stroiła się przed lustrem, kiedy John Remsberg wszedł do sklepu po raz drugi tego samego dnia. Koło Abby stał za kontuarem mężczyzna w średnim wieku, o surowym wyglądzie, i pierwsze spojrzenie powiedziało Remsbergowi, że musi to być jej ojciec. Clayton Ellsworth miał twarz o takiej samej delikatnej budowie i regularnych rysach, a w zimnych oczach koloru granitu takie same dymne lśnienia.

Abby dostrzegła w lustrze Remsberga, gdy ciężko, z wahaniem, podchodził do lady. Odwróciła się, ich oczy się spotkały, a twarze zarumieniły w tym samym momencie.

— O, pan Remsberg? Odwiedził mnie pan wcześniej, niż oczekiwałam.

Jej pomyłka wprawiła go w zakłopotanie i twarz pokryła mu się ciemniejszym rumieńcem aż po wydatne kości policzkowe.

— Ja… ja nie przyszedłem w odwiedziny — wybąkał niezręcznie. — Przyszedłem po zakupy.

— Ach, rozumiem — jej głos zabrzmiał zimno, lecz opanowała nutę uszczypliwości. — Zapomniał pan czegoś. A ja myślałam, że należy pan do ludzi, którzy niczego nie zapominają.

— Nie zapomniałem niczego.

— Ale właśnie pan mówił…

Przerwał jej pokornie:

— Proszę wybaczyć, że mówię niejasno. Ale na moim ranczo doszło do nieporozumienia. Czy mogłaby pani dać mi na kredyt te same towary, które wziąłem rano?

Na twarzy Abby odmalował się niepokój, a potem przestrach, gdy spostrzegła opuchnięcie i siniak na jego prawej skroni, tam gdzie zraniła go ostroga Dana Shiffleya.

— Pan jest ranny! — zawołała.

— To głupstwo.

— Kto to zrobił, John? — Wymówiła jego imię, nim zdała sobie z tego sprawę. By pokryć zmieszanie, gniewnie potrząsnęła głową. — Gdyby pan posłuchał mojej rady i nosił broń, nie doszłoby do tego.

— Broń? Chciałbym zapomnieć o tym, że kiedykolwiek nosiłem broń.

— Kto to zrobił? Kto to zrobił? — dopytywała z przejęciem.

Opowiedział jej o Shiffleyu i Fassie, kończąc niezręcznie:

— W przyszłości będę przygotowany na taką małpią złośliwość. Mało brakowało, a byłbym ich zaprosił na pogawędkę. Widząc, że idą, pomyślałem, że to sąsiedzkie odwiedziny.

— Sąsiedzkie odwiedziny! A oni pana pobili i zniszczyli towary! — Abby Ellsworth najeżyła się. — Słyszałam o tych podłych awanturnikach! Szumowiny! Plewy z Północy! Ja… — urwała nagle, a na twarz jej wypłynął gwałtowny rumieniec. — Przepraszam — szepnęła. — Nie miałam na myśli...

— W porządku. Nad nami wszystkimi jedna teraz flaga.

Obróciła się szybko, jej spojrzenie pobiegło ku ojcu, który stał mrocznymi, zwężonymi oczyma przenosząc wzrok z jednego na drugie.

— Ojcze, to jest John Remsberg. Wiesz, on przejął ziemię starego Remsberga.

— Tak, wiem o tym. Słyszałem także w mieście niepochlebne słowa o panu Remsbergu.

— To, co słyszałeś, to niecne plotki, wylęgłe w brudnej knajpie! To nie ma nic do rzeczy. Tu chodzi o kredyt na trochę towaru.

— Słyszałem także waszą obecną rozmowę — odrzekł chłodno Clayton Ellsworth. — To, co się dziś zdarzyło na jego ranczo, zdarzyć się może ponownie. Kupiec nie pozwala sobie na wlewanie melasy do dziurawej beczki.

— Ależ ojcze. To nie dziurawa beczka. Pan Remsberg jest właścicielem ranczo. To nie… włóczęga.

— Nie mówię, że jest włóczęgą. Ale jeżeli go obrażają, niehonorowo jest pozwalać na to.

— Czy „Spokojny" to obraza?

— Tak, jeżeli to mówią z chęcią zniesławienia.

— Nie jest to żadna obraza, jeżeli to mówi nędzna grupka pijaków i hołoty miasta, która nie ma odwagi stanąć przed nim i powiedzieć mu tego w oczy. Pan Remsberg w czasie wojny nie walczył wprawdzie po naszej stronie, ale był żołnierzem. On nie jest tchórzem! On…

John Remsberg przerwał jej drżącym głosem.

— To nie ma znaczenia. Dziękuję. Spróbuję w Składzie pod Orłem. — Odwrócił się, by odejść.

W oczach Claytona Ellswortha pojawił się błysk zrozumienia, gdy Abby obróciła się szybko i stanęła przed nim twarzą w twarz.

— Ojcze — zapytała gwałtownie — czy straciłeś choć jednego dolara z tytułu kredytu, którego ja udzieliłam?

— Chyba nie, Abby, chyba nie. Ale…

— Nie straciłeś i nie stracisz. Jednakże nie o pieniądze się teraz niepokoiłeś i nie o pieniądze powinieneś się niepokoić.

Głos jej zadrżał. Clayton Ellsworth patrzył osowiały na jej błyszczące oczy, na gwałtownie pobladłe delikatne usta. Obróciła się i zawołała donośnie, rozkazująco, do Remsberga, który już stał w drzwiach.

— Panie Remsberg! Proszę poczekać!

A potem regularnie dwa razy w tygodniu John Remsberg jeździł do Bandera zobaczyć się z Abby Ellsworth. Miasto pogodziło się z tym faktem. Abby Ellsworth i awanturnik, który odziedziczył ugór Gusa Remsberga, chodzą ze sobą. Córka Claytona Ellswortha - ta młodsza, impertynentka. Jego jedyny syn zginął od kuli armii Północy w bitwie nad Buli Run. Jeden z pierwszych ochotników. A teraz panna Abby, oczko w głowie starego, chodzi z tym łotrem w granatowej kurcie. Będzie skandal jak diabli, jeżeli się pobiorą.

Miasto plotkowało. Szepty, spojrzenia z ukosa. Ale oni nie zwracali na to uwagi. Zbyt byli zajęci sobą, sami na świecie, śnili swój sen.

Po długim dniu pracy John Remsberg był zazwyczaj straszliwie zmordowany, ale radość, jaką mu sprawiało przebycie dziesięciomilowej drogi i opowiedzenie Abby o postępie swych prac, stanowiła sowitą nagrodę za trudy. Miał już przeszło sześćdziesiąt ostemplowanych krów w

ogrodzeniu w kanionie, o milę od domu. Ze względów uczuciowych wybrał 7T6 za swój znak - rok, w którym poślubi Abby i rozpocznie wspólnie z nią życie w nowym, cudownym świecie.

Za ostatek oszczędności, które trzymał ukryte pod obluzowaną deską w kuchennej podłodze, nabył dobrego konia i w domu wyprawianą uprząż, a choć nie był jeszcze dobrym jeźdźcem, szybko nauczył się sztuki łapania na lasso. Jego muskularne ramiona i bary jak kowadła były silne niczym u wołu.

Nigdy jeszcze nie był u niej w domu. Spotykali się w ciemnym hallu hotelowym i wyruszali stamtąd razem na długie spacery, nieraz wychodzili daleko za miasto rozmawiając lub milcząc, równie zadowoleni w jednym, jak i w drugim wypadku.

Pewnego wieczoru Abby patrząc mu prosto w oczy powiedziała:

— Nie znasz jeszcze mojej starszej siostry. Chciałabym, żebyś w sobotę odwiedził mnie w domu.

Włożył na tę wizytę jedyne kupione w sklepie ubranie, jakie miał. A w pięknym salonie Ellsworthów siedział sztywno i niezgrabnie obok Abby na wypchanej końskim włosiem sofie. Nienawykły do takiej elegancji, czuł się zmieszany i nieswój mimo jej wysiłków, by go ośmielić.

Starsza siostra Tilda, która opiekowała się Abby od jej jedenastego roku życia, od śmierci matki, zjawiła się wreszcie, żeby się z nim zapoznać. Była to sztywna młoda kobieta o surowym wyglądzie. Usta miała zaciśnięte, a oczy taksowały lekceważąco Johna Remsberga. Z pełną niechęci wyższością patronowała ceremonii wspólnego picia herbaty, a potem szybko znalazła wymówkę, żeby odejść. Clayton Ellsworth nawet nie silił się na uprzejmość. Gdy z kapeluszem w ręku i płaszczem przerzuconym przez ramię przechodził przez pokój, skinął głową Johnowi Remsbergowi, mówiąc „Dobry wieczór panu” i sztywno pomaszerował do drzwi.

John Remsberg patrząc na Abby, która siedziała koło niego wyprostowana i urażona, odczuwał jej przykrość silniej niż własną. Wstał gwałtownie.

— Mówiłem ci, że nic z tego nie wyjdzie. Nie chcą mnie w tym domu.

Abby gniewnym gestem rozprostowała spódnicę i wstała.

— W takim razie i mnie także tu nie chcą.

John Remsberg wskazał swą wielką ręką na bogato urządzony pokój.

— Nie mogę dać ci takich pięknych rzeczy, Abby.

Gwałtowność jej odpowiedzi wstrząsnęła nim.

— Johnie Remsberg, jesteś głupcem.

— Niechętnie mnie tu widzą. Nie przyjdę tu więcej.

— Nie będziesz musiał.

— Niewiele mogę ci ofiarować.

— Wystarczy, że będę miała ciebie, John.

W tydzień później odbył się ich cichy ślub w małej kaplicy baptystów na Main Street. Jedynymi świadkami byli wielebny Adam Doan i jego żona.

John ulepszył swą zagrodę dla bydła i nauczył się rzucać lasso, a czas, jak wielki młyn, mełł ziarno dni. Jego stado powiększyło się. Abby spodziewała się dziecka. Tak się sprawy miały. Jeszcze nie w najbliższych

miesiącach, ale doktor w Bandera zapewnił ich o tym. John modlił się, żeby to był syn. Syn i dziedzic potęgi, którą kiedyś tu stworzy. Jego marzenia miały coraz większy zasięg. Państwo złocistych skór i kremowych rogów. Wielkie stada ze znakiem 7T6 wypalonym na boku każdego zwierzęcia, płynące na północ nieprzerwaną rzeką. Na tej rozległej ziemi wyobraźnia szybowała nie znając granic. Wychudł i zrósł się niemal z siodłem i miał już w swej zagrodzie ponad sto pięćdziesiąt krów. Mógł dostać za każdą po dwa, a nawet trzy dolary w Bandera. I dostanie. Pojedzie wkrótce do miasta z Abby, żeby dokonać niezbędnych przygotowań. Mając trzysta dolarów w kieszeni - ja, może więcej! - kupi Abby piękny prezent. I dobuduje jeszcze jeden pokój w domu. Ja, ja. Czas nie stoi w miejscu. Wkrótce będzie im ten pokój potrzebny.

Gdy o zmierzchu wracał do domu wyczerpany ciężkim dniem pracy w zaroślach, Abby zwykle czekała u drzwi, żeby go powitać, nieraz z rękami umączonymi przy pieczeniu. Na jej powitalny pocałunek wyczekiwał przez cały dzień. Ale nie zawsze czuł się wtedy szczęśliwy. Spostrzegł ostatnio, że bywa dziwnie cicha i zamyślona i to go martwiło. Wiedział, że kobiety w ciąży miewają humory. Może to właśnie to. Albo też tęskni do lżejszego, wytwornego życia, jakie wiodła w Bandera.

Sprowadziła z domu trochę mebli, stanowiących jej osobistą własność i ozdobiła ich sypialnię, że wydawała się teraz niemal tak pretensjonalna, jak pokój w wielkim domu Claytona Ellswortha w mieście. Stała tam wysoka komoda orzechowa; na nóżkach, z mosiężnymi rączkami, które Abby starannie czyściła każdego dnia, i wielkie lustro oprawne w czereśniowe drzewo, i eleganckie krzesło również z czereśniowego drzewa, z tak cienkimi i misternie obrobionymi nóżkami, że nie miał odwagi na nim siadać, i wielkie orzechowe łoże, tak szerokie, że w małym pokoiku pozostał tylko pas pustej przestrzeni pozwalającej dojść do niego.

W porównaniu z tym grubo ciosane meble, które August Remsberg zrobił do jadalni, wydawały się ubogie i nędzne. Kiedy drzwi były otwarte, lustro odbijało całe ubóstwo jadalni, której John Remsberg nienawidził, ponieważ budziła w nim gorzki wyrzut, że tak niewiele dać może żonie, choć tak wspaniałe są jego marzenia.

Wreszcie pewnego wieczoru, kiedy kończyli kolację w kuchni, dowiedział się, co ją trapi: nie jej stan, nie pragnienie niedostępnych im obecnie luksusów, ale po prostu troska o męża.

— John — powiedziała niespodziewanie, gdy siedząc przy lampie napychał fajkę i obserwował grę świateł i cieni na drobnej twarzy żony. — Tu jest za spokojnie. Oczekiwałam, że coś się stanie, a nic się nie dzieje.

— Że coś się stanie? — odgadł natychmiast, co ma na myśli. Ale nie chciał, żeby wiedziała. — Ja. Jest cicho. I spokojnie. — Trzymał zapałkę i patrzył na żonę. — Mówisz, że nic się nie dzieje, choć ilość krów w zagrodzie powiększyła się nam do stu pięćdziesięciu?

— Wiesz, o czym mówię, Johnie Remsberg!

Zapalił zapałkę i przyłożył ją do fajki z główką z morskiej pianki i pykał chwilę, nim odpowiedział:

— Ja. Mówisz o Danie Shiffleyu, To się skończyło. Nie ma się już czego obawiać.

— Znam ten przeklęty klan Shiffleyów. I uważam, ze powinieneś nosić broń.

Westchnął i wygodniej usiadł na krześle.

— Jesteś bardzo piękna, kiedy patrzysz z taką powagą, Liebchen.

— Nie zagaduj mnie komplementami.

— Mamy w domu strzelbę.

— Myślisz o garłaczu. Powinieneś nosić pistolet. Nikt cię nie posądzi, że szukasz awantury, a w razie czego nie będziesz bezbronny.

— Bajki, bajki.

— Nie uspokajaj mnie. Nie pozwalaj jeździć sobie po głowie. Nawet nie stwarzaj takich pozorów.

— Nikt mi nie będzie jeździł po głowie, Liebchen.

— Kończy nam się kawa. — Abby nagle wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. — Zawieź mnie jutro do miasta. A jeżeli nie kupisz sobie pistoletu, ja ci kupię.

— Dobrze, dobrze. Jutro, kiedy będziesz kupować kawę i pistolet, ja zobaczę się z kupcem bydła, Estesem Trenholmem. Będziemy mieli trzysta dolarów. Wystrzelamy całe miasto, nein?

Nie odpowiedziała. To była ich pierwsza kłótnia.

Następnego ranka przez całą drogę do miasta Abby siedziała obok niego milcząca i zamknięta.

Dzielił ich wciąż nie rozstrzygnięty spór. Do Składu pod Orłem, gdzie od czasu zerwania Abby z rodziną załatwiali najpotrzebniejsze zakupy, przyjechali nie pogodzeni. Ale prawdziwy grom spadł dopiero pół godziny później, gdy w hallu hotelu Huffmeyera John rozmawiał z Estesem Trenholmem, a później gnał przez ulice do urzędu, z rozpaczliwą nadzieją w sercu, że może kupiec się myli. Lecz Estes się nie mylił. Patrząc na spokojną, zadowoloną twarz urzędnika, John słyszał, jak serce w przerażeniu głucho tłucze się o klatkę piersiową.

— Jest pan... jest pan tego pewien? — wybuchnął. — Nie ma… nie ma możliwości pomyłki?

— Nie robimy tutaj takich pomyłek, proszę pana. Oto jest tutaj, w tej książce. — Wskazał ołówkiem na notatką w książce otwartej przed nim. — Znak 7T6 zapisany na nazwisko niejakiego Maksa Fassa. — Zamknął z trzaskiem księgę. — Widać z tego, ze pan nie ma bydła, proszę pana, chyba że pan sobie nałapie. Nawet dziecko powiedziałoby panu, że w tym kraju nikt nie może sobie rościć prawa do znaku, dopóki go sobie legalnie nie zarejestruje.

John Remsberg z wolna obrócił się i ciężkim krokiem opuścił urząd. Przez długą chwilę stał na chodniku patrząc przed siebie pustym, ogłupiałym wzrokiem człowieka, który nagle uświadomił sobie, że jest zgubiony. Wreszcie, rozejrzawszy się dokoła, ruszył w zamyśleniu długimi krokami ulicą.

Wszystko się w nim gotowało. Wystrychnięto go na dudka. Postawiono na jego głupotę i - okazał się głupcem. Dummkopf, niegodzien posiadania ranczo ani żony takiej jak Abby. Czyż nie ostrzegała go kilkakrotnie? Ale nawet ona uznała za pewnik, że mąż zna prawo, proste i powszechnie obowiązujące, o rejestracji bydła. Któż, z wyjątkiem takiego jak on

naiwniaka, nie wiedziałby o tym? A ostatniego wieczoru, kiedy go przestrzegała przed Shiffleyem, nie słuchał, tylko zaparł się nogami jak głupi osioł i w żart obrócił jej radę.

Ja, to jego własna głupia duma i zarozumialstwo ściągnęły na niego tę klęskę. A ponieważ był takim głupcem, stado, nad zgromadzeniem którego tak się naharował, należy teraz prawnie do Maksa Fassa. A właściwie do Fassa i Shiffleya, bo na pewno są w spółce. Niewątpliwie zapędzili już krowy do swojej zagrody. A on nie może nic na to poradzić. Z dławiącą rozpaczą przypomniał sobie słowa urzędnika: „Widać z tego, że pan nie ma bydła, chyba że pan sobie nałapie". Jak spojrzy teraz Abby w oczy?

Nie spojrzę — myślał w udręczeniu. — Nie spojrzę.

Stracił poczucie czasu i oddalił się znacznie od miasta, kiedy nagle uświadomił sobie, że idzie już tak ponad godzinę. Zawrócił w kierunku Bandera.

Stało się to nagle. Znajdował się już na początku Main Street i przechodził koło „Baru Marynarskiego", kiedy drzwi baru otwarły się szeroko i stanął w nich Dan Shiffley. Bez słowa John Remsberg podszedł do niego i dał mu w twarz. Oczy tamtego rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu i jak byk ruszył na Remsberga. Ale walka nie trwała długo. Nagromadzona w Johnie wściekłość potrzebowała ujścia, gwałtowne uderzenie zwaliło Shiffleya z nóg.

To, co nastąpiło później, było nierealne, jak za mgłą. Otoczył go krąg zlewających się ze sobą twarzy. Shiffley usiłował poderwać się na nogi, a jego skrwawione wargi rozchyliły się i rzucił z wściekłością:

— Niech cię szlag! Bierz broń albo do południa wynoś się z miasta!

Otaczające Remsberga twarze zwarły się w jeden mur, mur przesądu i wrogości, odcinający go od słońca, nieba i marzeń, jakie przyniósł ze sobą na tę surową, twardą ziemię. John Remsberg swymi potężnymi jak taran barami rozwalił ten mur. Począł się oddalać, ale widział, że mur stoi za nim, że formuje się na nowo. Pojął, że jest tylko jeden sposób, żeby go skruszyć na zawsze…

Właściciel sklepu żelaznego rzucił pierwszy promień światła. Kiedy John Remsberg stał przy kontuarze, przypinając nowy, lśniący pistolet, kupiec powiedział:

— Musi pan być szybki. Dan Shiffley to zły człowiek. On się długo nie zastanawia.

Pierwszy promień… czy to zapowiedź pełnego, jasnego światła? Pierwszy wyłom w murze?

Kiedy Remsberg wyszedł ze sklepu i znalazł się pod jego drewnianym okapem, westchnął. Dopóki nie powiedział, że chce obejrzeć broń, kupiec był w stosunku do niego wyniosły i niechętny, podobnie jak inni, co stali przed „Barem Marynarskim". Kiedy wyjawił swe intencje, kupiec stał się przyjazny, choć w powściągliwy sposób. To było niesłuszne. Była w tym jakaś ironia, że wystarczyło zatknąć za pas pistolet, aby kupiec zmienił swą postawę.

W zamyśleniu ręka Remsberga stuknęła nieoczekiwanie o ciężkie olstro zwisające mu u biodra. A może była w tym wszystkim odrobina racji? Nikt

nie mógł zaprzeczyć, że metoda jest niesłuszna. Ale czy nie wypływa z konieczności?

Remsberg poczuł, że znalazł na to odpowiedź. Postęp dokonuje się powoli - myślał - a gdzie prawo jest słabe, ludzie muszą być silni. Zwyczaju nie zmieni paru ludzi, i to w ciągu jednego dnia.

Wyszedł spod okapu domu i uderzyło go, że całe miasto ogarnął jakiś dziwny, nienaturalny spokój. Chodniki opustoszały, kocze i bryki stały bez dozoru, z końmi uwiązanymi do słupów. A przecież była to sobota. Napięte nerwy Remsberga wyczuwały w tym coś złowieszczego, nienaturalnego.

Wieść się rozeszła. I nagle zorientował się. To nie była zupełna cisza. Kryła jakieś półtony, dalekie brzęczenie, jak ściszone szepty w teatrze, gdy kurtyna się podnosi i ma się rozpocząć przedstawienie. Potem zauważył w oknach zaciągnięte zasłony i oczy zerkające ku niemu z zacienionych pomieszczeń. Dziwne — oczy te nie wydawały się ani przyjazne, ani nieprzyjazne, po prostu oczekujące czegoś w napięciu.

Podświadomie upodobnił swój chód do powolnych, skradających się kroków myśliwego. W pamięci stanęły mu nagle słowa kupca żelaznego, które podziałały na niego dziwnie pobudzająco: „Musi pan szybko celować". Mówił to z przekonaniem. Może są i inni, którzy czują tak samo. Może dziś nie jest samotny.

Zaleciała go silna woń amoniaku, kiedy przechodził koło stajni Neubauera, a kiedy ją minął, dobiegł go głos z otwartych wierzei:

— Jest jeszcze wciąż w „Barze Marynarskim". Idź na pewniaka, ty jankesie.

Nie obejrzał się, ale jakieś miłe uczucie wezbrało W nim, gdy szedł naprzód. Nagle poczuł skurcz żołądka. O dom dalej ostry blask południa lśnił na miedzianym dzwonie okrętowym przed wejściem do „Baru Marynarskiego". A o dwa domy dalej, po przeciwnej stronie ulicy, biało wymalowany front Składu Ellswortha rozpościerał drewniany okap nad ulicą. Abby - pomyślał Remsberg. - Czy jest tu, w składzie? A potem uświadomił sobie: od dnia ich ślubu Abby nie była w składzie ani nie widziała ojca. Rozgrzało go to jak mocny trunek.

Zwolnił kroku. Znajdował się teraz o niecałe sto jardów od „Baru Marynarskiego". Abby. Jego Süssliebchen. Tak niewiele mógł dla niej zrobić. A wkrótce już - za kilka miesięcy - narodzi się dziecko. Nie wolno mu o tym myśleć. Musi to być chłopiec. Modlił się o to. Rozmawiał uroczyście z Bogiem. Więc gdyby coś mu się teraz stało…

Teraz! To nastąpi teraz lub nigdy. Wydało mu się, że wychodzi z mrocznej jaskini naprzeciw szalejącej wichurze. Zapiera mu dech. Płuca są wyschłe i puste.

Drzwi baru rozwarły się, a potem z trzaskiem zamknęły za Danem Shiffleyem. Jego zimne spojrzenie napotkało spojrzenie Remsberga. Wygładził palcami skręconego papierosa i gdy Remsberg zatrzymał się, Shiffley pogardliwym ruchem potarł zapałkę o swe wełniane prążkowane bryczesy i powoli podniósł płomień do papierosa.

Remsberg wyczuł jakiś fałsz w tej scenie. Shiffley blefuje. Nie może czuć się tak pewny. Odległość. O to chodzi. Nie ma właściwej odległości

Shiffley chce go sprowokować, aby szybko wyciągnął pistolet i pierwszy oddał szaleńczy strzał. Wtedy…

Począł znów iść naprzód, czując w nogach paraliżującą sztywność. Pamiętał to uczucie. Pod Sharpsburgiem. Most nad Antietam Creek. Trzymały go resztki drugiego pułku generała Toombsa i dwudziestego pułku z Georgii, brygada Warrena otrzymała rozkaz przejścia przez rzekę. I pod śmiertelnym czołowym ogniem wyborowych strzelców buntowniczej armii — przeszli. I na nogach jak z galarety, on, John Remsberg, przeszedł.

— Nie zwalniaj, szwabie! — w głosie Shiffleya brzmiała wściekłość i szyderstwo. — Chyba nie tchórzysz.

To podstęp. Shiffley go popędza. Rozmyślnie chce go sprowokować do błędnego posunięcia. Ale jak jeszcze długo potrafi Shiffley czekać?

Remsberg szedł naprzód, odmierzał każdy krok, napięcie wzbierało w nim, jakby ktoś rozciągał sprężynę. Dzieli ich jeszcze sześćdziesiąt kroków, pięćdziesiąt. Czterdzieści.

Shiffley wypluł papierosa. Ale nadal się nie ruszał.

Nagle owo dziwne poczucie zagrożenia spotęgowało się.

Sztuczna beztroska Shiffleya wydała się Remsbergowi podejrzana. Zatrzymał się.

I w tym momencie padł strzał. Nie z broni Shiffleya. Uświadomienie sobie tego było dla Remsberga ostrzeżeniem. Nie obracaj się! Nie obracaj się! Dzięki temu bezcenna przewaga ułamka sekundy przypadła jemu. Szeroko otwarte oczy Shiffleya wpatrzone były z przerażeniem i zdumieniem gdzieś poza Remsberga. A kiedy oprzytomniał i sięgnął po broń, Remsberg pierwszy wydobył pistolet i strzelił.

Donośny huk odbił się od ścian domów i potoczył w dal kanonadą ech. Shiffley wyglądał jak człowiek przejęty nagłą chęcią, by natychmiast usiąść. Zwarł kolana, przysiadł w kucki, trzymając się za brzuch. Kiwał się w przód i w tył jak ktoś, spod kogo niespodzianie wyciągnięto krzesło.

Remsberg obrócił się. Na całej Main Street otwierano drzwi i z domów wychodzili ludzie. Spory tłum zebrał się przed Składem Ellswortha i Remsberg wpatrzony weń niewidzącymi oczyma dopiero po dłuższej chwili zauważył stojącą przed tłumem szczupłą i wysoką postać Claytona Ellswortha. Zdumiał się. W prawej ręce Clayton Ellsworth trzymał swobodnie rewolwer, a gdy Remsberg idąc za jego zastygłym spojrzeniem obrócił głowę, zmartwiał cały.

Przed sklepem z siodłami, o dwadzieścia stóp od składu Ellswortha, leżały rozciągnięte na chodniku zwłoki. Głowa Maksa Fassa zwisała z wysokiego krawężnika, a jego chude ramiona rozpostarte były jak ramiona pływaka znieruchomiałe w wyrzucie. Pod jego prawą ręką leżał w błocie, błyszcząc w słońcu jak diament, pistolet, z którego nie wystrzelił.

Fass! Clayton Ellsworth zabił Fassa - zaświtała myśl w zamroczonej głowie Remsberga i jakby kto dopasował brakujący kawałek łamigłówki, obraz stał się jasny. Kiedy Shiffley wabił go stojąc przed „Barem Marynarskim", Fass skradał się uliczką między składami chcąc go zajść od tyłu. Zobaczył go Ellsworth. To jego strzał rozbrzmiał pierwszy. To ten

strzał napełnił przerażeniem oczy Shiffleya! Shiffley stał zwrócony twarzą do Fassa. Widział, co się działo. Przerażenie opóźniło jego strzał.

Remsberg głęboko wciągnął oddech. Spostrzegł, że tłum się rozstępuje. Po chwili Abby przedostała się przez ciżbę i podbiegła ku niemu.

Kiedy ją obejmował, a ona tuliła się do niego żarliwie, żadne słowo nie mogło się przedostać przez jego zesztywniałe gardło. Gładził jej rozsypane włosy, wreszcie przezwyciężając drętwotę wyszeptał:

— Liebchen! — w głowie mu szumiało, gdy wśród łkań powtarzała jego imię przyciskając policzek do jego ramienia.

Początkowo tamten głos docierał do niego jak przez mgłę.

— …o mało nie skręciłem ręki wydzierając jej broń. Kobiety z rodu Ellsworthów zawsze miewały dziwaczne pomysły. Nie myśl, że można je z tego wyleczyć, pozostaje tylko bicie, gdy zajdzie potrzeba.

W oszołomieniu podniósł wzrok i zobaczył Claytona Ellswortha.

— Co? Co takiego? Przepraszam, nie dosłyszałem.

Napięte wargi kupca układały się powoli w uśmiech.

— Nie bierz tego zbyt serio. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy Remsberg spojrzał na wyciągające się ku niemu sękate palce. — Podaj mi rękę, synu. I witaj w Teksasie.

Tłumaczenie Aldona Szpakowska

**Bill Gulick**

## Małżeństwo Księżycowego Wiatru
(The Marriage of Moon Wind)

Była to ich ostatnia noc na szlaku. Daleko na północnym wschodzie majaczyły groźnie na tle ciemniejącego nieba poszarpane i okryte śnieżną czapą szczyty gór Wind River, a chłodne, rozrzedzone powietrze wyżynne przesycał ostry zapach szałwii i sosen. Ale Tad Marshall nie interesował się w tej chwili ani zapachami, ani widokami. Smukły, z długimi nogami, dobrze zbudowany dwudziestoletni młodzieniec o kędzierzawych złotych włosach i bystrych niebieskich oczach, pochylił się i powiedział do siwego eks-trapera siedzącego po drugiej stronie ogniska:

— Załatwisz mi to?

— Spróbuję — odparł niechętnie Bill Owens. — Ale nie miej po tym do mnie żalu. Jak mi mówiłem, Samuels Wiercipięta zjada takich jak ty żółtodziobów na surowo.

— Niech spróbuje, to dostanie takiej kolki, jakiej jeszcze nigdy nie miał.

— Trzeba przyznać, że zarozumiały to ty jesteś.

— Wcale nie chcę być. Tylko przyjechałem tu na zachód nie po to, żeby być mulnikiem, ale żeby polować na bobry.

— Tak dobrze chodzisz koło mułów, że nie wiem, czy kapitan Sublette pozwoliłby ci odejść. Jak się dowie, że chcesz wejść w spółkę | Wiercipiętą, to się wścieknie.

Tad potrząsnął głową. Lubił Sublette'a i był mu szczerze wdzięczny za tę okazję dostania się na zachód, ale chciał zobaczyć kawałek świata nie zasłoniętego chmurą kurzu spod kopyt jucznych mułów.

— Niech się wścieknie. Długo jeszcze nie zamierzam wracać do Missouri.

— Od czego uciekasz… od złego ojca?

— Nie, nie. Ojciec był dla mnie dobry.

— A może przed prawem? Zabiłeś kogoś w swoich stronach?

— Nic podobnego.

— No, to zostaje tylko jedno. Kłopoty z kobietami.

Tad w zakłopotaniu przegarnął palcami czuprynę.

— Tak to chyba można nazwać. Trzy dziewczyny sobie ubzdurały, że się z nimi zaręczyłem. A każda ma skorych do rewolwerów braci.

— Wszystkie trzy naraz chciały, żebyś się żenił? — spytał Buck z nieskrywanym podziwem. — Jak to się stało?

— A bo ja wiem? Kobiety zawsze mi dokuczały. Ale powiedz coś o Wiercipięcie. Mówisz, że polowałeś z nim pięć lat?

— Tak. Dłużej nie mogłem wytrzymać. Dziwne poczucie humoru ma Wiercipięta.

— Ja się znam na żartach. Niech sobie żartuje jak chce, a ja się tylko będę śmiał.

— A jak nie będzie ci do śmiechu — rzekł Buck i jego wyblakłe oczy zaiskrzyły się — zostaniesz przy mułach, tak jak chcę ja i kapitan Sublette?

— Zostanę.

— Doskonale! Jutro cię poznam z Wiercipiętą.

Sprawa rozeszła się szybko. Przez pół dnia, które zajęło brygadzie futrzarskiej dotarcie do punktu zbornego w pełnej bujnej zieleni i soczystych traw dolinie Green River, ludzie wymieniali między sobą szepty i uśmieszki, które drażniły Tada.

Chociaż był żółtodziobem, zdążył się sporo nauczyć podczas tej podróży z St. Louis. Istniało kilka rodzajów traperów, jak się zorientował. Jedni byli pracownikami najemnymi, inni pracowali na zamówienie, ale elitę tego zawodu stanowili wolni traperzy - ludzie, którzy wędrowali gdzie oczy poniosą, sprzedawali skórki temu, kto płacił najwięcej, i byli od nikogo niezależni.

Zazwyczaj ludzie tacy pracowali dwójkami, ale Wiercipięta, który był dziwakiem i z każdym rokiem dziwaczał coraz bardziej, polował tylko ze swą szoszońską squaw, którą sobie kupił przed kilku laty. Bajano przy ogniskach, że grupki indiańskich wojowników nakładały całe mile drogi, aby się z nim nie spotkać; szare niedźwiedzice straszyły jego imieniem niedźwiedziątka, a bobry, zasłyszawszy o jego przybyciu, po prostu wczołgiwały się na brzeg strumienia i padały martwe.

Nie przeraziło to jednak Tada. Przeciwnie, sprawiło, że z tym większą ciekawością wyczekiwał spotkania z człowiekiem, którego wspólnikiem chciał zostać.

Zbliżało się południe, kiedy dotarli do Green River i rozbili obóz. Dolina była już pełna przedstawicieli towarzystw handlowych, wolnych traperów i Indian rozmaitych szczepów, którzy zjechali tu ze wszystkich zakątków Zachodu na dwutygodniowe targi, którym towarzyszyły gry hazardowe, hulanki, wyścigi konne i zapasy. Tad patrzył na to chłonnym, bezkrytycznym okiem. Ale w grupie ludzi, z którymi tu przybył, był ktoś mniej pobłażliwy.

Tego roku towarzyszył brygadzie w podróży pewien pastor, imieniem Thomas Rumford, wysoki mężczyzna o zapadniętych policzkach i poważnym obliczu, powracający na misję, którą kilka lat temu założył wśród Indian Nez Perce hen, pod Oregonem. Pastor Rumford wcale się z tym nie krył, że nie pochwala sposobu wyrażania się i wybryków poganiaczy mułów, a jeszcze mniej podobało mu się zachowanie rozbawionych traperów. Kiedy Tad pomagał zdejmować juki, pastor Rumford podszedł do niego z pełnym wyrzutu wyrazem twarzy.

— Cóż to słyszę, mój chłopcze, chcesz zostać traperem?

— Ano, tak sobie właśnie umyśliłem.

— A wiesz ty, jakim człowiekiem jest Samuels Wiercipięta?

— Mówią, że to kawał gbura. Ale może się jakoś dogadamy.

Pastor Rumford pokiwał głową i odszedł z godnością. Lekko zaniepokojony Tad dokończył zdejmowania juków. Potem zobaczył

nadchodzącego kapitana Sublette'a i widząc iskierkę rozbawienia w jego ciemnych oczach, zapomniał o pastorze.

— Poznałeś już swego wspólnika?

— Nie. Buck mnie do niego zaprowadzi, jak tylko z tym skończymy.

— No cóż, mogę ci tylko życzyć szczęścia.

— Dziękuję panu uprzejmie, kapitanie.

— Pamiętaj, że twoja praca mulnika będzie na ciebie czekała, gdyby ci się nie powiodło.

Zdenerwowany jeszcze bardziej Tad poszedł do Bucka i razem udali się do szoszońskiej części obozowiska.

— Żyje z tą squaw tak długo, że stał się bardziej Indianinem niż białym — wyjaśnił Buck. — Nawet myśli jak Indianin.

— Wolałbym, żebyś nie rozpowiadał po całym obozie o moich planach. Wszyscy teraz robią zakłady, jakby chodziło o walkę psów.

— Współczuję ci. Wiercipięta umie człowiekowi dogryźć. Trafia człowieka w słaby punkt, można powiedzieć. Jaki jest twój?

— Nie wiem, czy w ogóle go mam.

— Mój słaby punkt to grzechotniki. Wiercipięta uprzykrzył mi życie, kiedy się o tym dowiedział. — Buck wzdrygnął się. — Można doznać wstrząsu, jak po spokojnej drzemce człowiek znajduje na własnej piersi długiego na dwa metry grzechotnika… nawet jeśli grzechotnik jest nieżywy.

— Wiercipięta ci to zrobił?

— Tak, a potem mało co nie umarł ze śmiechu.

Stanęli przed namiotem, gdzie siedział drzemiąc w cieniu krępy, rudy traper w zatłuszczonych, spodniach z koźlej skóry. Buck wskazał go ruchem głowy.

— To on. Niezły typ, co?

Zanim Tad zdołał mu się przyjrzeć, Samuels Wiercipięta otworzył oczy. Tad drgnął. Jedno oko Wiercipięty było zielone, drogie czarne, a na dodatek z okropnym zezem. Wiercipięta łypnął mniej więcej w kierunku Bucka, pociągnął łyk whisky z dzbana, który trzymał między skrzyżowanymi nogami, i splunął.

— Witaj, Buck. To ten żółtodziób, którego chcesz mi spuścić?

Tak, ten. Nazywa się Tad Marshall.

— Siadajcie — burknął Wiercipięta.

Usiedli i Buck sięgnął po dzban. Wiercipięta wyciągnął prawą dłoń do Tada.

— Ręka.

Tad podał Wiercipięcie dłoń, którą ten zaraz spróbował zgnieść na miazgę. Na wpół spodziewając się tego podstępu i mając trochę siły w garści, Tad odwzajemnił mu się tym samym. Puścili ręce - pierwsze starcie skończyło się remisem. Wiercipięta zabrał dzban Buckowi.

— Pijesz, Tad? Czy jeszcze nie odstawili się od piersi?

Tad przyłożył dzban do ust i przytrzymał go, dopóki grdyka nie podskoczyła mu sześć razy, potem odstawił dzban na miejsce.

— Trochę rozwodniona, nie?

— Musiałem dolać wody, boby wyżarło mi dno w dzbanie.

Z namiotu wyszła squaw Wiercipięty, schludna, silna kobieta, i wzięła naręcze chrustu z leżącego obok stosu, a Wiercipięta zamruczał coś do niej po szoszońsku. Kobieta obrzuciła ciekawym spojrzeniem Tada, mruknęła coś w odpowiedzi i znikła w głębi namiotu.

W cieniu drzemało kilka psów. Mały, gładkowłosy, biały szczeniak wśliznął się do namiotu, wydał bolesny skowyt i wypadł na zewnątrz z podwiniętym ogonem, ścigany gniewnym łajaniem squaw. Szczeniak poszukał współczucia u Wiercipięty, otrzymał je w formie paru przyjaznych klapsów, a potem podreptał do Tada, wlazł mu na kolana i zasnął.

Wiercipięta uśmiechnął się.

— Zdaje się, że cię polubił.

— No. Psy się zawsze do mnie garną.

— Piękny szczeniak. Mam już dla niego przeznaczenie.

Nadeszła młoda, ładna, ciemnooka Indianka i skierowała się ku wejściu do namiotu, ale na słowo Wiercipięty zatrzymała się, wytrzeszczyła oczy na Tada i otworzyła ze zdumienia usta. Tad zaczerwienił się mimo woli. Nagle dziewczyna zachichotała, mruknęła coś po szoszońsku i czmychnęła do namiotu.

— Kto to? — spytał Buck.

— Siostra mojej squaw. Nazywa się Księżycowy Wiatr.

— Tad ma szczęście do kobiet — rzekł Buck, patrząc z niewinną miną w przestrzeń. — Tam, skąd pochodzi, trzy naraz uwzięły się na niego. Znalazł się w opałach.

— Kobieta potrafi dokuczyć mężczyźnie — powiedział Wiercipięta — kiedy mężczyzna nie wie, jak się z nią obchodzić. Ja swoją muszę od czasu do czasu obżerdziować.

— Obżerdziować? — powtórzył Tad nie rozumiejąc.

— Sprać żerdzią od namiotu.

— Nie powiem, żebym był za biciem kobiet.

Wiercipięta uśmiechnął się.

— Może jednak będziesz musiał sprać Księżycowy Wiatr, żeby ci dała spokój. Bardzo ją zachwyciły twoje żółte włosy. — Wiercipięta ziewnął. — Głodny jestem. Każę kobiecie zrobić coś do jedzenia.

Dostrzegł u wejścia do namiotu swoją squaw. Porozmawiali przez chwilę, a potem Wiercipięta spojrzał ze smutkiem na Tada.

— Ona mówi, że nie zostało nam nic a nic mięsa. Bardzo mi przykro, ale człowiek musi coś jeść. Bądź taki dobry, Tad, i podaj mi to szczenię.

— Szczenię?

— No tak. To nasze najtłuściejsze.

— Ja jeszcze nie jestem głodny. Zjadłem, obfite śniadanie.

Wiercipięta schwycił szczeniaka za skórę na karku, podał go swojej squaw i dał jej znak ręką, żeby sobie poszła, a potem zaczął opowiadać Buckowi jakąś długą opowieść. Tad nie słuchał, ale ponieważ Buck popatrywał na niego raz po raz, nie było innej rady, musiał siedzieć robiąc dobrą minę do złej gry. Czy ta squaw obedrze ze skóry biedne zwierzę, czy rzuci je w garnek razem z sierścią? - zastanawiał się. Pierwszy raz w życiu odczuwał lekkie mdłości.

Po pewnym czasie squaw przyniosła trzy drewniane miski z tłustym, brzydko pachnącym gulaszem i Tad z niewyraźnym uśmiechem przyjął od niej swoją porcję licząc na to, że jego twarz nie jest tak zielona, jak mu się zdawało.

— Nabrałeś apetytu? — spytał Wiercipięta.

Tad spoglądał szklistymi oczyma w maź na misce. Gdyby nie zjadł psa, Wiercipięta kazałby mu zjeść wronę, a z dwojga złego, myślał, mięso zwierząt domowych jest łatwiejsze do przełknięcia. Zaciął się w sobie i zanurzył łyżkę w gulaszu.

— Jeszcze jak. Mógłbym zjeść konia z kopytami. Szkoda, że nie masz pod ręką dobrze utuczonego konia.

Kiedy szli później z Buckiem do swoich namiotów, Buck spytał:

— No, jak ci smakował ten gulasz?

— Niezły, tylko troszeczkę za tłusty.

— Niedźwiedzie mięso zawsze bywa tłuste.

— Niedźwiedzie? Ja myślałem, że to psie.

— Szoszoni nie jadają psów. Ta kobieta nie zgodziłaby się upitrasić dla nas szczenięcia, choćby Wiercipięta miał ją „obżerdziowywać" aż do dnia sądnego. To tylko taki żart.

— Mnie on się wcale nie wydał śmieszny.

— A mówiłeś, że znasz się na żartach.

— Bo się znam.

— Dobra, popatrzę sobie, jak się będziesz śmiał.

W ciągu następnego tygodnia zdarzały się chwile, kiedy Tadowi nie było do śmiechu. Na przykład wtedy, gdy Wiercipięta omal go nie utopił pod pretekstem nauki zakładania pułapki na pstrągi. Albo tego wieczoru, kiedy wrzucił mu do whisky środek na przeczyszczenie. Ale najbliższy był utracenia pogody ducha w dniu, w którym na oczach całego obozu został oskalpowany przez Księżycowy Wiatr.

Nie ulega wątpliwości, że sprawę ukartował Wiercipięta, choć wszystko wyglądało na czysty przypadek. Wieczorem, przy ognisku, chłopcy zmagali się na palce. Dwóch traperów stawało twarzami do siebie i przeplatało palce obu dłoni. Na „raz, dwa, trzy" rozpoczynali zmagania i zmagali się, póki któryś nie padł na kolana ratując grzbiet przed pęknięciem.

Wiercipięta zwalał wszystkich przeciwników. Szukając nowych ofiar powiedział, że jest tu młody człowiek z Missouri, którego on pokonałby bez wysiłku, więc nie było innej rady, Tad musiał wstać i zmierzyć się z nim.

Zapasom przyglądał się kapitan Sublette, a także Buck Owens i pastor Rumford, mulnicy i cała gromada Indian. Szybko robiono grube zakłady, gdy Tad i Wiercipięta stanęli naprzeciwko siebie. Spojrzawszy ponad ramieniem Wiercipięty, Tad spostrzegł wprost przed sobą Księżycowy Wiatr siedzącą na ziemi. Jej głębokie, czarne oczy błyszczały w świetle ogniska, a delikatne czerwone usta były rozchylone w pełnym podniecenia oczekiwaniu. Ładna dziewczyna, myślał. Dużo ładniejsza od tamtych z Missouri. Tylko czemu tak na niego patrzy.

— Raz, dwa, trzy! — odliczył kapitan Sublette.

Wiercipięta chrząknął, szarpnął i zanim się Tad opamiętał, już leżał na obu łopatkach. Wstając słyszał jak przez mgłę wrzask tłumu.

Wiercipięta uśmiechnął się do niego świdrowato.

— Chcesz jeszcze raz spróbować, wspólniku?

— Pewnie, że tak.

Tym razem Tad już uważał. Przez kilka minut chwiali się to w tę, to w tamtą stronę, a potem Tad natarł z całą siłą. Kolana zgięły się pod Wiercipiętą i zwalił się z łoskotem. Tłum ryknął jeszcze głośniej niż przedtem.

— Nie zrobiłem ci krzywdy? — spytał Tad z troską.

— Jeszcze raz — odburknął Wiercipięta wstając.

Spletli dłonie. Sądząc po wyrazie twarzy, Wiercipięta zabrał się tym razem z powagą do dzieła. Tak samo Tad. Tylko to, co zamierzył sobie Wiercipięta, różniło się nieco od tego, czego Tad się spodziewał. Bo ledwie się zwarli, Wiercipięta opadł na kolana, dźwignął się i szarpnął całym ciałem.

Tad wywinął koziołka w powietrzu i wylądował z nogami w tłumie i głową tuż u kolan Księżycowego Wiatru. Uśmiechnął się do niej głupio, a ona odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem. Nagle wyciągnęła nóż do skalpowania, chwyciła Tada za czuprynę i ucięła mu garść włosów.

Tłum oszalał. Tad również. Zerwał się i skoczył do Księżycowego Wiatru, ale ta czmychnęła w tłum. Zawrócił więc i ruszył na Wiercipiętę, który pokładał się ze śmiechu. Sublette, Buck Owens i kilku innych mężczyzn schwyciło Tada i przytrzymało.

— Spokojnie, synu, spokojnie! — powiedział Sublette chichocząc. — Mało jest takich, którzy po oskalpowaniu mogą sobie chodzić i się chwalić!

Po chwili Tad przestał się szarpać, więc go puszczono. Z płonącą twarzą odszedł w mrok.

Zasępiony Tad ukończył śniadanie i przyjął z rąk Bucka kubek kawy. Zółte-włosy-oskalpowane-przez-kobietę. Takie imię nadali mu Indianie. Buck spoglądał na niego współczująco.

— Mówiłem ci, że to gbur. Ale ty się uparłeś…

— Dałem się zaskoczyć. To się już nie powtórzy.

— On jest dla ciebie za sprytny, chłopcze. Założę się, że właśnie nakręca sprężynę jakiegoś nowego podstępu.

— Niech nakręca, byle mocno — rzekł Tad ponuro. — To mu ją przykręcę jeszcze raz i sprężyna pęknie.

— No to szykuj się, bo właśnie idzie Wiercipięta. Zaniepokojony mimo tej przechwałki, Tad w roztargnieniu przegarnął palcami przyciętą czuprynę, kiedy Wiercipięta podszedł do nich szurając nogami, zadowolony ze świata jak świeżo nakarmiony niedźwiedź.

— Dzień dobry panom. Jest jeszcze co w tym dzbanku?

Buck nalał mu kawy do kubka. Wiercipięta przykucnął. Jego czarne oko zaczęło przyglądać się Tadowi, podczas gdy zielone patrzyło ku górom w oddali.

— Wczoraj wieczorem zrobiliśmy ci brzydki kawał, Tad. Mam trochę wyrzutów sumienia. Chciałbym to naprawić.

— Oho, sprężyna się napina — mruknął Buck.

— A jak zamierzasz to naprawić?

— Wiem, że nie podoba ci się twoje indiańskie imię. Porozmawiałem więc z wodzem Szoszonów, który jest moim przyjacielem. Powiedział mi, że to załatwi.

— Jak?

— Po prostu zaadoptuje cię i da ci nowe imię. W ten sposób stare zostanie wymazane. Będzie mnie to trochę kosztowało, ale jestem twoim dłużnikiem.

— Zaadoptuje mnie?

— Tak. Indianie tak czasem robią.

Buck spojrzał na Wiercipiętę podejrzliwie.

— Kto jest tym wodzem?

— Siedem Niedźwiedzi.

— Przecież to jest...

— Tak, właśnie, wódz całego szczepu. Żaden Indianin nie ośmieli się śmiać z jego adoptowanego syna.

Tad zastanowił się. Jeżeli była w tym jakaś zasadzka, to on przynajmniej nie mógł jej dostrzec. Spojrzał na Bucka.

— Co o tym sądzisz?

— Ja nie mówię ani słowa.

— No cóż — powiedział Tad — w takim razie…

Ceremonia w namiocie wodza Siedem Niedźwiedzi trwała kilka godzin. Uczestniczyło w niej kilkunastu najważniejszych członków szczepu i jedno spojrzenie na ich uroczyste twarze dało Tadowi do zrozumienia, że traktowali tę sprawę bardzo poważnie. Wiercipięta musiał potraktować sprawę również ogromnie poważnie, ponieważ zanim te długie rozmowy się zaczęły, dał wodzowi dwa konie, kilka czerwonych koców, stary muszkiet, kilka funtów prochu i ołowiu i mnóstwo innych drobiazgów w zamian za jego przysługę.

Kiedy ceremonia wreszcie się skończyła, wyszli z namiotu i Wiercipięta odprowadził Tada do granicy szoszońskiej części obozowiska. Jego uśmiech wydał się Tadowi całkiem szczery.

— Jak się czujesz w roli Indianina?

— Dobrze. A jakie nadali mi imię?

— Biały Muł. To dobre imię.

— Jestem ci bardzo wdzięczny.

— Nie ma o czym mówić. No, do zobaczenia.

Buck zażywał drzemki, kiedy Tad wrócił do swego namiotu, ale na odgłos kroków chłopca stary traper natychmiast otworzył oczy.

— Co ci tam zrobili?

— Zachowywali się bardzo przyjaźnie. Nazywam się teraz Biały Muł.

— Więc dotrzymał słowa! Ile go to kosztowało?

— Dał wodzowi kilka koców, parę koni…

— Koni? Za dwa konie mógł ci kupić… — Buck urwał nagle wytrzeszczywszy oczy na coś za plecami Tada. Pokiwał głową. — Tak też i zrobił. Obejrzyj się za siebie, chłopcze.

Tad obejrzał się. Ujrzał Księżycowy Wiatr uśmiechającą się nieśmiało. Za nią stały cztery konie, wśród których poznał dwa ofiarowane przed chwilą wodzowi Siedem Niedźwiedzi, a wszystkie obładowane indiańskim

dobytkiem. I kiedy Tad patrzył na nią jak porażony, dziewczyna wskazała ruchem ręki najpierw jego, potem siebie i zakreśliła oburącz krąg.

— Ona się pyta, gdzie ma rozstawić twój namiot.

— Mój namiot?

— Wasz.

— To ona… ona jest teraz moja?

— A jak myślałeś. Wiercipięta ci ją kupił.

— Ale wódz Siedem Niedźwiedzi…

— Jest jej ojcem. A także ojcem squaw Wiercipięty.

— Powiedz jej, że ja jej nie chcę! Powiedz, niech sobie idzie do domu!

Buck położył mu dłoń na ramieniu.

— Może dla ciebie i Wiercipięty to tylko żart, ale nie sądzę, żeby ten żart mógł rozśmieszyć Księżycowy Wiatr i jej ojca. Musiała cię polubić. A wódz Siedem Niedźwiedzi na pewno bardzo ją kocha, bo inaczej nie wyposażyłby jej tak bogato i nie dałby na prezent ślubny tych dwóch koni, które otrzymał od Wiercipięty.

— Ale przecież nie mogę jej zatrzymać!

— Spokojnie. Może znajdziemy jakieś wyjście, ale trzeba się nad tym dobrze zastanowić. Niech ona rozbije ten swój namiot, a my chodźmy porozmawiać z kapitanem Sublette.

Kapitan Sublette rzadko wpadał w złość, ale tym razem omal nie dostał szału. Tak samo pastor Rumford. Gdy Tad oznajmił, że zamierza wziąć pałkę i stłuc Wiercipiętę na kwaśne jabłko, a potem kazać mu zaprowadzić Księżycowy Wiatr z powrotem do ojca i wytłumaczyć mu całą sprawę, pastor poparł go gorąco. Ale kapitan potrząsnął głową.

— Nie możesz jej odesłać ojcu. Choćby mu Wiercipięta nie wiadomo jak tłumaczył — przyjmując, że zdołamy go do tego skłonić — w jednej chwili spadłby nam na kark cały szczep Szoszonów. Musisz udać, że ją przyjąłeś i z nią żyjesz, póki ten zjazd się nie skończy.

— Nie chcę tego nawet słuchać! — wykrzyknął pastor Rumford.

— Powiedziałem „udać”, pastorze... A potem zabierzesz się z brygadą z powrotem do St. Louis, Tad. Powiem tej dziewczynie, że w przyszłym roku wrócisz już na stałe. To jej pozwoli uratować dumę, a nam gardło.

— A ja już nie wrócę? O to chodzi?

— Tak.

Tad spojrzał na wierzchołki gór obrzeżające dolinę.

— Zrobilibyśmy tej dziewczynie paskudny kawał każąc jej czekać na człowieka, który już nigdy nie wróci. Czyste oszustwo.

— Lepsze to niż wojna z Indianami. A mogę pójść o zakład, że dziewczyna nie będzie długo na ciebie czekała. W przyszłym roku wymyślę jakąś bujdę, że umarłeś na ospę albo coś, i będzie mogła wybrać sobie kogoś innego.

Tad skinął niechętnie głową, ale myśl o oszustwie nie dawała mu spokoju.

— Biedna mała, ona niczemu nie jest winna. Chciałbym jej dać coś, żeby mnie pamiętała… przynajmniej trochę. Czy mogę dostać część moich należności i kupić jej parę błyskotek?

Sublette uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Oczywiście.

Zaszedłszy po drodze po kilka drobiazgów, które jego zdaniem mogły się spodobać Księżycowemu Wiatrowi, Tad wrócił do miejsca, gdzie stał jego namiot. Ale go nie znalazł. Zastał natomiast obszerny, wygodny, skórzany namiot indiański, wokół którego krzątało się kilkanaście Indianek rozszczebiotanych radośnie i pomagających Księżycowemu Wiatrowi zagospodarować się.

Spostrzegłszy Tada uśmiechnęły się, wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia, a potem szybko dokończyły pracy i odeszły. Kiedy ostatnia znikła, Tad podszedł do Księżycowego Wiatru, która klęcząc rozpalała ognisko.

— Przyniosłem ci coś, Księżycowy Wietrze.

Podniosła oczy. Były to czarne oczy, łagodne i głębokie. Tad wyczytał z nich, że dziewczyna nie wie, czy zaraz ją zbije za to, co mu zrobiła wczoraj wieczorem, czy zacznie ją pieścić, bo należała już do niego. Wziął ją za rękę i pomógł wstać.

— Masz te błyskotki, to dla ciebie.

Wsunął jej prezenty w rękę. Przyglądała im się po kolei. Najpierw błyszczącemu lusterku w srebrnej oprawce. Potem długiemu podwójnemu sznurowi sztucznych pereł. Później złotemu pierścionkowi, który przypadkiem pasował jak ulał na serdeczny palec jej lewej ręki. Długo patrzyła na te przedmioty. Nagle, bez słowa, obróciła się na pięcie i pobiegła w stronę szoszońskiej części obozowiska.

Nie było jej tak długo, że Tad, któremu znudziło się snucie domysłów, co w nią mogło wstąpić, wszedł do namiotu i zdrzemnął się. A chociaż miał nieprzyjemne sny, bo śnił mu się Wiercipięta, spał dobrze. Niebawem zbudziły go gniewne głosy dwojga kłócących się ludzi przed namiotem. Wstał więc i wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

Ujrzał Samuelsa Wiercipiętę i jego squaw, którzy stojąc nos w nos jazgotali jak dwie sroki. Nieco na uboczu, wciąż oglądając z zachwytem swoje błyskotki, stała Księżycowy Wiatr.

Nagle Wiercipięta spostrzegł Tada i obrócił się do niego jak fryga.

— Co ty, do wszystkich diabłów, wyrabiasz?

— Ja? — spytał Tad. — Właśnie sobie spałem.

— Nie o tym mówię!

— A o czym?

— O tym! — ryknął Wiercipięta wskazując trzęsącą się ręką błyskotki, które Księżycowy Wiatr wciąż oglądała z zachwytem. — O tych świecidełkach, które ona ma na sobie! Zdajesz sobie sprawę, ile to kosztuje?

— Pewnie. Sam to kupowałem. Co cię to obchodzi?

— Moja squaw domaga się teraz takich samych!

— No to jej kup.

— Mam tracić sporą część rocznych zarobków na takie śmieci?

— To nie kupuj.

— Jak nie kupię, to mnie zadręczy na śmierć.

— Obżerdziuj ją, to przestanie.

Wiercipięta, spojrzał krzywo na swoją squaw i potrząsnął głową.

— Nie mam odwagi. Podniosłaby taki lament, że ściągnęłaby mi na kark wszystkich swoich krewnych. — Przysunął się do Tada bliżej, a w jego oczach odmalował się błagalny wyraz. — Słuchaj, chłopcze, dość tych żartów. Zabierz te błyskotki Księżycowemu Wiatrowi i spierz ją parę razy. Wtedy moja przestanie jej zazdrościć.

Tad spojrzał na squaw Wiercipięty, która podeszła do Księżycowego Wiatru i trajkotała z nią nad paciorkami, lusterkiem i pierścionkiem. Dziwne, że niektórzy są gotowi wydać każdą sumę na własne przyjemności, a żałują grosza, żeby zrobić przyjemność kobiecie. Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Nie bije się kobiety, żeby ją skłonić do uległości. Chcesz, żeby była dobra, to ją dobrze traktuj. Kupuj jej prezenty, pomagaj w pracy, okazuj szacunek, bo ona na to zasługuje i tego potrzebuje - tak się traktuje kobiety.

Wiercipięta patrzył na niego wytrzeszczonymi oczyma.

— Chcesz ją dla siebie zatrzymać?

— Pewnie. Ożenię się z nią, jak tylko zdołam namówić pastora Rumforda, żeby nam dal ślub. To będzie wielka uroczystość. Zaproszę jej rodziców i wszystkich krewnych. Zaproszę cały obóz. A po ślubie urządzę huczne weselisko z jadłem i napojami.

— Ależ to będzie kosztowało twój całoroczny zarobek!

— No to co? Tacy jak ja żenią się tylko raz.

— Ale jak moja to zobaczy — rzekł chrapliwie Wiercipięta — zacznie się drzeć wniebogłosy, że chce tego samego. Nim się obejrzę, nie będę mógł podnieść na nią ręki. Zrujnuje mnie swoimi zachciankami. Każe mi zbierać chrust, zajmować się końmi i wycierać nogi przed wejściem do namiotu — co ja mówię! Zażąda, żebym się zachowywał jak prawdziwy mąż.

— Wcale bym się nie zdziwił — rzekł Tad i ruszył na poszukiwanie pastora Rumforda.

To było coś wspaniałego, ten podwójny ślub Tada i Wiercipięty, i wszyscy później świetnie się bawili na przyjęciu. Tylko nie Samuels Wiercipięta, który nie wyglądał na zbyt szczęśliwego. Zatracił czemuś swoje poczucie humoru. Może odzyska je znów, kiedy spędzą razem z Tadem kilka miesięcy w górach łowiąc bobry w sidła. Tad przynajmniej na to liczy. Bo najgorzej mieć wspólnika, który się nie zna na żartach.

Przełożył Wacław Niepokólczycki

**Bill Gulick**

## Gdy powiało wolnością
(Where the Wind Blows Free)

Kiedy nieznajomy wjechał do obozu, Freda Eklunds klęczała nad szaflikiem gorącej pienistej wody i zmywała statki. Od porosłych szałwią pustaci ciągnących się za fortem Bridgera wiał suchy czerwcowy wiatr i tak już rozburzył włosy dziewczyny, że jedno pasmo opadło jej na twarz. Zniecierpliwiona próbowała odgarnąć je ręką, ale przy tym ruchu do prawego oka dostało jej się trochę mydlin. Krzyknęła, złapała fartuch i próbowała przetrzeć oko piekące od ostrego szarego mydła. Podniosła załzawione, niewiele widzące oczy akurat kiedy nieznajomy zeskakiwał z konia.

— Przepraszam, panienko, czy to obóz Wagnera?

— Tak.

— A gdzie znajdę Luciusa Wagnera?

— O tam — odpowiedziała i chciała wskazać mu kierunek, ale nowa fala łez napłynęła jej do oczu, więc znowu podniosła fartuch do twarzy.

— Jakieś zmartwienie? — spytał zaniepokojony.

— Nie, to tylko od mydła.

Kiedy w końcu przejrzała trochę, zobaczyła, że jest wysoki, szczupły i ciemny, że ma na sobie zniszczone, wytłuszczone skórzane spodnie i mimo pewnej siebie miny jest chyba niewiele starszy od niej. Czarne oczy błyszczały mu rozbawieniem.

— Bardzo mnie to cieszy. Bo już się bałem, że jakieś osobiste smutki tu się opłakuje.

Z gniewnym potrząśnięciem głowy zabrała się z powrotem do swojej roboty, ale ukradkiem zerkała za nim, gdy prowadził konia w stronę wozu, w cieniu którego odpoczywała rodzina Wagnerów. Pan Wagner, hałaśliwy, czerwony na twarzy, pięćdziesięcioletni może ojciec rodziny, spał sobie. Pani Wagner, tęga niewiasta, z upartym podbródkiem i pasującym do niego usposobieniem pilnowała, żeby jej dzieci - cała szóstka w wieku od szesnastu do dziewięciu lat - pilnie siedziały nad książkami i próbowały nadgonić to, co tymczasem przerabiano w opuszczonej na zawsze szkole.

Powinnam była go ostrzec, że Wagnerowie nie lubią, jak im przeszkadzać o tej porze, myślała Freda. Zresztą sam się wnet tego dowie.

— Dzień dobry pani. Jestem Jeff Clayton. Przysłał mnie tu Jim Bridger…

— Jeżeli chcecie widzieć się z moim mężem — przerwała pani Wagner — to teraz nie można mu przeszkadzać. Przyjdźcie później. — Ale pan Wagner właśnie otworzył oczy.

— W porządku, w porządku, Mamo. Nie śpię. Czego pan sobie życzy, panie Clayton?

— Jim mówi, że szukacie przewodnika na idrogę do Oregonu.

— Szukamy.

— To właśnie moje zajęcie.

— A drogę pan zna?

— Trafię z zamkniętymi oczami.

Zawzięcie szorując talerz Freda nie mogła się nadziwić, jak taki prosty, nieuczony, biednie odziany człowiek może jakby nigdy nic podejść do Wagnera i spytać o pracę. Wagnerowie byli bogaci, mieli dobrą pozycję towarzyską wśród bogatych filadelfijczyków niemieckiego pochodzenia. W Filadelfii pan Wagner posiadał dobrze prosperujący browar, mieszkał w pięknym domu i miał do czynienia z zamożnymi ludźmi. A przecież Jeff Clayton ośmiela się przerwać drzemkę panu Wagnerowi i w obecności pani Wagner stoi sobie jakby nigdy nic i nawet nie zdjął kapelusza. Wagner, który zawsze ważne decyzje omawiał wpierw i żoną, spojrzał ma nią pytająco.

— Co o tym myślisz, Mamo?

Jej bystry wzrok badał młodego przybysza.

— Jakiej żądacie zapłaty?

— Cztery dolary dziennie.

— Dwa to aż nadto.

— Cztery, proszę pani. A jak nie, to nie.

Freda wstrzymała oddech. Przecież pani Wagner na pewno każe mu się wynosić. Na taką bezczelność ze strony szukającego pracy najemnika nie można pozwolić. To prawda, że przewodnik, który dwanaście wozów doprowadził aż tutaj przed tygodniem, rzucił pracę i ruszył w stronę kalifornijskich terenów złotodajnych. Okazało się zresztą, że w tym kraju przewodnik jest koniecznością i to przedłużające się czekanie wyprowadzało wszystkich z równowagi. Ale i tak nie miała wątpliwości, co pani Wagner powie. Żałowała więc Jeffa Claytona, mimo jego arogancji, bo wyglądało, że bardzo potrzebuje tego zarobku.

— Trzy. Więcej nie zapłacimy.

Jeff Clayton zawrócił swego konia.

— Oregon leży prosto na zachód. Powodzenia.

Rozległ się pomruk niezadowolenia od strony sąsiadów, innych wędrujących wspólnie rodzin, które zdążyły się zbliżyć. Pan Wagner, skrzywiony, naradził się po cichu z żoną i rzekł:

— Poczekajcie. Zapłacimy wam cztery dolary, ale tylko na naszych warunkach.

Czarne oczy spoglądały rozbawione.

— A jakież są te warunki?

— Przede wszystkim nie zostawicie nas, kiedy wam się spodoba, tak jak tamten poprzedni. I dopiero jak doprowadzicie nas bezpiecznie do Oregon City, wtedy zapłacimy. Przedtem ani dolara.

— W porządku. — Wskoczywszy na siodło żartobliwie ukłonił się Wagnerom. — A teraz wybaczcie, mam jeszcze coś do załatwienia w forcie. Do jutra rana!

Wiedząc dobrze, co to znaczy nie mieć pieniędzy, pracy ani przyjaciół, Freda ucieszyła się, że Jeff Clayton, choć taki nieokrzesany, zdobył jednak

zajęcie. Postanowiła wtajemniczyć go w obyczaje Wagnerów, żeby nie robił niczego, co by ich rozgniewało. Ponieważ była o wiele za nieśmiała, by sama powiedzieć coś takiego człowiekowi, którego widziała zaledwie chwilę, więc wymyśliwszy jakiś powód, poszła po południu do fortu i zacinając się opowiedziała wszystko Jimowi Bridgerowi, bo już się przekonała, że jest życzliwy i rozsądny.

— Spodobał się Jeff panience, prawda?

— Ależ skąd! — wykrzyknęła rumieniąc się po uszy. — Ja tylko chciałam mu pomóc.

— Będzie bardzo zobowiązany szanownej pani.

Następnego ranka Freda ugotowała śniadanie i właśnie podawała je Wagnerom, kiedy Jeff Clayton niby nigdy nic wjechał do obozowiska. Wystarczył Fredzie jeden rzut oka, by stwierdzić, że wszystkie jej życzliwe rady zostały całkowicie zignorowane. Nie przystrzygł włosów, nie wykąpał się ani nie ogolił i miał na sobie te same brudne skórzane spodnie, chociaż o tym wszystkim powiedziała Bridgerowi. Z przekrwionymi oczyma skarżył się na ból głowy i mdłości; śniadania, które specjalnie dla niego trzymała ciepłe, nie chciał, tylko wypił trzy kubki kawy, krzywiąc się, że słaba, a kiedy z oburzeniem żachnęła się na jego propozycję, by staremu ściągnęła trochę whisky, bo najlepiej klin klinem, odszedł mrucząc pod nosem, że nigdy by się nie podjął tej roboty, gdyby wiedział, że ma do Oregonu jechać o suchym gardle.

Fredę to zgniewało; miała nadzieję, że Wagner z miejsca go zwolni. Ale oboje jej pracodawcy byli zbyt zajęci, nic nie zauważyli i wszystkie wozy w porządku ruszyły w drogę. Przez następne dni pod jego przewodem, na pozór niedbałym, szybko przemierzali porosły szałwią płaskowyż na zachód od fortu Bridgera, aż doszli do Rzeki Niedźwiedziej, a potem, już żyzną doliną, jechali na północny zachód aż do miejsca, gdzie rzeka skręcała na południe, a oni pociągnęli krętym szlakiem przez trudny, bryłami lawy usiany kraj. Bez żadnych kłopotów dotarli po dwóch tygodniach do miejsca, gdzie łączą się wody Portneuf i Rzeki Wężowej. W czasie rozbijania obozu Freda usłyszała, jak Jeff radził Wagnerowi, żeby w tym miejscu popasać parę dni, by oporządzić nadwerężone wozy, a wołom dać odpocząć przed pustynią rozciągającą się po tamtej stronie Rzeki Wężowej.

Następnego ranka, po śniadaniu, pani Wagnerowa oznajmiła:

— Jak pozmywasz, Freda, zabierzesz się do prania. Przygotuj dużą balię, drzewo na ogień i sporo gorącej wody.

— Dobrze, proszę pani.

Szybko uwinąwszy się i naczyniami dziewczyna poukładała wszystko na miejscu i skoczyła do jednego z wozów, gdzie na wysokiej tylnej ścianie umocowano balię. Szarpała się z nią chwilę, ale bezskutecznie, balia ani drgnęła. Dziewczyna usłyszała, jak Jeff oparty na łokciu przy ognisku, powiedział do Wagnera:

— To ciężka balia, Lucius.

— Tak — zgodził się tamten. — Dobra, solidna balia. — Podniósł głos: — Musisz podsadzić się pod nią ramieniem, Freda!

Zaczerwieniła się tylko.

— Tak, proszę pana.

Usłyszała, jak Jeff mruknął coś zdegustowany. Wstał, podszedł do wozu i zdjąwszy ciężką balię, postawił ją na ziemi. Freda podziękowała mu wzrokiem; odwróciła się na pięcie i szybko chwyciła wiadro i siekierę. Ku jej zdumieniu, odebrał jej bezceremonialnie obie te rzeczy.

— Nie musisz tego sama robić, kiedy ta cała dzieciarnia wałkoni się tu dokoła. Adolf, nanoś wody! Ludwig, narąb drzewa. Ruszcie się, prędzej!

Oczy pani Wegnerowej zabłysły groźnie.

— Tylko bez rozkazywania moim dzieciom, panie Clayton.

— Przecież nic nie robią, więc chyba...

— To robota służącej. Freda!

— Tak jest, proszę pani. Już idę!

— Uważa pan, że potrzebna jej pomoc, panie Clayton? — spytała pani Wagnerowa z lodowatym uśmiechem. — Doskonale. Niech jej pan pomaga.

Freda widziała, jak zacisnął wargi.

— Ja? Chce pani, żebym nosił wodę i drzewo niczym Indianka?

Półżywa ze strachu Freda odebrała mu wiadro i siekierę, a potem puściła się pędem ku rzece. Dogonił ją, chwycił za ramię, że musiała się zatrzymać, i spytał gniewnie:

— Czemu to wszystko znosisz od tych ludzi?

— Proszę, Jeff, nie kłóć się z nią, bo będzie bardzo zła!

— Niech sobie będzie!

— Ale stracisz pracę! Cztery dolary to dużo pieniędzy! Zobaczyła, jak jego czarne oczy zabłysły, wpierw gniewnie, potem rozbawione, wreszcie spojrzał z namysłem.

— A ile tobie płacą?

— Och, mnie nic. Ale ja jestem kontraktową służącą.

— To ma znaczyć, że pracujesz za darmo?

— Dają mi żywność i miejsce do spania.

Jeff tylko burknął pogardliwie.

— Tyle samo dają swoim wołom. Jak to się stało, że znosisz to wszystko?

Opowiedziała mu, podczas gdy rąbał drzewo i nosił wodę. W ojczyźnie, w Szwecji, ojciec jej był rusznikarzem i to, co przeczytał o Oregonie, zafascynowało go. Rok temu przyjechał z rodziną do Ameryki postanowiwszy zdobyć fortunę w tym nowym, wspaniałym świecie; ale w niedługi czas po przybyciu do Filadelfii cała rodzina oprócz Fredy padła ofiarą ospy. Miała wtedy zaledwie osiemnaście lat. Została bezdomna, samotna i bez pieniędzy; nie miała żadnych krewnych ani przyjaciół w tym kraju. Zostało jej tylko w pamięci, że miejscem, gdzie wszystkie sny się spełnią, jest Oregon, więc gdy natknęła się na Wagnerów, którzy mieli zamiar się tam osiedlić, bez namysłu podpisała z nimi kontrakt na służbę w zamian za to, że ją tam zabiorą.

— Na jak długo? — spytał cicho Jeff.

— Na pięć lat.

— A co potem zrobisz?

Nieśmiało spuściła oczy i powiedziała ciepło, głosem pełnym nadziei:

— Jeżeli będę dobrze pracować, to może, kiedy odsłużę swoje, dadzą mi jakiś mały posag. A wtedy będę mogła znaleźć męża.

— Posag? A cóż to jest, u diabła?

Patrzyła na niego zdumiona.

— Nie wiesz? Posag to jest to, co każda dziewczyna musi mieć, żeby wyjść za mąż.

Obejrzał ją od stóp do głów.

— Wydaje mi się, że masz wszystko, czego dziewczynie potrzeba — a nawet więcej.

— Och, Jeff, nie żartuj! Posag to jakby podarunek dla jej męża: krowa, mały domek, kawałek zielni, trochę pieniędzy.

— Z tego wynika, że temu człowiekowi się płaci, żeby się ożenił?

— To nie jest zapłata, tylko tak na początek dla młodego małżeństwa. Jakże inaczej mogliby młodzi zacząć swoje życie?

Pocierał policzek rozważając jej słowa.

— Zupełnie łatwo. Jeśli mężczyzna jest coś wart, to wynosi się z domu rodzicielskiego, bierze strzelbę, konia i siekierę i jedzie tak daleko na zachód, aż znajdzie kawałek gruntu, który mu się spodoba…

— A kto mu da tę strzelbę, konia i siekierę?

— Nikt. Kupi je sobie.

— A skąd weźmie pieniędzy?

— Jak to, ma przecież dwie zdrowe ręce, no nie?

Nie zrozumiała.

— Co to znaczy?

— Ze nie tak trudno zarobić na to wszystko, byle nie bał się roboty. Może znaleźć pracę.

— Ale dlaczego? Przecież jego rodzice mają ziemię. Czemu nie ma zostać u nich i tam pracować?

Te jej pytania wyraźnie go zirytowały.

— Nic nie rozumiesz. Weź mnie na przykład. Moi rodzice mieli dużą farmę w Ohio, ale dzieci była gromada, więc zaczęło mnie ciągnąć w świat. Aż wreszcie powiedziałem sobie - do diabła z farmerką; ruszyłem na zachód, zastawiałem sidła na bobry...

— Byłeś kłusownikiem!

— Co takiego?

— Do kogo należały te bobry? Kto ci pozwolił je chwytać?

Zanim zdołał odpowiedzieć, nadbiegło dwoje najmłodszych Wagnerów, Katrina i Peter, żeby powiedzieć Fredzie, że mama pyta, kiedy wreszcie zabierze się do prania. Odpowiedź, którą Jeff polecił im powtórzyć mamie, była taka, że Freda rękami zakryła uszy. Potem pochyliwszy się ujął ogromne naręcze drzewa i mruknął:

— Dużo jeszcze musisz się nauczyć o tym kraju, moja panno. I czy chcesz, czy nie chcesz, ja będę twoim nauczycielem.

— A ty — odpowiedziała surowo, chwytając wiadro — dużo się jeszcze musisz nauczyć, jeżeli idzie o dobre wychowanie. I może ja cię tego nauczę.

Ustaliwszy to, ruszyli w kierunku obozu.

Jeff miał dobre chęci, o tym wiedziała, ale niestety brakło mu cierpliwości. Stale prawił kazania, jak wspaniale jest być wolnym, ale ilekroć spytała: „Wolnym od czego?” - zawsze wybuchał gniewem i wykrzykiwał: „Co za głupi system rządów ma ten kraj, w którym się wychowałaś!”. Ta jego porywczość była powodem, że dotknięta, przestawała się do niego odzywać; wtedy przychodził, przepraszał, wyjaśniając, że nie chciał jej urazić, że to on jest głupi, nie ona, a w ogóle, czemu nie próbuje uczyć go dobrego wychowania.

Próbowała. Powiedziała mu na przykład, że to bardzo grubiańsko patrzeć sobie hen w dal i udawać głuchoniemego, kiedy pani Wagnerowa każe mu coś zrobić. Był innego zdania. To, że pomagał Fredzie, kiedy praca była dla niej za ciężka, nie oznaczało wcale, że będzie na rozkazy tej baby. Jeszcze czego. Jedynym sposobem oduczenia pani Wagnerowej od rozkazywania mu jest właśnie takie udawanie głuchoniemego Indianina.

— Ale czy musisz doprowadzać ją do gniewu?

— Nie jestem jej służącym.

— Ale jej mąż ci płaci.

— Jako przewodnikowi, to co innego.

— Jeżeli ją rozgniewasz, to wpłynie na męża tak, że ci wymówi. I co wtedy zrobisz?

— No cóż, nie umrę z głodu, jeżeli o to ci chodzi.

— Jak możesz być taki pewny? Kto się tobą zajmie?

Odrzucił w tył głowę śmiejąc się głośno.

— Dziewczyno, póki mężczyzna jest zdrów, ma strzelbę i głowę na karku, to w tym kraju nie zginie z głodu. Bobry, bizony, antylopy, sarny - każdy może mieć tego, ile chce. To samo z ziemią.

— Z jaką ziemią? Gdzie?

— Prawie wszędzie. — Ciemne oczy spoważniały. — Pomyśl, złotko — powiedział z dumą — gdybym tylko zechciał, mógłbym w Oregonie zająć działkę na trzysta dwadzieścia akrów. A gdybym miał żonę, to nawet całą milę kwadratową. Potem, jakbym tam mieszkał wystarczająco długo i byłoby widać, że zamierzam zostać, dostałbym od rządu nadanie tej ziemi - bezpłatnie i na zawsze. Mógłbym tam naścinać drzew, wybudować dom, uprawiać rolę, hodować bydło czy jeszcze co innego, na co by mi sił i energii starczyło - wszystko, co zechcę.

Chwilę się zastanawiała.

— A ile ziemi będzie mógł dostać pan Wagner?

— Tyle samo co ja, nie więcej.

To już uznała za oczywiste kłamstwo. Ale dla świętego spokoju udawała, że mu wierzy.

Pewnego wieczora na początku września rozbili obóz w trawiastej dolinie, przecinającej zachodnie zbocza gór, które Jeff nazywał Błękitnymi. Kiedy Freda skończyła swoją robotę, zabrał ją na spacer. Zmierzchało się już; przysiedli na skale. Jeff nabijał fajkę, gdy Freda wskazała daleki liliowy horyzont.

— To jest Oregon?

— Tak jego wschodnie krańce.

— Gdzie ziemię dają za darmo?

— Tak, wszędzie.

— I tutaj, gdzie jesteśmy?

— Z tego, co widzę, nikt dotąd nie zajął tej doliny.

Siedziała zupełnie nieruchomo przyglądając się rozległej bujnej łące, którą przecinał bystry, skrzący się strumień. Ziemia zdawała się żyzna, bez kamieni, a trochę dalej bokiem doliny zaczynały się wysokie, proste sosny i świerki, podobnie jak tam, w dalekim kraju ojców, i pięły się w górę po zboczach jak okiem sięgnąć. Zaczęła głosem pełnym zdumienia:

— Jeff…

— Co?

— Mógłbyś dla siebie dostać milę kwadratową tej doliny?

— Oczywiście, gdybym miał żonę.

— A czemu nie masz?

W milczeniu pykał fajkę.

— Chyba jeszcze nie jestem gotów do tego, żeby się ustatkować. Musiałbym znaleźć odpowiednią dziewczynę.

— Nie chcesz się ożenić?

— Kiedyś...

— Gdzie jej będziesz szukał, Jeff?

— Nie myślałem jeszcze nad tym.

Unikała jego wzroku.

— Mam nadzieję, że znajdziesz sobie taką, co będzie miała ładny posag.

— Czemu bym miał szukać posagu? Mam zdrowe ręce.

Spojrzała na niego.

— Już to raz mówiłeś. Nie rozumiem, co to znaczy.

— To znaczy, że mam swoją dumę. Potrafię zarobić na to, żeby miała co na siebie włożyć, żeby nie była głodna i miała dach nad głową. Byle była taka, co umie się ruszać, to mogłaby nie mieć ani centa, nic by mi to nie szkodziło.

Mimo że usilnie uczyła się angielskiego, wciąż jeszcze niektórych wyrażeń Jeffa zupełnie nie rozumiała. Teraz też, ale zanim zdążyła zapytać, rozległ się od obozu głos Wagnerowej:

— Freda, Freda, chodź tu zaraz!

Zerwała się, pobiegła. Ale spojrzenie Jeffa mówiło wyraźnie, że nie o takim ruszaniu się mówił przed chwilą.

Kiedy w parę dni później rozbili obóz nad Dalles, w powietrzu czuło się wilgotny chłód wczesnej jesieni. Ku zachodowi patrząc, Freda widziała majaczące wysoko góry przecięte dość szerokim, pełnym wodospadów korytem rzeki. Słyszała, co Jeff powiedział do Wagnera:

— Teraz musimy wybierać, Lucius. Oregon City leży o sto mil na zachód poza tymi Kaskadami. Ale mamy dwie drogi.

— Która jest lżejsza?

— Obie są ciężkie. Możemy rozebrać wozy i przeprawić się na tratwach rzeką przez przełom. Albo przejść górą, traktem Barlowa, który właściwie trudno nazwać drogą. Jeżeli wybierzemy przeprawę rzeką - to się solidnie zmoczymy. Jeżeli przeprawę przez góry - będziemy mieli niezłą wspinaczkę.

— Ty jesteś przewodnikiem, mówi Mama, więc ty musisz decydować.

— No, to ja raczej wolę się drapać, niż pływać.

Wagner uśmiechnął się i poklepał Jeffa po plecach. Freda, zadowolona, usłyszała, jak mówił przy tym:

— Dobry z ciebie przewodnik. Dziś wieczór urządzimy sobie zabawę, aby uczcić zbliżający się koniec drogi.

Przyjemna zabawa, myślała Freda, przyglądając się tańczącym parom, słuchając jowialnych męskich pogaduszek przy beczułce whisky, którą Wagner postawił mimo protestów żony. Z niepokojem zerkała na Jeffa i miała nadzieję, że pamięta o swojej pozycji i nie będzie pił za dużo, bo widząc, że stosunki jego z panem Wagnerem tak się dobrze ułożyły, zaczęła w duszy snuć dalekie plany. W Oregonie pan Wagner niewątpliwie będzie ważną osobą; o ile Jeff zdecyduje się osiąść gdzieś na stałe, to może pan Wagner da mu zajęcie w swoim browarze. I jeśli Jeff będzie pracował dobrze, jeśli okaże się trzeźwy, chętny i oszczędny, to może, gdy pięć lat Fredy upłynie…

Westchnęła niezadowolona. Za namową mężczyzn Jeff nagle skoczył na środek kręgu przyglądających się i w świetle ogniska pokazywał teraz dziki indiański taniec wojenny. Przy tej okazji pozbył się też widocznie zastrzeżeń wobec tańców towarzyskich, bo nagle chwycił siedzącą Fredę i puścił się z nią w tany. Ale dziewczyna, bez tchu prawie, myślała tylko o tym, jak jej chlebodawczym zareaguje na to, że służąca, nie proszona, bierze udział w tańcach, więc wyrwała mu się przy pierwszej okazji; Jeff niefrasobliwie chwycił wpierw jedną, a potem drugą niewiastę i wirował dalej. Ku przerażeniu Fredy jedną z jego partnerek była pani Wagnerowa, co stojący kołem powitali gromkim śmiechem. Freda nie zdążyła jednak zauważyć, jak się to spodobało gniewnej damie, bo oto pan Wagner pod wpływem ogólnego nastroju, zaprawionego zresztą suto z beczułki, tryumfalnie ujął Fredę i ruszył w pląsy.

To już na pewno musiało oburzyć panią Wagner, myślała przerażona Freda. Ale pan Wagner na tym nie poprzestał; kiedy taniec dobiegł końca, podniósł dziewczynę w powietrze i zakręcił się z nią w koło, tak że spódnice furkotały, wreszcie postawił ją na ziemi i wycisnął na jej wargach głośny i mokry pijacki pocałunek.

Pani Wagnerowa wyrwała się z objęć Jeffa i ruszyła przez taneczne koło. Z okrzykiem oburzenia wymierzyła Fredzie mocnego kuksańca, szarpnęła męża ku sobie i pełną dłonią dała mu po zdumionej gębie. Wreszcie z twarzą jak chmura gradowa obróciła się do reszty tańczących:

— Już dosyć tego pijaństwa, tych tańców i całowania. Nie znoszę czegoś podobnego!

Zabawa się skończyła. Freda, czerwona ze wstydu, wpatrywała się w czubki swoich butów.

— Przepraszam panią. Bardzo przepraszam.

W nagłej ciszy Jeff podszedł do niej, objął jej drżącą postać i rzekł głośno:

— I za co tu przepraszać? Nikt nic złego nie chciał i nic się nie stało. Moim zdaniem…

— Swoje zdanie zachowaj dla siebie, panie Clayton. Jesteś płatnym sługą, niczym więcej!

— To pani się tak wydaje — powiedział Jeff, a wściekłość w jego głosie aż przeraziła Fredę. — Ale ja uważam inaczej. I jak jeszcze raz zobaczę, że podnosi pani rękę na Fredę…

— Jeff! Milcz! Proszę, nic nie mów! — błagała dziewczyna, szarpiąc go za ramię.

Popatrzył na nią długo i uważnie. A potem odwrócił się na pięcie i znikł w ciemności.

Przebycie gór zajęło im dwa tygodnie. Przez cały ten czas Jeff ani razu nie wziął wieczorem Fredy na spacer. Trzymał się też z daleka od Wagnerów i odzywał się do nich tylko wtedy, kiedy jego praca tego wymagała. Freda wiedziała, że jest zły i że zrobiła mu wielką krzywdę. Bardzo się tym martwiła, a najgorsze było to, że przecież on tylko próbował osłaniać ją, a ona jego.

Ostatnie zbocze, które musieli pokonać, okazało się tak strome, że trzeba było do każdego wozu przymocować z tyłu ciężką kłodę, zablokować koła i wolno opuszczać na linach owiniętych wokół grubych pni wyżej rosnących jodeł. Odesławszy kobiety i dzieci na bok, Jeff przewodził mężczyznom w ich powolnej, ciężkiej i męczącej pracy tak mądrze, że Fredę co chwila zdumiewała jego pomysłowość i doświadczenie. I gdy już prawie wszystkie wozy udało się bezpiecznie sprowadzić na dół, wydarzył się wypadek. Właśnie ostatni opuszczano wolniutko, gdy w połowie zbocza nadwerężona lina pękła i wóz potoczył się koziołkując, aż wylądował na wielkim głazie i roztrzaskał się w drzazgi.

Jeff przyjął to spokojnie. Upewniwszy się, że nikomu nic się nie stało, powiedział do Wagnera:

— To pierwszy, jaki straciliśmy. Masz szczęście, Lucius.

— Szczęście? — ryknął tamten. — To był mój wóz!

— No cóż, wyruszałeś na zachód dwoma, pozostał ci drugi… A poza samym wozem i beczką potłuczonych talerzy, nic więcej się nie zniszczyło.

Klęcząca pośród skorup pani Wagnerowa wrzasnęła rozwścieczona:

— Lucius! To był mój najpiękniejszy serwis!

Błysk w oczach Jeffa ostrzegł Fredę, że przebrano wobec niego miarę, i za chwilę wybuchnie. Ale kobieta tego nie dostrzegła. Doskoczyła do niego. Przez dobre pięć minut wyzywała go od ostatnich. Jeff nie przerywał jej, tylko oczy robiły mu się coraz ciemniejsze. Wreszcie musiała przerwać dla zaczerpnięcia tchu. Wtedy Jeff zwrócił się do jej męża:

— Wiesz, co bym zrobił z tą pyskatą squaw, gdyby była moja?

— Lucius!! Słyszałeś, jak mnie nazwał?

— Uciąłbym sobie taki kawał kija — pokazał rękoma, jakiej długości — i dałbym jej porządne lanie. Po takim czymś zaraz by przestała.

Freda widziała, jak twarz pana Wagnera z purpurowej robi się biała, potem popatrzył błędnie po lesie, jakby tam czegoś szukał. W końcu oprzytomniał i wybuchnął:

— Zwalniam pana, Clayton!

— Nie musi mnie pan wyrzucać. Sam odchodzę. — Wskazał ręką na zachód. — Droga stąd jest już wyraźna i łatwa aż do końca. Nie można zabłądzić. Proszę o moje pieniądze i odjeżdżam.

Trzęsąc się z gniewu Wagner wyciągnął sakiewkę z kieszeni.

— Bardzo chętnie. Ile się należy?

— Dziewięćdziesiąt dni wytrzymałem z wami. To będzie trzysta sześćdziesiąt dolarów wedle mego rachunku.

— Czekaj, mężu — przerwała mu żona. Chytry błysk pojawił się w jej oczach. — Pamiętasz, jaka była umowa? Ze nie dostanie nic, póki nas bezpiecznie nie doprowadzi do Oregon City. Nie jesteśmy tam jeszcze. A mimo to odchodzi. Sam powiedział. Więc nic mu się nie należy.

— Masz rację, Mamo — uśmiechnął się Wagner. — Taka była umowa.

Freda wstrzymała oddech, bo Jeff bez słowa podszedł do swego konia, ujął strzelbę i odwrócił się. Już miał coś powiedzieć, gdy jakiś nieświadomy ruch Fredy przyciągnął jego wzrok ku niej. Patrzył na nią długo i ponuro. Jej wzrok, skierowany na niego, błagał go, by nie robił niczego, czego by później żałował. W jego czarnych oczach dojrzało nagle postanowienie.

— Lucius — spytał spokojnie — ile warta jest dla was Freda?

Wagner wpatrywał się weń nie rozumiejąc.

— Freda? Pytasz, ile ona jest warta?

— Tak, takie zaprzedawanie się na służbę jest tutaj nieważne. Gdyby nie miała stracha, sama by sobie wzięła wolność. Ale ona tego nie zrobi. Boi się. Więc ja kupię wolność Fredy. Masz do wyboru, Lucius, albo zapłać, co zarobiłem w gotówce, albo dasz mi Fredę. Masz dziesięć sekund czasu do namysłu.

Wagner spojrzał niepewnie na żonę.

— Mamo?

— Służącą możemy bez trudu znaleźć — pogardliwie orzekła Wagnerowa. — A o gotówkę trudniej. Daj mu Fredę.

— Słyszałaś, Freda? — spytał Jeff.

— Tak.

— Idź, spakuj swoje rzeczy. Zabiorę cię do Oregon City.

Nie drgnęła.

— A co potem?

— To już sama zadecydujesz — powiedział zirytowany. — Mnie służącej nie potrzeba. Ale będziesz miała wolność.

— I co z nią zrobię?

Jeff patrzył na nią.

— To co - nie przyjmujesz jej?

— Nie w ten sposób. Nie żebyś ty mi ją kupował.

— A cóż to za różnica, jak ją zdobędziesz, byłeś była wolna.

— Dla mnie duża różnica.

Twarz zapłonęła mu gniewem. Rozpaczliwie chciała zawołać: „Jeff, spróbuj zrozumieć!” - ale brakło jej słów. Z pomrukiem zniechęcenia odwrócił się, ujął wlokące się po ziemi wodze i wsadzając nogę w strzemię krzyknął:

— Ale chcesz, czy nie chcesz, jesteś wolna. Nic mi nie jesteś winien, Lucius. Wracam do fortu Bridgera. Zdrowo wygarnę staremu Jimowi. Po co

mówi, że lepiej prowadzić karawanę niż polować na bobry. Ale wy zostawcie Fredę w spokoju, słyszysz, bo jak się dowiem, że ty czy twoja żona znęcacie się nad nią...

— Jeff! — Freda podbiegła ku niemu. — Musisz zrozumieć, dlaczego to powiedziałam. Nie możesz tak odjechać.

— Nie mogę? Zobacz tylko! Wracam w góry, znajdę sobie indiańską squaw...

Koń zawsze wyczuwa nastrój swego pana, Jeff sam to mówił Fredzie, i dlatego mądry człowiek opanowuje się podchodząc do swego wierzchowca. Ale w tej chwili Jeff był tak wściekły, że zapomniał o rozwadze. W chwili gdy przerzucał prawą nogę nad grzbietem konia, ten - zazwyczaj taki spokojny - zarżał, opuścił nisko głowę i gwałtownie wygiął się prawie w pałąk. Potem zabrzmiał krzyk Fredy, gdy zobaczyła, jak Jeff szybuje w powietrzu, robi wolny półobrót i z dziwnym hukiem wali się na ziemię.

Podbiegła do niego, pomogła mu usiąść.

— Jeff! Co ci się stało?

Spojrzał na bezwładną prawą rękę.

— Wygląda, że złamana.

— Ma, na co zasłużył. Jedziemy, Lucius — oznajmiła bez współczucia pani Wagnerowa.

Kiedy Wagnerowie skierowali się do swego wozu, Freda próbowała protestować, ale Jeff mruknął:

— Niech jadą. Jakoś dam sobie radę. Gdybyś tylko mogła podwiązać mi trochę tę rękę.

Ale Freda miała ważniejszą sprawę na głowie. Podniosła się z ziemi i zawołała głośno i pewnie - wcale nie jak zahukana służąca:

— Panie Wagner!

Zdumiony jej tonem, przystanął.

— Co tam?

— Zanim odjedziecie, chciałabym jeszcze trzy rzeczy od pana.

Rozbawiony przyglądał się dziewczynie.

— Jakie trzy rzeczy?

— Po pierwsze moją odzież.

— Możesz ją sobie zabrać.

— Po drugie moją wolność.

— To już masz. Nie słyszałaś, jak się ułożyliśmy z panem Claytonem?

— Słyszałam. Ale nie jestem ani koniem, ani krową, którą się sprzedaje na targu. Sama sobie biorę wolność. Zrozumiano?

Wzruszył ramionami.

— Niech będzie, Freda. Jesteś wolna. Dlaczego się sprzeczasz, o sposób?

— Dlatego — odparła spokojnie Freda — że jeżeli ja sama sobie biorę wolność, jeżeli nikt jej dla mnie nie kupuje, to pan wciąż jeszcze jest winien Jeffowi trzysta sześćdziesiąt dolarów. I zanim odjedziecie, żądam, żeby pan mu zapłacił.

Wagner wybuchnął śmiechem.

— Żądaj sobie, ile chcesz, moja droga. Nic ci z tego nie przyjdzie. — Twarz mu spochmurniała. — A teraz bierz swoje rzeczy, bo odjeżdżamy.

Freda straciła cierpliwość. Schyliła się, złapała strzelbę Jeffa, przyłożyła do oka i z palcem na cynglu powiedziała:

— Pieniądze, panie Wagner, i to już.

Wagner sięgnął po sakiewkę…

Jak już pastor w Oregon City udzielił im ślubu, Jeff orzekł, że najmądrzej będzie przeczekać tam zimę i dopiero na wiosnę starać się o działkę, o tę dolinę we wschodnim Oregonie. Do tego czasu, powiedział, ręka mu się zrośnie i będzie mógł podołać ciężkiej pracy osadnika.

Ale Freda uśmiechnęła się tylko.

— Nie, nie musimy czekać. Jedziemy już, zaraz, jutro.

— Ale, Freda, tyle pracy.

— A kto się boi pracy? — szepnęła całując męża. — Oboje jesteśmy teraz wolni. A moje ręce są zdrowe.

No cóż, Jeff przyznał, że kiedy mają trzy zdrowe ręce, to chyba dadzą sobie radę.

Tłumaczenie Krystyna Jurasz-Dąmbska

**Norman S. Hall**

## Decyzja nad Rio Blanco
(Decision at Rio Blanco)

Była godzina ósma rano, kiedy John Laniard ściągnął swego rosłego bułanka przy wyrwie w wysokim urwisku, wzdłuż którego jechał od wschodu słońca. Rozluźnił sią w siodle i spojrzał w dół na rzekę Rio Blanco, która płynęła bystro, biała i cicha, o tysiąc stóp niżej. Tu był początek wielkiego łuku, który rzeka zataczała w kierunku zachodnim i południowym. Po sześćdziesięciomilowym zakolu wokół stóp Santa Maria popłynie znowu na wschód, potem na południe, a przy tym zakręcie na południe ukaże się miasto Tres Cruces. Tam będzie kres podróży Johna Laniarda. Może kres jego życia. Pozbył się z wysiłkiem tej myśli i zawrócił bułanka do rzeki, ku zejściu w dół na pustynię. Nie był to utarty szlak. Od wyjazdu o świcie tego ranka droga była trudna i ryzykowna, a Laniard wybrał ją umyślnie, spodziewając się, że skupienie, jakiego wymagał teren, zaprzątnie jego myśli i wyprze z nich ponury cel wędrówki.

John Laniard jechał bowiem, by zabić człowieka - by usiłować zabić człowieka - a taka myśl wcale nie jest miłą towarzyszką dla kogoś, komu od dziewiętnastych urodzin upłynęło niecałe sto dni.

Wprowadził zręcznie konia w wąski, stromy kanion, z którego wyjechał na usiane głazami płaskowzgórze - długie na milę wzniesienie z kruchego piaskowca. Sterczało w morzu karłowatej, rzadkiej roślinności pustynnej ciągnącej się aż do brzegów Rio Blanco i do Tres Cruces, zagubionych we mgle po przeciwnej stronie szerokiej doliny. Ruszył wzdłuż krawędzi szukając łagodniejszego zejścia w dół, na dno pustyni, gdy wtem zobaczył w dole siedmiu jeźdźców kierujących się od strony wschodniej ku wzniesieniu. Apacze. I to o niecałe siedemset jardów od niego. Gwałtownie napinając twarde mięśnie łydek wbił koniowi ukośnie ostrogi, na co bułanek chrapnął zdumiony i skoczył za ogromny występ litej skały.

Kiedy szarpnięcie wędzidła osadziło konia w miejscu, Laniard sięgnął prawą ręką ponad napiętymi wodzami i wyrwał Winchestera z pochwy pod lewą nogą. Rozległ się miękki syk metalu ocierającego się o skórę.

Odwiódł kurek i poderwał łukiem karabin, celując w środkowego Indianina, gdy nagle pojął, dojrzawszy bogactwo kawaleryjskiego rynsztunku nieokreślonej przynależności, że to oddział indiańskich zwiadowców. Jednocześnie dostrzegł, że dowódcą ich jest biały człowiek. Potem zobaczył złamane piórko orle zatknięte za wstążkę kapelusza i wtedy już wiedział, że to Dan Bennett - bowiem Bennett i jego złamane pióro bardziej były znane od Linii Kanadyjskiej do Chihuahua niż George Crook czy Nelson Miles.

Ciche westchnienie ulgi wyszło z ust Laniarda, kiedy ostrożnie zwolnił kurek karabinu i wsunął broń z powrotem do pochwy. Potem zdał sobie

sprawę, że jego koń nie drgnął od chwili, kiedy go ściągnął, później zrozumiał, dlaczego. Teraz ruszył w kierunku siedmiu ludzi, a kiedy się zbliżał, Indianie ściągnęli wierzchowce pozwalając dowódcy wysunąć się na długość konia lub więcej, zanim Bennett z Laniardem stanęli, by się nawzajem obrzucić bacznym spojrzeniem.

Bennett, człowiek z pogranicza, mógł równie dobrze mieć czterdzieści, jak siedemdziesiąt lat. Miał, jeśli idzie o ścisłość, pięćdziesiąt osiem i był, z wyjątkiem włosów i oczu, niewiele jaśniejszy od swoich indiańskich zwiadowców.

Nosił czarny kawaleryjski kapelusz połowy z pewnością zawdzięczający swój obecny fason wielu nogom, które po nim deptały, a za wstążką zatknięte miał złamane piórko orle - równie charakterystyczne dla Bennetta jak znaczek w kształcie noża, który stawiał na kawaleryjskiej liście płac. Nosił irchową koszulę oderżniętą nożem tuż nad pośladkami, żeby nie uwierała w siodle, i kawaleryjskie spodnie; na nogach miał wysokie buty tego typu, jakie noszą indiańskie kobiety. W prawym, zasznurowanym ściśle, tkwiło ośmiocalowe ostrze, które mogło mu służyć do golenia.

Oczy barwy szarego granitu pod płytką wodą patrzyły bez zmrużenia na Laniarda, aż młody człowiek poruszył się niezręcznie w siodle; wreszcie błysnęła w nich życzliwość.

— Dam ci radę, synu — powiedział Bennett wychylając się do przodu i wspierając na przednim łęku kowbojskiego siodła. — Jak wychodzisz na taką patelnię jak ta, to się najpierw dobrze rozejrzyj. A wtedy wychodź śmiało. Mogliśmy cię ustrzelić od pierwszej chwili, kiedy wystawiłeś głowę z kanionu. Ale, wiesz co, dobrego masz konia.

Laniard puścił mimo uszu komplement pod adresem bułanka i powiedział napiętym głosem:

— Nie sądziłem, że to niebezpieczna okolica.

Skrzywił nos, bo uderzył go zjełczały odór zastarzałego potu Indian, który wzmógł się jeszcze z silniejszym podmuchem wiatru; lekko nacisnął kolcem ostrogi bok konia, by go ustawić z wiatrem. Bennett zrobił to samo, chichocząc.

— Śmierdzą — mówił ustawiając się równolegle do Laniarda. — Śmierdzą jak diabli. Ale po trzydziestu, czterdziestu latach człowiek do tego przywyka. — Rzucił na Laniarda szybkie, badawcze spojrzenie, a w głosie jego zadźwięczała teraz łagodna życzliwość: — Nie chciałem ci, synu, dawać żadnych rozkazów. Powinienem był ci chyba powiedzieć, że Geronimo znowu się kręci - gdzieś tutaj albo może gdzieś tam, zaszył się w Santa Marias, za Rio Blanco. — Zrobił nieokreślony ruch ręką na południe i zachód.

— Myślałem, że generał Crook trzyma go w garści — powiedział Laniard.

Bennett zachichotał gdakliwie.

— Bo tak było. Ale stary Geronimo wymknął się z tej garści i zwiał. Zabrał ze sobą wszystkich Indian, kobiety, psy i wszy — tu energicznie podrapał się pod pachą.

— Czas, żeby z tym raz skończyć — oburzył się Laniard.

— Staramy się, synu, staramy — tonem i zachowaniem Bennett okazywał ¿rozumienie dla zdania rozmówcy. — Większość oddziałów wyszła w pole. Ja służę w szóstym pułku kawalerii. Nazywam się Dan Bennett.

Wyciągnął w przestrzeń pomiędzy dwoma końmi brudną dłoń, spaloną jak twarda zwierzęca skóra, a Laniard uścisnął ją gorąco.

— Jestem John Laniard — powiedział trochę niepewnie, bo omal nie dodał „młodszy", a za każdym razem, gdy zdawał sobie sprawę, że takie rozróżnienie nie będzie już nigdy potrzebne, głęboka rana zaczynała znowu krwawić.

Bennett ponownie obrzucił go bystrym, badawczym spojrzeniem.

— Może kuzyn Jacka Laniarda, właściciela domu gry, co? To nie jest pospolite nazwisko, jak Smith czy … Bennett.

— Jestem jego synem — odparł Laniard, a głos jego i twarz były smutne.

— No, proszę! Pamiętam, że Jack miał chłopaka, ale myślałem, że młodszego.

Laniard uśmiechnął się słabo pod jego badawczym spojrzeniem. Inni popełniali ten sam błąd. Miał ledwo dziewiętnaście lat, ale od strzemienia po rondo kapelusza liczył pełne sześć stóp. Pierś miał umięśnioną, ramiona szerokie, a na twarzy dojrzałość, którą wcześnie osiągano w tym kraju.

— Musiał pan znać mojego ojca — Bennett nie wyczuł napięcia w jego głosie.

— Znam go dobrze — odparł tonem, w którym brzmiała już ciepła życzliwość. — Najprzyzwoitszy gracz, jaki kiedykolwiek trzymał karty w ręku.

— On nie żyje — powiedział Laniard, a jego smutek był teraz tak widoczny dla Bennetta jak oskalpowana czaszka.

— Nie żyje, powiadasz! — wybuchnął zwiadowca w zdumieniu i proteście, jakby kwestionując ten fakt mógł go uczynić nieprawdziwym.

W głębi serca Laniard poczuł przypływ sympatii do niego. Podzielał uczucie Bennetta, prawdę mówiąc sam je przeżywał. W krainie i w czasach, gdzie tylko dobrze chronieni dożywali starości, gwałtowna śmierć, która zabrała człowieka kochanego lub uwielbianego przyjaciela, wywoływała zawsze zdumienie i wstrząs.

— Jeszcze rok nie minął, jak wygrałem od niego czterysta dolarów w Denver — w głosie Bennetta wciąż dźwięczał protest.

— Zginął w Denver — rzekł Laniard, a jego przygnębienie ustąpiło nieco, gdy zrozumiał, że musi ponownie opowiedzieć całą historię. — Zabił go Trzypalcy Dave Howell, strzałem w plecy.

Oczy rozmówcy znowu wpiły się weń badawczo, nie spodobało im się to, co dojrzały, i Bennett spuścił wzrok na łęk siodła. Pokiwał wolno głową.

— Wygląda to na niego, wypisz wymaluj — powiedział krótko i dobitnie. — Znam i Dave'a Howella. — Dalej wpatrywał się w łęk siodła, jakby go drażnił, ale głos miał miękki. — Czy Bella została?

— Jest w dalszym ciągu w Denver — wyjaśnił Laniard. — Prowadzi dom mojego ojca, dopóki ja nie wrócę z tej podróży… w interesach.

Bennett wciąż patrzył wilkiem na nieszczęsny łęk.

— Jeśli to nie jest cholernie ważny interes, to bym na twoim miejscu zawrócił. Mówiłem ci już, że Geronimo się wymknął.

John Laniard spoglądał prosto na pochyloną głowę.

— Trzypalcy Dave Howell jest w Tres Cruces — oznajmił spokojnie.

Głowa Bennetta poderwała się tak gwałtownie, że aż złamane orle pióro podskoczyło. Jego oczy koloru zalanego wodą granitu zalśniły i zapłonęły niemal diabelską radością, ale głos pozostał łagodny, pieszczotliwie łagodny.

— Co ty powiesz, co powiesz. — Brudna dłoń znowu się wysunęła. — Wszystkiego najlepszego, chłopcze, wszystkiego najlepszego!

Kiedy dłonie ich się rozłączyły, Bennett wskazał olstro Laniarda, gdzie tkwił remington 44 o rękojeści z kości słoniowej inkrustowanej srebrem.

— Widziałem już kiedyś tę broń — powiedział. — Twojego ojca?

Laniard skinął głową, a gorycz spływała z każdego jego słowa.

— Nawet jej nie miał przy sobie, kiedy go Howell zastrzelił.

Bennett splunął z pogardą.

— Nic więcej ci nie potrzeba. Ale strzeż się Dave'a Howella! On… — potem roześmiał się drwiąco. — Że też ty tego wysłuchujesz po tym, co się stało z twoim ojcem!

Przez chwilę wpatrywał się w młodego człowieka badawczo, pytająco, potem skinieniem głowy zaaprobował to, co zobaczył.

— Wszystkiego najlepszego, chłopcze! — powiedział gorąco, ostro skręcił konia i dołączył do swoich Indian.

Laniard patrzył, jak jechali za Bennettem poprzez płaskowzgórze i znikali pomiędzy skałami. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że żaden z nich nie odezwał się ani słowem, nie zmienił swojej pozycji w siodle, nie oderwał od niego wzroku. On w ogóle dla nich nie istniał, tylko w sześciu zatłuszczonych, zawszonych głowach kształtowała się dokładnie taka oto myśl: Ten bułanek to koń godny wodza i gdyby tu nie było tego durnia Bennetta, koń byłby mój.

Laniard skierował bułanka na skraj wzniesienia, koń zsuwał się na zadzie z jednego wąskiego tarasu na drugi, aż wreszcie zjechał na dno pustyni. Stamtąd ruszyli żwawo w kierunku Rio Blanco i Tres Cruces, gdzie przebywał Dave Howell.

Gdzieś koło trzeciej po południu nagle jeździec zobaczył drzewa i drogą, a dalej Rio Blanco toczącą się hałaśliwie po kamieniach. Podjechał do brzegu rzeki, zsiadł z konia i rozprostował zdrętwiałe od jazdy nogi. Znalazł dogodne miejsce, położył się na brzuchu i trzymając wodze pił chciwie, podczas gdy nieco niżej bułanek wciągał wodę długimi łykami. Kiedy Laniard wyjmował mu pysk z wody, koń opierał się całym ciężarem, wreszcie jednak zaniechał oporu i gdy jeździec go dosiadł, zawrócił z powrotem na szlak.

Jechali drogą, która odchodziła od rzeki i wspinała się na pagórek o ściętym wierzchołku. Poniżej, o niecałą milę, leżało Tres Cruces - jedna ulica, fałszywe fasady domów, zagracone podwórka.

Laniard ściągnął bułanka i pochylił się, ręce wsparłszy na przednim łęku. Wydawało mu się, że gdyby wiatr dmący mu teraz w twarz, powiał trochę mocniej, mógłby tu przynieść tę szarą garść budynków.

Wyobraźnia jego igrała z tą fantazją i jeździec przez chwilę odczuwał spokój, czekając, aż miasto zacznie sunąć ku niemu.

Potem przeniknął go nagły chłód, bynajmniej nie z powodu wiatru, i młody człowiek przypomniał sobie, po co tu przyjechał. Obejrzał się na drogę i zobaczył nadjeżdżającego spokojnie mężczyznę. Obcy miał odwróconą głowę, pochłonięty ścinaniem przydrożnych zielsk pejczem. Laniard, który wcale nie pragnął towarzystwa, zjechał z drogi, a potem w zarośla nad zakrętem rzeki. Był skłopotany i niezdecydowany; zsiadł z konia za osłoną krzaków i obrócił się, by spojrzeć na przejeżdżającego. Był to Dave Howell.

Po raz pierwszy w życiu strach opanował Johna Laniarda całkowicie, przepłynął przez niego i ponad nim niby obłok w kąpieli parowej. Dave Howell zniknął z jego pola widzenia, przesłonięty gałęziami, ale mdlące uczucie strachu pozostało.

Młody człowiek, cały mokry ze zdenerwowania, przeciągnął rękami po udach, by uwolnić dłonie od niezdrowej wilgoci. Obrócił się chcąc sięgnąć po wodze, które wypadły mu z ręki, a wówczas do strachu doszedł wstrząs, bowiem koń powiedział mu to, do czego się jeszcze wobec samego siebie nie przyznał. Bał się. Bał się, mdliło go, drżał ze strachu.

Bułanek stał, wspaniały, z głową uniesioną wysoko, i spoglądał na jeźdźca tak, jak kiedyś w obecności pana spoglądał na wielkiego grzechotnika zwiniętego wśród skał na wysokości swoich piersi. Oczy miał rozszerzone, zaróżowione białka, w których wąskie naczynia krwionośne niemal pękały rozsadzane krwią. Postawił uszy, wygiął szyję, a gęsta czarna grzywa stanęła mu sztorcem. Stał się zwierzęciem obcym. Wówczas właśnie Laniard zrozumiał, dlaczego koń nie drgnął ani nie okazał śladu strachu, kiedy jechał ku nim Dan Bennett ze swymi Apaczami. Bułanek pozostał spokojny, ponieważ człowiek się nie bał. Dla tego zwierzęcia człowiek był wszechmocny i wszystko, co akceptował człowiek, akceptował również i koń.

Laniard postąpił krok naprzód, przemówił ostro:

— Reks! — Uszy przylgnęły płasko do czaszki, nozdrza zapłonęły czerwienią, gdy koń parsknął na to coś, co zaciążyło nad człowiekiem. Przysiadł na zadzie, okręcił się, a Laniard chwycił fruwające wodze. — Reks! Uspokój się! — Strach odmienił nawet głos jeźdźca, który stał się ostry, histeryczny, zaś pory skóry wydzielały obfitą wilgoć, przesyłając koniowi wzmożony zapach strachu.

Reks bił kopytami, chciał uderzyć nie człowieka, ale to coś w człowieku, co ich obydwu poniżało. Laniard rozumiał. Rozumiał, że się boi i że koń o tym wie. W nieprzytomnym gniewie zaczął smagać zwierzę końcem wodzy, walić pięścią. Ponieważ nic podobnego nigdy się jeszcze nie zdarzyło, ponieważ ten szaleniec chciał zniszczyć własną godność i własne istnienie - a więc był istotą złą i obcą - bułanek usiłował go stratować. Cofnął się, przysiadł, szarpnął, a Laniard okręcił się, potknął o pnącza i runął jak długi na ziemię.

Dźwignął się mieląc w ustach plugawe, obmierzłe wyrazy, również zrodzone ze strachu, bowiem młody człowiek unikał na ogół przekleństw. Wyrwał swój sześciostrzałowiec, który szurnął metalicznie wystającym

zaczepem spustowym, i odciągnął palcem kurek. Potem zobaczył, w jakim stanie jest koń.

Derka i pochwa strzelby zaplątały się w gałęzie sporego krzaka, a mocne rzemienie nie puszczały. Reks stał, dysząc, napięty, z oszalałym wzrokiem, a pot własnego strachu ubarwił mu sierść na czarno. Strachu nie przed uderzeniami Laniarda, ale o wiele większego - że oto wszystko, co znał dotychczas jako dobre, przestało być dobre i już nigdy takie nie będzie.

Rozsądek wrócił Laniardowi. Mięśniami jego brzucha szarpnął suchy jęk; spuścił powoli kciukiem kurek rewolweru i wsunął broń z powrotem w olstro. Przemówił łagodnie, tak jak rozsądny mężczyzna przemawiałby do przerażonej kobiety czy dziecka. Powoli, powoli przesuwał się, aż wreszcie stanął przy koniu. Jedną ręką gładził mokrą, rozedrganą szyję, drugą ostrożnie rozsupływał plątaninę gałęzi i uprzęży. Napięte mięśnie konia rozluźniły się, oddech zelżał, ale przekrwione oczy wciąż wpatrywały się w Laniarda ze strachem; nie wszystko jeszcze wróciło do zwykłego porządku.

Laniard ściągnął siodło i derkę, położył w miejscu widocznym z rzeki i przywiązał linką Reksa tak, by mógł szczypać trawę i sięgnąć do wody. Potem zdjął ubranie i wszedł w głęboki basen utworzony przez zakole rzeki, by zmyć z siebie plugawą wilgoć, wciąż jeszcze oblepiającą mu ciało.

Woda była zimna, ledwie kilka godzin biegu dzieliło ją od wysokich źródeł w górach, ale John Laniard nie uświadamiał sobie nawet, że jest mokra. Dno opadało gwałtownie, musiał płynąć, a ten wysiłek pozwolił mu stwierdzić, że jest śmiertelnie zmęczony - ze szczętem wyczerpany strachem, który go wziął w swoje władanie.

Przepłynął zakole otaczające przesiąkniętą słońcem łachę piaszczystego brzegu, a bystra woda zmywała z niego napięcie. Pieszczotliwy nurt wniósł spokój i ład w jego myśli, które wróciły do punktu, kiedy zetknął się z ojcem, bo przecież przez niego tu się teraz znalazł.

Młody John Laniard miał piętnaście lat, kiedy zaprowadzono go do pokoju, gdzie leżała jego matka.

— Zostaniesz odesłany do ojca — oznajmiła i nawet wówczas dziwił się, że może być tak chłodna, tak zrównoważona, tak spokojnie akuratna. Wszystkie kobiety, sądził, powinny być miękkie, ciepłe i pełne wdzięku - zwłaszcza piękne kobiety, takie jak jego matka. Ale ona uważała to za słabość. Należy postępować właściwie. To była jej dewiza życiowa.

Umarła tej samej nocy, a w miesiąc później młody John Laniard zobaczył po raz pierwszy swego ojca, w Denver. W apartamentach ojca na górze nad największym domem gry w całych Górach Skalistych zasiedli do wystawnego posiłku, którego większa część pozostała nietknięta. Obydwaj byli ostrożni, niepewni, nawet może odrobinę wobec siebie podejrzliwi.

— Przypuszczam, że matka nigdy ci o mnie nie mówiła — zaczął starszy Laniard.

— Nie, ojcze — odpowiedział John, był bowiem dobrze ułożony i wychowany. — Powiedziała mi, że ojciec jest dżentelmenem, który zdradził swoją klasę, i że najlepiej będzie jak najmniej o tym mówić.

Zobaczył, jak uraza falą krwi uderza ojcu do twarzy, potem rumieniec ustąpił, gdy ojciec się uśmiechnął. Uśmiech rozbłysnął mu w oczach, rozcieplił je.

— Mam nadzieję, że wyrobisz sobie własne zdanie — powiedział. Chiński służący sprzątnął po kolacji i przyniósł koniak panu Laniardowi, po czym do pokoju weszła Belle Tremaine. Wraz z nią weszło nowe życie młodego Johna Laniarda. Belle była piękna. Nie tak wyniośle, zimno piękna jak jego matka, ale piękna ciepło, miękko, pięknością, która tętni, pięknością pełnych warg, roztańczonych, wyzywających oczu, dojrzałego śmiechu.

— To jest Belle Tremaine, synu — powiedział ojciec pilnie na niego patrząc. — Pobraliśmy się trzy tygodnie temu.

Było to jedyne wyjaśnienie, jakie kiedykolwiek otrzymał czy o jakie pytał młody John Laniard — tego, co się wydarzyło przedtem. Poważnie uścisnął jej rękę i szurnął nogą. Ona przywitała go równie poważnie. Potem oczy jej rozbłysły i rozległ się słodki śmiech.

— Johnie Laniard — zwróciła się do ojca. — Nigdy ci nie przebaczę, żeś go do mnie nie przyprowadził natychmiast gdy zobaczyłeś go dziś rano. — Delikatnie odchyliła mu głowę, pocałowała go, objęła ramieniem, by przyciągnąć bliżej do siebie. A cała jego dusza wyszła ku niej, bowiem czuł brak kobiety pięknej, która byłaby miękka, ciepła i kochana, a to była kobieta jego ojca i tak właśnie być powinno.

W rok później stała obok niego zarzuciwszy mu rękę na ramiona tak jak wówczas pierwszego wieczoru. Przyglądali się, jak ojciec gra z Jimem Tennantem w pokera. Ojciec wyciągnął damę na dziewiątkę Tennanta, a ten podniósł rękę.

— Dosyć, John — powiedział spokojnie. Wyjął i przeliczył pieniądze, wypisał czek. — Dwadzieścia tysięcy dolarów?

— Zgadza się — odparł ojciec składając i chowając do kieszeni przegraną Tennanta. — Nie miałem prawa do tak szczęśliwej passy. Chodźmy na górę i napijmy się.

Kiedy Belle podawała whisky, ojciec rzucił pieniądze Tennanta na stół.

— Jestem nieźle poinformowany o tym, co się dzieje w okolicach Denver — powiedział. — Nie stać cię teraz na taką przegraną, Jim.

Tennant żałośnie spojrzał na pieniądze, wychylił whisky i uśmiechnął się krzywo:

— Jestem zrujnowany — powiedział.

Laniard wskazał banknoty i czek.

— Proszę. Zabieraj to.

Tennant powoli wziął pieniądze, oglądając je ze wszystkich stron.

— Bez nich jestem skończony. Z nimi przeprowadzę jutro interes, dzięki któremu za dwa lata stanę się największym hodowcą bydła w Kolorado. Połowa mojego majątku będzie twoja.

— To za dużo — zaprotestował Laniard.

— Według moich obliczeń to akurat tyle, ile trzeba — odparł Tennant. — Gdybym wygrał, wziąłbym twoje pieniądze. Rzetelna połowa, to na mój rozum uczciwie. Jutro każę przygotować odpowiednie dokumenty. Dobranoc i do widzenia.

Następnego dnia po południu Belle przybiegła po niego roześmiana, zdyszana, nie mogąc powstrzymać potoku słów.

— John, to prawdziwe cudo! Chodź szybko! — Pobiegli do Wynajmu Powozów Cliffa Ketchuma, gdzie był ojciec i Jim Tennant otoczeni gromadą ciekawskich i gapiów, a w środku stał pod pięknym siodłem wspaniały bułany wałach.

— Jest twój, synu! — powiedział John Laniard.

— Gratuluję — dodał z uśmiechem Tennant.

Młody John stał jak skamieniały wpatrując się w trzylatka. Miedź, brąz i złoto stopione i lśniące jak stary pierścień z najszlachetniejszego kruszcu. A czarne włosy lśniły jak włosy Indianki natłuszczone przed obrzędowym tańcem.

— Och — było to długie, ciche, ekstatyczne westchnienie. Ojciec i Tennant śmieli się, ubawieni jego niebotycznym zachwytem, a w oczach Belle zabłysły łzy i przycisnęła go do siebie na jedną ulotną chwilę. Kiedy młody John wsiadł na konia, jakiś pijany spośród gapiów krzyknął coś i machnął kapeluszem. Bułanek przysiadł na zadzie, lecz jeździec opanował go zręcznie. Nawet z grzbietu wierzchowca widział, jak ojciec jest dumny.

Kiedy niechętnie oddawał konia chłopcu stajennemu, zdawał już sobie mgliście sprawę z tego, że z upływem lat wiele przejdzie przez jego ręce innych koni, tak jak to już było dawniej, ale nigdy taki jak ten. Odrętwiały stał między ojcem i Jimem Tennantem mrucząc nieudolne słowa podziękowania i wpatrują się w konia.

— U koni — mówił ojciec — bułana maść to znamię buntownika. Zapamiętaj to sobie, mój chłopcze.

— Ojciec prawdę mówi — przytaknął Tennant. — Bułanki są trudne i potrafią być fałszywe.

— Nie podoba mi się słowo „fałszywe” — powiedział John Laniard. — Pachnie taniochą, a w tym koniu nie ma nic z taniości. Powiedzmy - harde. Lubię trochę harde konie i… ludzi.

— Trochę — uśmiechnął się Tennant. — Jak będziesz wołał na konia?

— Król — odparł szybko.

Ojciec roześmiał się.

— Co powiesz na Reks? To brzmi jeszcze bardziej po królewsku. A jeśli pamiętasz coś z łaciny, zobaczysz, że to jedno i to samo.

Minął jeszcze jeden rok i młody John stał znowu przed ojcem, a Belle obejmowała go w pasie. Nie mogła już objąć jego rozrośniętych ramion.

— Jim Tennant przyjeżdża jutro z rancho — powiedział ojciec. — Chciałbym, żebyś tam z nim pojechał. Poznaj trochę hodowlę bydła. Nie znajdziesz lepszego nauczyciela niż Tennant. Wiesz przecież, że zostaniesz kiedyś właścicielem połowy tego rancho.

W ciągu następnych dwóch lat młody John nauczył się czegoś więcej niż tylko hodowli bydła, zaś najcenniejszą jego zdobyczą była świadomość, że ojciec, którego kazano mu uważać za zdrajcę swojej klasy i wyrzutka

społecznego, zażywał tu, w nowym stanie, szacunku jako jeden z czołowych obywateli, który jak powiadano - zasiądzie może w krześle gubernatorskim. Nauczył się też kochać go i szanować, bo John Laniard był uczciwy, odważny i dobry dla innych. A czegóż innego oczekuje się od dżentelmena?

A potem z hukiem rozwaliło się wszystko.

Trzypalcy Dave Howell, wrzaskliwy awanturnik z kansaskich kowbojskich miast, chełpliwy rewolwerowiec do wynajęcia, zrobił pijacką burdę w barze. Ojciec wyrzucił Howella za drzwi.

W dwie godziny później, kiedy John Laniard przechadzał się bez broni boczną uliczką - jak to zawsze robił wieczorami - Howell zabił go strzałem w plecy.

Uzbrojone grupy mężczyzn przeszukały okoliczne wzgórza i każdy podejrzany dom w Denver, ale Howellowi udało się zbiec. W pół roku później jakiś wędrowny poganiacz krów powiedział młodemu Johnowi, że Howell uprawia hazard w Tres Cruces.

Poszedł do Belle. Próbowała mu to wyperswadować, bo kochała ich obydwu - nieżyjącego ojca i żyjącego syna.

— Nie zdążysz nawet wyciągnąć broni — tłumaczyła.

— Wiele się nauczyłem od Jima Tennanta — odpowiadał z uporem.

— Zabijanie ludzi to nie dla ciebie zajęcie — nalegała. — Ojciec by nie chciał, żebyś zabijał. Słyszałam, jak ci mówił, żebyś nosił broń tylko w razie konieczności.

— Ojciec chciał, żebym był mężczyzną — odparł. — A taki mężczyzna, jakim chciałby mnie widzieć, pojechałby do Tres Cruces i zastrzelił Dave'a Howella.

— Powiedz Jimowi Tennantowi — nalegała. — On pojedzie. Jim stawiał już czoła mordercom. Jim pojedzie.

— To nie jest sprawa Jima — odpowiedział młody John. — To jest moja sprawa.

— Więc podjąłeś ostateczną decyzję, żeby jechać?

— Tak. Dziś! Zaraz!

— No więc dobrze. Lepiej wobec tego, żebyś wiedział, co ja myślę naprawdę — oczy miała twarde, nieustępliwe, a gardłowy głos, który tak łatwo przechodził w miękki śmiech, był ostry i nieprzyjemny. — Chcę, żebyś zabił Dave'a Howella.

No więc jest tu, a Dave Howell znajduje się w odległości niecałej mili. Jeśli przekroczy Rio Blanco, nie będzie już miał powrotu. Tyle wiedział. Ta rzeka stała się jego Rubikonem. Jeśli jego koń postawi nogę na tamtym brzegu, sprawa zostanie przesądzona. Jeden człowiek musi umrzeć, a człowiekiem tym może być równie dobrze John Laniard. Ale przecież nie musi przekraczać Rio Blanco. Może w tej chwili odwrócić się plecami do Tres Cruces i odjechać, ratując swą męską godność jakimś tłumaczeniem. Rozważał niektóre ewentualności.

Nie mógł znaleźć Dave'a Howella. Nie mógłby go znaleźć, gdyby go nie szukał w Tres Cruces. Geronimo przebywał na wolności, a Dan Bennett - wielki Dan Bennett - nalegał, by John wracał do Denver.

Odrzucił tę myśl, zaczął rozważać inną.

Mógłby objechać Tres Cruces, skierować się na północ i zwrócić się do szeryfa w Mission Wells, stolicy hrabstwa. Ale uśmiechnął się jeszcze kiedy ta myśl kształtowała mu się w głowie. Niemal słyszał, jak szeryf mówi:

— Jedź po nakaz aresztowania, chłopcze. Wtedy pogadamy o złapaniu Dave'a Howella.

Mógłby … mógłby wyznać prawdę. Gdyby odjechał znad Rio Blanco, zrobiłby to po prostu ze strachu.

Drgnął; tak bardzo pogrążył się w rozmyślaniach, iż nie zdawał sobie nawet sprawy z wartkiego prądu rzeki ani z warstwy piasku, jaką woda pokryła jego ciało. Otrząsnął się i podniósł sprężystym, pewnym ruchem. Podjął ostateczną decyzję.

Belle pochwaliła jego postanowienie. Jim Tennant udzieliłby mu całkowitej aprobaty. Ojciec uczyniłby to samo, co on zamierzał uczynić.

Pewny był, że matka bez swojej zwykłej surowości zaleciłaby mu wybór tej drogi, ponieważ wedle kodeksu moralnego jej czasów ta właśnie droga była właściwa. Po prostu. Zastrzelić Dave'a Howella znaczyło postąpić właściwie. Strach? A gdzież miejsce na strach, jeśli człowiek postępuje właściwie? Uczono go, że dżentelmen nie cofa się przed właściwym postępkiem. To co słuszne, jest źródłem siły i odwagi.

Podbiegi ku głębokiej wodzie, dat nurka i przepłynął zakole rzeki kilkoma mocnymi, szybkimi uderzeniami. Wyjął czystą odzież z juków i ubrał się prędko i sprawnie. Osiodłał i okiełznał konia, założył juki i karabin, uważnie sprawdzając każdą sprzączkę, każdą ewentualną przyczynę jakiegoś wypadku. Zwinął lasso, przytroczył do siodła i dosiadł konia.

Reks stał spokojnie, pogodny, jakby był jasnowidzem i już teraz wiedział, że w zmierzchającym świetle tego dnia na pokrytej kurzem ulicy Tres Cruces będzie leżał mężczyzna groteskowo rozkrzyżowany, wpatrując się w blade gwiazdy niewidzącymi oczyma. I nie będzie to ten mężczyzna, który w tej chwili zdecydowanym ruchem wsiada na siodło i pewną ręką prowadzi go ku brodowi na rzece i ku miastu.

Rubikon Johna Laniarda zwał się Rio Blanco i - został właśnie przekroczony.

Tłumaczenie Anna Przedpełska-Trzeciakowska

**Bret Harte**

## Wdowa z Doliny Santa Ana
(A Widow of the Santa Ana Valley)

Młoda wdowa, pani Wade, stała przy oknie swojej sypialni, bez celu wodząc wzrokiem, jak to zwykli czynić ludzie, którzy w chwilach zwątpienia i rozterki wewnętrznej szukają natchnienia w zmianie widoków. Nie żeby przygnębienie pani Wade miało poważne podłoże. Okres ciężkiej żałoby po mężu minął już co najmniej przed dwoma laty, a lekko zaczerwienione powieki i wygięte w żałosną podkówkę ładne usta odzwierciedlały ponure nastroje, jakie panowały wśród wiernych, wśród których upływało jej życie. Nosiła jeszcze żałobę, lecz to raczej harmonizowało ze smutnym kolorytem odzieży jej sąsiadów i szarą deszczową pogodą. Na warunki materialne wdowa nie mogła się uskarżać. Była właścicielką dużego rancha w dolinie, którego wartość ostatnio, po przeprowadzeniu przez sam jego środek gościńca, pokaźnie wzrosła. W tej chwili dręczyła ją rozterka, czy ma wziąć udział w „zebraniu towarzyskim" w nowym hotelu, zebraniu zakończonym „potańcówką" - zuchwała inicjatywa kilku przybyszów - czy też nadal rezygnować z szaleństw, jakie, zgodnie z miejscowym przekonaniem, były niestosowne dla „tego padołu płaczu".

Co prawda, roztaczający się przed nią widok raczej usprawiedliwiał żałobne myśli. Monotonna, rozległa płaszczyzna Doliny Santa Ana ledwie przeświecała spoza ruchomej zasłony deszczu i welonów mgieł, zwisających aż po czarny kraniec horyzontu; tak to wyglądało już od miesięcy. Niegdyś, w jakiejś odległej epoce, dolina stanowiła odnogę zatoki San Francisco i w porze deszczowej jakby pragnęła powrócić do swego pierwotnego stanu. Kiedy wczesna wiosna hojną ręką zaczynała malować pasma, wstęgi i plamy błękitnych i żółtych barw, kwiaty gorczycy i łubinu wciąż jeszcze błyszczały jak gdyby pokryte nie wyschniętą farbą. Ale łzy Matki Natury użyźniały bogatą aluwialną glebę wdowy i zwiększały jej plony. Sąsiedzi jej byli równie zamożni, co nie przeszkadzało, że w ciągu sześciu miesięcy w roku Santa Ana przybierała wyraz smutku, a przez następne sześć miesięcy rezygnacji. Słaby i łagodny charakter pani Wade nie umiał się oprzeć takim nastrojom, ulegała im tak samo, jak ulegała innym wpływom, a teraz nastrój jej częściowo usprawiedliwiała osobista tragedia, która uczyniła ją wdową.

Świętej pamięci pana Wade'a znaleziono bowiem z kulą w głowie na odludnym odcinku drogi prowadzącej przez Heavy Tree Hill w hrabstwie Sonora. Obok niego leżały dwa inne ciała. Rozpoznano w nich później Johna Stubbsa, mieszkańca wzgórz, który prawdopodobnie towarzyszył Wade'owi w podróży, oraz znanego desperado i bandytę, zamaskowanego jak w chwili napaści. Wade i jego towarzysze musieli drogo sprzedać życie

w walce z przeważającym napastnikiem, gdyż na ziemi znaleziono jeszcze jedną maskę, co by wskazywało, że napaści dokonało kilku ludzi. Ciało Wade'a nie było jeszcze obrabowane, drugi bandyta musiał więc uciec w pośpiechu. Alarm podniósł jedyny z podróżnych, który uszedł z życiem, ponieważ jednak pilno mu było złapać dyliżans jadący w tym czasie na wschód, nie mógł złożyć zeznań przed koronerem. Fakty były jednakowoż dostatecznie jasne, by wydać na bandytów wyrok za rozmyślne morderstwo. Podejrzewano, co prawda, że nieobecny świadek po prostu opuścił swego towarzysza, pozostawiając go na pastwę losu i, kto wie, może był wspólnikiem bandytów, jak to sugerowali niektórzy.

Tej to okoliczności należy przypisać, iż boleść wdowy jeszcze dotychczas nie zaznała ukojenia i że wydarzenie komentowano o wiele dłużej, niż to zazwyczaj bywało w owych burzliwych czasach wczesnego rozwoju, kiedy tego rodzaju wypadki szybko szły w zapomnienie. To było również powodem, że pani Wade przeniosła się do Santa Ana, gdzie jej stary ojciec posiadał mizernie zagospodarowaną małą działkę. Kilka miesięcy później i on zmarł, pozostawiając jej swoją majętność i nową żałobę. Być może to nieprzerwane pasmo nieszczęść sprawiło, że pani Wade zdobyła sobie wszystkie serca, tym bardziej tutaj, gdzie potworne spustoszenia, jakie siała epidemia dyfterytu i szkarlatyny, w pewnym sensie zbliżyły ludzi do siebie. Toteż sąsiedzi pomagali jej z tak wielką życzliwością w prowadzeniu rancha że wkrótce przekształciło się ono z zaniedbanego i dzikiego pustkowia w dobrze prosperującą i opłacalną majętność. W kościele i na zebraniach modlitewnych szczupła, gibka postać „siostry Wade", o łagodnych oczach z zaczerwienionymi powiekami, spowita w ciężką żałobę, wzbudzała w sercach wiernych przyjaźń i życzliwość. A i ona uznała z czasem, że silne ramię tych zgorzkniałych, jest w stanie ją wesprzeć. Nic więc dziwnego, że wahała się dzisiaj, czy dać się porwać niegodnemu, choć jakże błahemu, szaleństwu.

Niezależnie jednak od tych powierzchownych skrupułów, płochliwe serce pani Wade ukrywało w swych najgłębszych tajnikach jeszcze inną przyczynę wahań, którą trzymała w takiej tajemnicy, że gdyby wykrył ją ktoś inny, odrzuciłaby ją ze łzami oburzenia.

Prawdę mówiąc, pan Wade był niepowtarzalnym przykładem nieroba, prowadzącego życie hulaszcze, przekraczające dozwoloną normę „męskiej swawoli". Nie tylko patronował wszelkim zabawom, lecz ponadto uprawiał hazard, brał udział w wyścigach i pił. Do domu wracał późno, a często gęsto wcale się nie pokazywał. Nie żeby takie prowadzenie się było w owych „dniach świetności" czymś wyjątkowym w Heavy Tree Hill, niemniej jednak napełniało serce pani Wade, tęsknotą, może przesadną, za mniej niepewnym; trybem życia, nawet gdyby miało być ono pozbawione rozrywek. Tragiczną śmierć swego męża przyjęła wprawdzie jak coś w rodzaju męczeństwa, które podniosło pamięć o nim do rangi świętości, ale trzeba przyznać, że pani Wade odczuła równocześnie pewną ulgę. Wyraziła to, trochę niedelikatnie, wdowa po Abnerze Drake'u podczas wizyty kondolencyjnej u tonącej we łzach pani Wade, w parę dni po śmierci jej męża.

— Co za nieszczęście, droga pani — powiedziała ze współczuciem. — Ale to ma swoje dobre i złe strony, i myślę, że niedługo poczuje się pani o wiele lepiej. Ze mną też tak było po śmierci Abnera. Co za ulga i jaka pociecha zawsze już wiedzieć, gdzie Abner spędza noce.

Biedna mała pani Wade nie miała za grosz poczucia humoru, nic więc nie umiała odpowiedzieć na tę najprawdziwszą prawdą, toteż przyjęła ją wybuchem niepohamowanego płaczu.

Przelotna ulewa strugami zalała równinę, a zaraz potem z ciepłej, przesyconej wilgocią ziemi podniosła się falami mgła. Błysnął słabiutki promyk słońca, po czym gwałtowna nawałnica znów przesłoniła wszystko ciemnością i tak na zmianę, podobnie jak zmagające się ze sobą wątpliwości i postanowienia pani Wade. Pogrążona w myślach, ledwie zwróciła uwagę na wtopionego w krajobraz człowieka z tobołkiem na plecach; przypominał jej wędrujących poszukiwaczy złota, których często widywała w Heavy Tree Hill. To wspomnienie umocniło ją w chwiejnym postanowieniu: nie pójdzie na zabawę. Lecz gdy odchodziła od okna, z drugiej strony pojawiła się postać jeźdźca, zbliżającego się drogą wiodącą przez jej posiadłość. Od razu go poznała. To on właśnie organizował zabawę. Widziała go poprzedniej niedzieli w kościele. Przejeżdżając koło domu tak uważnie mu się przyglądał, że szybko odsunęła się od okna, nie chcąc, by ją zauważył. I nagle, zupełnie bez powodu, znów zmieniła zdanie: pójdzie na tańce. Z całą powagą zaanonsowała tę decyzję żonie swego zarządcy, która prowadziła jej samotne gospodarstwo, i przestała o tym myśleć. Pójdzie w czarnej sukience, może doda tylko biały kołnierzyk i żabocik.

Inaczej jednak odnieśli się do pomysłu urządzenia potańcówki - czegoś zupełnie dla nich nowego, czemu początek najpewniej dała budowa hotelu - inni mieszkańcy Santa Ana. Nie ulegało wątpliwości, że głowili się nad tym problemem bardziej niż pani Wade.

Niektórzy utrzymywali, że jeśli otwarcie nowego kościoła i nowej szkoły poprzedziły modły, to chyba jest rzeczą najzupełniej naturalną, iż nowy hotel winien być zainaugurowany mniej uduchowioną uroczystością.

Zagadnienie skomentował na werandzie gospody Valley Emporium pewien obywatel o kwaśnej minie, lecz bynajmniej nie pozbawiony praktycznego zmysłu.

— Bo tak po prawdzie to wam powiem, że nie ma to jak tańce, no i podróżowanie, żeby człowiek nabrał apetytu. Ten hotelarz tak właśnie i kombinuje, że będą jedli a jedli.

— A pewnie — poparł go drugi. — Widziałem na pudełku od pigułek, co je dostałem na zaziębienie, że pigułki lepiej działają, jak się trochę pogimnastykować, ale nie za gwałtownie.

— To chyba pan Brooks urządza tańce, ten co chce kupić młyn. Obleciał całe miasto i werbował cały babski naród, a dziewuchy jak namawiał… Powiadają, że posłał zaproszenie do wdowy — dorzucił trzeci szlifibruk. — Do diabła, ale ma śmiałość...

— Słuchajcie, panowie — odezwał się właściciel gospody, oględnie. — Co tu dużo gadać, jak nie będzie żadnego fandango, co je tańczą górnicy, albo jakichś dzikich wygibasów z Frisco (Santa Ana była dumna ze swych prostodusznych wiejskich cnót), to ja nie jestem taki zatwardziały, żeby nie dać wypróbować nowych rzeczy. A w końcu baby mają tu coś do gadania. Panna Ford, stara bo stara, ale powiada, że od czasu, jak wyjechała z Missouri, to jeszcze sobie nie poskakała, i że ma ochotę znów tego pokosztować. A że Brooks zawraca sobie tym głowę, to dlatego, że jest zdrów — głęboko wciągnął powietrze, jakby męczony niestrawnością. — Popatrzcie tylko na niego, jedzie tam na swojej czarnej szkapie, od samego świtu w siodle w taką pogodę. Nic sobie nie robi z zaziębienia czy reumatyzmu.

Patrzył na jeźdźca w opończy, tego samego, który poprzedniego dnia przejeżdżał koło domu wdowy. Ten, widząc ludzi na werandzie, podjechał bliżej, lekko zeskoczył z konia i przyłączył się do nich. Był to młody, trzydziestopięcioletni mężczyzna, przystojny i pełen życia. Jego uśmiechnięta, gładko wygolona twarz, na której malowała się stanowczość, nie bardzo pasowała do Santa Ana, niemniej jednak oczy jego patrzyły na ludzi życzliwie. Spojrzał na zatroskaną grupę i nagle twarz jego zrobiła się złowieszczo poważna.

— Kiedy to się stało? — zapytał groźnie.

— Co się stało? — odpowiedział pytaniem jeden z obecnych.

— Potop, Pożar, Pogrzeb, Pożoga wojenna. Które z tych czterech „P" was dotknęło?

— O czym pan mówi? — sztywno zapytał gospodarz, wietrząc jakiś niewczesny żart.

— O was — żywo odparł Brooks. — Stoicie tu i kraczecie jak wrony w ten ładny poranek. Zaledwie godzinę temu przejeżdżałem koło twojej fermy, Johnson, pszenica dopiero kiełkuje, a już ma pędy grube jak postronki; co ty masz do sarkania? Widziałem twoje bydło, Briggs, jak się wlokło przy Two Miles Bottom, tłuste jak błocko, w którym się nurzało, boki im lśniły jak świeżo pomalowane, o co tobie chodzi? A twoje stodoły — zwrócił się do gospodarza — tam, koło przełęczy? Aż ściany pękają od zeszłorocznego ziarna. Na pewno wiesz, że cena wzrosła o dwieście procent od czasu, jak je kupiłeś za bezcen, co tobie się nie podoba? Strzeżcie się, żeby wasze narzekania nie sprowokowały kiedyś Pożaru albo Posuchy, dopiero będziecie mieli nauczkę.

Słowa te aż zatkały zasobnych właścicieli, tyle w nich było prawdy. A że przez chwilę nikt nie znalazł odpowiedzi, Briggs zastosował chwyt odwetowy.

— Słyszałem, że zaprosił pan na tańce panią Wade. Oczywiście zgodziła się — porozumiewawczo mrugnął do swych towarzyszy.

— Oczywiście — chłodno odparł Brooks. — Właśnie dostałem od niej bilecik.

— Co! — wrzasnęli unisono wszyscy trzej panowie. — Pani Wade przyjdzie!?

— Oczywiście — powtórzył Brooks, spokojnie dosiadając konia. — Dlaczego miałaby nie przyjść? Wam by też dobrze zrobiło, żebyście się trochę rozruszali, a nie siedzieli jak mruki.

Wolno ruszył w dalszą drogę.

— Niech mnie diabli wezmą, jak temu wdówka nie wpadła w oko — mruknął Johnson.

— Albo jej działka — posępnie dodał Briggs.

I tak pamiętny wieczór nadszedł w powodzi świateł bijących z hotelowych okien, na których nie było jeszcze zasłon, wśród jaskrawych flag na jeszcze wilgotnych ścianach długiej sali jadalnej i w strugach deszczu łagodnie spływających z zasnutego chmurami nieba. Po panią Wade i jej gospodynię posłano specjalnie wybraną zamkniętą kariolkę. W czarnej, zapiętej pod szyję sukni, ozdobionej białym kołnierzykiem i mankiecikami, wdowa wyglądała jeszcze bardziej krucho niż zazwyczaj. Błyszczące oczy, czarne lśniące loki, ułożone być może z większym wyszukaniem, niż to było w jej zwyczajach, rumieńce, to wypływające na policzki, to znikające, wskazywały na podniecenie wywołane tą próbą ponownego wejścia w świat doczesnych przyjemności, w istocie rzeczy bardzo niewinnych.

Początkowo panował nastrój z lekka uroczysty, a „towarzyska" część programu wypadła dość sztywno. Ludzie rozmawiali szeptem, poważnie cedząc słowa, co znamionuje na wsi dobre maniery. Woleli raczej prowadzić wymuszoną konwersację z tymi, z którymi nie mieli ochoty rozmawiać, niż robić wrażenie osamotnionych. Albo zbiegali się bez ładu i składu, niby pojedyncze krople, by potem w zwartej masie popłynąć przez salę.

Wdowa beznadziejnie wsiąkła w sam środek pobożnych diakonów i nauczycieli szkoły niedzielnej, a Brooks, niezmordowany w swych raczej bezowocnych usiłowaniach rozweselenia towarzystwa, na próżno starał się grupę tę rozbić. Co gorsza, w bezmiarze ogromnej sali widok orkiestry, złożonej z samotnego pianina i dwojga skrzypiec, przejmował gości nerwowym dreszczykiem na myśl o „zagrażających" nie znanym niebezpieczeństwem tańcach.

Gdy wreszcie zabrzmiały pierwsze akordy - cokolwiek niepewnie i nieudolnie, jako że do pianina zasiadł organista i odruchowo szukał rejestrów organowych - na pełnego heroizmu Brooksa spadło zadanie poprowadzenia kadryla. I… omal nie doprowadził do katastrofy. Ustawiając pary niebacznie poprosił, by przecież nie przybierali miny żałobników, czekających na wniesienie trumny. Odpowiedział mu wybuch płaczu pani Johnson, która przed dwoma laty straciła dziecko. Trzeba ją było wyprowadzić i na jej miejsce znaleźć kogoś innego.

Na szczęście kadryl dobiegł końca. Orkiestra zagrała taniec hiszpański o upajających tonach i atmosfera zatętniła życiem. Krzepcy młodzieńcy dopadli piegowatych, lecz hożych dziewoj, rozpoczęły się swawolne podskoki, z oddalonej części sali dobiegały śmiechy i żarty.

Jednakże pośród starszych wiekiem tancerzy, aura nadal była sztywna. Figury tańca zapowiadano z taką drętwotą, jakby to były hymny kościelne. Przynajmniej takie wrażenie odnosił Brooks. Wreszcie, pod koniec, w na wpół prawdziwej, na wpół żartobliwej rozpaczy, desperacko zwrócił się do swej partnerki, pani Wade:

— Tańczy pani walca?

Przez chwilę się zawahała. Przed ślubem tańczyła, i to dobrze.

— Tak — odpowiedziała nieśmiało — ale nie sądzi pan, że oni…

Zanim jednak nieszczęsna wdowa zdołała wypowiedzieć swoje obawy, jak taki „wirujący" taniec zostanie przyjęty, Brooks rzucił sią do pianina i w tej samej chwili usłyszała z „płochliwą radością" pierwsze akordy walca. Był to stary walc wiedeński, lecz w latach pięćdziesiątych jeszcze pełen świeżości, śmiały, porywający do tańca, pochłaniający umysł, walc, któremu nie można się było oprzeć, wspaniały. Pani Wade nie zdążyła wymówić słowa protestu, a już ramię Brooksa objęło jej szczupłą kibić i po pierwszym szybkim obrocie popłynęli przez salę.

Wszystko zamarło nagle w trwożnym oszołomieniu, w oczach malowała się paląca ciekawość. Tańcząca para pozostała na parkiecie sama. Wdowa szybko drobiła nóżkami, jej długa czarna spódnica powiewała, a w pewnym momencie, gdy zawirowali zataczając koło, objawiły się jej zgrabne kostki, ba… błysnął rąbek halki przyozdobionej falbankami i koronkami, co było jeszcze bardziej rewelacyjne. Żadna z obecnych na sali kobiet nie miała teraz najmniejszej wątpliwości, że było to od dawna ukartowane. Wkrótce jednak złośliwostki utonęły w odurzających dźwiękach muzyki, w upajającym rytmie tańca. Młodzi ludzie włączyli się w szaleńczy wir, obejmowali się w tańcu, klaskali. A co jeszcze bardziej zdumiewające, szał ten ogarnął również ich rodziców, co bardziej ognistych, i ci kapłani i kapłanki bogini Kybele, znani ze swego fanatyzmu i namiętności na zebraniach religijnych, rozpętali te same uczucia nocy tej w walcu.

I gdy pani Wade i jej partner - ona zarumieniona i zdyszana, oparta na jego ramieniu - zatrzymali się wreszcie, pan Johnson wirujący z panią Stubbs w melancholijnym rozmarzeniu, wpadli na nich, omal ich nie przewracając. Sala drżała, nawet flagi na ścianach łopotały od tego obłędnego tańca. Nikt nie wiedział, nikogo nie obchodziło, jak długo trwało to szaleństwo, skończyło się dopiero, gdy załamali się grajkowie.

Teraz wszyscy, wciąż z lekka nieprzytomni, jeszcze odczuwając wewnętrzne drżenie, trochę wstydliwie żegnali się ze swymi partnerami i w zamroczeniu szli do domu. Nie było już więcej tańców - walc stał się kulminacyjnym punktem uroczystości i wydarzeniem w dziejach Santa Ana.

A tejże nocy, gdy nieśmiała pani Wade rozebrała się w zaciszu swojej sypialni i spojrzała na leżącą na krześle nieskazitelnie czystą halkę z falbankami i koronkami, na jej ładnych ustach pojawił się cień uśmiechu, pierwszego od czasu gdy owdowiała.

Cały tydzień w Santa Ana panowało złowieszcze milczenie na temat balu. Miejscowa gazeta zamieściła wprawdzie najdrobniejsze szczegóły z otwarcia hotelu, lecz tylko krótko wspomniała, że „uroczystość zakończyła

się tańcami”. Pan Brooks, który poczuwał się do obowiązku dwukrotnego odwiedzenia w tym czasie swej uroczej partnerki, ukoił jej obawy co do następstw.

— Rzecz ma się w tym, że w gruncie rzeczy nikogo nie mogą specjalnie potępić, i to ich gnębi. Wszyscy brali w tym udział. A kiedy stary Johnson wyraził złośliwą nadzieję, że nie czuje się pani chyba zmęczona po tak wyczerpującym wysiłku owej nocy, odpowiedziałem, że nie może pani jeszcze przyjść do siebie po zderzeniu z nim i z panią Stubbs, ale jak na prawdziwą damę przystało, nie wyraziła pani swego zdania na temat widowiska, jakie oni z siebie zrobili. To mu zamknęło usta.

— Nie powinien pan był tego mówić — uśmiechnęła się lękliwie pani Wade.

— Nie szkodzi — wesoło odpowiedział Brooks. — Chętnie podzielę się winą z innymi. Widzi pani, chcieliby znaleźć kozła ofiarnego, na mnie mogą sobie użyć, bo przecież ja poprowadziłem tańce. A ponieważ wyjeżdżam, sądzę, że dam sobie radę z tym grzechem w odludziu.

— Pan wyjeżdża? — powtórzyła wdowa, wyraźnie zatroskana.

— Nie na długo — roześmiał się. — Przyjechałem tutaj, żeby znaleźć miejsce na młyn. I znalazłem. A przy okazji trochę im chyba otworzyłem oczy.

— Otworzył pan moje — powiedziała wdowa z nieśmiałą szczerością.

Były to łagodne, piękne oczy, gdy nie opuszczała na nie zaczerwienionych powiek, i pan Brooks pomyślał, że Santa Ana nic by na tym nie straciła, gdyby oczy te pozostawały otwarte. Myśl ta odbiła się widocznie na jego twarzy, bo pani Wade pospiesznie dodała:

— Mam na myśli… to znaczy… wydaje mi się, że życie nie musi być zawsze takie posępne, jakim je robimy. I nawet tutaj, wie pan, przez sześć miesięcy świeci słońce, chociaż o tym zapominamy w porze deszczowej.

— Słusznie — odpowiedział wesoło. — Straciłem kiedyś przez własną głupotę kupę forsy i udało mi się o tym zapomnieć. Co więcej, liczę, że odbiję ją sobie w Santa Ana, jak tylko moje plany z młynem się powiodą. A teraz, do widzenia, pani Wade, nie na długo.

Uścisnął jej rękę i odjechał pozostawiając wdowę jakoś bardziej podniesioną na duchu i jakby wdzięczną za… sama nie wiedziała za co.

Uczucie to utrzymywało się prawie przez całe popołudnie i rozweseliło ją do tego stopnia, że cichutko zaczęła nucić, a dziwnym trafem była to melodia starego wiedeńskiego walca. Kiedy więc pod wieczór, gdy znów zbierało się na deszcz, zawiadomiono ją, że jakiś obcy przybysz pragnie z nią rozmawiać w bawialni, wyzbyła się już swych ponurych myśli i przystąpiła do normalnej codziennej działalności. Wizyta taka bowiem nie była dla niej nowością. Pani Wade, jako właścicielka rancha, sama przyjmowała wędrownych komiwojażerów, kupców, robotników i służących. Jednakowoż, gdy weszła do pokoju, który służył jej częściowo za biuro, nie wiedziała, do jakiej kategorii zaliczyć obcego. Na pierwszy rzut oka przypominał przechodzącego owego wieczoru, gdy wyglądała oknem, górnika. Ubrany był bardzo niejednolicie, niektóre szczegóły jego garderoby wyróżniały się nawet pewną elegancją. W chustce, zawiązanej

na prostej koszuli, tkwiła diamentowa szpilka. Spodnie wsunięte były w grube, wysokie buciory, jakie noszono w kopalniach, wymięte ubranie świadczyło, że nie zdejmował go do snu. Na nie ogolonej twarzy mogła dostrzec w półmroku, pod pozorami swobody, coś w rodzaju zaciętego skupienia. Wstał, gdy weszła, i powiedziawszy „dzień dobry pani" zamknął za nią drzwi. Ukradkiem rozejrzał się po pokoju.

— To, co chcę powiedzieć, pani Wade, bo myślę, że to jest pani, mówię całkiem prywatnie i poufnie. Sama pani skapuje, zanim skończę. Ale zawsze lepiej uprzedzić, żeby nam nikt nie przeszkodził.

Pani Wade poczuła ogarniającą ją instynktowną odrazę.

— Może pan mówić, tutaj nikt panu nie przeszkodzi. O ile ja kogoś nie wezwę — dodała z iście kobiecą ostrożnością.

— Tak sobie kombinuję, że pani tego nie zrobi — uśmiechnął się krzywo. — Pani jest wdową po Pulaski Wade z Heavy Tree Hill?

— Tak.

— A mąż jest pochowany tam na cmentarzu i ma pomnik, co na nim wypisano jego cnoty, że był dobry chrześcijanin, facet uczciwy i taki szlachetny obywatel. I że został podle zamordowany przez bandytów.

— Tak, taki jest napis.

— Dobra jest, paniusiu, większych łgarstw nigdy nie wykuto w kamieniu.

Pani Wade zerwała się, na poły oburzona, na poły ogarnięta przerażeniem.

— Niech pani spokojnie siedzi — ostrzegawczo machnął ręką — i poczeka, jak skończę, to wtedy może pani zwołać cały stan Kalifornia… jak pani ochota nie przejdzie.

Mężczyzna mówił z taką pewnością siebie, że pani Wade drżąc opadła na krzesło. Pomięty kapelusz wsunął na kolano, okręcił nim raz czy dwa i potem rzekł cedząc słowa:

— Bandyta w tym całym interesie to właśnie pani mąż, Pulaski Wade, i jego banda. Kropnął go jeden z tych, co ich chciał obrabować. Widzi pani, ten pani mąż tak kantował w pokerze w szynku Jima Hiszpana… Ej, słyszała pani o tej knajpie? — wtrącił widząc, że pani Wade nagle się wzdrygnęła. — A jak nie mógł ich obskubać w ten deseń albo jak wyniuchał, że mają więcej forsy, to przycapił ich gdzie w jakim pustym miejscu i załatwiał jak zwykły zbój. Ano i wtedy tak było, ale go kropnęli.

— Skąd pan to wie? — głos pani Wade drżał.

— Bo ja byłem jednym z tych, co sobie na nich użył, zanim go zabili. I dostałbym swoje pieniądze z powrotem, żeby jego banda nie wlazła w paradę, a tak to tyle że uciekłem. Tylko życie uratowałem, nic więcej. Pamięta pani, że jeden uciekł i podniósł krzyk, ale tej nocy pojechał dyliżansem do Stanów, to nie mógł być świadkiem. To ja byłem. Zapłaciłem już za przejazd i nie mogłem na dodatek stracić jeszcze tych pieniędzy. To wyjechałem.

Pani Wade była jak ogłuszona. Pamiętała o tym nieobecnym świadku i jak bardzo pragnęła zobaczyć człowieka, który ostatni widział jej męża. Pamiętała szynk Jima Hiszpana, gdzie mąż jej stale przebywał. Przypomniała sobie jego częstą nieobecność, z której nie umiał się

wytłumaczyć, nagły napływ pieniędzy, które, jak twierdził, wygrywał w karty. Brylantowy pierścionek, rzekomo wygrany od kogoś, z kim się o coś założył. Przyszły jej znów na pamięć rozboje na drogach, dokonywane przez tajemną zamaskowaną bandę i setki innych rzeczy, o których już zapomniała, a które ją jakoś niewyraźnie niepokoiły. Zrozumiała teraz, dlaczego nie zaznała spokoju w Heavy Tree Hill, co ją stamtąd wygnało, te dziwne nieokreślone obawy, nawiedzające ją jeszcze tutaj. Z drugiej strony czuła jednak, że człowiek ten chce wykorzystać jej słabość, że ją zaskoczył, że powinna ostro zareagować, wszystkiemu zaprzeczyć, żądać dowodów i napiętnować go jako oszczercę.

— Skąd pan wiedział… że to… mój mąż? — wyjąkała.

— Spadła mu maska w czasie bijatyki. Słyszała pani, znaleziono drugą maskę, właśnie jego. Widziałem go tak wyraźnie jak tu — wskazał na dagerotyp stojący na biurku.

Pani Wade patrzyła nie niego nieprzytomnym wzrokiem, ogarnęło ją poczucie zupełnej beznadziejności. Zapadło milczenie. Po chwili mężczyzna znów zaczął mówić, już nie tak agresywnie i tonem bardziej poufałym, co ją napełniło jeszcze większym przerażeniem.

— Nie gadam przecież, że pani to wiedziała, a jak się ktoś dowie, to zawsze powiem, że pani nie wiedziała.

— To po co pan tu przyszedł? — zapytała wdowa w swej rozpaczy.

— Po co przyszedłem? — powtórzył złowieszczo, rozglądając się po pokoju. — Po co przyszedłem do pani fajnego domu, pani dużego rancho, do takiej bogatej kobiety? Ano, pani Wade, chcę dostać te sześćset dolarów, co mi je skradł pani mąż. Więcej nie chcę, to wszystko! Nie chcę procentów, nie chcę wynagrodzenia za to, że musiałem uciekać, i… — znów posępnie rozejrzał się dokoła — co pani da, to dobra, o więcej nie proszę.

— Ale ten dom nigdy do niego nie należał, to dom mojego ojca… — ciężko oddychając, jakby jej brakło powietrza, powiedziała pani Wade.

— Może tak, a może nie, pani Wade — przerwał jej wymachując kapeluszem. — A jak tam z tymi dwoma czekami na okaziciela, po dwieście dolarów każdy, co je znaleziono w jego rzeczach, a adwokat zabrał je dla pani… moje czeki, pani Wade!

Nagle opadło ją przerażające wspomnienie. Czeki znaleziono przy jej mężu… Wiedziała o nich tylko ona i jej adwokat. Sądziła, że to wygrana w karty i, za jego radą, zabrała je.

— Ależ pan to musi udowodnić… wobec świadków! — krzyknęła.

— Chce pani świadków? — podszedł do niej. — A nie lepiej wierzyć mi i żeby to zostało między nami? Może pani chce, żeby zawołać zarządzającego i jego ludzi, i całą Santa Ana, żeby słyszeli, jak udowodnię, że pani mąż był bandytą, złodziejem i mordercą. Chce pani, żeby zwalili pomnik w Heavy Tree Hill? A wtedy koniec z poważaniem, jakie pani ma u diakonów i starszyzny kościelnej. Jak pani tego chce i żeby sąsiedzi panią zmusili do zapłacenia mi, proszę! Niech pani zawoła świadków i im szybciej, tym lepiej!

Zrobił krok w kierunku drzwi, ale go zatrzymała.

— Nie, nie, proszę poczekać! To duża suma, nie mam tyle przy sobie — była już całkowicie pokonana.

— Może pani ją mieć.

— Niech mi pan da czas — błagała. — Proszę posłuchać, dam panu sto dolarów... wszystko, co mam... resztę innym razem.

Nerwowo wyciągnęła szufladę biurka, wyjęła worek z koźlej skóry i wysypała mu na rękę złote monety.

— Proszę! A teraz niech pan już idzie — rozpaczliwym ruchem złapała się za głowę. — Proszę już iść, szybciej!

Jej zachowanie jakby go poruszyło.

— Nie chcę być twardy dla kobiety — powiedział wolno. — Pójdę teraz i wrócę wieczorem o dziewiątej. Do tej pory może pani dostać pieniądze albo, tak samo dobrze, czek na okaziciela. A jak pani mnie posłucha i chce, żeby wszystko zostało w tajemnicy, to nie będzie się pani nikogo radziła. Ja nikomu nie powiem, może pani być spokojna, jestem rzetelny człowiek, tylko wydają sią twardy.

Zrobił ruch, jakby chciał podać jej ręką, lecz gdy cofnęła się instynktownie, tylko sią ukłonił i już go nie było.

Zerwała się, lecz to nieoczekiwane napięcie nerwów wyczerpało jej siły. Zrobiła krok naprzód, podłoga usunęła jej sią spod nóg, pokój zawirował, jakby ściany miały się na nią zwalić, chwyciła się krzesła, zdążyła na nie upaść i zemdlała.

Nie wiedziała, jak długo to trwało. Uświadomiła sobie nagle, że ktoś się nad nią schyla, dobiegł ją czyjś głos… głos pana Brooksa.

— Bardzo panią przepraszam. Zdaje się, że pani jest chora, czy mam kogoś zawołać?

— Nie! — z wysiłkiem złapała powietrze przychodząc do siebie. — Gdzie jest… Kiedy pan przyszedł?

— W tej chwili. Wyjeżdżam dzisiaj wieczór, wcześniej niż przewidywałem, i chciałem się z panią pożegnać. Powiedziano mi, że pani rozmawia z jakimś obcym człowiekiem. Przepraszam, pani jest chora. Nie będę pani dłużej niepokoił.

— Nie, nie! Niech pan zostanie. Już mi jest lepiej — zawołała gorączkowo. Gdy patrzyła na jego silną, współczującą twarz, opanowała ją szalona myśl. On jest tu obcy, inny niż wszyscy, tak jak ona. A może by jego poprosić o radę, której nie śmiała szukać u swych nieco zrażonych do niej przyjaciół z parafii, a nawet u swego zarządcy i jego żony? Być może dojrzał w jej oczach pełną obaw rozterkę, błagalną prośbę, gdyż łagodnie zapytał:

— Czy mogę być pani w czymś pomocny?

— Tak — powiedziała z nagłą determinacją ludzi słabych — chciałabym, żeby zachował pan coś w tajemnicy.

— To pani tajemnica? Tak, oczywiście.

Na to biedna pani Wade natychmiast zalała się łzami. Głosem przerywanym łkaniem opowiedziała mu o wizycie przybysza, o jego strasznych oskarżeniach i żądaniach, o tym, że ma wrócić, a ona jest zupełnie bezradna. Ku swemu przerażeniu zauważyła, że jego dobra twarz dziwnie się zmieniła. Słuchał jej teraz z surową, pełną napięcia uwagą.

Trochę się spodziewała, że może z męską bezwzględnością wyśmieje jej obawy.

— Mówi pani, że z całą pewnością rozpoznał męża?

— Tak, tak — szlochała wdowa — i rozpoznał go na fotografii — wskazała na biurko. Brooks się obrócił, na szczęście stał do niej plecami, tak że nie widziała jego twarzy i szybkiego zdumionego błysku w oczach. Lecz gdy znów na nią spojrzał, napięty wyraz twarzy zniknął bez śladu, ustępując miejsca subtelnemu współczuciu.

— Przecież nic nie potwierdziło jego słów — powiedział łagodnie. — A łotr wiedział, że gdyby pani podzieliła się z kimś swoją tajemnicą, pozbawiłaby go pani przynajmniej połowy władzy nad sobą. A teraz proszę już o tym nie myśleć i pozostawić tę sprawę mnie. Wrócę tu przed dziewiątą i będą sam w pokoju. Pani każe wprowadzić gościa i przypilnuje, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

Brakowało kilku minut do dziewiątej, kiedy pan Brooks wszedł do saloniku. Gdy tylko został sam, spokojnie sprawdził drzwi i okna, po czym, zaspokoiwszy ciekawość, usiadł na krześle przypadkowo stojącym przy drzwiach. Usłyszał w korytarzu głosy i ciężkie kroki. Lekko pomacał kieszeń kamizelki, gdzie trzymał ładniutki rewolwer, choć mały, z dwucalową lufą, to jednak wielkiej mocy i precyzji.

Drzwi się otworzyły. Zaledwie gość znalazł się w pokoju, Brooks zatrzasnął je i przekręcił klucz w zamku. Mężczyzna obrócił się gwałtownie. Brooks spoglądał na niego spokojnie, jeden palec trzymając w kieszonce od kamizelki. Przybysz lekko się cofnął, nie tyle ze strachu, ile ze zdumienia. Był całkowicie zaskoczony.

— A to, co ma znaczyć? Co to za sztuczka? — zapytał pogardliwie.

— Żadna sztuczka — chłodno odparł Brooks. — Przyszedł pan tu, żeby sprzedać tajemnicę. Nie chcę, żeby ją ktoś podsłuchał.

— Pan nie chce? A pan co za jeden?

— Dziwaczne pytanie, zadane człowiekowi, za którego chciałby się pan podać… Cóż, nie dziwię się. Ale pan to robi nieudolnie.

— Podać się za… pana? — Przybysz wytrzeszczył oczy.

— Tak, za mnie — spokojnie odpowiedział Brooks. — To ja jestem tym jedynym człowiekiem, któremu udało się ujść bandytom, wtedy w Heavy Tree Hill, i który wrócił do domu dyliżansem.

Obcy patrzył długo, lecz pomału oprzytomniał.

— O, patrzcie, zdaje się, że obaj ją chcemy obrabować — roześmiał się chrapliwie. — Obaj ale… jak najpierw sypniemy jej męża.

— Niezupełnie — Brooks patrzył na niego przenikliwie. — Pan jest tu, żeby zdemaskować martwego bandytę, który uszedł sprawiedliwości. Ja tu jestem, żeby zdemaskować tego, który żyje. Spokojnie! Opuścić ręce! To nic nie pomoże! Myślałeś, że będziesz miał do czynienia tylko z, kobietą i rewolwer umieściłeś nieporęcznie. Dalej! Opuścić ręce! Jeszcze! Tak, dobra jest, wystarczy.

— Nie udowodni pan tego! — chrapliwie wrzasnął mężczyzna.

— Głupcze, sam się wydałeś swoim opowiadaniem! Tylko dwóch podróżnych napadli bandyci. Jeden został zabity, ja jestem drugim. A ty,

skąd się wziąłeś? Możesz być świadkiem, ale tylko jako drugi bandyta. Kto mógł zidentyfikować Wade'a jak nie ty, jego wspólnik?

Twarz mężczyzny nagle pobladła, a jego nie ogolona broda zjeżyła się jak u dzikiego zwierza.

— Dobra jest, chcesz mnie sypnąć, ale wrobisz i Wade'a, i jego wdowę — zaskomlił.

— Pomyślałem o tym — chłodno odparł Brooks — i sądzę, że warto stracić sto dolarów, które dała ci ta biedna kobieta, żeby temu zapobiec. Ale ani centa więcej! A teraz siadaj przy stole i pisz, co ci podyktuję.

Przybysz spojrzał zdumiony, ale posłuchał.

— Pisz. „Stwierdzam niniejszym, że wszystkie moje oskarżenia przeciwko świętej pamięci Pulaski Wade'owi z Heavy Tree Hill są fałszywe i bezpodstawne i wynikły z mylnej identyfikacji, zwłaszcza jeśli chodzi o jakikolwiek jego udział w ograbieniu w nocy trzynastego sierpnia 1854 roku w Heavy Tree Hill zmarłego Johna Stubbsa oraz Henry Brooksa".

— Kto wyszedł teraz na głupca? Jak to będzie z tobą i wdówką?

— Pisz! — krzyknął Brooks tracąc cierpliwość.

Po tym jedynym jego wybuchu pióro zaskrzypiało na papierze.

— Teraz podpisz… i jazda stąd — Brooks otworzył drzwi. — A gdyby ci kiedyś przyszła ochota odwiedzić Santa Ana, to pamiętaj, że mnie tu zastaniesz.

Mężczyzna dał susa przez drzwi, chyłkiem przebiegł korytarz, jak zwierzę pragnące wrócić w ciemność nocy. Brooks poszedł do saloniku i położył papier przed panią Wade.

— Ale… — głos wdowy drżał z radości — ale… czy pan… czy pan sądzi, że on naprawdę się pomylił?

— Absolutnie — chłodno odpowiedział Brooks. — Co prawda ta omyłka kosztowała panią sto dolarów, ale bywają omyłki warte tej sumy, byle o nich więcej nie mówić.

Rok później się pobrali. W żadnych kronikach nie odnotowano, by po wielu latach małżeńskiego pożycia ze słabą, czarującą kobietą Henry Brooks kiedykolwiek odczuł pokusę powiedzenia jej prawdy o napadzie w Heavy Tree Hill.

Tłumaczenie Emilia Niemirska

**Ernest Haycox**

## Szlak śmierci
(Dead-Man Trail)

Ledwie Johnny Potter kucnął w progu chaty, żeby zakurzyć fajkę, kiedy usłyszał szurgot stóp Pieza Neala powracającego spiesznie z miasta kamienistą ścieżką. Piez przeszedł przez czarny cień podwórka i kiwnął tajemniczo na Johnny'ego.

— Chodź do środka — powiedział.

Johnny wszedł za nim do chaty i zamknął drzwi. Na kojce leżał trzeci wspólnik, Thad Jessup, w samych skarpetkach, spodniach i poplamionym rdzą podkoszulku. Drzemał właśnie, ale natychmiast otworzył czujne oczy.

— Buck Miller jest znów w mieście — rzekł Piez Neal. — Szeptał coś z barmanem spod „Niebieskiego Kubła", tym, co ma gębę jak siodło. Rozmawiali o mnie, widziałem dobrze. — Podszedł do skrzynki po mydle, żeby nabić fajkę tytoniem z czerwonej blaszanki.

— Dodaj do tego tych trzech, którzy się zjawili wczoraj — powiedział Thad — i wszystko jest jasne. Węszą za miodem.

— Za nami, nie za miodem — poprawił Piez. — My teraz jak kaczki na wodzie, nie wiadomo, z której strony w nas wygarną.

— Jak myślisz, skąd wiedzą, że warto na nas zapolować? — spytał Thad.

— Z gadania w obozie. Żałuję, żeśmy tak długo trzymali tu ten piasek.

Johnny Potter siedział zgarbiony na skraju skrzynki, wsparty łokciami o kolana. Rozcapierzył palce i przyglądał się im słuchając rozmowy wspólników. Piez i Thad byli mężczyznami w średnim wieku; zostawili rodziny w Willamette i przyjechali tu wygrzebać tyle złotego piasku, aby starczyło na zakup farm w dolinie. On był wobec nich młodzikiem, miał dużo więcej czasu do stracenia i nie bał się utraty złotego piasku jak oni, ale potrafił ich zrozumieć. Przegarnął palcami włosy i rzucił okiem na kominek, gdzie w puszkach od smalcu leżało pod kamieniami paleniska dwadzieścia tysięcy dolarów. Oczy Johnny'ego jaśniały błękitem na tle mahoniowej opalenizny; był szczupłym młodzieńcem, a jego twarz wyrażała spokój i uwagę. W drobniutkich zmarszczkach zastygły obok siebie niepokojąco chłopięcość i gorzkie przeżycia.

— Zrobiliśmy forsę — rzekł Thad — możemy spakować manatki i jechać do domu.

— Nie da rady. W obozie mamy przynajmniej jakąś ochronę. Na szlaku staniemy się łatwym łupem.

— Ale — zwrócił uwagę Thad — jeżeli tu zostaniemy, to nas ograbią. To tylko zimne wyrachowanie. Jeżeli wzięli nas na cel, na pewno nas dopadną. Kwestia tylko jak i kiedy.

Zapadło milczenie, które pozwoliło Johnny'emu Potterowi stwierdzić, że wspólnicy nie znaleźli rozwiązania problemu. Wyprostował się i rozpłaszczył dłonie na kolanach.

— Razem we trzech jechaliśmy za wolno, ale jeden mógłby jechać bez bagaży, szybko — rzekł. — Wezmę swojego konia i twego, Piez. Dziś w nocy. Mając przewagę nad tą bandą, może za cztery dni albo wcześniej dotrę z piaskiem do The Dalles.

— A po co ci dwa konie? — spytał Piez.

Johnny zrobił ruch głową w stronę kominka.

— Ten piasek waży około dziewięćdziesięciu funtów. Będę w drodze zmieniał konie.

— Ugotujemy ci trochę bekonu — rzekł Piez — i weźmiesz chleb. Będziesz mógł nie rozpalać ogniska.

— Muszę mieć kawę — oświadczył Johnny. — Załadujcie piasek na dwa konie.

— Jeżeli nas obserwują — powiedział Thad — zauważą rano, że cię nie ma.

— Wpadnę pod „Niebieski Kubeł", kiedy wy będziecie pakowali, i udam chorego. Jutro przybijecie znak ospy na drzwiach chaty. Pomyślą, że leżą w łóżku.

Piez zastanawiał się pykając fajkę.

— Johnny, do The Dalles jest daleko. Jeżeli puszczą się za tobą w pościg, to marne twoje widoki.

— Zależy od szczęścia — odparł Johnny, otworzył drzwi i wyszedł w gęsty górski mrok.

Widział mrugające światła chat i ognisk pomiędzy drzewami i wzdłuż parowu w dole, w stojącym powietrzu rozbrzmiewały głosy mężczyzn. Wszedł na ścieżkę biegnącą wzdłuż wąwozu, mijał po drodze namioty i kupy żwiru wybranego z podłoża skalnego, aż doszedł do chałup Canyon City wbitego w dno parowu. Dobiegły go odgłosy z licznych barów. Skierował się pod „Niebieski Kubeł" słaniając się lekko na nogach; spostrzegł kilku przyjaciół przy stolikach pokerowych, kiwnął im głową ze zbolałym, ponurym wyrazem twarzy i zajął miejsce przy barze obok Pete'a Hewitta. Barman o twarzy przypominającej siodło stał przy drugim końcu lady i rozmawiał z jakimś mężczyzną, którego Johnny nie mógł na razie dobrze zobaczyć. Barman przerwał na chwilę rozmowę, żeby podać Johnny'emu butelkę i szklaneczkę, i wrócił do swego rozmówcy. Johnny wypił whisky jednym haustem i nalał sobie drugą szklaneczkę. Kątem oka widział barmana i zauważył, jak ten wskazuje go nieznacznie swojemu rozmówcy.

— Co ci jest, Johnny? — spytał Pete Hewitt.

— Wszystko mnie boli. Raz mi zimno, raz gorąco, okropnie się czuję.

— To febra. Spij się na umór.

Johnny postawił nogę na podpórce i obrócił się, żeby rzucić okiem na człowieka, który rozmawiał z barmanem. Był to z całą pewnością Buck Miller: ogromny nos, twarz koloru szarego głazu, para surowych, przenikliwych oczu.

Johnny przywołał barmana, żeby zapłacić za wypitą whisky.

— Idę do łóżka — powiedział do Hewitta — poleżę chyba z tydzień.

Wychodząc z baru czuł na sobie wzrok Bucka Millera. Na dworze przypomniał sobie coś i wszedł do sklepu, żeby kupić naboje do rewolweru; kiedy wychodził, zobaczył w drzwiach „Niebieskiego Kubła" Bucka Millera - patrzył wprost na niego. Ciarki przechodziły mu raz po raz po plecach, gdy szedł z powrotem parowem. Nie ma wątpliwości - myślał. - Buck Miller ostrzy sobie zęby na nasz piasek.

W mroku podwórka spotkał Pieza, który szepnął niecierpliwie:

— Chodź!

Poszedł za Piezem wąwozem do zagrody na niewielkim zboczu, gdzie zastał konie przygotowane do drogi. Sprawdził popręgi i pomacał juki. Jedne z nich były zawieszone za jego siodłem, drugie zamocowane na luzaku.

— Bekon i chleb są zwinięte w koc — rzekł Piez. — Kawa też, ale staraj się bez niej obejść, Johnny. Ogień może ściągnąć nieszczęście.

— Ściągnie czy nie ściągnie, kawę mieć muszę.

— Tytoń i zapałki masz tutaj. W pochwie przy siodle karabin Thada. Lepszy od twojego.

Johnny Potter wsiadł na konia i wziął w rękę postronek luzaka.

— Cicho! — szepnął Thad i znieruchomieli przenikając mrok wszystkimi zmysłami. Dotarło do nich kilka zabłąkanych dźwięków, jakiś cień zamajaczył w blasku ogniska. — Ktoś się kręci koło chaty. — szepnął Thad. — Zmykaj, Johnny.

— Tylko nie rób głupstw — rzekł Piez zatroskanym tonem. — Jak wpadniesz w pułapkę, ciśnij ten przeklęty piasek i bierz nogi za pas.

Johnny skierował się w górę wąwozu, dotarł do pierwszego tarasu na urwistym zboczu i ruszył nim na północ, równolegle do parowu, ku rozległym łąkom doliny rzeki John Day o dwie mile dalej. Te pierwsze kroki wprowadziły go w stan napięcia nerwowego; nasłuchiwał odgłosu wystrzału za sobą; szybko przebiegł myślą ostatnie wypadki zastanawiając się, co zrobił dobrze, a co źle; wkrótce zjechał w dół, w dolinę John Day, i dostrzegł słaby połysk wody brodu, który miał przed sobą.

Zatrzymał się na chwilę. Wzdłuż doliny migotały światła innych chat i innych działek i szlak był gęsto uczęszczany przez ludzi powracających lub zdążających do Canyon City. Teraz jednak nie widział ani nie słyszał nikogo, porzucił więc cień wzgórza i wkrótce przejechał przez bród. Odgłos końskich kopyt w wodzie był jak sygnał, na który niebawem nadeszła odpowiedź, bo obejrzawszy się za siebie Johnny spostrzegł, że z mroku kanionu wymyka się i zbliża do brodu jakiś cień. Johnny natychmiast skręcił ze szlaku i skrył się wśród wierzb nad rzeką.

Czekał słuchając, jak jeździec przekracza bród i podąża kilkadziesiąt metrów szlakiem, a potem zatrzymuje się i stoi w miejscu nieruchomo pełne trzy minuty. Nagle Johnny zrozumiał, że popełnił błąd, zdradził się wstępując do sklepu po naboje. Człowiek chory tak się nie zachowuje.

Jeździec zawrócił i pojechał stępa w stronę brodu. Jego cień zrównał się z Johnnym i rozpłynął w mroku, ale nad brzegiem rzeki jeździec znów zawrócił, wyraźnie zawiedziony w swych nadziejach. Johnny uznał, że oto nadszedł czas, aby zastosować lekką presję; wyjął rewolwer i odwiódł

kurek posyłając w mrok ów słabiutki suchy trzask. Jeździec zatoczył koniem, rzucił się na łeb na szyję przez bród i pomknął galopem pod górę w stronę Canyon City. Z pewnością po to, aby sprowadzić resztę bandy Millera.

Johnny porzucił zarośla i popędził konia szlakiem w dół, mijając w biegu chaty i ogniska, ścigany czasem nawoływaniem mężczyzn. Pędził tym z grubsza ubitym traktem wijącym się wzdłuż rzeki; wpatrywał się w cienie przed sobą i nasłuchiwał dudnienia kopyt w tyle, a raz nawet - ażeby lepiej usłyszeć tętent pogoni - zatrzymał się i dał koniom odetchnąć, sam zaś sprawdził juki. Światła ognisk wreszcie znikły i koło północy dotarł do innej grupki chat, ciemnych i uśpionych, i skręcił z doliny ku wzgórzom. Miał przed sobą niespełna dwieście mil drogi przez lasy, grzbiety skalne, odkryte trawiaste równiny i rzeki leżące w głębokich kanionach o prostopadłych ścianach. Zwolnił i posuwał się stępa czarną, krętą drogą wśród tych wzgórz, a w miarę jak upływała noc, cisza pogłębiała się coraz bardziej. O pierwszym brzasku zatrzymał się przy strumieniu, żeby się napić i zapalić fajkę, i jechał już dalej nieprzerwanie, póki o południu nie dotarł na skraj lasu, skąd rozciągał się widok na porosły bujnymi trawami korytarz biegnący pośród wzgórz. Wiódł nim główny szlak i Johnny przyglądał mu się kilka minut, a potem przywiązał konie, ugotował sobie kawy i położył się na ziemi usłanej gąbczastą warstwą igliwia, żeby się przespać.

Nie był to prawdziwy sen. Johnny słyszał poruszenia koni; raz ocknął się na odgłos stuknięcia dzięcioła, a potem znowu zasnął i tak przez cały czas przenosił się to na tę, to na tamtą stronę granicy świadomości, zapadając w ciszę, nie ufając ciszy.

Obudził się przed zachodem słońca, wcale nie wypoczęty. Okulbaczył konie i zaprowadził nad strumień, żeby się popasły w trawie, a sam ugotował tymczasem kawę. Później wrócił na skraj lasu i póki było dość jasno, śledził wzrokiem szlak, który biegł krętą, bladą nitką poprzez brunatne łąki w dole. Musiał obrać ten właśnie szlak, gdyż była to najszybsza droga, ale wkraczając nań stawał się widoczny jak na dłoni. Czuł się bezpieczny w rozległej przestrzeni, którą dotychczas przemierzył - maleńki punkcik wśród tysiąca kwadratowych mil wzgórz i sieci parowów. Teraz jednakże droga wciskała się w ciasne przewężenia w skalistym terenie. Buck Miller wiedział o tym i mógł tam właśnie na niego czekać.

Pod osłoną mroku przebył otwarty teren dzielący go od szlaku i popędził w dół. Zatrzymał się przy strumieniu, żeby napoić konie, a później, pozostawiwszy strumień daleko za sobą, stanął nasłuchując i zdawało mu się, że słyszy tętent koni, ale tak stłumiony odległością, że nie można było ustalić, skąd dobiegał. Jadąc na zachód dostrzegł nierówny zarys gór w srebrzystym mroku. Szlak prowadził w dół na pokryte żwirem dno suchego żlebu i z wolna opadał w kotlinę u stóp wzgórz. Koń przestraszywszy się czegoś uskoczył w bok od przetartej drogi. W chwilę później osunął się obiema przednimi nogami w wyrwę, padł na kolana i wyrzucił Johnny'ego Pottera z siodła.

Johnny wywinął kozła w powietrzu, gruchnął o ziemię i poczuł przeszywający ból. W nozdrzach miał zapach krwi i chwilę leżał otępiały.

Lewa noga piekła go od biodra do kostki - wyprostował ją gwałtownym ruchem przygotowany na najgorsze.

Ale nic nie poczuł. Spróbował ruszyć prawą, poruszył ramionami, wstał. Udało mu sią wyjść z upadku bez szwanku.

Przykucnął w wyrwie, obmacał przednie nogi konia i znalazł złamanie. Poczuł ochotę na fajkę, więc nie bacząc na niebezpieczeństwo nabił ją i schyliwszy się tuż nad ziemią zapalił. Następnie sprowadził luzaka, który nie opodal skubał trawę, zdjął siodło i juki z leżącego konia i założył na zdrowego.

Kiedy był gotów do dalszej podróży, wyjął rewolwer i strzelił w łeb leżącemu koniowi, a huk wystrzału zadudnił, zagrzmiał i poniósł się echem we wszystkie strony. Zdawało mu się, że biegnie za nim i wskazuje jego drogę, kiedy jechał dalej.

W chwili gdy niebo na wschodzie zaczęło się przejaśniać, znalazł się wśród nadrzecznych łąk i wierzbowych zarośli Bridge Creek, w pobliżu miejsca, gdzie rzeka ta wpada do John Day. Pasma wzgórz po obu stronach, szlaku ścieśniły się i chwilę siedział w siodle nieruchomo, czując się obnażony i widoczny zewsząd jak na dłoni. Lepiej byłoby porzucić ten pas łąki i wspiąć się na kamieniste, bezdrzewne tarasy, które wrzynały się w zbocza górskie i dźwigały wciąż wyżej i wyżej ku Oregonowi Środkowemu. Była to jednak powolniejsza droga, a on zbyt mało znał okolicę, aby móc porzucić szlak, dlatego też przynaglany do działania nerwowym niepokojem, ruszył w dół rzeki najszybszym galopem, jaki mógł wydobyć ze swojego konia, i dotarł do jeszcze bardziej otwartej doliny rzeki John Day.

Odczuł wielką ulgę, gdy spostrzegł, że szlak wreszcie oddala się od rzeki, skręca w przełęcz i wiedzie wprost ku skalistym terenom. Gdy tylko znalazł odpowiednie miejsce, wjechał po zboczu na grzbiet górski i dotarł do innego żlebu. Parł ciągle naprzód, pnąc się w górę, raz po raz skręcając i badając okolicę, aż poczuł, że koń słabnie. Zmienił wówczas kurs i dotarł do skalnej krawędzi, skąd dostrzegł wyraźnie szlak biegnący parowem. Nakarmił konia, uwiązał go do palika w żlebie i położył się, żeby odpocząć.

Poprzez firankę snu, nadszarpniętą znużeniem i wysiłkiem, usłyszał wyraźnie tętent koni w dole. Sięgnął po karabin, jednym ruchem obrócił się przez plecy i podczołgał do skalnej krawędzi. Zobaczył czterech mężczyzn mknących szlakiem w dole. Pierwszy, pochylony, pilnie czytał ślady. Po krótkiej chwili człowiek ten dał ręką znak pozostałym, aby się zatrzymali, i zatoczył koniem ukazując twarz - ciemna cera i wielki kościsty nos ostro zarysowany w słońcu. Zbili się w gromadkę i zaczęli rozmawiać. Słowa ich docierały wyraźnie do uszu Johnny'ego.

— Nie — powiedział Buck Miller — zapuściliśmy się za daleko. Chłopak zjechał ze szlaku w miejscu, gdzie się zaczyna ten grzbiet. Pojechał drugą stroną grzbietu. Wrócimy i odnajdziemy ślad.

— Próbuje nas wykiwać — rzekł inny. — Może siedzi gdzie za jakąś skałką i czeka, aż mu wyjdziemy na strzał.

— To młody chłopak — odparł Buck Miller. — Pędzi przed siebie. Ani mu w głowie walka. On myśli tylko, żeby nam zwiać i dostać się do The Dalles.

— Pojadę dalej jeszcze z parę mil. Jak go nie napotkam, przetnę grzbiet i odnajdę was.

— Nie — zaprotestował Buck Miller. — Bo jak zobaczę kogoś w oddali, będę strzelał, a wtedy może się okazać, że to będziesz ty. Trzymajmy się razem. Jak go wypatrzymy, to go otoczymy. On nie może być daleko stąd. Ma dwa konie, a piasek jest ciężki i nie pozwala mu jechać za prędko.

— On ma nad nami przewagę — rzekł drugi — i to mi się nie podoba. Może nas zauważyć, a jest wyżej od nas.

Miller potrząsnął głową.

— Gdyby to był stary wyga, to bym się z tobą zgodził. Ale on jeszcze nigdy nikogo nie zabił. To całkiem inna sprawa, Jeff. Niełatwo pociągnąć za cyngiel, jak jeszcze nigdy tego nie robiłeś, a zanim się zdecyduje, zdążymy go otoczyć. Myślę, że potrafimy go zmusić, żeby się zatrzymał Wtedy jeden z nas przekradnie się wyżej. Do czterystu jardów potrafię go położyć jednym strzałem.

Johnny Potter wysunął lufę karabinu i przyłożył policzek do kolby. Miał Bucka Millera na muszce i nie dręczyły go żadne wątpliwości, sprawa była prosta - albo zabije, ialbo sam zostanie zabity. Zdumiało go jednak, że Buck Miller zna go tak dobrze i że nie tak łatwo nacisnąć języczek spustu. Nie wiedział, że tak trudno zabić człowieka. No cóż - myślał - muszę to zrobić. Przekonał już siebie, że będzie strzelał, gdy nagle jeźdźcy zawrócili i pomknęli z powrotem. Zmarnował okazję.

Zajmie im to parę godzin, myślał. Mając Millera za sobą, może śmiało pędzić naprzód, a później urządzi zasadzkę. Zastanawiał się nad tym zjeżdżając zboczem; prosto w dół na szlak i galopując na zachód. Postępowali nieopatrznie gnając za nim bez żadnych osłonek; nie obawiali się go specjalnie może dzięki temu uda mu się urządzić tę zasadzkę.

Dotarł do potoku i wjechał w wodę. Zeskoczył z siodła, położył się w potoku na brzuchu i pił wodę łapczywie wielkimi, dławiącymi haustami. Gdzieś dalej w przodzie kanion się skończy i szlak powiedzie po odsłoniętych zboczach w górę. Jadąc nim, stanie się odkrytym celem dla napastnika. Ale tymczasem im bardziej się zbliżał do źródeł potoku, tym gęstsze napotykał kępy wierzb, toteż niebawem skręcił ze szlaku i ukrył konia głęboko w jednej z kęp. Oddalił się o kilka jardów od konia, rozchylił wikliny i urządził sobie kryjówkę. Złożył się kilka razy na próbę z karabinu w stronę szlaku i czekał. Zamknął oczy pojękując z cicha, Canyon City pozostało ze sto mil za nim, a od The Dalles dzieliła go podobna odległość.

Było już dobrze po południu, kiedy usłyszał leciutkie odgłosy kopyt końskich. Położył się na brzuchu, wystawił lufę karabinu spomiędzy gałązek wikliny, wycelował jeszcze raz na próbę i właśnie miał karabin wymierzony w zakręt drogi, kiedy wynurzyli się zza skał. Zdążali gęsiego nie zachowując żadnych środków ostrożności. Widocznie byli przekonani, że nie zatrzyma się i nie podejmie walki. Jechali rozciągniętym rzędem - pierwszy pilnie śledził ślady, Buck Miller zamykał pochód.

Miller był tym człowiekiem, którego chciał zabić, i Johnny przeżył straszne chwile niezdecydowania przesuwając muszkę karabinu to w tę, to w tamtą stronę, aby skierować ją na Millera, ale inni go wciąż zasłaniali,

więc wreszcie Johnny wymierzył w jadącego przodem, który teraz znajdował się zaledwie o pięćdziesiąt stóp, i zabił go strzałem w pierś.

Rzucił karabin i wyjął rewolwer patrząc, jak mężczyzna wali się na ziemię, a koń bez jeźdźca galopuje naprzód. Pozostali rzucili się do ucieczki chcąc schronić się za zakrętem. Dwóm udało się umknąć, ale szybki strzał rewolwerowy dosięgnął konia trzeciego z nich. Koń upadł i zrzucił jeźdźca na żwir. Uderzywszy o ziemię jeździec krzyknął i ręka mu opadła w jakiś nienaturalny sposób; ukląkł i zwrócił twarz - okrwawioną, z wytrzeszczonymi oczyma, wstrząśniętą - ku Johnny'emu. Spróbował wstać, krzyknął, padł na twarz i zaczął się czołgać do zakrętu, pomagając sobie jedną ręką.

Johnny wycofał się między wierzby, wskoczył na konia i pomknął galopem wzdłuż szlaku. Człowiek który spadł z konia, nie poruszał się, pozostali dwaj byli ukryci za występem ściany parowu. Johnny dopędził konia bez jeźdźca, chwycił go w przelocie za cugle i pociągnął za sobą. Niebawem znalazł się za następnym zakrętem, był więc przez pewien czas osłonięty, ale mniej Więcej po pół mili parów się skończył i zaczęły się odsłonięte kamieniste zbocza wznoszące się stromo w górę - po tych właśnie ostrych pochyłościach wiódł krótkimi zakosami szlak.

Wypadłszy z kanionu Johnny od razu zaczął piąć się w górę. Przez pięć minut był dla nich widoczny na tle zbocza jak na dłoni i wyczekiwał karabinowej kuli. Spojrzał w kanion, ale nie dostrzegł jeszcze wrogów. Przynaglał konia bez przerwy dźgając go w boki piętami. Jechał pełen napięcia czując, jak go przenika zimny dreszcz; podskoczył, kiedy pierwszy strzał przeszył nieruchome, rozgrzane powietrze. Kula plasnęła w ziemię poniżej. Piął się, odsłonięty, nie mają gdzie się schronić.

Koń oddychał ciężko. Johnny spróbował strzelić na chybił trafił z rewolweru i widział, jak obaj mężczyźni odskakują w bok, choć kula nie mogła ich dosięgnąć. Złożyli się i strzelili obaj jednocześnie. Wyniosłość zbocza sprawiała, że odległość wydawała im się mniejsza, i znów ich kule trafiły w ziemię poniżej Johnny'ego. Ale Johnny zdołał tymczasem dotrzeć na niewielki taras i pogalopował nim tracąc ich chwilowo z oczu. Potem zbocze znów biegło stromo w górę i szlak piął się po nim zakosami. I chociaż Johnny znowu był widoczny, znajdował się teraz poza zasięgiem strzału. Zobaczył, że dwaj napastnicy porzucili karabiny i pochylili się nad swoim towarzyszem, leżącym na drodze. W godzinę później Johnny dotarł na szczyt góry i spostrzegł leżący przed nim nierówny teren, porosłe bylicą jałowe stoki, które nakładały się jeden na drugi, i wijące się wśród nich głębokie skaliste parowy.

Zeskoczył z siodła i dał koniom odpocząć, a sam usiadł i obserwował dwie ciemne figurki, teraz daleko w dole. Nie puścili się za nim w pogoń. W tej sytuacji miał nad nimi przewagę, póki tu był, nie mogli się wspiąć po nie osłoniętym zboczu. Położył się z głową opartą na dłoni. Zamknął oczy i poczuł ostry piasek pod powiekami. Nagle coś go ukłuło mocno w policzek i zerwał się na nogi. Przyłożył rękę do policzka i wyjął spod skóry ostre źdźbło. Musiał zasnąć i upaść twarzą w bylicę.

Tamci dwaj siedzieli nad potokiem odpoczywając w cieniu wierzb, z pewnością w oczekiwaniu nocy. Wsiadł na zdobycznego konia i ruszył

parowem okrążającym odosobnione strome wzgórze. Przed zachodem parów doprowadził go do kresu łańcucha wzgórz i dalej już teren opadał łagodnie w szeroką na milę kotlinę kończącą się hen w dali ciemną krawędzią. Poza tą krawędzią wyżynna pustynia ciągnęła się ku zachodowi i północy; daleko na zachodzie dostrzegł owiany mgiełką słabiutki zarys śnieżnych szczytów Kaskad. Ruszył w dół, kiedy zachód odmalował się na niebie barwą ognia i przemocy.

Mrok zastał go przy źródełku w małej kotlince na falistej porosłej bylicą wyżynie. Nakarmił konie połową obroku, który mu pozostał, zjadł chleb z bekonem i rozpalił ognisko, żeby ugotować kawę. Potem zgasił ognisko i pokrzepił się fajeczką. Niebo okryło się mgiełką pogłębiając czerń nocy; konie pasły się wśród skąpych traw. Wstał, odszedł o jakieś dwadzieścia jardów od miejsca, gdzie było jego ognisko, i usiadł oparłszy się plecami o jałowiec. Zaczął myśleć o tych dwóch, którzy go ścigali; wiedzieli, że musi się znajdować gdzieś na tym obszarze, i niewątpliwie zdawali sobie sprawę, iż rozbił obóz w pobliżu wody. Na ich miejscu, myślał, nie próbowałby nikogo szukać na tym falistym pustkowiu; zapadłby na jakimś górskim grzbiecie i czekał, aż ów człowiek się pokaże. Szlak - główny szlak do The Dalles - leżał o parę mil na zachód.

Zdawało mu się, że tonie w wodzie; wyrzucił rękę w bok uderzając knykciami w kamienistą ziemię, a wtedy zerwał się i trzasnął głową w jałowiec. Znów musiał zasnąć. Podszedł do źródełka, położył się na brzuchu i na zmianę pił i polewał sobie głowę, póki chłód wody nie otrzeźwił go całkowicie; potem przyprowadził konie, żeby je napoić, a gdy napiły się do syta, ruszył w dalszą drogę, kierując się wzdłuż ledwie widocznych fałd na niewielki wierzchołek. Po godzinie znalazł się na głównym szlaku i udał się nim na północ. Ponieważ już kiedyś tym szlakiem jechał, wiedział, że ma przed sobą głęboki kanion rzeki Deschutes, a na rzece drewniany most z mytem, nie miał jednak pojęcia, jak daleko stąd. Około północy zauważył rozmazany zarys domu - jedynej stacji na tym szlaku stojącej wśród pustkowia - i zjechał ze szlaku, aby okrążyć stację w sporej odległości. O świcie znalazł się w pożłobionej koleinami przełęczy, przecinającej pasmo kamienistych wzgórz, i tu na wierzchołku pokrytym odłamkami skał zostawił konie w jakimś załomie i podczołgał się z powrotem na skraj drogi, gdzie zrobił sobie osłonę z kamieni. Widział ze swego miejsca całą przełęcz i wyżynę poza nią. Wyżyną zbliżali się ku pasmu wzgórz dwaj jeźdźcy.

Oparł karabin o skały i oczekując ich wiercił się niespokojnie na kamienistej ziemi jak zwierz gotujący się do skoku. Kiedy dotarli do skraju przełęczy, będąc wciąż poza zasięgiem strzału, zatrzymali się. Z ogromnym rozczarowaniem stwierdził, że nie dadzą się wciągnąć po raz drugi w tę samą pułapkę. Rozmawiali chwilę i Buck Miller wskazał ręką w jedną i drugą stronę pasma. Potem zjechał ze szlaku i ruszył dołem na wschód wzdłuż grzbietu górskiego, oddalając się od Johnny'ego. Przejechał tak z pół mili, nim zaczął wdrapywać się na zbocze. Drugi

mężczyzna też zjechał ze szlaku i skierował się wzdłuż grzbietu poniżej Johnny'ego.

Johnny wczołgał się z powrotem między skały i gramoląc się przez wyrwy i głazy posuwał się równolegle do człowieka jadącego dołem. Przeszedłszy z ćwierć mili położył się, podczołgał, wyjrzał poza krawędź grzbietu i zobaczył, że jeździec pnie się zakosami w górę. Wówczas wycofał się, przebiegł jeszcze kawałek oceniając, gdzie będzie się mógł spotkać, z tym człowiekiem twarzą w twarz, i wrócił na krawędź grzbietu. Wcisnął się w szczelinę pomiędzy dwiema skałami, którą była dość szeroka, aby mógł dokładnie widzieć powoli wspinającego się pod górę jeźdźca. Spojrzał w lewo, żeby mieć Bucka Millera na oku, i spostrzegł, że jadąc ukośnie pod górę, Miller jeszcze bardziej się oddala. Skierował więc uwagę z powrotem na jeźdźca w dole i przygotował karabin do strzału. Patrzył, jak człowiek ów zbliżając się rośnie, robi się coraz wyższy i szerszy, widział, jak bada wzrokiem krawędź grzbietu. Mając świetną okazję do strzału, Johnny podniósł się zza skał - nie wiedząc, po co robi temu człowiekowi taką łaskę - i wymierzył w kształt przed sobą, który zaczął poruszać się gwałtownie. Jeździec spostrzegł go i wyjmując broń starał się zawrócić konia. Kula Johnny'ego przeszyła mu pierś.

Koń stając dęba wyrzucił jeźdźca z siodła i umknął. Johnny nie zwracał na niego uwagi ruszając biegiem ku własnym koniom. Miller, dotarłszy do grzbietu o pół mili dalej, zatrzymał się na odgłos strzału, spojrzał w stronę, w której zagrzmiało, i spostrzegł Johnny'ego. Wówczas zjechał zboczem w dół w kierunku mostu i The Dalles. Johnny podszedł do swoich koni, nabił fajkę i pykając z niej patrzył, jak postać Millera oddala się i niknie wśród wzgórz ku północy. Teraz niebezpieczeństwo czyhało przed nim, a nie za nim, jedyna bowiem droga do The Dalles wiodła przez most. Ale siły były już wyrównane - jeden przeciwko jednemu. Skończywszy fajkę ruszył dalej wlokąc się z prędkością pięciu mil na godzinę po opadającym ku rzece terenie pod niebem zalanym słońcem. Szlak dobiegł na skraj urwiska, a daleko w dole płynęła przełomem w zastygłej ławie rzeka. Wjechał na wąziutką ścieżkę wijącą się w dół.

Minąwszy ostatni zakręt i zjechawszy z ostatniego wzniesienia znalazł się przed mostem, który tworzyły deski przybite do dwóch pni przerzuconych ponad kipiącymi gwałtownie w wąskim korycie wodami. Po drugiej stronie stał sznur jucznych koni i czterech mężczyzn siedziało na ziemi. Zbliżając się do mostu Johnny przyjrzał się mężczyznom, szopie stojącej za domkiem i krętej ścieżce pnącej się po pochyłości na szczyt wzgórza za rzeką. Przejechał przez most i spotkał się z człowiekiem pobierającym myto, który wyszedł z domku.

— Dwa dolary — powiedział człowiek.

— Dostanę worek obroku?

— Czemu nie...

Johnny podprowadził konie do koryta, żeby się napiły. Czekając na obrok podszedł do beczki z wiszącym przy niej kubkiem. Wypił pięć pełnych kubków. Kiedy przyniesiono obrok, nasypał koniom sporą porcję na ziemię. Zapłacił i stał obserwując mężczyzn przy jucznych koniach, szopę i wszystkie ślepe zaułki wokół.

— Przejeżdżał tędy niedawno jakiś człowiek?

Poborca myta skinął głową i wskazał na północ. Johnny spojrzał na wzgórze przed sobą, długie, szare, spiętrzone fałdy terenu i szlak, który wił się to w tę, to w tamtą stroną - to niknąć, to znów się pojawiając. Widok ten spotęgował uczucie znużenia.

— Jak daleko do The Dalles?

— Dziesięć, dwanaście godzin.

— Znacie tego, co tędy przejeżdżał? — spytał Johnny.

— A znam — odparł krótko poborca myta. A potem dodał: — I on mnie zna. — Ale widocznie nie wyczerpał tematu, bo spytał: — A wy go znacie?

— Też.

— To dobra — rzekł poborca sądząc, że powiedział wszystko, co trzeba.

Sprawa jest jasna, myślał Johnny. Ponieważ Miller wiedział, że poborca go zna, prawdopodobnie nie chciał ryzykować zabójstwa tak blisko świadków. Uznał, że wydostanie się z kanionu bez ryzyka wpadnięcia w zasadzkę; był to tylko domysł, ale musiał się nim zadowolić.

Nagle w Johnnym zaświtała nadzieja:

— Czy te juczne konie idą w moją stronę?

— Nie. Na południe.

Johnny wsiadł na konia i ruszył na szlak. Po pół godzinie wytrwałej jazdy dojechał do krótkich, ostrych zakosów, ponad którymi wznosiły się jedno za drugim szare, schodkowate wzgórza, i Johnny znów odniósł wrażenie nagości. Mięśnie miał napięte aż do bólu, nerwy rozdygotane w oczekiwaniu ataku. Gdy dużo później dotarł na szczyt, ujrzał przed sobą obszar poprzecinany pasmami wzgórz i głębokimi kanionami.

W połowie upalnego popołudnia przybył do skraju wielkiej doliny biegnącej w dół między pasmami coraz to wyższych wzgórz. Droga wiodła dnem owej doliny i ginęła w dole za zakrętem. Johnny posuwał się nią z rosnącym niepokojem, obserwując bezustannie pnące się w górę grzbiety po obu stronach, skały i rzadkie kępy zarośli. Przejechawszy trzymilowy odcinek tej drogi pozostawił za sobą kilka ostrych zakrętów i znalazł się o jakieś pięćset jardów niżej. Wpakowałem się w piekielną dziurę - pomyślał i zaczął się zastanawiać nad wycofaniem się z doliny, ale znużenie wzięło górę nad ostrożnością. Myśl o tym, żeby nałożyć drogi, była nie do zniesienia, więc jechał dalej oczekując odgłosu wystrzału z jakiegoś niewidocznego zagłębienia na zboczach ponad nim. Droga znów zakręcała i za zakrętem ujrzał o jakieś sto jardów przed sobą chatę z szarych pni: podziurawione w kilku miejscach gonty, zamknięte drzwi i kwadrat okna - nie zwyczajne okno z ramą, tylko ziejący pustką otwór.

Zatrzymał się. Wyjął rewolwer czując, że coś tu jest nie w porządku. Czemu w tej chacie, którą przejeżdżający podróżni doprowadzili do tak opłakanego stanu, są zamknięte drzwi? Nie odrywał oczu od kwadratu okna zdając sobie sprawę, że nie może zawrócić i uciec; nim zdołałby dopaść zakrętu, dosięgłaby go kula. Nie mógł też wdrapać się na wzgórze i okrążyć chaty, bo na tak stromym zboczu byłby pewnym celem.

Zsiadł z konia i zaczął iść naprzód z uniesionym i wycelowanym w kwadrat okna rewolwerem. Zauważył, że w kilku miejscach spomiędzy pni

chaty powypadały uszczelki, ale szpary wydały mu się zbyt wąskie, by można było przez nie strzelić. Znalazłszy się w odległości dwustu stóp zaczął nasłuchiwać wiedząc, że jeśli Miller jest w chacie, to musi tam być również jego koń. Ale nie usłyszał nic. Zmusił się, by iść dalej, ale czynił to jakby przygnieciony całym ciężarem chaty. Ciężar ten odpychał go, zmuszał do wysiłku jak w marszu pod wiatr.

Słońce skryło się za grzbietami gór po zachodniej stronie i dolinę wypełniły cienie. Johnny czuł się coraz mniejszy i mniejszy u stóp piętrzących się wzgórz, a pusty kwadrat okna wydawał się wlepionym w niego okiem. Poczuł ssanie w dołku.

— Halo! Jest tam kto? — krzyknął.

Jego głos odbił się echem w pustce. Johnny schylił się nie odwracając oczu od kwadratu okna i wziął garść kamyków z ziemi - drobnych kamyków wielkości orzecha włoskiego, skał pokruszonych kołami przejeżdżających wozów. Stojąc o sto stóp od chaty cisnął garść kamieni w okno. Nie trafił i kamienie gruchnęły o ścianę. Nagle usłyszał coś jeszcze - łoskot kopyt spłoszonego konia wewnątrz. Odskoczył w bok i wycelował w okno. W chacie poruszył się jaki cień i znikł. Johnny rzucił się biegiem naprzód i znów odskoczył w bok. Myślał, że po morderczych trudach dnia nie pozostało w nim kropli wilgoci, a tymczasem zaczął się pocić obficie i serce tłukło mu się o żebra. Nie wiadomo skąd pojawiła się energia, która pobudziła mięśnie do szybkiego działania. W chacie rozległ się wystrzał i kula rykoszetowała gdzieś na drodze za plecami Johnny'ego. Zobaczył cień zbliżający się ku oknu. Ujrzał stojącego przy oknie Bucka Millera z twarzą na wpół zakrytą wzniesionym ramieniem i naprowadzanym na cel karabinem.

Johnny strzelił w okno, podbiegł parę kroków, uskoczył i znowu strzelił. Pierś i ramiona Bucka Millera zakołysały się, karabin się zachwiał i strzał poszedł bokiem. Johnny zatrzymał się. Wpakował dwie kule w kołyszący się tors i spostrzegł, że jego cel okręca się, osuwa na ziemię. Podbiegł do węgła domu słysząc łoskot kopyt końskich w chacie. Skoczył do drzwi, podniósł zaszczepkę i otworzył je; zrobił to błyskawicznym ruchem i rzucił się w bok oczekując strzału. Ale strzał nie padł.

Przez dziesięć, piętnaście sekund Johnny trwał nieruchomo, póki przemożny strach nie kazał mu się wycofać spod tej ściany w przewidywaniu, że Buck Miller mógł wyskoczyć przez okno i zajść go od tyłu. Cofał się aż do miejsca, skąd widział dwie ściany chaty. Zrobił parę kroków w prawo, żeby móc lepiej zajrzeć przez drzwi do wnętrza, i wówczas zobaczył w kącie skuloną postać. Ruszył ku drzwiom, zbyt wyczerpany, aby zachować ostrożność. Postać nie poruszyła się, a kiedy stanął w drzwiach, ujrzał wyraźnie Bucka Millera klęczącego z głową i ramionami wciśniętymi w kąt. Wyglądał na martwego.

Johnny chwycił za uzdę konia, który podszedł do drzwi, wyprowadził go na zewnątrz, klepnął po zadzie, a sam wszedł do chaty i zbliżył się do Millera. Wziął go za ramiona, obrócił i puścił. Osuwającemu się bezwładnie na bok Millerowi spadł z głowy kapelusz. Oto człowiek, który sobie wyobrażał, że on, Johnny Potter, będzie wolał uciekać niż podjąć walkę. Skąd on tyle o mnie wiedział? - pomyślał Johnny. - Miał rację, ale skąd o

tym wiedział? Mdliło go, czuł się wyczerpany. Podszedł do drzwi i na chwilę oparł się o framugę, żeby zetrzeć z twarzy wyschłą sól i zaskorupiały pył. Konie stały o trzysta stóp od chaty. Kolana mu się trzęsły, kiedy przemierzał ten krótki odcinek drogi, zabrakło mu tchu i musiał przystanąć; potem ruszył dalej, dźwignął się na siodło i udał się przez gęstniejący mrok w dalszą drogę.

Choć wiedział, że teraz jest bezpieczny, wpatrywał się w cienie i drogę z tym samym co dawniej napięciem. Nie chciało go opuścić; zbyt długo mu towarzyszyło. Dotarł na wierzchołek wzgórza i zjechał po ostatniej pochyłości do The Dalles około dziesiątej wieczorem, kończąc tym samym swą próbę ogniową i dręczące czuwanie. Wells Fargo było zamknięte. Musiał dopytać się o adres agenta i sprowadzić go z domu do urzędu. Stał oparty o biurko, póki nie zważono piasku i nie dano mu pokwitowania.

Znalazł stajnię dla koni i udał się do hotelu „Umatila", gdzie wynajął pokój. Wstąpił do baru i zjadł gorący posiłek. Potem poszedł do swego pokoju, zdjął buty i wsunął rewolwer pod poduszką. Następnie położył się nie nakrywając się niczym.

No, zrobione - myślał. - Mogą sobie kupić te cholerne rancza. - Leżał nieruchomo i czuł się odrętwiały, jakby sparaliżowany, a powieki, kiedy je zamykał, paliły go jak ogień. Zza okna dobiegał gwar miejski i słaby wietrzyk poruszał firanką. Otworzył oczy wyczuwszy coś niepokojącego koło siebie; zaczął szukać, co to takiego. W końcu znalazł: był to słaby blask, który padał przez okno z ulicy na ścianę pokoju. Cień chwiejącej się na wietrze firanki poruszał się to w tę, to w tamtą stronę. Wciąż czując kołysanie konia, ukojony nim zasnął. Nie był to sen zdrowy, lecz niespokojny sen ze szlaku, czujny, i nagle Johnny przebudzony ostrym ostrzeżeniem napiętych zmysłów zerwał się z łóżka, wyjął rewolwer spod poduszki i strzelił w ścianę.

Huk strzału otrzeźwił go zupełnie i Johnny stwierdził, że wpakował kulę w tańczący na ścianie cień firanki. Chwilę stał patrząc na swoje dzieło, zastanawiając się nad nim i nasłuchując, czy po schodach nie nadbiega ktoś zaalarmowany strzałem. Ale nikt nie przyszedł; widocznie w tym hotelu byli przyzwyczajeni do dziwnego zachowania ludzi przybyłych z dziczy. Johnny położył rewolwer na komodzie, wsunął się pod kołdrę i zasnął spokojnie i tak głęboko, że nawet huk piorunu nie byłby zdolny go obudzić.

Tłumaczenie Wacław Niepokólczycki

**Will Henry**

## Najwyższy Indianin w Toltepec
(The Tallest Indian in Toltepec)

Tam, gdzie droga jezdna z Toltepec w stanie Chihuahua dotarła do Rio Grande, miejsce przeprawy było znane jako Bród Apaczów, gdyż Indianie używali go w czasie swoich wypraw ze Starego Meksyku do Teksasu. Przeprawa ta nie cieszyła się jednak dobrą sławą i korzystał z niej tylko ten, kto mając własne po temu powody, nie chciał przebywać rzeki przez nową tak zwaną Przeprawę Górną.

Ten szczegół nadgranicznego życia był dobrze wiadomy pułkownikowi Fulgencio Ortedze. Nie zapomniał o tej furtce Indian do El Paso. I dlatego właśnie osobiście trzymał tu straż.

Pułkownik Ortega był rosłym mężczyzną, a przy tym niezwykle energicznym. Zasłużył sobie na miano, jakim go obdarzyli descamisados — konający z głodu, obszarpani nędzarze: „Oprawca Camargo". Prowincja Chihuahua nie miała wybitniejszego syna ani równie znanego zabijaki w szeregach rurales, zwanych też okrutnymi sępami, nieregularnych oddziałów włóczących się nad granicą.

Teraz wraz ze swymi podkomendnymi, bandą łajdaków, którzy tak zupełnie byli wyzbyci przyzwoitości i dyscypliny, że tylko ich pionowa postawa świadczyła o tym, że są ludźmi, siedział bezczynnie nad popiołami dogasającego ogniska. Było już po kolacji, kilku żołnierzy o zakazanych twarzach ospale czyściło menażki. Inni przykucnęli wokoło serape, rozciągniętego na ziemi i czkając narzekali na brak szczęścia podczas gry w karty, w której pieniądze zastąpiono ziarnami kukurydzy. Wieczorny upał nadal wprost dusił. Nawet teraz, kiedy słońce zaszło za Rio, trudno było oddychać. Końskie muchy unoszące się nad pikietującymi brzeg jeźdźcami brzęczały i kąsały jak wściekłe lisy. Sytuacja była kiepska. Przez cały dzień, który spędzili nad brodem, najmniejsza rybka nie wpadła w ich sieci, żaden wędrowiec z Toltepec nie próbował przejść przez prowizoryczną barykadę zbudowaną w poprzek drogi jezdnej.

— Volgame! — powiedział Ortega. — O Boże, ależ nudno tak tu sterczeć, co Chivo?

Słowo to po hiszpańsku znaczyło „kozioł" i brodaty obdartus, który się odezwał, rzeczywiście dobrze odpowiadał przezwisku.

— Racja — przytaknął. — Ale w twojej służbie człowiek się uczy cierpliwości. A także głodować, kryć się. Uczy się znosić ukąszenia moskitów, wszy. Jak używać ziaren kukurydzy zamiast pieniędzy. Jak pić wyłącznie wodę, bez kropli w niej tequili Wielu rzeczy, ekscelencjo, człowiek się u ciebie uczy.

Ortega uśmiechnął się i bez słowa ostrzeżenia uderzył go w twarz twardym końcem pejcza. Pejcz rozciął skórę, trysnęła szkarłatna krew.

— A także dobrych obyczajów — dokończył spokojnie pułkownik.

Chivo splunął w kurz.

— Si — powiedział, — także dobrych obyczajów.

W tym momencie obdartus pilnujący barykady krzyknął do dowódcy, że ktoś nadjeżdża drogą.

— Czym? — spytał Ortega nie wstając.

— Wózkiem zaprzężonym w osła.

— Ilu widzisz ludzi?

— Dwóch. Mężczyznę i chłopca. Wiozą chyba drzewo na opał.

— No to przepuść ich.

— Nie przeszukamy wózka, jefe?

— Po co? Drzewo nam potrzebne?

— Po to, jefe, żeby sprawdzić, czy jego nie ma, to są Indios.

Słysząc to Ortega zerwał się na równe nogi, jednym skokiem znalazł się przy barykadzie, za nim ruszyli Chivo i reszta. W milczeniu obserwowali, jak się zbliża niewielki wózek zaprzężony w osła. Gdyby w tym momencie zaczęli dyszeć czy warczeć, nie byłoby w tym nic dziwnego - tak bardzo przypominali stado wilków.

*

Człowiek jadący wózkiem nazywał się Diaz. Widząc groźną postawę nieznajomych, pobladł, ale spokojnie odezwał się do swego małego synka:

— Chamaco — powiedział — ci tam przed nami, to niedobrzy ludzie. Może mi się przytrafić coś złego. Jak tylko nadarzy się sposobność, uciekaj w zarośla. To są wrogowie naszego wodza.

— Znasz ich, tato? Wrogów naszego presidente?

— Znam tego z batem, nazywa się Ortega.

— Oprawca? — Chłopiec prawie wyszeptał to straszliwe przezwisko, a Juliano Diaz ściągnął cugle osłom i nie poruszając nawet głową ani nie odrywając oczu od żołnierzy przy barykadzie, potwierdził:

— Si, hijo. To on, Morderca Camargo. Jeśli ci życie miłe, nie wymawiaj przy nim imienia El Indio, chyba żebyś go przeklinał. Oni chcą go zabić.

El Indio było to czułe przezwisko nadane przez nędzarzy rewolucyjnemu prezydentowi, któremu nie szczędząc własnej krwi dopomogli objąć władzę, ale który teraz walczył rozpaczliwie o przetrwanie swego nowego rządu i o prawa, jakie usiłował nadać descamisados całego Meksyku, Indianom takim jak on sam, jak Juliano i Chamaco Diazowie, wszystkim ludziom niezależnie od tego, jaka krew płynęła w ich żyłach, hiszpańska czy niehiszpańska. Dla małego chłopca, jak Chamaco, El Indio był kimś takim jak Chrystus, tylko bardziej realnym. Żadnego z nich nigdy nie widział, ale był pewien, że gotów jest umrzeć za swego presidente, natomiast co do Zbawiciela nie miał tej pewności.

Słysząc ostrzeżenie ojca skinął głową odważnie, jak przystało na dziesięcioletniego chłopca mającego przed sobą Oprawcę Camargo.

Jeśli idzie o Ortegę, to ponure swe przezwisko uważał za dowód ignorancji i buntowniczości ze strony ubogich Indios. Przecież rola żołnierza wymagała bezwzględności, a ludzie nigdy nie potrafili zrozumieć,

że wojsko, nawet samozwańcze, musi stosować środki ostrożności. Co nie znaczyło, że Hiszpan z pochodzenia nie mógł być uprzejmy w ramach swych trudnych obowiązków. Pułkownik machnął niedbale pejczem w stronę wózka.

— Dobry wieczór, obywatelu — pozdrowił Diaza. — Bez wątpienia zdziwiłeś się widząc nas tutaj. Ale niedługo będziemy cię tu zatrzymywać. Proszę, zsiądź z wozu.

— Que pasa, ekscelencjo, o co chodzi? — Przerażony Diaz nie posłuchał rozkazu i siedział nieruchomo.

— Ach, więc znasz mnie! — Na twarzy Ortegi malowało się wyraźne zadowolenie. — Takie było moje zadanie - żeby mnie dobrze poznali zwolennicy El Indio. Nie słyszeliście mego rozkazu?

— Co takiego? — spytał Diaz. — Nie dosłyszałem, co pan powiedział, panie pułkowniku.

Ortega drgnął. Machnął pejczem i rzemień uderzył w cienką szyję Diaza. Gwałtownym podrzutem przywódca guerilli zrzucił drobnego mężczyznę na ziemię, a pętla bata omal mu nie połamała żeber.

— Powiedziałem: zsiadaj, Indio — uśmiechnął się. — Nie słuchasz uważnie. O co chodzi? Nie dowierzasz swoim meksykańskim braciom?

Diaz tylko wzrostem był mały, duchem był olbrzymem.

— Nie jesteście moimi braćmi — mruknął. — Jestem Indianinem.

— Istotnie — zgodził się Ortega pomagając mu wstać z przydrożnego kurzu. — I dlatego szukamy go.

Diaz cofnął się o krok, żeby uniknąć dłoni pułkownika Fulgencio Ortegi, i milcząc stał z dumną miną, ale teraz chłopiec zeskoczył z wózka i odpowiedział za niego.

— Co takiego! — krzyknął nie będąc w stanie pojąć, że ktoś naprawdę chciałby wyrządzić krzywdę ukochanemu presidente. — Czy naprawdę chcecie skrzywdzić naszego drogiego… — Zbyt późno przypomniał sobie ostrzeżenie ojca i urwał raptownie. Ortega lubił jednak odważnych chłopców, więc się nie rozgniewał.

— Uspokój się, mały koguciku — powiedział łagodnie. — Nie mówiłem nic o wyrządzaniu krzywdy El Indio. Nic nie mówiłem o waszym wielkim prezydencie. Skąd ci więc przyszło do głowy, że to jego szukamy, co?

Wszyscy mieszkańcy Meksyku znali odpowiedź na to pytanie. Od tygodni całych kraj przenikały pokątnie szeptane wiadomości, że El Indio wybiera się do Stanów Zjednoczonych, żeby zdobyć tam złoto i pomoc od innego wielkiego presidente, Abrahama Lincolna. Nie ulegało wątpliwości, że taka podróż będzie utrzymywana w tajemnicy, by zmylić wroga. Ale od Oaxaca do granicy teksaskiej descamisados byli w pogotowiu, wypatrując „Małego Indianina”, żeby w razie czego pomóc mu w potrzebie.

Chamaco Diaz zawahał się nie wiedząc, co odpowiedzieć. Milczenie przerwał ojciec, dzielny Juliano, żeby odpowiednio skierować jego myśli.

— Nie mów nic, hijo — powiedział spokojnie i z tymi słowy wyprostował się.

Chamaco skinął głową. On również wyprostował się stojąc koło ojca.

Nie zamierzali powiedzieć ani słowa więcej i Ortega to pojął.

— Moi drodzy — rzekł wreszcie — nie zrozumieliście mnie. My nie chcemy zrobić krzywdy presidente, my chcemy go tylko zatrzymać.

Choć wyprostowany jak struna, Chamaco nadal był tylko małym chłopcem, który nie nauczył się jeszcze sztuki kłamania.

— Dlaczego wobec tego pan nas zatrzymuje, coronel? — spytał. — Jesteśmy tylko biednymi zbieraczami drzewa z Toltepec i jedziemy do El Paso.

— W tym właśnie cały kłopot — wyjaśnił Ortega trzasnąwszy z bata. — Widzisz, pobrecito, otrzymałem rozkaz, że każdy Indianin przekraczający granicę musi być zmierzony według linii, którą widzisz naciętą na tym wyschłym dębie. — Wskazał pejczem wybieloną słońcem krechę. — Widzisz ją na drzewie?

— Si, coronel.

— Znajduje się ona na wysokości pięciu stóp od ziemi, chico. To jest właśnie miara waszego wspaniałego presidente, choć może niezbyt dokładna. Cała rzecz w tym, że ja osobiście nie znam tego wielkiego człowieka i nie poznałbym go, gdybym go spotkał. Ale mamy podany jego wzrost i wymyśliłem własną metodę, która - powiedzmy - wykluczy szansę przedostania się El Indio przez rzekę i jego dotarcia do Stanów Zjednoczonych.

— Coronel — odezwał się Juliano Diaz blednąc jak ściana mimo swej wielkiej odwagi — co pan mówi?

Ortega wzruszył dobrodusznie ramionami.

— Tylko to, że jeśli jesteś Indianinem, którego ani ja, ani moi ludzie nie znamy osobiście i jeśli masz tyle wzrostu co El Indio, a ja ciebie zatrzymam, to uniemożliwię ewentualną ucieczkę waszego wielkiego presidente, zrozumiałeś?

— Chce pan powiedzieć, że pańskim zdaniem ja, Juliano Diaz z Toltepec, jestem… — nie dokończył tej myśli, tak mu się wydała absurdalna. Czy naprawdę ten zbuntowany pułkownik mógł przypuścić coś takiego? Że on, Diaz, jest przywódcą narodu, wielkim El Indio? Na twarzy Diaza odmalowała się wyraźna ulga. Mimo wszystko w pomyśle tym, choć bolała go jeszcze mocno szyja od uderzenia batem, było coś ironicznego. — Proszę, ekscelencjo — zakończył Diaz zmuszając się ze względu na przerażoną minę Chamaco na uśmiech — postawić mnie przy tej miarce, tak żebyśmy z synem mogli ruszyć jak najszybciej w drogę do El Paso. Moja żona jest chora i za pieniądze uzyskane za to drzewo kupimy w Teksasie lekarstwo.

— Chivo! — warknął Ortega już się nie uśmiechając. — Zmierz tego Indianina.

Chivo chwycił Diaza za kark i zaciągnął go do drzewa. Przyciskając mu głowę do chropawego pnia spojrzał uważnie na kreskę.

— Akurat pasuje, jefe. Dokładnie ten wzrost.

— Doskonale, wobec tego zatrzymaj go.

Pułkownik Ortega uważając sprawę za zakończoną, odwrócił się z powrotem do ognia. Nie obejrzał się nawet na wystrzał z pistoletu, który roztrzaskał głowę Juliano Diaza. A choć usłyszał również za plecami

rozpaczliwy krzyk małego Chamaco, powiedział gniewnie do skrofulicznego sierżanta:

— Kawa, Portales. Jesus Maria! Ależ upał nad tą cholerną rzeką.

Jaki miał być los Chamaco, nikt nie wiedział. Opierającego się Chivo zaciągnął do ognia; z naszykowanym pistoletem, żeby go również wykończyć, czekał tylko na znak pułkownika. Ale nikt nie potrafiłby powiedzieć, czy Ortega darowałby mu życie. W momencie, gdy następna śmierć była tuż, tuż, po amerykańskiej stronie rzeki rozległ się tętent kopyt końskich i jeździec w wysokim sombrero, świadczącym wyraźnie o jego meksykańskim pochodzeniu, pokonał na spienionym koniu bród i zatrzymał się przy ognisku, tuż przed Oprawcą Camargo.

— Coronel! — zawołał. — Przybywam i El Paso. Mam ciekawe wiadomości. W mieście jest El Indio. Widział się już z amerykańskim presidente i wraca do Méjico!

Ortega cofnął się gwałtownie, jak gdyby ktoś mu zadał cios w twarz jego własnym batem. Wilcze stado zbliżyło się do niego. Chivo zdumiony faktem, że El Indio wyśliznął się z Meksyku i teraz miał wracać, puścił Chamaco. To sprytnemu indiańskiemu chłopcu wystarczyło. Jednym skokiem znalazł się w nadrzecznej gęstwinie i zniknął w krzakach z opóźnieniem stosując się do polecenia ojca.

Chivo, z dymiącym jeszcze pistoletem, puścił się na czele bandytów w pogoń za chłopcem. Ortega wściekle przeklinając swoich ludzi za ich niedołęstwo biegał tam i z powrotem trzaskając z bata.

— Zabijcie go, głupcy! — krzyczał. — On nie może przedostać się za rzekę. Strzelajcie, strzelajcie! Wypłoszcie go, zastrzelcie! Nie może ostrzec Amerykanów, że wiemy, że u nich jest El Indio! Za nim, za nim, wy durnie!

Chamaco przedzierał się i kluczył w gęstych krzakach, by ocalić życie. Strzały prześladowców ścinały wokół niego gałęzie. Ostre kolce mezquitów i czarnego chapparralu raniły go do krwi. Na odległość rzutu kamieniem słyszał okrzyki i przekleństwa ścigających go żołnierzy. Płakał z żalu po ojcu, ale biegł! Z pomocą boską uda mu się dotrzeć na drugi brzeg i spotkać z El Indio.

Kiedy powziął tę rozpaczliwą decyzję, ujrzał przed sobą szczelinę w gęstwie zarośli i srebrzysto-czerwoną w zapadającym zmierzchu Rio Grande.

Myśli jadącego konno o zmierzchu do El Paso Charliego Shonto nie były w stanie rozjaśnić jego spalonej na brąz twarzy.

No cóż, znowu czeka mnie praca, rozmyślał. Ale z każdym miesiącem stawała się ona cięższa, a zarobek coraz mniejszy.

Kim był on, Charlie Shonto? I co reprezentowało Teksaskie Towarzystwo Ekspresowe? I dlaczego był taki ponury, teraz kiedy pochylił się nad swym zmęczonym wierzchowcem i powiedział łagodnie:

— Jeszcze trochę tej wspinaczki, a potem czeka na ciebie smaczna trawa i chłodna woda.

Tak, istniało jakieś powinowactwo pomiędzy takimi jak Charlie Shonto i Teksaskie Towarzystwo Ekspresowe - nawet jeśli ten fakt był bolesny. Towarzystwo to było lokalną firmą trudniącą się przewozem zarówno

towarów, jak i pasażerów, a choć u progu bankructwa, mogło wystawić zaprzęg czterech silnych koni, Shonto zaś był „specjalnym przedstawicielem” owego towarzystwa. Jednak Charliego Shonto tytuł ten bynajmniej nie łudził. Znał krótszy, bardziej dosadny termin, określający pracę, jaką wykonywał dla Teksaskiego Towarzystwa Ekspresowego. „Rewolwerowiec".

Shonto nie obchodziło, pod jaką występuje etykietą; w ryzyku związanym z jej noszeniem też nie znajdował specjalnej przyjemności. Ale „towarzyszący strzelec”, jadący na koźle dyliżansu z karabinem firmy Parker czy L. C. Smith, lub konno z winchesterem przy kolanie brał dobre wynagrodzenie za swoje specjalne usługi. Te specjalne usługi oczywiście groziły tak wielkim ryzykiem, że szanse przeżycia były znikome i pieniądze tu o niczym nie decydowały. Nie zdziwił się więc Shonto, że znowu miał zostać wysłany przez Teksaskie Towarzystwo, by wykonać „specjalne zadanie”. Zdziwienie mogło najwyżej wywołać samo zadanie, ale spalony na brąz jeździec wyzbyty był tego uczucia zupełnie. Wiedział z góry, że jeśli posyła po niego Teksaskie Towarzystwo Ekspresowe kusząc „intratną propozycją”, to została ona z pewnością odrzucona nie tylko przez straż obywatelską, ale i armię amerykańską, nie mówiąc już o Wells Fargo czy Poczcie Transkontynentalnej lub jakimś innym wielkim towarzystwie przewozowym.

Shonto znowu cmoknął na swego bayo coyote, chudego płowego wierzchowca, z pręgą przez grzbiet, którego ironicznie zwał Grubasem.

— Za zakrętem, staruszku — uśmiechnął się — nigdy nie wiadomo, co nas czeka: kula czy dobry człowiek.

Grubas, suchy, sprężysty jak pantera koń, bardzo przy tym złośliwy, który sprawiał wrażenie, że potrafi jeść skałę nie wypluwając pestek, spojrzał złośliwie na swego pana i zastrzygł wystrzępionym nieco lewym uchem. Jeśli Shonto chciał dalszego komentarza, niż to spojrzenie świadczące o dezaprobacie, to się go nie doczekał, gdyż ledwie uwaga o kulach padła z jego ust, krzaki wokół niego zaczęła siec salwa za salwą, a w chwilę później rozległy się strzały karabinowe.

Instynktownie spiął konia ostrogami i kościsty wałach poderwał się do biegu jak wyścigowy koń na krótki dystans. Kiedy minęli zakręt, Shonto zdarł ostro cugle. Na drugim brzegu Rio Grande banda meksykańskich oberwańców strzelała do ciemnego podskakującego na wodzie okrągłego przedmiotu, widocznego pośrodku nurtu. Pierwszym odruchem Shonta była radość, że to nie do niego strzelano. Następnym zrozumiała ciekawość, do czego. Dopiero po chwili uświadomił sobie prawdę, pod wpływem której aż mu stężała twarz. Na amerykańską stronę płynął mały chłopiec.

Było już dobrze ciemno. W biurze Teksaskiego Towarzystwa Ekspresowego w El Paso siedziało trzech mężczyzn. Zaciągnięte story, przykręcona lampa, niecierpliwe spojrzenia rzucane na tykający na ścianie za biurkiem zegar, wszystko to było bardziej wymowne niż panująca cisza.

— Chciałbym, żeby Shonto już tu był — odezwał się Deems, agent firmy. — Nie lubię, jak się spóźnia. Może Ortega korzystając z ciemności przedostał się na nasz brzeg i zaskoczył go.

Drugi mężczyzna, ciężko zbudowany, ubrany wedle mody panującej na wschodzie Stanów, opanowany i raczej wyniosły, potrząsnął głową.

— Shonto nie jest z tych, co to dają się zaskoczyć, Deems. Zapominasz o tym, że przedtem dla mnie pracował. Nie wybrałem go na chybił-trafił. — Deems zesztywniał.

— Co nie znaczy, że potrafi przechytrzyć Ortegę!

Szeryf Nocero Casey, ostatni z tej trójki, przytaknął głową.

— Deems ma rację, panie Halloran. Mnie również nie martwi, że Charlie się spóźnia. Nic mu się nie stało, a jeśli Ortega dowiedział się, że posłaliśmy po Charliego Shonto… — urwał i wykrzywił się.

Halloran przerwał mu i wtrącił się szybko:

— To nie spóźnieniem Shonto pan się martwi naprawdę, co szeryfie? Proszę pamiętać, że liczę na pana. Nie odważyłem się sprowadzić tu całego oddziału szeryfów z głębi kraju. Mam nadzieję, że nie obleciał pana strach.

— Z pewnością nie. Ale kieruję się zdrowym rozsądkiem. Te rzeczy są poza moją jurysdykcją. Rząd powinien przysłać tu wojsko albo kogoś innego, żeby to załatwił. To zbyt poważna sprawa.

Halloran znowu potrząsnął głową.

— Rząd Stanów Zjednoczonych nawet jednego palca u nogi nie może postawić na drugim brzegu, szeryfie. Pan wie o tym najlepiej. Takie jest prawo. Dlatego postanowiliśmy sprowadzić tego „specjalnego agenta”. Pan Shonto jest człowiekiem, który zna się na prawie. Rozumie jego subtelności i wymogi.

— Tak… często miałem co do tego wątpliwości — powiedział szeryf. — Ale nie będę dyskutował na ten temat.

— Dobrze. Widzi pan, nie ma takiego prawa, które zabroniłoby Towarzystwu Teksaskiemu wykonać zamówienie, jakim jest dostarczenie naszej cennej przesyłki numer 13 do Toltepec. Dziś właśnie nowa meksykańska linia kolejowa miała zostać doprowadzona do tego miasta.

Agent Deems przerwał ten optymistyczny wywód powątpiewającym mruknięciem.

— O Boże, panie Halloran, po co dyskutować o tym, co możemy przesłać tą przeklętą Meksykańską Centralną Linią Kolejową, która ma jakoby regularnie działać pomiędzy Toltepec i stolicą, jeśli - o ile mi wiadomo - nie mają nawet jednej porządnej lokomotywy! Ta cała ich linia jest jeszcze w powijakach!

Halloran wysunął z uporem swoją mocną dolną szczękę.

— Widzę, Deems, że pana też strach obleciał! A ja sądziłem, że plan został ostatecznie ustalony. Gdzie jest oddział wojskowy?

Agent Deems spojrzał na pytającego, jak gdyby ta tajna służba rządowa zupełnie postradała zmysły.

— Gdzie jest oddział, pyta pan? W ogóle prawie go nie ma, panie Halloran. Pan tylko prosi, żeby dziś w nocy pańska cenna przesyłka numer 13 została dostarczona do końcowej stacji kolejowej w Toltepec w

Meksyku, o pięćdziesiąt mil od rzeki, żebyśmy ją przewieźli przez północną część prowincji kontrolowanej przez lojalistyczne oddziały guerilli pułkownika Fulgencio Ortegi, gwarantując przy tym, iż „bagaż" dostarczymy na pociąg w Toltepec cało i zdrowo, i żebyśmy potem wrócili z uśmiechem mówiąc: „Ależ to było głupstwo, codziennie możemy wykonywać takie zlecenia". O nie, proszę pana, pan nie jest po prostu stuknięty, pan jest zupełnie szalony.

— Doprawdy?

— Prawie — wtrącił się szeryf Casey. — Nie wiemy przecież, czy ten meksykański pociąg będzie czekać w Toltepec. Nie wiemy nawet, czy ci zwariowani Meksykanie w ogóle mają pociąg. Wiemy tylko tyle, że wy, przedstawiciele naszego rządu, powiedzieliście nam, że mają pociąg i że będzie on czekać w Toltepec, jeśli dostarczymy tam przesyłkę numer 13. Jednak istnieje pewne ale.

Halloran miał się na baczności. Wiedział, że tylko ci miejscowi ludzie — Teksańczycy znający każdy szlak kojotów i każdą lisią ścieżkę prowadzącą do Chihuahua - mogą dostarczyć na miejsce przesyłkę numer 13. Teraz nie można popełnić jednego fałszywego kroku.

— Jeśli my wieźliśmy przesyłkę pięć tysięcy mil, szeryfie, to Teksaskie Towarzystwo Ekspresowe powinno załatwić pozostałe pięćdziesiąt mil do Toltepec.

— Hm! — powiedział Deems Harter. — Ma pan o wiele więcej zaufania do Towarzystwa Teksaskiego niż my. W rzeczywistości chodzi o jeszcze czterdzieści dziewięć mil. Jako agent gwarantuję panu zajęcie się przesyłką na przestrzeni jednej mili. To znaczy stąd do Rio Grandę. Od rzeki nie dam kłamanego grosza za to, że istnieją jakieś szanse na ten pociąg w Toltepec. Jeśli w ogóle tam jest jakiś pociąg.

Halloran potrząsnął głową wcale się tą teorią nie przejmując.

— Wcale nie mam zaufania do Towarzystwa Teksaskiego, Harter. Przecież stawiamy na Charliego Shonto.

— Taaa — zgodził się kwaśno Harter. — Ale akurat w tej chwili Charlie Shonto wygląda na dość kiepską stawkę.

— W każdym razie — przerwał mu szeryf Nocero Casey, który podszedł do frontowego okna, żeby wyjrzeć na ulicę — bardzo mokrą. Oto nadchodzi nasz agent od specjalnych poruczeń i robi na mnie wrażenie, jakby się już przeprawił przez rzekę. Jeszcze ocieka wodą.

Halloran i Harter podeszli do niego spiesznie i razem z nim wyjrzeli przez okno zza zaciągniętej story. Pierwszy oprzytomniał agent towarzystwa.

— O Boże! — jęknął. — Co on tam wiezie?

Szeryf Nocero spojrzał uważnie.

— Dość kiepskie oświetlenie w El Paso niezbyt sprzyja robieniu zakładów, ale gdyby tak mi kazano zrobić rozpoznanie na tę odległość, powiedziałbym, że to mokry jak żaba, niedożywiony indiański chłopak z plemienia Chihuahua.

W ciemnawym biurze Towarzystwa Teksaskiego znowu zapanowało milczenie. Ucichły pierwsze powitania. Shonto i Halloran krótko napomknęli o swoich przeżyciach w czasie wojny domowej i rozmowa

znowu utknęła w punkcie, gdzie każdy urywa w połowie zdania wiedząc, że za następne słowo płaci się pieniądze. Szeryf Casey, agent Harter, Shonto, nawet mały Chamaco Diaz wszyscy patrzyli uważnie na P. J. Hallorana.

— Słuchaj, Charlie — powiedział wreszcie — nie posłaliśmy po ciebie po to, żebyś nam opowiadał o swoich poprzednich wyczynach. — Twarz wykrzywił mu grymas, który zarówno mógł być, jak i mógł nie być uśmiechem. — Uważałem, że wzmianka o przeszłości może cię przygotować do pewnej propozycji, jaką ci zamierzamy zrobić.

— Tak pan mówi, panie Halloran, jakby się pan spodziewał, że pańskie irlandzkie pochlebstwa zmiękczą mój zdrowy rozsądek. — Uśmiech Shonto był jeszcze trudniejszy do sklasyfikowania. Był twardy jak krzemień, a jednak rozgrzany wewnętrznym ciepłem, świadczącym o umiłowaniu życia. — Marnuje pan jednak swoje talenty — zakończył. — Minęło już kilka lat, od kiedy przedzierałem się dla pana przez linie wojsk Południa, i teraz nie zrobię już nic za poklepanie po ramieniu przez rodaka. W czasie wojny nauczyłem się, że pochwały i wyróżnienia rządowe nie warte są funta kłaków. Nie dlatego to mówię, żebym żałował mojej służby w wywiadzie. Ale nikt nie chciałby monopolizować roli bohatera. Zwłaszcza gdy dokonywał wielkich czynów pod sztandarami Północy, a zarabiać na życie musi na Południu. Pan tylko od czasu do czasu przebywa w Teksasie, panie Halloran, i nie musi pan się wysilać, by przypominać miejscowym ludziom, że podczas wojny domowej brał pan żołd w zielonych banknotach Północy. Comprende?

Halloran szybko skinął głową.

— Nie bądź głupcem, Charlie — powiedział. — I Harter, i szeryf Casey zostali przez nas sprawdzeni, zanim podaliśmy twoje nazwisko. Nic ich te stare sprawy nie obchodzą. Możemy zapomnieć o twoich wojennych wyczynach.

— Miło mi to słyszeć. Ale jednak ciągle wspominam te czasy. Prawdę mówiąc, nieraz budzę się zlany potem. A teraz mogę z tym wszystkim zerwać, czyż to nie cudowne?

— Shonto — surowa twarz Hallorana znowu stała się zimna — podejdź tu do okna. Chcę ci coś pokazać. — Wziął lornetkę z biurka Hartera i Shonto podszedł z nim do okna. Halloran podał, mu lornetkę i powiedział cicho: — Spójrz na ten balkon hotelu „Franklin”. Powiedz mi, co widzisz. Opisz dokładnie.

Z jego tonu Shonto zorientował się, że rozmowa będzie o pieniądzach. Wziął lornetkę i skierował na galerię dwupiętrowego hotelu, który zdobiła żelazna balustrada tak charakterystyczna dla ówczesnej południowo-zachodniej architektury amerykańskiej.

— Tak — zaczął ściszonym głosem. — Widzę mężczyznę. Jest niski. Ma nie więcej niż pięć stóp wzrostu. Prosty jak świeca. Mocno zbudowany. Szeroki w ramionach. Twarz ma bardzo ciemną, o ile mogę dostrzec w świetle, jakie pada z okna pokoju znajdującego się za nim. Ubrany jest w czarny garnitur typowy dla wschodniego wybrzeża, który na niego nie pasuje, i to samo mogę powiedzieć o białym krochmalonym kołnierzyku i krawacie. Czarny kapelusz bez załamania nosi prosto jak sombrero.

Czarne, długie włosy sterczą mu jakby obcięte nożycami do strzyżenia koni. — Urwał i marszcząc się, żeby lepiej widzieć, dodał: — O do diabła, to przecież Indianin ubrany jak biały człowiek!

— Tak jest, masz rację — potwierdził cicho Halloran. Odwrócili się obaj do okna. — Tam, na tym balkonie, stoi najważniejszy zaraz po Lincolnie człowiek w Ameryce Północnej. Nie mogę ci zdradzić, kim on jest, dla ciebie to przesyłka numer 13, aż do chwili, kiedy dostarczysz go bezpiecznie na pociąg czekający w Toltepec.

— Jaki znowu pociąg w Toltepec? — Shonto zmarszczył brwi. — Od kiedy to linia kolejowa dotarła do tej zakazanej dziury?

— Mam nadzieją, że od dzisiaj — odparł Halloran. — Rzecz w tym, że nikt, podobnie jak ty, nie wie, że do Toltepec została doprowadzona linia kolejowa. Ostatnie kilka tysięcy jardów szyn miało zostać położone dzisiaj. Liczymy na to, że nawet Ortega i rurales o tym nie wiedzą. A nawet gdyby się dowiedzieli. nie przyjdzie im do głowy, że ucieczka odbywać się będzie pociągiem.

— Gra va banque co? Ta przesyłka numer 13 to musi być cholernie grubą rybą.

— I jest — odparł przedstawiciel rządu. — W każdym razie spodziewamy się, że ten pociąg będzie czekać w Toltepec o północy. Jeśli dostarczymy przesyłkę numer 13, pociąg o świcie minie Camargo i w ten sposób znajdzie się poza zasięgiem Ortegi, oczywiście jeśli w ogóle będzie.

— „Jeśli" to najdłuższe pięcioliterowe słowo na świecie — stwierdził Shonto. — Ale proszę, niech pan kończy.

— Wiemy bardzo dobrze, że pomiędzy El Paso i Toltepec znajdują się znaczne siły wroga. Nie muszę ci wyjaśniać, jakiego wroga mam na myśli. Sądzę, że wystarczająco dobrze poznałeś pułkownika Ortegę i jego „lojalną milicję".

— Tak, zupełnie wystarczająco. A gdyby przypadkiem chciał pan wiedzieć, dlaczego Chamaco i ja tak bardzo zamoczyliśmy się w Rio, to pragnę wyjaśnić, że spotkaliśmy lojalną armię Ortegi, a w każdym razie oddział na tyle nieduży, że mogłem sobie z nimi poradzić. Jak do kaczki strzelali do tego dzieciaka płynącego wpław przez rzekę. Uciekł w kilka minut po tym, jak zastrzelili mu ojca. Koń zdenerwował się strzelaniną, poniósł mnie i skoczył prosto do tej przeklętej rzeki. I wtedy znalazłem się w sytuacji równie paskudnej jak ten chłopak, a ponieważ doszedłem do wniosku, że dwóch może jechać za tę samą cenę co jeden, więc go wyłowiłem i dotarliśmy do amerykańskiego brzegu trzymając się ogona Grubasa, i co chwila nabierając powietrza i dając nurka pod wodę. Muszę postarać się o drugiego konia. Przy mojej pracy nie można ryzykować z takim płochliwym strachem na wrony jak ten cudak.

— Kiedy zdecydujesz, ile chcesz za Grubasa — wtrącił się szeryf — to mnie zawiadom. Ja właśnie szukam takiego stukniętego konia.

— Charlie — przerwał im Halloran — interesuje cię ta sprawa czy nie? Wkrótce musimy ruszać.

Shonto w zamyśleniu skinął głową, nie lubił, jak go poganiano.

— To zależy. Nie powiedział pan przecież wszystkiego.

— Więc słuchaj. — Halloran zaczął mówić szybko: — Ten niski mężczyzna w czarnym ubraniu wiezie ze sobą kredytowy list rządu Stanów Zjednoczonych na olbrzymią sumę około pięćdziesięciu milionów dolarów. To znaczy amerykańskich dolarów, nie meksykańskich. Pieniądze te mają podtrzymać rewolucję w jego kraju. — Halloran zrobił wymowny gest w stronę Rio Grandę i Meksyku. — Nie potrzebuję ci mówić, Charlie, do czego byliby zdolni ludzie w stylu Ortegi, żeby nie dopuścić, by ten list kredytowy dotarł do stolicy Meksyku. Pieniądze te oznaczają koniec rebeliantów, którzy nazywają siebie lojalistami, zwycięstwo rewolucji i utrzymanie się jej przy władzy. Jak się sam zorientowałeś w momencie, kiedy cię koń poniósł, pułkownikowi Ortedze zostało powierzone zadanie zamknięcia granicy stanu Chihuahua. Twoim zadaniem będzie otworzyć tę granicę.

Uśmiech Charliego Shonto był równie suchy jak pył na szlaku.

— Głupstwo. Mając do pomocy dziesięć albo dwanaście oddziałów straży obywatelskiej i pułk regularnej kawalerii z łatwością sobie poradzą.

— Nie żartuj, Charlie. — Halloran wyciągnął jakiś dokument i podał go Shonto. — Oto moje pełnomocnictwa. Nie potrzebujesz ich czytać. Przeczytaj tylko postscriptum na końcu strony przy podpisie, poniżej wielkiej pieczęci tego kraju, dla którego i ty, i ja walczyliśmy, kiedy od nas tego potrzebował.

Shonto spojrzał na dokument i przeczytał głośno, powoli:

„Ktokolwiek ułatwi posiadaczowi tego pisma wykonanie jego zadania, liczyć może na wdzięczność rządu Stanów Zjednoczonych i moją osobistą. Pomoc jego nigdy nie zostanie zapomniana.

Abraham Lincoln”.

— O Boże — westchnął Shonto oddając dokument z takim szacunkiem, jak gdyby to był oryginał deklaracji niepodległości. — Dlaczego pan od razu tego nie powiedział, panie Halloran?

— Podobnie jak ty — uśmiechnął się Halloran, i tym razem nie było żadnych wątpliwości, że jest to uśmiech — najcelniejszy strzał zostawiam sobie na ostatek. I co ty na to, Charlie?

— No cóż, ruszamy. Dla niego walczyć będę na ślepo, choćby z niedźwiedziem. Kogo mam do pomocy?

— Nikogo, Charlie. Tego człowieka dostarczyłem aż tutaj. Szeryf Nocero i agent Harter zajęli się nim tu, w mieście. Ale od El Paso do Toltepec jest pod twoją opieką. Jeśli, oczywiście, się zgodzisz.

Shonto skinął energicznie głową.

— I znowu to okropne słowo „jeśli”. Co tym razem pan do niego doda?

Halloran wziął z biurka Hartera zwiniętą w rulon mapę.

— Tylko tę mapę terenu pomiędzy El Paso i Toltepec, dostarczoną nam przez rząd meksykański. Znasz te okolice równie dobrze jak każdy po tej stronie Rio Grandę. Rzuć na nią okiem i powiedz mi, czy widzisz jakieś miejsce, przez które można by się prześliznąć do Toltepec omijając patrole Ortegi.

Shonto rozłożył mapę na biurku. Harter podkręcił knot. Czterej mężczyźni pochylili się nad pogniecionym pergaminem, zapominając zupełnie o małym Indianinie Chamaco Diazie, który bez słowa stał w cieniu, zastanawiając się, o czym rozmawiają ci Americanos. Chamaco przez pewien czas chodził do szkoły w El Paso i na tyle znał angielski, że rozumiał z grubsza, o co chodzi. Samotny i zrozpaczony, wiedział dobrze, kim jest ten Indianin w czarnym garniturze, i serce mu wezbrało dumą i miłością do tych Amerykanów, gotowych ryzykować własnym życiem po to, by El Indio cało i zdrowo dotarł do Ciudad de Mexico z pieniędzmi Stanów Zjednoczonych, przeznaczonymi na wsparcie dzielnego rządu presidente, rządu descamisados i pobrecitos, którzy tak jak jego ojciec Juliano Diaz, oddali w jego sprawie życie. Teraz przyglądał się, jak czterej wysocy Amerykanie pochylili się nad mapą jego ukochanej ojczyzny, i z zapartym tchem czekał na to, co powie szczupły mężczyzna ze spaloną na brąz twarzą.

Ten jednak najwidoczniej miał wiele wątpliwości. Mapa nie pokazała mu nic nowego. Wreszcie spojrzał na Hallorana.

— Nic mi to nie pomoże — powiedział. — Miałem nadzieję, że zobaczę stary szlak Apaczów, o którym tyle słyszałem. Ale wszystkie drogi, które ta mapa pokazuje, zawiodą mnie i tego człowieka w czarnym garniturze pod to samo drzewo, pod którym stał niedawno ojciec Chamaco. Ortega zna wszystkie te drogi.

— Nie ma więc żadnego sposobu?

— Owszem jest, prowadzący przez zarośla szlak Apaczów. Straż obywatelska go nie znalazła, ale wie, że on istnieje. Nieraz ścigali aż do samej rzeki Apaczów, którzy nagle im ginęli, jakby się zapadli pod ziemię. Gdybyśmy wiedzieli, jak ta ścieżka biegnie za Rio, mielibyśmy szansę kojota prześliznąć się koło zbirów Ortegi. — Shonto potrząsnął głową. — Ale nie ma na świecie białego człowieka, który by wiedział, gdzie ten szlak się znajduje... — W głosie jego brzmiała bezradność i czterej mężczyźni wyprostowali się powoli, ze znużeniem, w poczuciu klęski. Nagle ponurą ciszę przerwał cienki głosik zapomnianego chłopca.

— Señores, ja nie jestem białym człowiekiem.

Shonto i jego towarzysze obrócili się gwałtownie. Chamaco wysunął się z cienia i stanął w kręgu światła lampy.

— Jestem Indianinem, patrones, i wiem, jak idzie ten szlak.

Czterej mężczyźni wymienili zdumione spojrzenia, a ich nagłe milczenie Chamaco wytłumaczył sobie jako wymówkę, że ośmielił się wtrącać do rozmowy tak potężnych przyjaciół Meksyku. Zmieszany skłonił się niepewnie i znowu cofnął w cień.

— Oczywiście — powiedział cicho — nie będziecie chcieli zawierzyć Indianinowi. Proszę mi wybaczyć, señores.

Shonto podszedł do niego. Położył rękę na szczupłych plecach chłopca i polecił mu podejść do okna. Odchylił storę i Chamaco posłusznie spojrzał na hotelowy balkon.

— Chłopcze, czy wiesz, kto stoi tam, na tej galerii?

Oczy Chamaco zabłysły dumą.

— Si, patron! — zawołał wzruszony. — To on! Któż inny mógłby z takim smutkiem spoglądać na drugi brzeg rzeki?

Shonto skinął głową.

— Jak sądzisz? Czy on zaufałby indiańskiemu chłopcu?

Chamaco wyprostował dumnie swoją niewielką postać. W jego odpowiedzi brzmiała godność biedaka.

— Patron — odparł — on przecież też kiedyś był indiańskim chłopcem.

Charlie Shonto znowu skinął głową. Zacisnął mocniej dłoń na ramieniu chłopca i obrócił go do obecnych:

— Zapewne nie wiecie, panowie, o tym, że właśnie zgodziłem indiańskiego przewodnika do Toltepec.

Mężczyźni przy biurku nic nie powiedzieli i znowu Chamaco źle zrozumiał ich wahanie.

— Patron — szepnął do Charliego Shonto — czy wie pan, kto tam stoi na balkonie, spoglądając ze smutkiem w stronę Mexico?

— Mógłbym się domyślać — odparł Shonto — ale nie chcę. Widzisz, Chamaco, ja nawet nie powinienem wiedzieć. On jest dla mnie zadaniem, które mam wykonać. I nie ma dla mnie znaczenia, kto to taki.

Mały Indianin był zdumiony, to, co usłyszał, przekraczało granice jego zrozumienia.

— I zaryzykowałby pan życie dla kogoś zupełnie obcego? — spytał z niedowierzaniem. — Dla Indianina w nędznym czarnym garniturze, jaki noszą biali? Dla śmiesznie wyglądającego człowieka w dziwacznym kapeluszu, o ciemnej skórze takiej samej jak moja? Pan by to zrobił, patron, i to za nic?

Shonto uśmiechnął się i poklepał go po głowie.

— Niezupełnie za nic, chłopcze.

— A więc za co, patron?

— Za pieniądze, chłopcze. Pesos. Muchos pesos.

— I tylko za to, patron?

Na to naleganie cyniczny uśmiech Shonto zgasł, Charlie zrobił bezradny gest przeznaczony dla Chamaco, o innych zapominając.

— Powiedzmy, że obserwowałem twoją twarz, kiedy przed chwilą patrzyłeś na ten balkon hotelowy. W porządku, amigo?

Ciemne oczy Chamaco Diaza rozbłysły jak świeczki na ołtarzu.

— Patron — powiedział żarliwie — powinieneś być Indianinem, masz oczy w sercu!

Shonto uśmiechnął się ze smutkiem.

— Coś mi się wydaje, chłopcze, że zanim przedostaniemy się dziś w nocy z naszą przesyłką przez linie Ortegi, będziemy sobie życzyć, żebym te oczy miał w tyle głowy.

Chamaco wyciągnął rękę, najpierw uścisnął dłoń wysokiego zabijaki, a potem ją poklepał.

— Patron — uśmiechnął się chłopiec — nie obawiaj się. Jeśli umrzemy, to umrzemy w sprawie słusznej i dobrej. Stracimy tylko nasze nieważne życie. Ten człowiek na balkonie ma w swych rękach życie wszystkich biedaków w Mexico. Czyż to nie uczciwa transakcja — nasze życie na ich życie i jego?

Shonto spojrzał na pozostałych mężczyzn.

— No cóż, Chamaco — powiedział — to jeden sposób patrzenia na tę sprawę. Wybaczcie nam, panowie, musimy zdążyć na pociąg do Toltepec. — Wziął w swoją dłoń rękę chłopca i wyszli na ulicę. Halloran ruszył za nimi. W drzwiach zatrzymał się chwilę i potrząsając głową spojrzał na agenta Towarzystwa i szeryfa.

— Czy wiecie, cośmy zrobili? Powierzyliśmy pięćdziesiąt milionów dolarów i przyszłość Meksyku indiańskiemu chłopcu, o którego istnieniu przed dwudziestoma minutami nawet nie wiedzieliśmy.

Była już głęboka noc, gdy dyliżans, model Concord o płóciennym dachu, kołysał się i podskakiwał na wybojach. Jego boczne latarnie, prawie nigdy nie zapalane, teraz świeciły jasno i aż dymiły. Jak gdyby już z daleka chciały zwrócić uwagę na zbliżanie się tego starego wehikułu do niższego brodu.

Gra była warta świeczki.

Obrawszy niższą przeprawę - starą drogę Apaczów - mógłby się ktoś łudzić, że uniknie kontroli rurales, co byłoby niemożliwe przy górnym czy głównym brodzie. Woźnica starego wehikułu Towarzystwa Teksaskiego pędził z wielką szybkością, wierząc zapewne, że mentalność meksykańska jest tak skomplikowana, że aż bardzo prosta. Mentalność ta tak bardzo kluczyła po swoich latyńskich tropach, starając się być niezwykle mądra, że wreszcie wracała do punktu wyjścia.

Woźnica liczył na tę właśnie cechę.

Liczył na to, że pułkownik Ortega słysząc od swych pobratymców plotki z El Paso tak będzie rozumować: To głupie amerykańskie towarzystwo przewozowe uważa, że jak ogłosi o swoim zamiarze przeprawy z El Indio starym brodem, to ja od razu pomyślę, że tak naprawdę to chcą się przeprawić przez nowy górny bród i że wobec tego tam będę na nich czekać, a oni bezpiecznie przeprawią się przez stary bród. Jacyż z nich głupcy! Oczywiście pilnować będę obydwu przepraw i z tego zdają sobie dobrze sprawę. Ale zrobię wszystko, żeby mnie nie było przy niższej przeprawie. Wyobrażają sobie, że beze mnie poradzą sobie łatwiej z moimi ludźmi. Już ja im zaleję sadła za skórę! Ai, Chihuahua! Niech się tylko pokażą! Przekonają się, kto będzie czekał przy starym brodzie na ich nędzny dyliżans z tajemniczym pasażerem! Ha! I oni usiłują wyprowadzić w pole Oprawcę Camargo? Idiotas!

Oczywiście gdyby pułkownik Ortega nie rozumował w ten sposób, woźnica dyliżansu popełniłby poważny błąd, gdyż cały plan opierał się właśnie na tym, żeby spotkać Oprawcę.

Woźnica o schłostanej wiatrem i deszczem twarzy ściągnął mocniej cugle czterokonnego zaprzęgu. Powiedział coś do swoich koni, końcem wielkiego piętnastostopowego bata podrapał w ucho konia z pierwszej pary i po zadzie konia z drugiej pary.

— Ooooo-iiiii, chłopcy! — zawołał do koni. — Spokojnie, spokojnie. — A potem wychyliwszy się z kozła przemówił do otulonego szczelnie pasażera o ciemnej twarzy - jedynego pasażera w rozkołysanym

dyliżansie: — Señor, czy wszystko w porządku? — Mówił po hiszpańsku, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Żadnej odpowiedzi w żadnym języku.

To dzielny facet, pomyślał woźnica. Po drugiej stronie Rio — i w ogóle na całym świecie — niewielu jest takich jak on.

— Bardzo jeszcze z ciebie mały chłopiec! — powiedział ponuro wyglądający niewielki mężczyzna. — Jak to się stało, że jesteś taki odważny?

— Proszę, presidente, niech pan nic nie mówi. Jesteśmy już bardzo blisko tego miejsca i grozi nam wielkie niebezpieczeństwo — Chamaco mówił do swego towarzysza z wielkim szacunkiem.

— Kiedy ja się wcale nie boję, chłopcze. — El Indio poklepał go po plecach. — Czyż nie mam dobrego indiańskiego przewodnika?

— Presidente, proszę, ani słowa więcej. Pan nie zna pułkownika Ortegi.

— Miałem do czynienia z takimi jak on i dlatego znam też i jego. Oni wszyscy są do siebie podobni. Tchórze. Szakale. Nie bój się, chłopcze. Jak się nazywasz?

Chamaco powiedział mu i niski mężczyzna skinął głową.

— Dobre indiańskie nazwisko. Jak daleko stąd, chłopcze, do przeprawy?

Szli teraz podobną do tunelu ścieżką wśród łozin i nadrzecznych trzcin. Był to szlak używany najczęściej przez polujące w nocy zwierzęta. Tylko niscy ludzie - albo chłopcy - i to bardzo niscy indiańscy mężczyźni i chłopcy mogli z niego korzystać. Straż obywatelska, która tak gorliwie chciała się dowiedzieć, dlaczego Apacze napadający z Chihuahua giną jak kamfora po amerykańskiej stronie Rio, z łatwością odkryłaby ich tajemnicę, gdyby szukała „dziury” w gęstwinie odpowiadającej niepozornemu wzrostowi Indian, a nie białych ludzi. Ale Chamaco Diaz był nie tylko małym Indianinem, lecz także patriotą i nigdy by tego nie wyjawił.

— Presidente — powiedział błagalnie — ani słowa więcej. Por favor, ekscelencjo! Zaraz będziemy na miejscu.

Niski mężczyzna w czarnym garniturze uśmiechnął się.

— Ośmielasz się odzywać do mnie w tak obcesowy sposób? Ty, indiański chłopiec? Nędzarz znad granicy? Nędzny nadrzeczny szczur? Ai!

— Presidente — powiedział błagalnie chłopiec — proszę pana jeszcze raz. Wiem, że pan się nie boi Oprawcy. Wiem, że jestem tylko pobrecito, reducido, nic. Ale w moim sercu stawiam pana obok Jezusa. Umarłbym dla pana, presidente, tak samo, jak umarłbym dla Niego, nawet chętniej. Ale przysiągłem przeprawić pana przez rzekę i doprowadzić na miejsce spotkania. Przysiągłem doprowadzić pana do Toltepec dziś po północy. Dlaczego mamy umierać, kiedy pan musi żyć dla ludu naszego cierpiącego kraju? Muszę doprowadzić pana do Toltepec, presidente. A jeśli nie przestanie pan mówić podczas drogi, umrę za nic i nasz kraj nigdy nie dostanie pieniędzy, które pan wiezie, i nie zostanie uratowany. Ale przede wszystkim pan, presidente, nie będzie żył. Tego nie mogę znieść. Pan jest życiem dla nas wszystkich.

Zatrzymali się. El Indio w smudze światła księżycowego przenikającego przez plątaninę gałęzi nad ich głowami mógł dostrzec łzy spływające po

ciemnych policzkach Chamaco Diaza. Szybkim ruchem obtarł chłopcu policzki.

— Indianin nie płacze — powiedział poważnie. — Prowadź, będę milczał.

Chamaco głośno przełknął. Dłonią sięgnął ukradkiem do nieposłusznych oczu, ale gdy się odezwał, w głosie jego brzmiała duma:

— To przez te krzaki, presidente. Kilka gałęzi uderzyło mnie w twarz. Pan wie, jak to jest.

El Indio przytaknął.

— Oczywiście, chłopcze. Wiele razy byłem w zaroślach. Prowadź. Zachowałem się jak stara baba, mówiłem za dużo. Jesteśmy obaj Indianami, co? Vámonos!

Chamaco Diaz wyprostował się przed nim jak struna. Potem znowu się zgarbił i ruszył przed siebie. El Indio popatrzył za chłopcem, a potem, nim się pochylił, żeby za nim ruszyć, spojrzał w górę na otoczony lisią czapą księżyc. Promienie oświetliły mu twarz. Zabłysły na czymś, co było dziwnie wilgotne i ruchome i nie licowało z jego zawsze opanowaną twarzą koloru kawy. Ale wiadomo, że w świetle księżyca łatwo o złudzenie i nie należy zbytnio dowierzać oczom. Czyż przed chwilą nie powiedział sam, że Indianie nie płaczą?

*

Dyliżans Teksaskiego Towarzystwa Ekspresowego przejechał z chlupotem przez starą przeprawę Apaczów i zatrzymał się przed płonącym ogniskiem i barykadą z drew blokującą drogę do Toltepec.

— Que pasa? — zawołał wysoki woźnica do złośliwego draba, który przewodził straży. — O co chodzi? Dlaczego mnie zatrzymujecie?

— De nada, nic takiego — uśmiechnął się krzywo porucznik Chivo.

— Drobiazg, który nie zajmie wiele czasu. Mam nadzieję, że się nie śpieszysz? Si? Muy bien. Coronel! — zawołał do krępego oficera popijającego kawę przy ognisku. — Dyliżans do Toltepec przybył o czasie.

Pułkownik odstawił blaszany kubek i wziął do ręki długi pejcz. Rozwijając rzemień wstał powoli i podszedł do barykady. Przez chwilę w milczeniu patrzył na woźnicę, wreszcie skinął dość przyjaźnie głową i powiedział łaskawie.

— Proszę zejść.

— Bardzo mi przykro — odparł woźnica — ale nie mogę tego zrobić. Takie są przepisy Towarzystwa, panie pułkowniku. Sam pan rozumie.

— Oczywiście — zgodził się dowódca guerilli łatwo. — Bez przepisów niczego nie można dokonać. Sam jestem wielkim zwolennikiem dyscypliny. Czy się już przedstawiłem? Pułkownik Fulgencio Ortega z Camargo. A czy teraz zechcesz łaskawie zejść?

— Sam pułkownik Ortega — powiedział z przejęciem Amerykanin. — Jefe, ależ to dla mnie wielki zaszczyt. A to są pańscy słynni rurales? — Rękojeścią swojego bata wskazał na ponurą grupę, która podniosła się z ziemi i stanęła za porucznikiem i pułkownikiem. — Ależ to znakomity

oddział. Od razu widać, że sami świetni żołnierze. Po stronie sprawiedliwości wszyscy walczą dobrze, prawda, coronel?

Ortega puścił mimo uszu te komplementy.

— Czy słyszałeś, co powiedziałem? — spytał. — Chcę, żebyś zszedł z kozła. Nie miałem przyjemności poznać twojego pasażera i chciałbym, żebyś mnie przedstawił. Moi ludzie potrzymają ci tymczasem konie.

W rzeczywistości jego ludzie już trzymali konie, o czym woźnica dobrze wiedział. Nie uszło też jego uwagi, że żołnierze trzymali - poza końmi - wycelowane w niego karabiny. Ale najwidoczniej był to człowiek opanowany, a może po prostu głupi.

— Jakiego pasażera? — spytał. — Nie mam żadnego pasażera, coronel. Wiozę po prostu przesyłkę do Toltepec.

Ortega cofnął się. Znowu zajrzał do dyliżansu.

— Przesyłkę, powiadasz… — mruknął w zamyśleniu. — Dziwne jakieś macie teraz opakowania, cochero. Czarne ubranie. Na czubku głowy czarny indiański kapelusz. Zobacz sam, ta twoja przesyłka siedzi sobie w dyliżansie, jak gdyby była żywa, miała dwoje rąk i nóg i umiała mówić. O ile strach nie zamknął jej tchórzliwej, indiańskiej gęby! — W głosie jego zabrzmiała nagle nienawiść; uśmiech i udawana łagodność pierzchły. — Chivo — wrzasnął. — Otwieraj drzwiczki dyliżansu i pomóż wysiąść El Presidente!

Woźnica wyprostował się na koźle.

— Jaki znowu El Presidente? — powiedział do Ortegi. — O czym na miłość boską pan mówi, jefe?

— Zaraz się przekonamy — uspokoił go Ortega, znowu odzyskując panowanie nad sobą. — Szybciej, Chivo. Ten cochero nie rozumie, jak ważnego ma pasażera. Nie rozumie też, że teraz w Chihuahua nikt się nie śmieje z żartów na temat „przesyłki”, która chodzi i mówi po indiańsku. Ty kretynie, otwieraj natychmiast drzwi dyliżansu!

Chivo uśmiechnął się głupkowato, szarpnął gwałtownie drzwiczki i chwycił samotnego pasażera za ramię. Z głośnym przekleństwem wyciągnął niewielką postać z dyliżansu i cisnął o ziemię.

Zdumienie jego było w pełni zrozumiałe.

Nieczęsto się zdarza, by ramię ofiary pozostało w ręku napastnika, a reszta korpusu poleciała gdzieś w ciemność. Nieczęsto się również zdarzało, by głowa ofiary oderwała się i potoczyła jak melon, w momencie zetknięcia się ciała z ziemią.

— Santissima! — krzyknął jeden z drabów. — Rozerwałeś go, idioto!

Ale porucznik Chivo nie usłyszał tej uwagi, a pułkownik Ortega, jeśli ją nawet usłyszał, nie zgodziłby się z nią, z wyjątkiem może określenia dotyczącego inteligencji Chivo. To, co porucznik guerilli wyciągnął z dyliżansu Teksaskiego Towarzystwa Ekspresowego, było kukłą ubraną identycznie jak niski, szeroki w ramionach Indianin, który siedział zawsze wyprostowany i kapelusz nosił mocno nasadzony na głowę.

Zresztą pułkownik Fulgencio Ortega nie zdążył skomentować tego wydarzenia, gdyż w tej krótkiej chwili osłupienia, jakie ogarnęło rurales, gdy ciało El Presidenta rozleciało się w kawałki, amerykański woźnica z Toltepec związał lejce czterokonnego zaprzęgu, jednym susem zeskoczył z

chwiejnego kozła starego dyliżansu typu Concord i wyciągnąwszy swego colta o długiej lufie wcisnął go w owłosiony brzuch Oprawcy Camargo.

— Jefe — powiedział niezwykle spokojnie — jeśli zrobisz jeden fałszywy ruch, twoje wnętrzności fruwać będą po całym brzegu. — Pułkownik Ortega nie miał żadnych trudności w zrozumieniu tego ostrzeżenia.

— Chivo! — krzyknął donośnie. — Zatrzymaj ludzi. Niech nikt nie tknie spustu!

— Tak, Chivo — poparł go amerykański cochero o spalonej słońcem twarzy, obracając Ortegę tak, że teraz lufa colta wbijała mu się w krzyż. — A żeby ci nie przyszła chętka zastąpić swego ukochanego jefe jako dowódcy rurales w Camargo - to znaczy, żebyś w tym momencie jakimś świadomym gestem nie skłonił mnie do zastrzelenia go - pozwól, że ci się przedstawię.

— Co? — spytał Chivo, który prawdę mówiąc jeszcze nie pomyślał o tym, żeby zdradzić swego zwierzchnika. — A to mi po co, cochero? Myślisz, że się boję woźniców dyliżansów?

Woźnica wzruszył ramionami.

— Sądzę, żeś powinien mieć taką samą szansę, jaką daję każdemu, za kogo unieszkodliwienie mi płacą.

Było coś w sposobie, w jaki wypowiedział słowo „płacą”, co trafiło do chytrej mózgownicy Chivo. Zawahał się, ale nie zawahali się dwaj inni bandyci. Sądząc, że są dobrze schowani za towarzyszami, odeszli trochę na bok, żeby móc celniej strzelić do Amerykanina. Jednak w chwili, gdy się nieostrożnie wysunęli, zza pleców Ortegi buchnął płomień - najpierw jeden, potem drugi, rozległ się huk wystrzałów i obaj padli zabici na ziemię.

— Shonto — przedstawił się Chivo woźnica, znowu wbijając dymiący rewolwer w kręgosłup Ortegi. — Tam po drugiej stronie rzeki nazywają mnie Shonto.

— Jezus, Maria! — westchnął Chivo rzucając karabin na ziemię. — Carlos Shonto? Por Dios, pistolero, dlaczego pan od razu tego nie powiedział?

— Właśnie to uczyniłem. A teraz powiedz ty coś, ale szybko!

Wzruszenie ramion Chivo było wiele mówiące.

— Po co mam umierać? — spytał. — W pańskim dyliżansie nie ma El Indio. Oszukał nas pan tą kukłą. El Presidente gdzieś teraz jedzie, ale nie dyliżansem do Toltepec. I tak inny nasz oddział go złapie. Dla nas robota się skończyła. Czekam rozkazów.

Shonto kazał żołnierzom rzucić karabiny i pasy z nabojami. Również wszystkie noże, pistolety i toporki legły na wspólnym stosie. Następnie ten arsenał został załadowany do dyliżansu wraz z pułkownikiem Ortegą, któremu jego wierni ludzie związali ręce i nogi. Robota szparko posuwała się pod fachowym nadzorem Chivo, a bojowy duch całkowicie opuścił rurales. Kiedy stracili okazję schwytania El Indio, wywietrzała im chęć dokonywania bohaterskich czynów. Jak wszyscy żołnierze pozbawieni dowództwa, przypominali po prostu złe psy gryzące się między sobą. Shonto liczył na to i doskonale rozegrał tę partię.

Jednak w każdym ryzyku istnieje zawsze jakiś element nie znany, jedna rzecz, na którą nie można liczyć z całą pewnością, a zwie się ona szczęściem.

Shonto stracił to szczęście w chwili gdy wydał następny rozkaz.

— A teraz, poruczniku — powiedział — wskakuj na kozioł, ty będziesz teraz cochero, a ja obstawą z karabinem. Sabe usted la escopeta? — Zadając to pytanie sięgnął po dwulufowego parkera, który leżał w poprzek kozła. Chivo skwapliwie skinął głową. Doskonale znał tę broń. Na bliski dystans nie było z nią dyskusji. Ale Shonto swoją zasadniczą pomyłkę popełnił już przedtem - wtedy mianowicie, kiedy podsunął Chivo myśl, że może na terenie Camargo objąć władzę po Ortedze. Jak dotąd tak wygórowane aspiracje nigdy jeszcze nie zagościły w jego tępym umyśle. Pewno, że rad by widzieć Ortegę zabitego, gdyby to odpowiadało jego planom. Tak właśnie przypuszczał Shonto. Jedno wszakże nie przyszło mu do głowy - że dopóki sam o tym nie wspomniał, Chivo nigdy poważnie nie pomyślał o tym, by zająć miejsce swego pułkownika.

Teraz ta myśl rozpaliła jego duszę szakala.

— Cokolwiek pan powie, jefe — rzekł do Shonto robiąc grymas, który z trudem można było nazwać uśmiechem — wskakuję na kozioł. Biorę lejce i będę powozić. Wsiadajmy.

Shonto zaczął się wspinać tuż za nim. Przez ułamek sekundy obie dłonie miał zajęte i w tej właśnie chwili Chivo uderzył go butem w twarz. Shonto upadł ciężko na plecy, a choć rewolwer nadal trzymał w dłoni, z powodu niedogodnej pozycji był on teraz zupełnie bezużyteczny. Chivo krzykiem zachęcił konie do biegu. Dyliżans ruszył. Shonto zerwał się natychmiast i chwycił za rzemienie kufra z tyłu. Złapał jeden i przez jakieś pięćdziesiąt jardów dał się ciągnąć, w prawej ręce nadal ściskając broń.

Żołnierze widząc jego bezradność skoczyli za nim, po drodze chwytając kije i kamienie. Chivo w odpowiedzi na ich krzyki zwolnił, by dać im okazję zabicia Americano. Shonto nadal trzymał rzemień. Kiedy wyjący rurales zbliżyli się do niego, strzelił im prosto w twarze. Pierwszy strzał zlał się z następnym. Żołnierze z jękiem zostali w tyle - trzej śmiertelnie ranni, dwaj pozostali chwytając się za osmalone twarze ryczeli z bólu.

Chivo na koźle odwrócił się akurat, w momencie, gdy Shonto wciągnął się od tyłu na dach dyliżansu. Był teraz bezbronny, ale porucznik też nie miał broni. Chivo miał jedyne wyjście - z którego skorzystał. Zeskoczył z kozła i przetoczył się, żeby uniknąć kół, a zaprzęg, nie powstrzymywany lejcami, pomknął z wielką szybkością przed siebie. Shonto chwiejąc się niebezpiecznie dał susa na kozioł, a następnie rzucił się między rozpędzone konie, żeby schwytać lejce.

Szczęście znów się do niego uśmiechnęło. Uporządkował uprząż, wrócił na kozioł i skierował dyliżans na drogę wiodącą prosto do Toltepec. Ale teraz zgraja wilków miała znowu wodza. Mógł dokładnie przewidzieć, ile czasu zajmie Chivo zebranie tych, co przeżyli, i ruszenie w pościg.

— Hej, hooo, hej-hooo! — wołał do chrapiącego zaprzęgu. — Spokojnie, spokojnie. Jeszcze nie zaczęła się wasza nocna praca.

Chamaco Diaz czekał tam, gdzie obiecał - przy drodze do Toltepec. Od kluczenia wśród nadrzecznych zarośli wraz z El Presidente upłynęło i pół

godziny, Shonto ściągnął zdyszane konie i zawołał w kierunku gęstwiny. Indiański chłopiec wykonał swe zadanie bez zarzutu, cały czas idąc na piechotę nocą, wśród węszących wokoło żołnierzy Ortegi. Prastara tajemna droga ucieczki Apaczów z Teksasu, którą obaj przebyli, by spotkać się z Charliem Shonto i dyliżansem do Toltepec, była za nimi, a jej tajemnicy nikomu nie zdradzili. Shonto nie spytał chłopca, jak ona biegnie, a chłopiec nie pytany, ani słowa o tym nie wspomniał. Nawet w tej sytuacji był Indianinem, a Shonto białym człowiekiem.

Szybko przystąpili do wykonania ostatniej części planu. Cztery konie zostały wyprzężone z dyliżansu, z którego wyniesiono szybko siodła i uzdy, przygotowane do jazdy pod wierzch. Pułkownika wynieśli z dyliżansu i jak worek z ziarnem przewiesili przez siodło jednego z koni. Shonto związał mu ręce z nogami pod brzuchem konia, mając w duchu nadzieję, że sznury nie puszczą. Tam, gdzie bity trakt zakręcał mijając miejsce ich spotkania, znajdowało się wzniesienie wysokości osiemdziesięciu stóp. Z tego urwiska Shonto i jego dwaj przyjaciele Indianie zrzucili zapas broni z dyliżansu. Niestety nie było czasu na dokonanie prawdziwego dzieła zniszczenia. Szybko wsiedli na konie i ruszyli oddalając się od drogi. Przewodnikiem był Chamaco, Shonto jechał ostatni prowadząc konia ze związanym Oprawcą Camargo. Uczęszczana przez kozice ścieżka, którą wiódł ich mały Indianin, zniknęła wkrótce w pustynnej brasada w odległości strzału z pistoletu od drogi jezdnej. Zarówno Shonto, jak i Ortega czy El Presidente nie mieli najmniejszego pojęcia, dokąd prowadził ten ledwie widoczny szlak. W każdym razie nie mieli wyboru. Za sobą słyszeli już meksykańskie okrzyki i tętent dużej ilości koni. Gdy zatrzymali się na chwilę, nasłuchując, co się dzieje, wyraźnie usłyszeli krzykliwy głos porucznika Chivo, który natknął się na porzucony dyliżans i wśród przekleństw głośno snuł domysły, którędy uciekli. Dowiedzieli się jeszcze czegoś więcej — z radosnych okrzyków Chivo zorientowali się, że towarzyszy mu jeszcze inny patrol Ortegi, spotkany najwidoczniej po drodze. I nie było ważne, ilu ludzi się przyłączyło, lecz fakt, że byli uzbrojeni i że na ich czele stanął doświadczony dowódca. Ale uciekający nadal jeszcze mieli sporo czasu, zważywszy na rozległość brasada i gęstość krzewów. Cóż, kiedy z braku czasu i dlatego że nie przyszło mu do głowy, iż Chivo może po drodze wzmocnić swoje siły, Shonto nie zachował zwykłej ostrożności i nie zakneblował schwytanego pułkownika.

Uświadomił to sobie dopiero wtedy, gdy podczas wspinaczki po zboczu rozległ się donośny krzyk Ortegi:

— Aqui, aqui, muchachos! Jestem tutaj, jestem tutaj...!

Jego głowa zwisała z konia od strony Shonto. I natychmiast ten rozpaczliwy okrzyk został stłumiony uderzeniem buta Amerykanina, które wybiło pułkownikowi cztery zęby, pozbawiając ich właściciela przytomności. Niestety szansa, że zgubią prześladowców, została zaprzepaszczona.

— Chamaco — powiedział Shonto — widzę jeden ratunek: rozdzielić się.

— Nigdy, patron.

— Słuchaj, chłopcze — głos Shonto twardy był jak stal — zrobisz to, co powiedziałem. Ja za wszystko odpowiadam.

— Nie, mój amerykański przyjacielu, nie pan. — Zaprzeczenie to wyszło nie z ust chłopca, lecz niskiego mężczyzny w czarnym garniturze. — To ja decyduję, jak ma być. A ja mówię, że musimy trzymać się razem. Pan nie jest wśród Hiszpanów, przyjacielu. Nie jest pan również wśród zdrajców, którzy nazywają siebie Meksykanami. Pan jest wśród Indian, prowadź, chłopcze.

Shonto był bezradny. Wiedział, że znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. W ciągu kilku minut rurales dopadną ich i nawet gęste zarośla nic tu nie pomogą. Byli teraz tak blisko, że wyraźnie słyszeli konie przedzierające się przez brasada. W każdej chwili mogła się rozpocząć strzelanina i napastnicy choć nie byli w stanie celować, wkrótce wytropią ich, kierując się słuchem. Jako człowiek rozsądny dobrze wiedział, co ich czeka.

Ale Chamaco Diaz nie zaprzątał sobie głowy takimi ponurymi rozważaniami.

Odwagi dodawał mu ukochany presidente, na własne uszy słyszał, jak powiedział „my Indianie”. W służbie takiego człowieka nie ma rzeczy niemożliwych!

— Patron! — znowu zawołał do Shonto, głosem aż piskliwym z przejęcia. — Jest wyjście. Jedź za mną i nie przejmuj się tym, że hałasujemy. Dobrze wiesz, że strażnicy z waszej teksaskiej strony rzeki nie zawsze przestrzegają prawa!

Ich konie wspinały się teraz z wysiłkiem po zboczu i zgodnie z obawami Shonto napastnicy zaczęli strzelać na oślep, kierując się tylko słuchem. Ale słowa chłopca zaintrygowały Charliego.

— Jakie wyjście? — spytał.

— Straż obywatelska — odparł chłopiec po raz pierwszy śmiejąc się przy Shonto — niejeden raz goniła Apaczów również i po tej stronie rzeki. I dlatego Apacze tu także musieli znaleźć sposób na to, żeby ich „zgubić”. Znam tę drogę, patron. Jedźmy teraz szybko i jak dam znak, trzeba konie zmusić do skoku.

Shonto chciał się czegoś więcej dowiedzieć o tym skoku, ale pościg był zbyt blisko. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to pochylić się nisko w siodle z cichą nadzieją w sercu, że kula dla niego przeznaczona ominie go. I ominęła. Do zapowiedzianego przez Chamaco miejsca dotarli wszyscy nawet bez draśnięcia. Owo miejsce była to bruzda wykopana ręcznie wiele setek lat temu w poprzek szlaku tak, że ten, kto nie wiedział, że znajduje się ona za zakrętem spadającym ostro w dół i maskującym ją od góry, nigdy nie zdążyłby w porę poderwać swego wierzchowca do skoku. Rozpędzony koń gnający na łeb na szyję po stromym jak dach zboczu musiał wpaść wraz z jeźdźcem do pułapki. I tak też się stało z dyszącymi zemstą żołnierzami Chivo. Wszystkie konie oddziałku Chamaco, nawet juczny koń dźwigający nieprzytomnego Ortegę, pokonały wyrwę w szlaku przeskakując ją jak jelenie, ponieważ zostały zmuszone do tego wysiłku przez swoich zdecydowanych na wszystko jeźdźców. Natomiast konie rebeliantów, rozpędzone na ostrym zakręcie, chrapiące z wysiłku i czujące w nozdrzach tak bliski teraz zapach krwi, nie miały żadnych szans, by w

porę dostrzec pułapkę i przenieść swych jeźdźców ponad przepaścią. Pierwsze kilkanaście koni wraz z żołnierzami wpadło w ziejącą otchłań krzycząc i wierzgając. Pozostali zbili się ciasno na szlaku, trzymając się z daleka. Żaden z nich już nie zdradzał poprzedniego zapału, by zabić El Presidente i wynieść porucznika Chivo do rangi Oprawcy Camargo.

Co do samego Chivo, Shonto nigdy się nie dowiedział, w której grupie jeźdźców się znalazł - w pierwszej czy drugiej. Jedno tylko wiedział, że nie słyszał więcej donośnych wrzasków brodatego porucznika.

— O Boże, Chamaco — powiedział do chłopca, kiedy z przepaści przestały się dobywać rozpaczliwe krzyki — co tam jest w tym rowie Apaczów?

— Zęby tygrysa — odparł chłopiec. — Ich końce zostały wypalone do twardości żelaza i wbite w litą skałę.

— O Jezu — jęknął Shonto — pułapka nabita palami.

— Dla stada wilków - wilcza śmierć. — W głosie El Presidente brzmiał jakby smutek. — A teraz w drogę, musimy złapać ten pociąg w Toltepec. Tyle jest do zrobienia w Meksyku. Ludzie o tak wiele mnie proszą, a ja mam tak mało czasu, żeby wysłuchać ich próśb.

Shonto nie odpowiedział, rozumiejąc, że nie od niego oczekuje się odpowiedzi, i Chamaco docenił jego kurtuazję.

— Tak, presidente — powiedział cicho. — Proszę, jedź teraz za swoim pokornym sługą.

Słysząc to niski mężczyzna w czarnym garniturze dał ostrogę swemu koniowi i ruszył strzemię w strzemię z indiańskim chłopcem z plemienia Chihuahua.

— Nie jesteś niczyim pokornym sługą — skarcił go surowo. — Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. Jesteś obywatelem Meksyku. Wolnym człowiekiem nigdy nie okazującym pokory. Jeśli wierzysz w jakiegoś boga, podziękuj mu za to; jeśli wierzysz w człowieka, możesz podziękować człowiekowi.

— Si, presidente, dziękuję panu i Bogu.

— Czy aby na pewno w tej kolejności, chłopcze? — wyraz wzruszenia, a zarazem rozbawienia przemknął po ciemnej indiańskiej twarzy Juareza. — Ale mylisz się co do człowieka. Chcę, byś innego presidente zapamiętał na całe życie. Pamiętaj, żebyś nigdy nie zapomniał jego nazwiska. Niech ci się wbije dobrze w pamięć, jeśli jesteś prawdziwym Meksykaninem, bo jemu zawdzięczasz życie, to Abraham Lincoln...

Teraz posuwali się cały czas w dół. Kilka minut przed dwunastą Shonto wraz ze swoimi towarzyszami wjechał do Toltepec. Kwadrans po dwunastej „przesyłka numer 13” znalazła się w czekającym pociągu. Lokomotywa była pod parą, a świt blisko, nie było więc czasu na długie pożegnania. Camargo trzeba było przejechać pod osłoną ciemności. Również ci, co pozostali po odjeździe pociągu, winni się znaleźć po amerykańskiej stronie przed wschodem słońca. El Presidente, otoczony w wagonie przez swoją wierną straż, został przejęty od Shonto i Chamaco. Podobnie były Oprawca Camargo. Kiedy pociąg ruszył, El Presidente miał wrażenie, że w świetle padającym z okna widzi wysokiego Amerykanina i małego indiańskiego chłopca siedzących na koniach. Im zaś z kolei

zdawało się, że widzą, jak macha im ręką na pożegnanie, i w odpowiedzi również pomachali, każdy zatopiony we własnych myślach. Jeśli teksaski rewolwerowiec dostrzegł łzy spływające po ciemnych policzkach Chamaco Diaza, nic na ten temat nie powiedział. Każdy człowiek ma prawo wybrać formę pożegnania. Ale kiedy pociąg odjechał z Toltepec, zanim rozwiał się w nocnym powietrzu pióropusz dymu, Charlie Shonto znał zakończenie tej historii. Wyciągnął swoją dużą dłoń i dotknął kolana chłopca.

— Jedźmy, Chamaco — powiedział. — Musimy wziąć dobre tempo. Do rzeki mamy czterdzieści dziewięć mil.

Chłopiec skinął posłusznie głową nic nie mówiąc. Zawrócili konie i ruszyli galopem.

Kiedy jechali, ostre rysy Shonto zmiękły. Spod oka obserwował wyprostowaną dumnie małą postać obok siebie. Wiedział dobrze, że niski Indianin w źle dopasowanym czarnym garniturze był to Benito Juarez, oswobodziciel Meksyku, Abraham Lincoln swego ludu. Ale nie to wzruszyło tego mocnego mężczyznę. Gdyż dla Charliego Shonto najwyższym Indianinem, jakiego spotkał tej nocy, miał na zawsze pozostać mały chłopiec z plemienia Chihuahua, który ledwie mu sięgał głową powyżej pasa. Shonto podejrzewał, że historia nie zanotuje faktu wizyty Juareza w Waszyngtonie. Historia nigdy nie zapisze - tego był pewien - dziwnego zdarzenia, dzięki któremu legendarny El Indio został zwrócony cały i zdrowy swemu krajowi. Tylko Charlie Shonto i Teksaskie Towarzystwo Ekspresowe wiedzieli, w jaki sposób się to stało - oni i najwyższy Indianin w Toltepec! Tak sobie o tym rozmyślając nawet twardy, bezwzględny Charlie Shonto poczuł się lepiej, a kiedy cienie wzgórz wokół Toltepec zamknęły się za nimi, siedział tak samo prosto w siodle jak Chamaco Diaz.

Ale oczywiście nie był tak wysoki.

Tłumaczenie Irena Doleżal-Nowicka

**William Heuman**

## Barki na północ
(Keelboats North)

Ben Kramer siedział na kabinie barki „Shoshone”, wymachując nogami i obserwując kipiący życiem pokład. Patrzył, jak na dziobie bosman Jacques Le Blanc zręcznie operuje okutym żelazem drągiem i odsuwa energicznie na boki dryfujące drzewa, które spływały z prądem brunatnej rzeki, jak szesnastoosobowa francusko-kanadyjska załoga popycha łódź ciężko i uparcie w górę rzeki Missouri.

Po obu stronach ludzie z załogi szli w przód lub się cofali po pomoście, stosownie do rozkazów kapitana, Henri Baptiste'a.

— Opuścić drągi! — zawołał głośno Henri, stojąc na dachu kabiny i trzymając oburącz długie wiosło, którym sterował barką.

Ludzie z załogi opuścili drągi w błotnistą wodę aż do dna, a potem oparłszy się o nie przeszli w kierunku rufy, w ten sposób posuwając barkę naprzód.

— Stop! — powiedział Henri Baptiste.

Ludzie zatrzymali się.

— Podnieście drągi.

Wykonali polecenie, a potem poszli na dziób, żeby zanurzyć drągi w rzece i zacząć od nowa swoją żmudną wędrówkę. Pracowali tak tego ranka już od trzech godzin, ale żaden z qich nie przejawiał oznak zmęczenia.

Obserwując ich Ben Kramer był zdumiony. Wyłącznie siłą własnych mięśni ci Kanadyjczycy pchali albo ciągnęli siedemdziesięciostopową barkę w górę Missouri aż do Yellowstone, walcząc przez cały czas z silnym prądem, omijając zatopione drzewa, mielizny i podwodne pnie.

Kiedy wiele tygodni temu „Shoshone” opuszczała St. Louis, Ben zgodził się jako służący. Henri Baptiste, kapitan, zwany też z francuska bourgeois, spotkał na jednej z ulic tego gwarnego miasta szesnastoletniego chłopca, szukającego byle jakiej pracy, która zapewniłaby mu utrzymanie po śmierci wuja, zmarłego w prymitywnej chacie z bali nad jednym z zalewów Missouri. W roku 1837 dziesiątki barek kursowały w górę rzeki, żeby handlować z Indianami z gór. Na rynkach Nowego Jorku, Bostonu i Londynu skórki bobrów i innych zwierząt futerkowych osiągały wysokie ceny, a ten, kogo stać było na popłynięcie własną barką w górę wielkiej rzeki i powrót z ładownią wypełnioną cennymi futrami, mógł zrobić majątek.

Nagle z dziobu „Shoshone” Jacques Le Blanc coś zawołał i wskazał w kierunku zakrętu rzeki. O niespełna pół mili przed nimi znajdowała się inna barka, a jej załoga, z brzegu, ciągnąc grubą linę holowała ją przez głęboką toń, gdzie nie można było używać drągów.

Henri Baptiste dał znak Benowi, żeby zszedł z dachu kabiny i przejął od niego ster. Uśmiechnął się ukazując przy tym olśniewająco białe zęby.

— Widzisz, chłopcze, a jednak dogoniliśmy ich!

— To chyba „Yellowstone Belle"? — spytał Ben z radością przejmując ster.

— Oui — odparł ze śmiechem Baptiste. — Nim noc zapadnie, miniemy ją jak amen w pacierzu.

„Yellowstone Belle", rywalizująca z nimi barka, opuściła St. Louis trzy dni przed „Shoshone" w wyścigu przez Błotnistą Toń (tak ochrzczono ten odcinek Missouri) w pogoni za najcenniejszymi futrami. Pierwsza barka, która dopływała do Three Forks wracała zwykle z ładunkiem podwójnie cennym, gdyż Indianie bardzo chętnie handlowali z pierwszym kupcem, jaki się pojawił. I dlatego zwykle pomiędzy łodziami, które płynęły w górę rzeki, toczyła się zażarta walka.

Ściskając obiema rękami wielkie wiosło, sterowe Ben trzymał prosty kurs wzdłuż wschodniego brzegu. Wykrzykiwał też rozkazy, tak jak nauczył go tego Henri Baptiste, a ludzie uśmiechali się dobrodusznie chodząc tam i z powrotem po pomoście.

— Zaraz ich dogonimy! — zawołał Ben do kapitana, który w odpowiedzi pomachał mu przyjaźnie ręką.

Przez cały czas, jak płynęli w górę Missouri, Henri Baptiste chwalił niezwykłą siłę swojej załogi, która teraz, kiedy powoli doganiali „Yellowstone Belle", dowiodła, że na to w pełni zasługuje. Konkurencyjna barka była tylko o kilkaset jardów przed nimi, a załoga na brzegu spływała potem ciągnąc linę długości tysiąca stóp, przymocowaną do masztu.

— Czy my też będziemy musieli użyć liny? — spytał Ben kapitana.

Henri Baptiste odwrócił się i potrząsnął przecząco głową. Ben teraz dopiero zauważył, że jego kapitan otworzył drzwi kabiny i wyjął dwie strzelby ze schowka i zrozumiał, dlaczego Henri oddał mu ster. Jeśli rywalizujący bourgeois Manuel Vargas szukał guza, to Henri się postara, żeby go sobie nabił, ale o intencjach rywali dopiero wtedy dowiedzą się, kiedy się zrównają z tamtą barką.

Kanadyjczycy na pokładzie „Shoshone" nadal mogli się posługiwać drągami, niestety woda stawała się coraz głębsza i Ben wiedział, że po jakichś pięćdziesięciu, stu jardach będą musieli skierować się do brzegu, gdzie załoga rozpocznie holowanie łodzi na linie. Czekał na znak Henri Baptiste'a, żeby sterować do brzegu, ale bourgeois najwidoczniej miał inne plany.

Henri wrócił znowu do steru, zostawiając jedną strzelbę Jacquesowi Le Blanc, drugą zabierając ze sobą. Przejmując od Bena wiosło sterowe powiedział:

— Tam przed nami znajduje się niespodzianka, mój przyjacielu. Przyglądaj się uważnie, jak ich wystrychniemy na dudków. A teraz ostro naprzód!

Ben, który szybko przywykł do wodniackiego życia, natychmiast spostrzegł przeszkodę blokującą rzekę w pewnej odległości przed nimi. Przeszkodę, czyli embarras, utworzyło obalone drzewo, sterczące na jakieś sto jardów z brzegu. To właśnie spowodowało, że Vargas wysłał swoich

ludzi z liną na brzeg. Wokół drzewa spiętrzyły się nasiąknięte wodą topole, cedry i karłowate sosny przyniesione prądem gdzieś z góry rzeki, tworząc warstwę grubą, pulsującą prądem i tak ciasno zbitą pod wpływem naporu wody, że człowiek śmiało mógł po niej chodzić.

Wokół bardziej odległego krańca przeszkody woda kipiała, a w powietrzu unosił się pył wodny. Manuel Vargas poprowadził swoją barkę pod przeciwległy brzeg, poza główny nurt prądu, i holował ją na linie. To posunięcie miało go kosztować spore nadłożenie drogi, gdyż rzeka po drugiej stronie embarras rozszerzała się i kierując się wzdłuż wschodniego brzegu oddalił się dość znacznie na wschód.

— Wylądujemy na embarras — wyjaśnił Henri. — I wtedy dopiero zaczniemy ciągnąć, mój przyjacielu.

Bourgeois skierował swoją łódź prosto na spiętrzoną masę, zbliżając się od strony zawietrznej. Jacques Le Blanc skoczył na zator, kiedy dziób barki zanurzył się w gnijące gałęzie, i wtedy przytrzymał łódź, a szesnastu ludzi załogi wdrapało się za nim ciągnąc linę. Zamierzali ciągnąć „Shoshone" pod prąd.

— Czy to się uda? — spytał Ben z powątpiewaniem.

— Musi się udać! Moi ludzie są silni jak niedźwiedzie — powiedział z przechwałką w głosie Henri Baptiste

Ben stał koło niego na dachu ładowni, kiedy Jacques Le Blanc wrócił na pokład ze swoim długim drągiem. Lina się napięła, szesnastu ludzi ruszyło przez uginającą się powierzchnię embarras, wtedy Jacques odepchnął łódź od zatoru i tak ją rozhuśtał, że złapał ją prąd. Lina się naprężyła, a Henri Baptiste z radości aż krzyknął głośno, skierowując „Shoshone" w stronę pełnego nurtu.

Brązowa woda rozbijała się o dziób barki, kiedy powoli podpływali do czoła zatoru. Ben obserwował w napięciu ludzi, którzy w gnijącej masie starali się znaleźć oparcie dla nóg. Lina ciągle była mocno napięta. Henri Baptiste tak sterował, że dziób łodzi stale znajdował się w nurcie, a Jacques Le Blanc odpychał barkę drągiem od zatoru.

Stopa po stopie, jard po jardzie, pokonywali przeszkodę, a dzielni Kanadyjczycy walczyli o każdy krok. Wreszcie zaczęli mijać cypel. Załoga „Yellowstone Belle" zatrzymała się, żeby z bezpiecznego brzegu obserwować ich manewr.

— A jednak damy radę! — zawołał radośnie Ben.

— Ciągnijcie, moje dzielne niedźwiedzie! — krzyknął Henri Baptiste.

Kanadyjczycy ciągnęli ze wszystkich sił, aż wygięły im się potężne plecy, a na skroniach wyszły żyły. Potykali się i padali, ale natychmiast podnosili się i ciągle szli naprzód wyciągając „Shoshone" na spokojniejszą wodę. Byli teraz na zachodnim brzegu, daleko w tyle zostawiwszy barkę-rywalkę, i mogli ruszyć prosto w górę rzeki, zamiast trzymać się krętego wschodniego brzegu.

Ponieważ woda była w tym miejscu względnie płytka, Henri Baptiste natychmiast kazał swoim ludziom wrócić na pokład. Lina została zwinięta i po kilku minutach znowu szybko posuwali się w górę rzeki zostawiając daleko w tyle „Yellowstone Belle".

— Voilà! — roześmiał się Henri Baptiste. — Przechytrzyliśmy ich. Nie uda im się nas dogonić przy Three Forks.

Nie tylko wyprzedzili tamtą barkę, ale znaleźli się na płyciźnie i znowu mogli płynąć na pych. Manuel Vargas tymczasem musiał powoli holować swoją łódź na linach tracąc w ten sposób wiele cennych godzin.

— To była dobra robota — uśmiechnął się Ben. — Pan jest wielkim bourgeois, panie Baptiste.

— Oui — roześmiał się Henri Baptiste. — Pewno, że jestem, ja, we własnej osobie.

Prawie do zmroku ludzie pracowali przy drągach, ale wtedy ku ich wielkiej radości zerwała się tak rzadka w górnym biegu rzeki bryza i mogli wciągnąć wielki żagiel i popłynąć bez wysiłku, zyskując wiele mil przewagi nad „Yellowstone Belle", która nadal znajdowała się za zakrętem rzeki i nie mogła wykorzystać pomyślnego wiatru.

Kanadyjczycy leżeli na dachu ładowni, rozkoszując się świeżym powiewem i śpiewając pieśni voyageurs. Na granatowym sklepieniu nieba zaczęły się zapalać gwiazdy, a blady sierp księżyca, koloru żagla, wznosił się powoli ponad ciemnymi wzgórzami, kiedy wreszcie Henri Baptiste skierował „Shoshone" do piaszczystej wyspy na środku rzeki, gdzie ją zacumowali. Tutaj mieli spędzić noc.

— Jak Boga kocham — uśmiechnął się Henri Baptiste do Bena, który się krzątał przy ognisku rozpalonym na brzegu wyspy. — Przynosisz mi szczęście, Ben. Będziemy pierwszą łodzią na Three Forks.

— Pan, panie Baptiste, nie potrzebuje szczęścia — odparł rezolutnie Ben, pamiętając dobrze, ile zawdzięcza temu mężczyźnie o smagłej cerze i czarnych płomiennych oczach, który nie pytając o nic wziął go, sierotę bez dachu nad głową, i dał mu pracę oraz schronienie na pokładzie swej barki. Bourgeois po kilku dniach bacznej obserwacji chłopca z zadowoleniem patrzył, jak bierze się ochoczo do każdej pracy, jak zręcznie szykuje posiłki, przygotowuje kawę i wielkie gary fasoli, solonej wieprzowiny i pra-żonej kukurydzy.

— Voila — powiedział Henri Baptiste poprzedniego wieczoru. — Ty, chłopcze, lubisz mój statek, a mój statek lubi ciebie. Zostaniesz z nami.

Ben Kramer niczego bardziej sobie nie życzył. Urzekła go dzika, nieokiełznana Missouri, jej cudowny krajobraz, bogactwo zwierzyny na brzegach. Wiedział, że pokocha życie wolnego kupca, wyprawy w górę i w dół tej wielkiej rzeki, nawiązywanie przyjaznych kontaktów z Indianami, dostarczanie im rzeczy, których potrzebowali, powroty z cennym ładunkiem futer. Było to wolne, bogate życie — może niebezpieczne, ale dające w zamian wiele zadowolenia. Któż to wie, może pewnego dnia będzie miał własną barkę i to o nim będzie się mówiło bourgeois…

Rankiem „Shoshone" znowu ruszyła w drogę i znowu ludzie pracowali przy drągach, pokonując liczne zakręty rzeki, a mimo to osiągając tak znakomity czas, że w cztery dni po tym, jak minęli „Yellowstone Belle", Henri Baptiste zapewnił Bena, że Manuel Vargas nigdy ich nie dogoni, chyba że przyczepi swojemu statkowi skrzydła!

Już prawie zapomnieli o „Yellowstone Belle" i groźbie, jaka się z nią wiązała, kiedy na wielkiej otwartej przestrzeni nadbrzeżnej dostrzegli

stado bawołów. Były to pierwsze bawoły, jakie Ben widział w życiu, i wydawało mu się, że widzi tysiące tych włochatych stworzeń rozsianych po wzgórzach i porośniętej trawą równinie.

— Musimy zdobyć trochę świeżego mięsa — orzekł Henri Baptiste i natychmiast skierował dziób „Shoshone” w stronę brzegu.

— Czy mogę też pójść na polowanie? — spytał ochoczo Ben, mimo że największymi zwierzętami, do jakich strzelał, były wiewiórki i króliki na małej farmie stryja, w dolnym biegu Missouri.

Henri Baptiste potrząsnął stanowczo głową.

— Idziemy pieszo — wyjaśnił — a bawoły potrafią być bardzo niebezpieczne, kiedy są spłoszone. Zostaniesz na pokładzie.

Z żalem patrzył Ben, jak cała uzbrojona w strzelby załoga opuściła barkę i zaczęła się przedzierać przez wiklinowe zarośla, a potem wyszła na wzgórza, skąd widać było pasące się bawoły. Ujrzał, jak Kanadyjczycy idą wąwozem wśród wzgórz, a potem na dobre zniknęli mu z oczu. O Boże, jak bardzo pragnął być z nimi.

Stado bawołów dostrzegli po południu, dlatego Ben przypuszczając, że załoga wróci z mięsem o zmierzchu, zabrał się do szykowania wieczornego posiłku. Worki z kukurydzą i fasolą stały w kabinie, a fasola wymagała namoczenia przed gotowaniem.

W świetle łojowej świecy napełnił duży garnek fasolą, odstawił go na bok i zaczął czerpać chochlą kukurydzę z drugiego worka, kiedy nagle usłyszał na brzegu głosy. Przerwał swoją pracę nasłuchując ciekawie i sądząc zrazu, że to Henri Baptiste wrócił na pokład ze swymi ludźmi. Ale wyszli dopiero piętnaście minut temu, więc to nie mogli być oni!

Ben wszedł ostrożnie na schodki wiodące na pokład i wyjrzał przez luk. Najpierw pomyślał, że to jacyś Indianie-maruderzy i przeniknął go chłodny dreszcz, ale ludzie na brzegu mówili przyciszonymi głosami po francusku i najwidoczniej byli bardzo czymś zaaferowani.

Przykucnąwszy na stopniach Ben mógł dostrzec kilku z nich. Byli to mężczyźni o surowych, ciemnych twarzach, niektórzy z nich mieli na sobie wełniane czapki. Ich przywódcą był człowiek o nieprzyjemnej, ciastowatej twarzy, w którym Ben od razu rozpoznał Manuela Vargasa, często spotykanego w porcie St. Louis.

Nie dostrzegł barki rywali, co znaczyło, że Vargas i kilku ludzi z jego załogi przyszło pieszo lądem, omijając różne półwyspy i zakręty rzeki i oszczędzając w ten sposób wiele mil drogi. Wiadomo było, że nie przyszli tutaj w dobrych zamiarach. Co do tego Ben Kramer się nie łudził. Idąc w ślad za „Shoshone” pieszo Vargas miał wprost niezwykłe szczęście: zastał barkę przycumowaną do brzegu, najwidoczniej pozostawioną bez żadnej opieki.

Najpierw Ben sądził, że wrogowie wejdą na pokład i ukradną albo zniszczą ładunek, ale najwidoczniej Vargas miał inny plan. „Shoshone” była zacumowana na dziobie i rufie do brzegu, a liny były oplątane wokół mocnych pni drzew. Ludzie z „Yellowstone Belle" podkradli się do tych lin z nożami w rękach i w jednej chwili przecięli je spychając „Shoshone” w nurt. Chcieli, by porwał ją prąd.

Ben usiadł na progu luku, czując, jak barka drży, porwana silnym prądem. Za chwilę będzie na środku rzeki, gdzie wcześniej czy później uderzy o jakąś skałę albo o pień drzewa, który rozpruje dno. Ben siedział tak sparaliżowany, ale myśl jego pracowała rozpaczliwie.

Niewiele miał czasu, jeśli chciał uratować barkę Henri Baptiste'a. „Shoshone" była już w środku nurtu i okręciwszy się powoli wokoło, płynęła rufą w dół rzeki. Minęła cypel wyspy i kiedy Vargas i jego ludzie zniknęli Benowi z oczu, wypadł on z kabiny i podbiegł do wielkiego drąga na rufie.

Pierwszą rzecz, jaką musiał zrobić, to zapanować nad rozpędzoną łodzią. Gdybyż choć jeden z silnych Kanadyjczyków został wraz z nim na pokładzie!

Nie był pewien, czy uda mu się pokierować ciężką łodzią, ale musi spróbować. Chwycił olbrzymie wiosło. Najpierw postara się wyrównać kurs barki, a potem dopiero będzie usiłował nią sterować.

Woda koło wyspy płynęła wartko i Benowi nie pozostało nic innego, jak mocno trzymać ster i mieć w Bogu nadzieję, że barka nie zostanie rzucona na skały zachodniego brzegu. Widział spienioną żółtą wodę rozbijającą się o kamienie; gdyby tak „Shoshone" z szybkością, z jaką teraz płynęła, uderzyła w nie, rozprułaby sobie dno i natychmiast zatonęła.

Przerażony Ben stał przy sterze i modlił się w duchu, patrząc, jak mijają skały, z których wiele znajdowało się w odległości nie większej niż trzydzieści stóp. Łódź znowu skręciła nieco z głównego nurtu, a raz dziobem otarła się o jakąś wierzbę rosnącą na brzegu wyspy.

Barka nabierając szybkości mijała południowy kraniec wyspy i zmierzała w kierunku głównego nurtu. Z rozpaczliwym wysiłkiem całym ciężarem ciała oparł się o drąg sterowy. Po nieskończenie długiej chwili „Shoshone" jakby niechętnie, powoli obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i nareszcie zaczęła płynąć prawidłowo - dziobem do przodu. Chłopca ogarnęła radość. Teraz z łatwością nią pokieruje, wystarczy, że utrzyma ją na nurcie.

Starał się przypomnieć sobie szczegóły nadrzecznego krajobrazu, które widział, kiedy płynęli w górę. Gdzie mógłby dobić do brzegu? Stryj nieraz mu radził, żeby w czasie wędrówki po nieznanej okolicy zatrzymał się od czasu do czasu i bacznie rozejrzał - co mu ułatwi drogę powrotną. Na łodzi oczywiście o tym nie pomyślał.

Uratował „Shoshone", ale teraz musiał doprowadzić ją w jakiś sposób do brzegu, tak by Henri Baptiste i jego załoga mogli znowu znaleźć się na pokładzie, a to było zadanie bardzo trudne do przeprowadzenia. Miał niewielkie doświadczenie w obsługiwaniu barki, po raz pierwszy brał udział w wyprawie w górę rzeki, załoga wykonywała całą odpowiedzialną pracę, a on pomagał tylko przy dobijaniu do brzegu. Teraz gdy barkę niósł silny prąd Missouri, sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej; łódź płynęła z bardzo dużą szybkością i nie było sposobu, żeby przyhamować jej pęd. Żywił jedynie słabą nadzieję, że znajdzie jakąś spokojną zatoczkę przyrzeczną, gdzie nie będzie skał, wprowadzi tam barkę i wbije ją dziobem w brzeg.

Przez wiele mil nie mógł znaleźć odpowiedniego miejsca. Linia brzegowa była dzika i odstraszająca, pełna porohów i sterczących skał. Wielka mulista rzeka wiła się skręcając to na południe, to znów na wschód, najpierw wąska, potem rozlewała się szeroko, usiana wysepkami, a w miarę tego, jak mijało popołudnie, Bena ogarniało coraz większe przerażenie — przecież próbę lądowania musi podjąć przed zapadnięciem zmroku!

Zbliżał się teraz do wyspy porośniętej gęstym lasem, położonej blisko wschodniego brzegu. Niebo było jeszcze jasne, a kiedy znalazł się blisko, ze zdumieniem spostrzegł, że do brzegu przywiązana jest inna barka, rufą skierowana w stronę rzeki. Ben nie wątpił ani przez chwilę, że to „Yellowstone Belle", gdyż żadna inna barka nie opuściła St. Louis w tym samym czasie co oni.

Patrząc na rywalizującą z nimi łódź, która po wielu tygodniach wysiłków i starań miała ich wyprzedzić, Ben poczuł narastający gniew. Przypomniał sobie długie, znojne dni pracy załogi: znowu zostaną w tyle, ponieważ Vargas celowo chciał zniszczyć ,,Shoshone".

W absolutnej ciszy jego barka zbliżała się do wyspy. Zachodni kanał, w którym przycumowano „Belle", był wąski, ale Ben miał sporo miejsca, żeby ją minąć w odległości co najmniej stu stóp.

Chłopiec, wpatrzony w rufę wrogiej barki, myślał intensywnie. Pod wpływem nagłej decyzji skierował ster tak, że „Shoshone" uderzyła w rufę „Belle". Mógł dostrzec teraz ogień rozpalony na brzegu, lecz ludzie, których tu Vargas zostawił, nie usłyszeli nadpływającej bezszelestnie „Shoshone" i zerwali się dopiero, kiedy jej dziób uderzył w ich barkę.

Rozległ się trzask drewna, kiedy rozpędzona „Shoshone" wyrwała wielką dziurę w poszyciu „Belle". Pod wpływem uderzenia Bena rzuciło na kabinę, ale natychmiast zerwał się chwytając ster, żeby skierować rozpędzoną „Shoshone" znowu na środek kanału.

Słyszał dolatujące z brzegu krzyki. Rozległ się strzał, nad głową świsnęła mu kula. Przycupnięty nisko, prawie leżąc, przeprowadził „Shoshone" koło wyspy i skierował na rzekę, zostawiając na brzegu unieruchomioną rywalkę. Nie sądził, by wrogi statek zatonął, ale reperacja sporej wyrwy w rufie z pewnością zajmie wiele dni, a wtedy „Shoshone" znowu będzie daleko w górze rzeki.

Kilka mil poniżej znalazł wreszcie spokojną zatokę, ustawił odpowiednio ster i pozwolił „Shoshone" wbić się w gęstwinę wiklin na zachodnim brzegu. Kiedy dziób zanurzył się w gałęziach, czekał już z liną.

Błyskawicznie przywiązał jedną cumę z dziobu, drugą z rufy, a kiedy na niebie rozbłysły gwiazdy, ciężko dysząc leżał na dachu kabiny, by otrząsnąć się z napięcia, zanim się weźmie do szykowania wieczornego posiłku.

Uratował łódź Henri Baptiste'a. Rano wystrzeli z pięciofuntówki umieszczonej na dziobie, żeby bourgeois i jego załoga wiedzieli, gdzie go szukać. Najdalej w południe znowu wbiją drągi w dno i ruszą w kierunku rzeki Yellowstone, ale wtedy on, Ben Kramer, nie będzie już zwykłym chłopcem pokładowym, będzie zaufanym człowiekiem Henri Baptiste'a -

najlepszego bourgeois na wielkiej mulistej Missouri, będzie prawdziwym żeglarzem.

Tłumaczenie Irena Doleżal-Nowicka

**Ray Hogan**

## Miejsce dla Danny'ego Thorpe
(A Place for Danny Thorpe)

Przywędrował z Nowego Meksyku, krainy o górach granatowocienistych i dolinach głębokich; przyszedł z rozległych, roziskrzonych płaszczyzn Arizony, z Teksasu, z Kansas - niemal zewsząd - a mimo to musiał szukać sobie miejsca na świecie. W San Francisco, sądził, że zakończył swe poszukiwania, ale znowu spotkało go niepowodzenie - niepowodzenie w postaci Nate'a Tobina, Kruszyny Nate'a Tobina, króla hazardzistów. Teraz uciekał, w strachu o własne życie.

Pośród czarnych cieni Montgomery Street przylgnął do wilgotnej ściany jakiegoś budynku i patrzył w mglistą ciemność. Tam gdzieś kryli się Newton i Stanger, dwa zbiry Tobina, ciche, mściwe cienie wciąż postępujące uparcie w jego ślady, wciąż żądne jego krwi. Gdzieś od strony zatoki zahuczała syrena statku, zagubiony, samotny dźwięk w spowitej mgłą nocy.

Z początku Danny Thorpe marzył o tym, żeby zostać rancherem. Urodził się i wychował w Teksasie, było to więc dążenie naturalne, ale w tej ogromnej krainie mężczyzn wielkich i potężnych szybko musiał stwierdzić, że jest jakiś nieudany, ni to chłopak ni mężczyzna, którego nikt nie traktuje poważnie.

Koniec końców zmusiło go to do ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce, z jednego terytorium i stanu do drugiego, i tak wędrował, zagubiony w obojętnym dlań świecie, gdzie niski wzrost wciąż był przeszkodą uniemożliwiającą mu znalezienie takiego zajęcia, jakiego gorąco pragnął.

Wreszcie znalazł się w San Francisco, gdzie, jak słyszał, potrzebni byli dżokeje i gdzie można było zarobić nieźle na torach wyścigowych. Zaczęło się dobrze. Miał dar do koni, potrafił wydobyć z nich to co najlepsze. Po kilku tygodniach uznano go już za swego - a wówczas objawił się Nate Tobin. Rozkazał Danny'emu przegrać pewien wyścig i groził zemstą, gdyby nie wykonał rozkazu. Danny rozegrał walkę uczciwie i jego koń bez trudu wygrał bieg. Tobin stracił fortunę i natychmiast wysłał swych doborowych zbirów, by dali nauczkę temu małemu człowieczkowi, który ośmielił się oprzeć jego rozkazom. Danny Thorpe uciekł, świadom grożącego mu niebezpieczeństwa, świadom również kolejnego niepowodzenia. Był…

— On tu gdzieś musi być.

Głos Stangera przeciął ciszę nocną. Danny przylgnął mocniej do ściany, serce mu waliło, nerwy miał napięte jak struny. Posuwali się w jego stronę, a on nie mógł nic zrobić - tylko czekać - i liczyć na szczęście. Nie miał żadnej broni, nawet scyzoryka. Pistolet dawno już sprzedał, kiedy zabrakło mu pieniędzy.

— Nie jestem taki pewny — w głosie Newtona brzmiała wyraźnie wątpliwość. — Mógł pójść w przeciwnym kierunku. Tu nie ma po nim śladu.

— On tu jest — upierał się Stanger. — Stań chwilę spokojnie i posłuchaj.

Danny opanowywał swój oddech i starał się przetrwać przedłużające się sekundy. Statek w porcie znowu zabuczał, gdzieś na bruku rozległ się stukot kopyt końskich, słaby i głuchy. W ustach zebrała się Danny'emu ślina, przełknął mocno. Choć noc była chłodna, czoło pokrywała mu gruba warstwa potu, walczył ustawicznie z odruchem, by go obetrzeć.

Zalała go fala gniewu i zniechęcenia. Dlaczego zawsze jemu musi się coś podobnego przytrafić? Czemu nigdy nie może znaleźć przyzwoitej pracy, prowadzić normalnego życia, jak inni ludzie? Czemu zawsze przychodzi coś, co wszytko psuje, kiedy już sprawy zaczynają się jako tako układać? Jest skończony w San Francisco i na torach wyścigowych, a to przez Nate'a Tobina, którego macki sięgają dostatecznie daleko, by objąć i opanować ten sport. Będzie musiał znowu wędrować dalej, szukać jakiegoś innego życia. Ale jakiego? I gdzie?

Jęknął cicho na tę myśl; próbował już niemal wszystkiego. Niewiele zostało, jeśli w ogóle zostało cokolwiek. I wtedy nagle przypomniał sobie ogłoszenie, które czytał w gazecie. Wówczas nie zwrócił na nie uwagi, teraz ożyło w pamięci.

„Potrzebni:

Mężczyźni młodzi, szczupli, wytrzymali, do osiemnastu lat, tylko doświadczeni jeźdźcy, gotowi codziennie ryzykować życie, najchętniej sieroty. 25 dolarów tygodniowo. Zwracać się: Centralny Ekspres Kontynentalny”.

Ekspres Konny! Zaczął swoją działalność tej właśnie wiosny, przewoził pocztę pomiędzy Sacramento i St. Joseph w stanie Missouri. Może mógłby się tam jakoś zaczepić. Ten promień nadziei przeniknął jego rozpacz, podniósł go na duchu. Ekspres ma swoje biuro w San Francisco, ale to, rzecz jasna, nie wchodzi w rachubę; nie może zaryzykować, że go zobaczą zbiry Tobina. Słyszał, że najbliższy odcinek Ekspresu ma przedstawicielstwo w Sacramento. Mógłby tam pojechać, zgłosić się do pracy. Sacramento leży o dobre dziewięćdziesiąt mil, ale przecież zawsze można złapać po drodze wozy towarowe, a jak człowiek poprosi, ktoś go przecież podwiezie.

Mógłby to wszystko zrobić, rozmyślał ponuro, gdyby udało mu się ujść z życiem — gdyby udało mu się umknąć Stangerowi i Newtonowi. Zaczął rozpaczliwie szukać jakiegoś wyjścia, ratunku. Na pewno jest jakiś sposób, musi być.

— Powiadam ci, że tu go nie ma — doszły go niespodzianie słowa Newtona z ciemności o kilkanaście kroków na prawo. — Poszedł w odwrotnym kierunku. Założę się.

— Założysz się? — drwił Stanger. — Nic nie wiesz, a chcesz się zakładać?

— Słyszałem przed chwilą jakiś hałas. To mógł być on.

— To mógł być sen.

— Nie. Przecież wiem, co słyszę.

Po krzyżu Danny'ego przeszedł dreszcz, gdy w głowie zaświtała mu pewna myśl. Newtonowi wydawało się, że usłyszał jakiś dźwięk na ulicy z przeciwleglégo kierunku; może gdyby urealnił ten dźwięk, dowiódł, że tamten ma słuszność… Danny sięgnął po kapelusz, podnosił rękę ostrożnie, by nie otrzeć nią o ubranie. Ujął kapelusz o wąskim rondzie, podniósł wysoko i cisnął daleko, w noc. Kapelusz uderzył o coś twardego, rozległ się słaby odgłos.

— Oo — powiedział natychmiast Newton. — Teraz słyszysz?

— Tak — przyznał opryskliwie Stanger. — Chodźmy. Trzeba sprawdzić.

Danny słuchał cichych kroków mężczyzn, którzy ruszyli w kierunku dźwięku. Nie czekał ani chwili dłużej, obrócił się i powstrzymując chęć rzucenia się biegiem przed siebie przeszedł spokojnie i ostrożnie do następnej przecznicy. Nie panował już dłużej nad sobą i ruszył pędem. Jak mu się poszczęści, znajdzie jeszcze w mieście jakiś wóz kierujący się na północ.

W cztery tygodnie później jechał na koniu pożyczonym od zgryźliwego starego Pata McCoskey, agenta Ekspresu w Sacramento, w kierunku Smith's Crossing w środku Newady. W kieszeni wiózł list kierujący go na placówkę, która miała stać się jego stacją macierzystą; za sobą miał siedemnaście dni wytężonych ćwiczeń w sztuce, jaką jest jazda w służbie Ekspresu Konnego. A dalej, gdzieś w przeszłości, majaczył Nate Tobin i inne symbole prześladującego go niepowodzenia. To wszystko należało już do przeszłości, nareszcie bowiem odnalazł samego siebie, znalazł swoje miejsce, i pozostawało mu tylko dowieść przed McCoskeyem swoich umiejętności, a praca zostanie mu powierzona na stałe.

Niełatwo było wytrzymać zgryźliwe uwagi agenta, ale Danny zniósł i to, uparcie starając się zachować pogodę ducha. Złożył ślubowanie, jakie składać muszą wszyscy jeźdźcy; że nie będzie klął ani pił podczas pracy, że zawsze będzie się zachowywał jak dżentelmen i nigdy nie sponiewiera konia. Oddał się całkowicie w ręce McCoskeya, który objeżdżał go dzień i noc jak łysą kobyłę.

— Zginaj kolana, do diaska! — krzyczał na niego stary za każdym razem, kiedy miał trudności z zeskoczeniem z konia w biegu. — Za pierwszą jazdą połamiesz sobie nogi, jak nie będziesz zginał kolan.

I Danny Thorpe nauczył się zginać kolana, jak również sprawnie posługiwać się mochilą, przemyślną derką skórzaną

dopasowaną do siodła, z naszytymi czterema kieszeniami na pocztę. Kieszenie te były ładowane na obu końcach linii ekspresu, a mochila przekazywana od jeźdźca do jeźdźca, sztuka zaś polegała na tym, by dokonać wymiany bez straty czasu.

— Dziewięć dni stąd do St. Joe — mówił McCoskey. — O to się bijemy. Teraz robimy ten dystans w dziesięć dni, to jest przeszło dwa razy prędzej niż statkiem czy dyliżansem. Ale chcemy to zrobić w dziewięć dni, i do cholery na pewno moglibyśmy się w tym czasie zmieścić, gdybyście wy, zakichane siodłogrzeje, wzięli się do roboty.

— Postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy — obiecywał Danny ogromnie przejęty entuzjazmem i poświęceniem McCoskeya dla sprawy. — Będę się starał…

— „Wszystko” to za mało — przerwał stary. — Trzeba więcej. I poza tym czas nie jest jedyną rzeczą ważną. Poczta musi dojść, choćby się waliło i paliło, poczta musi dojść! Rozumiesz?! Choćby nie wiem co, musisz dostarczyć swoją mochila do kolejnego punktu, żeby następny jeździec mógł ją wieźć dalej. Nie przyjmujemy żadnych tłumaczeń - żadnych.

— Tak, proszę pana. Chciałbym mieć tylko trochę szczęścia.

— Szczęścia! — wybuchnął McCoskey. — Człowiek sam zarabia na swoje szczęście, nie zapominaj o tym nigdy. Zapamiętaj sobie dobrze wszystko, co ci tutaj mówiłem, a nigdy nie będziesz potrzebował liczyć na coś takiego jak szczęście.

I tak się to ciągnęło, aż w końcu McCoskey wysłał go w drogę, zadowolony wreszcie, choć mówił otwarcie, że przekonany jeszcze w zupełności nie jest. Ciepłe słońce późnej jesieni ogrzewało mu ramiona, gdy Danny wjechał na ostatnie wzniesienie i spojrzał na to, co, jak w głębi ducha sądził, stanie się jego nowym domem, na Smith's Crossing.

Z wyglądu wiele ono pozostawiało do życzenia. Po prostu kilka rozproszonych, szarych, spalonych wiatrem i słońcem budynków i korrali z żerdzi: wszystko to nagie, bez zieleni, z wyjątkiem jednego samotnego drzewa, które w zupełnym opuszczeniu rosło przed największym budynkiem.

Przeszłość była gdzieś daleko za Dannym Thorpe, gdy zatrzymał konia u koniowiązu i zsiadł przed kantorem Ekspresu Konnego - chatą z bali uszczelnionych gliną. Zatrzymał się chwilę, oglądając szyld nad drzwiami, na którym przedstawiony był miniaturowy mężczyzna o skupionej twarzy, odziany w czarne sztruksowe spodnie, buty do kolan, skórzaną kurtkę obszytą frędzlą i wymięty kapelusz z dużym, podwiniętym rondem. Ciepłą odzież wełnianą, jak to uczył McCoskey, zrolowaną miał w poncho przytroczonym za tylnym łękiem siodła.

Obciągnąwszy schowany w pochwie na biodrach rewolwer - również pożyczony od agenta linii, wszedł do środka. Tam znowu stanął, by oczy mu przywykły do nagłej zmiany oświetlenia. Była to wielka izba, skąpo umeblowana, a wszystko w niej pokrywała cienka warstwa żółtawego kurzu. Ktoś pobrzękiwał naczyniami w przyległym pokoju, a w spokojnym, ciepłym powietrzu wisiał, niby prowokacyjne perfumy, miły, zachęcający zapach kawy.

— Pewno jesteś Thorpe, nowy jeździec, co? — rozległ się z lewa jakiś głos.

Danny obrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z przysadzistym ciemnym mężczyzną o blisko osadzonych oczach i przyjaznym uśmiechu.

— Tak — Odparł i wyciągnął list, w który zaopatrzył go McCoskey. — A pan jest pewno Wylie Courtright, tutejszy agent linii?

Courtright skinął głową. Otworzył, list, rzucił nań okiem i wsunął do kieszeni.

— Mac przysłał mi wiadomość, że dziś przyjedziesz. Dobra jest. Ruszasz jutro na linię, rano.

— W porządku — odparł Danny rzucając nieświadomie spojrzenie w kierunku kuchni.

— Pewnoś głodny jak wilk — powiedział agent, którego uwagi nic nie uszło. — Siądź tu sobie, a ja sprawdzę co tam się da wyskrobać. Potem pogadamy.

Danny usadowił się za stołem przy oknie. Widział stąd korral, gdzie kilkanaście koni stało rozkraczonych w ciepłych promieniach słońca. Wszystko to były silne, z gruba ciosane, niewielkiego wzrostu zwierzęta, które wyglądały na zdolne do wytrzymania wszelkich trudów. Nieco dalej znajdowała się kuźnia. Jej dwuskrzydłowe drzwi były rozwarte, a czerwone węgle żarzyły się na palenisku niczym oczy złego. Po chwili kowal zaczął pracować nad kowadłem, a uderzenia młota rozbrzmiewały czysto i donośnie w zalegającej ciszy.

Powrócił Courtright niosąc kawał chleba z zimną wołowiną, filiżanki i mały kamienny dzbanek kawy.

— Powinieneś na tym dociągnąć do kolacji — powiedział siadając naprzeciw przybysza. — Co się dzieje w Sacramento? Stary Mac w dalszym ciągu wyciska z ludzi siódme poty, co?

Danny uśmiechnął się między jednym a drugim kęsem.

— Takiego drugiego mantyki jak on na pewno nie znajdzie!

— Pewno by mu nie wygodził nawet jeździec na skrzydlatym koniu — pokiwał głową agent. — Ale on umie uczyć. Ta poczta działa dzięki treningowi, jaki u niego przechodzicie.

— Wydawało mi się, że potrafię sobie radzić z końmi, póki go nie poznałem — rzekł Danny. — Jaka będzie moja druga stacja macierzysta i jak to daleko stąd?

— Red Valley — mniej więcej sto siedemdziesiąt mil stąd. Masz jedenaście zmian koni po drodze.

— Sto siedemdziesiąt mil! — zamruczał Danny. — Dobry kawał drogi.

— Nie ma co przeczyć. Większość stacji macierzystych leży od siebie mniej więcej o sto mil. Ten odcinek jest najdłuższy na linii. Dlatego mamy kłopoty z utrzymaniem na nim człowieka. Ale to nie jest zły odcinek. Na ogół teren równy i łatwy.

— Są kłopoty z Indianami?

— Ostatnio nie. Pewno to za wielkie odludzie, nawet i dla nich. Jeśli o mnie idzie, nie mam żalu do faceta, który stąd wieje.

— Ja nie zwieję — odpowiedział Danny — o ile stwierdzicie, że się nadam.

Przez chwilę Courtright milczał.

— Chyba nie masz się czego obawiać — powiedział wreszcie. — Pamiętaj tylko, że poczta musi dojść na czas, ale przede wszystkim musi w ogóle dojść. Na pewno zresztą Mac ci już to mówił.

— Jeszcze by nie! Głośno i często!

— Ten kurs jest specjalny. Z powrotem będziesz wiózł w swojej mochila bardzo ważną pocztę.

Danny zmarszczył czoło i nalał sobie drugą filiżankę kawy.

— Ważną?

— Tak, wyniki wyborów. Ludzie będą ogromnie ciekawi, kto wygrał — Lincoln czy ten drugi, Douglas.

Danny ze szczętem zapomniał o wyborach prezydenckich, zresztą i tak niewiele one dla niego znaczyły. Człowiek musi żyć i pracować bez względu na to, kto siedzi w Białym Domu.

— Tacy ludzie jak my nie przywiązują dużej wagi do podobnych spraw — powiedział Courtright, jakby czytał jego myśli — ale wielcy przedsiębiorcy tutaj ogromnie dużo wiążą z tym, kto zwycięży. Słyszałem, że niektórzy przepowiadają rychłą wojnę, jeśli wygra Lincoln.

Danny zdumiał się bardzo.

— Co? — roześmiał się. — Wojnę z kim? Nabiliśmy Meksykanów…

— Wojnę z Południem — odparł spokojnie agent. — Tam się na pewno szykują duże kłopoty. Byłoby straszne, gdybyśmy zaczęli walczyć ze swoimi.

— Na pewno! — przytaknął Danny. — O której rano ruszam w drogę?

— O trzeciej trzydzieści. Możesz liczyć, że stary Bob będzie tutaj jak w zegarku. Masz dwie minuty na zabranie poczty i wyjazd.

— Nie będzie mi tyle trzeba.

— Tak mi się widzi. I zabierz ze sobą broń. Niektórzy chłopcy nie biorą, ale ty powinieneś mieć na tej trasie.

— Ale pan przecież mówił…

— Myślę właściwie nie o Indianach, uważam po prostu, że powinieneś jechać uzbrojony. Ostatnio kręci się tutaj wielu obcych. Miejskie galanty. Parę dni temu zjawiło się trzech. Nie mam pojęcia, czego tu szukają - może niczego. Ale tak czy inaczej, miej oczy otwarte.

— Dobra — zgodził się Danny. Rozejrzał się po izbie. — A gdyby mi pan teraz pokazał, gdzie jest moje posłanie, to chyba trochę bym się zdrzemnął. Trzecia trzydzieści to pioruńsko wcześnie.

— O tam, prosto — Courtright wskazał mu drzwi w przeciwległej ścianie. — Zbudzę cię na kolację. Wtedy poznasz resztę naszej załogi.

— Doskonale — mruknął Danny wstając i ruszając w kierunku wskazanych drzwi. — Doskonale.

Następnego ranka, kiedy stał przed ogniem trzaskającym na kamiennym kominku i popijał kawę, ogarnęło go nieprzytomne podniecenie. Chciałby już siedzieć w siodle i jechać, niecierpliwie wyglądał chwili, kiedy rozpocznie to nowe życie, które się przed nim otwierało. Uśmiechnął się do Courtrighta, który mrugnął w odpowiedzi porozumiewawczo. O tej wczesnej godzinie na nogach był tylko agent i dwaj stajenni. Poprzedniego wieczora Danny poznał kowala, jego pomocnika, kucharza i kilku innych pracowników. Mieli tutaj codzienne regularne zajęcia i nie było potrzeby, żeby zrywali się o tej porze.

Ociężała postać Courtrighta tkwiła rozparta niedbale w drzwiach. Agent spojrzał na swój gruby zegarek ze srebra i niklu.

— Tylko go patrzeć powiedział i podszedł do Danny'ego. — Jak ruszysz, zdaj się we wszystkim na konia. One znają ten odcinek lepiej niż ktokolwiek z nas.

Danny skinął głową. Dopił kawę, postawił pustą filiżankę na gzymsie kominka i podszedł do okna. Noc była jasna, niebo wysrebrzone

gwiazdami. Otworzył okno i wsłuchał się w głęboką ciszę. Daleki, szybki tętent galopującego konia doszedł z tej ciszy niby delikatne uderzenia pałeczek dobosza.

— Jedzie — powiedział i ruszył ku drzwiom.

— Nie ma pośpiechu — powstrzymał go agent potrząsając głową. — Jeszcze mamy pięć, sześć minut.

Ale Danny nie dał się zatrzymać, gnany niecierpliwością.

— Chcę być gotów — mruknął i wyszedł na podwórze.

Agent uśmiechnął się ze zrozumieniem. Sięgnął po swój kożuszek, nałożył go, wziął trzy listy, które miały być dołączone do poczty, i wyszedł za jeźdźcem w rześką noc. Zatrzymał się koło Danny'ego, który sprawdzał siodło i uzdę konia przygotowanego dlań przez stajennych.

— To na wschód — powiedział rzucając listy Danny'emu. — Do pierwszej prawej kieszeni.

Danny podniósł głowę. Trzy kieszenie mochila były zamknięte na kłódki i zawierały ważną pocztę umieszczoną tam na pierwszej stacji - nie wolno ich było otwierać, mógł to uczynić tylko agent czy upoważniony do tego urzędnik na końcowej stacji linii - w tym wypadku St. Joe - który posiadał klucz. Czwarta kieszeń, przy prawym kolanie jeźdźca, na pocztę, którą się zabierało lub dostarczało po drodze, pozostawała otwarta.

Danny wsunął listy za koszulę. Włoży je we właściwe miejsce, kiedy już znajdzie się w siodle, nie będzie marnował na to czasu przed dosiadaniem konia. Był to jeden z wielu drobnych szczegółów, pozornie bez znaczenia, jakich wyuczył go Pat McCoskey, a wszystkie one razem wzięte równały się kilkuminutowej oszczędności na całym odcinku.

Upewniwszy się, że koń gotów, Danny ruszył głębiej w podwórze. Tętent stawał się coraz głośniejszy i po chwili wytężając wzrok Danny dostrzegł zbliżającego się jeźdźca.

Przeszedł go dreszcz dumy. Jeździec siedział pochylony nad szyją wierzchowca. Przewiązana chustka powiewała jak sztandar rzucając wyzwanie wszystkim patrzącym. Koń szedł cwałem, z wyciągniętą szyją, z grzywą i ogonem rozwianym na wietrze migotliwą falą. Nogi wierzchowca ledwo majaczyły w półmroku. W sercu Danny'ego wzbierało wzruszenie — oto życie, jakiego szukał, jakie musi stać się jego udziałem! Można być dumnym, że się jest jeźdźcem Konnego Ekspresu; będzie takim jeźdźcem albo umrze próbując nim zostać.

Świeżo osiodłany koń zaczął przysiadać nerwowo, nie mogąc się doczekać chwili rozpoczęcia biegu. Jeden ze stajennych zaklął cicho, łagodnie i poprowadził zwierzę robiąc z nim parę kółek by rozładować jego zdenerwowanie. Wtem jeździec wpadł na podwórze - Danny kątem oka zobaczył napiętą twarz, gdy zeskakiwał z konia, dostrzegł prostokątny kształt rzuconej ku niemu mochila. Złapał ją zręcznie, przerzucił przez swoje siodło z wypraktykowaną precyzją i skoczył na konia. W następnej chwili dawał nura głęboko w noc.

Była to dobra zmiana, szybka, Pat McCoskey byłby z niego dumny, myślał pędząc przed siebie. Potem uśmiechnął się ironicznie. Chyba nic na świecie nie mogło zadowolić starego agenta. Doskonałość była dlań po prostu stopniem do jeszcze wyższego celu.

Wepchnął na miejsce trzy listy, które dał mu Wylie Courtright zatrzasnął sprężynowy zameczek i spojrzał przed siebie. Droga układała się przed nim jak niewyraźna biała, kręta wstążka obrzeżona chwastami, trawą i innymi roślinami. Przetoczyła się przez niego wielka fala szczęścia, wciągnął głęboko w płuca ostre, czyste powietrze. Był w siodle, w drodze; to już rzeczywistość. Był jeźdźcem Ekspresu Konnego.

No… prawie, pomyślał w przypływie trzeźwości, osadzając swój rozbujany optymizm. Musi jeszcze zdać egzamin przed McCoskeyem. Musi przejechać kilka razy swój odcinek i - zrobić to dobrze. Musi się trzymać instrukcji agenta, pamiętać o przysiędze, nie zapomnieć o niczym, co powiedział mu Courtright. Musi przyjechać na czas, dowieść pocztę - i nie popełnić błędu. Były to duże wymagania, ale on im sprosta. Nic mu w tym nie jest w stanie przeszkodzić.

Przygiął się nad końskim karkiem, a bułanek pędził w noc. Mile przelatywały. Gwiazdy nad głową zaczynały blednąc i niknąć. Rzadka roślinność i nieregularne kształty skał rysowały się coraz widoczniej. Królik przebiegł drogę i szybko skrył się w zaroślach. Za zakrętem ukazał mu się nagle pierwszy punkt zmiany konia, drobna, wystawiona na wichry plamka w wielkim pustkowiu. Wydawało się prawie niemożliwe, że przebyli taką przestrzeń i że jechał już niemal dwie godziny.

Wpadł na podwórze, twarz stajennego stojącego ze świeżym wierzchowcem zamajaczyła mu w półświetle tylko mglistymi konturami. Chwycił mochila tak, jak go tego uczył Pat McCoskey, i przygotował się do zmiany konia. Poszło gładko, bez zbędnych ruchów, tak jak się spodziewał, i po kilku sekundach znów był na drodze, tym razem dosiadając beczułkowatego srokacza, wałacha, który pędziły jakby całe piekło i jego władca deptały mu po nogach.

W godzinę później, gdy zaczynał wjeżdżać na długi, łagodny stok, zaskoczył go świt przynosząc z sobą ostry, przenikliwy wiatr, który przeszywał go do szpiku kości - jaka szkoda, że nie ma na sobie nic cieplejszego. Ale wiatr przycichł przed następną zmianą konia, a kiedy zmienił trzeciego, i to bez żadnych przygód, stwierdził nagle, że - nie wiadomo, z jakiej przyczyny - zrobiło mu się ciepło, zdjął więc kurtkę.

Minęło południe, ale on nie odczuwał głodu, tylko rosnącą stale sztywność, obezwładniającą mięśnie, i ostry, przeszywający ból wzdłuż kręgosłupa i w ramionach. Dotychczas uważał się za człowieka przywykłego do ciężkich, długich jazd; teraz zaczynał zdawać sobie sprawę, że, jak go McCoskey uprzedzał, jest ogromna różnica między zwykłą jazdą konną a dosiadaniem wierzchowca Ekspresu Konnego bez przerwy, całymi godzinami, w pełnym cwale.

Okolica stawała się coraz bardziej odludna i ta otaczająca go pustka zaczynała wywierać wpływ na jeźdźca. Starał się nie myśleć o niej, skupić myśli na tym, jak uśmiechnął się do niego los - że ten los stanie się jego stałym udziałem, jeśli potrafi dowieść, ile jest wart i ile umie. To było jak sen - mglisty, szczęśliwy sen - miał nadzieję, że nigdy się z niego nie zbudzi.

O zmierzchu spotkała go niespodzianka: kiedy dojechał do ostatniego punktu zmiany konia, znalazł tam oczekującą go dziewczynę ze świeżym

wierzchowcem. Uśmiechnęła się do niego słodko, a on tylko dosiadł skokiem nowego konia. Potem nie mógł sobie przypomnieć, czy odpowiedział jej uśmiechem, czy nie. Powtarzał sobie, że musi to nadrobić w drodze powrotnej, koniecznie. Taka ładna; miło będzie znać kogoś na szlaku.

Natychmiast jednak przypomniał sobie, że oczekuje się po jeźdźcach Ekspresu Konnego, by się nie żenili, doszedł więc do wniosku, że lepiej będzie, jak o niej zapomni. Mogłoby to doprowadzić do jakiejś komplikacji, a nic… nic… nie przeszkodzi mu w jego pracy.

Po wpół do ósmej stanął na stacji Red Valley i cisnął mochila oczekującemu jeźdźcowi z następnego odcinka. Każdy mięsień i każda kość w jego ciele bolały dziko, zatoczył się niepewnie ruszając do drzwi. Ledwo usłyszał powitanie agenta i drętwo uścisnął mu rękę. Był również głodny, ale to nic pilnego; przede wszystkim trzeba choć na kilka minut wyciągnąć się na łóżku.

I wtem, gdy przestępował próg głównej izby, gdzie żona agenta stawiała właśnie kolację na stole, stanął osłupiały. Przed kominkiem, odwróceni plecami do ognia, wpatrując się w przybysza zmrużonymi oczyma, stali dwaj mężczyźni. Serce Danny'ego Thorpe zamarło na chwilę. Byli to Pete Newton i Bill Stanger. Zbiry Kruszyny Nate'a Tobina znaleźli go wreszcie.

Zmęczenie opadło z Danny'ego, zapomniał o nim. Odrętwiła go rozpacz i stare, znane uczucie beznadziejności. Wpatrywał się w tych dwóch w obcisłych garniturach, melonikach i bucikach z guzikami, nie pasujących do tego prostego, surowego otoczenia.

— Czego chcecie?

Własny głos zabrzmiał mu obco w uszach. Był napięty, dziwnie ochrypły. Patrzył, jak Bill Stanger robi krok naprzód, z dłońmi wyciągniętymi w pojednawczym geście.

— Czego chcemy? Ależ niczego, Mały. Po prostu przejeżdżamy tędy, dwóch pielgrzymów w drodze na wschód.

— Święta prawda — przyłączył się doń Newton. — Pielgrzymi, święta prawda.

— Nie szukacie mnie? — zapytał Danny bez osłonek.

Stanger okazał zdumienie.

— Ciebie? Och, masz na myśli tę historię z wyścigami? Nate już o tym zapomniał. Chciał tylko dać ci nauczkę. Ale jak nawiałeś, to mu chyba wystarczyło.

Danny zastanawiał się nad tym dobrą chwilę. Wydawało się nieprawdopodobne, by Tobin podejmował tak wielkie wysiłki dla wyrównania z nim rachunków. A poza tym, skądże by on czy jego ludzie wiedzieli, że pracuje w Ekspresie Konnym czy też, ściślej, że jest na tym akurat odcinku.

— Jak długo wozisz pocztę? — zapytał Stanger.

— Pierwszy raz — niepokój Danny`ego zaczął ustępować. Najwidoczniej tych dwóch nie interesowało się nim.

— Podoba ci się to?

— Bardzo — odparł Danny i podszedł do stołu. Zmienił zdanie: zje jednak coś, zanim położy się do łóżka.

— Przyjemnie poganiać te szkapiska na szlaku, co?

— Pewno! — powiedział Danny siadając na krześle. Podniósł do ust filiżankę, napił się do syta. Newton zwrócił się do niego przez izbę.

— Ruszasz rano na zachód?

Danny skinął głową. Obecność tych dwóch mężczyzn wywoływała w nim nieokreślony niepokój. Może teraz nie idzie im już o ukaranie go za to, co Tobin nazywał wystrychnięciem go na dudka, ale czy nie mają jakichś innych zamiarów? Za bardzo są przyjacielscy, zbyt wiele zadają pytań.

Zastanawiał się nad tym jedząc i od czasu do czasu obrzucał spojrzeniem tych dwóch, którzy wciąż stali przed kominkiem. Co też oni knują? Ekspres Konny przewoził niewiele pieniędzy, a może i wcale, toteż w grę nie może wchodzić rabunek, zwłaszcza jeśli bierze w tym udział gracz na tak dużą skalę jak Nate Tobin. Musi to być coś innego - jeśli jego podejrzenia są słuszne. Zdecydował wreszcie, że najlepiej będzie zachować spokój mając oczy otwarte.

Wszedł agent, usiadł naprzeciwko przy stole.

— Nazywam się Ruskin. Charlie Ruskin. Nie miałem okazji się przedstawić, tak byłeś zajęty ze swoimi przyjaciółmi. Ty jesteś Danny Thorpe, co?

— Tak. A tych tam nie nazwałbym moimi przyjaciółmi.

Ruskin uśmiechnął się, nie całkiem pojmując.

— Tak mi się zdawało z tego, jakeście tu rozmawiali. Mniejsza z tym, pewno chciałbyś się dowiedzieć, że zrobiłeś swój odcinek w szesnaście godzin, zakładając, że ruszyłeś punktualnie.

— Jak w zegarku — odpowiedział Danny, a potem spytał: — Czy to dobry czas?

— Taki, jak powinien być, szesnaście godzin. Robili ten odcinek i w krótszym czasie, a kilka razy jechali dłużej. — Agent podniósł się — wysoki, sympatyczny mężczyzna o pobrużdżonej twarzy. — Pewno chętnie rąbniesz się spać. Po pierwszej jeździe człowiek stwierdza, że ma mięśnie, o jakich mu się nigdy nie śniło.

Danny skinął głową i wstał.

— O której ruszam rano?

— O szóstej, jeśli nic nie nawali. Te drzwi na lewo to twój pokój. Czy ci czego nie trzeba?

— Tylko spać — odparł Danny i poszedł do siebie.

Kiedy Charlie Ruskin potrząsnął go za ramią, wydało mu się, że ledwo zdążył podciągnąć koc pod brodę.

— Piąta. Czas wstawać i szykować się.

Danny dźwignął się nieprzytomnie na nogi, po czym, gdy ostre, zimne powietrze przecięło jak nożem watę spowijającą mu umysł, ubrał się spiesznie i wyszedł do głównej izby. Zjadł szybko, łyknął dwie filiżanki dymiącej czarnej kawy, po czym natychmiast wyszedł na dwór, by sprawdzić, co z koniem. Stajenny kończył właśnie siodłać półdzikiego gniadosza, który sięgał ku niemu zębami za każdym razem, gdy mężczyzna znalazł się przy jego łbie.

— Parszywiec — powiedział stajenny — ale szybszy na szlaku niż kot natarty terpentyną. Widzi mi się, że taki ci właśnie potrzebny.

Danny zaczął:

— Ja lubię… — i przerwał, zdał sobie bowiem sprawę, że w słowach stajennego kryło się jakieś głębsze znaczenie. — Czy jest jakiś powód, dla którego powinienem mieć szybkiego konia?

Stajenny podniósł wzrok.

— No pewno! Każdy jeździec będzie flaki wypruwał ze szkapy. Przecież przesyłamy wyniki wyborów!

W głosie mężczyzny zabrzmiała duma. Danny uśmiechnął się do niego.

— A niech mnie, całkiem o tym zapomniałem.

— Bardzo by to Ekspresowi pasowało, gdyby te wyniki doszły do San Francisco w rekordowym czasie.

Mnie też - pomyślał Danny i odszedł. Niebo na wschodzie było posępne, perłowoszare. Wyglądało, że będzie miał dobrą pogodę. Obrzucił spojrzeniem podwórze, spojrzał ku budynkowi. Ani śladu Newtona czy Billa Stangera. Rozmyślając o nich wrócił do głównej izby. Charlie Ruskin siedział za biurkiem.

— Nie masz nic do zabrania — powiedział podnosząc wzrok. — Chyba to i dobrze. Pewno będziesz mocno obciążony.

— Myślę — mruknął Danny. — Ci dwaj, ci co to ich nazwałeś moimi przyjaciółmi — co z nimi?

— Wyjechali. Jaką godzinę temu.

— W którą stronę?

— Zdaje mi się, ze na wschód. Tak w każdym razie mówili. Nie zwracałem na nich uwagi. Bo co?

Chyba się co do nich pomylił. Westchnął. To, co tam knuli, jeśli knuli, nie ma z nim żadnego związku. Wzruszył ramionami.

— Nic. Tak tylko pytałem.

Wyszedł z powrotem na podwórze, tam gdzie stał stajenny z gniadoszem. Skupił teraz myśli na pracy, którą miał za chwilę podjąć. Zastanawiał się, czy udałoby mu się poprawić przeciętny czas przejazdu między dwiema stacjami macierzystymi. Szesnaście godzin to czas normalny, powiedział Ruskin. Może, gdyby się bardzo postarał, udałoby mu się zredukować to do piętnastu. Na początek ma szybkiego konia. Jak go dobrze pogoni i te następne również, to może się uda. Rekord czasu to byłby dobry argument za przyjęciem go do pracy.

Jeszcze raz sprawdził siodło i uzdę na gniadoszu, stwierdził, że wszystko w porządku. W kilka minut później tętent kopyt doniósł o zbliżaniu się jeźdźca z poprzedniego odcinka. Danny, ogarnięty takim samym jak wprzódy podnieceniem, zajął odpowiednią pozycję, przygotował się do chwycenia mochila i dokonania zmiany.

Jeździec wjechał galopem na podwórze. Długim susem zeskoczył z siodła i cisnął skórzaną derkę o wypchanych kieszeniach poprzez rzednące ciemności ku Danny'emu.

— Lincoln wygrał! — krzyknął. — Przekaż dalej.

Danny obrócił się ku gniademu, ruszając z miejsca. Przerzucił mochila przez siodło, stracił cenne chwile przesuwając ją gwałtownie na właściwe

miejsce i skoczył na grzbiet niesfornego konia. Nim znalazł się na szlaku, gniady pędził już cwałem.

Danny zaklął cicho pod nosem. Nie udała się ta zmiana; koń się boczył, zbyt ostro rwał się do biegu. Trzeba to zapamiętać na następny raz, kiedy mu znowu dadzą tego wściekłego gniadosza. Ale prawdę mówiąc, strata była niewielka, a koń, jakby wiedział, że zawinił, robił, co mógł, by to wyrównać. Szedł ostro, kopyta stukały tak szybko, że dźwięk zlewał się w ciągły, jednostajny werbel.

Dojechał do następnego punktu zmiany konia; na całym tym odcinku gniady ani na chwilę nie zwolnił. Danny zostawiał go z żalem, chciałby go mieć, lub równego jemu, na pozostałą część trasy. Dziewczyny nie było w podwórzu, kiedy się przesiadał, krzyknął więc staremu, który trzymał przygotowanego świeżego wierzchowca „Lincoln został wybrany!". „Co takiego?", lecz Danny pędził już przed siebie i nie miał czasu na powtarzanie wiadomości.

Znajdował się teraz na podgórskim falistym terenie, w okolicy gdzie szlak wił się jak labirynt pośród różnych bąblastych formacji pokrytych rzadką roślinnością i skałami. Był to najwolniejszy odcinek drogi i kiedy bułanek wbiegał i zbiegał ze wzgórz i robił niezliczone zakola, Danny czuł, jak topnieje czas nadrobiony przez gniadego.

Podniósł oczy. Przed nim ciągnął się długi stok. Był to jeden z tych niewielu prostych odcinków, jakie można znaleźć w górach, a wiódł prosto na nagi szczyt wznoszący się kilkaset stóp nad otaczającym go terenem. Danny przypomniał sobie, że za tym szczytem leży szeroka nizina. Za krawędzią tego wzniesienia bułanek lepiej będzie sobie radził.

Nagle koń zatrzymał się wpół kroku. Danny zobaczył najpierw z boku drogi biały dymek. Potem usłyszał głuchy odgłos strzału. Głowa bułanka opadła, poderwała się, nogi złożyły się pod nim. Danny czuł, jak szybuje w powietrzu. Ziemia zbliżyła się gwałtownie, uderzyła go z twardą, ogłuszającą siłą.

Powoli, z trudem wracał do przytomności. Głowa mu pękała, lewe ramię przeszywał ból. Usłyszał głosy i otworzył oczy. Leżał jak długi kilka jardów od drogi w piaszczystym nasypie. Tuż, niżej, leżał nieszczęsny bułanek, martwy. Obok mochila, wokół rozsypana zawartość otwartej kieszeni. Rozpostarta gazeta, gdzie czarne nagłówki oznajmiały o wybraniu Abrahama Lincolna na prezydenta, przejrzana i rzucona opodal.

— Długo się jeszcze będziesz guzdrał?

Danny drgnął. Głos Pete'a Newtona! Niepomny na przeszywający ból przekręcił się tak, by lepiej widzieć. Dwaj mężczyźni stali o kilkanaście kroków od niego na prawo. Zrzucili miejską odzież, ubrani byli do długiej jazdy. Newton podciągał popręg przy swoim siodle.

— Niedługo. Muszę pozbyć się jego i tej poczty. Potem ruszę.

Newton zawahał się.

— Może mógłbym ci pomóc.

— Lepiej nie trać czasu. Im szybciej damy znać Nate'owi, tym lepiej. A zresztą moja szkapa jest w takim stanie, że i tak bym cię tylko wstrzymywał.

Pete Newton skończył z popręgiem i wskoczył na konia.

— Może lepiej by było, gdybyś zostawił wszystko jak jest. Nie wiem, czy to dobrze zadzierać z Pocztą Stanów Zjednoczonych.

Stanger zaklął niecierpliwie.

— Niech cię o to głowa nie boli. To już moja robota. Zawieź wiadomość Tobinowi. On ma zamiar wyciągnąć z tej historii kupę pieniędzy, a ja nie chciałbym być tym, który mu przeszkodzi.

Newton coś mruknął i ściągnąwszy konia skierował się ku drodze.

— Do zobaczenia! —j krzyknął przez ramię. Stanger kiwnął mu tylko głową.

Danny Thorpe zrozumiał teraz wszystko. Tobin robił wysokie zakłady co do wyników wyborów. Znając je z góry i opóźniając dotarcie wiadomości, mógł zbić majątek. Stanger i Newton: zostali wysłani, by mu w tym pomóc.

Danny'ego znowu ogarnęło poczucie beznadziejności i rozpaczy. Czemu to właśnie jemu musiało się zdarzyć? Czemu zbiry Tobina musiały wybrać właśnie jego odcinek linii? Czy dlatego, że jest jeszcze zielony? Czy też dlatego, że takie rzeczy zawsze właśnie jemu przypadają w udziale?

Na pewno dlatego, stwierdził z goryczą. I dlatego, że to jest najdłuższy, najbardziej bezludny odcinek. Te okoliczności ułatwiły im wykonanie planu. Niech tylko coś pójdzie źle - myślał - a ja zawsze muszę być ofiarą.

Zrozpaczonym wzrokiem przyglądał się, jak Newton odjeżdża na zachód. Stanger również podążał spojrzeniem za odjeżdżającym kolegą, potem obrócił się i podszedł niedbale do Danny'ego. Zęby miał zaciśnięte, dłoń położył na kolbie wiszącego na biodrze rewolweru. Danny czuł, jak coś dławi go w gardle. Nie miał żadnych szans przeciwko takiemu bandycie jak Stanger - mógł tylko leżeć bez ruchu i udawać nieprzytomnego. Może coś się stanie… może będzie miał odrobinę szczęścia…

Szczęścia!

Słowo to zadźwięczało w umyśle Danny'ego Thorpe i poczęło się żarzyć. Co to stary Pat McCoskey powiedział? Człowiek sam zarabia na swoje szczęście. To prawda, stwierdził. Nie wolno tak biernie bez walki przyjmować swego losu. Jak człowiek walczy o swoje prawa, to dokonuje zmian, nagina rzeczywistość wedle własnej woli. Może jego wysiłki nic nie przyniosą, może nawet umrze - ale przynajmniej będzie miał wpływ na własny los.

W Dannym Thorpe zaczął rosnąć zalążek buntu, chęci oporu. Miał jeszcze rewolwer. Bill Stanger i Newton tak nisko go cenili, że nie zaprzątali sobie głowy rozbrajaniem go. Broń miał jednak pod sobą i nie mógł do niej sięgnąć nie zmieniając pozycji. A tego uczynić nie śmiał. Niech Stanger myśli, że jest wciąż nieprzytomny, wobec takiego opryszka należy ryzyko ograniczyć do minimum.

Stanger zatrzymał się o krok na lewo od niego, przytłaczając go swoim ogromem, patrząc z góry na małego człowieczka. Danny niemal czuł, jak zimne oczy przeszywają mu czaszkę z tyłu. Tamten zastanawiał się nad następnym ruchem. Danny czekał, nieporuszony. Wieczność upłynęła, nim

Stanger odwrócił się i podszedł do porzuconej rozłożonej gazety, w której coś najwidoczniej przyciągnęło jego uwagę.

Danny zebrał siły. Musi działać teraz, inaczej koniec z nim. Nie zwracając uwagi na ból w ramieniu dźwignął się do przysiadu i wyciągnął broń. Stanger wciąż czytał, częściowo odwrócony. Lekki zawrót głowy, potem nagła fala wątpliwości zalała Danny'ego. Otrząsnął się jednak i poderwał na nogi.

Słysząc skrzypnięcie piasku, Stanger obrócił się w miejscu. Usta otwarły mu się w zdumieniu, potem zacisnęły twardo. Na ciemnej twarzy ukazał się szeroki, pobłażliwy uśmiech.

— Słuchaj, chłopcze, jesteś naprawdę za malutki, żeby się bawić bronią — powiedział suchym, drwiącym głosem. — Lepiej ją rzuć — dodał i sięgnął po rewolwer.

Danny strzelił raz. Stanger wstrząsnął się, gdy kula utkwiła mu w piersi. Znowu zdumienie wypełzło mu na twarz. Zmarszczył czoło i nagle runął — zwalił się całym ciałem w rozgrzany piach.

Danny nie tracił czasu na sprawdzanie skutków tej pojedynczej kuli. Obrócił się i padł na kolana przy mochila. Zgarnął rozsypaną pocztę, wepchnął do kieszeni, zatrzasnął zameczek. Wstał, skoczył do konia Stangera, przerzucił skórzaną derkę przez siodło i dosiadł wierzchowca. Wbił brutalnie ostrogi w karogniade boki wysokonożnego zwierzęcia, wyprowadził je na drogę i ruszył skokiem do następnego punktu zmiany koni.

Szkapa powinna dociągnąć, myślał, masując ramię, które go rwało. Na świeżym koniu będzie miał szansę dogonienia Pete'a Newtona. Stracił dobre pół godziny, może więcej, toteż może się pożegnać z nadzieją pobicia rekordu. Ale poczta dotrze na miejsce.

Po pięciu milach nieprzerwanego galopu koń zaczął ustawać. Danny popuścił wodze. Byłoby szaleństwem zagonić konia na śmierć. Trzeba go oszczędzać i posuwać się nawet wolnym kłusem. Wszystko lepsze od maszerowania na piechotę.

Zastanawiał się, czy koń Pete'a Newtona jest w takim samym stanie, sądził że chyba tak. Nowa myśl zaświtała mu w głowie: przypuszczalnie Tobin zabezpieczył sobie własne rozstawne konie. Courtright mówił o trzech nieznajomych. Dwóch z nich to pewno Stanger i Newton. Trzeci został prawdopodobnie gdzieś dalej na szlaku, a jeśli to jest prawda, to jeszcze inni czekają wzdłuż całej drogi aż do San Francisco. Dogonić i zatrzymać Newtona wydało się Danny’emu teraz, gdy to stwierdził, zadaniem jeszcze ważniejszym.

Dojechał do punktu zmiany koni na wierzchowcu padającym na pysk z wyczerpania. Stajenny wytrzeszczył na niego oczy, gdy przeskakiwał na świeżego konia.

— Jesteś spóźniony! — krzyknął.

Danny pokręcił głową, wrzasnął mu przez ramię „Lincoln wygrał!” - i ruszył cwałem.

Czuł się teraz lepiej mając pod sobą świeżego konia. Gdyby jeszcze zdążył rozpytać się o Newtona, dowiedzieć się od stajennego, czy nie widział przejeżdżającego jeźdźca, ale nie mógł sobie pozwolić na stratę

czasu. Takie spóźnienie osłabi jego szanse na otrzymanie stałej pracy. Najważniejsze to nadrobić o ile się da stracony czas. Wkrótce zobaczy Pete'a Newtona. Gniady, na którym teraz jechał, przemierzał drogę w niebywałym tempie - a może tak się tylko wydawało po zwolnionych ruchach wykończonej szkapy Stangera.

W pół godziny później dostrzegł w dali wysłannika Tobina. Newton wjeżdżał na wzniesienie o ćwierć mili dalej. Usłyszał tętent gniadego. Danny widział jak jeździec obraca się i wyobrażał sobie zdumienie, jakie musiało odmalować się na jego twarzy.

Newton zaczął natychmiast okładać swego , konia, który szedł leniwym galopem. Danny widział szaleńcze wysiłki jeźdźca, by zwiększyć dzielącą ich odległość lub przynajmniej utrzymać swą pozycję na przedzie. Ale koń Newtona nie był partnerem; dla wypoczętego gniadosza. Odległość między nimi malała raptownie. Kiedy dzieliło ich nie więcej jak sto jardów, Newton sięgnął po broń i zaczął; strzelać. Danny miał nadzieję, że do tego nie dojdzie i wciąż jeszcze ciążyła, mu myśl, że zabił Billa Stangera. Ale w głębi duszy wiedział, że są to pragnienia daremne - ludzie tacy jak Newton, Stanger, czując, że są w pułapce, nie widzą innego wyjścia.

Wyciągnął broń i czekał na stosowną chwilę. Dzielił ich jeszcze dystans zbyt duży na rewolwer. Gniady szedł jak burza. Odległość malała. Newton załadował broń i otworzył ogień. Danny słyszał wyciekły gwizd kul. Był już dostatecznie blisko. Wycelował w Newtona, starając się trafić go w ramię, i dwukrotnie nacisnął spust. Newton szarpnął się na siodle, przechylił. Koń jego natychmiast zwolnił zaczął iść bokiem. Broń Newtona upadła na ziemię wzbijając fontannę pyłu. Koń stanął. Newton przylgnął zgięty, do przedniego łęku.

Danny nie zwalniając zrównały się z przeciwnikiem. Obrzucił go bystrym spojrzeniem, stwierdził, że jest tylko ranny. Westchnął z ulgą, krzyknął:

— Przyślę kogoś po ciebie! — i popędził dalej,

Lepiej się teraz czuł. Dzięki niemu nic z tych rozstawnych koni Tobina, spalił też na panewce plan opróżnienia kieszeni wielu ludziom - przedsięwzięcie, w którym Ekspres Konny miał być bezwolnym uczestnikiem. I przezwyciężył samego siebie. Uśmiechnął się ponuro na tę myśli tak, wygrał tę bitwę, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przegrał wojnę.

Wpadł na następny punkt zmiany koni, zatrzymał się, by krzyknąć dyspozycje co do Newtona i pognał przed siebie postanawiając nadrobić czas jak tylko się da. Ale mila to mila, a koń to koń. Kiedy późną nocą wjeżdżał do Smith's Crossing, wiedział, że jest niemal o godzinę spóźniony.

Zmordowany, zgnębiony, spodziewając się najgorszego, wchodził do kantoru. Na nic się nie zdadzą tłumaczenia: będą wyglądały na alibi. Oczywista, mógł wyjaśnić przyczynę swego opóźnienia. Mógł sprowadzić, tutaj Newtona, ale Newton, rzecz jasna, wszystkiemu zaprzeczy, podobnie jak Nate Tobin. A Stanger nie żyje. Tak czy inaczej, niewiele mu to pomoże. Podobne problemy mieli inni jeźdźcy Ekspresu Konnego, ale

radzili sobie z nimi i jakoś udawało im się przyjechać zgodnie z planem. Takie przypadki były częścią składową ich pracy.

— Kruszynę żeś się spóźnił, co chłopcze?

Chrypliwy głos Pata McCoskeya uderzył go jak smagnięcie bicza. Stanął gwałtownie i wpatrywał się w agenta, pełen najgorszych przeczuć. McCoskey przyjechał specjalnie, by sprawdzić jego pracę, zobaczyć, jak wygląda jego robota. Na tym oprze swoją decyzję, czy przyjąć Danny'ego Thorpe na stałego pracownika, czy nie.

— Obawiam się, że tak — powiedział Danny markotnie. — Ogromnie mi przykro!

— Przykro?! — mruknął McCoskey. — A czemu ma ci być przykro? Jeśli o mnie idzie, jestem z ciebie zadowolony. Nowi ludzie zawsze się palą, żeby pokazać, co to oni potrafią, i zaimponować innym. Wysilają się, żeby pojechać najszybciej. Cieszę się, że ty nie jesteś z takich. Widać, że będzie z ciebie dobry jeździec.

Oczy Danny'ego pełne były niedowierzania. Wargi wykrzywił mu uśmiech. Potem oprzytomniał. Przecież musi uczciwie wszystko powiedzieć.

— Tak, proszę pana, ale ja... — zaczął, a potem urwał, kiedy Wylie Courtright zmarszczył czoło i znacząco pokręcił głową.

— Przeciętna jest dobra — powiedział agent podchodząc do McCoskeya. — Wypada niewiele ponad szesnaście i pół godziny w każdą stronę. I miałeś bardzo ciężką mochila. Nie można więcej wymagać od nowicjusza.

— Ja nie wymagam — powiedział McCoskey uśmiechając się, co rzadko mu się zdarzało. — Mam nadzieję, że dobrze ci tu będzie z Wyliem, synu. To jest twoja stacja macierzysta.

Danny mógł tylko uszczęśliwiony kiwnąć głową. Coś go zatykało, dławiło, kazało jego sercu śpiewać pieśń tak radosną, jakiej nigdy nie słyszał. Nie mógł tego wyrazić w słowach nawet wobec samego siebie, ale stała się rzecz cudowna: Danny Thorpe nareszcie odnalazł siebie i swoje miejsce.

Tłumaczenie Anna Przedpełska-Trzeciakowska

**Mackinlay Kantor**

# Król Olbrzym
(King Giant)

## 1

Odczołgawszy się o jakieś kilkanaście prętów od domu, poczułem straszną ochotę, żeby wstać i pobiec, ale nie śmiałem - zewsząd otaczali mnie Indianie. Słyszałem, jak rozmawiają po cichu, mówią o wielkich ogniskach rozpalonych przez nas dokoła podwórka, w blasku których bali się pokazać.

Rów ściekowy cuchnął jak zaraza i czołgałem się nim ze wstrętem, ale rozkaz jest rozkazem - zwłaszcza kiedy wyda go mój dziadek, major Blenchard.

— Będziesz czołgał się rowem — przykazał — póki nie doczołgasz się do dębiny. Nie miałem więc innego wyjścia.

Było już dobrze po ósmej. Zanim wyruszyłem w drogę, major otworzył wieczko grubego złotego zegarka, żeby mi pokazać, która jest godzina. Skrawek księżyca z pewnością zmieniłby się już z pomarańczowego w żółty ponad lasem Miakka, gdyby go nie skrywał tuman. Ale przy takiej mgle i gęsto kłębiących się oparach mogłem się tego tylko domyślać. Rzucał na wszystko jedynie poświatę, która najstraszniej wyglądała ponad naszymi ogrodami przechodząc w dymną czerwień płonących pni sosnowych, podpalonych przez nas dla obrony.

Za nierównym zarysem zarośli poruszył się jeden z Indian, który wydawał się wyższy od palmy. Dokładnie między nim a domem buchały płomienie ogniska; wiedział zapewne, że jest ukryty przed czujnym spojrzeniem obrońców, więc nawet się nie skulił, tylko szedł sobie spokojnie z karabinem w ręku. Uniosłem ostrożnie głowę nad stratowane chwasty. Indianin zatrzymał się tak blisko, że mógłbym policzyć frędzle u jego spodni.

Zaczął mówić do niewidocznego w zaroślach towarzysza. Znając wiele słów z ich języka, których się nauczyłem polując na jelenie i indyki - z moim dziadkiem i być może, niektórymi z tych samych Seminolów - stwierdziłem z przerażeniem, że powiedział, iż usłyszał jakiś plusk.

Drugi Indianin odpowiedział z mroku w górze:

— Aligator — więc ucieszyłem się, że wzięli mnie za aligatora. Leżałem pełen napięcia, ani drgnąć, póki nie zaczęli mruczeć o czymś innym, a wtedy z ustami tuż nad powierzchnią cuchnącej cieczy, prychnąłem jak aligator (bardzo malutki) i zacząłem pełznąć dalej starając się jak tylko można najmniej pluskać i chlapać.

Miałem czas myśleć, kiedy z takim trudem pozostawiłem tych dwóch poza sobą, nie wiedząc, ilu jeszcze napotkam w dalszej drodze. Brzydziłem się strasznie tego ścieku, którym się czołgałem, a jednocześnie

bałem się naszych napastników i byłem bardzo przejęty zadaniem, które mi wyznaczył major.

Wyrył mi się w pamięci, jak stoi wyniosły, w cieniu komina, trzymając w jedynej ręce oprawioną w srebro strzelbę myśliwską. Od dzieciństwa podziwiałem, jak ją przyciska do policzka wspierając smukłą lufę o kikut lewej ręki. Podziwiałem także ten filozoficzny spokój, z jakim godził się z kalectwem, nigdy nie wyrzekając na muszkietera w czerwonej kurtce, który go okaleczył podczas legendarnej bitwy w śnieżnych lasach dalekiego Yorku.

— Cyrusie, mogę ci zlecić zadanie?

— Tak jest, majorze.

— Wykonasz je tak, jak tylko zdołasz najlepiej? Mamy tu teraz jedenaście kobiet i dzieci, nie licząc mężczyzn, którzy się bronią dzielnie w naszym domu.

— Tak jest, majorze — powtórzyłem czując, że nogi mi dygocą.

— Cy, niedługo zabraknie nam prochu. Kul mamy pod dostatkiem, i ołowiu, żeby w razie czego móc ich odlać więcej. Ale boję się powiedzieć o tym ludziom. Oni myślą, że mam jeszcze dwie baryłki. Tol Smallwood słyszał, jak zamawiałem je u szypra, kiedy ostatni raz byłem w Manatee. Nie wie, że podczas burzy statek zatonął. Mamy już tylko trzydzieści ładunków w rogach z prochem i ze sześć do tego nowego rewolweru.

— Tak jest, majorze — powiedziałem znowu, bo co tu było więcej do powiedzenia?

— Cy, masz piętnaście lat. Są tutaj mniejsi i szczuplejsi od ciebie, ale wysłanie któregoś z nich byłoby istnym zabójstwem. Inni są bardziej krzepcy i być może mężniejsi od ciebie, ale… — i jego małe, ciemne oczy uśmiechnęły się ku sufitowi jak zawsze, kiedy się ze mną drażnił.

Poprzez otwory strzelnicze i szpary w okiennicach wpadał upiorny blask od ognisk na dziedzińcu i barwił jego ołowiano-szare włosy połyskując na opasce z wężowej skóry, którą dziadek strasznie lubił na nich nosić.

— Znasz dobrze wszystkie ścieżki Miakka. Jeżeli zdołasz prześliznąć się niepostrzeżenie między oblegającymi… naszym dawniejszym towarzyszem łowów, Micco, i jego przyjaciółmi…

— Więc to Krzywonogi Bill! — wybełkotałem. — Tak sobie myślałem, ale ty nic nie mówiłeś, dziadku.

— Bo nie byłem jeszcze całkowicie pewien, mój ty wnuku — zganił mnie łagodnie dziadek. — Ale dziś wieczorem słyszałem, jak wykrzykiwał rzucając rozkazy i groźby. To był na pewno jego głos i kto wie, czy Bill nie czyha na nas z tym samym nożem, który mu przywiozłem w podarunku z Key West.

Major westchnął i powiedział jakby nie do mnie, tylko tak sobie, w przestrzeń:

— Nigdy już nie zaufam Seminolowi. Chyba pod jednym względem… — Chwilę się zastanowił. — Że nic nie ukradnie, póki panuje pokój. No, cóż… — I wrócił do sprawy.

Szło o to, że będąc tak gibki i chudy mogłem prześliznąć się niepostrzeżenie tam, gdzie nikt inny by nie zdołał. Mieliśmy czterech ludzi (mężczyzn albo dużych chłopców, prawie dorosłych) za barykadą z pni

palmowych na ganku od frontu; nadto trzech innych, którzy się umocnili pod domem; ośmiu ustawionych na straży od tyłu, od strony kuchni i południowego pokoju, gdzie skryły się kobiety i dzieci.

Prócz pogłosek nie było żadnego ostrzeżenia, póki sąsiedzi nie zaczęli w strachu ściągać do nas. Dom dziadka Blencharda miał najmocniejsze, najgrubsze ściany spośród wszystkich domów w osadach od Manatee do południowych zatok, gdzie mieszkali Kubańczycy, toteż sąsiedzi nasi słusznie uczynili przychodząc do nas. Mieliśmy także trzech dobrze wprawionych we władaniu bronią niewolników (niektórzy mądrale nie pochwalali tego zbrojenia niewolników, ale u nas panowały surowe warunki). Mieliśmy też zazwyczaj spory zapas mięsiwa, mąki, suszonych ryb i soli; w rogu, przy opalowaniu, biło smakowitą wodą źródło; mieliśmy ołów i jakoby sporo prochu, co jak wyznał major, okazało się niezgodne z prawdą.

— Cy — mruknął dziadek, któremu w oczach migotał odblask płonących pni sosnowych — może ci się uda przekraść rowem obok nich. Nikt inny tego nie potrafi.

— Tym ściekowym? — Ledwie zdołałem wyjąkać te słowa.

— Tak. Cuchną w nim pomyje i inne nieczystości. Nie będzie to przyjemne, ale… — Zawahał się. — Lepsze to niż gdybyśmy mieli zawisnąć nad ogniskami Seminolów.

Mimo młodego wieku i całego strachu zdecydowany byłem zaryzykować, jeśli to miało nam dopomóc.

— A gdzie znajdę proch, dziadku? Czy zakopałeś trochę w miejscu naszego obozowiska nad jeziorem Mayaco, gdzie polujemy na jelenie?

— Ani krzty. Ale ty nie masz szukać prochu, mój wnuczku. Masz sprowadzić tu Olbrzyma.

Wstrząśnięty powtórzyłem to imię bezgłośnie; musiałem je wybełkotać coś ze dwa-trzy razy, bo major rzekł:

— To nasza ostatnia szansa. Słyszałeś mnie: masz iść po Olbrzyma. Może mu przyjdzie ochota nam pomóc, jeżeli ja go o to gorąco poproszę. On jeden może nas uratować. Braden Castle jest za daleko. W Sarasota są tylko Whitakerowie… a ich jest za mało.

Stojąc oparty chudymi plecami o kamienne obudowanie kominka przyjąłem to straszliwe polecenie.

— Olbrzym. Stary, czarny Olbrzym. Mam iść po Króla Olbrzyma.

— Takie przybrał miano. Powiem ci, co masz mu mówić.

## 2

Zanurzony w tym paskudztwie, posuwając się samotnie cal po calu naprzód, wolniej od najwolniejszego żółwia i wciąż niepostrzeżony, a więc nieschwytany, przebiegałem w myślach burzliwe dzieje Króla Olbrzyma: jak najpierw został olbrzymem, a potem królem.

Jego matka, wielka, grubokoścista dziewczyna, sądząc, że jeszcze nadaje się do roboty w polu, wyszła do pracy, by pomóc w naprawie rowu wzdłuż ryżowisk, rozmytego podczas huraganu. Ale w polu złapały ją bóle

i w mig urodziła w cieniu mydleńca dziecko. Chłopiec ważył dobre piętnaście funtów, toteż dozorca nie bez słuszności wpisał go do ksiąg pod mianem „Olbrzyma”.

Olbrzymem też pozostał przez pięć targów niewolników i służbę u siedmiu panów. Żadnym batem nie można go było skłonić do uległości. Legenda głosi, że w dwudziestym roku życia musiał się schylać, żeby móc się zmieścić w drzwi wozu, a pewien kupiec angielski, który przez krótki okres był jego panem w Pensacola, zaklinał się, że Olbrzym ważył trzysta osiem funtów.

Skórę miał barwy wodnego węża - głęboka, matowa czerń. Plecy jego były całe w bliznach od chłost, a na potężnych przegubach rąk i kostkach nóg miał szerokie ślady otarcia kajdanami. Kiedyś próbowano zrobić go poganiaczem, ale wszyscy inni niewolnicy tak się go bali, że za nic nie można ich było zmusić, by z nim pracowali. Olbrzym trzasnął dwu nadzorców po łbach z taką siłą, że jeden z nich cały miesiąc przeleżał bez czucia, a drugi nigdy nie odzyskał zmysłów.

Kiedy raz Olbrzym umknął na bagna, jak to często czynił, poszczuto go psami, by go rozszarpały, i mój własny dziadek słyszał z ust naocznego świadka, jednego z niewolników, że Olbrzym stal oparty plecami o cyprys, chwytał potężnymi rękami ogromne brytany, kiedy na niego skakały, i łamał karki jednemu po drugim. Dopiero spory ładunek grubego śrutu zdołał go wówczas powalić.

Ludzie mówili, że nic, tylko trzeba go zabić, i niektórzy z jego panów chcieli powiesić nieszczęśnika albo utopić, z czystego obrzydzenia, ale człowiek, jak to człowiek, dba o własną kieszeń. Olbrzym, kiedy mu się chciało, pracował za sześciu karczowników, a za sam wzrost mógł osiągnąć cenę tysiąca dwustu dolarów w złocie, zwłaszcza na takim rynku, gdzie nic o nim nie wiedziano.

Rejestr jego wyczynów brzmiał niby żywcem wzięty ze starych ballad: jak to razu pewnego podczas połowu ostryg wielka łódź z pięcioma ławkami osiadła przy odpływie na mieliźnie i kazano Olbrzymowi przenieść ją przez piaszczyste łachy razem z ostrygami i całym osprzętem i on to zrobił, chociaż pomrukiwał. Beczka rumu lub cukru była jak fistaszek w jego rękach… Kiedyś piorun zabił krowę na podwórku i pan powiedział: „Olbrzym, wyrzuć to ścierwo”, więc Olbrzym wziął krowę na ramię i zabrał ją, żeby z niej wytopić tłuszcz. Gdy wóz ugrzązł w błocie, najmądrzej było wyprząc woły i zaprząc Olbrzyma.

Kiedyś w czasie swej trudnej młodości nauczył się trochę czytać. Żona jednego z jego panów uczyła go liter i cyfr w nadziei, że go ujarzmi łagodnością. Za nic miał jednak modły i Pismo święte, mówiąc, że to pułapka na takie jak on zwierzęta juczne. Ale co potrafiło go naprawdę oczarować, to baśnie i opowiadania o błędnych rycerzach. Kiedy jeden z oficerów Jacksona wziął go na wojnę do puszczy, Olbrzym wsławił się w żołnierskim życiu. Ale w końcu jeden ważniak, kapral, uderzył go ościeniem i znów wszystko skończyło się biciem, kajdanami i zaprowadzeniem na targ.

Nie można mu było za karę nie dać jeść, bo zaraz wywęszył jedzenie, poszedł i sam sobie wziął, chyba że był skuty. Zdawało się, że nie czuł

razów, które mu przecinały skórę, być może nerwy w jego ciele już na długo przedtem zdążyły się po- rozpadać na kawałki.

Dawał się ugłaskać obietnicą książki z obrazkami. Starzy ludzie mówią, że było na co patrzeć, kiedy sprzedano Olbrzyma pierwszy raz na południe Florydy. Nadzorca powiedział: „Masz tutaj trzcinę, cały stos. Zmiel ją, Olbrzymie, a ja ci za to opowiem bajkę o Jasiu i zaczarowanej fasoli. Miel dobrze cały dzień… zmiel wszystko, co przyniosą robotnicy… a dziś wieczorem dam ci tę książkę z obrazkami na własność".

W takich wypadkach Olbrzym wyprzęgał woła i starą ślepą szkapę, które obracały kierat, i sam się zań chwytał wyciskając całe beczki soku i drepcząc bez skarg całe mile w kółko po upalnym placu i tylko grzmiał na robotników, żeby pośpieszali z nowym ładunkiem trzciny. A wieczorem, przy ognisku, gdy inni robotnicy spali wyczerpani, siedział godzinami wpatrując się z umiłowaniem w wystrzępione kartki książki i wodząc od słowa do słowa i od ryciny do ryciny wielkim jak dłuto paluchem.

Było to wtedy, gdy Olbrzym należał do pana Eustisa, przedostatniego ze swych panów. Któregoś wieczoru (w okresie świąt Bożego Narodzenia, gdy alkohol płynął strumieniami) nadzorca go oszukał. Nadzorca był pijany, zwymyślał Olbrzyma i cisnął obiecaną mu za jakąś ciężką pracę gazetkę w terpentynowy płomień. Widząc to Olbrzym natychmiast cisnął w ślad za gazetką nadzorcę; nadzorca potem musiał całymi miesiącami robić sobie okłady z kaszy, a Olbrzym umknął w lasy.

Z czasem znaleziono go zapadniętego w bagno po pachy, z głową spuchniętą jak bania od ukąszeń much i moskitów. Założyli na niego łańcuch i powlekli do domu.

— Lubi błota — powiedział pan Eustis. — To będzie miał błota. — Sprzedał Olbrzyma kapitanowi Frenchowi Fenwickowi. Było to w czasie, gdy ognie długiej wojny seminolskiej już się dopalały i kapitan Fenwick postanowił założyć hodowlę bydła wśród zielonych równin za rzeką Manatee.

Na pogranicznej plantacji kapitana (jeżeli można tak nazwać to obozowisko pośród dziczy) był młody nadzorca, który się nazywał Johnson Spinner. Miał on ładną żonę i małe dziecko; kiedyś wieczorem, gdy Spinner chorował na tężec i leżał w łóżku, żona zostawiła dziecko w kołysce przed drzwiami, a sama weszła do chaty, żeby się zająć mężem.

To wcale nie bajka, że zapach kobiecego mleka ściąga pantery; jest on oznaką bliskości niemowlęcia, smakowitego kąska dla każdego żarłocznego zwierza. Są stare opisy takich budzących grozę wypadków, ale rzadko się zdarza, aby pantera rzuciła się na człowieka dorosłego, chyba że osaczona i ranna. A więc pantera rzeczywiście przyszła, porwała cenny łup i pośród krzyków matki skoczyła z nim ku ogrodzeniu.

Spinner był słaby i bezradny, ale nadszedł Olbrzym powracający o zmierzchu z gęstwiny, gdzie rękami wyrywał palmy karłowate z ziemi. Już przy pierwszym starciu pantera porzuciła dziecko - niezbyt pokaleczone, jak się zdaje, bo kiedy malcy się dopytywali o nie dysząc z niepokoju, starsi zawsze odpowiadali w pośpiechu: „Nie bój się, daj mi spokojnie dokończyć. Nie, nie, dziecko nie umarło".

Skacząc na panterę Olbrzym trzymał w ręku ostry sierp, ale sierp zaraz się złamał i odtąd pozostały mu już tylko ręce i muskuły. Tarzali się i ryczeli zwarci z sobą, pantera i niewolnik, a inni robotnicy wrzeszczeli o motyki i pochodnie i kapitan French Fenwick w samych skarpetkach wypadł z domu ładując w biegu strzelbę.

Buchnęły w niebo sosnowe płomienie ukazując wyrwane z korzeniami krzaki i uporaną ziemię. Nim ludzie dobiegli, pantera leżała martwa ze zmiażdżoną potężną gardzielą. Z początku myślano, że Olbrzym też nie żyje lub wkrótce wyzionie ducha. Przywleczono go do domu kapitana, obmyto i pozszywano, opatrzono to ogromne, okrwawione cielsko, zszyto mu nawet rozdarty brzuch.

Wylizał się jakoś, ale jedno ramię zwisało mu bezwładnie i później uschło, jedna noga na zawsze okulała i jedno oko wypłynęło. A później odbyła się wielka uroczystość, przy której był obecny major Blenchard… ale ja nie, bo byłem jeszcze pędrakiem.

Kapitan French włożył w okaleczoną rękę Olbrzyma świadectwo wyzwolenia, a w zdrową ciężki woreczek z lnianego płótna.

— Przyjmij to proszę, panie Olbrzymie — rzekł stary kapitan Fenwick, a niewolnicy wywracali oczy, dziwili się i żegnali krzyżem świętym. — To świadectwo wyzwolenia. Od dziś jesteś swoim własnym panem, panie Olbrzymie. Ojciec dziecka nie żyje i nie może ci się odwdzięczyć, ale z woli Boga ja to czynię i jestem z tego dumny. Przyjmij ten skromny podarunek… to wszystko, co Ci dać mogę… tysiąc dolarów w złocie. Używaj ich mądrze i żyj długo i szczęśliwie.

Mówią, że Olbrzym zaczerpnął głęboko powietrza w płuca i jeśli nawet czuł wdzięczność w swym rozgoryczonym sercu, nie dziękował.

— Nie „panie Olbrzymie” — huknął. — Słyszy pan? — Jego straszliwa prawica ścisnęła woreczek, jakby chciał zgnieść złote monety w środku, a to, co pozostało z jego lewej ręki, lekko ścisnęło akt wyzwolenia.

— Mówi pan „proszę” i „panie Olbrzymie”, ale ja dzisiaj nie pan. Ja nareszcie król… pan słyszy? Słyszycie wszyscy? Król Olbrzym!

Wykrzyknął to pod niebiosa, po czym obrócił się z powagą i poszedł kulejąc w głuszę, aby tam zbudować swe królestwo, i jak ludzie mówią, kiedy tak szedł, nad jego głową krążyły ponuro myszołowy. Od tej chwili żaden biały człowiek nie widział go co najmniej rok.

## 3

I oto wreszcie mamy nową wojnę seminolską w tym naszym nowoczesnym roku 1856 (ileż to razy marzyłem o niej i bawiłem się w utarczki z Indianami wyobrażając sobie, że jestem majorem Dade, który otrzymuje śmiertelną kulę z zasadzki, albo Gardinerem walczącym dzielnie do ostatniego naboju). Teraz gdy moje bohaterstwo polegało na pełzaniu w błocku, z rozkazem uproszenia pomocy u dalekiego szaleńca, który mógł z powodzeniem roztrzaskać mi głowę, rzecz nie wydawała mi się wielce romantyczna. Tylko wspomnienie surowej twarzy dziadka Blencharda i mocy jego głosu sprawiały, że czołgałem się dalej.

Wydawało się, że przeszło pół nocy - chociaż faktycznie upłynęło ledwie ze dwadzieścia minut — nim rozpostarte ramiona dębów skryły mnie w swym cieniu. Rów ściekowy przemienił się w płyciutkie gąbczaste rozlewisko, zanim dotarłem na skraj lasu, ale tutaj dawały schronienie trzciny i sitowie. Płonące pnie sosnowe tworzyły łunę nad naszym domem w dali.

W miejscu gdzie z dolnych gałęzi dębów zwisały festony mchu hiszpańskiego, poczułem wreszcie, że mogę bezpiecznie podnieść się na nogi, i drżąc nasłuchiwałem, czy nikt za mną nie podąża. Słyszałem rechotanie żab i bzyczenie komarów, przede mną w głuszy pobrzmiewało ciche rżenie szopów samotników, a wielki niewydarzony księżyc wahał się chwilę, czy nie wypłynąć nad Miakka, i zaraz dał pokój temu pomysłowi spowijając się świeżymi kłębami chmur.

Z całą pewnością ktoś podążał moim śladem, i to nie aligator. Ścigała mnie jakaś istota dwunożna, kroki były wyraźne, ale ślizgały się pijacko na nierównościach gruntu. Naprawdę myślałem, że pijacko, bo niektórzy z Indian kradli rum na ścieżce swoich zbójeckich poczynań, zanim zaczęli wykrzykiwać przenikliwie: „Jo-ho-i-hiii!" wśród palm karłowatych koło domu majora.

Miałem broń, którą mi wręczył dziadek, kiedy podnieśliśmy wilgotną klapę z desek koło ścieku kuchennego, bym się mógł wyśliznąć.

— Ciężki jest — rzekł dziadek — ale nie aż tak, by ci miał przeszkadzać, a Saul wyostrzył go dzisiaj na brzytew na kamieniu. To ten sam kord, który wuj Minton miał przy sobie, kiedy wyruszał do walki z berberyjskimi piratami.

Dziadek nigdy nie pozwalał mi go brać do zabawy, kiedy byłem mały, i kord wisiał na ścianie razem z pistoletami. Byłem dumny, że mi go wreszcie wręczył.

Wysunąłem klingę z pochwy i zanurzyłem się głębiej między gałęzie dębu i zwisające pasma mchu. Dziwne, że przypominał mi się Olbrzym, jego ucieczka między cyprysy i to, jak rozrywał psy na dwoje. Miałem nadzieję, że rozpłatam przynajmniej jednego Seminola, jeżeli będę do tego zmuszony.

Chlupiące kroki przybliżały się, na powierzchni leżały rozpostarte liście lilii, lekka stopa plasnęła o wodę głośno, na co by sobie nawet pijany biały łowca, a cóż dopiero czerwonoskóry wróg, nigdy nie pozwolił. Prawdziwy aligator - a nie przestraszony młokos udający aligatora - ryknął w bajorku na prawo ode mnie i serce we mnie podskoczyło, a ręka ścisnęła rękojeść korda, aż zatrzeszczały kości.

Właśnie wyjrzał księżyc spod kołdry chmur i oblał wszystko swoim płynnym blaskiem, a wtedy spostrzegłem, że osoba, która za mną idzie, jest płci żeńskiej, szczuplejsza ode mnie - nie ktoś, kogo należało zarąbać kordem w obronie własnego życia, ale skląć dobrze, że mi napędziła strachu.

Nazywała się Melvina Hendry i wzbudzała moją wzgardę od pierwszej chwili, kiedy schroniła się u nas z ciotką przed Seminolami. Wołali na nią Melly i była troszkę młodsza ode mnie, wcale jeszcze nie kobieta, choć suknie nosiła długie. Włosy miała zawsze bezwstydnie rozpuszczone, ale

może uciekała z ciotką w tak wielkim pośpiechu, że nie miała czasu wziąć grzebieni ani wstążek.

Melly miała w sobie coś dziwnego, czego nie mogłem przeniknąć, ale to nie dotyczyło jedynie jej ubioru i sposobu bycia. Była, tak jak ja, sierotą i dziadek strofował mnie z jej powodu jeszcze na dzień przed napaścią Indian.

— Nie bądź dla niej przykry — mówił. — Porozmawiaj z nią, Cyrusie, porozmawiaj. Przestań jej unikać jak zarazy.

— Mogą nas napaść Indianie — odparłem umazany aż po łokcie żywicą sosnową, bo pomagałem znosić pnie na wyznaczone miejsce. — Musimy przygotować drzewo na ogniska, dziadku. Nie mam czasu na dziewczyny.

Odwrócił się rozdrażniony.

— Od tego są mężczyźni. Ty jesteś jeszcze mały. Pobaw się z tą dziewczynką.

Mam się bawić! Odrzuciłem ten pomysł z oburzeniem i zabrałem się z powrotem do dźwigania pni i zbierania suchych liści na rozpałkę.

Później dziadek opowiedział mi o niej, kiedy siedzieliśmy z bronią w pogotowiu - major wydawał ze schodków rozkazy, rozsyłał wywiadowców i ustawiał warty, aby nie napadnięto na nas znienacka, a ja zajadałem pieczony kartofel i czułem się jak prawdziwy żołnierz.

— Cy, ona jest sierotą. — Mówiąc to, patrzył na mnie pogodnym wzrokiem. — Tak samo jak ty. Rodzice jej nie żyją, ma tylko ojczyma, Hendry'ego, w Saint Augustine i tę wystraszoną ciotkę, do której przyjechała w odwiedziny w nasze lasy.

— A jej wuj, dziadku? — Starałem się, aby to pytanie zabrzmiało grzecznie, a jednocześnie tak, żeby nie wyglądało, że mnie to obchodzi.

— Pojechał do Key West wymieniać towary z Kubańczykami. Ta dziewczynka i jej ciotka są całkiem bezbronne i mają szczęście, że mogły się u nas schronić. Bądź dla niej miły, Cy. — I znów jego surowe czarne oczy skierowały się ku górze.

Sam widok i ton głosu Melly Hendry mnie raził. Kiedy się odzywała, to takim królewskim tonem, jakby się uważała za coś lepszego od innych. Jej wymowa zalatywała miastem. Chociaż potajemnie byłem bardzo ciekaw, jak też to Saint Augustine może wyglądać - ze swoimi szkunerami, pięknymi domami, starą fortecą i w ogóle - postanowiłem nie zwracać uwagi na Melly właśnie dlatego, że stamtąd pochodzi.

Włosy miała jasnoblond, niemal białe, a jej zielonkawe oczy mogły przewiercić człowieka na wylot. Mówiła do mnie: „Chłopcze", czego nie cierpiałem, bo byłem starszy od niej i jak trzymałem lusterko dość blisko i promienie słońca padały pod właściwym kątem, widziałem wyraźnie, że mi się puszczają wąsy.

A jeszcze jakby na przekór naszemu swobodnemu stylowi życia tu, w głębi lasów, Melvina Hendry nosiła suknię z najwyższym kołnierzem, jaki w życiu oglądałem. Ta suknia była jak strój królowej z mego podręcznika do historii, ze sztywnymi koronkami wokół szyi. Czy ona sobie wyobraża, myślałem, że ma taką piękną i delikatną szyję, że jej nie może wszystkim pokazać? Szyja jak u każdej dziewczyny, a w dodatku na pewno chuda.

— Chłopcze — dopytywała się ze zwykłą u siebie wystudiowaną wyniosłością w głosie — po co rzucasz tymi kawałkami kukurydzy?

— To nie są kawałki. To są kolby.

— W co starasz się trafić?

— W szczura palmowego — mruknąłem. — Właśnie umknął w tamtą kępkę.

— Daj mi, chłopcze, jedną kolbę. Spróbuję i ja.

Niechętnie dałem jej trzy kolby, które ściskałem pod pachą, i odstąpiłem na bok, żeby z niej podrwić. Melly zamachnęła się szczuplutkim ramieniem, obleczonym w kretonowy rękaw i rzuciła pierwszy pocisk. Ja zdążyłem do tej pory rzucić z pół tuzina nadaremnie, nie płosząc nawet szczura, a ona, mimo całej swojej niezręczności, trafiła kolbą prosto w kępkę. Szczur wypadł z ukrycia i zaczął umykać ku płotowi, a Melly grzmociła za nim pozostałymi kolbami kukurydzy i cały czas śmiała się rozkosznie, nie patrząc na mnie, ale wywołując we mnie nową falę nienawiści.

Chodziła za mną tego pierwszego dnia krok w krok, ilekroć ciotka jej nie przeszkodziła. Unikała naszych tykw do picia, używając pięknej filiżanki, którą wybrała sobie z kompletu porcelany z półki nad kominkiem. Gruchała z dorosłymi mężczyznami, aż ich żony zaczęły spoglądać z ukosa, póki wreszcie ciotka nie przyzwala jej ostro, żeby zajęła się jakimś dzieckiem sąsiadów, co osobiście przyjąłem z radością.

Ale nim zdążyłem odetchnąć od niej, znowu wróciła krocząc delikatnie w swoich ślicznych bucikach ze skóry, które się już nieco uwalały w zetknięciu z gliną na naszym podwórku. Wchodząc lub schodząc ze schodów, zawsze unosiła lekko spódniczkę z kokieteryjną elegancją i wcale jej nie przeszkadzało, że odsłania przy tym kostki nóg w pończoszkach w szare prążki, choć tak skrzętnie zakrywała szyję.

Wieczorem przyszła i zaczęła paplać przy słabym świetle od kominka.

— Nudno tu, chłopcze! — wykrzyknęła. — Strasznie nudno! Chciałabym, żeby ci dzicy Indianie wreszcie przyszli i zaatakowali, albo w ogóle sobie poszli, albo co. Strasznie tu nudno.

— Ja się nie nazywam chłopiec — warknąłem. — Tylko Cyrus Blenchard Gabeson. I wołają na mnie Cy.

— Nie bądź taki obraźliwy — wrzasnęła smarkula — chłopcze... to jest Cy… czy grasz w szachy? Zagraj ze mną w szachy. W szafie twego dziadka widziałam szachownicę i piękne figury.

W szachach miałem wcale znośną taktykę, bo major miał czas solidnie mnie nauczyć w długie samotne wieczory. Pomyślałem jednak o tej kolbie kukurydzy i szczurze palmowym i wiedziałem, że Melly nie będzie przebierała w środkach, aby mi złupić skórę.

— Wkrótce mam wartę — powiedziałem ze spokojem starego wygi wojskowego.

— Nie wcześniej niż za godzinę i tylko na ganku. A widzisz? Słyszałam, jak twój dziadek wyznaczał wam zadania. I tak zresztą nie na wiele się przydasz jako wartownik. Chyba że strzelanie idzie ci lepiej niż rzucanie kukurydzą. — I potrząsnąwszy rozpuszczonymi włosami obróciła się na

pięcie i odeszła, a ja znienawidziłem ją od falbanki jej sztywnego kołnierzyka po obcasy ubrudzonych pantofelków.

Atak nastąpił o świcie. Jak w końcu zdołaliśmy ustalić, napastnikami byli Krzywonogi Bill i wszyscy włóczędzy seminolscy, których udało mu się zgromadzić. Sądzę, że w początkowym stadium major zakładał, iż napastnicy, napotkawszy na zorganizowaną obronę, wycofają się i spróbują uderzyć przez zaskoczenie na osady Manatee. Dlatego też nie zdradzał przed nikim braku amunicji — póki nie zmusiły go do tego (a i to jedynie wobec mnie) nadejście nocy i uporczywe ataki.

Nie wiedzieliśmy, dlaczego Krzywonogi Bill obrócił swój gniew właśnie przeciw nam, swoim przyjaciołom. Pogłoski o niebezpieczeństwie rozeszły się w mgnieniu oka po Miakka i ludzie w trwodze chronili się u nas. Później dowiedzieliśmy się, że grupa nieokrzesanych żołnierzy zdążających z Fort Myers w okolice Big Cypress, natrafiła pośród bagien na poletko Billa. Ogołocili mu drzewka bananowe i porozgniatali dynie. Kiedy zaś ów Seminol odwiedził ich obóz, aby złożyć protest, złoili mu porządnie skórę. Ci ludzie to istni wariaci, że przez takie głupstwa narażają na śmierć siebie samych i wiele Bogu ducha winnych istot.

Następny protest, skierowany do żołnierzy, wyraził się świstem kul i strzał. Rana, choćby jeszcze z poprzedniego pokolenia, może na nowo zacząć krwawić. Obaj z majorem pamiętamy, jak Bill przychodził promienny do naszych drzwi prosząc o whisky i herbatę, jeśli łaska, a tak czy owak cukier, i napomykał, że jeszcze przydałaby mu się osełka do ostrzenia.

— Bill —zagadnął go major Blenchard w którąś zimową niedzielę, kiedy siedzieliśmy przy stole jedząc ze smakiem indyka, a niewolnicy wyjmowali świeżo upieczone kartofle z ognia i Bill zajadał z własnego talerza cynowego usadowiwszy się tuż przy kominie — Bill, gdyby jeszcze kiedyś miało dojść do wojny, to czy byś mnie zabił?

— O, tak! — wykrzyknął Bill szczerze. — Zabiję cię, Benshar. Ale ja zabijam bezboleśnie.

Nie było to żadną pociechą w obecnym położeniu. Dlatego właśnie znalazłem się tego wieczoru, brudny i przemoczony, w tych dzikich lasach, w strachu przed Indianami i oczekującym mnie zadaniem. Uznałem więc, że los obszedł się ze mną okrutnie zwalając jeszcze na moje barki ten lekkomyślny stwór, Melly Hendry.

W sekundę poznałem jej włosy, suknię, postać. W następnej chwili byłem przy niej trzymając rękę na jej ustach, żeby nie krzyknęła, czym mogłaby sprowadzić na nas Seminolów z toporkami.

— To ja, Cy — powiedziałem czując, jak jej ramiona drgają w moim uścisku. — Nie wrzeszcz. Nie mów nic.

Przez chwilę wykręcała się - nie wiedziałem, czy ze strachu, czy ze złości, że ją tak schwyciłem. A potem stała już nie opierając się, tylko dając mi znaki i dotykając mojej ręki, którą jej kneblowałem usta, jakby błagała, żebym ją puścił.

— Nie będziesz się darła? Przyrzekasz?…

Kiwnęła głową. Puściłem ją.

— Nie wiem, co wyprawiasz — szepnąłem gniewnie — ani skąd się wzięłaś. Musimy iść dalej w las. Chodź, ale cichutko jak myszka.

Rozsunąłem firanki szarego mchu, który wydawał się srebrny w księżycowym blasku, i wstąpiłem w czerń poza nim. Melly schwyciła się mojego szerokiego skórzanego pasa (sam go wyprawiłem ze skóry aligatora i kupiłem od handlarza mosiężną klamrę). Drapały nas sztywne gałązki i zeschłe krzaki, kiedy tak szliśmy jedno za drugim, póki nie zostawiliśmy za sobą grubych drzew, a wtedy ustaliłem nasze położenie i zorientowałem się, gdzie powinna się znajdować moja ścieżka.

Była to moja własna ścieżka, którą wybrałem sobie przed laty - tajemniczy szlak, za jakimi chłopcy przepadają. Główną ścieżkę, którą chodzili myśliwi albo grupki gadatliwych niewolników udających się na ryby, zostawiliśmy daleko z lewej strony. Była to spokojna, łatwa droga mogąca pomieścić nawet wąski wóz. Ale ten mój szlak wyrąbałem sobie i oznaczyłem nacięciami jeszcze jak miałem z dziesięć lat czy coś koło tego. Wił się on przez bagna od wzgórka do wzgórka zagłębiając się w rozległe porośnięte trawą przestrzenie. Przyjemnie było sobie wyobrazić, że żadna stopa oprócz mojej - i niewątpliwie szopich łap, a czasem zabłąkanego niedźwiedzia - nigdy na nim nie stanęła.

Szlak ten prowadził wzdłuż zachodniego brzegu rzeki i poprzez dwa zwalone dęby, które stykały się ze sobą w środku nurtu i przez czarne jak smoła wody. Dalej, przecinał las graniczący z jeziorem Mayaco i kończył się w kępie wysokich drzew w okolicy Gliniastego Parowu. Żaden biały człowiek nie zapuszczał się dalej, a ja nie byłem śmielszy niż dorośli.

Przez chwilę zwodził mnie nieco księżyc i cienie, ale nie narobiwszy zbyt wiele szelestu dostrzegłem wkrótce znajome miejsca pośród lekkiej mgiełki i szybko odnalazłem swoją ścieżkę. Teraz już pociągnąłem za sobą Melly Hendry w podskokach; wkrótce puściła mój pas i przedzierała się przez mrok o kilka kroków za mną posykując z cicha, kiedy napięte gałązki odprężały się siekąc ją boleśnie.

Wnioskowałem, że gdyby więcej Indian ciągnęło od bagnisk, aby połączyć się z Krzywonogim Billem w jego podłości, zdążaliby zapewne regularnymi szlakami albo sobie jedynie znanymi drogami, a nigdy nie widziałem na tej ścieżce śladów żadnych mokasynów oprócz swoich własnych.

Przez pewien czas słyszeliśmy rechot żab na trzęsawiskach, pluski i chlupoty belon lub dokazywanie aligatorów w rzece, krzyki sów i raz nawet warczenie miotającego się rysia. Spojrzawszy za siebie stwierdziłem, że łuna od płonących pni sosnowych opadła tak nisko za barykadę palm i dębów, że prawie już nie barwiła nieba. Czas było odpocząć. Serce waliło mi jak młotem, a za sobą słyszałem ciężki oddech Melly.

Tutaj, na zewnętrznym łuku rzeki Miakka, leżał z dawna powalony dąb z wypróchniałym pniem, ale o żywych jeszcze gałęziach. Była to jedna z moich kryjówek, przystanków w drodze, dających przytulne schronienie w czasie nagłych letnich deszczów, tam więc, pod osłonę znajomego dębu, skierowałem kroki. Oparłszy się o spękaną korę słyszałem poprzez dudnienie krwi w uszach, jak Melly padła wyczerpana mniej więcej na odległość wyciągniętego ramienia ode mnie.

Nagle coś zatrzeszczało wśród palm karłowatych. Zerwałem się z kordem w pogotowiu, ale okazało się, że to tylko dziki wieprz, który stwierdził, iż wobec naszego nadejścia bezpieczniej będzie zakończyć żer wśród żołędzi. Możliwe, że to jeden z naszych wieprzy z leśnego miotu, bujających na swobodzie, ale mógł też należeć do Króla Olbrzyma i przybłąkać się tutaj z Gliniastego Parowu. W każdym bądź razie oddalił się pochrząkując z oburzeniem. Znów zapanował nocny spokój, zakłócany tylko trzepotaniem skrzydeł ptaków, rozbudzonych ze snu hałaśliwym przejściem wieprza.

— Chłopcze — zagadnęła mnie po cichu Melly.

Nie odpowiedziałem.

— Przepraszam — mruknęła. — Chciałam powiedzieć: Cyrus.

— Czego chcesz? — spytałem.

— Jesteś na mnie wściekły?

— Po co, u diabła, wyszłaś z domu?

— Jestem damą — zaprotestowała dumnie, chociaż ciągle jeszcze brakło jej tchu. — Nie wolno kląć w mojej obecności!

— Przez ciebie mogli nas oboje zabić.

— Ja tylko przyszłam — szepnęła.

— Jak się odważyłaś?

— Słyszałam, że twój dziadek kazał ci gdzieś iść. Miałam już dość tego południowego pokoju z kapryszącymi dziećmi. A ciotka ciągle narzekała, że wujek Watt uparł się, żeby tu w okolicy założyć gospodarstwo i że przez niego nas wszystkich wystrzelają i spalą. Płakała, że ja przyjechałam w gości. No… to się wymknęłam.

— A jak usłyszałaś, co major do mnie mówi? — spytałem nie mogąc zataić ciekawości. — Gdzie się ukryłaś?

— Leżałam na tej wielkiej skrzyni w korytarzu koło kuchni. Wzięłam sobie szal pod głowę i do okrycia. Widzisz? — pokazała mi róg swego czarnego wełnianego szala. Nawet w tym bladym świetle spostrzegłem, że pełno było na nim liści i rzepów.

— Ale nie zamoczyłaś się ani… — nie chciałem powiedzieć: śmierdzisz, choć obawiałem się, że sam z pewnością cuchnę — nie szłaś rowem ściekowym?

— Najpierw chciałam iść tak samo jak ty — wyjaśniła — ale tam strasznie śmierdziało. Szłam więc na czworakach obok rowu. Twojego dziadka ktoś zawołał, a wtedy przelazłam przez tę dziurę i poszłam za tobą.

Łaska boska, powiedziałem jej, że jej Indianie nie dostrzegli.

— Może nie ucięliby ci głowy, ale ani byś się opatrzyła, a byłabyś na bagniskach jako czyjaś squaw i jadła żółwie i różne śmierdzące rośliny. Miałabyś za swoje.

— Nigdy w życiu! — wykrzyknęła Melly zapalczywie. - U tych starych, brudnych Indian! Prędzej wydrapałabym im oczy!

— Jeżeliby cię nie zabili. Chodź — powiedziałem wstając. — Dość tego odpoczywania. Musimy się spieszyć. Ciągle nie mogę zrozumieć, po coś za mną szła.

Usłyszawszy jej odpowiedź o mało nie padłem z powrotem na pień dębu.

— Bo chcę zobaczyć Króla Olbrzyma.

W niedowierzaniu powtórzyłem to imię jak echo.

— To nie jest człowiek, z którym się pije herbatkę. To wariat. Wszyscy tak mówią. Boję się, że trzaśnie mnie w głowę i rzuci aligatorom na pożarcie.

— Aligatory nie pożerają ludzi. Tylko krokodyle na wyspach.

— Aligatory rzucają się na człowieka jak są przestraszone albo trzymane w zagrodzie, a Król Olbrzym trzyma ich sto. Wszyscy to mówią…

— Sto! — wykrzyknęła. — Gdzie?

— W fosie — odparłem. — To takie wielkie trzęsawisko dokoła jego pałacu. Chodź, Melly, idziemy. — Ścisnęło mnie w gardle i poczułem się słaby jak nowo narodzone cielę. — Dziadek powiedział, że zostało im zaledwie około trzydziestu ładunków, a prawdopodobnie już trochę zużyli od naszego wyjścia, żeby powstrzymać Indian. Jeżeli chcesz zostać przy tym dębie, to powiedz.

Omal nie wrzasnęła.

— Nie, nie, Cy! Tu są różne stwory w lesie. Słyszę je. Tu są różne… — Podbiegła nagle przez plamy światła i cienia i objęła mnie rękami. — Proszę, nie zostawiaj mnie. Będę cicho. Będę…

Odczułem teraz pewien rodzaj lęku. Wiodąc bowiem samotny tryb życia w głuszy z majorem, niewolnikami i kilkoma znajomymi Indianami, nie znałem żadnych dziewcząt mniej więcej w moim wieku - i żadna dziewczyna nie stała jeszcze tak blisko mnie, z żadną nie byłem w nocy sam na bagnach i w lesie, i żadna nie ściskała mnie konwulsyjnie ramionami.

W osadach koło Manatee albo nad Sarasota spotykałem się z chłopakami i czasem urządzaliśmy zapasy. Melly jednak wcale nie była taka w dotyku ani tak nie pachniała jak chłopak. To prawda, że nie prezentowała teraz swoich sztucznych miejskich manier, i wątpią, czy naperfumowała się jak wielkie damy, o których słyszałem, ale w jej długich włosach był zapach miękkości i czystości - jakby coś nieuchwytnego z kwiatu i owocu. Dreszcz po mnie przeszedł, rozłączyłem szorstko ręce Melly i odepchnąłem ją od siebie.

— Chodź! — warknąłem. Powędrowaliśmy ku rzece, białemu jezioru poza nią i oczekującym nas uroczyście tajemnicom królestwa Olbrzyma.

## 5

Straszne niebezpieczeństwa, które były przed nami, pochłaniały moją uwagę w nie mniejszym stopniu niż groza, którą pozostawiliśmy za sobą. Opowiedziałem Melly o groteskowym patriarsze, do którego podążaliśmy. Mówiłem drżącym głosem, ilekroć odpoczywaliśmy, znużeni trudem marszu.

Ze sto, albo i więcej, dzieci spłodził Król Olbrzym, jak mówiono. Nikt nie odgadnie ich prawdziwej liczby, bo wiele dzieci zmarło wskutek surowych warunków, które tam panowały. Król jednak zebrał wokół siebie niebezpieczną hordę czarnych zbiegów i próżniaczych Indian - Creeków, Seminolów i może nawet jeszcze innych. - Żaden biały nie śmiałby nie proszony postawić nogi w tym tajemniczym księstwie. A niektórzy z szeregów Króla Olbrzyma byli czarnymi lub czerwonymi niewolnikami, najzwyklejszymi w świecie, których w uczciwy sposób kupił. Z chwilą, gdy stał się wolnym człowiekiem w oczach prawa i ojczyzny, zabrał się do wytyczania zalążka swojego imperium. Należało mu się sto sześćdziesiąt akrów za darmo, a za złoto, które miał, dokupił jeszcze czterysta po dolarze i ćwierć od akra. Ale rzeczywiste jego posiadłości przekraczały znacznie te granice, obejmowały błotniste tereny poprzecinane strumieniami i sięgały po wyżynne suche prerie ku wschodowi. Bezprawnie, oczywiście, ale kto by się chciał prawować z tym wściekłym okaleczałym monarchą? Niewielu było w naszej okolicy stróżów prawa, a i tych zawsze obowiązek wzywał ku gęściej zaludnionym brzegom rzek i zatok albo przynajmniej tak im się zdawało.

Olbrzym zbudował sobie na początek bardzo prymitywne prasy i kadzie; przecie pracował przedtem jak wół nad procesem wyrabiania cukru, a był dość zmyślny, aby wszystko zaobserwować i zapamiętać. Przygarnął do swojego potężnego łona pewnego młodszego od siebie wagabundę imieniem Lester Wyłupiasty, który podobno czmychnął z nowej plantacji gdzieś wyżej na półwyspie. Ten Lester Wyłupiasty stał się z czasem jego namiestnikiem, woźnicą, nadzorcą, szambelanem, towarzyszem i oprawcą. Znał się na trzcinie i warzeniu cukru lepiej od swojego szefa? mówiono, że Wyłupiasty kieruje niewolnikami i robotnikami pewną, ale i okrutną ręką.

Sam go widziałem, jak prowadził konwój beczek z cukrem drogą na Manatee. Był czarny jak smoła, z niebieskawym połyskiem jak wąż indygowiec. Miał sześć stóp i sześć cali wzrostu, ale chudy był jak patyk; a jak wybałuszał lśniące oczy, jak nosowo i piskliwie brzmiał jego, metaliczny głos, kiedy wydawał czarnuchom rozkazy, jak łopotała na wietrze jego brudna różowa przepaska na głowie! Nosił pas z dwoma nożami i dwoma pistoletami, pleciony bicz w dłoni. A ludzie, którymi kierował, to przykład najgorszej dziczy, szedłem więc za nimi z dwoma jeszcze pętakami w sporej odległości, a nie przy ostatnim wozie, jakbym szedł, gdyby to był cyrk, którego jeszcze nigdy nie widziałem.

Król Olbrzym sam wypalał cegłę i wydobywał trawertyn i przez te wszystkie lata z jego kominów buchał czarny dym. Ten dym okrywał kirem jego włości w porze warzenia cukru, gęsty jak chmura deszczowa; nocami

zabarwiały niebo dalekie a złowrogie łuny. Przez resztę roku na jego ziemiach słychać było tylko papierowy szelest liści trzciny chwiejącej się na wietrze i cichy krok półnagich straży patrolujących granice królestwa i odstraszających innych mieszkańców pogranicza groźbą swych noży i karabinów.

— A jego żołnierze? — dopytywała się Melly. — Dużo ich ma?

— Mówią, że mnóstwo. Podobno nawet niektórzy z nich są kanibalami — odparłem i zadrżeliśmy oboje.

Świnie ryły w zaroślach należących do włości Olbrzyma, bydło się pasło w zagajnikach, na oczyszczonych poletkach rosła wysoko kukurydza, a pieniędzy było dość, aby zakupić u handlarzy materiały na odzienie, amunicję, sól oraz błyskotki, których ci barbarzyńcy potrzebowali albo. myśleli, że potrzebują. Kiedy wierny towarzysz Olbrzyma, żylasty Lester, kończył wyładowywanie cukru w przystani Manatee, następowała pora kupowania zapasów i nagradzania niewolników, którzy dotąd pracowali w pocie czoła pod jego biczem. Kupował. im wonne korzenie i tytoń, i żółte chustki, a oni wyśpiewywali w najrozmaitszych dialektach, ładując towary dla Króla Olbrzyma na, wozy o grubych kołach.

A potem ruszali z kopyta, a kościste, muły brykały i porykiwały radośnie, bo ciężar, który ciągnęły z powrotem; był mniejszy. Ta cała zbieranina wiozła parasolki, bengalskie ognie i grube sztyfty miętowe w czerwone paski - a jaką wrzawę podnosili; buchał dym z cygar i każdy z tych dzikusów czy niewolników pysznił się swoją nową barwną chustką i nowym lśniącym cynowym kubkiem i talerzem; muły ryczały, strzelały petardy rzucane na nierówną drogę, a nad tym wszystkim skrzypiał głos Wyłupiastego, czasami z gniewną powagą, a czasem z pijacką radością.

Od lat Król Olbrzym nie stykał się z cywilizacją i prawdopodobnie nie miał na to ochoty. Na życie pośród białych składały się wyłącznie, w jego ponurej wyobraźni, łańcuchy, pręgierze i strzał, który poszarpał mu ciało. Mieszkał stale na uboczu za Gliniastym Parowem, znajdując zadowolenie w splendorze swoich osiągnięć materialnych oraz (jak przypuszczaliśmy) w towarzystwie rycerzy i dam dworu, którzy go w wyobraźni otaczali.

Miał zamek i fosę. Kilku ludzi próbowało zajrzeć tam z bezpiecznej odległości dziadek był jednym z nich. Mówił mi, że widział tylko wysoką palisadę z pni palmowych, szarych i gładkich jak wszyscy diabli, ze zwodzonym mostem wzniesionym na linach, ale nie dostrzegł straży, tylko unoszącą się w górę za palisadą smużkę dymu. Na palisadzie siedziały myszołowy, a wśród paproci rechotały żaby i wszystko to przywodziło na myśl mrożące krew w żyłach odludzie, tajemnicze zbrodnie i ukryte skarby.

Króla Olbrzyma okaleczyła pantera - zabrała mu połowę siły. I on postanowił być przez tych trzynaście lat płaskogłowym, ostrouchym kotem na swój własny sposób, z legowiskiem wśród wzniesień i bagien i z zapasami jedzenia - grożąc każdemu istnieniu, które zdoła zwietrzyć w pobliżu. Jeśli człowiek dorosły lub dziecko usłyszy straszliwy pisk pantery (wielu myśliwych wyraża się o niej z pogardą, choć podskakują ze strachu słysząc jej zew), mogą sobie wyobrazić, że to wyzwanie do walki na

śmierć i życie Króla Olbrzyma, dzikiego potwora, którego niegdyś zamykano w klatce i chłostano, i który przez to stał się występny.

Ale obojętne, czy był występny, czy też nie, musieliśmy go odnaleźć tej nocy. Biorąc pod uwagę tych kilka minut zwłoki spowodowanej zjawieniem się Melly, powolne czołganie się, aby ujść oka Seminolów, i krótkie przystanki dla wytchnienia, nie mówiąc o innych przeszkodach, było już pewnie wpół do dziesiątej, nim przeszliśmy na drugą stronę rzeki.

Szliśmy ostrożnie po pniu pierwszego zwalonego drzewa. Melly posuwała się tuż za mną i tak jak ją pouczyłem, przytrzymywała się gałęzi. Ale kiedy znaleźliśmy się w połowie drogi, zaczepiła suknią o jakąś chropowatą gałąź i myślałem, że pęknę ze złości. Nie ma nic gorszego jak wlec za sobą babę w kiecce po leśnych wertepach.

Musiałem przeczołgać się po cieńszej gałęzi w górze, bo na pochyłym pniu nie było miejsca dla nas dwojga. Bałem się, że Melinie zakręci się w głowie i rąbnie w czarny nurt Miakki, oblany łagodnym blaskiem księżyca i pełen nieprzyjaznych żmij. Odczepiłem Melly, jak najszybciej mogłem, rozrywając w tym celu sukienkę, rad, że dziewczyna nie widzi mojej twarzy w mroku.

— Podarłeś mi suknię.

— Drobnostka — mruknąłem niemało udręczony widokiem jej nóg w prążkowanych pończoszkach i bielizny. — Idź naprzód i nie zaczep się znowu.

Szła teraz przede mną i tak jak kazałem, wdrapała się na powykręcany konar drugiego drzewa, które woda podmyła na wschodnim brzegu powalając w ramiona pierwszego. Nie mogłem wyminąć Melly, aby usunąć bestię z jej drogi, ale krzyknąłem ostrzegawczo:

— Nie ruszaj się!

Trzeba oddać Melly sprawiedliwość, że znieruchomiała natychmiast.

— Co się stało? Dlaczego...

Złowrogie zwoje skręcały się tuż u nosków jej pantofli, płaski łeb unosił się wysoko. Był to prawdziwy olbrzym i mogłem go dosięgnąć jedynie wychyliwszy się daleko w bok i robiąc to modliłem się w duchu.

— Nie ruszaj się — jęknąłem przez zaciśnięte zęby i niewykluczone, że dodałem nawet „kochana Melly” jakby w majaczeniu. Znalazłem kikut uschniętej gałęzi, wsparłem się na niej lewą ręką, błagając Niebo, aby się nie złamał. Kord trzymałem w pogotowiu w prawej dłoni. Wygiąłem się w łuk przyciskając bark i ramię do dziewczyny. Szybkim, mocnym ruchem zadałem cięcie.

Udało się i poczułem większą dumę niż Lucyfer i większą ulgę, niż jakikolwiek anioł witany u bram Nieba. Głowa mokasyna poleciała w jedną stronę, wijące się wściekle zwoje ogromnego cielska w drugą; na nic zdał się cichy okrzyk Melly. Sęk nie wytrzymał nacisku - wyłamał się z chrzęstem z pnia drzewa. Sylwetka dziewczyny, pnie drzew i księżyc zawirowały naraz nade mną. Chlupnąłem w wodę i przeszył mnie chłód, chłód i jeszcze raz chłód.

Rzeki na Florydzie bywają późną zimą lodowate, a tej nocy można było niemal dostrzec mroźne opary nad wodą. Na chwilę straciłem oddech, ale nie wypuściłem broni z ręki. Wypłynąłem na powierzchnię i ruszyłem ku

brzegowi. Krzyknąłem bełkotliwie ponad zmrożonym ramieniem do Melly, by podążała dalej suchą drogą po pniu drzewnym. Teraz mogłem już tylko żywić nadzieję, że nie napotka więcej jadowitych mokasynów, i że żaden wojowniczy aligator nie wciągnie mnie swymi zębami w głębinę, aby mnie potom zagrzebać w błocie i schrupać na śniadanie, kiedy już dostatecznie skruszeję.

Brzeg był stromy i z nawisem obluzowanej darni, musiałem więc przebrnąć jeszcze kilka prętów do miejsca, gdzie można się było wydostać na suchy grunt. Melly zdążyła do tego czasu zbiec lekko po nierównym pniu - dużo szybciej, niż kiedyśmy szli razem. Podbiegła, wyciągnęła ręce i pomogła mi się wdrapać.

Płakała.

— Życie mi ocaliłeś. Ocaliłeś mnie. Bałam się, że utoniesz albo że ci się przytrafi coś strasznego.

Nie mogłem pohamować drżenia.

— Przynajmniej… się obmyłem. Ten rów ściekowy… nie dawał mi żyć. Dziwię się… że nie narzekałaś — zdołałem jakoś wydusić te słowa, choć zęby mi dzwoniły.

— Ta woda jest taka straszna i zimna! Masz. — Okryła mnie czymś przyjemnym - był to jej własny gruby szal. Nie zważając na moje protesty (bardzo nikłe) owijała mnie i otulała, gruchała do mnie i mówiła, że ocaliłem jej życie.

Wycisnąwszy spod powiek ostatnie krople wody rzeki Miakka, rozejrzałem się za naszą ścieżką. Tam powinna być, po lewej stronie, powinna się urywać na następnym wzgórku.

— Cy. Cyrus. Cyrus Blenchard Gabeson. — Zachowywała się, jakby moje nazwisko było psalmem do wyśpiewywania.

— No co? Idziemy…

— Cieplej ci, Cy? W moim szalu? Dobry jest mój szal?

— Tak — wyjąkałem. — Dziękuję ci. Oddam go, jak tylko krew zacznie mi raźniej pulsować.

Kręciła się tuż przy mnie i na jej szczupłą twarz padał niemal widmowy blask, a jej rozpuszczone i splątane włosy srebrzyły się jak pasma hiszpańskiego mchu.

— Cyrusie, czy całowałeś już jakąś dziewczynę?

Nie mogłem wydobyć z siebie słowa - wciąż dygotałem, myśląc jednocześnie o Indianach i o Królu Olbrzymie, i jak mało brakowało, żeby mokasyn ukąsił Melly.

— Powiedz. Cyrusie, całowałeś?

— Nie — wyzipałem.

— Pocałuj mnie, kochany. Ocaliłeś mnie, więc teraz musisz… — Reszta słów pozostała nie wypowiedziana. Jej usta zetknęły się z moimi i wszystko to było mieszaniną ciężkiej próby i tajemniczości. Potem schwyciła mnie za rękę i znów pomknęliśmy przed siebie.

## 6

Jeżeli Król Olbrzym był tak bezlitosny, jak mówiono, wobec swoich ludzi, zastanawiałem się, co też mógłby uczynić z nami, gdyby mu przyszła na to ochota. W ciągu następnej godziny, kiedy posuwaliśmy się wzdłuż brzegu jeziora od jednej kępy drzew do drugiej i każdy krok nas przybliżał do Gliniastego Parowu, prześladowały mnie wspomnienia wszystkich okropności, które mi opowiadano.

Gady w fosie, wilki, które podobno trzyma na smyczy, pręgierz u drzwi pałacu. Jeśli stosował okrutne kary, to może po prostu chciał pokazać, jak dobrze zapamiętał nauki, które otrzymał w młodości. Major i inni właściciele ziemscy często rozmawiali przy mnie o tych niegodnych postępkach, toteż wryły się one głęboko w moją pamięć.

Dziadek opowiadał, jak kiedyś z Krzywonogim Billem podchodził indyki koło gaju bambusowego w pobliżu zagarniętych przez Króla Olbrzyma terenów. Widzieli wówczas (ze sporej odległości) wymierzanie kary krnąbrnemu robotnikowi. Nie mogli rozróżnić, czy był on czarny, czy biały, ale aż przykro było patrzeć i słuchać. Później inni robotnicy musieli nieszczęśnika, który niedawno był jeszcze pełen życia, wziąć na ręce i nieść — nie wiadomo: żywego, czy umarłego.

Bill powiedział po prostu:

— Lopfietschay — co znaczy, aby się znów zająć indykami, ale major nie mógł zapomnieć tej sceny. Będąc żołnierzem z krwi i kości czuł wstręt do wszelkiego fizycznego okrucieństwa, zwłaszcza gdy było ono niepotrzebne.

Dziadek wojował pod Andre z Jacksonem i służył też pod Taylorem i Worthem. Słyszałem czasem, jak rozmawiał ze swoimi przyjaciółmi wojskowymi, a także siwymi już myśliwymi, którzy nigdy w życiu nie mieli na sobie mundurów, ale tęż eli na wzmiankę o Micanopim lub Osceoli. To żadna przyjemność, jak człowiekowi zdzierają skórę z głowy albo przypiekają rozżarzonymi węglami jeden palec po drugim. Nikt by nie chciał, żeby go rzucono spętanego na mrowisko, albo przywiązano nagiego do rożna i obracano powoli w żarze letniego słońca.

Przez cały tydzień słyszałem wrzaski armii Billa i postrzeliłem jednego Indianina w kolano (a przynajmniej tak mi się wydaje, bo podskoczył jakoś dziwnie, kiedy wystrzeliłem, a potem pobiegł kulejąc). Dziadek powalił dwóch ze swojego angielskiego sztucera, a inni z nas też się chwalili podobnymi sukcesami. Kule przebijały ściany; roztrzaskały piękne lustro, powybijały wszystkie szyby i stłukły dzban mleka stojący na stole. Pani Dolly Devenport, nasza sąsiadka, straciła kawałek ucha i lamentowała nad tym całymi godzinami.

Mimo to wspomnienie starcia z Seminolami wywoływało we mnie mniejsze drżenie niż myśl o tym ludojadzie, którego mieliśmy już wkrótce spotkać. Gwałt i groza zniechęcały ludzi do wtargnięcia na ziemie Króla Olbrzyma, odkąd je objął w posiadanie. Był to potwór, gotów człowiekowi wydrzeć żywcem serce i emblematy męskości (tak jak to podobno zrobił, gdy pewien jurny Gulah upodobał sobie w jednej z jego faworyt). Nie mogliśmy się spodziewać, że zostaniemy przyjęci z otwartymi ramionami i sercem na dłoni, choćbyśmy nie wiadomo jak małe przedstawiali dla niego niebezpieczeństwo.

Nim zawróciliśmy znad brzegu jeziora w głąb lądu, usłyszeliśmy z północnego wschodu szczekanie młodych psiaków. Zwykle rozpoznałbym od razu, że to szczenięta, które wystawiły szopa pracza i nie wiedzą, co z nim teraz zrobić. Ale niesamowitość mglistej poświaty księżyca sprawiła, że głosy te przywodziły na myśl gniew upiorów, którym zakłócono ich cmentarne wędrówki.

Nagle ponad ten jazgot wzniósł się donośniejszy głos. To już nie żaden młodzik, ale długonoga bestia o potężnej piersi, grzmiąca, jak wyobrażaliśmy sobie, niczym afrykański lew. Na odgłos tego ryku Melvina zadrżała i zwolniliśmy oboje kroku.

— Czy to pies?

— Brytan. Wielki brytan.

— Czy on tak na nas ujada?

Wysoko w górze świecił księżyc, a ja nagle zapragnąłem, abyśmy się znaleźli na nim.

— Nie wiem, Melly. Nie możemy teraz zwlekać. — Z drżeniem pociągnąłem ją ku temu, co nam zgotowało przeznaczenie.

Ujadanie psów, które stało się głośniejsze i bliższe, urwało się nagłym skowytem, jakby ktoś uciszył sforę przy użyciu pałki. Wśród najbliższych dębów ujrzałem srebrny blask ślizgający się na ciemnej wodzie i jego odbicie na mchach w górze. Plusnęła wielka ryba. Dotarliśmy do Gliniastego Parowu, a zarazem końca własnoręcznie wyciętej przeze mnie ścieżki.

Płycizna znajdowała się w górze strumienia, woda perliła się na mierzei i głośno chlapiąc ruszyliśmy brodem na drugą stronę. Już nie próbowaliśmy się skradać: pouczałem biedną Melly, co ma robić, w obawie, że padniemy od kuli wartownika, jeśli weźmie nas za podkradających się wrogów.

— Chlap jak najgłośniej! — wrzasnąłem przez zaschnięte gardło. — Hałasuj! Potrącaj zarośla! — a ona jęknęła i ruszyła, potykając się, za mną i robiliśmy we dwoje więcej wrzawy, niż trzoda buszujących świń.

Pierwszy raz w życiu znalazłem się po drugiej stronie tego parowu. Byliśmy na terenach zakazanych. Spostrzegłem jak przez mgłę płomienie pochodni i inne rozbłyskujące i buchające ognie za wzgórkiem. Psy zaczęły znów ujadać, ale tym razem innym głosem, wyraźnie na nas.

— Och, Cy!

Cichy jęk Melly zatrzymał mnie w miejscu, niby sidła na niedźwiedzia. Odwróciłem się i spojrzałem na nią, okrytą szalem, który już dawno jej oddałem. Czarne fałdy szala okrywały jej głowę i spadały na ramiona. Przypominała w nim stare obrazy, które kiedyś widziałem, przedstawiające piękne święte i Madonny i damy hiszpańskie w dalekich krajach.

— Oni mogą nas zabić, prawda?

— Podobno są… — chciałem dodać: „kanibalami”, ale to słowo uwięzło mi w krtani.

Jej szept był dla mnie jak wino i błogosławieństwo, i sama słodycz. Poprzedniego dnia nienawidziłem Melviny Hendry i starałem się jej unikać; jeszcze tego samego wieczora ciskałem się na nią. że za mną poszła. Ale

teraz, kiedy znaleźliśmy się u progu zguby, po wszystkich wspólnie przeżytych trudach, stała się dla mnie piękna i droga.

— Ja chciałam tylko powiedzieć, że cię kocham, Cy.

Jak we śnie, na wpół wyczerpany i już udręczony do utraty zmysłów, schyliłem się, żeby pocałować Melly w usta.

Nagle od strony kępy drzew dobiegł wyzywający krzyk i skoczyliśmy jak oparzeni. Z początku nie rozumiałem żadnego z wykrzykiwanych słów. Dźwięczały w moich uszach czarnymi i czerwonymi tonami, które zmieszane z ujadaniem psów tworzyły jakąś puszczańską symfonię.

Wlokąc za sobą Melly pędziłem na przełaj i z każdym krokiem czułem się bardziej samobójcą i mordercą. Jakaś nie zauważona gałąź wyrżnęła mnie w czoło - zobaczyłem wszystkie gwiazdy i poczułem szorstkość kory. Drzewa szybko przerzedzały się i dostrzegliśmy wodę. Słychać było w niej chlapanie, bulgotanie i chrząkania, jakby całego stada zaniepokojonych aligatorów.

Do fosy Króla Olbrzyma, jak mogliśmy teraz stwierdzić, biegł od Gliniastego Parowu rów, który we wszystkich porach roku zasilał ją wodami strumienia. Mocny płot po obu stronach fosy, wystający ponad trzęsawiskiem jak faszyna, czynił z aligatorów przymusową straż. Był też i most zwodzony, wzniesiony wysoko na linach, tak jak opowiadał major, a wszędzie dookoła czuliśmy zapach i obecność mułów, kotłów i wygasłych ognisk.

Muły dołączyły wkrótce swoje ryki do ujadania psów i wrzasków ludzi. Mój dziadek na pewno usłyszał ten harmider w domu, o dwie godziny drogi stąd, i pomyślał, że już nas schwytano, aby później ugotować w jednym z owych kotłów. Po obu stronach fosy powiewały przywiązane do sosen chorągwie. Ktoś cisnął łuczywo do zawieszonego na wysokim dębie żelaznego kosza. Ten kosz, pełen smolnych szczap, umocowano tam w celach obronnych. Tak jak my u siebie na podwórku układaliśmy pnie sosnowe i suche liście na rozpałkę, tak ci ludzie mieli porozwieszane wokół żelazne kosze. Blask ognia płonącego w koszach rozświetlał mrok i czynił z napastników łatwy cel.

W opowiadaniach o piratach, za którymi nie widziałem świata (dziadek w skrytości też za nimi przepadał i miał spory zapas takich opowiastek w naszej biblioteczce), zawsze się mówi o krępowaniu rąk. „W mgnieniu oka — oświadczał któryś z bohaterów — ręce miałem skrępowane”. Być może właśnie to się przydarzyło Melly Hendry i mnie, ale nie lubię wspominać tamtej chwili i dziękuję Bogu, że ta dzicz obeszła się łagodniej z dziewczyną niż ze mną.

Myślałem, że mi wyrwą ramiona ze stawów. Gdy tryskające iskrami płomienie wzbiły się w górę i okazało się, że jest nas tylko dwoje, ze wszystkich stron rzucili się na nas najróżniejsi ludzie. Śmierdzieli tłuszczem, potem, gnojem i dymem - nadzy, w koszulach, w jelenich skórach. Chwycili mnie za przeguby rąk, ramiona, nawet za nogi. Zobaczyłem tuż nad sobą straszne twarze, wybałuszone oczy świecące czerwonawo w blasku sosnowych szczap.

— Buckiaw! — krzyczeli w na wpół zapomnianym żargonie swoich murzyńskich szczepów. — Esteehotkatee! — i — Estahadkeel — A

niezależnie od tego, jakim narzeczem indiańskim się posługiwali, z jakiego szczepu lub okolic się wywodzili, ich wrzaski oznaczały tylko jedno: „Biały człowiek! Biały człowiek!”.

Melly jęknęła, abym jej bronił, ale było to możliwe w tym samym stopniu co złojenie skóry Królowi Olbrzymowi. Gdzieś poza bezlitosnymi rękami i złowrogimi twarzami usłyszałem skrzypienie lin i zobaczyłem most, który opadał niczym waląca się ściana. Uderzył o próg z pali, aż się zatrzęsła ziemia. Nadbiegło po nim więcej wariatów bębniąc po deskach bosymi i obutymi nogami i nowe wrzaski przeszyły noc.

— Hononwaminittitee — powiedział jakiś Seminol spokojnie o cal od mego ucha. Próbowałem go zobaczyć, bo on jeden przynajmniej stwierdził, że jestem młodzikiem, a więc nie mogę zagrażać królestwu Olbrzyma.

— Hoketeetimitnittitee — starałem się wyjaśnić, aby wiedzieli, że Melly Hendry jest dziewczyną, młodą dziewczyną, a więc nie zasługuje na brutalne traktowanie.

Ale moją nieporadną próbę zagłuszył chór wrzasków i nowych wyzwań; powlekli więc nas ku mostowi, przy czym udawałem. że stawiam opór, gdyż najwyraźniej tego się po mnie spodziewano.

Ujrzałem tuż nad sobą czarną twarz i otoczył nas błotny zapach.

— Krokodyle — wyrzekła twarz i w ustach jej zalśniły zęby niczym ostre noże. — Kto tu przychodzi, tego rzucamy krokodylom i aligatorom. — Inni wybuchli śmiechem i podrzucili mnie do góry, jakby mnie chcieli cisnąć do fosy. Nie śmieli jednak tego zrobić tak od razu. Nawet ta rozhukana banda musiała najpierw zaspokoić swą ciekawość - przynajmniej na to liczyłem.

Dostrzegłem kątem oka Melly, kiedy nas prowadzono siłą przez bramę w palisadzie. Szła pod strażą dwóch czarnych, przed nią i za nią biegli truchtem Indianie, a jej twarz jaśniała jak gwiazda. Szal jej opadł; ktoś go schwycił; a potem między nią a mnie wdarł się tłum ciał i już jej nie widziałem.

Wewnątrz palisady czekał Wyłupiasty. Poznałem go z łatwością, bo byłem świadkiem tego zdarzenia w Manatee, kiedy prowadził wozy z cukrem. Nasze nadejście musiało go wyciągnąć z łóżka, bo obok niego stała młoda brunatna kobieta — naga do pasa, ale w spódnicy z indiańskiego płótna — i uniósłszy w górę ręce starała się zawiązać mu na głowie zieloną przepaskę. On zaś sam skończył właśnie zapinać pas i widziałem, jak ogląda po kolei panewki obu pistoletów, zanim podszedł do nas.

Szedł wolno, jakby chciał okazać, że żaden jeniec nie zasługuje na zbyt jawne zainteresowanie. Kobieta podążała za nim, wyglądając spoza pleców tego królewskiego giermka, ale więcej patrzyła na Melly niż na mnie.

Kiedy przyszedł Wyłupiasty, wokół nas panował gwar - paplanina, mamrotanie i chichoty - ludzie snuli różne domysły i przypuszczenia, ale gwar ten zaraz przemienił się we względną ciszę, kiedy wysoki namiestnik przemówił.

— Puśćcie ich — rozkazał. — Nigdzie stąd nie uciekną.

Uwolniono nas. Melly wysunęła się z tłumu. Staliśmy, dwoje roztrzęsionych winowajców, przed tym chudym mężczyzną popatrującym na nas złowrogo przy blasku pochodni.

Kobieta wychyliła się zza jego pleców i dotknęła szala Melly, jakby go chciała sobie przywłaszczyć, ale Melly jeszcze szczelniej się nim owinęła. Kobieta zachichotała i cofnęła się.

Lester wlepił we mnie spojrzenie swoich wyłupiastych oczu.

— Ty kto?

— Jestem Cy Gabeson. Wnuk majora Blencharda.

— Aha — rzekł Lester. — Tego starego majora, co ma tutaj ziemię. Czego nas niepokoisz?

Siląc się na powagę i godność dorosłego wieku oraz tradycyjną wyższość białego nad innymi, powiedziałem:

— Muszę bezzwłocznie zobaczyć się z Królem Olbrzymem.

W czasie tej wymiany zdań doszedł naszych uszu jakiś szczególnie głęboki pomruk. Wydobywał się on z domu pokrytego strzechą, który czerniał w obrębie palisady. Ściany miał z pni i mat palmowych i nie było widać krańców tej budowli. Musiała być wielka jak stodoła, bo ściany jej ginęły w mroku.

Gdzieś w głębi budowli mieszkała ropucha potwornych rozmiarów. Słyszeliśmy jej pomruki, niezrozumiałe z tej odległości - głos Króla Olbrzyma, dopytującego się, co zakłóca spokój, kim są przybysze i jak ich potraktowano.

— Czego chcesz od Króla Olbrzyma? — spytał Wyłupiasty Lester.

— Muszę się z nim widzieć! — na tle tego głuchego pomruku mój własny wydał się piskliwy niby ton piszczałki ze źdźbła trawy.

Jedna z pochodni zagasła. Tańczące cienie zgęstniały i wokół nas podniósł się szept tych nieokiełznanych ludzi, niby bzyczenie komarów, który się przemieszał z głosami prawdziwych owadów brzęczących w lesie.

Lester położył żylastą rękę na ramieniu Melly, a drugą sięgnął mi za plecy, aby zbadać pustą pochwę, którą miałem przypasaną - mój kord dawno już gdzieś znikł.

— Masz pistolet, chłopcze? — spytał i obmacał mi kieszenie.

— Nie. Miałem nóż, ale ktoś mi go odebrał. Nie mamy złych zamiarów. Muszę porozmawiać z… z królem.

Roześmiał się ni stąd ni zowąd.

— A masz prezent dla króla? On nie lubi białych.

W małej kieszeni spodni miałem magiczny lśniący krążek, który mi dał wędrowny sprzedawca mówiąc, że chroni on od reumatyzmu. Nosiłem też przy sobie szczęśliwy pieniążek złotą dolarówkę, którą dostałem od majora na Boże Narodzenie, kiedy byłem mały. Żal mi się było z nią rozstawać, ale…

— Mam dla króla pieniądz — powiedziałem chudemu czarnemu wodzowi — złoty pieniądz. — Pchnął nas ku niezgrabnym drzwiom.

## 7

Jak na monarchę przystało, Król Olbrzym siedział, na podwyższeniu, wysoko nad polepą. Było ono zbudowane z tarcic, na których stał tron z lśniących korzeni cyprysa. Wypolerowane sęki i odroślą sterczały na wszystkie strony z poręczy i oparcia tego przyrządu, co wyglądało, jakby ogromny drewniany pająk albo wielka larwa schwyciła mnogimi kleszczami kolosa i nie chciała puścić.

Okryta bliznami i straszna w migotliwym blasku ognia, otyła twarz połyskiwała w górze. Był starszy, niż sobie wyobrażałem. Nie spodziewałem się, że jego kręcone włosy będą szare jak ołów, a zarost na smagłej piersi też zatraci już swą barwę. Minęło kilkanaście lat, odkąd otrzymał wolność, a Bóg jeden wie, ile lat przeżył w niewoli.

Ubrany był w strój seminolski - może dla parady, a może wygody, bo trudno byłoby wymyślić mu jakieś inne ubranie. Wiek jego królewskiej mości i próżniaczy tryb życia (ponieważ nie musiał pracować własnymi rękami w tym królestwie) sprawiły, że się bardzo roztył. Nawet najluźniejsza z pasiastych tunik, jaką miał na sobie, była opięta na brzuchu.

Jedną nogę miał grubości palmowego pnia, a drugą - lewą, tę okaleczałą - dużo cieńszą, ale na obu widniały frędzle skórzanych nogawek. Głowę okrywał mu turban uwity z brudnych czerwonych szarf spiętych srebrną obrączką. U prawego ucha wisiało mu złote kółko, lewe zaś było rozszarpane.

Siedział pomrukując, a wściekłość, że ośmieliliśmy się swoim wtargnięciem sprofanować jego królestwo, zwężała mu jedyne oko. Wreszcie zdołaliśmy coś wyrozumieć z głębokich pomruków.

— Wy kto? Wy kto? Co tu robicie? Po coście przyszli? — pytał i chyba żaden krokodyl ani aligator nie mógłby wydobyć z siebie straszniejszego głosu.

Trzy obecne tam kobiety należały zapewne do jego haremu - dwie z nich siedziały na brzegu platformy. Trzecia - ciesząca się chyba w owej chwili specjalnymi względami - siedziała oparta o tron. Jedna była czerwonoskóra, druga czekoladowa, trzecia miała w sobie mieszaną krew, a wszystkie w odmiennym stanie. Patrzyły na nas i nie mówiły nic. Podobnie jak tę dziewuchę na dworze, najwięcej je ciekawiła Melvina Hendry.

W powietrzu czuć było ciężki zapach rumu i jadła. Prosty stół, obok podwyższenia, dosłownie uginał się pod ciężarem dzbanów i półmisków, które zsunęły się ku środkowi, gdzie cienkie żerdzie były najbardziej wgięte. Widzieliśmy kawał pieczonego wieprza, nadjedzone ptactwo, a także pomarańcze i chleby niewątpliwie z mąki koomtie. W zasięgu ręki Króla Olbrzyma stał dzban. Zadrżeliśmy znowu na myśl o okropnościach, jakie po pijanemu mogą się zrodzić w jego głowie.

Z kłód na rozległym palenisku zrobionym z płyt wapiennych buchał ogień. A chociaż wytrzeszczaliśmy oczy, nie dostrzegliśmy żadnych innych twarzy pośród pełgających cieni. Na dworze władcy było zacisznie — prócz króla i jego nałożnic znajdował się tu jeszcze tylko mały szop uwiązany do słupka i trzyletnie dziecko śpiące spokojnie na końcu stołu (ku przerażeniu

Melly, która sądziła, że jest ono jednym z dań - obok indyków i pieczonej wieprzowiny).

— Ty kto? Ty kto? — dopytywał się głęboki głos. Surowe oko popatrywało złowrogo, wielkie purpurowe wargi ledwie się rozchylały wypowiadając to pytanie, gdy Lester pchnął mnie do przodu.

Gdzieś w dali usłyszałem własny drżący głosik:

— Królu Olbrzymie, muszę…

— Tak — przerwał mi. — Ja król. Ciągle król. — Jego zaciśnięta prawa dłoń rozchyliła się ukazując rewolwer z pięcioma lufami, dotychczas zakryty ogromnym łapskiem. Dłoń zacisnęła się znowu wokół rewolweru. — Na kolana! Ja Król Olbrzym! Na kolana, chłopcze! — Ukląkłem więc i skłoniłem głowę jednocześnie, wcale nie czując upokorzenia.

Bo mimo groteskowości tej postaci i jej otoczenia, te królewskie pretensje wydawały się w pełni uzasadnione. Był rzeczywiście władcą, wystarczyło stanąć przed nim, żeby się o tym przekonać.

Poczuliśmy się nagle nie jak na swojej rodzinnej Florydzie. Staliśmy teraz po kolana w pleśni minionych czasów — jego tajemnicza władza sięgała znacznie głębiej w przeszłość niż srogość przeżytych trudów, chłost i kajdan. Król Olbrzym odziedziczył moc, która żyła w lampartach i kłach słoniowych. Nie wiadomo, kim byli jego przodkowie, ale z pewnością mieli klejnoty w koronie i z tysiąc dzid na zawołanie.

Była też w nim duma wyrosła z odwagi i poświęcenia. Zapewne nikt inny nie mógłby stawić czoła, tak jak on, panterze i wyjść z walki zwycięsko. Nikt inny nie był tydzień po tygodniu bity przez całe życie; nikt nie nosił takich ciężarów na swoich barkach. Kto inny, pogrążony w ciemnocie i marzeniach, mógłby zgromadzić taką tajemniczą bandę i zmusić ją do uległości? Nie lęk trzymał na wodzy tych nieokrzesanych brutali, to się wyczuwało. W ich sercach musiał gościć respekt i dziwna jakaś cześć, jakie i ja odczuwałem, kiedy przyszedłem prosić go o pomoc.

Podszedłem na kolanach z moim skromnym darem i Olbrzym wolno odłożył rewolwer i wyciągnął wielką czarną michę swej dłoni, ażeby przyjąć ode mnie mały pieniążek.

— Jest złoty — powiedziałem. — Na szczęście. Mój dziadek miał go z sobą, gdy był na wojaczce. To było wtedy, kiedy kazał temu kapitanowi odciąć cię ze sznura, gdy powieszono cię za kciuki.

Król Olbrzym zadumał się nad cieniutką blaszką leżącą na dłoni, jakby to był klucz do przeszłości, który musiał przekręcić.

— Powiesili mnie. Pamiętam. Stary kapitan Ross. To on mnie powiesił.

— Mój dziadek to major Blenchard. Mówił, że na pewno go pamiętasz.

Król Olbrzym zaczął się znów przyglądać pieniążkowi kręcąc głową z boku na bok jakby z niechęcią, jakby wolał nie rozpamiętywać dawnych zdarzeń.

— Blenchard. Major. Musisz go pamiętać. Mieszkamy teraz po sąsiedzku.

— Wiem, gdzie są ziemie Blencharda — zagrzmiał. — Blenchard to przyjaciel kapitana Frencha Fenwicka. Znam go.

— Królu Olbrzymie — wykrzyknąłem — mamy straszny kłopot! Krzywonogi Bill napadł dziś rano na nasz dom z całą zgrają Indian. Zaraz zabraknie nam prochu. Przyślij nam pomoc. Major ci dobrze zapłaci.

I to było chyba najgorsze, co mogłem zrobić, chociaż kazano mi to powiedzieć, więc musiałem wykonać polecenie bez względu na ryzyko.

Ryknął - był to potworny nieartykułowany ryk pogardy - tupnął zdrową nogą i trzasnął ręką w kolano, że aż kobiety z haremu odsunęły się trwożnie.

— Zapłaci?! — wrzasnął. — Kto mi zapłaci? Za co mi zapłaci? Ja Król Olbrzym i sprzedaję tylko cukier i melasę. Nie, nie… ja ich nie sprzedaję, ja król. On, on! — dźgał palcem powietrze w stronę sługusa, obok którego stała skurczona ze strachu Melly. — On sprzedaje, jemu płacą. Nikt - zakończył ostatnim rykiem - nie płaci mi za nie!

Jak w koszmarnym śnie - ujrzałem w wyobraźni dziadka, kobiety i dzieci dyndające na drzewach, kiedy Indianie ich dosięgną.

— Więc nie dla zapłaty! — krzyknąłem. Czułem, że łzy płyną mi po policzkach, ale nie dbałem o to. — Tam są kobiety i dzieci. Ulituj się nad nimi i poślij swoich ludzi!

Osunął się głębiej między wypolerowane korzenie cyprysa i oparł na niedźwiedzich skórach.

— Biali ludzie — mruknął. — A wiesz, chłopcze, jacy dla mnie byli biali ludzie? Przez całe życie nic, tylko mnie bili, bili, bili. Wypaliliście na mojej skórze piętno gorącym żelazem, zakuwaliście mnie w kajdany i cały czas bili. Całe moje życie!

Jego gniewne i ponure oko powędrowało spojrzeniem poza mnie łagodniejąc jakby i przybierając wreszcie wyraz zastanowienia, a ja stałem wyczerpany, zdruzgotany, niejasno świadom ciężkiego oddechu w czeluściach tego ogromnego cielska i złych wspomnień, które go nawiedziły.

Pochylił się, poruszył nogami w skórzanych nogawkach i zaczął macać ręką w półświetle.

— Mój mały dolar. Zgubiłem pieniążek, który mi dałeś. Siedząca najbliżej kobieta schyliła się, żeby mu pomóc szukać, i ja też się zbliżyłem. Świeży płomień wystrzelił w górę na palenisku i odbił się plamką blasku w jednej ze szpar w palmowym pniu. Był to złoty pieniążek. Wyjąłem go ze szpary i oddałem Olbrzymowi.

— Hetty — powiedział do kobiety u swoich stóp — daj mi pić. — Podała mu gliniany dzban, a on pociągnął z niego kilka łyków.

Odstawił dzban.

— Chłopcze, kto jest z tobą?

— To Melvina Hendry, panie. — Wydało mi się całkiem naturalne, że mówię do niego „panie”, i to nie tylko dlatego, że jego odmowa mnie upokorzyła.

Pokiwał palcem przyzywając ją do siebie. Usłyszałem cichy krok podchodzącej Melly. Olbrzym kazał jej uklęknąć. Osunęła się na kolana obok mnie.

Oko w czerwonej obwódce długo się w nią wpatrywało.

— Jak się nazywasz?

— Melvina Hendry, panie — wyszeptała.

Wstrzymałem łzy i popatrzyłem na nią, tak delikatną w swojej wczesnej kobiecości, z wysokim kołnierzykiem podartej sukienki, który zakrywał jej szyję, i długimi jasnymi włosami spadającymi na ramiona.

Król Olbrzym uśmiechnął się połową twarzy, którą się mógł uśmiechać. Druga połowa była cała w bliznach i nieruchoma jak z blachy.

— Panienko — mruczał. — Mała panienko! Podejdź tu, panienko. Podejdź do mnie.

Weszła po dwóch nierównych schodkach prowadzących do tronu, ja zaś patrzyłem na to z przerażeniem, a jednocześnie zupełnie bezsilny. Jaka myśl go teraz opętała? - zastanawiałem się w oszołomieniu. Może już na długo przed naszym przybyciem pociągał z tego dzbana. Czyżby mając tyle czarnych i miedzianoskórych dziewcząt zapragnął jeszcze włączyć biedną Melly do orszaku swoich żon? Czy roztrzaskałby mi głowę swoim rewolwerem, gdybym się rzucił do walki w obronie Melviny, jak nakazywałby mi honor?

Stare, pokaleczone paluchy, z których każdy był wielkości tłustego głowacza, rozcapierzyły się nad jej głową i zatopiły w jedwabistych włosach.

— Ileż to już czasu, panienko! — pojękiwał.

Ponieważ zaś wiedziałem, że Melly nigdy nie mogła go przedtem widzieć, Olbrzym musiał doznać obłąkańczego złudzenia, iż ma przed sobą jakąś ślicznotkę z dawnych lat - może tę kobietę, która była dla niego dobra i nauczyła go dukać z jakiegoś zbioru bajek, udostępniając mu dziecięce radości, nie znane innym niewolnikom. Niewątpliwie musiał mieć na myśli tę już nie istniejącą kobietę, kiedy przemawiał w ten sposób do Melly.

Głaskał jej włosy, a jego bas dudnił przy tym jak nie ustający łoskot bębnów.

— Mała panienko, czemu przyszłaś? Jak się tu znalazłaś? Ja teraz król… widzisz? Spójrz na Króla Olbrzyma! Przypatrz się dobrze, panienko. Mam tron, mam żony, mam niewolników, mam wojsko. Mam królestwo. Mam wielką, wspaniałą wolność, śliczna panienko!

Znowu przeszył mnie strach, że zechce ją sobie wziąć. Lepiej by już było ważyć się na przejście fosy pełnej aligatorów, niż pogodzić z takim losem. Pomyślałem w swej głupocie, czy by nie rzucić się, schwytać jedną ręką Melly, a drugą rewolwer Olbrzyma i jakoś ich wszystkich powstrzymać, póki Melly nie przedostanie się na drugą stronę fosy — może udałoby się jej ujść przed zębami gadów.

Na rozległym palenisku gadał ogień, który tu służył do gotowania strawy, a także ogrzania i oświetlenia czerwonawym migotaniem tej ogromnej krytej strzechą budy — ogień całkowicie obojętny na to, ilu pełnych zawziętości ludzi walczy lub umiera poza kręgiem jego blasku.

Za wysoką sylwetką Wyłupiastego, który stał nieruchomy i uzbrojony obok łaszącego się doń szopa na postronku, daleko w tyle, tworząc ponurą ścianę w obramowaniu drzwi, widniały niesamowite twarze dworaków, którzy z ciekawością przyglądali się całemu zajściu, ale nie śmieli, nieproszeni, wejść za próg.

— Śliczne włosy, panienko — mówił Król Olbrzym. — Och, jakie śliczne. Przyjemnie dotknąć takich ślicznych włosów. Po co przyszłaś? Ileż to czasu… Po co przyszłaś?

Melly zdołała wreszcie wydobyć z siebie głos, choć brzmiał on słabiutko.

— Prosić, żebyś nam pomógł, Królu Olbrzymie. Po pomoc przyszłam. Razem z Cy.

Markotny zamknął na chwilę jedyne oko, jakby szukając w drzemce ucieczki od zakłopotania. Znowu słychać było tylko jego chrapliwy oddech, chwilami przerywany gardłowym mamrotaniem. Jakby obok cyprysowego tronu przesuwały się widmowe obrazy bolesnej przeszłości i szaleńczych rojeń.

Król całą gębą, pomyślałem znowu. Wyglądał, jakby nie był nigdy niewolnikiem ani w tym życiu, ani nie mógłby nim zostać w przyszłym.

Oko otworzyło się, usta wykrzywił połowiczny uśmiech.

— Chcesz pomocy dla Blencharda, panienko… dla tych wszystkich białych? Chcesz, abym wziął swoje wojsko i ocalił tych, którzy mnie krzywdzili. Jeżeli ty mnie prosisz, muszę to zrobić!

To fakt. Te słowa naprawdę padły; wypowiedział je; gotów byłem krzyczeć i płakać z doznanej ulgi, ale tym razem nie ja, tylko Melly się rozpłakała.

— O tak, Królu Olbrzymie! — zabrzmiały jej słowa zroszone łzami. — Proszę cię. Potrzebujemy twojej pomocy. Proszę cię!

Cofnął się jakby z jękiem i chwycił rewolwer leżący na kolanach.

— Wyłupiasty! — Siła tego wrzasku omal nie zrzuciła nas ze schodków. — Zbierz ich, Wyłupiasty! Zbierz wojsko. Dawać moją lektykę! — Lester Wyłupiasty odwrócił się i ryknął na ludzi cisnących się w drzwiach, a ich odzew zabrzmiał gromko wśród nocy.

## 8

W świetle księżyca szliśmy gromadnie szeroką drogą, którą zdążały zwykle tylko wozy z cukrem, juczne zwierzęta i piesze oddziałki wojsk.

Król Olbrzym zbudował ponad Gliniastym Parowem most z pni drzewnych na filarach i niewątpliwie dalej były jeszcze inne mosty, spinające brzegi strumieni zasilających jezioro Mayaco od północy; a może tylko brody. Ale dla Króla Olbrzyma i jego kohorty nie było żadnej niepokonanej przeszkody, skoro się raz zdecydował przyjść z pomocą garstce ludzi, którzy schronili się w domu majora.

Lektyka Olbrzyma była tak samo byle jak sklecona jak jego wojsko. Fotel stanowił nieco mniejszą kopię tronu, na którym rozpierał się w pałacu. Gładkie, cyprysowe żerdzie podtrzymujące ów fotel były lśniące od potu i wypolerowane barkami ludzi, którzy je dźwigali. Biegło ich po czterech z każdej strony - potężne dryblasy o wielkich mięśniach, żeby nie załamali się pod olbrzymim ciężarem króla. Ośmiu zapasowych podążało z tyłu. Woły były zbyt powolne, a muły nie mogłyby galopować po takiej drodze, natomiast ludzie zdołali się wdrożyć do tej morderczej pracy.

Zastanawiałem się, z jakiej książki o kalifach i rycerzach Król Olbrzym zaczerpnął ten pomysł.

Tuż przed lektyką pędzili galopem ludzie z pochodniami. Obok nich biegły grupki innych niosąc zapas smolnych szczap, by móc je podpalić, gdy tamte wygasną.

Nie mogłem zliczyć, ilu było wojowników. Słyszeliśmy, jak Lester Wyłupiasty formował ich w oddziały jeszcze nim przeniesiono Olbrzyma przez most zwodzony na fosie. Lester z lubością strzelał z bicza, wywołując wszystkich po imieniu i sprawdzając, czy każdy ma dość amunicji, broni palnej i białej. (Mój kord w cudowny sposób zjawił się nagle z powrotem w pochwie. Byłem więc znów uzbrojony jak należy.)

Bub, Skooty, Ephraim, Caleb, Holochee, Bob, Shotto, Barnabas, Kotee - padały imiona, i jeszcze wiele innych, kiedy Wyłupiasty wzywał wojowników. Rozpoznałem pośród nich sporo imion seminolskich, które brzmiały jak przezwiska, na przykład Chmura albo Ropucha. Nie byli to z całą pewnością wodzowie, tylko zwykli ludzie, którzy pokłócili się ze swymi szczepami albo sąsiadami i znaleźli więcej szczęścia w szeregach wojsk Olbrzyma. Albo tak im się tylko zdawało.

Czarnych było całe mrowie. Niektórzy byli zapewne niewolnikami, inni zbiegłymi niewolnikami, wszyscy jednak wydawali się dostatecznie skorzy do bitki — poznać to było po okrzykach i wymachiwaniu muszkietami ponad głową. A Lester Wyłupiasty jeszcze wypalił w powietrze z obu pistoletów, żeby przynaglić ich do pośpiechu.

Melly Hendry nie wlokła się na obolałych nogach w tłumie wojowników, tylko jechała jako osoba uprzywilejowana na platformie pomiędzy zdrową a chorą nogą Króla Olbrzyma. Jej własne nogi zwisały w dole, a jasne oczy były wybałuszone prawie jak u Lestera, gdy odnajdywał je blask sosnowych pochodni. Ja zaś, z sercem napełnionym wdzięcznością, srożyłem się jak wojownik, gdyśmy przedzierali się przez nocny mrok.

— Zwiad! — wrzasnął król. — Zwiad idzie przodem, straż tylna z tyłu! Tak robi wojsko. Wiem dobrze — zarechotał. — Walczyłem kiedyś u boku białych żołnierzy.

Mamrotał jeszcze, być może tylko do Melly, o tym jak bezlitosny kapitan Ross powiesił go za kciuki na gałęzi i jak mój dziadek uwolnił go od tych tortur.

Ale nie czułem do niego urazy za to, że sama prośba dziadka i moja nie wystarczyła, aby wysłał nam swoje wojska na pomoc. Jeżeli skłoniła go do tego w jakiś tajemniczy sposób obecność Melviny, to i tak dobrze. Cel został osiągnięty. Włóczędzy Krzywonogiego Billa nie zdołają stawić czoła takiej hordzie.

Zwiadowcy szli daleko w przodzie. Słyszeliśmy ich krzyki i bicie w bębny; nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby jakiś zwiad posuwał się z takim hałasem. Mogli wpaść w zasadzkę i doznać ciężkich strat przy takich wrzaskach; ale reszta wojska mrowiąca się w tyle, rozbiłaby w puch każdego napastnika wśród spowitych mgłą zarośli.

Dziś jeszcze słyszę to w snach - wrzawę i zgiełk naszego pochodu - i widzę rozpalone twarze Creeków, Murzynów, mieszańców i Seminolów, pędzących ławą przez zagajniki. Jak jakiś zwariowany klejnot, osadzony w

samym środku tych pomykających kształtów, lśni bajecznym blaskiem postać Króla Olbrzyma - siedzi, opasły, w górze na fotelu, a wśród tragarzy raz po raz następują zmiany, aby dać ludziom odpocząć chwilę, odzyskać siły i równy oddech, nim znowu wezmą ciężar na swoje barki.

Smolne szczapy buchają wonnym ogniem, bębny huczą poprzez lata wspomnień, zwierzyna pierzcha w popłochu. A Melly cały czas jedzie z Olbrzymem, wiatr targa jej rozpuszczone włosy, światło księżyca pada na jej twarz.

Na północny zachód od jeziora Mayaco szlak Króla Olbrzyma przecina nasza droga. Pędziliśmy nią bydło o różnych porach roku do Manatee. Teraz kiedy rozwinęliśmy się w linię na południe. zdążaliśmy wolniej. Nie warto było proponować wojsku mojej tajemniczej ścieżki; była za wąska i zbyt zarośnięta, żeby móc nią przenieść fotel Króla Olbrzyma.

Trzeba było iść przez prerie starając się jak najmniej schodzić z wyniosłości na podmokłym gruncie. Czasami wojsko w zapale przedzierało się na przełaj przez trawy i czasem któryś z tragarzy pośliznął się i upadł — ale nigdy wszyscy jednocześnie, więc fotel się nie przewracał.

Olbrzym klął i rzucał groźby, gdy to się zdarzało, ale na koniec zwykle wybuchał śmiechem. Zapalczywość towarzysząca temu nagłemu wypadowi odurzała go chyba silniej niż hausty rumu, które wychylał raz po raz w drodze.

Dotarcie do Gliniastego Parowu musiało zająć Melly i mnie ponad dwie godziny. Przesłuchiwanie nas, nakłanianie króla, aby zechciał udzielić pomocy, i zebranie tej zbrojnej hałastry potrwało pewnie też ponad godzinę. Ale choć zdążaliśmy z Olbrzymem i jego wojskiem dużo dłuższą drogą, pewnie nie było jeszcze drugiej w nocy, gdy usłyszeliśmy odgłosy strzałów i okrążyliśmy ostatnie trzęsawisko graniczące od północy z farmą dziadka.

Tchórzliwi oblężnicy byli jak masło dla takiego noża jak armia Olbrzyma. Rozpierzchli się po bagnach prawie nie wydawszy okrzyku wojennego. Chciałbym zobaczyć taką bandę, która by zdołała stawić czoło czeredzie naszych wybawicieli. Ci, których nie dosięgła kula ani ostrze szabli, mogli z łatwością umrzeć ze strachu, kiedy zgraja Olbrzyma ruszyła na nich z radosnym wyciem.

Jeden Indianin padł od kuli, innemu, który podjął walkę wręcz, Wyłupiasty niemal odrąbał głowę. Z nastaniem dnia wszędzie wśród zarośli widać było krew, więc niewątpliwie wielu napastników odniosło rany. Nie dało się jednak dokładnie obliczyć strat wroga, gdyż Krzywonogi Bill czmychnął ze swoim szczepem ku innym farmom i osiedlom. Wolał prowadzić dzieło swej zemsty w łatwiejszym terenie, gdzie żaden Król Olbrzym go nie napastował, aż wreszcie wojsko stłumiło powstanie.

Armia Olbrzyma wpadła z hukiem między żarzące się pnie na nasze podwórko. Co pilniejsi z wojowników buszowali wśród zarośli w nadziei zdobycia skalpów, by móc się upomnieć o nagrodę, którą Król Olbrzym im obiecał.

Z domu wyszedł wolnym krokiem sztywny i bardzo zmęczony dziadek Blenchard z niewolnikami i sąsiadami, którzy się u nas schronili. Zostało im już tylko dziewięć ładunków amunicji.

— Olbrzymie — rzekł major — przyszedłeś w samą porę. Mam stado bydła w prerii i kilkaset świń pasących się w lasach, o ile Indianie ich wszystkich nie zżarli. Są odtąd twoje. Każ swoim ludziom je spędzić.

Ciotka Melviny znowu popadła w histerię przyciskając do piersi dziewczynę.

— Nie, nie! — Król Olbrzym uśmiechnął się, wysoki jak góra w świetle ognisk i księżyca, kiedy tragarze ustawili cyprysowy fotel na ziemi. — Ja nie zrobiłem tego dla pana, Blenchard. Tylko dla mojej panienki, ślicznej panienki. Ona prosiła, to przyszedłem.

I właśnie wtedy opowiedział ku wzruszeniu wszystkich swoją historię - i można było sprawdzić, że wszystko się zgadza. Mój dziadek wiedział o tym cały czas i byłby mi powiedział, gdyby nie wisiała nad nim groźba napaści Krzywonogiego Billa, kiedy przyjechała Melly.

Bo Johnson Spinner to był jej rodzony ojciec, a matka wyszła za mąż za człowieka, który się nazywał Hendry, a potem zmarła w dalekim mieście Saint Augustine. Więc Melly też się nazywała Hendry, choć nie z urodzenia.

Zawsze nosiła wysokie kołnierzyki.

— Stara pantera — rzekł Król Olbrzym — pokąsała mnie. Ale nie pokąsała mojej panienki. — A ciotka Melly, siostra jej ojczyma, powiedziała lejąc łzy obficie, że dziewczyna ta to istny obraz swojej zmarłej matki.

— Byłaś poraniona? — spytał Olbrzym. — Pokaż mi, panienko. Król Olbrzym zobaczy.

Wielka dłoń zaczęła gmerać przy jej kołnierzyku, z pośpiechu rwąc guziki. Melly stała kryjąc twarz w cieniu, gdy Olbrzym oglądał blizny w miejscu, gdzie kły zwierzęcia poorały ciałko dziecka schwyciwszy je za kark.

— Tylko dla niej — wrzasnął — tylko dla mojej panienki przyszedłem was ocalić, biali ludzie, i ocaliłem ją po raz drugi.

Przed upływem nocy wrócił do swego pałacu, a jego wojsko zabrało z sobą tyle samogonu, łyżek i innych drobiazgów, ile major zdołał wymóc na Olbrzymie, aby pozwolił im wziąć. Minęły trzy lata, zanim znów stanął na naszym podwórku. Przybył wówczas, aby zobaczyć, jak Melly i ja bierzemy ślub, a jego wojsko waliło w bębny i kotły głosząc jego przyjście.

Tłumaczenie Wacław Niepokólczycki

**Morgan Lewis**

## Nieopatrzna decyzja
(The Hasty Hanging)

Dzbanek z wodą bluzgał parą, której udało się wreszcie rozbudzić Chrisa Holdena z bolesnych rozmyślań. Odstawił go z ognia, zaparzył kawę i znów stał cichy, apatyczny koło pieca, wysoki, młody, minęło mu zaledwie dwadzieścia lat, z grzywą czarnych rozwichrzonych włosów. Jego szeroko rozstawione szare oczy; wędrowały po pokoju, zatrzymując się na wszystkich tak dobrze znanych mu przedmiotach: poobijany stary kredens, stół i krzesła zmajstrowane w ciągu długich zimowych dni, obrazki z tygodników, przyczepione pineskami do ścian, a w izbie obok ogołocona prycza, na której leżała zrolowana do podróży pościel.

Od czternastego roku życia był zdany tylko na siebie, a walka o to, by przetrwać i dojść do czegoś, wycisnęła swe piętno na brązowej, opalonej twarzy. Nauczył się być twardym i dobrze pracować, tak jak wielki Dunkle, właściciel dużego rancha D na równinach, lecz w oczach jego malowała się udręka. Niewesoły był ten jego ostatni posiłek na ranchu. Arktyczne mrozy i unicestwiająca wszystko pokrywa śnieżna do cna go zniszczyły tej zimy. Teraz, wiosną, bydło jego gniło tam, gdzie padło. I żadnej szansy na rozpoczęcie od nowa. Paniczny strach owładnął całą okolicą, ceny spadły poniżej kosztów własnych, a o pieniądze było równie trudno jak o wodę na pustyni.

Z zewnątrz rozległo się wołanie. Chris drgnął i wyszedł na ganek. W odległości pięciu stóp od domu siedział na gniadoszu Jim Dunkle - chłop solidnej budowy, z tępą twarzą, w zapiętym pod szyję surducie, chroniącym go przed chłodnym wiosennym wiatrem. Za nim, w oddali, opadały poszarpane wzgórza ku bujnemu równemu płaskowyżowi, którego był właścicielem. Dłonią w rękawiczce trzepnął się po udzie i krzyknął:

— Łap konia, Chris, i chodź! Mamy tych drani, co kradli bydło. Fuller i Krótki trzymają ich w Pawnee Flats — głos jego drżał z wściekłości.

Chris z przyzwyczajenia kiwnął głową i odwrócił się. Służył u Dunkle'a przez trzy lata, Dunkle pomógł mu wystartować i Chris czuł się wobec niego do pewnego stopnia zobowiązany. Zrobił dwa kroki, znów się odwrócił.

— Chyba nie pójdę, panie Dunkle — wielki ranchero lubił, by go tytułować. — Tu jestem skończony. Wyjeżdżam.

Gęste kępki rudawych włosów nad uszami oraz nawyk szerokiego rozwierania bursztynowych oczu nadawały Dunkle'owi wygląd sowy.

— Tak, zamiecie i mrozy ostatniej zimy dały nam się we znaki, ale nie wiedziałem, że cię aż tak przycisnęło. Nie chciałbym, żebyś stąd odszedł. Chcę mieć koło siebie jednego człowieka, na którym mogę polegać — w jego sposobie mówienia przebijała nutka feudalnego suzerena. — Może

coś wymyślimy, żebyś mógł zacząć od nowa. Ale, było nie było, wyprowadzaj konia i jazda. Pomówimy o tym później — był już trochę zniecierpliwiony.

Chris czuł podziw dla tego ranchera, któremu się tak powiodło. Jim Dunkle był człowiekiem przedsiębiorczym i silnym, podążał wprost do wytkniętego celu, miał nieugiętą wolę osiągnięcia tego, co chciał osiągnąć, obdarzony był więc zaletami, które zaprowadziły go na szczyty. A Chris chciał być na szczycie.

— W porządku, panie Dunkle. — Chris wrócił do domu po pas z rewolwerem.

Jim Dunkle nigdy nie cofał danego słowa. Jeśli obiecał komuś pomoc, można było na nim polegać.

Dunkle już ruszył, kiedy Chris do niego dołączył.

— To ci sami faceci, co zabili kilka dni temu Sama Helfingera w Sentinel — poinformował Chrisa.

— Przyznali się?

— Co znowu! Ale mają jego bydło, żadnego rachunku, a Sam nie żyje. To chyba wystarczy.

Na to wyglądało, Chris skinął głową.

— Ilu ich było?

Przez ułamek sekundy Dunkle się zawahał.

— Trzech — odwrócił się w siodle i spod ciężkich powiek rzucił okiem na Chrisa. — Lincz zawsze narobi smrodu, kiedy dokonają go ludzie tylko z jednej ekipy — głos jego był zupełnie spokojny. — Dlatego chcę cię tam mieć, żebyś zobaczył, że wszystko odbyło się po sprawiedliwości, uczciwie — w oczach zamigotały mu porozumiewawcze ogniki.

— Nie zawieziecie ich na sprawę do Sentinel? — Chris potarł policzek.

— A bo to warto! Spróbowaliśmy z dwoma w zeszłym roku, no i wymigali się. Miastowi ludzie nie myślą tak jak my, w nich to nie bije.

— Za zabicie Sama Helfingera zadyndaliby.

— Gdybyśmy mogli udowodnić. Ale nikt ich przy tym nie widział — Dunkle potrząsnął wielką głową. — Jak sami się tym zajmiemy, będzie wiadomo, że sprawa załatwiona.

Zjechali z zalesionego stoku wzgórza do Pawnee Flats. Pośrodku polany, wśród sosen, stał barak. Gdy podjechali, ze schodków podniósł się Ed Fuller, chudy mężczyzna o czarnych włosach i oczach.

— Nie miałeś kłopotów? — Dunkle zeskoczył z konia, przerzucając wodze, by go przywiązać.

— Gdzie tam. Nie wyleźli z chaty. — Fuller niedbale skinął Chrisowi — przyjechałeś na ubaw?

— Tak to nazywasz? — Chris zmarszczył brwi.

Fuller mruknął coś pod nosem, wyłowił z kieszeni koszuli tytoń i bibułkę; człowiek, który się nigdy nie uśmiechnął, nigdy nie okazywał żadnych uczuć.

Gdy Chris zsiadł z konia, na polanie pojawił się Krótki, taszcząc wiadro wody. Dunkle kiwnął palcem i Krótki postawił wiadro przed nim - mały krzywonogi kowboj z piegowatą czerwoną twarzą, która nie wiedziała, co to brzytwa. Wyszczerzył do Chrisa zęby w uśmiechu. Dunkle nabrał wody

czerpakiem, pociągnął dobry haust i wrzucił czerpak z powrotem do wiadra.

— Nie ma to jak woda, kiedy człowiek jest spragniony — otarł wargi rękawem.

— Do niektórej roboty lepsza jest whisky — Krótki spojrzał na chatę i szybko odwrócił wzrok.

— Wystarczy ci trochę piachu — krótko uciął Dunkle.

Na otoczonej młodymi sosenkami polanie powietrze było nieruchome, najmniejszy wietrzyk nie osłabiał żaru prostopadłych promieni słonecznych. Chris przywiązał konia trochę dalej, w cieniu, i wrócił na polanę.

— Gdzie jest bydło? — zapytał.

— Tam, w kotlinie — Ed Fuller utkwił w nim swe czarne oczy. — Musisz wszystko widzieć?

— A niby dlaczego nie? — odburknął ostro Chris.

— Zaprowadź go, Krótki — wmieszał się Dunkle. — Chcę, żeby widział.

Zeszli z niewielkiej pochyłości i Krótki wskazał ku górze.

— Pełno tu wszędzie konarów — głos miał zmieniony, jasne było, że myśl o zbliżającej się egzekucji nie dawała małemu kowbojowi spokoju.

Bydło stłoczono w kotlinie, przez którą wartkim nurtem przepływał potok. Były to przeważnie krowy, z wypalonymi znakami różnego pochodzenia. Ponadto każda sztuka miała świeżo wypaloną poziomą literę S. Pośród stada znajdowało się coś około dziesięciu sztuk bydła z rancha D; jedyne zwierzęta bez litery S.

— Zdaje się, że to poziome S to znak wypalany w drodze. To chyba część jakiegoś pędzonego stada, oprócz sztuk Dunkle'a — odezwał się Chris, kiedy wracali.

— Ale głupcy — Krótki pokiwał głową — mogli się z tego wymigać, gdyby nie zagarnęli jego bydła. Tamte znaki to nie z tych stron.

Gdy wrócili na polanę, Dunkle obrócił się do nich i zapytał:

— Zadowolony?

Chris skinął głową.

— Wygląda na pędzone stado. Co miał z tym wspólnego Sam Helfinger?

— Facet, który pędził stado, był prawie spłukany, jak dotarł do Sentinel. Sam odkupił od niego kilka sztuk za psie pieniądze. A ci tam — Dunkle wskazał kciukiem na chatę — zabili go i zabrali jego bydło.

— Skąd pan to wie?

— Byłem wczoraj w Sentinel. Przyprowadź ich tu — zwrócił się do Eda Fullera.

Fuller kopniakiem otworzył drzwi.

— Wyłazić!

Kolejno ukazali się w drzwiach wysoki wymizerowany starzec o siwych włosach, za nim o wiele młodszy mężczyzna, z którego chudej twarzy można było wyczytać głód i zmęczenie. Płowe włosy spadały mu na oczy i luźno zwisały na kołnierzu niebieskiej koszuli. A potem… - to był wstrząs dla Chrisa - trzecia była dziewczyna.

Gdy wyszła na światło słoneczne i stanęła obok mężczyzn, spostrzegł, że wzrostem prawie dorównywała młodszemu. I jaka młoda… nie więcej niż osiemnaście lat, ocenił. Włosy koloru ciemnego złota, jaki ma miód dzikich pszczół, przewiązane wstążką, falami opadały na plecy. Oczy miała zadziwiająco błękitne, lecz pełne obłędnego przerażenia.

Teraz jednak zaiskrzyły się, gdy spojrzała na Dunkle'a.

— Nie macie prawa nas trzymać! Nie zrobiliśmy nic złego — głos jej był wzburzony, pełen pasji. Młodszy mężczyzna położył jej rękę na ramieniu i szepnął:

— Spokojnie, Lissa.

Chris odciągnął Dunkle'a na bok.

— Nie powiedział mi pan, że w to jest zamieszana dziewczyna. Czy nie lepiej odstawić ich do Sentinel?

— Właśnie dlatego nie chcę — odpowiedział Dunkle ostro. — Kobieta zawsze umie zbujać przysięgłych — poklepał Chrisa po ramieniu. — Nie proszę cię o radę. Jesteś tu, żeby zaświadczyć, że wszystko odbyło się po sprawiedliwości i uczciwie.

Zawrócił, by porozmawiać z tamtą trójką, a Chris, wzruszywszy ramionami, poszedł za nim. Ona była prawdopodobnie żoną młodszego i Dunkle miał rację, że przysięgli dwa razy się zastanowią, zanim wydadzą wyrok skazujący. Tak czy inaczej, to była sprawa Dunkle'a.

Wielki ranchero ustawił się przed nimi:

— Damy wam jeszcze możliwość wytłumaczenia się. Co wy za jedni?

— Ja jestem Randolph Fickett, a to — młodszy mężczyzna wskazał na starca i dziewczynę — mój wuj, Jake Fickett, i moja siostra Melissa.

— Dobra, Fickett — Dunkle kiwnął głową. — Złapaliśmy was z bydlem o pięciu czy sześciu różnych znakach. Co możesz na to powiedzieć?

— Powiedziałem już pana nadzorcy. To jest bydło ze stada pędzonego na targ. Właściciel był spłukany do grosza. My szukamy miejsca na letni wypas. Mówiono mi, że tutaj, w Sowich Wzgórzach, coś można znaleźć.

Dunkle zmarszczył ostry zakrzywiony nos.

— A co z tą dziesiątką moich sztuk między tamtymi?

Ficket szeroko rozłożył ręce.

— To jest pana rancho i pana pastwisko. Bydło musiało się jakoś przyplątać nocą.

— Taak… i wyplątałoby się… z wami! — warknął Dunkle. — Ale powiedzmy… Gdzie jest rachunek?

Randolph Fickett trochę się zmieszał. Skierował niespokojny wzrok na starca, który bezmyślnie wpatrywał się w sosny.

— Nie wiem. Wuj Jake wziął rachunek, ale nie może sobie przypomnieć, co z nim zrobił.

Teraz Chris nie miał już wątpliwości, że ten człowiek kłamie. Stara śpiewka złodziei złapanych z kradzionymi rzeczami: zgubili pokwitowanie, rachunek ulotnił się w tajemniczy sposób.

Dunkle spojrzał na starego, na jego pozbawioną wyrazu twarz.

— Co z nim jest? Pomylony?

— Nie — Lissa wysunęła się do przodu. — Tylko że… — zniżyła głos — koń go kopnął. Pan spojrzy na jego czoło. Jak się zdenerwuje, to jego umysł staje się… no tak… tak jakby zaćmiony. On nie wie…

— I wyobrażasz sobie, że ja uwierzę w taką bajeczkę — przerwał jej Dunkle. — Kto by pozwolił idiocie robić interesy?

Na twarz dziewczyny wystąpił rumieniec.

— Wtedy jak dostał pokwitowanie, był zdrów.

— Tak? Kto je podpisał? — Oczy Dunkle'a zrobiły się okrągłe.

Dziewczyna zawahała się.

— Jak on się nazywał? — zwróciła się do brata.

— Ja… — przerwał, zmarszczył czoło — jakoś nie pamiętam…

— Czy przypadkowo nie nazywał się Sam Helfinger?

Randolph Fickett spojrzał pytająco na siostrę.

— Zdaje się, że tak. To chyba on nam je dał. Ale wuj Jake wziął…

— Zanim go zastrzeliłeś czy potem? — Głos Dunkle'a stał się słodki jak miód.

Wlepili w niego osłupiały wzrok, potem sens jego słów dotarł do dziewczyny, cofnęła się o krok, drżące ręce przycisnęła do gardła, jej niebieskie oczy stały się nagle jakby za duże w pobladłej twarzy.

— Czy… czy on nie żyje?

Nieufność Chrisa na chwilę została zachwiana. Może ona nie wiedziała, co jej brat zrobił. Potem jednak odsunął od siebie tę myśl, byli sobie nazbyt bliscy.

Randolph Fickett drżącą ręką odgarnął włosy, oblizał wargi.

— Kiedy został zastrzelony? — zapytał.

— Tej samej nocy, kiedy ukradliście jego bydło — rzucił Dunkle ponuro.

— Nie ukradliśmy! Mówię panu, że nie zrobiliśmy tego — głos Ficketta stał się piskliwy, załamywał się w pełnej gniewu rozpaczy. — Kupiliśmy bydło. Jemu nic nie było, jakeśmy się z nim rozstawali!

— Nie potrafisz nawet trzymać się swoich własnych słów — na twarzy Dunkle'a malowała się wyraźna pogarda. — Najpierw mówiłeś, że to było bydło pędzone na targ, a teraz przyznajesz, że masz je od Helfingera. — Obrócił się na pięcie do Eda Fullera. — Nie ma sensu dalej się bawić. Przynieś powróz!

Twarz dziewczyny zbladła, oczy pociemniały.

— Poczekajcie, nie możecie tego zrobić. To bydło jest częścią stada pędzonego na targ, ale pan Hel… Helfinger kupił je i odsprzedał nam. Zarobił chyba na tym trochę. — Odwróciła się do brata, złapała go za ramię — nie możesz sobie przypomnieć, gdzie wuj Jake wsadził papier?

Patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem.

— Nie wiem. Helfinger dał mu ten papier, potem rozmawiał ze mną, oglądaliśmy bydło. Nie widziałem, co wuj Jake z tym zrobi!. Ale wiem, że wuj dostał ten papier — skierował wzrok na Dunkle'a — widziałem, jak wziął go do ręki.

— Przeszukałeś jego kieszenie? — Dunkle mówił z cierpliwością człowieka, który już powziął postanowienie.

— Tak, ale spróbuję jeszcze raz — Fickett podszedł do starego, złapał go za ramiona, potrząsnął. — Gdzie masz papier, wuju, coś z nim zrobił?

W szarych oczach starego człowieka zamigotało coś nieuchwytnego. Podniósł ręce do kapelusza, nacisnął go mocniej na głowę i teraz Chris zauważył na opalonym czole, tuż nad brwiami, białą bliznę w kształcie półksiężyca, której różki sięgały granicy włosów.

— Nie może sobie przypomnieć — Fickett bezradnie potrząsnął głową i szybko zaczął przeszukiwać kieszenie, wyrzucając ich zawartość, wywracając wszystkie podszewką na wierzch, tak że w końcu stary wyglądał jak strach na wróble z białymi łatami. Wetknął palce za pasek spodni, oderwał podszewkę surduta, macał od środka.

— Spróbuj — w butach — podsunął Dunkle głosem mającym wyrazić jego dobrą wolę.

— Nie pomyślałem o tym.

Fickett posadził starego i nerwowymi ruchami ściągnął mu buty. Podniósł je do góry, potrząsnął, wpakował rękę do samego końca. Zdjął mu skarpetki, wywrócił na drugą stronę, podczas gdy wuj Jake utkwił wzrok w gołych stopach. Potem Fickett rzucił skarpetki na ziemię i potrząsnął głową.

— Może było u niego w kieszeni i wypadło, kiedy wyciągał tytoń. Mógł nie zauważyć — w głosie jego brzmiała rozpacz.

— Na pewno ci go nie dał? — Dunkle mówił bardzo poważnie, ale Chris odniósł wrażenie, że po prostu kpi sobie z Ficketta.

Nie było żadnego papieru, nigdy, to pewne.

— Nie, na pewno nie — pomimo to Fickett zaczął przetrząsać własne kieszenie. Ukląkł i ułożył wszystkie swoje rzeczy w mały stosik: scyzoryk, kolorową chustę, trochę drobnej monety, różne szpargały, jakie każdy mężczyzna nosi w kieszeni.

— Nie ma sensu, nie mamy go — spojrzał w górę na Dunkle'a.

— A jak z butami?

Fickett wlepił w niego wzrok, twarz mu poczerwieniała, zacisnął usta.

— Ach, to tak, zrobił pan sobie zabawę — zgarnął rzeczy i wstał.

Chris przetarł twarz. Dziwne, była wilgotna. Co innego powiesić człowieka, a co innego przeciągać to w nieskończoność. A do tego obecność dziewczyny utrudniała sprawę.

Dunkle zwrócił się do Fullera, który stał obok z powrozem owiniętym dokoła ramienia.

— Zaczniemy od starego — powiedział.

Fuller szarpnął wuja Jake'a i postawił go na nogi. Lissa wydała jakiś dziwny przytłumiony okrzyk, rzuciła się na starą wymizerowaną postać.

— Nie, nie możecie! On nic nie zrobił! On… — głos jej załamał się w szlochu.

Fickett podszedł do Dunkle'a.

— Postawcie nas przynajmniej przed sądem przysięgłych — mówił ochryple, jakby po wielkim krzyku, z twarzy lał mu się pot. — Dajcie nam szansę. Jeżeli nas zabijecie, co zrobi moja siostra? Dokąd pójdzie? Gdybyście chcieli dać nam jakąś szansę…

Dunkle po raz pierwszy okazał gniew. Spojrzał ostro na młodego człowieka.

— Nie ma nic na całym bożym świecie, czego bym nienawidził bardziej niż mordercy, człowieka, który zabija swego bliźniego bez powodu. Sama Helfingera znaleziono z dwiema kulami w plecach. Damy wam taką samą szansę jak wy jemu! — Trzepnął się po udzie zwiniętymi rękawiczkami. — Widziałem ja już takich jak wy, co to węszą po całej okolicy, kradną wszystko, co im w ręce wpadnie. Cholerne dranie!

Odtrącił go na bok, rzucił się na dziewczynę, złapał ją za ramiona i oderwał od starego.

— Zabieraj go, Ed!

Dziewczyna krzyczała, wiła się w jego ramionach, Fickett dopadł go z rozpaczliwym krzykiem. Dunkle zdzielił go pięścią w twarz, powalił na ziemię.

— Krótki! — wrzasnął ochryple — trzymaj go pod rewolwerem, jak się ruszy, strzelaj.

Fickett podniósł się niepewnie, na twarzy, w miejscu gdzie ugodziła ją pięść, wystąpiła czerwona plama. Krótki wyciągnął rewolwer i stanął za nim. Dunkle puścił dziewczynę, podszedł do Fullera, który wsadzał wuja Jake'a na nie osiodłanego konia.

Lissa ujęła twarz brata w obie dłonie, trzymała ją tak przez chwilę. Potem podeszła do Chrisa.

— Proszę… — jej głos drżał, zamknęła oczy, z twarzą o cal od jego twarzy, spod powiek spływały duże błyszczące łzy — proszę, czy pan nie może… czy pan nic nie zrobi, żeby do tego nie dopuścić? Nie ma pan litości? — głos jej się załamał, splotła ręce.

Ten głos szarpał mu nerwy, krew uderzyła mu do głowy, poczuł, że zalewa go fala gorąca. Rzucił okiem na Dunkle'a i spotkał jego drwiące spojrzenie. Znów popatrzył na dziewczynę, twarz mu stężała.

— Tyle samo litości, co oni mieli dla Sama Helfingera — powiedział twardo.

— Ależ oni tego nie zrobili! — miała teraz oczy szeroko rozwarte, płonął w nich ogień — nie zrobili tego! Nie może mi pan uwierzyć?

To, że grała na jego uczuciach, rozzłościło go.

— Nic się nie da zrobić — powiedział szorstko — lepiej wejdź do domu, to nie jest widok dla ciebie.

— Nie wejdę! — podniosła głos, ochrypły, dyszący, jakby siłą wydarty z krtani — będę patrzyła! Zapamiętam! I postaram się, żeby Dunkle został powieszony.

Wydawało się, że go spali swymi niebieskimi oczyma. Obróciła się i wyprostowana podeszła do brata. Ale nagle ramiona jej zadrżały, padła mu na pierś z gwałtownym szlochem przechodzącym w jęk. Randolph Fickett rzucił nad jej głową wściekłe spojrzenie na Chrisa.

Chris odwrócił się i przeszedł na drugą stronę polany, gdzie znajdowali się Fuller i Dunkle. Większą część życia spędził w surowych warunkach, widział, jak wieszano ludzi, nieraz był świadkiem gwałtownej śmierci. Zahartował się i nauczył torować sobie drogę w świecie pełnym goryczy. Droga Dunkle'a prowadziła do sukcesu… Poczuł, że dłonie mu wilgotnieją,

przez chwilę ogarnęły go wątpliwości. Ale pewność, jaką wyczytał we wzroku Dunkle'a, przywróciła mu zaufanie.

Wuj Jake siedział na koniu z pętlą u szyi. Bose stopy sztywno sterczały z obu stron z palcami uniesionymi do góry na sposób Indiański. Fuller podprowadził konia pod drzewo, przerzucił powróz przez rozłożysty konar, umocował wolny koniec. Stary patrzył tępo przed siebie, nie wzruszony tymi przygotowaniami.

W rozgrzanym powietrzu zalanej światłem polany słychać było tylko suchy szloch Lissy. Działał on Chrisowi na nerwy, napełnił go gorącym, nieodpartym pragnieniem, żeby mieć już to wszystko za sobą. Zerknął do tyłu i zobaczył, że twarz jej wciąż jeszcze ukryta była na piersi Ficketta. Za nimi stał Krótki z wyciągniętym rewolwerem, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w starego człowieka pod drzewem. Wciąż zwilżał językiem zeschnięte wargi.

Serce zabiło Chrisowi przyspieszonym tętnem, kiedy Fuller ściął witkę i zaczął ją dokładnie strugać, robiąc sobie bat.

Dunkle przez chwilę się temu przyglądał, przez policzek przebiegło mu nerwowe drganie, wreszcie z okrzykiem zniecierpliwienia „Odsuń się!" wyrwał Fullerowi witkę, świsnął nią nad głową, tak że przez mgnienie oka zawisła wysoko w powietrzu, zacisnął wargi i z rozmachem smagnął konia po zadzie.

Przestraszone zwierzę skoczyło do przodu, powróz pociągnął starca do tyłu, nogi jego podjechały do góry, gdy zsuwał się z konia, i opadł pionowo w dół. Jeszcze jedno szarpnięcie i powróz wyprężył się jak napięta struna. Stary konwulsyjnie raz i drugi kopnął nogami w powietrze, ręce, jakby chciały coś uchwycić, wzniosły się i opadły; cichy, pomału obracał się wokół własnej osi, cień jego rozciągał się długi i czarny.

Chris wypuścił z płuc powietrze, zabrzmiało to jak westchnienie, otępiały uświadomił sobie, że szlochanie ustało. Zrobił pół obrotu.

Lissa klęczała, podbródek oparła na zaciśniętych pięściach, bezdźwięcznie poruszała wargami. Za nią stał Fickett, sztywny, wytrzeszczał niebieskie oczy, jakby jakaś wewnętrzna siła wypychała je z orbit. Krótki znikł bez śladu, lecz po chwili zza domu usłyszano, że wymiotuje.

Chris ciężkim krokiem poszedł za koniem, który zatrzymał się za linią drzew. Słońce straciło już swój blask i kiedy Chris spojrzał w niebo, spostrzegł, że rozpoczęło swój nocny marsz za Wzgórza Sowie. Tutaj pod ich strzelistymi szczytami dzień był krótki, a chłodne tchnienie nadciągającej nocy wywoływało w nim wrażenie, że oto po raz ostatni w życiu oglądał pełną jasność dnia. Nie mogli już zawrócić, tak jak nie można było zatrzymać czarnego cienia zstępującego ze szczytów.

Przyprowadził konia. Fuller odciął sznur, ciało starego osunęło się na ziemię. Dunkle schylił się i zdjął pętlę.

— Dobra jest, skończmy już z tym — głos jego był pełen wigoru.

Kapelusz wuja Jake'a potoczył się kilka kroków dalej. Biała głowa starca leżała na zeschłych sosnowych igłach. Pozostawienie go tam z gołymi palcami stóp, sztywno sterczącymi ku niebu, wydawało się czymś nieprzyzwoitym. Chris podniósł kapelusz, automatycznie zanurzył w nim

rękę, bezmyślnie prostując denko. Kapelusz zachował jeszcze ciepło głowy starca, a potnik był wilgotny.

Popatrzył na dziewczynę i jej brata, stojących przed chatą, z której chwiejnym krokiem wyszedł Krótki. Na jego chorobliwie białej twarzy piegi wyglądały jak ciemne plamy. Stanął za rodzeństwem. Dziwne, że Fickett nie uciekł, kiedy nie był strzeżony, pomyślał Chris, ale potem już wiedział. Lissa trzymała go tutaj skuteczniej niż uzbrojony strażnik, o nią bał się najbardziej.

Szczęki Chrisa były zaciśnięte, palce mocno ściskały kapelusz. Nagle zmartwiał. Wlepił wzrok w denko, w papier, którego tam przedtem nie było. Musiał wyśliznąć się spod potnika. Chris wolno wyciągnął rękę, przeszyła go świadomość tragedii.

Upuścił kapelusz i rozwinął papier. Wiedział już, co w nim znajdzie. Podniósł oczy na Dunkle'a.

Dunkle patrzył z nagłym zainteresowaniem. Podszedł i zaczął czytać Chrisowi przez ramią.

Chris trzymał papier rozwinięty całą minutę. Dunkle ciężko oddychał. Papier stał się w rękach Chrisa nieznośnie ciężki, tak ciężki, że sparaliżował mu ramiona.

— Popełniliśmy okropną pomyłkę — powiedział z trudem. Oczy jego powędrowały na skraj polany, dojrzały konia stojącego pod drzewem, starca leżącego tak spokojnie w promieniach słońca i Fullera ze zwiniętym powrozem w ręce, Fullera, który ich obserwował, jakby się tego spodziewał i jakby go taki obrót sprawy bawił. A Krótki, wyczuwając jakąś biedę, podszedł swym kołyszącym się krokiem do Fullera.

— Popełniliśmy okropną omyłkę — powtórzył Chris patrząc na Dunkle'a, z którego twarzy znikła poprzednia pewność siebie.

Dunkle obrócił swą potężną postać w stronę Lissy i Ficketta, potem znów popatrzył na ciało wuja Jake'a, wreszcie spojrzał na Chrisa. Wszystko to robił pomalutku, z namysłem. Słowa jego, kiedy zaczął mówić, cechowała rozwaga człowieka, który wszystko dobrze obliczył i znalazł rozwiązanie.

— Możeśmy się pomylili, a może i nie. Helfinger nie żyje. Idę o zakład, że to oni zrobili, nie ma dowodu, że nie oni. I mają dziesięć sztuk mojego bydła.

Chris poczuł zamęt w głowie.

— Może pan ma rację, panie Dunkle — powiedział niepewnie — ale mógł go przecież ktoś zabić, żeby obrabować. Musimy poczekać, zobaczymy. A jeżeli pan nie ma racji, to my wszyscy... my wszyscy będziemy musieli wypić piwo, cośmy go nawarzyli.

— Poczekaj! — Dunkle trochę przybladł. — Czy wiesz, co będzie, jak ich puścimy? Pojadą wprost do szeryfa!

— No chyba, że pojadą do szeryfa. A pan by tego nie zrobił?

Na czoło Dunkle'a wystąpiły drobne kropelki potu. Przybliżył twarz do twarzy Chrisa.

— Gdybyś nie znalazł tego papieru, powiesilibyśmy drugiego faceta i sprawa byłaby załatwiona — zrobił okrągłe oczy. — A co stoi na przeszkodzie, żebyś do tego papieru przytknął zapałką?

To był wstrząs dla Chrisa, jakby zimne ostrze wbiło mu się w brzuch.

— I co potem? — zapytał.

— Zrobimy dalej tak, jakbyśmy nie znaleźli żadnego papieru — w oczach Dunkle'a malowała się zajadłość. — Dziewczyna nie ma dowodu, nie będzie z nią kłopotu. Wyprawimy ją stąd.

Chris poczuł w żołądku zimno, które rozchodziło się paraliżując mięśnie, zamieniając go w sopel lodu. Zwilżył językiem wargi.

— Czy pan wie, co pan mówi, panie Dunkle? Dopiero przed chwilą zapewniał pan, jak bardzo nienawidzi pan morderców.

Grubą twarz ranchera pokrył rumieniec. Wyjął z kieszeni chustkę, wytarł czoło.

— Chris — rzekł uroczyście — to, co powiem, to tak samo dla twojego dobra, jak dla mojego. Ten rachunek nie dowodzi, że oni nie zabili Sama. Musimy teraz myśleć o sobie. Pozostaw tylko wszystko mnie, a zobaczysz, jak pięknie z tego wyleziemy — położył rękę na ramieniu Chrisa. — Obiecałem ci pomóc i zrobię to. A co byś powiedział, gdybym ci dał tyle bydła, żebyś mógł zacząć od początku? A jakby ci się podobał ten kawałek żyznej ziemi obok twojej?

Chris spotykał już ludzi, którzy gotowi byli umrzeć, aby dać się przekupić za mniej, niż jemu proponowano. A może Dunkle jednak ma rację? Chłopak wsunął rękę do kieszeni, ścisnął papier w garści. Oto jego rancho, którego zawsze tak bardzo pragnął, kilka sztuk pięknego bydła. Dunkle stał się wielki i potężny, bo szedł prosto do celu, który pragnął zdobyć, nie zawracając sobie głowy i nie troszcząc się o nic i nikogo. To był wzór godny naśladowania. Chris nie będzie musiał opuścić swego rancha i powrócić do ciężkiej harówki przy wypasaniu bydła innych ludzi.

Wzrok jego zatrzymał się na ciele wuja Jake'a leżącym pod drzewem. Coś nieuchwytnego poruszyło się w zapadającym mroku i ścisnęło Chrisa za gardło. Tak, mógł dostać piękne rancho, lecz zawsze będzie przesłaniał je cień dwóch powieszonych ludzi. A wspomnienie dziewczyny stanie się torturą, która spali jego duszę, aż będzie martwa jak dusza Dunkle'a.

Spojrzał na niego i nagle objawiła mu się cała jego bezwzględność, bezgraniczny egoizm, gotowość poświęcenia dla własnych celów każdego, kto by mu stanął w drodze. Inaczej go teraz oceniał i wiedział, że nie potrafi stać się człowiekiem takim jak on.

— Tak bardzo mi znów na tym nie zależy, panie Dunkle — powiedział wolno.

Cała dotychczasowa życzliwość ulotniła się z twarzy Dunkle'a, pojawił się na niej wyraz surowego napięcia. Cofnął się o krok, badając, szacując, i Chris dostrzegł w oczach jego strach, rosnący, wszechogarniający, i widział, jak pod jego uderzeniem człowiek ten się załamuje. W tym momencie ciszy Chris stał się świadkiem zamierania tego, co było w Dunkle'u jeszcze czyste i dobre. Potem Dunkle szybko rzucił okiem na Fullera i krok za krokiem zaczął się cofać.

Chris widział, jak ciemna twarz Fullera nagle się ożywiła, obok stał Krótki, zzieleniały, z rewolwerem w ręce… Niebezpieczeństwo zaostrzyło czujność Chrisa, przywróciło mu zimną krew.

— Chris — powiedział Dunkle ochryple. Zatrzymał się, oczy jego rozszerzyły się ze złości. — Nie pozwolę, żebyś ich wypuścił. Daj mi ten papier! — Wciągnął policzki, uniesione wargi ukazały zęby jak u rozszalałego ogiera.

To spojrzenie uświadomiło Chrisowi, czego się mógł spodziewać. Nic nie było w stanie zmienić Dunkle'a, nic go zatrzymać. Koniec mógł być tylko jeden. Twarz chłopaka stężała.

— Nie ustąpię — powiedział. Mięśnie miał napięte jak struny. Czekał.

Przez moment zaświtała mu nadzieja, że Dunkle się cofnie. Ale to była tylko chwila, bo w następnej ręka ranchera sięgnęła do biodra. Chris wyciągnął rewolwer i strzelił.

Kula trafiła Dunkle'a w pierś. Zakołysał się w przód i do tyłu, na koszuli wystąpiła czerwona plama, oczy zmętniały, rewolwer wysunął się z dłoni. Runął na twarz. Fuller zamarł w chwili, kiedy wyciągał rewolwer, między żebrami poczuł lufę. Krótki powiedział głosem, przypominającym skrzeczenie:

— Dosyć było zabijania, Ed, schowaj broń.

W powietrzu wisiał swąd spalonego prochu.

— Dziękuję, Krótki. Wciąż jeszcze chcesz użyć broni, Ed? — zapytał Chris.

Ręka Fullera opadła, popatrzył na Dunkle'a i potrząsnął głową:

— Pracuję za pieniądze. Kto by mi zapłacił, jakbym cię zastrzelił? — Jeszcze długą chwilę przyglądał się trupowi, potem wzruszył ramionami, podszedł do swego konia i wspiął się na siodło. Zebrał wodze w ręku, spojrzał na Krótkiego.

— Wynoszę się stąd, a jak masz dobrze w głowie, to też to zrobisz.

— Im prędzej, tym lepiej — skwapliwie przytaknął Krótki — jadę z tobą. — Popędził do swojego konia, wskoczył na siodło, skinął ręką Chrisowi i znikł za Fullerem wśród sosen.

Kiedy ucichł stłumiony tętent kopyt, Chrisa ogarnęła zupełna pustka, poczuł się zagubiony. Musiał zabić człowieka, na którego życiu się wzorował, a wraz z nim zabił wszystkie swe dawne wartości. Był wstrząśnięty, pozbawiony steru.

W wypełniającym polanę mroku spokojna twarz starego Jake'a milcząco go oskarżała. Z przerażającą jasnością uświadomił sobie, jak daleko posunął się na drodze Dunkle’a.

Drgnął nagle, ktoś chwycił go za ramię.

— Przez cały czas patrzyłem. Znalazłeś… — błękitne oczy Ficketta iskrzyły się. Odrzucił z czoła jasną grzywę włosów.

— W potniku kapelusza — Chris podał mu pokwitowanie.

Zbliżyła się Lissa. Fickett spojrzał na nią. Pochylili się nad papierem. Twarz mu się skurczyła; za późno to przyszło dla wuja Jake'a.

— Dunkle chciał powiesić Randy'ego nawet jak się dowiedział? — Chris wyczuł w głosie Lissy zgrozę. Widział teraz, że była uczciwa, pełna ludzkiej życzliwości i poczuł odrazę do siebie. Gdyby nie był zaślepiony możliwością własnych korzyści, wiedziałby, że ci ludzie nie mogli byli zastrzelić Sama Helfingera.

Nie czekając na odpowiedź, Lissa odwróciła się i wolno podeszła do wuja Jake'a. Uklękła, w milczeniu wpatrywała się w spokojną twarz. Zamknęła jego szare oczy, długo gładziła siwe włosy, potem wstała, znalazła skarpetki i naciągnęła je na bose stopy starca.

Poczucie winy wzrastało w Chrisie, stało się dręczącą męką. Przykucnął z drugiej strony ciała.

— Żałuję… — urwał, ochrypły głos uwiązł mu w gardle. Cokolwiek by powiedział, nic nie mogło zmienić tego, co się stało. Czyn został dokonany, to była bezlitosna i gorzka prawda.

— Wiem… — Melissa podniosła głowę, jej niebieskie oczy były wilgotne, głos pełen zadumy. — Wiem, co pan czuje. To jest surowy, dziki kraj, prawo niewiele ma tu do powiedzenia. Ludzie muszą czasem radzić sobie na własną rękę. Ale gdyby nie pan, Randy by nie żył. — Twarz jej złagodniała. — Proszę sobie nie robić wyrzutów, mamy panu tyle do zawdzięczenia.

Chris spodziewał się nienawiści, a znalazł przebaczenie. Wzruszyło go to, poczuł się jeszcze gorzej. Ogarnęło go przemożne pragnienie zaopiekowania się nią.

— Słuchajcie — powiedział zmienionym głosem — nie musicie iść dalej i szukać pastwisk dla waszego bydła. Tam, za tym grzbietem, jest mój dom. Możecie popędzić tam bydło. — Mówił teraz szybko, nie zastanawiając się, jedno słowo goniło drugie.

Zdumiona szeroko rozwarła oczy, spojrzała na niego serdecznie, położyła mu rękę na ramieniu.

— Jest pan szlachetny, ale nie możemy z tego skorzystać, będzie ciasno, nie chcemy zabierać miejsca.

— Nic nam nie jesteś winien — odezwał się Fickett. — Wszystko wyrównałeś, kiedy zabiłeś Dunkle'a.

Dziewczyna i Chris wstali, opuściła rękę, lecz czuł jeszcze ciepło i niepokojący ucisk w ramieniu.

Spojrzał na ciało Dunkle'a w szklistym półmroku.

— Muszę go zabrać do Sentinel i zgłosić szeryfowi.

— Pójdziemy z tobą — stanowczo oświadczył Fickett. — Przypilnujemy, żebyś nie miał kłopotów. Musiałeś strzelać w obronie własnej, ale nie zaszkodzi, jak świadkowie będą pod ręką.

— Oczywiście, że poświadczymy — szybko dorzuciła Melissa. — I nie pan jest winien śmierci wuja Jake'a, a Dunkle. Przecież jak się pan przekonał, że to omyłka, zaryzykował pan życie, żeby uratować Randy'ego. Żaden sąd przysięgłych pana nie skaże.

Chris wpatrywał się w ciemność lasu. Nawet w smutku mieli wielkie serce. Pomogą mu z czysto ludzkiego miłosierdzia, dlatego, że byli uczciwi. Poczuł się upokorzony, ich szlachetność onieśmielała go.

— Mówiłem poważnie, że możecie korzystać z moich pastwisk — zwrócił się do Ficketta. — Nie zabierzecie mi miejsca. Ostatnia zima wykończyła moje bydło. I tak chciałem się stąd wynieść.

Fickett potrząsnął głową, na twarzy jego malowało się zrozumienie człowieka, któremu życie nie poskąpiło trosk i kłopotów. Zwrócił się do siostry i przez chwilę spoglądali na siebie porozumiewawczo.

— Jesteśmy w trudnej sytuacji — odezwał się w końcu — nie mamy ludzi do pracy, nie mamy pastwisk, nie mamy domu. — Zawahał się. — Jeżeli straciłeś bydło, możemy ubić interes. Dla nas to będzie pomoc, a ty nie będziesz musiał opuścić rancha. To może być dobre dla nas wszystkich.

Na widok malującej się na twarzy dziewczyny nadziei Chrisa ogarnęło wzruszenie. Nigdy nie znał ludzi takich jak oni. Postępowali według innego, na pewno lepszego wzoru niż ten, który naśladował dotychczas. Poczuł się bogaty, poczuł się czysty. Dokonane zło zrodziło coś dobrego. Mogli przecież byli spotkać się i minąć, nieświadomi swych wzajemnych trosk i kłopotów. Wyciągnął rękę do Randy'ego:

— Jestem pewny, że wszystko będzie dobrze. Jestem pewny, że się uda.

Tłumaczenie Emilia Niemirska

**Lewis B. Patten**

## Prom Dobbsa
(Dobbs Ferry)

Oblewając się potem pod prażącymi promieniami słońca Nowego Meksyku, Jonathan Dobbs dumnie przyglądał się swemu nowemu promowi. Oderwał wreszcie od niego wzrok i rzucił okiem na drugi brzeg leniwie toczącej swe muliste wody rzeki Kiowa, do którego zbliżał się zaprzężony w woły furgon. Nawet z tej odległości Jonathan widział, że brezent jest połatany, że rozklekotany wóz ledwie się posuwa, a zwierzęta są na wpół zagłodzone. Nie wróżyło to nic dobrego. Jeszcze jeden kurs, za który nie dostanie, złamanego szeląga.

Chyba że odmówi przewozu, póki nie zapłacą. Jego żona, Charity, od dawna suszyła mu o to głowę. Nie, żachnął się. Człowiek, który zorganizował przewóz promem tutaj, na szlaku do Kalifornii, ma chyba jakieś obowiązki wobec wszystkich podróżnych, nie tylko wobec tych, co mają pieniądze na opłatę. Ponadto odmowa przewozu byłaby równoznaczna z wyborem bliźnich stosownie do ich zdolności płatniczych, a Jonathan wiedział, że posiadanie dóbr doczesnych nie zawsze idzie w parze z charakterem człowieka. Ileż to razy cierpliwie tłumaczył żonie: „Chcę wierzyć w ludzi. Czasem ci, co nie są w stanie zapłacić, najbardziej zasługują na to, żeby ich przewieźć przez rzekę".

W odległości stu jardów od przeprawy Jonathan mógł dojrzeć furgon Ute Weimara i jego dwóch kompanów. Trochę go trapiło, że nie przeprawiają się i nie jadą dalej. Ukradkiem śledzili każdy ruch Jonathana i to go niepokoiło. Tak jakby obliczali, ile Dobbs zdoła przez dzień zebrać pieniędzy. Między drzewami prześwitywał kapelusz jednego z nich, chyba olbrzymiego Kurta, zbyt wysokiego, by całkowicie ukryć się w krzewach, i zbyt głupiego, żeby to zrozumieć.

Dobbs był wysokim, chudym mężczyzną, lat około trzydziestu. Jego surowa twarz o ostrych, rzeźbionych rysach przypominała podróżnym pastora z Nowej Anglii. Wszedł na pokład promu, wziął w rękę długą żerdź i piętnaście minut później dobił do drugiego brzegu. Furgon czekał już na niego. Na koźle siedziała nędznie ubrana kobieta, obok niej mizerny piętnastoletni chłopak o jasnych włosach, piegowaty, może tylko trochę za chudy, może oczy jego były za stare. W cieniu furgonu leżał drugi, młodszy, który odruchowo wbijał nóż w ziemię, wyciągał go i znów wbijał.

Pikuty - Dobbsowi mignęło wspomnienie z lat chłopięcych. Spojrzał w kierunku furgonu Ute Weimara i ukrytego Kurta. Kobieta zeszła z wozu, wyraz jej twarzy, trwożny i niepewny, zdawał się potwierdzać obawy Dobbsa.

— Wjeżdżaj pani na prom — powiedział — w piętnaście minut was przewiozę. O tej porze roku nie przejedziecie, chyba o pięćdziesiąt mil dalej na północ.

Dobroduszny wyraz oczu i zrozumienie malujące się w spojrzeniu łagodziły surowy wyraz twarzy.

Kobieta podeszła bliżej, a kiedy stanęła w odległości dziesięciu stóp od niego, powiedziała głosem bezdźwięcznym jak pęknięta struna:

— Nie możemy zapłacić, panie. Parę miesięcy temu straciłam męża. Ale może chłopcy… może będą mogli odpracować.

Jonathan z przykrością patrzył na jej uczciwą, pełną błagalnej prośby twarz. Nie lubił, gdy ktoś musiał poniżać się prośbą o litość.

— Niech pani wjeżdża, jeden bezpłatny przejazd nie zrujnuje człowieka — powiedział, tym razem energiczniej.

Przez chwilę oczy jej wyrażały wdzięczność, ale potem ześliznęły się, unikała jego wzroku. To zmroziło Jonathana. Potrząsnął głową, gdy furgon, trzeszcząc, wjechał na pokład. Szybkie spojrzenie w kierunku obozowiska Ute Weimara upewniło go, że nie jest już obserwowany. Pomału skierował prom ku przeciwnemu brzegowi.

Iluż widział już na tym szlaku wędrowców, którzy wszystko stracili. Rozpoczynali podróż pełni nadziei na nowe życie w nowym kraju, dla wielu jednak droga była za długa i za ciężka. Kości ich zwierząt bielały obok gościńca wiodącego na zachód. Tu i ówdzie skromny drewniany krzyż znaczył samotną mogiłę. Przypomniał sobie słowa Charity: „Oddałbyś im większą przysługę, gdybyś odmawiał przeprawienia ich, Jonathan. Wróciliby może do domu i pozostali przy życiu”.

Jednakowoż, pomimo tych bezpłatnych przejazdów, prom dawał niezły dochód. Na tyle dobry, by skusić takich jak Ute Weimar. Powinien jednak nosić przy sobie broń. Jakżeż często Charity mu to powtarzała. Być może miała rację. Na tym pustkowiu nie istniało prawo, jeśli człowiek sam nie brał go w swoje ręce.

— Jestem Beulah Neely, panie — zaczęła rozmowę kobieta. — Starszy chłopiec ma na imię Jess, młodszy Mark. Umieją pracować. Co pan im da do roboty?

— Ech, pani — roześmiał się Jonathan — nie ma tu nic takiego do zrobienia. Poza tym przed wami jedzie inny furgon. Jak się pośpieszycie, dognacie go pod wieczór. Nie będziecie podróżować sami.

Zbliżali się do zachodniego brzegu. Firanki w oknach domu były odsłonięte i Jonathanowi mignęła ostra twarz żony. Nieczułość Charity i jej brak wyrozumiałości martwiły go. Przecież z natury taka nie jest - myślał. - Tylko tkwi w niej jakaś nieufność, uprzedzenie do ludzi, i dlatego zawsze taka kwaśna. Uśmiechnął się smętnie: Ute Weimar śledzi mnie z jednego brzegu, Charity z drugiego. Żebym nawet chciał, nie mógłbym zrobić nic złego.

Rodzina Neely udała się w dalszą drogę. Pomachał im ręką, zażenowany podziękowaniami, jakby trochę wymuszonymi, nie tak szczerymi, jak można by oczekiwać. Ich przyjazne słowa wzruszyły go jednak. Nigdy się zresztą nie zdarzyło, aby ktoś, odjeżdżając stąd na Zachód, nie pożegnał się przyjaźnie z Jonathanem. Taki już był z niego

człowiek. Szlachetne serce jak magnes przyciągało wszystkich, mężczyzn i kobiety, starych i młodych. Niekiedy mówił do Charity: „Dobroć jest jak moneta; kto ją ma, musi ją dzielić z innymi”.

Przez chwilę przyglądał się, jak wóz, skrzypiąc i kołysząc się, mozolnie posuwał się na zachód, wreszcie zebrał się w sobie i wszedł do chaty. Wiedział, co go tam czeka: niewyparzony język Charity, wieczne strofowanie i wymówki. I tym razem nie zawiodła jego oczekiwań. Zaledwie przestąpił próg, warknęła:

— Przewiozłeś ich za darmo. Zawsze poznam po tobie, czy dostałeś pieniądze, czy nie. Kiedy się wreszcie nauczysz…

Jej tyradę przerwało wołanie zza rzeki, a gdy Jonathan zbierał się do wyjścia na dwór, jeszcze szczeknęła na pożegnanie:

— Ale tym razem żeby ci zapłacili, słyszysz? Cierpliwości już brak patrzeć, jak wozisz ich bez pieniędzy, a nam tyle rzeczy potrzeba do domu. — Słowem się nie odezwał, więc wrzasnęła: — Słyszysz, co mówię, Jonathan? Żebyś mi od tych wziął pieniądze!

— Dobrze, dobrze. Od tych wezmę pieniądze, nie bój się! — Zaczęła go już krew zalewać, coraz większa złość w nim wzbierała.

Zszedł na brzeg. Z drugiej strony czekał furgon Ute Weimara. Wkrótce już Jonathan dowie się, co mają w zanadrzu. Trochę się denerwował. Wzięła go chętka, by wrócić po broń, ale się opanował. Ostatecznie będzie chyba mógł spełnić dane Charity przyrzeczenie nie uciekając się do przemocy.

Skierował prom na drugą stronę, ogarniając wzrokiem bezkresną przestrzeń falującej trawy, przetkanej drzewami cedru, kępami bylicy, z wierzbami i topolami wzdłuż brzegu rzeki. Poczuł się mały, znikomy w tej nie kończącej się przestrzeni. Słońce, niby wielka kula stopionego złota, nisko zwisało nad zachodnim horyzontem.

Na brzegu stał Ute Weimar z osobnikiem zwanym Bokserem. Olbrzym Kurt siedział na koźle. Gdy Jonathan ujrzał ich po raz pierwszy przed czterema dniami, dziwne mu się wydało, że jadą wozem. Ludzie ich pokroju zwykli podróżować konno. Trochę go to zastanawiało, aż wreszcie uznał, że to głupota myśleć o tym.

Ute miał twarz jastrzębia, ostry, haczykowaty nos i małe świdrujące oczka. Skóra na twarzy przypominała starą zeschniętą uprząż, była szara ze starości i kurzu, popękana i pomarszczona od wiatru.

Bokser, szczupły młody człowiek, uzbrojony był tylko w nóż o szerokim ostrzu, który nosił w pochwie przywieszonej z tyłu do pasa. Jeśli chodzi o Kurta, to potężne, mięśnie tego olbrzyma wskazywały na niezwykłą siłę. Lecz twarz jego była dziwnie pozbawiona wyrazu, oczy puste, wzrok tępy. Jemu przypadała w udziale najcięższa praca w obozie, słuchał rozkazów Utego i Boksera bez słowa, o nic nie pytając.

Prom dobił do brzegu. Kurt zaciął konie, furgon wtoczył się na pokład. Za nim weszli Ute i Bokser.

— Duży ruch, co? — Ute wyszczerzył zęby. — Kupę forsy zbierasz co dzień. Obserwowaliśmy cię.

Niepokój znów ogarnął Jonathana, tak jakby czytał w myślach tych ludzi, jakby czuł, że chcą go skrzywdzić. Żałował teraz, że wyśmiewał rady

Charity i nie nosił ze sobą broni. Opanował się jednak. Człowiek sam sobie trosk: przysparza - pomyślał. - Nie ma się czego bać.

— Taaak — skinął głową. — Już więcej jak miesiąc tu jestem i nie mogę się skarżyć. Przywiozłem prom aż z St. Louis. Prawie sześć miesięcy straciłem na zmontowanie, go, żeby był zdatny do pływania.

Ute i Bokser przeszli za furgonem na drugą stronę pokładu. Poprzez plusk wody uderzającej o burtę Jonathan słyszał ich szepty, ale zrozumiał tylko jedno zdanie skierowane do olbrzyma na koźle: „Kurt, ty pilnuj zaprzęgu".

Równomiernie, silnie odpychał prom żerdzią. Wciąż sobie powtarzał, że przeprawia się jak setki razy przedtem i gdy tylko dobiją do brzegu, Ute Weimar i jego kompania pojadą dalej. Ale bez przerwy brzmiał mu w uszach stroskany głos Charity: „Nie podoba mi się ta banda, Jonathan. To hołota, nic dobrego. Bierz broń, miej ją przy sobie. Zobaczą, że nie jesteś bezbronny, to może sobie pójdą".

Mówiła to dwa dni temu, kiedy pojechała z nim konno do przeprawy, żeby chwilę odetchnąć świeżym powietrzem „od duchoty w chałupie". Dostrzegła wtedy na wpół ukrytego w krzewach Kurta i spytała: „Dlaczego nas śledzą przez cały czas?" Ta stała obserwacja niepokoiła również Jonathana, teraz jednak miał nadzieję, że to się skończy, że Ute i jego przyjaciele tej nocy odjadą na zachód i będzie po zmartwieniu.

Prom dobił. Kurt popędził konie. Zatrzymał furgon i Jonathan powiedział:

— Trzy dolary, po dolarze od każdego z was.

Kiedy przywiązywał prom, podeszli do niego Ute i Bokser.

— Mógłbyś nam pożyczyć szczyptę soli?

Jonathan skinął głową i zaprowadził ich do chaty. Otworzył drzwi. Przenikliwy krzyk Charity ostrzegł go, że coś za nim jest nie w porządku. Ute Weimar trzymał w ręku rewolwer, a wyciągnięty nóż Boksera połyskiwał w ostatnich promieniach słońca.

— Nie ruszaj się. Postanowiliśmy właśnie przejąć prom — zawarczał Ute. Odepchnął Jonathana, wszedł do chaty i brutalnie rzucił Charity w kąt izby. Zatoczyła się, omal nie upadła.

Jonathan, zaślepiony wściekłością, zapomniał, że są uzbrojeni. Rąbnął Utego i jednym uderzeniem kościstej pięści zwalił go na ziemię. Rewolwer przejechał po czysto wymiecionym klepisku. W tym samym momencie rozległ się krzyk Charity:

— Nóż, Jonathan, uważaj, nóż!

Jednym skokiem Jonathan obrócił się, wyginając się w łuk. Bokser rzucił się na niego, minął w rozpędzie, potknął się i upadł. Nóż po rękojeść wbił się w ziemię.

Wściekły kopniak Jonathana trafił Boksera w szczękę. Rozległ się chrzęst łamanych kości, trysnęła krew. Bokser znieruchomiał. Ute zerwał się na nogi, chwycił rewolwer, wycelował. Jego ostra twarz była zimna, zacięta. Jonathan jak zahipnotyzowany patrzył na wylot lufy, na zaciskający się na spuście palec.

Nagle coś mignęło między nim a Utem, coś jasnego. Charity w swej pasiastej spódnicy. Jonathan skoczył do przodu, wpadł na nią i przewrócił.

Rozległ się huk wystrzału, ale leżeli na ziemi. Jonathan osłaniał żonę własnym ciałem i czekał… czekał na następny strzał.

Nie usłyszał go. Do iżby wszedł, schylając się w drzwiach, Kurt. Ute, klnąc po cichu, schował rewolwer do futerału.

— Cholera, wygląda jak pastor, ale, na Boga, walić umie — mruczał pod nosem. Wydawało się, że nie ma żalu do Jonathana za otrzymany cios i za złamaną szczękę Boksera.

Ten jednak nie był tak wielkoduszny. Podniósł się z twarzą wykrzywioną bólem, szczęka zwisała mu bezwładnie. Wyciągnął nóż z klepiska, wytarł ostrze o spodnie. Patrzył na Jonathana jak zgłodniały kuguar na źrebię.

— Przygotuj jakieś żarcie — zwrócił się Ute do Charity.

Czekała ich śmierć. Innej możliwości nie było. Ute nie mógł ich puścić. Musiał ich zabić, jeśli chciał przejąć prom. A to przecież zapowiedział.

Jonathan pomógł Charity stanąć na nogi. Ute kazał mu wyciągnąć ręce i związał je sznurem, pozostawiając jednak między dłońmi luz. Jonathan sądził, że zrobił to, by nie rozwiązywać mu rąk do jedzenia. Ute popchnął go na łóżko. Jonathan usiadł na brzegu, podczas gdy Charity szykowała kolację. Bokser ulokował się przed nim na krześle z wyciągniętym nożem.

Z nerwowo drżących rąk Charity wysunął się garnek duszonego mięsa. Ute sklął ją od ostatnich. Jonathan chętnie zamknąłby mu gębę pięścią, ale tylko patrzył spode łba, wiedząc, że przy najmniejszym ruchu Bokser rozpruje mu brzuch jak wór z ziarnem, a wtedy Charity zostanie zupełnie sama.

Zanim Charity postawiła jedzenie na stole, na dworze zapadł zmrok. Ute i Kurt usiedli obok siebie na ławie, Bokser pozostał na swoim miejscu, tylko od czasu do czasu rzucał łakomym okiem na jedzenie, oblizując wargi. Twarz poszarzała mu z bólu. Jonathan nie odczuwał głodu. Myślał o ich beznadziejnej sytuacji. Znikąd nie mogli spodziewać się pomocy. Nocą nikt się nie zjawi, by przeprawić się przez rzekę, a do rana…

— Wiem, co chcecie z nami zrobić — głos Jonathana był teraz pełen błagalnej prośby. — Ze mną róbcie, co chcecie, na wszystko się zgodzę. Ale przez miłosierdzie boskie, jej nie krzywdźcie. Puśćcie ją.

Bokser zachichotał, ale szczęka go zabolała, przestał się śmiać.

Jonathan starał się nad sobą zapanować. Wiedział, że przyjdzie mu umrzeć, ale byłoby mu lżej na duszy, gdyby umierał próbując się bronić, walczyć, działać. Gdybyż mógł coś chwycić… Lecz nic nie znalazł w zasięgu ręki.

Dziwne to było! Po wszystkim, co mówił o przyzwoitości ludzkiej, o tym, że drobne przysługi świadczone ludziom zawsze się opłacają, stanąć w obliczu takiej śmierci… Wydawało mu się teraz, że lepiej rozumie Charity i jej filozofię: każdy za siebie, Bóg za nas wszystkich. Nie będziesz sam dbał o siebie, nikt ci nie pomoże. Widocznie jej sposób myślenia nie był tak zupełnie pozbawiony logiki. I pomyślał sobie, że może Charity spotykała w życiu właśnie takich ludzi. On widział innych. Dlatego ona jego, a on jej nie mógł zrozumieć.

— Ute — odezwał się Bokser ostrożnie, jakby miał kartofel w gębie — na co, do cholery, jeszcze czekamy? Wyciągaj spluwę…

— Nie ruszajcie Jonathana, wy!… wrzasnęła Charity.

Krzyk jej zagłuszył coś, co wydało się Jonathanowi lekkim szmerem za otwartymi drzwiami. Obudziła się w nim nadzieja, ale szmer się nie powtórzył. Widocznie mu się przywidziało. Po chwili jednak usłyszał słabiutki głuchy stuk wewnątrz chaty i tym razem Jonathan na pewno się nie mylił. Ute z wilczym apetytem pożerał kolację przygotowaną przez Charity dla Jonathana, głośno pochrząkując. Jonathan wlepił w niego zdziwiony wzrok. Nagle coś śmignęło w powietrzu, błysnęło mu przed oczami, Ute wydał ryk bólu, podniósł się i runął do tyłu przez ławę.

Jonathan nie wierzył własnym oczom. Z pleców Utego sterczały dwie rękojeści scyzoryków. Ute wił się na ziemi, charcząc i ciężko łapiąc powietrze. Kurt wciąż siedział przy stole i nic nie rozumiejącymi oczyma tępo wpatrywał się w tarzającego się po ziemi człowieka.

Pikuty - przypomniał sobie Jonathan. Nagle podkurczył nogi, rzucił się na łóżku do tyłu, sam zdumiony swoim szybkim refleksem.

— Och, Boże, dostałem w brzuch! — ryczał.

Bokser rzucił na niego mordercze spojrzenie. Był pewny, że to Jonathan w jakiś sposób tak urządził Utego. Zerwał się i z nożem w ręku szedł w stronę łóżka. Gdy był już blisko, Jonathan rozprostował nogi i z całych sił kopnął go w pierś. Nóż frunął w powietrze. Jonathan złapał go, ale za ostrze.

Przecięło mu dłoń do kości, podrzucił nóż i tym razem chwycił za trzonek. Cisnął nim w Kurta, który nieporadnie celował z rewolweru. Padł strzał. Kula trafiła Boksera w tył głowy, właśnie w momencie gdy wstawał przed Jonathanem.

Nóż uderzył Kurta w twarz. Nie ranił go wprawdzie, lecz zmusił do podniesienia obu rąk, by sią osłonić. Jonathan przeskoczył przez ciało Boksera, wyciągnął krwawiącą ręką i wyrwał rewolwer z dłoni Kurta.

— Cofnij się, cofnij, bo będę strzelał! — krzyczał.

Ale Kurt, w swej bezdennej głupocie, widząc, że obaj jego panowie nie żyją, pomału zbliżał się z wyszczerzonymi zębami, niczym ogromny niedźwiedź, który nie zatrzyma się, póki nie rozszarpie człowieka w kawałki. Napierał coraz bardziej, wyciągając wielkie łapska. Jonathan wciąż się cofał, aż plecami uderzył o ścianę. Wtedy strzelił, raz i drugi, robiąc w ostatniej chwili unik, by uchylić się przed łapami olbrzyma. Kurt osunął się na ziemię.

Wszystko to odbywało się przy akompaniamencie nie ustającego krzyku Charity. Jonathan żywił nadzieję, że nie wmiesza się ona do walki, że będzie trzymała się na uboczu. Gdy był w stanie na nią spojrzeć, zobaczył, że ma w ręku strzelbę i to wysuwa ją do przodu, to cofa. Oczy jej pełne były przerażenia, chciała strzelać, lecz bała się, że trafi Jonathana.

— Odłóż to, Charity — powiedział. — Już po wszystkim.

Kurt leżał cichy na ziemi. Na dworze było szaro, ponuro i pusto.

— Dobra jest, chłopcy, możecie wejść! — krzyknął Jonathan.

W progu stanął Jess Neely, za nim Mark. Obaj byli bladzi, trzęśli się ze strachu.

— Czy dobrze zrobiliśmy? — wyjąkał Jess.

— Nie można było lepiej. Muszę przyznać, że nikt by lepiej nie zrobił.

— Co…? — zaczęła zdumiona Charity.

— Pikuty — przerwał jej Jonathan. — To taka gra w noże, w którą bawią się chłopcy. Podrzucają nóż, żeby wbił się w ziemię. Tylko że tej nocy chłopcy zamiast w ziemię, wbili noże w plecy Utego.

Charity przecięła sznur na przegubach dłoni Jonathana i opatrzyła mu rękę. Potem, z pomocą chłopców, wyciągnęła trupy bandytów i ułożyła w szeregu, gotowych do pochowania.

— Po co, do wszystkich diabłów, wróciliście tutaj? — zapytała.

Jess wsunął brudną rękę głęboko do kieszeni obdartych spodni i wyciągnął zaciśnięte w garści trzy srebrne dolary.

— Mama… no tak… — zawahał się — mama powiedziała nie całkiem prawdę, że nie możemy płacić. Pewno chciała powiedzieć, że nie możemy zapłacić dużo. Wolała, żebyśmy odpracowali, a te pieniądze, żeby zatrzymać na gorszą biedę.

Jonathan poczuł, że ogarnia go fala ciepła, że powraca utracone zaufanie do ludzi.

— Ale jak to się stało, żeście wrócili? — zapytał.

— Ano, mamie było coraz bardziej wstyd, że panu nie zapłaciła. W końcu nie wytrzymała i kazała nam wrócić i dać panu pieniądze. Podkradaliśmy się chyłkiem… — chłopak zarumienił się, jakby trochę zażenowany, ale dziarsko zakończył — Bawiliśmy się w Indian. A potem zobaczyliśmy, że coś złego się dzieje, zaczęliśmy nasłuchiwać. To wszystko. Niedługo trwało i zmiarkowaliśmy, o co chodzi. No i próbowaliśmy pomóc.

Jonathan uśmiechnął się złośliwie do Charity i wyciągnął rękę, na której chłopiec położył trzy dolary.

— Nie, Jonathan, nie — jęknęła Charity.

— Jak to! Powinni byli zapłacić, sama tak mówiłaś — Jonathan jeszcze szerzej się uśmiechnął.

Charity spojrzała na niego, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu.

— Ale my wam, chłopaki, też jesteśmy co nieco winni — Jonathan poskrobał się po głowie, usiłując nadać swej twarzy wyraz poważny i uroczysty. — Ostatecznie wychodzi na to, że uratowaliście nam życie. Już wiem — znów się podrapał w głowę. — Furgon i konie Utego. Ci faceci już ich nie potrzebują. Zabierajcie, chłopaki, furgon i jazda za mamą.

Patrzyli na oddalający się w ciemności wóz. Jonathan objął żonę ramieniem, twarz jej była łagodna jak nigdy dotąd. Kobieta lubi, jak się o nią walczy — pomyślał. — Dobrze jej to zrobiło. Wie teraz, że znajdą się ludzie gotowi jej pomóc.

— Psiakrew! Przecież kazałaś mi wziąć od Utego i tamtych

dwóch pieniądze za przewóz. A teraz wypuściłem furgon bez opłaty!…

— Nie krzycz już na mnie — powiedziała Charity nieśmiało, jakby zawstydzona. — Ci chłopcy pokazali mi, jak źle postępowałam.

Jonathan prowadził ją do chaty. Był wzruszony. Mocniej ją do siebie przygarnął i nagle Charity zachichotała, tuląc się do niego jak mała dziewczynka.

Tłumaczenie Emilia Niemirska

**Eugene Manlove Rhodes**

## Naiwne serce
(The Fool's Heart)

Charley Ellis nie wiedział, gdzie się znajduje, nie wiedział dokąd jedzie. Nie mógł się nawet pocieszyć nadzieją na przyjęcie choćby w piekle. Cały jego majątek stanowiło ubranie, które miał na sobie, sześciostrzałowy rewolwer, koń, na którym siedział, siodło, uzda i ostrogi. Był bez grosza, od przyjaciół dzieliła go odległość pięciuset mil. Toteż gwizdał sobie i śpiewał beztrosko, kapelusz wesoło zsunął na bakier, radosnym okiem spoglądał na świat, świat wprawdzie w tej chwili osamotniony, lecz przecież wesoły, kryjący w sobie wiele uciech.

Miał dwadzieścia pięć lat, wzrostu był więcej niż średniego, raczej wysoki, opalony, z policzkami pokrytymi lekkim meszkiem. Dodajmy do tego grzywę koloru konopi i zadarty nos, nadający mu wyraz wesołego zawadiaki, a będziemy mieli pełny „zestaw".

Jechał tak od samego rana, nie spiesząc się, przez ponure wzgórza, na północ, wciąż na północ. Na prawo wznosiło się strome, nie kończące Się pasmo wapienne o grzbiecie ostrym jak nóż, posępne i nagie. Na zachodzie widniał rozległy czarny masyw San Mateo. Przez cały długi dzień jeździec nie dostrzegł ani jednego domu, żadnej drogi, nie spotkał żywej duszy.

Jedno go trochę niepokoiło. Jego wielki deresz był już zmęczony, stracił swą dotychczasową przyjemną krągłość, a do tego zgubił dzisiaj podkowę i chód jego stał się niepewny.

Charley ucieszył się więc, gdy dotarłszy do szczytu wzgórza ujrzał w oddali wykutą przez kogoś w twardej skalistej grani głęboką przełęcz, za nią zaś, na płaskowyżu, czworobok niskich zabudowań rancha. Dzieliła go od nich ciemna ukryta rozpadlina - Ellis widział tylko jej górną krawędź, lecz stromy spadek ścian wskazywał na głębię.

Pod nogami jego rozwierał się rozległy basen, który po zachodniej stronie rozpadał się, tworząc między zboczami ciemniejącymi granatem lasów ukryte we mgle odnogi. Głębokość niecki pozwalała przypuszczać, że tędy musiały spływać wody tych niezliczonych dolin.

Było już późno. Dolinę ogarniały cienie nocy. Tylko samotne rancho majaczyło wysoko i tajemniczo w blasku zachodzącego słońca. Dreszcz przeszedł Ellisa, krew zaczęła mu w żyłach szybciej krążyć, gdy zjeżdżając ze stromego zbocza obserwował, jak rancho wznosi się coraz wyżej i wyżej. Jeszcze krok i znikło mu całkowicie z oczu.

Prowadził teraz konia, by na kamienistej perci nie obciążać jego nie podkutej nogi. Doszedł do drogi w dolinie, która zaprowadziła go do

wąskiego potoku - hałaśliwego, płynącego wartkim nurtem, okrytego białą grzywą piany.

Napili się i w bryzgach wody przeprawili na drugą stronę.

Przy drodze stał jałowiec z tablicą wskazującą niezgrabnie wymalowanymi literami kierunek:

RANCHO O, PIĘĆ MIL

a pod spodem ołówkiem dopisane ostrzeżenie:

Nie próbować przejścia kanionem. Jest ogrodzone.
Tak czy owak niedostępne. Trzymać się drogi.

— Wiesz co, Szatanie, stary wariacie — powiedział Charley — zostawię cię tutaj i pójdę na piechotę. Zmęczony jesteś, a tu masz dobrą trawę. Jeszcze trochę, a twoja noga całkiem zmarnieje od tych kamieni. Gwizdnę gdzieś podkowę i rano cię podkuję.

Zawiesił siodło wysoko na jałowcu, jako że pędzone na wypas bydło woli dobre sześćdziesięciodolarowe siodło od innej strawy. Namioty i pościel są pożywne, ale suche. Rozwieszona na sznurze bielizna - to już jest coś dla delikatnego podniebienia. A buty! Co za wyszukany kąsek! Doskonała jest też uprząż, wiadomo, można na niej polegać, uprząż jest nieoceniona, chociaż pełno na niej sprzączek i klamerek. Ale jeśli chodzi o ogólne zalety, odżywczość, treściwość, pikantność - nie ma to jak siodło! Wodze i derki przypominają wprawdzie smakowitość siodła, lecz szanujące, się bydło często gęsto je woli od nich.

Charley spętał konia, ruszył żwawo, kołysząc się na swych wysokich obcasach. Droga wiła się serpentyną, zanikała w gęstniejącym mroku, upajał się więc słowami nieśmiertelnej ballady o Samie Bassie.

Sam Bass ze stanu był Indiana,
Aż stamtąd tu przyjechał wprost
Do stanu Teksas kiedyś z rana
I spotkał go zły los.

Dobrą Sam zawsze pił gorzałę
I groszem szastał hejże-ho!
Serce miał szczerozłote całe
Jak mało, mało kto.

Rancho O stoi na wysuszonym skalistym płaskowyżu o urwistych stokach, w odległości dwóch mil od bieżącej wody. Budynki z niepalonej cegły tworzą prostokąt, pośrodku którego znajduje się potężna cysterna, dostatecznie wielka, by pomieścić wodę deszczową spływającą ze wszystkich dachów. Miejsce to służyło niegdyś jako schronienie przed Indianami. Na odległość strzału nie ujrzysz tu ni wzgórza, ni wzniesienia. Przed domem stoi samotny cedr, innych drzew nie ma. I tylko dla tego

jedynego drzewa właśnie tutaj, a nie gdzie indziej, zbudowano rancho. Przejdziesz milę i znajdziesz się na krawędzi kanionu Nogales - wąskiego, głębokiego i posępnego. Na głębokości tysiąca stóp ciemne wody, które nigdy nie widzą słońca, przegryzają się do dalekiej rzeki. Zabudowania rancha i korrale mieszczą się w rogu ogrodzonego pastwiska o obszarze trzech mil kwadratowych. Południową granicę tworzą urwiska kanionu.

Masyw wznosi się tarasami na zachód. Na tym sięgającym nieba piedestale pławi się w słońcu szczyt San Mateo - śpiący lew. Ale ten cud natury i jego piękno nie doczekały się jeszcze należytego uznania. San Mateo leży w Ameryce!

W oślepiającym blasku popołudnia zjawili się w Rancho O dwaj ludzie. Jeden wysoki, barczysty o prostackiej twarzy, z haczykowatym nosem. Drugi, niższy i młodszy, miał małe niespokojne oczka, szare i rozbiegane, gęste brwi, nos ostry i cienki, wąskie wargi.

Na udzie wyższego kołysał się ciężki rewolwer. Niższy uzbrojony był w winchester. Obaj mieli pod kolanem strzelby.

Byli zmęczeni, umierali z pragnienia. Konie szły wolno, potykając się; pokrywała je zeschnięta skorupa potu przemieszanego | błotem i pianą, tak gruba, że nawet ich maści nie dało się rozpoznać.

Dom stał cichy, pusty, drzwi nie były zamknięte na klucz, na stole leżał grubą warstwą kurz.

— Nada się! — zakrakał niższy — mamy szczęście.

Podeszli do cysterny. Pili łapczywie, lecz z umiarem. Spłukali z twarzy, szyi i włosów piekący kurz.

— No, może źle? — zawołał niski.

— Uch! Jeszcze nie było tak najgorzej. Poczekaj, aż cię kiedyś wysuszy, że wargi ci popękają do żywego mięsa, a język kołkiem stanie.

— To nie dla mnie. Musimy się stąd wydostać. Szukam miejsca, gdzie jest najwięcej deszczu. I tam zostanę.

— Jak nam się uda stąd odjechać. A co, jeżeli na pastwisku nie znajdziemy świeżych koni? Ani jednego nie widać.

— Reed zawsze miał konie na pastwisku. Są na dole, w kanionie, gdzie słońce nie wysuszyło trawy. Och, na pewno się wydostaniemy. Muszą iść naszymi śladami, Laxon, a takżeśmy je pogmatwali, że nocą ich nie wytropią. Sam archanioł Gabriel by nie zmiarkował, w którą stronę żeśmy poszli.

— A w przypadki nie wierzysz? Albo… w co innego. Nie ma co gadać, nie zasłużyliśmy, żeby uciec — powiedział Laxon.

Wprowadził konia, zdjął mu uzdę i napompował wiadro wody. Biedne zwierzę piło łapczywie, a w jego oczach malowała się prośba o jeszcze.

— Nie teraz, Bill. Drugie wiadro za dziesięć minut — odpowiedział Laxon na ciche rżenie konia. Rozsiodłał go i ciężko westchnął na widok odparzonego grzbietu. — Poczekaj, niech napoję twojego kompana, to poleję ci rany wodą.

Odwrócił głowę. Młody mężczyzna z posępną miną opierał się o ścianę. Nie ruszał się. Twarz Laxona stężała. Twarz brzydka, brutalna, której brzydotę potęgowały zezowate oczy. Teraz była to twarz diabła.

— Ty przeklęty łajdaku, bierz swego konia! Wczoraj, kiedy zabiłeś biednego Mimsa, wydawało mi się, że jesteś tchórzem podszyty; a teraz już wiem, że jesteś tchórz. Po co było go zabijać? Mogliśmy i bez tego zabrać mu broń i skrzynię z pieniędzmi. Niech mnie piekło pochłonie, jeżeli nie bierze mnie chętka, żeby cię wydać. Gdybym był pewny, że powieszą cię przede mną, to bym to zrobił!

— Nie kłóćmy się, Jess. Pewno, że wezmę konia — odpowiedział Moss znużonym głosem — tylko już jestem prawie zupełnie wykończony… Mógłbym spać cały tydzień, bez przerwy.

— Myślisz, że twój koń nie jest zmęczony, ty świnio. Powinienem dać ci kopniaka, żebyś przez bramę wyleciał. Kłócić się! Z tobą! Spróbuj tylko podnieść na mnie głos. Spać mu się chce, powiadał Spać, kiedy w każdej chwili może nas ktoś nakryć! Pozwolę ci spać najwyżej godzinę. Całą noc będziemy jechali, a jutro zamelinujemy się w jakiejś dziurze wśród wzgórz, tam, za przełęczą, i będziemy mogli spać cały dzień. Aż nie dojedziemy do Gila, koniec z jazdą za dnia.

Moss milczał. Laxon pokuśtykał sztywno do domu, przyniósł puszkę pomidorów, konserwy mięsne i nóż. Rzucili się żarłocznie na jedzenie, jedli w milczeniu.

— A teraz śpij, dziecino, ja będę stał na straży — powiedział Laxon.

Rozpostarł na słońcu ciężkie derki, napoił konie. Robił to ostrożnie, po trochu, aż ugasiły pragnienie. Potem starannie je obmył workiem jutowym, wytarł słomą. Boki koni poranione były ostrogami, na zadach widniały ślady od uderzeń podwójnie złożonym sznurem.

W odległości jednego dnia morderczej jazdy na północ leżały przy korralu Bluewater dwa inne konie, sztywne i zimne, a o noc jazdy za Bluewater, obok rozbitej skrzyni na pieniądze - płatnik kopalni Harqua Hala z kulą w sercu.

Laxon wyjął puszką proszku i posypał nim odparzone grzbiety końskie.

— Tak, Bill, niezgorzej ci się dostało — poklepał pochyloną szyję konia. — Bo widzisz, cała ta kupa monet wisiała za tylnym łękiem, dlatego tak cię poraniło. Głupstwo, wyliżesz się; oba się wyliżecie.

Wrócił myślami do tamtych koni, przy Bluewater. Zastrzelił je o wschodzie słońca. Nie chciał ich puścić, aby opiły się zimnej wody i dokonały życia w męce. Nie mógł też zostać z nimi ani zamknąć ich w korralu i skazać na tortury pragnienia do chwili przybycia pościgu… pościgu, który na skalistym gruncie mógł był przecież zgubić ślad i nigdy nie dotrzeć do Bluewater. Tak, to była ciężka decyzja!

Rozpalił ogień i przeszukał spiżarkę, nastawił kawę, rozejrzał się uważnie po płaskowyżu i wrócił do Mossa. Godzina już upłynęła.

Moss spał niespokojnie, szeroko rozrzucił ramiona, palce drgały mu nerwowo, jęczał i mamrotał przez sen. Oczy miał zapadnięte, twarz z mocno naciągniętą na kościach policzkowych skórą przypominała czaszkę kościotrupa. Laxon był w lepszej formie, jego zapasy energii życiowej nie wyczerpały się jak dotąd. Toteż złość ustąpiła miejsca współczuciu. Godzina przeciągnęła się do blisko dwóch, zanim potrząsnął śpiącego za ramię.

— Wstawaj, Moss; Odpocząłeś trochę. Twój koń też wypoczął. Przygotowałem gorącą kawę, jak trochę wiejesz do żołądka, zaraz odżyjesz. Potem przypędzisz konie z pastwiska, akurat zejdzie ci do nocy. A ja przez ten czas ugotuję kolację, upiekę kilka placków kukurydzianych na drogę i przygotuję jeszcze co nieco do zabrania. Poszedłbym sam, ale jesteś o te pięćdziesiąt funtów lżejszy ode mnie, a zresztą znasz pastwisko.

— Och, tak, pójdę — Moss siorbał gorącą kawę. — Tam na dole jest mały korral. Myślę, że uda mi się wypędzić kilka koni i złapać jednego dla siebie. Reszta pójdzie łatwo.

— Wybierzemy najlepsze, inne przepłoszymy — zgodził się

Laxon. — Nie zostawimy świeżych koni dla tych facetów, jeżeli przyjadą. A przecież muszą przyjechać.

— Tak. Ale nałamią sobie głowę, zanim rozpoznają, które ślady są nasze. Pieniądze i winchester zostawię tutaj. O tyle mniej ciężaru! — Odwiązał od swego siodła płaszcz nieprzemakalny, rozwinął go, wyjął worek pełen monet i rzucił go obok siodła Laxona. Worek upadł z brzękiem. — Słuchaj, Jess —i ciągnął już się nie gniewaj za to moje głupie zachowanie, dobrze? Powinienem był zająć się koniem, to prawda, biedaczysko. Ale już nie mogłem; taki byłem skonany, że nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. I… — zawahał się przez chwilę — naprawdę, Jess, myślałem, że Mim łapie za rewolwer.

— Popatrz, wcale nie wiedziałem, że jesteś aż taki zmęczony. Zapomnijmy o tym — w głosie Jessa zabrzmiała ulga. — Narobiliśmy sobie biedy, musimy teraz trzymać się razem, my dwaj.

O zachodzie słońca Moss przygnał dwanaście koni wierzchowych, sam siedział na wysokim gniadoszu, którego złapał w kanionie.

— Ten mi się podoba — oświadczył zeskakując.

— Ja wezmę karego — powiedział Laxon. — Biegnij teraz do domu i zjedz kolację, ja się przez ten czas przygotuję. Graty, już popakowałem… i dwie menażki. Patrz, Moss, znalazłem koce. Moją część żarcia przyczepię do siodła z tyłu. A worek z pieniędzmi owinę w koc i przerzucę przed sobą, rozumiesz? Już dosyć odparzania koniom grzbietów. Mógłbyś to samo zrobić.

— Dobra, załatw się z tym, jak będę jadł.

Laxon złapał i osiodłał karego, worek z jedzeniem przytroczył do tylnego łęku, a porządnie zrolowany wałek ze swoimi pieniędzmi przerzucił przez siodło za przednim łękiem. Potem tak samo przytroczył pieniądze i żywność swego wspólnika, a strzelbę wsunął do pokrowca. Otworzył bramę korralu i wypędził resztę koni na płaskowyż.

— Jazda! Za parę minut, jak was pogonimy, to wam skrzydła wyrosną!… A teraz jeszcze tylko to moje zmęczone konisko, Bill, i ruszamy…

Bill leżał w kącie, Laxon poderwał go na nogi, poprowadził za grzywę na pastwisko. Drzwi od komórki na siodła bezszelestnie się otworzyły. Moss oparł winchester o futryną i czekał.

— Biegaj za swoim kumplem, stary. Od teraz powinniście być dobrymi kompanami. Bywaj, powodzenia! — pożegnał Laxon konia. Zamykał bramę.

Moss strzelił mu między łopatki. Zaterkotał winchester. Laxon zakręcił sią wokół siebie i padł twarzą do ziemi, uniósł się na łokciu i, podziurawiony jak rzeszoto, strzelił gniademu między oczy. Kary stanął dęba, zerwał sznur. W tej samej chwili kula z czterdziestki piątki Laxona przeszyła mu pierś, gdy padał, druga trafiła go w kark. Laxon roześmiał się i wyzionął ducha.

— Ach, ty zezowaty diable! — wrzasnął morderca. Chwiejnym krokiem wyszedł z zasadzki. W twarzy jego nie pozostała kropla krwi; nieprzytomny z wściekłości, złorzeczył i miotał przekleństwa. Znalazł się teraz w potrzasku. Drżąc, upewnił się, że Laxon nie żyje. Pobiegł do bramy. Stado koni pasło się spokojnie w pobliżu, ale mrok gęstniał szybko, Moss musiał uwinąć się błyskawicznie, by zdążyć przed nocą.

Otworzył bramę, złapał Billa, wskoczył na oklep i z bezgraniczną ostrożnością zatoczył szeroki łuk wokół małego stada, zaganiając je wolniutko w kierunku bramy.

Początkowo konie zbliżały się ochoczo i już mu się wydawało, że wszystko pójdzie gładko, gdy tuż przy bramie zatrzymały się węsząc. Zwietrzyły coś, zobaczyły ciemne, tajemnicze kształty rozciągnięte po drugiej stronie ogrodzenia, zbiły się w gromadę, zaczęły się cofać i wreszcie oddaliły się wolnym kłusem.

Moss nie mógł ich zatrzymać, a biedny Bill ledwie powłóczył nogami. Konie przeszły w stępa, zatrzymały sią wreszcie, skubiąc młodą trawę.

Jeszcze raz udało mu się je zawrócić, lecz zanim dotarły do bramy, znów stały się niespokojne, ostrożnie się wycofując. Było już ciemno. Dwa razy pędził stado z powrotem. Na niebie jasno świeciły gwiazdy. Zerwał się chłodny nocny wiatr. Zbliżając się do bramy konie zaczynały węszyć, parskać, zataczały koło i w końcu ruszyły kłusem, kłus przeszedł w galop, galop w cwał.

Moss puścił wodze i wolniutko wrócił do korralu. Drżał cały ze strachu i wściekłości.

Stanął przed cysterną, łapczywie pił wodę, potem załadował winchester i zbliżył się do martwych koni. Cokolwiek się stanie, pieniędzy nie zostawi! Ostatecznie nie wszystko było stracone. Banknoty zatrzyma przy sobie, złoto ukryje gdzieś w skalistych ścianach kanionu. Przedrze się urwiskami, gdzie nie pozostawi śladów, za dnia będzie się ukrywał wśród nieprzebytych wzgórz. Weźmie ze sobą żywność i wodę, zabierze strzelbę, a niech tylko pojawi się jakiś samotny jeździec, będzie miał konia.

Gorączkowo rozwiązał oba worki, przesypał pieniądze do jednego. Szedł w kierunku domu, gdy nagle serce w nim zamarło. Z oddali usłyszał przytłumiony śpiew.

Króliku! Króliku! Biały ogon masz,
Tak cię Pan Bóg stworzył — skryj się, póki czas.
Skryj się, póki czas!

Oszalały ze strachu morderca rzucił swój skarb i złapał strzelbę. Podbiegł do bramy, przyczaił się w cieniu. Włosy zjeżyły mu się na głowie, serce waliło, jakby miało wyskoczyć z piersi, kolana się pod nim ugięły.

Króliku! Króliku! Długie uszy twe,
Tak cię Pan Bóg stworzył — ale słyszysz źle.
Ale słyszysz źle.

Głos był młody, zbliżał się od zachodu. Skradając się chyłkiem Moss doszedł do zakrętu. W świetle gwiazd ujrzał idącego pieszo mężczyznę, który podchodził do ogrodzenia śpiewając:

Sam Bass ze stanu był Indiana,
Aż stamtąd tu przyjechał wprost

Od zachodu!… Pościg nadszedł z północy, po śladach… Nie śpiewaliby przecież, byłoby ich więcej… Dlaczego ten człowiek idzie pieszo? Rozpaczliwym wysiłkiem woli Moss się opanował. Wśliznął się z powrotem do kuchni i zapalił lampę. Dorzucił suchych drew do żarzących sią węgli. Buchnęły jasnym płomieniem, izbę wypełnił przyjemny zapach cedru. Wytarł twarz ręcznikiem, szybko przygładził włosy. Odbicie w lustrze wymizerowanej, bladej twarzy podsunęło mu myśl. Będzie udawał chorego!

Czyż ten człowiek nigdy nie nadejdzie! Mossa ogarnęła nagła chęć zaprzestania walki, wykrzyczenia całej makabrycznej prawdy. Zrezygnować ze wszystkiego, byle móc spać i umrzeć, i odpocząć. Jednakże nie miał już wyboru, musiał walczyć dalej. W jakiś sposób wykorzysta przybysza do swoich celów. Ale dlaczego jest pieszo? Czy nie mógł przyjechać konno? Jakżeż ułatwiłoby to Mossowi dalszą drogę! Gardło i usta miał wyschnięte, haust świeżej wody przywrócił mu życie.

Zmusił ręce do spokoju, nabił fajkę i zapalił, żeby wypełnić sobie ten straszny czas czekania.

— Halo, jest tam kto?

Moss otworzył drzwi. Tańczący blask ognia skoczył w ciemność. Drogą zbliżał się uśmiechnięty mężczyzna.

— Witaj — odpowiedział Moss — i czuj się, jak u siebie w domu. Późno przychodzisz. Zaprowadź konia do korralu, a ja przez ten czas zagrzeję ci kolację.

— Konia zostawiłem przy drodze. Lubię chodzić pieszo. — Charley zatrzymał się na progu i ostrzegawczo podniósł rękę. — Zanim wejdę, umówmy się. Żadnej solonej wołowiny w puszkach. Nie mogę nawet słuchać, jak ktoś wspomni o solonej wołowinie w puszkach.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Siadaj. A jakby ci się podobały ziemniaki smażone z cebulą na boczku?

— Pierwsza klasa! Wszystko, byle nie peklowina — Ellis pokuśtykał do skrzyni obok ognia i z trudem ściągnął but. — Poocierałem nogi! Bąble!

— Nie jesteś z tych stron, co? — Moss pochylił się nad ogniem, zgarnął węgle pod dzbanek z kawą i postawił ziemniaki.

— Niii. Z Arizony. Szukam pracy. Co to tak wszystkich stąd wymiotło?

— Nic. Poszli spędzać bydło. Och wiesz, ja tu nie mieszkam stale, tylko teraz, dla zdrowia… — Gdybym tylko mógł dostać jego konia, gdybym tego faceta mógł zostawić w tej pułapce. Pościg jutro tu będzie. Spokojnie! Trzeba wymacać, co robić dalej.

— Koń ci wysiadł?

— Nie, ale jest zmęczony i zgubił dzisiaj przednią podkowę. Wykombinujesz mi nową?

— No pewnie. — Ale facet opowie wszystko o sobie. Nigdy w życiu nie ucieknę na zmęczonej szkapie. Złapią mnie. Jutro tu będą. A może zrobić tak, żeby wyglądało, że Laxon i ten tu wzajemnie się pozabijali? Nie! Zostaną ślady, skąd przyszedł, i moje, dokąd pójdę. No więc, jak?…

— Szkoda, że nie mogę dać ci konia, żebyś pojechał po swojego. Sam pod wieczór musiałem iść pieszo. Wszystkie konie pod wierzch były w korralu, zobaczyłem kojota, pobiegłem i strzeliłem do niego. Nie słyszałeś, panie… Nie znam twego nazwiska. Ja jestem Moss.

— Ellis. Charley Ellis. Nie, pod wieczór byłem za wzgórzem. Faktycznie wyglądasz mizernie, panie Moss.

— To drobiazg, coś tam z sercem, po prostu kolka, jestem do tego przyzwyczajony — gęste brwi Mossa tworzyły na białej twarzy grubą krechę. No więc jak? Zostanę tutaj, będę kozłem ofiarnym, a on zajmie moje miejsce, będzie uciekał, będzie stawiał opór, zostanie zabity. — O czym to mówiłem? A tak, konie. Idiota ze mnie. Nie zamknąłem dobrze bramy i poszły moje koniki. A chciałem zrobić dzisiaj jakie dziesięć mil, zapolować trochę. Ale, ale… Napiekłem mnóstwo placków, są w moich tobołkach. Przyniosę je, a ty się umyj, tam masz miskę… — Tak, ten facet jest mordercą! Zostawiłem konia. Ellis wykradł się, kiedy spałem. Chciał uciec na moim koniu. Daleko nie ujedzie, koń jest zmęczony. Kiedy się obudziłem i szukałem Ellisa, znalazłem w korralu martwego człowieka.

Szatański pomysł Mossa nabierał coraz wyraźniejszych kształtów. Wyjmując chleb z worka rozkoszował się swoim planem, a kiedy ukrywał pieniądze, coraz bardziej go ulepszał. Zapalił zapałkę i wyciągnął' plik banknotów pięciodolarowych, naderwał je trochę w jednym rogu, wyjął jeden banknot, zgniótł go i wsunął do kieszeni. Pozostałe włożył z powrotem do worka.

Następnie odszukał pusty worek, w którym znajdowała się przedtem część łupu Laxona, jeden rożek lekko przytknął do martwego ciała, tak że odbiła się ledwie widoczna smuga krzepnącej krwi.

Złapał placki i pospieszył do domu. Pusty worek rzucił przed drzwiami. Wszystko razem zabrało mu niewiele czasu. Gdy wszedł, Ellis właśnie kończył się czesać.

— Proszę! Kawa jest już gorąca, a za momencik i kartofle będą gotowe. Siadaj. Gdzie to zostawiłeś konia, powiadasz?

— Tam, gdzie gościniec przecina odnogę na zachód od kanionu, wiesz, tam gdzie do drzewa przybity jest znak.

— Co za znak? Jest kilka znaków w różnych miejscach.

— Ta tabliczka „Pięć mil do Rancho O".

— Chyba spętałeś konia?

— Tak, chociaż nawet nie było potrzeby. Daleko nie odejdzie, taki wyniszczony, że aż strach. Ucieszy się, jak dostanę pracę. Mój Szatan to kawał narowistego sukinsyna, ale żeby miał udawać, to nie, to muszę przyznać. Jak wygląda na zmęczonego, to można mu wierzyć. Żeby nie jego diabelski charakterek, byłby najlepszym koniem, jakiego kiedykolwiek miałem. Ale o to chodzi, że gdyby nie te jego wariackie sztuczki, nigdy w życiu bym go nie chapnął. Nie sprzedano by mi go na Rancho V. To był najlepszy koń, jakiego wyhodowali, tylko że znarowiono go przy ujeżdżaniu. Zawsze mu się zdaje, że człowiek chce z nim pobrykać, ale nie ma nic złego na myśli.

— To pewnie deresz?

— Tak, deresz ze znakiem „V.R.”, kawał diabła. Tak jakby sam sobie dobrał imię.

— A właśnie.

— Jaki jest? Czerwono nakrapiany?

— Niii, z niebieskawymi cętkami. Fajnie wygląda, jak ma okrągłe boki. Stary łotrzyk!

— Stary koń, czy pieszczotliwie tak go nazywasz?

— Pieszczotliwie — roześmiał się Charley — ma siedem lat.

Moss nalał kawy, nałożył kartofli.

— Gotowe, wcinaj. Wypiję z tobą kubek kawy. Duży koń?

— Sześćdziesiąt cali… Wczoraj nocowałem w małej chacie na południe od turni…

— Ile izb? — przerwał mu Moss — chyba wiem, czyj to dom.

— Dwie izby. Na drzwiach wypalone litery „H.G.”. W chałupie ani żywej duszy, ale solonego mięsa w puszkach, mąki i kawy do woli. A wieczór przedtem byłem w Rancho Anchor X. Też nikogo w domu, tylko kartka, że pojechali do Magdalena ładować woły. Ani słowa, że pojechali po żarcie, ale ja wiem. Ani parszywej kruszki do jedzenia, oprócz solonego mięsa. Nawet kawy nie było. Niech mnie diabli, jeżeli przez całe trzy dni widziałem żywego ducha. A przedtem spędziłem kilka dni ze starym Meksykaninem, na samym szczycie Black Range. Polowałem, szkapa mi wypoczęła.

— Kiedyś na północy widziałem znak VR — powiedział Moss zamyślony. — U klaczy na zadzie, u wałachów na udzie, a u bydła na bokach.

— Ten jest z Gila. Stary Hearn koniom wypala na barku, bydłu na zadzie.

— Daj, doleję ci kawy. Wiesz, co ci powiem — rzekł Moss. — Chciałbym, żebyś ze mną został. Ale jak ci tak bardzo zależy na pracy i jeżeli twój koń zrobi do jutra w południe osiemnaście albo dwadzieścia mil, to myślę, że możesz mieć robotę. Jutro zbierają się w Rosedale do wyjazdu na północ na spęd bydła. Tutaj już skończyli. Ruszą jutro po obiedzie i rozbiją obóz jakie dwadzieścia pięć mil dalej na północ. Pojedziesz około mili z powrotem drogą, którą przyjechałeś tutaj. Tam, gdzie droga skręca do nas, przy grobli, pojedziesz w lewo przez płaskowyż, tak jakoś na północny zachód. Ze sześć czy osiem mil dalej trafisz na gościniec, co biegnie od rzeki na zachód w góry. Doprowadzi cię wprost do Rosedale.

— Świetnie! Jeżeli mam ich złapać, zanim wyruszą, to muszę się już zbierać. Serdeczne dzięki. Myślisz, że na pewniaka dostanę tam pracę?

— Murowane. Ich bydło ze znakiem V+T to złośliwe bestie. Ludzi tam nigdy za dużo.

— Daj mi podkowę i kilka ćwieków, dobrze? I pożycz mi pilnik i młotek. Zostawię je w drzewie, gdzie wisi tablica. Przybiję podkowę skoro świt i pognam, póki chłodno. Koło dziesiątej tam będę, może trochę później!

— Ale zostaniesz na noc?

— Nie, moglibyśmy zaspać. Pogadamy jeszcze trochę i pójdę z powrotem. Prześpię się na derkach, to na pewno zerwę się wcześnie rano.

— Szkoda, że już idziesz. No cóż, sam wiesz najlepiej, co masz robić. Nie jesz już? Może zapalisz? — Podsunął mu tytoń i bibułkę. — Słuchaj, przysłałbyś mi tutaj chłopca meksykańskiego z koniem. Też bym się stąd ruszył. Nie zapomnij.

— Nie zapomnę. Mógłbym dostać wiadro z wodą, żeby przemyć pęcherze na nogach?

— No pewnie, że możesz. Siedź, ja przyniosę wody. Poszperam, czy któryś z chłopaków nie zostawił czystych skarpet. Przygotuję ci też paczkę z jedzeniem na śniadanie.

— To się nazywa mieć szczęście — oświadczył Charley trochę później, z lubością mocząc nogi i wydmuchując kółka dymu z papierosa, podczas gdy jego gospodarz szykował mu jedzenie. — Robota, podkowa, skarpety, kolacja i śniadanie! I bez peklowiny. Odwdzięczę się kiedyś komu innemu. Niech mnie diabli wezmą, jak tego nie zrobię. Jeszcze chwilę wcześniej nie spodziewałem się czegoś podobnego. Z godzinę temu jedyne, na co mogłem liczyć, to na kolację złożoną z papierosa i kilku wierszy z „Włamywacza z Bostonu", chyba że upolowałbym pod wieczór królika. O zachodzie słońca zawsze łatwo o królika. I wtedy to wspaniałe stare ranczo zerknęło na mnie z przełęczy. Los na loterii! Popatrz na mnie teraz. Nic mi nie brakuje. Co to może się stać w ciągu kilku godzin, co może na człowieka czekać, a on nic o tym nie wie.

Moss się roześmiał.

— No dobra, muszę już iść — powiedział Charley.

— Czekaj, jeszcze z tobą nie skończyłem. Masz dobre buty, ale wyobrażam sobie, jak cię cholernie będą piekły te poodparzane nogi. Może byś się zamienił na moje stare? Noszę siódemkę.

— Ja też. Dobra jest. Mogę się zamienić. Twoje będą o wiele wygodniejsze. Jestem kiepskim piechurem.

— Człowieku! Coś ty, myślisz, że chcę się po prostu zamienić? Twoje buty są prawie nowe, warte z dziesięć dolarów, a moje ledwie się kupy trzymają. Przecież bym cię tak nie ocyganił!

— Czekaj, zaproponuję ci coś: daj mi swoje buty i czterdziestkę piątkę z pasem i kaburą za mój winchester z przynależnościami i pięć dolarów, a dorzucę do tego buty.

— Też masz pomysły! Sam siebie chcesz oszukać. Buty i broń po równo, to będzie rzetelna wymiana — Charley odpiął ostrogi.

— Nie wygłupiaj się, bierz pieniądze. Do wypłaty jeszcze daleko. Jesteś pewnie bez grosza, chłopie, domyślam się, bo i mnie się to zdarzało. Przecież nie rozpoczniesz pracy od prośby o zaliczkę.

— Coś ci powiem. Bierz też ostrogi. To już będzie jako tako sprawiedliwie.

— Bzdura! Zatrzymaj swoje ostrogi. Bierz pieniądze, synu. Szkoda, że nie mogę dać ci więcej. Mam forsę, ale nie tu. No, ale jeżeli tak cię to boli, nazwij to pożyczką. Zwrócisz, jak się zbogacisz. Albo jeszcze lepiej, dasz komuś, kto ich będzie potrzebował.

— W takim razie przyjmuję — poddał się Charley — niech będzie po twojemu. Masz rację, panie Moss. Przymierz buty, czy ci pasują.

— Mięciutkie jak rękawiczka. Na obstalunek nie byłyby lepsze — odpowiedział Moss. — Dobre buty. Wy, młode chłopaki, zawsze tacy sami. Każdego centa tracą na wyszukany ekwipunek. Założę się, że masz nowiutkie siodło, ale pustki w kieszeni.

— Jakbyś zgadł — szeroko uśmiechnął się Charley. — Szarpnąłem się w zeszłym roku na pięćdziesiąt cztery pesos. Ale palce lizać!

— Eleganckie łęki?

— Eleganckie łęki, głupstwo — prychnął Charley. — Niepotrzebne mi są luksusy. Nie, mój panie, jestem wytrawnym jeźdźcem. Ostrogi zdejmuję, obcasy natłuszczam. Oczywiście, nieraz zleciałem z konia, każdemu się przytrafi. Ale żeby zadrapać skórę, to mi się nigdy nie zdarzyło. Niepotrzebne mi są eleganckie łęki.

Moss uśmiechnął się pobłażliwie.

— Teraz dam ci, co trzeba, do podkucia konia — powiedział. — Zostań tu i odpoczywaj. Mówiłeś zdaje się o przedniej podkowie?

Wrócił po chwili z podkową i narzędziami, a równocześnie przyniósł wyrzucony worek po pieniądzach, teraz solidnie wypchany paszą.

— Dla Szatana z pozdrowieniem ode mnie — roześmiał się poklepując Ellisa po ramieniu.

Charleyowi ścisnęło się gardło.

— Szczery z ciebie facet — powiedział wzruszony. — Żeby Szatan umiał mówić, na pewno by ci sam podziękował. No, idę już, żebyś mógł się położyć. Już nie wyglądasz nędznie jak przedtem, ale i tak poznać, żeś zmęczony. Adios. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

— O, na pewno mnie jeszcze zobaczysz. Do widzenia!

Podali sobie ręce, Charley zarzucił tobół na plecy i żwawo pokuśtykał rozświetloną gwiazdami drogą, odwracając się, by raz jeszcze krzyknąć „Do widzenia!”. Moss pomachał mu ręką, a uszu jego dobiegły słowa wesołej piosenki:

Ada! Ada! Otwórz te drzwi
O wschodzie słonka.
Ada! Ada! Drzwi otwórz mi,
Bo je przestrzelę raz-dwa-trzy
O wschodzie słonka!

— Bądź spokojny. Jeszcze mnie zobaczysz — mruknął ze złym uśmiechem. Potem zamknął drzwi. — Zmęczony? — szepnął. — Zmęczony. Spać, nawet gdybym miał przez to wisieć.

Rancho O, piąty sierpnia Zeznanie Elmera Mossa

Nazywam się Elmer Moss. Trzy tygodnie temu wyjechałem z Florence, w stanie Arizona, za pracą. Nic nie znalazłem, powędrowałem więc do tego rancha. Spędziłem już tu tydzień czy dwa sześć lat temu, kiedy pracował tutaj George Sligh.

Ostatniej nocy mój koń był już bardzo zmęczony i zgubił podkowę. Zostawiłem go przy przeprawie Nogales Creek, na zachód od pastwiska, i poszedłem pieszo.

Przyszedłem tuż po zapadnięciu zmroku i zastałem człowieka, który powiedział, że nazywa się Charley Ellis i że tu pracuje. Młody facet o dość przyjemnej twarzy. Był mniej więcej mego wzrostu, blondyn z niebieskimi oczami i zadartym nosem. Powitał mnie i powiedział, że nic nie wie o pracy, ale jak chcę, to mogę zostać, aż wróci szef. Rozmawialiśmy do późna.

Obudziłem się wcześnie. Łóżko Ellisa było puste. Myślałem, że poszedł spędzić konie z pastwiska, i znów zasnąłem, bo byłem bardzo zmęczony po jeździe na kulejącym koniu. Po pewnym czasie znów się obudziłem i wstałem. Ellis jeszcze nie wrócił. Poszedłem do korralu. Tam znalazłem trupa mężczyzny. Był podziurawiony kulami, nawet nie wiem iloma. Leżały tam także dwa martwe konie, oba zastrzelone i oba osiodłane.

Znalazłem ślady butów Ellisa, prowadzące drogą, którą ja przyszedłem. Próbuje uciec na moim koniu, a mnie zostawił z zamordowanym człowiekiem, żebym się tłumaczył.

Byłem taki przerażony, że nie wiedziałem, co robić. Doszedłem do krawędzi pastwiska, skąd miałem widok na cały kanion. Gdybym miał konia, uciekłbym. Ale konia nie było, oprócz jednego tuż pod ścianą urwiska, zajeżdżonego prawie na śmierć. Nie ujechałbym na nim nawet pięciu mil. Wróciłem i za bramą korralu znalazłem drugiego konia w jeszcze gorszym stanie. Wpuściłem go, dałem mu wody i siana. W korralu pełno było śladów kopyt końskich.

Nie wiem, co robić. Nie wiem, co się tu stało. Zanim ktoś przyjedzie, może minąć tydzień. Jeśli ktoś przyjedzie dzisiaj albo wtedy, kiedy ślady, które zostawiłem idąc tu, i ślady Ellisa są jeszcze świeże, wszystko w porządku. Cała historia jest wyraźnie wypisana, jakby w książce. Moje buty są nowe, jego całkiem zniszczone. Nie ma mowy o omyłce. I mój koń zgubił podkowę z lewej przedniej nogi. Łatwo będzie odróżnić jego ślady. Poza tym jest bardzo zmęczony, nie może iść prędko. Jeśli ktoś przyjedzie dzisiaj, łatwo go wytropi i złapie. Jeżeli nikt nie przyjedzie, jestem stracony.

Poszedłem, żeby przykryć zmarłego brezentem. Śmiał się, kiedy umierał. Jeszcze teraz się śmieje, a oczy ma szeroko otwarte. Okropne! Zostawiłem wszystko, tak jak było. Piszę teraz pomału, spokojnie, żeby

wszystko wyjaśnić, póki nie ma nikogo, kto mnie tak skołuje, że mi się wszystko pogmatwa. I w razie, gdybym całkiem dostał bzika! Albo może znajdę jakiego konia i spróbuję uciec. Nie, nie będę uciekał! Gdybym to zrobił, to tak jakbym się przyznał, że jestem mordercą. Gdyby mnie złapali, na pewno będę wisiał.

Nic nie może mnie uratować, tylko szczera prawda. A i to mi nie pomoże, jeżeli nikt tędy dzisiaj nie będzie przejeżdżał. Ten Ellis był mniej więcej mojego wzrostu… ale to już mówiłem. Miał na sobie niebieski kombinezon, bardzo spłowiały, i szarą flanelową koszulę. Nie zauważyłem kapelusza, prawie go nie nakładał. Widziałem u niego pod poduszką pas od rewolweru, ale też znikł, rewolweru nie widziałem.

To mnie zastanowiło. Poszedłem z powrotem i wszędzie szukałem, gdzie Ellis znów załadował broń. Znalazłem świeże łuski… dziewięć… trzydziestki dwójki od winchestera, bezdymne, bez kryzy. Były rozsypane na podłodze w komórce na siodła, tak właśnie, jak wyrzuca je winchester. Zabił swoją ofiarę z zasadzki. Znów wróciłem do zabitego, żeby mu się przyjrzeć. Trafiony w plecy… w każdym razie dwa razy. Tyle, ile mogłem zobaczyć, ogółem dostał sześć kul. Nie mogłem się przemóc, żeby go dotknąć. Tak strasznie wyglądał z tym uśmiechem… Jestem bliski załamania. Miał w szyi taką dziurę, jaką zostawia trzydziestka dwójka.

W piachu, koło jego ręki, leżał rewolwer sześciostrzałowy z trzema pustymi łuskami. Tymi pociskami zabił konie, jak już sam był trafiony, tak mi się zdaje. Znów go przykryłem. Teraz widzę, że nie powinienem był się do niego zbliżać. Teraz widzę, za późno, że nie powinienem był postawić jednego kroku w tym korralu. Gdybym był wiedział, gdybym w porę to przemyślał. Siady, jakie by tam znaleziono, zdjęłyby ze mnie podejrzenia. Ale jak mogłem o tym pomyśleć?

Później. Przed domem rośnie drzewo. Zacząłem tam kopać grób. Jeśli do zachodu słońca nikt nie przyjedzie, pochowam tego biedaka. Sklecę coś w rodzaju sań, położę na tym ciało i ten wykończony koń zaciągnie go do grobu.

Kopanie dobrze mi zrobiło, uspokoiło mi nerwy. Już ledwie zipię i teraz mogę trochę odpocząć. Pójdę z powrotem i skończę to.

Później. Godzina dziesiąta. Dzięki Bogu! Jak grób był gotów i z niego wylazłem, zobaczyłem zbliżającą się od północy chmurę kurzu. Jestem uratowany! Jadą bardzo szybko, już są blisko - dziesięciu albo dwunastu konnych. Dokładnie przejrzałem to zeznanie i zdaje mi się, że o niczym nie zapomniałem. To jest prawda i nic tylko prawda, tak mi dopomóż Bóg!

Chcę jeszcze coś wyjaśnić. Moss to nie jest moje prawdziwe nazwisko. Używam go od dziewięciu lat. Pochodzę z dobrej rodziny i w życiu mi się szczęściło, ale byłem lekkomyślny. Cokolwiek się stanie, nie chcę przynieść więcej wstydu nazwisku. Pozostanę Elmerem Mossem. Gdyby spadł deszcz i zmył ślady albo gdyby wiatr zasypał je piaskiem, jakiż los mnie czeka! Są już zupełnie blisko. Kładę rewolwer na tych kartkach i idę im naprzeciw.

— To wszystko — powiedział Tom Hall.

Nikt się nie odezwał. Głęboko zaczerpnęli powietrza, było to prawie westchnienie. Rozległo się szuranie nóg.

Ponure spojrzenia zwrócone na Mossa, który siedział ciężko opierając się o stół, złagodniały, stały się teraz przyjazne i pełne litości. Dwunastu ludzi o surowych twarzach zebrało się w kuchni. Niektórzy przybledli po tym, co zobaczyli w korralu.

Spoglądali po sobie. Młody Broyles położył rękę na ramieniu Mossa. Sędziwy Teagardner lekko skrzywił usta i powiedział:

— Tak, ta historia brzmi prawdziwie, panie Moss. Ślady butów, które, oddalają, się stąd, są te same co przy Bluewater Pens, a te dwa zajeżdżone konie przyszły z Bluewater. Jeżeli mówi pan prawdę, przeżył pan ciężkie chwile. Ale musimy pana zatrzymać przynajmniej na razie, póki nie znajdziemy tamtego faceta. No i chcielibyśmy zadać panu kilka pytań. Jak wyglądał pana koń?

- Deresz, niebiesko nakrapiany, ze znakiem „V.R.”, chudy, wysoki na sześćdziesiąt cali, bez podkowy na przednim lewym kopycie, siedmio- czy ośmiolatek. Siodło prawie nowe — odpowiedział matowym głosem Moss.

Nagle podniósł głowę i krzyknął z wściekłością:

— Możecie mnie pytać, ile chcecie! Macie mnie! Dlaczego nie ścigacie Ellisa? To powinniście zrobić. Z każdą minutą coraz bardziej się oddala. No pewnie, że mnie zatrzymacie. Macie mnie za głupca? Myślicie, że wyobrażam sobie, że wypuścicie człowieka w mojej sytuacji, jak tylko powie: „Ależ skąd, ja tego nie zrobiłem”? Poślijcie kilku ludzi za Ellisem, a odpowiem na wszystkie idiotyczne pytania, jakie tylko wykombinujecie.

— Synu — odpowiedział Teagardner spokojnie — ten, co tu był z tobą, nie ucieknie. Rozesłaliśmy ludzi i listy gończe po całej okolicy. Każdego, kto nie będzie umiał wytłumaczyć co on za jeden, zatrzymam jako podejrzanego. Chłopaki pewnie za chwilę wrócą, ale założę się, że Ellis jest już złapany… albo zabity. Chodźcie, chłopcy, wyjdziemy na powietrze.

— Nie będzie się bronił, to pewne — przekonywał Moss wychodząc za innymi na dwói. — Będzie niewinny jak baranek. Jak nie nawieje, zwali wszystko na mnie.

— Tym bardziej powinien pan odpowiedzieć na nasze pytania.

— Pytania! — zawołał Moss z goryczą. — Żeby tak mnie zechciał kto odpowiedzieć na moje. Kim jest zmarły? Dlaczego Ellis go zabił? Kogo wasi ludzie szukali?

— Nie znamy jego nazwiska. Nikt z nas go przedtem nie widział — odpowiedział Cook. — Ścigamy ich od dwóch dni. Rabunek i morderstwo. A teraz jeden zabił drugiego, żeby zabrać jego część zrabowanych pieniędzy.

— To nie znaliście człowieka, którego ścigacie? — powiedział Moss. — Ale ten tu mógł zostać zabity z zupełnie innych powodów. Może nie miał nic do czynienia z tamtymi bandytami. Różne ślady kopyt końskich oddalały się od bramy, Widziałem je dziś rano. Może to byli właśnie ci, których ścigacie.

Teagardner pogładził długą białą brodę i nakazał towarzyszom milczenie.

— Dla pewności kilku z nas pojedzie ich śladem, ale zdaje mi się, że to były tylko konie pod wierzch, które oni przegnali, dlatego nasi chłopcy nie mogli ich dogonić. I dlatego, tak sobie wyobrażam, ten pan Ellis wpadł. Zastrzelił wspólnika, a wspólnik, zanim zmarł, spieszył go. No, i kiedy pan się zjawił, Ellis znalazł ofiarę… Dobra jest! Cal, ty i Hall dobierzecie sobie jeszcze dwójkę ludzi i pojedziecie za Ellisem. Dobrze uważajcie, czy nie ma gdzie śladu, że ukrywał pieniądze. Przy sobie ich nie trzyma, to pewne. My poszukamy tutaj. No, macie już ludzi?

— Mogą być ci dwaj, wuju Ben.

— Dobrze. Przekąście przedtem i zabierzcie coś na drogę. Zanim wyjedziecie, jeszcze porozmawiamy. Broyles, ty i Dick pójdziecie po obiedzie za stadem koni pod wierzch. Przypędzicie je z powrotem… albo sprawdzicie, w którą stronę poszło. Możliwe, że były tu dwie zwalczające się bandy, ale nie sądzę. Według mnie te drugie ślady, to tylko konie pod wierzch. Sam, ty i Spike ugotujecie obiad. A reszta chłopaków niech zrobi jakąś trumnę; Moss zostanie z wami. A potem zobaczymy, czy Ellis nie ukrył pieniędzy gdzieś tutaj.

W kuchni Teagardner zamienił na stronie parę słów z czwórką ludzi, którzy mieli jechać za Ellisem.

— I słuchajcie, chłopcy, może się różnie zdarzyć, ale tak czy owak sprowadzicie go żywego, sabe? Żadnej strzelaniny. Coś mi tu nie gra. To, co opowiada Moss, trzyma się kupy i wszystko jak dotychczas zdaje się potwierdzać jego historię. Ale ten Ellis… No, zobaczymy. Da się spokojnie przyprowadzić i weźmie wasze słowa za dobrą monetę… cóż, może być winien i, cwaniak, zechce wszystko zwalić na Mossa. Będzie wystraszony, wkopie się. Może być też bezczelny, będzie się stawiał i sam się wyda, no to go powiesimy. Będzie się bronił, znaczy winien; będzie się ukrywał, znaczy winien. Jeżeli w ogóle ucieknie, to już najlepszy dowód, że winien. Bo tak jest, że każda gra, w której człowiek nie ma choć jednej szansy na wygraną, już nie wydaje się uczciwa.

Nagle wpadł do izby Broyles.

— Patrzcie, co znalazłem w piasku korralu! Kopnąłem worek, co leżał koło martwych koni, i trafiłem na to! Dziewiętnaście zwiniętych banknotów pięciodolarowych!

— Wszystkie są przedarte, widzicie? I zawsze robi się paczki studolarowe — zawołał Hall. — Jeden banknot musiał ktoś zabrać.

— Tak — gwałtownie przerwał mu Cal — i ten worek… Pewnie były dwa, a po morderstwie Ellis władował wszystko do jednego, a ten rzucił. Co na to powiecie? Trzeba zawołać Mossa.

— Powiem mu — rzekł Teagardner.

— Ale jak to się stało, że banknoty są poprzedzierane? I gdzie jest jeszcze jeden?

— Skąd mogę wiedzieć? — wzruszył ramionami Hall. — Chodźcie, chłopaki, ruszamy.

Zjedli obiad. Broyles i Dick udali się na poszukiwania. Trumna była gotowa, włożono już do niej ciało zabitego.

— Pochowacie go już teraz? — zapytał Moss.

— Mam nadzieję — wzdrygnął się Spike.

— Ja też — powtórzył za nim Sam. — Nie mogę patrzeć na ten jego okropny uśmiech, wuju Ben.

— Nie, przede wszystkim niech go zobaczy Ellis. No i szeryf przyjedzie, będzie chciał wziąć sprawę w swoje ręce. Poza tym myślę, że tutaj pochowamy mordercę, a tego zabierzemy do San Marcia.

Moss oblizał wargi.

— Możemy ich obu włożyć do jednego grobu — zaproponował Cook. — Dlaczego nie? Jest dosyć głęboki. Zabili starego Mimsa, niech sobie o tym pogadają.

— Tylko jeden zastrzelił Mimsa — odpowiedział Teagardner. — Może nie ten biedak to zrobił. Ten, kto zamordował jego, swojego wspólnika, kto strzelił mu w plecy zza węgła i każe za to odpowiadać niewinnemu, ten zabił Mimsa. Nie mamy prawa narzucać takiego towarzystwa zmarłemu. Chodźcie, do roboty!

Martwe konie wyciągnęli daleko na pastwisko, ślady krwi zasypali piaskiem. Przetrząsnęli dom — dach, ściany, podłogę, szopy i stajnie — szukając zrabowanych pieniędzy.

— Zapomnieliście o jednym — odezwał się Moss. — Jestem waszym więźniem, znaczy wciąż jeszcze podejrzany. Ostatecznie może ja jestem mordercą, a Ellis ofiarą… co z pewnością będzie chciał wam wmówić. Ktoś powinien pójść po moich śladach do skraju korralu, gdzie byłem dziś rano.

— Może pan być spokojny, panie Moss — Teagardner spojrzał na niego z łagodnym wyrzutem. — Nie pominiemy niczego. Właśnie zrobiliśmy to przed samym obiadem, kiedy pan odpoczywał. Jednego kroku pan nie zrobił, któregośmy nie sprawdzili. Wiemy też, że nie jechał pan na żadnym z zajeżdżonych koni do kanionu i nie schował pan tam pieniędzy. Tak samo sprawdzimy Ellisa. Znajdziemy pieniądze. Potrzebne nam są… jako dowód.

— Dobra, jak skończycie z szukaniem, chciałbym odpocząć… spać, jeżeli będę mógł. Jestem wykończony.

— Tak, poznać to po panu. Nic dziwnego… po takich przeżyciach. Jest piekielnie gorąco, pójdziemy pod drzewo, gdzie jest grób. Jedyne chłodne miejsce, jakie można tu znaleźć. Przynieście wody, chłopcy.

— Przyjemne miejsce do spania — zauważył nad grobem Sam z nerwowym chichotem. — A dlaczego nie pójdziemy na ocienioną stronę domu?

— Nie ma przewiewu — odpowiedział Moss. — Tutaj mi odpowiada.

Teagardner usiadł na kamieniu, długo wpatrywał się w grób, spokojnie paląc papierosa. Był bardzo stary, pomimo to jednak prosto się trzymał, pełen sił i wigoru. Niegdyś, przed laty, mieszkał w tych stronach, potem, w wieku, w którym większość ludzi osiada już w spokoju, zadowalając się biernym obserwowaniem życia innych, wypuścił się jeszcze w świat szukać szczęścia. Ćwierć wieku spędził w Australii i na Dalekim Wschodzie, ostatnio w Hong-Kongu. Potem wrócił do kraju swej młodości, by tu dokonać żywota.

Legendy i mity wyrosły wokół jego imienia, szaleńcze historie o burzliwych dawnych dniach, dniach, kiedy nie nazywano go jeszcze Starym i nie był dla każdego wujem Benem, lecz silnym wśród

najsilniejszych. Ludzie, którzy wyruszyli w pościg za bandytami, przejeżdżali tego ranka koło jego domu, dosiadł więc konia, mimo swych siedemdziesięciu siedmiu lat, i nikt nie śmiał zaprotestować.

—To jest głęboki grób, a ziemia twarda — powiedział wreszcie podnosząc oczy. — Był pan górnikiem, panie Moss?

— W pewnym sensie, tak.

— Napracował się pan przy kopaniu grobu, co?

— Pewnie. Ale to mi dobrze zrobiło. Byłem zdenerwowany, roztrzęsiony. Ech, głupie gadanie, po prostu się bałem, ot i całe moje zdenerwowanie.

— Mówi pan, że przyjechał wprost z Arizony? Gdzie nocował pan przedwczoraj?

— W dwuizbowej chacie pod szczytem San Mateo, na południu. Rancho C.G. albo tak się kiedyś nazywało, bo te litery wypalone są na drzwiach. Nikogo tam nie było.

Spike kiwnął głową.

— Rancho Charleya Grahama. Charley jest na spędzie.

— Tak. Żałuję, że go nie zastałem, w tej sytuacji! Ale jak tam poślecie jutro człowieka, znajdzie pootwierane, przeze mnie puszki po solonym mięsie, trochę mąki i kaszy. I nic więcej, tylko ślady mojego konia i podkowę, którą zgubił gdzieś na drodze. To potwierdzi moje alibi, przynajmniej jeżeli chodzi o obrabowanie banku. Te dolary, coście je znaleźli, można raczej przyczepić do tych dwóch dżentelmenów, co tu byli.

— Jak zajdzie potrzeba, na pewno kogoś poślemy. I to nie bank został obrabowany, a kopalnia… płatnik — odrzekł wuj Ben.

— Nie powiedział mi pan tego.

— Nie, nie powiedziałem. A jeszcze noc wcześniej?

— Zatrzymałem się w Rancho Anchor X. Też nikogo nie było. Jeżeli wasz człowiek pojedzie aż tak, daleko, znajdzie tylko puszki z zielonym mięsem… nie było nawet kawy. I znajdzie kartkę, że wszyscy pojechali do Magdalena ładować woły.

I znów Teagardner powiódł wzrokiem po zebranych, bo opowiadanie więźnia zostało potwierdzone.

— To prawda, wuju Ben. Dzisiaj ładują. Co tam, dajcie mu spać. Mówi prawdę.

Ale wuj Ben nie dawał za wygraną.

— A jeszcze przedtem? Musiał pan gdzieś, kiedyś, spotkać ludzi.

Moss niecierpliwie potrząsnął głową.

— Jakiś tydzień temu obozowałem ze starym meksykańskim myśliwym, na przełęczy na południe od Chloride. Dałem wytchnąć koniowi i polowałem na jelenie. A właściwie to on polował, a ja dotrzymywałem mu towarzystwa. Nie miałem strzelby, a nie chciał mi pożyczyć. Nazywał się Delfin Taki-to-a-Taki i mówił, że mieszka w Springville. Ej, stary przyjacielu, nudzi pan. Czy to moja wina, że w tym przeklętym kraju nikt nie mieszka? Do diaska! Gdybym był taki przewidujący, wynająłbym sobie świadka i obwoził się z nim.

— Ba! Gdybyśmy mogli patrzeć tak daleko… albo tak blisko, wiele rzeczy by nas zadziwiło, niejednego z nas — spokojnie odparł Teagardner.

— No już, kładźcie się wszyscy. Ja spałem poprzedniej nocy. Obudzę was, jak będzie trzeba.

Przesiadł się na wygodniejsze miejsce na świeżym kopcu ziemi. Pogładził długą, siwą brodę i znów zajrzał do grobu. Moss obserwował go spod przymkniętych powiek. Potem zmogło go zmęczenie, silniejsze od przerażenia, nienawiści i strachu.

— Ach, wy tępi idioci! — krzyczał Charley Ellis ciężko dysząc.

— Już dobrze, przymknij się — odpowiedział Tom Hall. — Niektórzy są za sprytni, żeby im to miało wyjść na dobre.

Trzech ludzi trzymało Charleya, dwóch za ramiona, trzeci za kołnierz. Oczy chłopaka ciskały płomienie. Był czerwony z wściekłości, ubranie miał trochę poszarpane po rzetelnej próbie skręcenia karku panu Mossowi, co mu się prawie udało. Trzeba było aż trzech ludzi, żeby go odciągnąć. Moss blady, ale uśmiechnięty, wykrzywiał posiniaczoną twarz zza trumny i otwartego grobu. Zachodzące pośród obłoków słońce zdawało się płonąć gniewem, rzucając na nich ostatnie promienie.

— No, jak już jest spokój, przejdziemy do naszych spraw — spokojnie zauważył Teagardner. — Tom, byliśmy tacy pochłonięci wyjaśnianiem panu Ellisowi sytuacji, że nie wysłuchaliśmy twojego sprawozdania. Jazda, gadaj!

— Wuju Ben, Ellis to właśnie człowiek, którego szukamy. Znaleźliśmy miejsce, gdzie przybijał podkowę. Moss nie mógł tego wiedzieć. Pojechaliśmy jego śladem kawałek do Rosedale i zaraz spotkaliśmy trzech ludzi stamtąd, jak z nim wracali. Powiedzieli mu, że zatrzymują wszystkich, i zabrali go ze sobą. Nie sprzeciwiał się, oddał broń bez słowa. To była trzydziestka dwójka, koń i siodło akuratnie, jak opisał Moss. A worek był przytroczony do siodła.

— To nie wystarczy, Tom —i wuj Ben potrząsnął głową. — Wszystko jest tak, jak mówił Moss, ale wszystko jest też tak, jak mówi Ellis. Wygląda prawie na to, że obaj mieli tylko jednego konia, jedno siodło i jedną interesującą przeszłość za sobą.

— Ach wy cholerni, tępi durnie — uprzejmie odezwał się Charley. — Gadacie i trajkoczecie byle co; Gdybyście mi powtórzyli, co mówił Moss, kazałbym wam schować mojego konia i niechby Moss spróbował go opisać. Ma jedno kopyto białe, zranił się drutem kolczastym, a siodło jest pod spodem zeszyte rzemieniem ze skóry kozłowej w miejscu gdzie przetarł się podkład. Moss nie mógł wam tego powiedzieć. Daliście mi może tę szansę? Gdzie tam! Pokpiliście sprawę, pozwoliliście mu pięknie wszystko obejrzeć, kiedy udawał, że czule głaszcze Szatana. Nie podejrzewałem nic podobnego. Powiedziano mi, że coś tam się stało i że wszystkich sprawdzają. Całkiem rozsądne tłumaczenie, więc nie miałem się o co martwić.

— To ty tak mówisz — zadrwił Sam. — Myślę, że Moss też mógł nam to wszystko powiedzieć, gdybyśmy go zapytali.

— A może by nie mógł — trzeźwo zauważył Hall. Ellis ma rację, nie mieli równych szans. Szkoda.

— A co z tym workiem?

— Słuchajcie, chłopcy — przerwał wuj Ben. — Całkiem źle do tego podchodzicie. Pan Ellis twierdzi, że w worku zabrał żywność. Możliwe. A to, że zatrzymał worek, przemawia raczej na jego korzyść.

— Ja też tak myślę — powiedział Cal. — I mógłbym przysiąc, że jeżeli miał pieniądze, to banknoty musiał zjeść, a monety wyrzucać po jednej. Nie ukrył ich po opuszczeniu tego domu, to pewne. Znam każdy cal ziemi, po której jechał, i potrafię czytać znaki. Dla wszelkiej pewności pojechałem nawet tam, gdzie spotkał ludzi z Rosedale, i pędziłem z powrotem, żeby ich dognać.

— A jak z tym! — wykrzyknął nagle triumfująco Spike. — Właśnie wyciągnąłem mu to z kieszeni.

Był to nowy banknot pięciodolarowy z naddartym rożkiem. Teagardner wyciągnął paczkę banknotów. Pasowało jak ulał.

Z dwunastu piersi wyrwał się dziki okrzyk. Zakotłowało się, jeden przez drugiego, nie wyłączając Mossa, przepychali się do Ellisa; wyciągnięte ręce gotowe były chwycić więźnia.

— Powiesić go, powiesić!

— Stać, stać, wy ślepi głupcy. Zastrzelę każdego, kto go dotknie! — krzyknął Teagardner. — Odstąpić!

— Nie powiesicie nikogo, wy skomlące psy — pogardliwie odezwał się Ellis. — Nie posunęliście się ani o krok dalej. Moje słowa przeciwko słowom Mossa.

— Właśnie — potwierdził wuj Ben. — Miejcież rozum. Powiedz, Cook, gdybyś był na miejscu tego człowieka i byłbyś winien, jak byś wytłumaczył posiadanie tego banknotu?

— Powiedziałbym, że Moss mi go dał, jasne.

— A ty, Spike, gdybyś z pewnością wiedział, że Ellis jest niewinny, to jak dostał banknot?

— Musiałby go dostać od Mossa — niechętnie przyznał Spike.

— No i właśnie tak go dostałem — roześmiał się Charley. — Kiedy zamienialiśmy buty i broń. Opowiadałem wam.

— Przeklęty kłamca! — ryknął Moss.

Nikt nie trzymał Charleya za nogi. Kopniak trafił Mossa wprost w pierś, rzucając go twarzą w piasek, prawie do grobu.

— Sędziwy panie, wuju Ben, jak cię nazywają — powiedział Charley — zdaje się, że ty tu przewodzisz i jesteś dostatecznie stary, żeby od czasu do czasu myśleć rozsądnie. Tyle samo co przeciwko mnie, macie przeciwko Mossowi. No nie?

— Słusznie… jak dotychczas.

— To dlaczego nie traktujecie nas jednakowo? Dlaczego mnie trzymają, a on stoi wolny?

— To prawda — zgodził się Cal.

— Przytrzymajcie Mossa — zarządził wuj Ben. A teraz, panie Ellis, proszę popatrzeć tutaj — odsunął wieko trumny, odsłaniając twarz zabitego. — Zna pan tego człowieka?

— Cholera, on się śmieje! Nie, nigdy go nie widziałem. Z kogo się śmieje?

— Śmieje się ze swego mordercy.

— Hm, wiem, kto nim jest — rzekł Charley — Wiem więcej niż wy.

Teagardner opuścił wieko na trumnę.

— Wszystko, Co wiemy, to to, że śmieje się albo z pana, albo z Mossa. Wasze opowiadania dokładnie się pokrywają. Co teraz zrobimy? Zrozumcie: nikt nie zostanie powieszony, póki wina nie będzie mu dowiedziona.

— Zatrzymajcie nas — odpowiedział Charley — pilnujcie nas dzień i noc. Skujcie nas razem wszystkimi łańcuchami, jakie znajdziecie na ranchu. Jeden z nas jest kłamcą! Poślijcie waszych ludzi drogą, którą przejechałem, aż znajdziecie miejsce, gdzie słowa kłamcy okażą się nieprawdą. Mogę opisać najdrobniejszy szczegół w każdym ranchu, gdzie się zatrzymałem. Mogę powiedzieć, jak wygląda stary myśliwy meksykański, jeżeli zdołacie go znaleźć. A Moss będzie mógł to zrobić?

— Synu — rzekł Teagardner — to jest dobry pomysł i twój plan doprowadziłby nas do prawdy, gdybyśmy musieli to zrobić. Ale nie musimy. Przeoczyliście jedną rzecz. Każde kłamstwo ma dwa końce, a jeden koniec tego kłamstwa jest tutaj, na miejscu zbrodni. Jeżeli znajdziemy pieniądze tam, gdzieś je ukrył po opuszczeniu rancha, będziesz wisiał, Ellis. Jeżeli znajdziemy je tutaj… no cóż, każdy z was mógł je ukryć. Cokolwiek wydarzyło się na ranchu, mogło być dokonane przez każdego z was… Wszystko… oprócz jednej rzeczy.

Wolno skierował wzrok na Mossa, który stał blady, drżąc na całym ciele. Słowa Teagardnera padały miarowo, poważnie i twardo.

— Wszystko, oprócz jednej rzeczy — powtórzył. — Ellis nic nie miał wspólnego z jedną rzeczą… Grób wykopał Moss. A grób jest za głęboki. Przez cały czas mi się zdawało, że ten grób jest za głęboki. Wskocz do środka, Sam, zobacz, dlaczego Moss kopał tak głęboko.

Moss padł na kolana. Jego strażnicy podnieśli go, zmusili, by zbliżył się do skraju grobu. Przez zgromadzonych przebiegł dreszcz, posunęli się naprzód. Padł' na nich ostatni złoty promień zachodzącego słońca. Sam wskoczył do dołu.

— Moss wykopał za głęboki grób, bo bał się, że ktoś zechce go pogłębić — mówił Teagardner. — Twarda ziemia tutaj? Spróbuj z drugiej strony.

Z drugiego końca ziemia była poruszona. Sam kopał zawzięcie. Natrafił na paczkę owiniętą w płaszcz nieprzemakalny. Wyrzucił ją na wierzch. Rozcięli sznury, rozwinęli. Cisnęli krwią znaczone pieniądze pod nogi mordercy.

Tłumaczenie Emilia Niemirska

**Conrad Richter**

## Dym nad prerią
(Smoke over the Prairie)

Jest teraz starte na pył jak Mobeetie i Tascosa, pochłonięte przez trawy i pustynię razem ze śladami kopyt wołów, ścieżkami bawolimi wśród zarośli i prymitywnym karabinem kapiszonowym. Jak mam to opowiedzieć, abyście nie będąc tam mogli tak samo jak ja zobaczyć to faliste, fermentujące pod mosiężną tarczą słońca, zaginione już, surowe imperium mego ojca, kraj równie feudalny jak dawna Anglia, rozleglejszy od Wysp Brytyjskich, z panami, wolnymi obywatelami, dzikusami i peonami, w większości na koniach, a wszystko to tu, w Ameryce, jeszcze przed pół wiekiem, a zarazem jakby w innym świecie i w innej epoce, która właśnie wtedy - o czym nie wiedzieliśmy - zbliżała się do swego gwałtownego kresu?

Pamiętam, jak będąc małym chłopcem wspinałem się po drabinie na dach w plamie cienia po zachodzie słońca i mówiłem sobie, że o pięć dni drogi na zachód Terytorium, słońce wciąż rzuca blask na stada stu tysięcy owiec mego ojca. I pamiętam, jak budząc się w jaskiniowym mroku przedświtu, na posłaniu ze skór bawolich i koców na ogromnym łóżku, myślałem, że o tysiąc mil na wschód słońce już dawno przyświeca taborom wozów mego ojca, ciągnionych przez muły i woły.

A dziś dałbym wiele, żeby choć rzucić okiem na to samo słońce, które grzało dom mojego ojca, znany od Fort Dodge aż po Old Pueblo pod nazwą Dworu Ganta, przysadzisty pałac z niewypalanej cegły, stojący na równinie San Blag, i ujrzeć znów jego przestronny hall grzmiący od kroków całej procesji dostojnych gubernatorów Terytorium i sędziów z haczykowatymi nosami, indiańskich agentów podobnych do niebieskookich lisów, oficerów w mundurach z mosiężnymi guzikami, urzędników federalnych, donów i ricos meksykańskich i głodnych, burkliwych wodzów Utów, Apaczów i Nawahów.

Ale już wtedy mała chmurka, nie większa od dłoni, zaczynała rzucać cień na te mury, dostatecznie grube, by stać się grobowcem dla koni. Dym ze swojskich drew cedrowych jest niebieski, wonny i rozpływa się w powietrzu. A owa chmurka na wschodnim horyzoncie był to dym ujarzmiony przez człowieka, czarny, obcy, zalatujący otchłanią piekielną, który nigdy dotąd nie przesłaniał nieba nad tą nieposkromioną ziemią.

Tego dnia, gdy matka przywołała mnie do siebie w hallu, wiedziałem, że chodzi o ważną sprawę. Siedziała, ciężka, na fotelu w swoich pokojach - nie była otyła, tylko otulona, nawet latem, szalami i spódnicami, a oczy miała ciemne i lśniące jak u ptaka w napuszonej twarzy, która już wtedy wydawała się niewiarygodnie stara. Cały miniony tydzień jej usta były

zaciśnięte, a moja siostra Juliana miała białe plamy na policzkach, jakby wybielone ługiem.

— Idź i spytaj ojca, czy może na chwilę oderwać się od swoich spraw, żeby ze mną porozmawiać — powiedziała cierpko. — I przyjdź tu razem z nim.

Wówczas domyśliłem się, że: ojciec jeszcze się z nią nie przywitał, choć już przed kilkoma godzinami wrócił z dziesięciodniowego przeglądu stad owiec w okolicach kanionu Bonito. Widziałem jego zakurzony powozik przed sklepem - oba konie były spienione aż po grzywy, jak zawsze kiedy on powoził. W sklepie już go nie było, więc poszedłem go szukać w składnicach hurtowych rozrzuconych nie opodal, podobnych do jaskiń Ali Baby, z okratowanymi okienkami, mrocznych i pełnych zapachów, zastawionych tajemniczymi skrzynkami, wielkimi bekami, opasłymi belami materiału, górami wypchanych worków, pakami ze zbożem, stosami skór sięgającymi aż po sufit, ogromnymi worami surowej wełny i zaśniedziałymi sztabami miedzi.

Nie było go tam, toteż zajrzałem po kolei do dźwięczącej od uderzeń młotów kuźni, do stajni, gdzie świeżo przybyłe konie stały jakby otępiałe, i do warsztatu kołodziejskiego zastawionego kołami i obręczami, zarzuconego klockami drzewa i wiórami, i częściami rozmontowanych wozów, które znały każdy bród i wybój na szlaku do Santa Fe.

Zostało tylko jedno miejsce, gdzie jeszcze mógł się znajdować ojciec, i wyrzucałem sobie, że od razu tam nie poszedłem - to, co nazywaliśmy kancelarią dworską, spore pomieszczenie z glinianą podłogą i prawie bez sprzętów, jeśli nie liczyć sfatygowanego biurka, którego szuflad nikt nie śmiał tknąć. W kancelarii nie było nikogo, ale z przyległej sypialni dobiegały gardłowe dźwięki.

— Wejść! — zabrzmiał głos ojca w odpowiedzi na moje kołatanie.

Uniosłem żelazny rygiel i zawahałem się w drzwiach przez jedną niezręczną chwilę.

Na kominku płonęły polana sosnowe, a na podłodze, tyłem do ognia, siedział Guero, wódz Apaczów Mescalero, ogromny i umazany tłuszczem, z oczyma, nosem i szponami jak u orła, a zrzucony z ramion czerwony koc odsłaniał długi nóż i zakazany rewolwer.

A ojciec rozmawiał z nim sobie spokojnie stojąc w białej miednicy na podłodze i polewając się wodą z drugiej, ustawionej na umywalce z marmurowym blatem, nagi, nie uzbrojony i niefrasobliwy, niewysoki, ale potężny jak Herkules, z czarną kędzierzawą brodą, która wystawała z jego twarzy jak gęstwa cieniutkich drucików. Zauważyłem też, że taki sam bujny zarost wił się na jego piersi i mocnych, walcowatych nogach.

Do tej pory nawet nie rzucił okiem na otwarte drzwi, ale teraz spojrzał z lekkim zniecierpliwieniem.

— Wchodź, wchodź! — burknął, wszedłem więc śpiesznie do pokoju, niejasno zdając sobie sprawę, że ojciec nie wiedział, kto puka, a przecież to mogła być jedna z meksykańskich służących prowadząca na przykład pana gubernatora z żoną, ale ojciec się nie przejmował. Utkwił we mnie spojrzenie swoich niezapomnianych oczu.

— Znasz wodza Guero — powiedział surowo. — Podejdź, uściśnij mu dłoń i zapytaj po hiszpańsku o rodziną.

Włożywszy czystą bieliznę i świeże ubranie z czarnego sukna, ojciec podsumował dotychczasową rozmowę z Guero:

— Powiedz swoim ludziom tak: nie muszą się bać kolei. Kolej nie sprowadzi białych ludzi, którzy by mogli odebrać wam wasze prawa. To tylko czcze obietnice. Puste słowa. Dumne przechwałki, które jutro pójdą w zapomnienie.

Zostawił Guero, który siedział na polepie kancelarii żarłocznie pochylony nad parującą michą gulaszu baraniego.

— Więc mówisz — rzekł do mnie w hallu — że twoja matka chce się ze mną widzieć? — Zatrzymawszy się na parę chwil przypomniał mi widywane w sitowiu kosy, jak składają swoje szkarłatne ramionka i ponuro jeżą piórka, aż tracąc swój wyniosły chód i blask zdają się potulne i brunatne. Poszedłem w milczeniu za ojcem do drzwi matki. Ojciec zapukał i nie czekając na odpowiedź wszedł.

— Nettie! — Skłonił się z powagą, a w tym jedynym słowie, które wciąż dźwięczy mi w uszach, zawierało się powitanie, ironia, godność, pobłażliwość i niespokojne oczekiwanie tego, co miało nastąpić.

Matka nie odpowiedziała, tylko jeszcze mocniej zacisnęła usta i na jej policzki wypłynęły leciutkie rumieńce. Kiwnęła mi, abym podszedł i usiadł koło niej, co uczyniłem uświadamiając sobie z bólem, że czeka mnie haniebna rola umiłowanego dziecka z „Dziesięciu nocy w barze”, za którego pośrednictwem ma się dokonać naprawa moralna ojca.

Pokoje matki, które bardzo rzadko opuszczała, wydawały mi się zawsze zatęchłe i duszne, przesycone zapachami wschodnich dywanów, wypchanych szaf i komód, mydeł, lekarstw i gałek przeciw molom - bardzo niemiłymi dla takich jak ja chłopców. Ale dzisiaj wydawało mi się, że ta gnuśna atmosfera tętni rwącymi, potężnymi prądami. A kiedy spojrzałem na złotobrązowy szal, który wisiał na ramionach matki niczym ornat, dostrzegłem na nim jakby odblask błyskawicy.

— Czyż muszę o tym mówić? — zaczęła z goryczą. — Powinieneś sam wyznać to ze wstydem.

Nie usłyszeliśmy za drzwiami żadnych kroków, ale rygiel się uniósł, przyciągając nasz wzrok. Powoli drzwi się otworzyły. Była to Juliana. Widzę ją do dziś, jak stoi w obramowaniu tych masywnych drzwi, a światło poza nią tworzy jakby nimb - spokojna, z poważną twarzą, dziewczęcą figurą, w spódnicy do ziemi i skromnym staniku ciepłoszarego koloru, z medalionem w kształcie serca na złotym łańcuszku. W medalionie tym nosiła, jak wiedziałem, fotografię ojca.

— John tu jest. Czy ja też mogę? — spytała i zamknęła drzwi. Podeszła do krzesła cichutkim krokiem młodej kobiety, która wchodzi spóźniona do kościoła, a spojrzenie, jakie posłała ojcu, było tak pełne błagania, jakby patrzyła na samego Pana Boga.

W oczach matki zapłonęła radość z obecności Juliany.

— Ludzie mówią — ciągnęła dalej cierpko — że pan Rutherford znikł, tak jak inni wrogowie samowolnych interesów na tym terytorium.

Zdawało mi się, że spostrzegłem ukrytym rumieniec pod zarostem na policzkach mego ojca i po wędrowałem, myślą do Vance'a Rutherforda, wysokiego, przystojnego i szlachetnego młodzieńca, którego Juliana poznała u państwa Coddomów w Capitanie. Jeszcze przed dziesięcioma dniami przyjeżdżał do naszego dworu wynajętym powozikiem, do niej w konkury. Zastanawiałem się, co też mogło się stać z jego kapeluszem z wąskim rondem i nieodłącznym nagietkiem pustynnym w butonierce.

— Ludzie mówią wiele rzeczy, Nettie, bardzo wiele — rzekł ojciec.

— Czyżby nie żył? — dopytywała się matka szorstkim tonem i zauważyłem, że medalion na chwilę znieruchomiał na piersi Juliany.

— Nieee — powiedział ojciec uspokajająco. — Nic mi o tym nie wiadomo — i medalion zaczął na nowo wznosić się i opadać.

— A więc ostrzegłeś go, aby opuścił to terytorium? — spytała matka oskarżycielskim tonem.

— Mogłem co najwyżej sprawić — rzekł ojciec unosząc kwadratową dłoń — aby doszły do niego pewne poufne wieści.

— Nie miałeś mu nic do zarzucenia, Franku Gant, prócz tego, że jest naczelnym inżynierem budowy kolei! — powiedziała matka podniesionym tonem. — Gdzie znajdziesz drugiego młodego człowieka z taką pozycją? Czy chcesz, aby twoja córka poślubiła jakiegoś kowboja lub łowcę bawołów, co jeździ konno, zabija, gra w karty i żłopie whisky, którą sprzedajesz w swoich kantorach na równi z cukrem i kawą?

Ojciec przezornie nie powiedział nic. Policzki matki były za-czerwienione.

— Jesteś uprzedzony do kolei! A trzeba za nią dziękować Bogu! To najwspanialsza rzecz, jaka mogła spotkać tę krainę bezprawia. Dzięki niej powstaną szkoły i kościoły.

— Nikt jej nie buduje po to, aby mogły powstać szkoły i kościoły — zwrócił łagodnie uwagę ojciec. — Oni ją budują, żeby im się opłaciła. Chcą położyć osiemset mil torów na zachód i południe Terytorium. Jedna mila torów ma kosztować osiemnaście tysięcy dolarów lub więcej. To czyni w sumie czternaście milionów dolarów. — Przesunął dłonią po swojej niesfornej czarnej brodzie. — Czternaście tysięcy dolarów, podczas gdy mamy już szlaki, które nas nic nie kosztują, i przedsiębiorców przewozowych, którzy rozbudowali swój tabor i zaprzęgi do ponad pięciu tysięcy wołów i mułów.

— Wołów i mułów! — Oczy matki pałały. — Czy woły i muły zdołały wprowadzić cywilizację do tego kraju? Mało to się odbywa strzelanin, o których co tydzień donosi „Capitan Enterprise”? Powinno się je nazywać morderstwami - morderstwami z zimną krwią! A do tego trzeba dodać lincze, tajemnicze zniknięcia mężczyzn, oskalpowane przez twoich przyjaciół Apaczów kobiety i dzieci! Czy to dziw, że przyzwoici ludzie nie chcą przyjeżdżać w te barbarzyńskie okolice?

Ojciec miał bardzo pokorną minę.

— Czy nie mylisz tych okolic, Nettie, z obszarem rolniczym, jak na przykład Kansas? — spytał. — Kansas to nowe obszary. A nasze okolice są stare. Biali mieszkają tu od setek lat, ale nie zdołali rozwinąć tu rolnictwa. Sama mówiłaś kiedyś, że to pustynia. Ale ten młody przedsiębiorca,

Rutherford — zauważyłem, że rzęsy Juliany zatrzepotały — chce wydać czternaście milionów dolarów na to, aby zbudować na tej pustyni kolej. Każe naszym miastom się zapożyczać i kupować za pożyczone pieniądze akcje kolei. Mówi ludziom, że ta kolej będzie kiedyś jedną z największych w kraju.

Zobaczyłem, że moja matka zawahała się wobec nieodpartej wymowy liczb i faktów. Pochyliła się ku niemu prosząco.

— Kiedy któryś z krewnych twoich meksykańskich pastuchów wpadnie w tarapaty, Frank, zawsze się nad nim litujesz i pomagasz mu. Czy nie możesz się ulitować nad Amerykaninem, który ledwie wyrósł z lat chłopięcych, pracuje dla towarzystwa budowy kolei i wierzy w to, co mówią mu zwierzchnicy?

— Nie — powiedział ojciec powoli i po raz pierwszy, odkąd się znalazł w tym pokoju, głos jego zabrzmiał twardo. Wyprostował się. — Nettie, mogę współczuć człowiekowi, który gra i przegrywa, i takiemu, który wie, że kradzież koni grozi stryczkiem, ale nie cofa się przed kradzieżą. Ale nie mam współczucia dla człowieka, który wyrzuca w błoto cudze ciężko zapracowane pieniądze; który jest tak naiwny, że wierzy w podobne mrzonki jak linia kolejowa przez pustynię za cenę czternastu milionów dolarów. — Spojrzał matce prosto w oczy i wycedził z mocą przez okolone zarostem usta: — Taki utracjusz nie wejdzie nigdy do mojej rodziny — póki żyję!

Twarz mamy stała się kredowobiała, ale nigdy nie zapomnę, jak wówczas wyglądała Juliana. Siedziała na krześle spokojnie, medalion nadal poruszał się łagodnie na ciepłoszarym staniku i nie była bledsza niż w chwili, gdy wchodziła do pokoju. Ale jej wlepione w ojca oczy były oczyma kogoś umarłego. Zauważyłem, że matka kładzie ozdobione pierścieniami palce na okładce grubej Biblii rodzinnej leżącej obok na stoliku.

— Bóg cię ukarze, Franku Gant! — powiedziała.

Teraz, kiedy wypowiedział: swoje zdanie, stał się ponownie sobą; był twardy, szorstki, potężny jak Atlas, podobny do lwa nubijskiego ze swą czarną brodą i w czarnym ubraniu, pełen takiej żywotności, że żadne słowa, pociski, kule, a nawet ręka Boża się go nie imały.

— Pewnie Julianie jest teraz przykro — ciągnął dalej pewny siebie — ale przejdzie jej to do czasu mojego powrotu. Wysłałem partię wełny z pierwszego strzyżenia na Wschód i jutro rano wyjeżdżam do St. Louis, żeby ją sprzedać.

Nim ojciec wrócił, trawa na równinach sięgała już kolan mego kuca. Zawsze przywoził mi coś z St. Louis, czego nie było w jego sklepie - lekki karabinek albo srebrne ostrogi. Jego prezenty dla Juliany były zawsze błahsze - srebrne kółko na serwetkę z wyrytym jej imieniem, album w oprawie ze złoconej skóry ze zdjęciem prezydenta Hayesa z żoną na pierwszej karcie, a raz mahoniowa sekretera. Wiem, że bardzo kochał Julianę, chociaż się z tym nie zdradzał, bo była tylko dziewczyną, a nie dziedzicem jego nazwiska, który będzie palił wonne cygara podpisując kontrakty z hurtownikami z Kansas City albo pułkownikami z wydziału

kwatermistrzostwa czy przemierzał w powozi ku przestrzeń równą połowie Nowej Anglii doglądając kocenia się nieprzeliczonych owiec i sypiając z pasterzami, bez względu na kaprysy wiosennej pogody.

Ale nikt nie mógł przewidzieć, co zrobi mój ojciec, kiedy zdrów, pełen wigoru i tryskający życiem, wyprzedziwszy daleko swój tabor wozów zaprzężonych w muły przywitał się z nami i wszedł do sklepu. Trinidad przyniósł dwie płócienne walizy z bagażnika nowego powoziku.

Znajdowały się w nich, pamiętam, tafty i alpaki dla matki, ale najwięcej rzeczy było dla Juliany. Matka wyjmowała je i pokazywała jedną po drugiej Julianie, ale pamiętam tylko błękitny aksamitny strój do konnej jazdy i niezwykle długą spódnicą i czarną, obcisłą sukienkę, jakiej nikt z nas dotąd nie widział, w której, jak natychmiast oświadczyła matka, żadna szanująca się dziewczyna nigdy by się nie pokazała, a gdyby nawet się pokazała, to nie przeszłaby przez pokój.

Kiedy pobiegłem do sklepu z nową, srebrem nabijaną uzdą, która znajdowała się na dnie drugiej walizy, ojciec spojrzał na mnie przenikliwie.

— Co Juliana powiedziała? — spytał. — Przymierzała suknie?

Ciarki po mnie przeszły, ale wystarczyło mi raz spojrzeć w jego oczy, żeby zrozumieć, że muszę powiedzieć prawdę. Nikt dziś nie ma takich oczu - niebieskozielonych, co podkreślał kontrast z czarną brodą - które czasem płonęły niepowstrzymanym zapałem, a czasem zielonym blaskiem zawziętości, to znów ziały chłodem niebieskawego lodu.

— Myślę, że nie czuje się dobrze, tato — wyjąkałem. — Wyszła bez słowa do swego pokoju.

Al Sleeper, szef subiektów, zajął się szybko ustawianiem drewnianych pudelek z butami, których stos stał na podłodze, a twarze wszystkich przysłuchujących się stężały, jakby ktoś nagle pociągnął po nich werniksem. Ale twarz mego ojca nie zmieniła się ani wtedy, ani w dzień później, kiedy patrzył z niewzruszonym wyrazem, co Juliana ma na sobie, ona zaś była ubrana nieodmiennie, niemal lekceważąco, w swój zwykły ciepłoszary strój.

Coś stało się z Julianą. W *canada* równiny San Blas, którą Meksykanie zwą El Oviadado, było źródełko. Nigdzie trawa nie była tak jak tam zielona, w źródełku biła przejrzysta, chłodna woda, a w obrzeżającym je sitowiu gnieździły się czerwono-skrzydłe kosy. Często przychodziliśmy się tam napić z moim kucem. Ale w zeszłym roku coś dziwnego stało się z tym miejscem. Sitowie i czerwonoskrzydłe kosy pozostały i trawa się wciąż zieleniła, ale zabrakło wody.

Podobnie było z Julianą. Miała taką samą jasną cerę i prościutką białą ścieżkę biegnącą przez środek gładko rozczesanych ciemnych włosów, a medalionik w kształcie serca wciąż podnosił się i opadał z rytmem jej oddechu, ale coś przejrzystego i żywego w niej zamarło. Damskie siodło zrobione na zamówienie specjalnie dla niej pokryło się warstwą stepowego pyłu w masztami, a jej bułana klacz dziczała na pastwisku. Większość czasu Juliana spędzała teraz w swoim pokoju, a gdy wchodziłem, zastawałem ją na brzegu łóżka z egzemplarzem „New York Ledger” lub „Saturday Night” sprzed dwóch miesięcy w ręku, ale z oczami zwróconymi

ponad pismem ku głębokiej wnęce okna i równinie za nim, która już wtedy, w sierpniu, wyglądała niby szare, nieprzebyte morze.

Mieszkańcy Terytorium niczym się nie różnili od innych ludzi i wiedziałem, że gadają. Ilekroć wzywano Julianę do pokojów matki, żeby się przywitała z gośćmi, widziałem, jak goście wymieniają ukradkiem spojrzenia. A kiedy raz przyszła do sklepu po włóczkę dla matki, która niestrudzenie robiła na kościanych drutach, zachowywała się jak we śnie: patrzyła na wszystkich niewidzącymi oczyma i ludzie w sklepie przyglądali jej się ukradkiem, a jedna Meksykanka mruknęła „pobrecita" po jej wyjściu. Ojciec nie utyskiwał nigdy w życiu i był jak zawsze pełen energii i nieugięty, ale nieraz, gdy matka nie widziała, rzucał na Julianę znamienne spojrzenie. I chociaż twarz miał niewzruszoną, dostrzegałem w jego oczach ból, który po spartańsku znosił.

Patrząc na to teraz, rozumiem wszystko doskonale i wszystko jest dla mnie jasne jak słońce. Ale byłem wtedy jeszcze bardzo mały, gdy przyjechałem na kucu do Capitan i adwokat Henryk Coddom poprosił, abym go odwiedził w domu. W salonie przechadzał się niespokojnie jakiś mężczyzna i chociaż byłem trochę oślepiony wszedłszy tam ze słońca, spostrzegłem od razu, że był to Vance Rutherford, wysoki, może nieco starszy, z lekko zapadniętymi policzkami, jak zawsze świeżym nagietkiem pustynnym w butonierce swojego surduta wschodniego kroju, i znajomym marzącym wyrazem oczu, który według mnie wcale nie pasował do śladów twardych przeżyć na jego twarzy.

Stężałem na jego widok, ale Vance Rutherford powitał mnie powściągliwym, grzecznym ukłonem.

— Dzień dobry, Johnnie — powiedział z powagą i poprosił, żebym usiadł na czarnej kanapie z końskiego włosia, gdzie przez pewien czas jak dwaj dorośli mężczyźni rozmawialiśmy w sposób oficjalny o rzeczach błahych, nie poruszając sprawy kolei i mojej rodziny.

— Johnnie — zagadnął mnie cicho po chwili — czy zaniesiesz swojej siostrze list tak, żeby nikt nie widział?

Nie próbował mnie nakłonić. Pomyślałem o Julianie błądzącej jak we śnie po domu i powiedziałem sobie, że nie stanę na przeszkodzie, aby list ten do niej dotarł.

— Niech będzie — odparłem, by dać do zrozumienia, że się zgadzam, i wtedy on wyjął list, a ja bez żadnych zbędnych słów wsunąłem go do kieszeni.

Ten list palił mnie jak żywy ogień przez całą drogę do domu, więc z ulgą przyjąłem wiadomość, że ojciec jest właśnie w dolinie Merino i nie muszę przemykać się z listem jak Indianin, który wynosi pod kocem nóż rzeźnicki z naszego sklepu. Przez całe popołudnie przyglądałem się, jak wsypywano szuflami świeżo wymłócony jęczmień i kukurydzę do zakurzonych skrzyń w magazynach, a kiedy w ostatnich przeszywających promieniach złotego słońca kładłem w masztami siodło i uzdę swojego kuca, stwierdziłem ze zdumieniem, że nie ma damskiego siodła Juliany. A gdy Juliana nie pojawiła się przy kolacji i w dodatku usłyszałem długie, żałosne wycie preriowego wilka po zmroku, poszedłem do matki.

— Nie bój się, John — uspokoiła mnie matka i myślę, że wiedziała już o liście. — Ktoś na pewno odprowadzi Julianę do domu albo ją przenocują u Hudspethów.

Głęboką nocą obudził mnie pocałunek w policzek. Natychmiast odwróciłem głowę i zobaczyłem Julianę z zapaloną świecą w dłoni. Nie odezwała się ani słowem, tylko stała patrząc na mnie i miała w oczach dziwny blask, jakiego jeszcze u niej nie widziałem. Wszystko to było trochę nierealne - późna noc i jej oświetlona postać na tle mroku ogromnego pokoju, dziwny blask oczu i śliczna błękitna sukienka z aksamitu, którą jej przywiózł ojciec. Zdawało mi się, że to sen, ale gdy wyciągnąłem rękę, żeby zobaczyć, czy to nie zjawa, Juliana ścisnęła mi palce, a jej dłoń była z ciała i krwi i promieniowała ciepłem.

Zdziwiłem się, kiedy nazajutrz nie zobaczyłem jej przy śniadaniu, a gdy zajrzałem do jej pokoju, poznałem po gładkości jasnej pikowanej kołdry, że nie spała w swoim łóżku. Lupita i Piedad, dwie meksykańskie służące, utrzymywały, że nic nie wiedzą, ale poznałem po ich zachowaniu, że w całym domu panuje jakieś podniecenie. A kiedy przechodziłem koło otwartych drzwi pokoju matki, widziałem, jak ociera łzy.

Tego popołudnia ojciec zdążył przyjechać w sam raz na kolację. Brodę miał srokatą od kurzu, a oczy błyszczały mu jak turkusy w pyle. Matka z reguły jadała w swoich pokojach, w odosobnieniu, na masywnej tacy z kutego srebra. Owego wieczoru odczułem wielką doniosłość chwili, kiedy w stołowym pokoju zaszeleściły jej obfite spódnice z tafty.

Sądzę, że ojciec też to przeczuwał. Zauważyłem, jak dwa razy spojrzał w zamyśleniu na krzesło świecące wymowną pustką przy stole. I zanim przemówił, zacisnął najpierw okolone zarostem usta.

— Gdzie Juliana? — spytał i śniada twarz Lupity, która usługiwała przy stole, aż poszarzała z emocji. Ale oczy mojej matki zapłonęły blaskiem triumfu ponad stołem.

— Wyjechała! — powiedziała mu, jakby od dawna czekała na tę chwilę. — Wczoraj wieczorem poślubiła Vance'a Rutherforda u państwa Coddomów. W tej chwili są w połowie drogi do Kansas City.

Nie śmiałem podnieść oczu. Siedząc nad talerzem z parującym stekiem z antylopy zrozumiałem nagle, czemu ubiegłej nocy Juliana przyszła mnie pocałować. I przez długą chwilę widziałem ją jak żywą w niebieskiej aksamitnej sukience i Vance'a Rutherforda ze świeżym nagietkiem pustynnym w butonierce, siedzących obok siebie w weselnej karecie, która mknęła na północny wschód pozostawiając za sobą złotawą chmurę kurzu. Teraz, w wiele godzin po ich odjeździe, zdawało mi się, że wciąż widzę tę smugę kurzu, pozostałą po nich na równinie w spokojnym październikowym słońcu jak długi, nieruchomy palec ukazujący ojcu kierunek, w którym odjechali.

Wciąż oczekiwałem łoskotu odsuwanego krzesła i rozkazu, aby Trinidad zaprzęgał Księcia i Custera, najszybszy zaprzęg ojca. Gdy wreszcie podniosłem wzrok, ojciec już zdołał się opanować. Ale jego twarz miała w sobie coś z lekkiej szarości zimowego śniegu pod gąszczem świerków na samotnej, potężnej górze Jeddo.

Nie odezwał się już do końca kolacji. Lupita chodziła na palcach wokół stołu. Posiłek dłużył się nieznośnie. I chociaż ojciec wyraźnie stracił apetyt, nie pozwolił sobie na zjedzenie bodaj kęsa mniej niż zwykle. Kiedy wstał, żeby się udać do sklepu, który zawsze był otwarty do dziesiątej, z pewnością zdawał sobie sprawę, że każdy subiekt i klient o wszystkim już prawdopodobnie wie. Wyprostowany i z uniesioną głową, z ogniem tlącym się w głębokich oczach dla ostrzeżenia wszystkich napotkanych, wyszedł równym krokiem w zmierzch.

Juliana pisywała do matki listy pełne jasnych obrazków z jej nowego życia. Mieszkała z Vancem w pięknym domu z cegły i z marmurowymi schodkami w Kansas City. Kupiła sobie prześliczną brązową suknię szewiotową z perłowymi guzikami i dobrany do niej pod kolor berecik z piórami. W każdą niedzielę chodzili z Vancem do kościoła i już przy śniadaniu mogła przeczytać w gazecie najświeższe wiadomości. Jej listy kończyły się tak: „Serdeczne ucałowania dla taty i Johnniego. Wasza kochająca córka — Juliana". Nigdy jednak nie słyszałem, aby matka ośmieliła się przekazać ojcu te ucałowania.

Przez całą zimę nie wymieniałem przy ojcu imienia Juliany i nie słyszałem, by on je wymieniał. Kiedy czasami widywałem go, jak chodzi sztywny i milczący po domu, czułem, że chce po prostu siłą woli zniszczyć jej widmową obecność w naszym hallu i pokojach, składach i nawet w całym Terytorium. Z wiosną odnosiło się już wrażenie, jakby Juliany tu nigdy nie było. Ale kiedyś moja matka przeczytała głośno w „Enterprise", że państwo Coddomowie odwiedzili Kansas City, a kiedy doszła do słów: „złożyli wizytę pani Rutherford, z domu Gant", jakaś zasłonka w mojej duszy opadła i nagle znów poczułem obecność Juliany w naszym domu, zupełnie jakby przebywała wśród nas we własnej osobie.

I tylko w taki właśnie sposób przybyła do nas w ów wietrzny dzień kwietniowy, kiedy nad równiną unosiły się żółte płachty kurzu. Zajechał powóz prywatny, żeby kupić obrok w naszej stajni. Ktoś wszedł na podwórko i wkrótce z hallu nadeszła spiesznie siara Piedad z wyrazem konsternacji na pomarszczonej twarzy. Zaciekawiony podszedłem do drzwi i przez chwilę miałem wrażenie, że przyjechała Juliana. Był to jednak Vance Rutherford, nieco tęższy i dojrzalszy, z twarzą pełniejszą i bardziej męską, rudawym wąsikiem i jak zawsze nagietkiem w butonierce.

Stałem w drzwiach zaniepokojony, nie bardzo wiedząc, co zrobić lub powiedzieć, ale już z głośnym szumem tafty weszła zawiadomiona przez Piedad matka, ujęła Vance'a za obie ręce, pocałowała go i zarzuciła mnóstwem pytań o Julianę.

— Juliana czuje się świetnie — odrzekł Vance. — Chciała jechać ze mną, ale jestem tu w interesie. — Twarz mu spoważniała. — Muszę zobaczyć się z panem Gantem w sklepie i zaraz ruszam w powrotną drogę, ale obiecałem, że najpierw zobaczę się z wami, żeby móc jej powiedzieć, jak wszyscy wyglądacie.

Na wzmiankę o ojcu w jej oczach zamigotał blask. Widziałem, że bardzo pragnęła poznać powód tej wizyty, ale Vance nie kwapił się z wyjaśnieniem, więc kiedy udał się do sklepu, skłoniła mnie gorączkowo,

abym ruszył za nim, jakby moje towarzystwo mogło mu w jakiś tajemniczy braterski sposób zapewnić łaski mego ojca.

Sklep był ostatnim miejscem na świecie, w którym w tej chwili pragnąłbym się znaleźć, toteż z ponurą miną kopałem butem każdą kość i róg, jakie znalazłem na ziemi po drodze do szerokich schodów. Przez otwarte drzwi widziałem ojca, który stał z założonymi za plecy rękami w kręgu słuchających go z szacunkiem ludzi, zwrócony tyłem do zimnego, opasłego pieca. Odstąpiłem dyskretnie na bok, aby przepuścić Vance'a Rutherforda przodem.

Vance'a Rutherforda znało z widzenia zaledwie paru naszych klientów, jednakże kiedy wyminęliśmy stos derek leżących u drzwi, nagle w atmosferze tego wielkiego sklepu pojawiło się coś, czego przedtem nie było. Ike Roehl stojący w połowie drabiny upuścił bezdźwięcznie całe naręcze damskich sweterków ina ladę. Rozmawiający przy beczkach z cukrem w głębi sklepu subiekt i klient nagle umilkli. W milczeniu, które zapanowało, słyszałem grzechot okien i szelest ziarenek piasku uderzających o malutkie szybki A zawieszone na gwoździach u sufitu rzędy drewnianych kubłów chwiały się bezszelestnie w przeciągu.

— Czy mógłbym porozmawiać, z panem chwilę w pana kancelarii, panie Gant? — spytał Vance Rutherford.

Myślałem, że do twarzy mego ojca uderzy wulkaniczna wściekłość, od której, jak często widywałem, ludzie kurczyli się w sobie. Tymczasem opanowała go jakaś dziwna przewrotność. Niedawno doglądał ładowania wełny na wozy jednego ze swoich taborów wyruszających na wschód. Wywinięte rondo jego kapelusza było szare od kurzu, Kosmyki wełny poprzywierały do materiału i guzików jego ubrania. A teraz stał z brodą na wpół opuszczoną na pierś i półprzymkniętymi oczyma, jakby tą pełną zadumy ospałością chciał odepchnąć od siebie kogoś, kogo ogromnie nie lubił.

— Może pan powiedzieć wszystko, co ma pan do powiedzenia tutaj — burknął.

Vance Rutherford stał bardzo wyprostowany, ale zauważyłem, że zagryzł wargę.

— Chciałem porozmawiać z panem poufnie — zaczerwienił się — aby mógł pan postąpić tak, jak pan uzna za najstosowniejsze w tej sprawie. — Odczekał kilka chwil. — Skoro pan mnie zmusza, abym uczynił z tego własność publiczną, nie pozostaje mi nic innego. — Zaczekał znowu, a kiedy ojciec nie uczynił żadnego ruchu i nie zmienił wyrazu twarzy, jego twarz stała się jeszcze markotniejsza i surowsza i zobaczyłem, że nie zatraciła nic ze swojej bojowości. — Kolej wkracza na Terytorium! — obwieścił z napięciem. — W maju zaczynamy kłaść tory przez granicę.

Żaden z przysłuchujących się nie poruszył nawet palcem, ale poczułem, jak przez sklep przechodzi jakiś elektryzujący wiew. Tylko mój ojciec wydawał się nań uodporniony. Wciąż stał jak drzemiący bawół, tylko częściowo świadom tego, co się wokół dzieje.

— Dojdziecie do Capitan? — spytał.

— Za rok będą już do Capitan jeździły pociągi — rzekł Vance Rutherford.

Ojciec uniósł swoją masywną głowę i ujrzałem jego głębokie pałające oczy.

— Macie jeszcze akcje kolejowe na sprzedaż?

— Mamy, proszę pana — odparł prostodusznie Vance Rutherford. — Budowa kolei wymaga pieniędzy.

— Domyślam się — grzmiał ojciec — że zamierzacie wydać tu w Terytorium miliony.

— Miliony! — przyznał Vance Rutherford. — Ale te miliony zwrócą się nam z nawiązką, gdy tylko kolej zacznie kursować. — Pochylił się mówiąc z przejęciem: — Pan jest pionierem w tym kraju. Musiał pan stawić czoła dzikim i przestępcom, ale te dni już się kończą. Terytorium stoi u progu rozkwitu. Wraz z koleją przybywają fale nowych ludzi. Wszędzie zaczną wyrastać szkoły i kościoły. Terytorium stanie się imperium, południowo-zachodnim imperium, proszę pana. Już widzę, jak za kilka lat zdąża pociąg za pociągiem wiozący poprzez ogromne przestrzenie od Missisipi do Pacyfiku pełne wagony podróżnych i drogich towarów!

Byłem zafascynowany jego elokwencją. Jego głos i entuzjazm miał w sobie magię przekonywania i przez chwilę sam miałem przed oczami pociąg mknący triumfalnie przez naszą równinę San Bias i umykających w popłochu Indian i Meksykanów. I patrząc w wytrzeszczone oczy starych siwych woźniców byłem przekonany, że oni również to widzą.

Vance Rutherford jakby zdawał sobie sprawę ze swojej władzy nad nimi. Ciągnął więc dalej prosząco:

— Panie Gant, pan jest właścicielem jednej z największych firm przewozowych w kraju. Pan zna swój fach, a skoro tak jest, musi pan wiedzieć, że minęły już dni wołów i mułów. Wie pan, co stało się na trasie Santa Fe w Kansas. Wie pan, co stanie się z pana firmą przewozową na Terytorium, jak tylko zaczną kursować pociągi do Capitan. Czy nie uważa pan, że zrobi pan dobry interes, jeśli pan sprzeda wozy i muły, póki jest jeszcze na nie popyt, i włoży pieniądze w akcje kolei?

Usłyszałem dźwięk podobny do głębokiego, długo tłumionego pomruku i zanim spojrzałem, wiedziałem, że mój ojciec uniósł swą potężną głowę i stał, silny i niewzruszony, ze zmierzwioną brodą zadartą wyzywająco do góry i zielonym jak blask Syriusza ogniem w oczach.

— Nie! — ryknął, a blaszane przedmioty na półkach powtórzyły jego decyzję cichym brzękiem. — Moje zainteresowanie waszymi akcjami, młody człowieku, ogranicza się tylko do tego, czy będzie warto tobie i urzędnikom waszej czternastomilionowej kolei dać obrok na kredyt, gdy będziecie tędy przejeżdżali!

Ujrzałem, jak Al Sleeper otwiera usta w bezgłośnym śmiechu, a jeden z rancheros z Tres Ritos tak samo bezgłośnie uderza się ręką po udzie. Czar kolei bezpowrotnie prysł. Klienci i gapie trącali się łokciami, a Vance Rutherford wyglądał, jakby go spoliczkowano. Skronie mu zadrgały, ale nie ustępował.

— Sądzę, panie Gant — rzekł siląc się, aby zachować godność — że jeśli kolej kiedykolwiek o to poprosi, będzie pan mógł z całym zaufaniem udzielić jej kredytu na obrok.

Myślałem, że po tych słowach wyjdzie, ale przez długą jeszcze chwilę dwaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie; obaj nieugięci i o żelaznej woli; jeden z nich młody, elegancki, z kwiatkiem w butonierce, drugi starszy, potężny, z kłakami wełny i kurzem na ubraniu; jeden reprezentujący nową epokę, drugi starą. Potem młodszy obrócił się w milczeniu i wyszedł.

Wiadomość o bliskiej budowie linii kolejowej rozeszła się po Terytorium jak wieść o znalezieniu żyły złota. Każdy omnibus i tabor, każdy pojazd przywoził o niej nowe opowieści. Kolej zawiera kontrakty na niwelację, dostawę podkładów, belek do budowy mostów i słupów telegraficznych. Pośrednicy kolejowi skupują stada koni i mułów. Kolej przebija tunele przez góry San Dimas. Kolej przekracza góry wzdłuż dawnego traktu konnego. Całe lato i jesień kładziono od jednej do dwóch mil torów dziennie.

Około Bożego Narodzenia ulubionym powiedzonkiem woźniców powracających z pracy przy kładzeniu torów stało się: „Strzeż się lokomotywy!" Opowiadali, że senna meksykańska wioska La Luz rozkwitła od chwili, gdy dotarła do niej kolej. „Enterprise" obwieściło z dumą, że zakłady Baldwina budują nową, olbrzymią osiemdziesięciotonową lokomotywę specjalnie dla Terytorium i że będzie ona „w rękach ludzi w pełni kompetentnych do obchodzenia się z tym potworem". W dalszym ciągu dodano, że Vance Rutherford, inżynier kolejowy, obiecał adwokatowi Henrykowi Goddomowi, że wykorzysta wszelkie dostępne mu środki, aby przyśpieszyć budowę i aby z dniem 4-go lipca zaczęły kursować pociągi do Capitan.

W następnym numerze „Enterprise" sklepy Capitan ogłaszały wymyślnym drukiem, że zaprzestały sprowadzania towarów ze wschodu do czasu kiedy będą dowożone taniej i bezpieczniej koleją parową. Matka zawsze czuła wstręt do szlaku, z jego tumanami kurzu, wrzaskami i przekleństwami woźniców, trzaskaniem batów, dzwonieniem lonów i ślimaczą powolnością długich szeregów powiązanych łańcuchami wołów. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze odgradzała się od tego wszystkiego ciężkimi brązowymi kotarami. Teraz jednak zaczęła je rozsuwać i siadywała ze swoją robótką w miejscu, skąd mogła widzieć, jak nareszcie ruch na starym szlaku z wolna, ale nieubłaganie zanika niby ostatnie światło dnia o wieczorze. To wrażenie, jakby kolej była tuż za wzgórzem i bezlitośnie spychała skrzypiące wozy z drogi, sprawiało jej satysfakcję.

Wiedziałem, że każda zdjęta z wozu plandeka i znieruchomiałe koło były jak rak drążący skrycie serce mego ojca. Nigdy nie napomykał o tym, ale jadąc z nim powozikiem do Capitan, widziałem stalowe błyski w jego oczach, gdy zobaczył sztaby miedzi, które jeszcze niedawno sam transportował do Kansas, złożone w ogromnych stosach w miejscu, gdzie miała powstać stacja. Nie oglądał się też na boki, kiedy mijaliśmy wozy, z których wyładowywano wełnę i skóry i układano w magazynach z niewypalanej cegły, które wyrosły jak kretowiska na obszarze zakupionym u Henryka Coddoma pod budowę nowej dzielnicy, zwanej już teraz Nowym Miastem.

Właściwie w Capitan tak samo jak na pustynnych wzgórzach nie było widać ni śladu kolei, ale koło naszego sklepu zaczęły co dzień przeciągać

wozy z towarem. Noc w noc kowboje uświetniali budowę kolei strzelaniną w mieście. Mówiono, że z chwilą zainstalowania telegrafu „Enterprise" stanie się pismem codziennym. Zauważyłem, że bracia Strome rozebrali swoją starą drewnianą konowięź i postawili pojedyncze słupki z łańcuchami, na sposób prawdziwie miejski. A „Enterprise" chlubiło się, że w mieście nie ma już ani jednego pustego domu.

Nie widziałem jeszcze kolei w swoim krótkim życiu i zdawało mi się, że nasz sklep i szlak ginie od jakiejś niewidocznej, tajemniczej broni w ręku Vance'a Rutherforda? Tego ranka zauważyłem, że ojciec zadziera głowę, żeby popatrzeć na północny wschód. Spojrzawszy w tamtą stronę zobaczyłem wiszącą nad zielenią prerii niby czarną chmurę pyłu - nareszcie kolej. I kiedy ojciec patrzył na ten dym bijący uporczywie w niebo na odległym horyzoncie, zauważyłem na jego zarośniętej twarzy to samo gwałtowne wyzwanie co tego dnia, kiedy obozując wśród stad naszych owiec nad Rio Cedro spostrzegliśmy Komanczów czy też Kiowów dających sygnały dymne z okolicznych wzgórz.

Odtąd czarny dym pojawiał się nad horyzontem co ranka i wyobraziłem sobie, że to potężny oddech Vance'a Rutherforda posuwający się wytrwale, milcząco, nieubłaganie na południowy zachód w stronę Capitan. Najpierw przeszedł przez czerwony płaskowyż, a potem na kilka dni zamienił dziką górę Jeddo w czynny wulkan. A gdy któregoś dnia znalazł się o kilka mil od nas, nie wytrzymałem i nie mówiąc nic nikomu pogalopowałem na kucu przez równiną na zarośnięte trawą wzniesienie, skąd zobaczyłem, jak całe zbocze zostało pokrojone niby keks. Preria w tym miejscu wrzała od ludzi, zaprzęgów, wozów, pługów i drag. Powietrze wypełniały błyski wznoszonych kilofów, łopat i stalowych młotów. A w tyle za nimi pełzając z sykiem to w przód, to w tył, z porykiwaniem zdolnym zagłuszyć kuguara — sunął po szynach jeden z ujarzmionych stalowych potworów Vance'a Rutherforda.

Byłem jeszcze dzieckiem, ale już wiedziałem jadąc w zamyśleniu z powrotem do domu, że w tym, co moja matka zwała cywilizacją, nie ma pardonu, kompromisu, nie ma litości. Wiedziałem, że tó nie to samo, co z pasącym się na wybiegu kucem, który pomęczy cię z godzinę, ale da się wreszcie schwytać; nie to samo, co z taborem wozów, który cię wita ciepłem koca, jadłem i czerwonawym blaskiem ogniska. Ta cywilizacja była zupełnie innej natury, przynależna do innej i nowszej epoki.

Nie zauważyłem, aby ojciec przyjrzawszy mu się raz z wyzwaniem w oczach jeszcze kiedykolwiek dopuścił do swej świadomości obecność tego czarnego dymu. W sklepie, w momencie zjawienia się ojca zmieniano temat rozmowy. Tylko raz słyszałem później, jak mówił o kolei. Jakiś pasażer przejeżdżającego omnibusu chwalił się, że pociąg linii Missisipi-Pacyfik gnał przez równiny z szybkością dwudziestu pięciu mil na godzinę. Wówczas ojciec odwrócił się powoli i spojrzał na mówiącego takim wzrokiem/ że ten aż się zmieszał.

— Tyle samo potrafi wyciągnąć jeden z moich kentuckich zaprzęgów, mój panie! — powiedział z pogardą. — A jeśli droga prowadzi pod górę, założę się o każdą sumę, że zdołam pobić na głowę ten wasz pociąg!

Ale w kilka godzin po odjeździe omnibusu zobaczyłem, jak miarowym krokiem obchodził tabor swoich stojących bezczynnie wozów za magazynem - rzecz dotychczas niesłychana. Stały nieme, opuszczone, przygnębiające, niby żywe przypomnienie tego, co minęło. A późnym wieczorem tego samego dnia, gdy matka kazała mi odnieść gazetę z St. Louis do jego kancelarii - myślę, że nie usłyszał moich kroków, bo doszedł mnie z jego sypialni głęboki, niewiarygodny odgłos jakby modlitwy, który mnie przykuł do ziemi. Nie mogłem zrozumieć ani słowa, ale świadomość, że mój silny ojciec tak się w skrytości załamał, wstrząsnęła mną do głębi.

Nazajutrz przy śniadaniu był znów krzepki i mocny jak zawsze i powiedziałem sobie, że musiałem się pomylić. A po południu byłem już pewien, że się pomyliłem. Liczyłem dwudziesto-, dziesięcio- i pięciodolarowe sztuki złota, srebrne dolary, pół- i ćwierć- dolarówki — drobniejszych monet nie było - przy wyświechtanym biurku ojca w kancelarii, kiedy zobaczyłem przez okno wysiadającego z faetonu adwokata Coddoma z wyrazem zdecydowania na twarzy. Obaj panowie nie widzieli się od czasu ślubu Juliany w salonie państwa Coddomów, a ponieważ pan Coddom został radcą prawnym kolei Terytorium, czułem, jak w powietrzu zbierają się chmury. Kiedy Piedad przyprowadziła gościa do kancelarii, powiedział, że pragnie porozmawiać z ojcem poufnie, i od-prawiono mnie.

Dwadzieścia minut później Henry Coddom wyszedł z miną skarconego ucznia, z kapeluszem w dłoni i z purpurową twarzą. A kiedy ojciec wszedł do hallu, aby mi kazać skończyć liczenie, jeszcze miał sztylety w oczach i był stanowczy i niepokonany jak nigdy. Potem zdał sobie sprawę, że w drzwiach do pokoju stoi matka z zaróżowionymi policzkami i gazetą w ręku.

— Nettie — skłonił głowę.

— Frank! — powiedziała błagalnym tonem. — Chyba nie odrzuciłeś zaproszenia?

— Zaproszenia? — Przewiercił ją swoim bezkompromisowym wzrokiem.

— Czytałam o tym w „Enterprise”! — ciągnęła matka gorączkowo. — Czwartego lipca puszczają pierwszy pociąg do Capitan. Całe Terytorium weźmie udział w uroczystości. Oczekują tłumów ze wszystkich okręgów. W La Luz wsiądzie do pociągu gubernator, sędziowie, politycy i wszystkie ważne osobistości Terytorium i przyjadą do Capitan. Będzie też gubernator Kansas z żoną i orkiestra z Kansas. Posłano telegram z zaproszeniem do prezydenta Hayesa.

Twarz mojego ojca była jak z granitu.

— Nie otrzymałem żadnego zaproszenia — odparł szorstko. — Henry Coddom przybył tylko po to, aby mi powiedzieć, że ciągną dalej, aż do Kalifornii. — Oczy mu płonęły. — Potrzebne im jest osiemdziesiąt mil mojej ziemi. Chcą przeprowadzić kolej kanionem Bonito. Chcą poczernić sadzą moje trawy, puścić pociągi między stadami moich owiec, nautykać osadników wzdłuż Bonito, od Wielkiej Równiny po Dolinę Ganta.

Nie jestem pewien, czy matka go słyszała.

— Frank — ciągnęła dalej z rozpaczą w głosie — to najwspanialsza rzecz, jaka się kiedykolwiek zdarzyła w Terytorium. Kolej urządza bankiet w Wooton House. Będą tańczyli do rana. I będą tam wszyscy urzędnicy kolejowi z żonami!

Zabrzmiało to tak, jakby matka wymieniła Vance'a Rutherforda i Julianę z nazwiska. Uczyniwszy nadludzki wysiłek, aby się opanować, ojciec obrócił się i wyszedł bez słowa do kancelarii.

I przez cały czas, ustawiając palcami grube kolumny białych i żółtych monet, czułem, jak miota nim wzburzenie. A z następnego numeru „Enterprise" dowiedzieliśmy się, że towarzystwo budowy kolei ośmiela się zawlec go wkrótce, niczym drobnego złodziejaszka albo bydłokrada, przed sąd okręgu Bonito, tego ogromnego obszaru, który w połowie był jego własnością, aby udowodnić ojcu, że nie może wzbraniać kolei osiemdziesięciu mil swoich najlepszych nadrzecznych pastwisk.

Od tej pory całymi dniami ojciec nie oddalał się od domu, milczący i nieprzejednany, oczekując wezwania do sądu. A kiedy dostrzegłem matowe błyski w jego oczach, wiedziałem, że kuje pioruny, które później będzie rzucał w tym małym budyneczku z niewypalanej cegły w Bonito, gdzie mieścił się sąd. Oczywiście, pan Stryker, jego adwokat, pojedzie razem z nim, ale to mój ojciec, a nie ktokolwiek inny, będzie grał w sądzie pierwsze skrzypce.

— Żaden sędzia tego Terytorium — oświadczył Al Sleeper — nie mógłby patrząc Frankowi Gantowi w oczy ze spokojnym sumieniem przekazać jego ziem Henrykowi Coddomowi i kolei kansaskiej.

Ojciec czekał tydzień za tygodniem, a kolej tymczasem sięgnęła żelaznym ramieniem Capitan; czerwiec dobiegał końca i bułana klacz Juliany urodziła już drugie źrebię, którego Juliana nigdy nie widziała. I cały ten czas dostrzegałem w oczach matki nadzieją, że może sprawa nie została jeszcze oddana do rozpatrzenia sędziemu Tatumowi w Bonito, a sędzia i Vance Rutherford przyjadą do ojca prywatnie i dojdą z nim bez sądu do porozumienia tak, że zdąży jeszcze wziąć udział w uroczystościach. Wiedziałem, że jeśli ktokolwiek potrafi coś wyperswadować ojcu, to tylko sędzia Tatum, którego często widywałem w kancelarii. Był to niezwykle wysoki mężczyzna o twarzy gniadosza, który zwykł siadywać niedbale z długimi nogami wspartymi o blat ojcowego biurka, gdzie stał opasły dzban whisky i spory kubek, a ojciec śmiał się pobłażliwie przez gęstwę swojej brody z jego opowieści.

A potem wszelka nadzieja, że ojciec weźmie udział w uroczystości, uszła z oczu matki. Na nasz dziedziniec wpadł na spienionym koniu jeden ze starych pastuchów ojca, Gil Jaramillo. Wysoki, trupioblady, z oczyma płonącymi szaleńczym blaskiem, charakterystycznym dla tych wielu, którzy całe życie spędzili przy owcach, wykrzyknął w podnieceniu „Amos", gdy tylko stanął w drzwiach. A kiedy ojciec wyszedł do hallu, Gil wyjąkał po hiszpańsku, że pasterze stad znakowanych poprzecznym V, których pastwiska graniczą z naszymi pastwiskami nad Rio Cedro, napadli na jego stada, wpędzając część owiec do rzeki, a resztę rozganiając wilkom i kojotom na pożarcie, a nadzorcę i pasterzy ciężko poturbowali.

Oczekiwałem, że twarz mojego ojca zapłonie gniewem. Ojciec jednakże przyjął to z takim spokojem, jakby wieść o gwałcie i rozlewie krwi przyniosła mu niemal ulgę w tym bezustannym oczekiwaniu na pozew do sądu. W niespełna godzinę wyruszył ku Rio Cedro siedząc w swoim powoziku niby król, a smagły i silny Trinidad obok niego; za nimi zaś galopowały w kurzu wzniecanym kołami zapasowe konie. I długo po jego odjeździe widziałem oczami wyobraźni, jak pogania konie mknąc przez obszary równe połowie Francji. Kozy z powiewającymi brodami uskakują na boki, gałęzie cedrów po obu stronach wąskiej drogi biją w powoziku; później ojciec spędza noc w lichej placita, a jeśli jest we wsi jakieś łóżko, to śpi na nim, wreszcie mierzy się z wrogami, którzy zawsze w jego rękach byli niczym wosk.

Cieszyłem się, że nie było go tego wieczora, kiedy przyjechał wysłannik z okręgu Bonito, żeby pokornie wręczyć pozew. Ale w spojrzeniu szarych oczu Ala Sleepera były dziwne błyski, a pod wąsem spływającym z jego twarzy jak wodospad usta wyglądały groźnie. Po rozmowie z moją matką, nazajutrz wczesnym rankiem, posłał za ojcem z pozwem jednego z Meksykanów na koniu, ale wiedziałem, że to było tak, jakby zięba pustynna próbowała schwytać orła.

Dom po odjeździe ojca wydawał się jak klasztor. Okoliczni wieśniacy pytali, czy nie pojedziemy z gubernatorem strojnym flagami pociągiem. Odpowiadałem, że nie lubimy tłumów, że mamy mnóstwo flag w domu i poczekamy, aż w Capitan zrobi się trochę luźniej. Kiwali na to głowami z powagą, bo byli to grzeczni Meksykanie, ale wiedzieli tak samo jak ja, czemu nie jedziemy.

A teraz od rana do nocy ciągnęli obok naszego domu do Capitan rozmaici ludzie — amerykańscy ranczerzy i górnicy na koniach, w powozach i brykach; rodziny oficerów z Fort Gates w wojskowych ambulansach, z odsuniętymi, żeby był lepszy przewiew, firankami, ale głównie krajowcy, którzy nigdy jeszcze nie widzieli stalowego konia: rodziny meksykańskie w ciężkich wozach, w nielicznych prywatnych powozach i konno; Indianie Uta zdobni w kolorowe wstążki i ich kościste kuce obładowane towarami na wymianę; i wyniośli Nawahowie w czerwonych perkalach i niebieskich aksamitach, brzęczący srebrem.

Czwartego lipca około południa cały ten pochód się skończył.

O godzinie pierwszej przejechał koło naszego domu, już po raz ostatni, podążający na zachód omnibus pełen pasażerów. Nawet się nie zatrzymał, tylko zrzucono z niego w przejeździe skórzaną torbę z naszą pocztą. A gdy przejechał i na szlaku znowu zapanowała cisza, zdałem sobie nagle sprawę, że wygląda on inaczej niż przedtem - stary, zniszczony, opuszczony, niemal jak ruiny starożytnej camino, której szczątki biegną przez równinę.

Około drugiej spostrzegłem w dali na północnym wschodzie chmurkę pyłu, która zbliżała się szybko, i wkrótce poznałem nasz zaprzęg gniadoszy gnający resztką sił ku domowi. Ojciec powoził, | obok niego wciąż siedział Trinidad, ale za powozikiem galopował tylko jeden koń. Ojciec zawrócił spienione, z wybałuszonymi z wysiłku oczyma konie na nasze podwórko i kiedy wśliznąłem się z powrotem do hallu, powiedział

coś Trinidadowi, który natychmiast odjechał. Zauważyłem przez otwarte drzwi, że matka zesztywniała na fotelu i obronnym gestem schyliła się nad robótką.

Wchodząc ojciec ledwie mnie zauważył, ponury i zmizerowany, z kapeluszem, brodą i ubraniem pokrytymi warstwą kurzu. Zatrzymał się na środku hallu, skąd mógł rzucić marsowe spojrzenie w głąb pokoju matki.

— Był tu Stryker?

Druty matki nie przestały się poruszać.

— Był wczoraj — odparła.

— I co? — wydyszał ciężko.

— Sędzia Tatum wyznaczył komisję, która dokona wywłaszczenia. — Usta matki były jak wąskie paseczki. — Powiedział panu Strykerowi, że żadna jednostka nie może stanąć na drodze postępu i kolei.

Ojciec ani drgnął. Matka próbowała zmienić temat.

— Czy załagodziłeś spór o owce?

— Nie było żadnego sporu — odparł ojciec ostro.

— Co to znaczy? — Po raz pierwszy podniosła wzrok.

— To znaczy — odrzekł ojciec i teraz, kiedy już zaczął mówić, słowa popłynęły z jego ust wzburzonym potokiem — że postęp nie gardzi w swoich dążeniach podłym oszustwem! — Z jego oczu strzeliła zielona błyskawica, która błyskała za każdym następnym zdaniem, raz po raz przebiegając swoją zygzakowatą ścieżkę, jak to często widywałem na tle chmur. — Nie było żadnych zatargów o owce. Nikt nie zabił żadnego z pasterzy. Nie tknął nawet jagnięcia. Ktoś opłacił Gila Jaramillo, żeby tu przyszedł. Przekupili go, żeby mi nakłamał. Chcąc, abym się nie stawił w sądzie sędziego Tatuma, zmusili mnie do przejechania setek mil i zajeżdżenia na śmierć jednego z moich najlepszych koni! — Po czym odwrócił się i wszedł do kancelarii.

Zdawało mi się, że słyszę, jak się krząta po swojej sypialni. Na dziedzińcu rozległ się turkot kół i zobaczyłem przez szybę obok drzwi Trinidada zajeżdżającego odkrytym powozem na czerwonych kołach.

Ojciec wyszedł niemal natychmiast. Zmienił ubranie, ale wciąż miał zakurzone brwi i brodę. W ręku trzymał harap, którym kiedyś zbił jednego z pasterzy za arcyzbrodnię porzucenia stada owiec, i widziałem jeszcze na tym biczu zaschnięte plamki czerwieni.

— Frank! — krzyknęła matka. Podbiegła do drzwi — Dokąd jedziesz?

Nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Sądzę, że nawet nie zdawał sobie sprawy, że matka do niego mówi.

— Frank! — wrzasnęła za nim. — Gila Jaramillo z całą pewnością nie przekupił ani Vance Rutherford, ani kolej! Oni by się nigdy nie poniżyli do takiego stopnia!

Wyszedł. Jeszcze nie widziałem, żeby moja matka tak szybko się poruszała. Jej spódnice jakby szeptały w przerażeniu, sunąc po podłodze. Chwyciła mnie za ramię.

— Proś, żeby cię zabrał ze sobą! — błagała mnie. — On nigdy nie robi tych gwałtownych rzeczy, kiedy jesteś przy nim! — Wypchnęła mnie przez drzwi i zobaczyłem odblask słońca na lśniących bokach tańczących w miejscu kentuckich koni.

Przebiegłem na prawą stronę, gdzie sprężyny już mocno osiadły pod ciężarem ojca.

— Ja też chcę jechać, tato! — krzyknąłem.

Spojrzał na mnie z wysoka.

— Jesteś pewien, że chcesz? — spytał i od spojrzenia jego szalonych oczu zimny dreszcz przebiegł mi po plecach, ale kiwnąłem głową. Kazał siedzącemu obojętnie Trinidadowi zsiąść, a ja wspiąłem się na jego miejsce. Książę i Custer szalały z niecierpliwości. Nie zaprzęgano ich od wielu dni. Ojciec ściągnął lejce jedną ręką, konie stawały dęba.

— Spokojnie, koniki — wycedził przez zęby. — Będziemy mieli mnóstwo czasu, jak tam zajedziemy.

Skulony na siedzeniu mówiłem sobie, że to nie do wiary, aby coś złego miało się stać w taki dzień. Niebo było jak błękitna czasza, a w nozdrzach miałem woń trawy pachnącej świeżością po nocnym deszczu. Dzierlatki śmieciuszki przemykały przed końmi. Błaznował biegacz pustynny wznosząc i opuszczając komicznie swój czub i długi ogon. Ale nie śmiałem się. Przed nami, niby kolonia grzybów wyrosłych na prerii, widziałem dachy Capitan.

W połowie drogi przez prerię coś lśniło wśród traw - dwie szyny toru. Od tego miejsca do Capitan biegły prosto jak strzała, tuż obok drogi, jakby chcąc ośmieszyć koleiny wyżłobione w ziemi, niezgrabne zakręty i wyrwy powstałe po ulewach na starym rozjeżdżonym szlaku konnym. Tutaj tor wrzynał się zuchwale w szlak i lekki powóz podskoczył na belkach przejazdu, ale ojciec nie dał po sobie poznać, że w ogóle zauważa kolej - nawet wtedy, kiedy nad prerią za naszymi plecami rozległ się zawodzący gwizd i nie odwracając głowy wiedziałem, że horyzont, jak w nadciągającą burzę, jest przysłonięty dymem.

Kiedy przejechaliśmy jeszcze parę mil, oddalone zaledwie o kilka jardów od szlaku szyny zaczęły. postukiwać. Konie zaniepokoiły się i rzucały za siebie spłoszone spojrzenia, ale ojciec trzymał lejce żelazną dłonią. Obróciwszy się widziałem, jak popołudniowe słońce błyszczy na czymś, co porusza się za nami, ściga nas bez charakterystycznego wznoszenia się, i opadania galopującego bawołu, tylko gładko prześlizguje się wśród traw jak wąż. Pękaty komin lokomotywy sterczał wysoko, jak szyja wielbłąda, kocioł był wielki jak brzuch koński, a pod nim, na własnych malutkich kółkach, spychacz do usuwania krów i innych przeszkód z drogi, długi i zaostrzony jak nos sędziego Tatuma. W umieszczonej wysoko nad ziemią jak powóz budce jechał mężczyzna, a za nim wagony inauguracyjnego pociągu.

Teraz słyszałem już dźwięki orkiestry dętej z wagonów. Orkiestra grała dixie. Cały pociąg zrównawszy się z nami tętnił wesołością. Czerwone, białe i niebieskie chorągiewki trzepotały przy latarniach, kominie i gwizdku. Dźwięczał triumfalnie dzwon. Wirowały kółeczka spychacza. Czarno-złote tłoki poruszały się to w przód, to w tył. Ludzie przyciskali twarze do szyb w małych kwadratowych oknach, a na odsłoniętych platformach krótkich pudełkowatych wagoników stali mężczyźni trzymając się żelaznych poręczy i kół hamulcowych, Ojciec jednak poświęcał temu wszystkiemu tyle uwagi, jakby ten pociąg w ogóle nie istniał.

Dotychczas droga i tory kolei biegły lekko w dół. Teraz pociąg dotarł do podnóża wzniesienia prowadzącego do Capitan. Maszyna zaczęła sapać potężnie i chmura iskier buchnęła nam w twarze, Nagle zdałem sobie sprawę, że chociaż ojciec siedzi obok mnie niczym brodaty posąg, jego żylaste palce popuściły nieco lejc i długo wstrzymywane konie idą cwałem.

Mówiłem sobie, że to nie może być wyścig, bo ojciec się nie ściga. Siedzi po prostu głuchy i nieprzystępny, teraz jednak wiem, że ze wszystkich wyścigów żywych koni z końmi mechanicznymi, jakie miały się kiedykolwiek rozegrać, ten był najbardziej dramatyczny. Z otwartych okien wagonów zaczęły się wychylać głowy. Pasażerowie machali do nas, szydzili i zagrzewali. Ale pociąg nie posuwał się szybciej od powozu.

Nagle coś we mnie jakby zamarło. Wyjrzawszy zza ojca ujrzałem twarz w oknie wagonu. Twarz tą była bardziej twarzą damy niż kiedyś, ale oczy pod kapelusikiem z chwiejącymi się piórami były te same. Oczy te patrzyły na ojca z wyrazem, którego nigdy nie zapomnę, nieomal tak samo jak wtedy, gdy weszła na palcach do pokoju matki przed dwoma laty. Był w nich tak błagalny wyraz, jakby patrzyła na samego Boga. Zaledwie trzydzieści, czterdzieści stóp dzieliło ją od ojca, ale równie dobrze mogła to być przestrzeń całego Kansas. Ojciec się nie obejrzał. Konie pędziły dalej, a kiedy znów spojrzałem w to okno, widziałem w szybie tylko odbicie nieba nad prerią - twarz Juliany znikła.

Musiałem się trzymać z całych sił chwiejącego się siedzenia. Pociąg obok nas sunął dość gładko, niemal ze wzgardą, po nowych szynach, a powóz toczył się po wyrwach i koleinach, mimo to jednak okno za oknem i wagon za wagonem - powóz z wolna wyprzedzał pociąg. Na wprost przed sobą widziałem gęsty wianek męskich kapeluszy i damskich parasolek wokół nowej stacji. Bliżej, po obu stronach torów, zielona równina rozkwitła namiotami i okrytymi plandekami wozami przyjezdnych. Na drodze przed nami pełno było Amerykanów, Meksykanów i Indian, którzy pierzchali na obie strony przed powozem wrzeszcząc i strzelając w powietrze.

Do dziś mam przed oczyma Księcia i Custera, jak biegną z wyciągniętymi łbami i rozwianymi grzywami, a przy każdym skoku mięśnie ich zadów to pojawiają się, to znikają niby wielopalczaste dłonie. Konie, zgięte w łuk ze strachu, dopędziły i minęły ciężko sapiącą lokomotywę, pozostawiając furkocące na wietrze kolorowe chorągiewki zdecydowanie w tyle. A ja pomyślałem z radością, że ojciec pobił na głowę pociąg inauguracyjny i upokorzył kolej na oczach połowy mieszkańców Terytorium. Potem zobaczyłem, że droga ostro skręca, i przypomniałem sobie, iż mamy przed sobą jeszcze jeden przejazd.

Nie było wcale potrzeby pa niego wjeżdżać. Ojciec mógł skręcić z nie ogrodzonej drogi na prerię. Ale nic nigdy ni Bóg ni diabeł, litość ni okrucieństwo — nie potrafiło go zmusić do zboczenia z raz obranej drogi. Wychylił się mocno w bok biorąc zakręt i wyrwał bat z tulejki, a powóz zatoczył się na dwóch kołach i pomknął ku przejazdowi.

Słyszałem poprzez łoskot pociągu dźwięki wspaniałej Orkiestry. Grała chyba „Kolumbia, Klejnot Oceanu”; A ponad tym wszystkim donośny gwizd lokomotywy obwieszczał, że pociąg hamuje przed stacją. Gwizd ten

wydawał się początkowo daleki, a potem zaczął przybierać na sile, aż wydawało mi się; że mi rozerwie uszy. Ojciec cisnął lejce i poczułem, jak chwyta mnie w ramiona. Rozległ się dźwięk, jakby się pod kimś załamały nogi krzepa, i rozmazana ziemia, lokomotywa i blade twarze mechanika i zgromadzonego tłumu zawirowały jak plamy na kole szlifierskim.

Nie był to wyraźny ból w plecach. Czułem się odrętwiały, niby przybity strzałą do ziemi. Oczy miałem jakby zaklejone piaskiem i pyłem, a kiedy otworzyłem je z wysiłkiem, widziałem koło siebie tylko gogusiowate kapelusze panów, którzy wysiedli z pociągu, i barwne kapelusiki pań obracające się wokół mnie w powolnym wirze.

Tylko jeden z tych kapelusików; wydał mi się znajomy. Był bardzo blisko, przystrojony w powiewające pióra, i wiedziałem, że gdzieś musiałem go już widzieć.

Jakiś tęgi pan w długim surducie ż aksamitnym kołnierzem przyłożył mi flaszeczkę do ust. Zakasłałem się i zakrztusiłem, ale gdy znów złapałem oddech, poczułem się lepiej.

— Gdzie mój ojciec? — zapytałem.

Ale oni tylko stali i patrzyli na mnie. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Vance'a Rutherforda. Był tuż obok, z kwiatkiem w butonierce, i pocieszał Julianę, która płakała gorzko. Kiedy zamknąłem oczy, wciąż widziałem ojca siedzącego obok mnie w powozie, wyniosłego, potężnego, stanowczego, z czarną brodą zwróconą z Uporem pod wiatr, z lejcami w żylastych palcach. Wszyscy ci ludzie i pociągu wydawali się słabi i bladzi w porównaniu z nim. Oni by nie potrafili, mówiłem sobie, wychłostać aż do krwi pastucha, który porzucił powierzone swej opiece owce. Chciałem się znaleźć przy ojcu. Wystarczyłoby jedno warknięcie jego obrośniętych ust, żeby ten cały tłum się rozpierzchł jak stado psów stepowych.

— Dokąd on poszedł?! — krzyknąłem i spróbowałem usiąść. Vance Rutherford i ów tęgi pan pomogli mi. Tłum odsunął się nieco Ale spomiędzy eleganckich spodni i barwnych, przystrojonych falbankami sukien widziałem tylko stalowe szyny torów biegnące triumfalnie ku zachodowi i połyskujące w słońcu niczym, cętkowane srebro.

Tłumaczenie Wacław Niepokólczycki

**Stewart Edward White**

## Złoto dla gościa
(Guest's Gold)

Nifty Barnes był sierotą. W zaułkach portowej dzielnicy Bostonu przeżył dziewiętnaście lat, z tego większość o własnych siłach: był chłopcem na posyłki, gazeciarzem, chwytał się każdej roboty. A że coraz to musiał bić się, choćby po to, by utrzymać, co zdobył, więc też wcześnie wyrobił w sobie bojowość i technikę. Kilka razy miał nawet okazję pokazać te umiejętności na ringu, ale nie zależało mu na zawodowstwie. W boksie zbyt dużo menażerów, działaczy i bukmacherów. Była to zgraja, z którą się miało ciągle do czynienia.

Nifty wolał być sam. Nie dość, że nie ufał swoim bliźnim, ale co więcej był przekonany, że ci, z którymi ma styczność, są mu zdecydowanie wrodzy. Bo czemużby nie? To nastawienie było powodem, że Nifty nie przyłączył się do żadnego gangu. Żył jak osaczony, warczący zwierz, tyle tylko że nie brakło mu buńczucznej pewności siebie. Fakt, że należenie do solidarnej grupy może być czasem bardzo pożądane, dotarł do jego świadomości, kiedy sprał na kwaśne jabłko Bugsa McCoya, a ten okazał się szefem jednego z bostońskich gangów.

Innymi słowy, Nifty Barnes był chojrak, jak głupi nawarzył sobie piwa, a że nie miał ochoty oberwać, musiał wiać. Co prawda zdarzyło się to wszystko mniej więcej sto lat temu i sam Nifty użyłby pewno innych słów, ale sytuacji to nie zmienia.

Co gorsza - nawarzył sobie aż takiego piwa, że musiał zamustrować na odpływającym do Kalifornii brygu „Merkury" pod kapitanem Ezechielem Stantonem i pierwszym oficerem Michaelem Dolanem. Zrobił to bez entuzjazmu, bo nie znał się zupełnie na statkach, nie popierał ciężkiej pracy ani w teorii, ani w praktyce, a pojęcie dyscypliny było mu wręcz nienawistne. Ale wszystko to zdawało się lepsze niż stawianie w pojedynkę czoła zorganizowanej mściwości całego gangu McCoya.

Zycie załogi „Merkurego" niewiele się różniło od normy w owych czasach. Wyżywienie oczywiście mieli kiepskie. Stanton był dobrym dowódcą, dumnym ze swego statku, i nie tolerowałby na nim lenistwa. Sama praca była taka, jak to zwykle praca na statku, ale koło Ryczących Czterdziestek i przylądka Stiff harówkę mieli ciężką. Mike Dolan okazał się zwierzchnikiem nie od parady, wymagającym. Nikogo specjalnie się nie czepiał, choć z drugiej strony nie znane mu były wyrozumiałość, skrupuły, a już na pewno nie poczuwał się do żadnej solidarności z załogą: Kiedy byli uparci, powolni czy choćby tylko głupi, walił ich pięścią czy jakim bądź kijem, ale zdumiałby się szczerze - tak samo zresztą jak jego stare wilki morskie - gdyby go ktoś nazwał tyranem albo gdyby sam uświadomił

sobie, że jest obiektem wrogości podwładnych; oczywiście nie licząc nienawiści normalnej, jak u każdej załogi wobec pierwszego oficera. Jeżeli który nie pracował jak należy, trzeba się było do niego wziąć. Przecież praca musi być wykonana, no nie?

Dość, że zanim chłopak dopłynął do brzegów Kalifornii, jego nastawienie urodzonego odludka skrystalizowało się w trzy proste prawdy: a) Był głupcem. Należało raczej zaryzykować i zostać, niż wpakować się w tę kabałę, b) Świat jest okrutny, niesprawiedliwy i wrogi wobec niego; nie można ufać nikomu; każdy chce mu podstawię nogę. Wiedział zresztą to wszystko już dawniej, c) W danej chwili całe to okrucieństwo i niesprawiedliwość uosabiał Mike Dolan. Nifty nie był jeszcze całkiem pewien, co ma z tym zrobić. Czuł, jak jego bezradność napełnia go goryczą, ale cyniczna pogarda dowodziła, że nie jest jeszcze zupełnie załamany. Marzył tylko o tym, by się porachować z Dolanem.

„Merkury" na zmniejszonych żaglach posuwał się wolno wzdłuż brzegu. Słońce zachodziło, tonęło w oceanie. Jego kula dotykająca już horyzontu, dziwnie bezkształtna, jakby spłaszczona u góry, przesadnie duża, czerwonawa, przez chwilę wisiała jeszcze, zanim zanurzyła się w tonie ostatecznie, niby czarodziejska świątynia ognia, do której wiedzie szeroki płynny dywan wyzłoconego morza.

Na wschodzie fale lizały podnóża nagich wzgórz, złoto-aksamitne w świetle wieczoru.

Ale Nifty Barnes nie widział tego piękna. Zginał i rozprostowywał palce zesztywniałe od sznurów. Jeden z marynarzy opuszczał kratownicę, przy której Nifty był przed chwilą rozkrzyżowany. Grzbiet palił go nieludzko. Ktoś chlusnął mu na ramiona wiadro morskiej wody. Spływała różowymi kroplami. Oczy wbił ponuro w pokład. Chociaż nie widział tego, był jednak świadom, że cała załoga stoi w milczeniu na dziobie, że bosman zwija paski korbacza dookoła trzonka, że kapitan Stanton spogląda z góry, z mostka, a Dolan, z głową przechyloną na bok, na szeroko rozstawionych nogach, stoi koło niego.

— Już od przylądka zbierało ci się — mówił teraz obojętnie pierwszy oficer.

Nifty nie podniósł wzroku ani nie odpowiedział. Ktoś podał mu koszulę. Narzucił ją przez głowę. Szorstkie płótno boleśnie otarło mu plecy, ale nie skrzywił się. Ruszył przed siebie.

— Stój, Barnes — zatrzymał go głos oficera. — Dołącz do załogi szalupy. Dobrze ci zrobi na plecy, jak trochę pomachasz wiosłem.

Nifty skręcił w bok. Ciężko oparł się o barierę. Nie widział nic. Twarz miał zawziętą i ponurą.

Ktoś przysunął się do niego. Nie zwracał na to uwagi. Rozległ się cichy, łagodny głos. To Marco. Przeklęty Portugalczyk! Dla Nifty'ego sama myśl, że może być przedmiotem czyjegoś współczucia, była niepojęta, tak samo jak to, że istniało coś takiego, jak współczucie. Czemu ten Marco ciągle się przy nim pęta? Widać czegoś chce. Nifty nie mógł się domyślić, o co mu idzie. Ci cudzoziemcy zawsze są podstępni. Ale i tak mu się nie uda.

— Coś okropnego — mówił łagodny głos. — Czemu wciąż taki jesteś? To niedobrze. Co masz z tego? Przestań go drażnić.

Nifty Barnes nie raczył odpowiedzieć. Patrzył na brzeg.

Złocisty aksamit zmienił się we fiolet. Noc kryła już podnóża gór i nadpełzała po lśniącej powierzchni morza.

— To Kalifornia — opowiadał Marco, nie zrażony milczeniem kolegi. — Byłem tu wiele razy: na „Czerwonym Skrzydle", na „Latającym Bryzgu", a teraz na „Merkurym". Dawniej to należało do Hiszpanii, teraz do Meksyku — Marco roześmiał się, ukazując białe zęby, ale jego sąsiad wcale na niego nie patrzył. — Meksyk bardzo zły dla Kalifornii. Naprzód mówi Kalifornii, żeby kupowała tylko od Meksyku, a potem zapomina i nie przysyła jej nic do kupowania. To śmieszne — parsknął znowu. — Ale ci ludzie muszą mieć wszystko, czego im trzeba. Nie urośnie im tu na drzewach. Więc my im to przywozimy, pal licho Meksyk. Tylko nie można dać się złapać. Bo to przeciw prawu. Niedobrze być przeciw prawu — ciągnął Marco swoje wyjaśnienia — ale dobrzy padres przychodzą kupować. Już niedługo, jak noc nadejdzie, zobaczysz ogień na brzegu. To oni go zapalają. Wtedy płyniemy tam szalupą. — Nifty szarpnął się, zły na natarczywość Portugalczyka.

— A co to mnie obchodzi? — warknął tylko.

Marco zniknął.

Statek z wolna zbliżał się do brzegu, do paska czerni pomiędzy zieloną połyskliwością nieba i stalową połyskliwością wody. Nagle pośród tego czarnego pasa pojawił się malutki błysk ognia. Ciągnąca się od niego smuga światła wskazywała prosto na statek.

— Spuszczać szalupę! — rozległa się ochrypła komenda pierwszego oficera.

Nifty Barnes i trzej inni z załogi wiosłowali wolno do brzegu. „Merkury" zawijał już do San Diego, San Pedro, San Buenaventura, Santa Barbara i do portu obsługującego San Luis Obispo. Mimo to Nifty już od prawie ośmiu miesięcy nie czuł pod stopami ziemi. Dolan wiedział, że dla tego upartego i zawziętego młodzika okolice zaludnione, gdzie znajdują się misje, dają szansę ucieczki. Z tego wynika, wnioskował Nifty ponuro, lecz logicznie, że ta część kraju okaże się całkiem bezludna. Ale i te przewidywania niezupełnie psuty mu humor. Cieszył się na samą myśl, że będzie znowu stąpał po ziemi,

Ognisko sygnałowe na brzegu przygasło tymczasem, a może zostało zagaszone. Cały dookolny świat trwał przyczajony, przytłumiony, rozkoszując się ciemnością jak wygodną opończą, którą wnet trzeba będzie zrzucić, by uczcić tryumfalne wzejście księżyca. Morze i ląd były nierozpoznawalne, niewidzialne. Nifty czuł tylko wiosło w dłoniach i opór wody pod jego uderzeniami. Odczuwał pod sobą ruch fal wznoszących w górę łódź z nimi i opadających raz po raz. Słyszał plusk wioseł, łoskot przewalającej się fali, a potem krótki, jak wstrzymanie oddechu, moment spokoju. Ale wciąż jeszcze nie widział nic.

Wtem na prawo od niego wyłoniły się skały tak niespodziewanie jak wybuch pocisku. Przez ramię dostrzegł jeszcze dalej spienienie wody załamującej się na innych głazach i półkach skalnych, niby białe ręce wyszarpujące coś z głębiny, a potem cofające się znów w pustkę; uszy miał pełne ich gniewnego ryku. Te fale powstawały i wznosiły się wszędzie

dokoła, jakby dotąd czekały tu przyczajone. Na moment chłopak wypadł z rytmu; Dolan od razu go sklął.

Wyglądało, że oficer orientuje się dobrze; pokazywał bez wahania właściwą drogę. Wnet też wyraźniejsza czerń na prawo okazała się przylądkiem. Łódź wśliznęła się na spokojniejsze wody zatoczki i zaryła w piasku stromego brzegu.

Wysiedli i wciągnęli szalupę na brzeg. Dolan rzucił rozkaz. Trzej marynarze siedli na piasku obok łodzi.

— Ty pójdziesz ze mną, żebym miał na ciebie oko — warknął do Nifty'ego Dolan.

Musiał iść posłusznie w ślad za nim. Tu na brzegu wydawało się nawet ciemniej niż na morzu. Z piasku plaży weszli zaraz na twardą ścieżkę; Nifty czuł ją wyraźnie pod stopami. Starał się iść cały czas za mglistą sylwetką Dolana, bo jak tylko zboczył, zaraz potknął się i o mało nie upadł.

Przez chwilkę wspinali się, potem już było łatwiej. Nad nimi rozciągał się firmament pełen gwiazd, ale zdawały się tłoczyć w tyle, po zachodniej stronie nieba, jak tłum czekający na audiencję. Na wschodzie kontury gór rysowały się ostro na tle nieba, rozjaśnionego trochę poświatą wstającego świtu. Dzięki temu Nifty dostrzegał niewyraźne zarysy otaczających go przedmiotów, łatwiej mu było iść za Dolanem.

Z czerni drzew zmaterializowali się nagle trzej ludzie i zastąpili im drogę. Jeden z nich wdał się z Dolanem w długą cichą rozmowę po hiszpańsku. Nifty nic nie mógł zrozumieć, tylko przeżuwał od nowa swoje sprawy. Czego Dolan oczekiwał, mówiąc, że musi mieć na niego oko? Dureń i tyle, w odróżnieniu od niego, Nifty'ego. I cóżby tu zrobił, w tym kraju, gdyby mu się nawet udało zwiać? Nie, nie ma głupich! Trzeba jeszcze trochę wytrzymać, ale jak tylko dopłyną do Bostonu… i Nifty pogrążył się w rozkosznych marzeniach, co wtedy zrobi z Dolanem… Spojrzał z nienawiścią na szerokie bary oficera.

Chłopiec nawet nie zauważył, kiedy rozjaśniło się na tyle, że można było coś niecoś dostrzec — po prostu w jakimś momencie zdał sobie sprawę, że coś widzi. Człowiek, z którym Dolan rozmawiał, okazał się księdzem. Dwaj inni byli to Indianie.

Nie bardzo przypominali prawdziwych, wolnych Indian, ale dla chłopca z dalekiego miasta stanowili absolutne uosobienie opowieści z Dzikiego Zachodu. Zafascynowany wpatrywał się w nich, choć podświadomie odsunął się nawet, a przybliżył trochę do Dolana, jakby w tej chwili symbolizował on wszystko, co znane, swojskie i bezpieczne. Obaj dzicy patrzyli na niego spokojnie, ich oczy zdawały się nieruchome. Kiedy wreszcie rozmowa się skończyła i obaj żeglarze zawrócili w kierunku morza, Nifty poczuł, jakby opadał przytłaczający go dziwny ciężar.

Widocznie konferencja okazała się niezadowalająca dla Dolana, bo był w bardzo złym humorze. Sklął Nifty'ego od ostatnich za niedotrzymywanie mu kroku, a potem kiedy chłopiec w pośpiechu potrącił go w ciemności, odwrócił się i z całej siły wyrżnął go w twarz; wreszcie ciężkim buciorem dołożył kopniaka w kostkę. I wtedy Nifty uderzył oficera.

Policzek jak gdyby wyzwolił w chłopcu długo trzymaną na uwięzi wściekłą bestię. Przestał i być stworzeniem myślącym. Znalazł się wreszcie sam na sam z Dolanem, który po raz pierwszy nie miał za sobą całego aparatu dyscypliny ani władzy, jaką daje broń. Tym razem była to walka mężczyzny z mężczyzną. A Nifty był młody i zręczny; równie silny, a dzięki burzliwej młodości i zwycięskim przygodom na ringu także równie doświadczony jak Dolan. Co więcej, furia wzmagająca dynamiczność, dawała mu przewagę. Po krótkiej, gwałtownej walce zwalił przeciwnika na kolana.

— Zabiję cię! — niemal wyszlochał.

— Poczekaj tylko, aż będziemy na statku — wymamrotał Dolar., próbując stanąć na nogi.

Tych kilka słów podziałało na Nifty'ego jak chluśnięcie zimną wodą. Był bystry z natury, a sieroce dzieciństwo w zaułkach Bostonu też nauczyło go wiele. Dlatego to błyskawicznie uświadomił sobie, w jaką się wpakował kabałę. Nie miał żadnych wątpliwości, co go czeka na statku. Pochylił się, huknął Dolana jeszcze raz w szczękę i rzucił się do ucieczki. W tym samym momencie, niezależny od wszelkich ziemskich rozgrywek, dokonał się majestatyczny ceremoniał niebiański: wzeszedł księżyc.

Kiedy Nifty Barnes się obudził, słońce stało wysoko. Otworzył oczy. Nad półką skalną dostrzegł liście. Przez chwilę jeszcze leżał rozpamiętując wszystko, co mu się zdarzyło.

A więc tak: przez jakiś czas biegł; potem posuwał się dalej wolniejszym krokiem. Nie miał żadnych planów, chciał tylko oddalić się jak najbardziej od morza i nie dać się schwytać, żeby nie wrócić na statek. Przedzierał się przez niskie pagórki i dotarł wreszcie do szerokiej doliny, którą płynęła rzeka. Wiedział, że woda płynie ku morzu, ruszył więc w górę doliny i szedł długo. Pobłądził wreszcie w gęstych chaszczach. Kilka razy natknął się na jakieś duże zwierzęta, które sapały w ciemności. Może to były niedźwiedzie, które tu często widywano, ale raczej chodzące luzem bydło. Stopniowo opanowały chłopca niepokój i przerażenie. Zazwyczaj odwagi mu nie brakowało, ale dla niego, typowego mieszczucha, to wszystko było zupełnie obce. Ogarnął go znów podświadomy strach przed dziczą, taki jak w momencie, gdy zobaczył tych Indian. W końcu wyczerpany i do głębi przerażony, przywołał na pomoc resztki zdrowego rozsądku i znalazł sobie osłonięte skałą miejsce na spoczynek.

Przewróciwszy się na bok, zobaczył nagle trzech jeźdźców. By li dziwni, ciemni, przyodziani w niezwykłe stroje. Przyglądał im się podejrzliwie przymrużonymi oczyma. Nie podobał mu się ich wygląd. Byli zbyt dziwaczni, zbyt niezwykli. Jeden coś powiedział do pozostałych i wszyscy zaczęli się śmiać, szczerząc białe zęby. Ten pierwszy powiedział coś do Nifty'ego, który go nie zrozumiał, więc tamten pokazał wyraziście w kierunku morza i roześmiał się znowu. Nifty instynktownie zerwał się na równe nogi i próbował dać nurka w krzaki. Coś gwizdnęło w powietrzu i ciasno, boleśnie opasało mu ramiona. Szarpnięty gwałtownie, zatrzymał się w miejscu; zobaczył, że krępuje go rzemień z nie wyprawionej skóry. Usiłował się wyzwolić, ale zaraz ręce przywarły mu do boków, ściśnięte nowym rzemieniem. Szarpał się, ale był bezradny.

Jeźdźcy zawrócili konie i wolno ruszyli przed siebie. Nifty musiał podążyć za nimi. Prowadzili go tak w dół doliny, jak zwierzę na łańcuchu. Ilekroć zwalniał, opierał się czy próbował wyplątać z opasujących go rzemieni, jeden z jego prześladowców lekko popędzał swego konia. Po pewnym czasie, kiedy Nifty przestał się opierać, puścili go luzem i zwinęli swoje riatas. Nie było sensu myśleć o ucieczce, więc Nifty szedł przy koniach.

Wreszcie zatrzymali się pod wielkim drzewem i zsiedli z koni. Rozluźnili cinchas i zdjęli zwierzętom uprząż. Wierzchowce pasły się puszczone na trawę na całą długość riatas, które ciągnęły za sobą.

Mężczyźni posiadali na ziemi. Mieli z sobą chleb i ser, które cięli na duże kawały nożami wyciągniętymi zza podwiązek. Zaprosili na posiłek swego jeńca. Byli weseli i przyjacielscy, nawet jakby życzliwi. Nifty nie mógł tego pojąć. Raz po raz mówili coś do niego, uśmiechając się przy tym, chociaż on nic nie mógł zrozumieć. Wiedział jednak, że prowadzą go z powrotem w kierunku morza. Wziął chleb i ser, ponieważ był bardzo głodny, ale początkowo chmurnie przyjmował ich życzliwość. Potem przyszło mu coś do głowy. Zaczął im odpowiadać - przypomniał sobie kilka portugalskich zdań, jakich często używał Marco. Zaciekawiło ich to; słowa brzmiały podobnie, prawie mogli je zrozumieć. Kiedy zdołał ich wreszcie odciągnąć dalej, tak że w zasięgu ręki nie mieli noży, które tkwiły spokojnie wbite w chleb i ser - rzucił się na nich i jednego powalił na ziemię. Ten manewr, rzecz oczywista, nie wynikał z żadnego przemyślanego planu, dlatego po prostu, że żaden przemyślany plan nie był możliwy. Nifty pragnął jedynie w jakiś sposób dostać się do koni, co dalej - nie wiedział. Ogarnęła go rozpacz. Jednego tylko był pewien: ci trzej wiodą go z powrotem na statek oczekując nagrody wypłacanej za doprowadzenie zbiegłego marynarza. Wszystko było lepsze niż powrót na pokład i dwuletni okres tortur, jakich Dolan by mu nie skąpił.

Nifty z całych sił rąbnął pięścią drugiego napastnika i prawie zamarł ze zdumienia, widząc, że i on leży. Ale pozostał jeszcze trzeci.

Ówcześni mieszkańcy Kalifornii byli zupełnie nie przyzwyczajeni do posługiwania się pięściami. Prawdopodobnie Nifty, doświadczony bokser, potrafiłby sobie i z tym trzecim dać radę. Ale vaquero, choć zupełnie nie wyszkolony, był jednakże silny i zwinny, potrwało więc trochę, zanim Nifty zdążył go powalić. Ale tymczasem dwaj tamci doszli do siebie.

Trzech na jednego to mimo wszystko za dużo, niezależnie od doświadczenia walczących. W każdym razie walka była ciekawa. Nifty znał wszelkie zagrania anglosaskiego boksu. Jego przeciwnicy nie rozróżniali prawego sierpowego od zwykłego walenia po siedzeniu i nie mieli pojęcia o osłonie. Ale byli silni. Nifty zadawał ciosy, lecz równocześnie musiał nie dać się złapać. Wiedział, że jak go złapią, to koniec z nim. Nie mógł się prawidłowo ustawić do atakowania. Wir był szalony. Nifty walił to jednego, to drugiego. Wykręcał się, obracał, atakował łokciami i kolanami, tłukł głową i kopał. Wywijał się jak piskorz. Niektóre z jego ciosów były mocne. Jeden z przeciwników runął na ziemię, ale zaraz się podniósł. A Nifty też zdrowo oberwał. Nagle potknął się i upadł; wtedy dwaj napastnicy zwalili się na niego; zdołał się jednak zerwać na nogi i walczył dalej.

Tempo było zbyt szybkie, by walka mogła trwać długo. Nastała dziwna przerwa, jakie się zdarzają w walce wręcz, gdy obie strony, jakby za obopólnym porozumieniem, odskakują od siebie, by zebrać siły. Nifty stał sam, zakrwawiony, w podartej odzieży i ciężko dyszał. Jeszcze nie był przegrany; brakło mu tchu i trochę go poturbowali, lecz wiedział: wnet go pokonają, zwłaszcza że teraz, kiedy minął pierwszy żar walki, jego przeciwnicy na pewno przypomną, sobie o swoich nożach i rzemieniach. Ale póki co jeszcze nie kapitulował.

Nagle zdał sobie sprawę z obecności nowych dwóch ludzi. Siedzieli na koniach, trochę z boku. Musieli nadjechać w czasie bójki, nie dostrzeżeni przez walczących. Nifty spojrzał na nich z wyrzutem. Tego już trochę za wiele!

Nowo przybyli różnili się wyglądem od tamtych pierwszych. Przede wszystkim byli młodsi. Ubrani w barwne, wesołe stroje, zdobne w liczne srebrne guziki, delikatne żaboty i… tak, naprawdę, wstążki, jak u kobiet! Jeden miał gitarę przewieszoną przez plecy. Rysy obydwóch były delikatne i piękne - niemal dziewczęce. I śmieszne małe wąsiki, podobne do brwi. Konie lśniły niby jedwab, a głowy i ogony trzymały dumnie wzniesione. Powinno to wzbudzić podziw w Niftym, ale nie znał się zupełnie na koniach. Srebrzone, haftowane i rzeźbione bogactwo ich siodeł i uprzęży zauważył co prawda, ale wywołało ono tylko grymas pogardy, jaką on, wychowany w biedzie, czuł zawsze dla wszystkich takich bzdurnych luksusów.

Śmiali się. Ten z gitarą klaskał i wołał: „Brawo! brawo!"

Para wymoczkowatych makaroniarzy! Ale przy boku mieli długie rapiery. I wreszcie zobaczył Nifty trzymających się w pewnej odległości jeszcze dwóch ludzi. Byli także konno, ale podobni raczej do tych trzech, z którymi walczył.

— Do diabła! — krzyknął zniechęcony. — Poddaję się. Nie potrafię pokonać całej Kalifornii.

Ku jego zdumieniu młodzieniec z gitarą odpowiedział po angielsku:

— Hola! Kto wie, może i potrafisz!

Dał koniowi ostrogę i pochylił się z siodła. Nifty sprężył się w postawie obronnej. Ale tamten tylko poklepał go po ramieniu. Minę miał entuzjastyczną.

— W życiu nie widziałem tak wspaniałej walki! — zawołał.

Odwróciwszy się zaczął po swojemu coś mówić, bardzo szybko i jakby trochę z góry do trzech mężczyzn stojących na trawie.

Skończył, wsadził rękę do sakiewki przy łęku siodła i każdemu kolejno rzucił monetę. Pieniążki błyskały w słońcu. Nifty widział, że to było złoto.

Zabrzmiało jednogłośnie „Si, señor" i trzej mężczyźni zaczęli zbierać swoje rzeczy. Młodzieniec przyglądał się temu przez chwilę, a potem odwrócił się do Nifty'ego.

— Jestem Ramon Rivera — rzekł. — A to mój amigo, don Justo de la Cuesta. On nie mówi po angielsku. Przyjechałem z wizytą na rancho jego ojca — wskazał ręką wznoszącą się część doliny. — Pojedziesz z nami. To dla don Justa honor, że tak dzielny wojak będzie jego huesped… jak to się mówi? jego gościem. No es, amigo? — zwrócił się do swego towarzysza.

Tamten skinął głową.

— Si, si, Ramon — potwierdził.

Ramon wydał jakiś rozkaz. Dwaj ludzie trzymający się dotąd z dala zbliżyli się i jeden zsiadł z konia. Młodzieniec zrobił zachęcający gest.

— Wsiadaj. Jedziemy.

Nifty zawahał się, ale posłuchał. Cóż miał robić? A zresztą to rancho, o którym była mowa, znajdowało się najwyraźniej w wyższej partii doliny, a więc dalej od morza. Vaquero przytrzymał konia - którego sceptycyzm był i widoczny, i uzasadniony - aż Nifty wdrapał się dość niezgrabnie na siodło. Potem sam wskoczył na grzbiet konia, za drugiego pastucha.

— Adelante! — zawołał Ramon.

Wierzchowce w dobrym tempie ruszyły z miejsca, więc Nifty od razu zleciał na ziemię. Nigdy dotąd nie siedział w siodle. Nic się nie stało. Złapano konia i podprowadzono mu. Teraz już jechali wolno, doliną Carmel w stronę Ranchó de la Cuesta.

Od tej chwili Nifty przyglądał się wszystkiemu dokoła czujnie, ostrożnie, podejrzliwie.

Nie rozumiał, o co chodzi, i z góry nikomu nie wierzył. Ten Ramon Rivera wykupił go, więc już nie wróci na statek jako dezerter, za którego płacą nagrodę. No dobrze, ale czego chce od niego Ramon Rivera - bo czegoś chce niewątpliwie. Nifty nie mógł się domyślić, mimo że łamał sobie nad tym głowę. Może chce, by walczył. Panowie lubią takie rzeczy. A Riverę wyraźnie cieszyło popisywanie się nim. Raz po raz przywoływał Nifty'ego, klepał go po ramieniu i znowu komuś wyjaśniał wszystko potokami niezrozumiałych słów.

— Mówię mu — tłumaczył bostończykowi na stronie — jak rzuciłeś się na trzech silnych ludzi i pobiłeś ich.

Niektórzy z oglądających także klepali go po ramieniu, obmacywali mu mięśnie i uśmiechali się najwyraźniej przyjacielsko. Ale Nifty oczywiście nie dawał się nabrać. Przyglądał się wszystkim spode, łba i ciekaw był tylko, kiedy wreszcie wyjdzie szydło z worka. No cóż, potrafi Walczyć z każdym, kogo ci ludzie mu wybiorą; i da mu radę. Napiął mięśnie. Ale, ale… Może to nie będzie człowiek, a na przykład byk albo jakieś dzikie zwierzę? Słyszał o takich rzeczach. To już byłoby gorzej. Im więcej o tym rozmyślał, tym bardziej zdawało mu się to prawdopodobne. Żywili go, dali mu dużo porządnej odzieży i osobny mały pokoik do spania. Z kimkolwiek się stykał, każdy już z góry śmiał się na myśl o tym, co go czeka. Tak sobie Nifty tłumaczył uśmiechy i pogodną życzliwość otaczających go ludzi. A utwierdziło go w tych podejrzeniach spotkanie twarzą w twarz z tamtymi trzema, z którymi stoczył walkę w dolinie. Sprężył się na ich widok, ale oni pozdrowili go ciepło i o ile mógł się wyznać - oni także, podobnie jak Ramon Rivera, próbowali gestami wyrazić swoje uznanie. Chłopaka to gniewało. Śmieją się z niego, no pewnie, czują swoją przewagę. Oni już także wiedzą, co go czeka, i cieszą się świadomością, że będą pomszczeni. Ramon stojący w pobliżu wyjaśniał mu to zupełnie inaczej.

— Nie życzą ci źle; to nie wrogowie. Jak długo statek był tu blisko, chcieli cię tam dostarczyć, bo dostaliby nagrodę. Ale już statku nie ma, oni

ci jeszcze pomogą. Chcą być w przyjaźni z takim odważnym człowiekiem. — Potem zasypał tamtych trzech gradem słów, powtarzając to samo po hiszpańsku. Potakiwali głowami, błyskały w uśmiechu białe zęby. „Si, si, si!", powtarzali z zapałem. Nifty z rezerwą ściskał wyciągnięte dłonie; nie żeby choć przez moment im wierzył, ale uważał, że lepiej udawać póki co.

W ten sposób poznał - czy raczej obejrzało go - wiele osób. Żywił do nich wszystkich, z jednym wyjątkiem, głęboką, choć ukrywaną pogardę. Byli cudzoziemcami, a Nifty z zasady nie cierpiał cudzoziemców. Byli doskonale wychowani, a on uważał, ze to tylko krygowanie się i głupota. Byli ubrani strojnie i wesoło, a Nifty pochodził z poważnego Bostonu. Jednym słowem stanowili uosobienie zupełnie odmiennego świata, tak wyraźnie innego, że Nifty nie mógł tego znieść. Był wściekły, ilekroć go wzywano, by rozentuzjazmowany Ramon znów mógł go komuś pokazać. Wyczuwał w nich lekkie, ukrywane rozbawienie choć nie wiedział, że śmieją się nie z niego, ale z zapału Ramona, i w dodatku życzliwie. Był tam wiekowy jegomość, Don Cristoval, z siwymi bokobrodami, który wyglądał jak nadęty stary indyk, oraz tęga starsza dama, jego żona, przyzwyczajona najwyraźniej, by wszyscy padali przed nią plackiem, i jeszcze trzej czy czterej wyelegantowani, lekceważący go paniczykowie, bracia tego całego Don Justa. Nifty nie cierpiał ich wszystkich, kiedy tak stał przed nimi, bo musiał. Jedyną osobą, do której jakoś początkowo nie czuł urazy, była dziewczyna. Nazywali ją Conchita. Całkiem ładna, ale nie to było najważniejsze, tylko wyraz jej oczu, kiedy patrzyła na niego. Stopniowo jednak Nifty nawet i ją objął swoją niechęcią, dlatego choćby, żeby nic nie osłabiało jego zawziętości i czujności.

Zauważył zresztą, że ten młody gość, Ramon, zaleca się do panny. Nie wiadomo czemu, to także go gniewało.

Domostwo, w którym mieszkali ci ludzie, było niskie i obszerne, miało grube mury i drewniane lśniące posadzki. Nifty, który mieszkał w osobnym małym budynku, znał w tym domu tylko mały korytarzyk i wielki salon na lewo, skąd wychodziło się wprost na wewnętrzne zamknięte patio. Mimo początkowego spontanicznego zaproszenia młody Kalifornijczyk zupełnie dobrze zdawał sobie sprawę, z jakiego środowiska pochodzi obcy chłopak, toteż był on tu gościem tylko w pewnym sensie. Nifty jednak miewał okazję rzucić okiem do innych pokoi wychodzących na patio. Za drugim razem kiedy go wezwano, stał w pobliżu jakichś otwartych drzwi. Za nimi służący, Indianin, sprzątał. Widać było wielkie łoże o czterech kolumienkach podtrzymujących baldachim, ponadto dwa ciężkie fotele, krucyfiks na ścianie i tuż przy drzwiach lśniący stół, a na nim miednicę i dzbanek. Pod stołem, jakby zapomniany, znajdował się pękaty gliniany garnek, wypełniony po brzegi metalowymi krążkami, pokrytymi grubą warstwą kurzu. Indianin, zagapiony w przybysza, sprzątał dalej, lecz tak nieostrożnie, że zawadził miotłą o garnek. Garnek zachwiał się gwałtownie i runął z hukiem. Metalowe krążki potoczyły się we wszystkie strony.

Sługa aż krzyknął wystraszony. Don Justo i Don Cristoval wybuchnęli śmiechem, Ramon roześmiał się także, ale dlatego, że rozbawił go wyraz twarzy marynarza.

— To pieniądze dla gościa tego domu — wyjaśnił. — Stary zwyczaj, o którym już prawie zupełnie zapomniano. Tylko nieliczni spośród starszych hidalgów taty, jak Don Cristoval, jak Don Sylvestro, mój ojciec - wciąż jeszcze go pamiętają. Dla podróżnego, który mógłby potrzebować Złota, chociaż właściwie po co komu. w drodze złoto? — dodał Ramon, jakby nawiasem. — Wystarczy przecież jedno słowo, wszędzie dostanie i konia, i posiłek, i nocleg. Widzisz zresztą, że to złoto długo tu już leży. Zakurzone takie, że prawie go nie widać.

— To znaczy — wyrwało się zdumionemu bostończykowi — że każdy mógłby stąd wziąć, ile by zechciał?

— Czemużby nie? — odpowiedział miody hidalgo bez namysłu.

— A to prawdziwe złoto?

Ramon schylił się, podniósł jedną monetę, rzucił w marynarza. Miała inny odcień niż amerykańskie złote dolary, które chłopak kiedyś widział, ale niewątpliwie był to prawdziwy hiszpański dublon. Obejrzał pieniądz z podziwem i oddał Ramonowi. Ten rzucił go indiańskiemu słudze, który postawił już garnek na miejsce i pracowicie zgarniał całą jego rozsypaną zawartość.

Nifty odczekał parę dni, żeby mieć pewność, że „Merkury" odpłynął w swój dalszy rejs. A potem wszystko okazało się śmiesznie łatwe. Nikt nie pilnował, ani nie stał na straży, cały dom spał głęboko, choć co prawda dopiero dobrze po północy wszyscy udali się na spoczynek. Wziął tyle złota, ile zdołał bez trudu schować po kieszeniach. Nie był taki głupi, żeby obładowywać się nadmiernie.

Uzupełniwszy zawartość garnka kamykami, pokrył je z wierzchu warstwą dublonów i ruszył drogą ku dojnemu krańcowi doliny. Dowiedział się, że prowadzi ona do Monterey i że jest długa na pięć czegoś tam, ale czego - mil, wiorst czy może godzin - tego nie mógł się dorozumieć. Byle dotrzeć ze złotem do Monterey, a tam już wie, co ma robić. Jeszcze na statku słyszał o Joem Portugalczyku. On się nim zajmie - nie za darmo oczywiście - póki nie nadpłynie jakiś statek, na który albo zamustruje, albo wsiądzie jako pasażer.

W zupełnej ciemności szybkim krokiem ruszył drogą przypominającą raczej ledwo przetarty trakt. Musi dotrzeć do Monterey, zanim spostrzegą jego ucieczkę. To powinno być równie łatwe jak zabranie złota, nawet jeżeli to „pięć" oznaczało pięć godzin. I tak powinien dotrzeć na miejsce wkrótce po wschodzie słońca.

Niestety wschód słońca zastał go wśród niezliczonych pagórków. Szedł cały czas nie zbaczając ze ścieżki - tak mu się przynajmniej zdawało. Ale oczywiście kierował się przede wszystkim tym, by iść po twardej, wydeptanej ziemi. Dopiero teraz, poniewczasie, uświadomił sobie, że tutaj cała okolica pocięta była mnóstwem ścieżek, które bydło wydeptywało przez dziesiątki lat. Widocznie gdzieś w ciemności zboczył z właściwej drogi na jedną z tych bydlęcych dróżek. Zdenerwowało go to. Ale wiedział, że morze jest na zachodzie, a Monterey leży nad morzem. A więc zabłądzić nie powinien. Zawrócił i ruszył na przełaj trawiastym zboczem, kierując się w tę stronę, gdzie w porannym słońcu padał cień. Wtem spojrzawszy za siebie zobaczył daleko obłoczek kurzu. W parę minut

później rozpoznał, że to jacyś jeźdźcy, a po chwili nie ulegało już wątpliwości, że ci jeźdźcy posuwają się wolno po śladach, jakie zostawił w trawie.

W pierwszej chwili ogarnął go strach, ale zaraz się uspokoił. Jadą tak wolno, że nieprędko się z nim zrównają. Zabrał się więc do zacierania śladów, a potem wdrapał się na wielki dąb i w rozwidleniu grubych konarów znalazł głęboką dziuplę, tak wielką, że ukryła go zupełnie. Z ukrycia mógł już rozpoznać swoich prześladowców.

Było ich czworo: Ramon Rivera, jego przyjaciel Justo, jeden vaquero i ta dziewczyna, do której Ramon robił słodkie oczy, dziewczyna o dziwnym, jak gdyby ociągającym się uśmiechu, Conchita de la Cuesta. A po cóż tu ona? I jakim cudem zjawili się tu tak prędko, zastanawiał się gniewnie. Vaquero prowadził piątego konia. To pewnie żeby mnie na nim zabrać, myślał Nifty. Ale wpierw niech mnie znajdą. Czuł się bezpieczny, był zdania, że spisał się chwacko. Śmiać mu się chciało, gdy zobaczył, jak zatrzymali się niepewnie w miejscu, gdzie skończyły się jego ślady.

Trzej mężczyźni podniósłszy się w strzemionach patrzyli dokoła. Rozważali sytuację. Potem Don Justo przejął wodze luzaka, a vaquero na swoim koniu zaczął wolno zataczać koła coraz większe, uważnie wypatrując śladów. Niech szuka! Już-już chciał sobie Nifty pogratulować, gdy wtem obaj młodzieńcy i dziewczyna bez wahania nakierowali konie prosto na jego dąb. Przy drzewie ściągnęli wodze.

— Schodź na dół — powiedział Ramon, a wyostrzony słuch Nifty'ego pochwycił jakby nutę wątpliwości w jego głosie. Domyślił się, że to próba, że ta trójka próbuje tak na chybił trafił, podczas gdy vaquero szuka czegoś namacalnego. Cofnął się w głąb swojej kryjówki, jak żółw kryje się pod pancerzem. Nabrał znów otuchy. Niech szukają. Ale w tym momencie młody człowiek lekko zeskoczył z siodła, pochylił się i podniósł coś z ziemi. Stał z wyciągniętą ręką i śmiał się głośno.

— Zejdź no, przyjacielu — powtórzył, teraz już z przekonaniem. — Znaleźliśmy cię.

W ręce trzymał złoty pieniążek, który Nifty zgubił wdrapując się na drzewo.

Stał naprzeciwko nich i patrzył spode łba czekając, co z nim zrobią. Oni też patrzyli na niego. Po chwili Ramon rzekł kręcąc głową:

— Nie można tak iść na piechotę. Krowa tutaj jest bardzo niebezpieczna dla ludzi na piechotę. Zabije, jak się natkniesz. Nie wiedziałeś? Tutaj zawsze trzeba jechać konno. — Mówił z wyrzutem, ale bez gniewu. — A poza tym zgubiłeś drogę, przyjacielu. Tam jest Monterey. Jeżeli chciałeś udać się do Monterey, czemu nie powiedziałeś? I czemu nie powiedziałeś adios? Czy ktoś potraktował cię niedobrze? Czy coś ci się nie podobało? Trzeba było powiedzieć mnie albo Don Justowi.

Dziewczyna przerwała mu potokiem szybkiej, gwałtownej hiszpańszczyzny. Głowę odrzuciła w tył, z oczu jej bił blask. Ramon odpowiedział z wyraźną dezaprobatą.

Gniewnie uderzyła ręką po kolanie. Młodzieniec zwrócił się znów do Nifty'ego, lekko zarumieniony.

— Seńorita de la Cuesta — powiedział sztywno, z powagą — zna trochę angielski, ale tylko trochę. Pragnie, żebym w jej imieniu mówił do ciebie po angielsku. Wypełniam żądanie seńority de la Cuesta. — Zwrócił się wyczekująco do dziewczyny. Od tej chwili zachowywał się jak automat, choć policzki dalej barwił mu rumieniec.

— Powiada, że rozumie cię doskonale — zaczął, posłuchawszy chwilę. — Przyglądała się i było jej wstyd, jak ludzie z jej rodziny mogą być tacy głupi. Powiada, że jakby ona była mężczyzną, też by tak zrobiła. Nikt nie lubi, aby go prowadzano i pokazywano jak konia albo jak byka...

— Como un' oso — przerwała szybko dziewczyna.

— Jak niedźwiedzia — poprawił się Ramon. — A także powiada, że gdyby ktoś z nią tak robił, też by uciekła.

— I powiadam jeszcze — doña Conchita dodała powoli i uważnie — że za moje rancho i za moją rodzinę ja przepraszam.

Skłoniła lekko główkę z godnością, jakże uroczą. Nifty wpatrywał się w nią jak urzeczony; wszystko to go przerażało, nie pojmował, co się dzieje. Przemowę Ramona uznał za dalsze naigrawanie się ze swojej osoby, tyle że zbyt wyrafinowane, by mógł je zrozumieć. Słuchał z bezsilną złością, że dostarczył im takiej uciechy, ale nagle doña Conchita zaczęła mówić i gdy obrócił się ku niej, ku tej twarzy ze spokojnym, niespiesznym uśmiechem, znikła jego uraza, ustępując miejsca ogromnemu zdumieniu. Bo ta dziewczyna na pewno się z niego nie naśmiewała. Wraz ze zdumieniem uczuł coś nowego, nieznanego, i to po raz pierwszy w życiu.

Ramon znowu mówił, ale Nifty nie mógł oczu oderwać od dziewczyny.

— Jeżeli robiłem tak rzeczywiście — mówił Ramon — to na pewno nie chciałem okazać lekceważenia. Po prostu byłem dumny z mego dzielnego zucha i pragnąłem, żeby wszyscy go zobaczyli i także byli dumni. Mam samą życzliwość w sercu. Żywiłem nadzieję, że jak wrócę do mojej hacjendy, która leży w dolinie Salinas, to ty, señor, zechcesz pojechać ze mną. Nieraz już bywało, że marinero americano, co opuścił statek, pozostawał tu i dobry jest teraz z niego californio. Do takich należy Don Juan Gilroy, on też był marinero. Wybacz mi, señor. — Skinął, a vaquero, który już od dobrej chwili stał przy koniach, przejął teraz wodze luzaka. — Pragniesz jechać do Monterey, prawda, señor? — zwrócił się do Nifty'ego. — Jest tam teraz statek, nie ten, na którym przybyłeś, inny statek. O to ci chodzi? Ten człowiek, Ricardo, pojedzie z tobą, by ci wskazać drogę, a potem wróci tu z koniem. Vaya con Dios, señor.

Podniósł rękę wytwornym gestem pożegnania, który powtórzył za nim Don Justo. Dziewczyna, Conchita, uśmiechnęła się lekko i skinęła głową.

— Adiós, señor — powiedziała cicho.

— Adios. — Nifty usłyszał własny głos wymawiający ten

wyraz, ale chyba wymówił go zupełnie odruchowo. Z otwartymi ustami, pustym, otępiałym wzrokiem patrzył w ślad za odjeżdżającymi. Vaquero czekał, podobny do posągu jeźdźca.

Raptem Nifty ruszył chwiejnie do przodu, potykając się jak ślepiec wśród kęp pachnących ziół.

— Hej, hej! Poczekajcie — wołał raz po raz łamiącym się ciosem. Biegnąc obmacywał rękami swoją odzież. Dobiegł do odjeżdżającej trójki,

zatrzymał się na chwilę zasapany i jął wpychać Ramonowi w ręce złote monety, które wyciągał z kolejnych kieszeni.

— Buchnąłem to, ukradłem — bełkotał. — To wasze, z tego garnka. Jeszcze to i to. — Wyciągał oburącz złoto, dublony spadały na trawę.

Ramon popatrzył w dół z siodła, oniemiały, zda się zaskoczony.

— Ależ, amigo — powiedział wreszcie łagodnym tonem — jak możesz mówić o kradzieży? Skądże znowu? Przecież to el oro del huesped, złoto dla gościa, na twoją dalszą podróż, señor.

Nifty pozostał w miejscu, a oni znowu ruszyli przed siebie. Patrzył. Po chwili wsiadł - równie niezgrabnie jak przedtem - na podprowadzonego mu konia i odjechali w kierunku Monterey.

Ukończywszy poranną przejażdżkę, obaj młodzieńcy, Ramon Rivera i Justo' de la Cuesta, dopomogli donii Conchicie przy zsiadaniu, a teraz stali patrząc na drzwi, za którymi zniknęła.

Justo, wzburzony, zwrócił się do przyjaciela:

— Nawet ja, choć nie miałem takich jak ty szans poznania świata i jestem zwykłym ranchero, wiem doskonale, że ten człowiek nie należy do gente de razon, nawet pośród americanos. Nie wmawiaj mi, że się na tym nie poznałeś!

— Wcale ci tego nie wmawiam — odpowiedział tamten. — Powiem nawet więcej: widziałem wielu takich jak on, wtedy gdy mieszkałem w Filadelfii starając się zdobyć edukację, i uważam za zupełnie możliwe nie tylko to, że nie należy on do gente de razon, lecz że być może pochodzi nawet ze środowiska kryminalistów. Mimo to jest człowiekiem odważnym i walczył wspaniale. Powiedziałem mu prawdę. Rzeczywiście miałem nadzieję, że pojedzie ze mną na hacjendę. Był czas, że chciałem tego, bo taki człowiek potrafi być wierny temu, komu z własnej woli zdecyduje się służyć.

— Ale powiedziałeś „był czas” — zauważył Justo.

Ramon przytaknął bystremu towarzyszowi.

— Coś go takim uczyniło - może własne skłonności, może życie. Americanos nazywają takich tieso - twardy.

— To dobre określenie — pochwalił Justo.

— Tylko cud może takiego zmiękczyć. A ja na pewno nie jestem święty.

Justo parsknął śmiechem.

— Nie, tego ci nigdy nie zarzucę — zgodził się — ale kiedy wpadniesz w poważniejszy nastrój, bywasz zdumiewająco sabio.

— Ale to się rzadko zdarza? — Ramon udawał przerażonego.

— Bardzo rzadko — potwierdził Justo. — Tak rzadko, że muszę ten wypadek wykorzystać. Powiedz, dlaczego w tej całej historii mówiłeś tak godnie o el oro del huesped i dlaczego wyprawiłeś go w drogę tak jak wyprawiłbyś prawdziwego hidalga? Przecież dobrze wiedziałeś, że ukradł to złoto.

— To ja jestem hidalgo — wyjaśnił Ramon po prostu — i dlatego powinienem zachowywać się, jak na hidalga przystało.

Młodzieniec chwilę przeżuwał usłyszane słowa, a Ramon przyglądał się; wreszcie położywszy mu dłoń na ramieniu rzekł:

— Amigo, zapomniałeś, co powiedziałem temu chłopakowi ze względu na donę Conchitę? Ty i ja znamy świat, ale czy ważna jest garść złota, kiedy w grę wchodzi ta cudowna wiara w ludzi, tak łatwa do zniszczenia?

Na te podniosłe słowa Justo wpierw parsknął, a potem zaczął się głośno śmiać.

— Wybacz, amigo. — Oprzytomniał widząc twarz Ramona. — No, proszę, veledor, nie obrażaj się. Pamiętaj, że ja jestem tylko jej bratem.

— To prawdziwy anioł! — wykrzyknął Ramon.

Justo, wciąż jeszcze rozbawiony, nie odpowiedział.

W tym momencie rozmowę przerwało pojawienie się zza węgła domu dwóch jeźdźców. Jednym był vaquero, drugim Nifty Barnes, który niezgrabnie ześliznął się z siodła. Stanął przed młodzieńcem i patrzył w ziemię.

- Przemyślałem to wszystko — zaczął nieśmiało — co pan powiedział. Prawdą mówiąc, nikt na mnie nie czeka. Zostałbym tu chętnie, jeżeli pan wciąż jeszcze mnie chce. — Podniósł głowę i mówił szybko dalej: — Jestem silny i nauczę się wszystkiego. Byliście przyzwoici wobec mnie. Będzie pan potrzebował kogoś do pracy… pan i młoda pani, jeżeliby zechciała… — dokończył nieporadnie.

— Hola! — wykrzyknął Ramon. Zwrócił się do Don Justa z rozjaśnioną twarzą i szybko jął mówić po hiszpańsku: — I ty, i ja wsadzilibyśmy tego człowieka za kratki, a ona, widzisz, ona wiedziała, jak postąpić. Jest mądrzejsza od nas obu, amigo! Rozumiesz?

Z twarzy Justa znikł wreszcie braterski sceptycyzm. Pozostał już tylko cień ironii w jego głosie, kiedy powiedział:

— No tak, w tej sprawie niewątpliwie moja siostra wykazała niezwykłą mądrość.

Ale Ramona nie speszyła ta ironia.

— To prawda — potwierdził. — Ty i ja jesteśmy sabio. Ale to jest taka mądrość z głowy. A jej mądrość płynie z serca.

Justo uśmiechnął się.

— Dochodzę do wniosku, señor — stwierdził z żartobliwą powagą — że naprawdę głęboko kochasz moją siostrę.

— Tego faktu nigdy nie próbowałem ukrywać — przypomniał mu Ramon trochę chmurnie.

Nifty Barnes, zapomniany zupełnie, chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę.

— Może by pan to wsypał na powrót do garnka i— rzekł podając złote monety. — Mnie to już niepotrzebne.

Tłumaczenie Krystyna Jurasz-Dąmbska

KONIEC